

JUDITH KRANTZ

DOM MODY 2

Scruples Two

Przełożyła Agnieszka Dorota Gostwanowicz

*Mojej wnuczce, Kate Mattie Krantz, mojej najmłodszej,
najcudowniejszej i najbardziej obiecującej bohaterce*

*Steve'owi, mojemu pierwszemu, ostatniemu i na zawsze jedynemu -
bez niego nigdy
nie napisałabym „Domu Mody” i bez niego z pewnością nie powstałby w
czternaście lat
później „Dom Mody 2”*

Mam szczególny dług wdzięczności wobec dwojga przyjaciół, którzy

*pomogli mi,
służąc swą głęboką wiedzą zawodową: Emily Woods, dyrektorki firmy J.
Crew Gordona
Davidsona, dyrektora artystycznego i producenta firmy Mark Taper
Forum z Los Angeles,
oraz wobec Edwiny Lloyd, mojej cudownej, obdarzonej niewzruszonym
spokojem asystentki*

Po chwilowej przerwie, podczas której oscarowa gorączka dosięga zenitu, prezenterzy wyszli z za kulis i zaczęli kroczyć w kierunku środka estrady, by odczytać listę kandydatur do miana Najlepszego Filmu Roku. Vito zaczął się pocić w fotelu. A jeśli informacja Maggie MacGregor nie jest prawdziwa? Chryste Panie! Zgodnie z warunkami zakładu z Curtem Arveyem musiałby wtedy kupić prawa do Białego Amerykanina. Nawet jeśli tak, co tam! Vito wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Czy się pomylił, czy nie, i tak musi zdobyć tę książkę. Napisano ją po to, by Vito Orsini mógł z niej zrobić film, czyż nie?

Billy Orsini, która mocno ścisnęła go za rękę, nie czuła najmniejszego niepokoju. Jeszcze rano zadzwoniła do niej Dolly Moon, która nie umiała zatrzymać dobrej nowiny dla siebie. Billy nie chciała jednak powtarzać tego mężowi obawiając się, że świadomość, iż tajemnica koperty została ujawniona przed oficjalnym przyznaniem nagród, zepsułaby mu całą radość z Oscara. Z podobnych przyczyn odkładała wiadomość o dziecku do jutra, kiedy zatrze się już nieco wieczorna chwała. Taka wiadomość dla jej męża, w wieku czterdziestu dwóch lat jeszcze bezdzietnego, przesłoniłaby wszystko, nawet najwyższy zaszczyt w branży filmowej. Kiedy Billy poczuła w swojej dłoni napiętą jak nigdy dłoń Vita, skarciła się w myślach za brak szczerości wobec siebie samej. Prawda była taka, że Wilhelmina Hunnenwell Winthrop Ikehorn Orsini nie miała najmniejszego zamiaru dzielić się względami męża z pozłacaną statuetką, którą w swej niezgłębionej mądrości zechciała mu przyznać Akademia.

Billy z niechęcią obudziła się ze snu tak przeszywająco szczęśliwego, że próbowała zatrzymać go jak najdłużej. We śnie owym bez wysiłku wbiegała po kręconych schodach na szczyt wieży, z której miała ujrzeć promienną jak wiosna, zalesioną przestrzeń sięgającą aż do pełnego obietnic turkusowego morza. Z westchnieniem otworzyła oczy i czekała, aż opadną emocje wywołane snem, lecz radość jej nie opuszczała.

Błogo zdezorientowana, nieświadoma nawet daty ani miejsca, zamglonym wzrokiem patrzyła na wysoki sufit, aż wróciła jej cała pamięć. Leżała we własnym łóżku, w swym własnym domu w Kalifornii. Był kwiecień roku 1978. Zeszłego wieczora Vito zdobył Oscara w kategorii Najlepszego Filmu Roku, a Dolly Moon, jej serdeczna przyjaciółka, została najlepszą aktorką drugoplanową. W cztery godziny później Dolly błyskawicznie i spokojnie urodziła wspaniałą dziewczynkę. Billy i Vito oraz Lester Weinstock, agent prasowy Dolly, zrezygnowali z przyjęcia po rozdaniu Oscarów i razem czekali w szpitalu. Następnie wszyscy wrócili tutaj, aby uczcić wydarzenie jajecznicą, angielskimi bułeczkami i szampanem. Billy pamiętała, że robiła jajecznicę i wyraźnie widziała Vita otwierającego szampana, ale potem wszystko zlało się w jedną kakofonię toastów i śmiechu. Może obaj byli z nią w łóżku? Rzut oka upewnił ją, że jest sama, a po stronie Vita kołdra była odrzucona.

Ziewając, przeciągając się i pomrukując z przyjemności Billy ostrożnie usiadła. Zegarek przy łóżku wskazywał, że minęło już południe, ale wcale nie czuła wyrzutów sumienia. Jeśli kobieta nie może sobie pospać do późna po ogromnym napięciu nerwowym poprzedniego dnia, to kiedy w ogóle ma to robić? Szczególnie w jej stanie, w niewiarygodnym

stanie, w niebywale interesującym, świeżo odkrytym stanie, nadal stanowiącym tajemnicę. Teraz jednak nadszedł czas, by ją ujawnić. Usłyszała głos Vita, który rozmawiał przez telefon w salonie przylegającym do ich sypialni. To dobrze, zanim zda sobie sprawę, że Billy już nie śpi, ona zdąży spryskać sobie wodą twarz i umyć zęby. Szczotkując włosy i jak zawsze ignorując swą niezwykłą urodę, nawet ona sama nie mogła nie zauważyć żywej świeżości cery, naturalnego blasku oczu, błyszczącej obfitości ciemnobrązowych włosów. Mając trzydzieści pięć lat wyglądała o dziesięć lat młodziej. Pomyślała, że to pewnie hormony wyprawiają swoje osławione sztuczki.

Kiedy wyszła z łazienki, Vito nadal rozmawiał, więc postanowiła wziąć szybki prysznic. Kiedy powie mężowi o dziecku, będzie tak podekscytowany, tak poruszony, tak ślepy na wszystko inne, że będą spędzać całe godziny na rozmowach i planowaniu, więc równie dobrze może wykorzystać tę okazję. W kilka minut później Billy jeszcze wilgotna po błyskawicznym prysznicu, na bosaka i nieomal tańcząc z niecierpliwości narzuciła na siebie peniuar z prawie przezroczystego krepdeszynu i z rozmachem otworzyła drzwi do salonu.

Odruchowo natychmiast cofnęła się do sypialni. Co, u diabła, robi tu sekretarka Vita, Sandy Stringfellow, rozparta w ulubionym fotelu Billy, w jej własnym, osobistym saloniku, do którego nie miał wstępu nikt inny, cicho coś mrużąc do prywatnego telefonu Billy, który przeniosła z jej biurka? Vito i Sandy tak byli zajęci swoimi rozmowami, że nawet jej nie zauważyli. Billy zrzuciła swój śmiały peniuar i włożyła pantofle oraz gruby szlafrok frotte.

- Dzień dobry - powiedziała z promiennym uśmiechem. Sandy

skrzywiła się i rozmawiała dalej. Vito szybko podniósł wzrok, pomachał do niej ręką, uśmiechnął się, posłał w roztargnieniu całusa i dalej uważnie słuchał swego rozmówcy.

- Tak, panie Arvey, pan Orsini podejdzie do telefonu, gdy tylko skończy rozmowę z drugiego aparatu - usłyszała Billy słowa Sandy. - Tak, wiem, jak długo pan czeka. Może woli pan, żeby pan Orsini zadzwonił do pana później? Nie, problem w tym, że nie mogę powiedzieć, kiedy. Nie mamy tu centralki, a telefon dzwoni cały ranek. Pan Orsini nie ma nawet czasu, żeby się ubrać i pójść do biura. To już chyba niedługo, panie Arvey, ale nie mogę przełączyć pana na oczekiwanie. Tak, wiem, że to śmieszne, ale rozmawiam z prywatnego telefonu pani Orsini.

Billy napisała na kartce z notesu znak zapytania i podsunęła go Vito. Potrząsnął głową i pokazał na Sandy.

- Z kim on rozmawia? - zapytała Billy.

- Z Lwem Wassermanem o filmie Biały Amerykanin - odparła Sandy zakrywając dłonią słuchawkę. Obie kobiety spojrzały na siebie szeroko otwartymi oczyma wyrażającymi wzajemne gratulacje. Kombinacja najbardziej wpływowego i najpotężniejszego człowieka w Hollywood oraz wymarzonego nowego zamierzenia Vita, w którym miał nadzieję obsadzić Roberta Redforda i Jacka Nicholsona, całkowicie wyjaśniała jego skupienie.

- Gdzie jest Josie? - spytała Billy. Przecież wszystkiego powinna tu doglądać Josie Speilberg, jej osobista sekretarka.

- Zadzwoniła, że jest chora. Ma straszną grypę, jelitową - odpowiedziała Sandy.

- Wspaniale - odezwał się Vito - wspaniale, Lew. Tak... tak... nno...

Rozumiem cię... Dobrze. Jeszcze raz dzięki za radę, Lew. Śniadanie jutro? Już cię zapisałem. Siódma trzydzieści? Nie ma sprawy. Do zobaczenia, Lew. - Odłożył słuchawkę. Szybko, mocno uściskał Billy i szybko, mocno ją pocałował. Poczucie tryumfu i zwycięstwa powodowało, że poruszał się dwa razy szybciej niż zwykle. - Dobrze spałaś, kochanie? Nie mam czasu pogadać, muszę odebrać drugi telefon i porozmawiać z Curtem Arveyem. Ten tępy frajer nie powinien się ze mną zakładać, że Zwierciadła przegrają. Teraz wybuli półtora miliona za prawa do Białego, a ja chcę się upewnić, czy zawarł umowę z tym agentem literackim z Nowego Jorku. Jeśli kiedykolwiek istniał jakiś gorący towar... - Wziął już do ręki słuchawkę prywatnego telefonu Billy i pograżył się w rozmowie z Arveyem, podczas gdy Sandy rzuciła się odebrać następny telefon, który zaczął dzwonić, w chwili gdy Vito odłożył słuchawkę.

Billy spojrzała na nich oboje i zdała sobie sprawę, że już o niej zapomnieli. No cóż, jej wiadomość może poczekać, a jej samej przydałoby się śniadanie. Zbiegła tanecznym krokiem po schodach i przebiegła przez podwójny salon swego ogromnego, nadzwyczaj wygodnego domu.

Jak na kalifornijskie warunki, był już stary, bo wybudowano go w latach trzydziestych, i mimo jego rozmiarów udało się w nim zachować przytulność. Był to dom pełen osobistych, niemodnych przedmiotów. Każdy pokój przyciągał asymetrycznie umieszczonymi malowniczymi grupami mebli o interesujących choć lekko zblakłych obiciach z kwiecistego angielskiego lnu i pasiastej francuskiej bawełny. Na nierównych, wypastowanych deskach podłóg leżały piękne, stare dywany igłowe, a w każdym pokoju był przynajmniej jeden czynny kominek ze świeżo ułożonym drewnem. W niszach, kątach i w pobliżu przeszkłonych

drzwi stały grupki kwitnących kwiatów doniczkowych, paproci i małych drzewek, regały ugiwały się pod ciężarem książek, a na ścianach wisiało mnóstwo obrazów. Na blatach stołów i stolików stały wspaniałe figurki z brązu, wysłużone srebrne lichterze, inkrustowane pudełka na herbatę i puste klatki dla ptaków, obok krzeseł ustawiono koszyki wypełnione po brzegi czasopismami, a wszędzie znajdowały się cenne antyki, kupione z powodu ich uroku i obfitości ornamentów. Nie było złocen, żadnych wspaniałości czy demonstracyjnego bogactwa, wśród setek niepotrzebnych przedmiotów nie było ani jednej, wysadzonej klejnotami tabakierki, a jednak było oczywiste, że Billy ani razu nie odmówiła sobie niczego, co jej się spodobało. Pokoje były tak duże, iż mimo fascynującego nagromadzenia różnych przedmiotów czuło się przestrzeń. Nie był to dom kobiety, która musiała sprawiać przyjemność lub imponować komuś oprócz siebie samej, a jednak utrzymanie tego ogromnego domu w nieskazitelnej doskonałości wystudiowanego nieładu, który Billy tak lubiła, kosztowało majątek.

Przeszła przez bibliotekę, pokój do muzyki, jadalnię i spiżarnię, gdzie radośnie uśmiechnęła się do swych trzech pokojówek zajętych pracą. Dwie z nich trzymały naręcza właśnie dostarczonych kwiatów, a trzecia ścisnęła plik telegramów.

W kuchni kuchmistrz Billy Jean-Luc ukrył zaskoczenie na widok swej pracodawczynie. Dwa razy w tygodniu uzgadniał z panną Spielberg jadłospis. Pani Orsini rzadko odwiedzała kuchnię, a już nigdy w płaszczu kąpielowym. Billy poprosiła go, żeby przygotował dla Vita i Sandy talerz podwójnych kanapek, a dla niej zrobił danie, jakie rezerwowała sobie na specjalne okazje: trzy grzanki z białego pieczywa grubo posmarowane

dżemem truskawkowym, ze starannie ułożonymi plasterkami bardzo kruchego bekonu. Ta kombinacja smakowała jak słodko-kwaśne danie chińskiej kuchni dla dzieci i zawierała głównie puste kalorie.

Czekając w pokoju śniadaniowym, aż bekon będzie niemal przypalony, Billy z lubością wyliczała sobie: cukier, sól, biała mąka i tłuszcz zwierzęcy. To będzie jej ostatnie szaleństwo przed rozpoczęciem diety ciąży, brawurowy gest pożegnalny, który mogła docenić jedynie kobieta tak zdyscyplinowana jak ona, kobieta, która знаła wartość każdej kalorii, jaką pochłonęła od chwili ukończenia osiemnastu lat, kiedy to pozbyła się nagromadzonego przez całe życie tłuszczu i postanowiła na zawsze zostać szczupłą.

Sącząc sok pomarańczowy Billy pomyślała bez żalu, że na kolację zje tylko melona, pieczone pomidory i ugotowaną na parze rybę, po czym wróciła myślą do sceny, jaką zastała w swoim salonie. Telefoniczny maraton nie może trwać wiecznie. Prawdopodobnie zaczął się przed kilkoma godzinami, bo Vito, który zawsze wstawał bardzo wcześnie, nie miał czasu ogolić się i ubrać. Niedługo telefony się skończą, większość ludzi wyjdzie na lunch, a Sandy i Vito pojedą do jego biura, gdzie będą wszystko załatwiać znacznie sprawniej. Oczywiście będą jeszcze telefony do domu, kwiaty i telegramy, ale to pooscarowe szaleństwo nie potrwa dłużej niż kilka godzin. Przecież świat ma na głowie milion naprawdę ważnych spraw, bez względu na to, ile znaczy to wielkie zwycięstwo dla Vita i dla niej.

Biegając z powrotem na górę do prywatnej części domu Billy zdała sobie sprawę, że zjadła swe grzeszne śniadanie nie czując jego smaku. Miała nadzieję, że usłyszy, jak Vito krząta się po garderobie, i spodziewała

się, że jej salon będzie już pusty. Ale i Vito, i Sandy byli dokładnie tam, gdzie ich zostawiła.

Co jest, do diabła? napisała Billy i podetknęła kartkę pod nos Sandy. Sekretarka zrobiła żalostną minę i odpisała:

Rozmawia z Redfordem, a tutaj czeka Nicholson.

- A niech to! - rzuciła Billy w powietrze, czując jednocześnie zdumienie i irytację. Boże, przecież ci aktorzy mają zupełnie dobrych agentów. Dlaczego Vito rozmawia z nimi bezpośrednio? A może to oni zadzwonili do niego? Biały Amerykanin od siedmiu miesięcy jest na szczycie listy bestsellerów, to książka dziesięciolecia, każdy chce mieć z nią do czynienia, ale o takim wykroczeniu wobec hollywoodzkiego protokołu jeszcze nie słyszała. Usiadła, żeby się przysłuchać rozmowom, ale Sandy podsunęła jej jeszcze jedną kartkę.

Jedzie tu Maggie z kamerzystami... specjalny program przeglądowny w dzień po rozdaniu Oscarów dla wieczornych wiadomości. Może byś się ubrała?

Billy ze zdumienia otworzyła usta. To już jest cholerne naruszenie prywatnego spokoju. Kiedy chodziło o zmontowanie i udźwiękowanie *Zwierciadeł* bez ingerencji wytwórni, bez zastanowienia oddała na pół roku swój dom Vito i jego zespołowi. Pracowała jako sekretarka planu po osiemnaście godzin na dobę, słowa nie powiedziała na temat zniszczenia lśniących podłóg czy rozbicia jej najcenniejszych bibelotów podczas tego całego szalonego i gorączkowego przedsięwzięcia. Ale Maggie MacGregor i jej stuknięci kamerzyści to już co innego. Guzik ją obchodziło, że program telewizyjny Maggie o Hollywood jest co tydzień jednym z pięciu najbardziej oglądanych programów w Ameryce. Nie

obchodzi jej także to, że Maggie powiedziała Vitowi o Oscarze. Maggie była przyjaciółką Vita, a nie jej. Każde spotkanie z Maggie pogłębiało ich wzajemną nieufność. Nie mogły sobie pozwolić na otwartą wrogość - miasto i branża były na to za małe - ale nigdy nie będą sobie ufały. Na litość boską, jej dom to nie hala do zdjęć dźwiękowych, nie chce w nim obcych, nigdy nie pozwoliła żadnemu czasopismu na robienie zdjęć i Maggie doskonale o tym wie.

Przez ostatnie trzy lata, od czasu kiedy kupiła posiadłość Holmby Hills leżącą przy Charing Cross Road, po cenionej południowej stronie Bulwaru Zachodzącego Słońca tuż za Beverly Hills, własność Billy była dyskretnie patrolowana przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez uzbrojonych mężczyzn z dobermanami. Gęsty żywopłot otaczający jedenastoakrowy teren ukrywał w środku ogrodzenie z drutu kolczastego, a na początku podjazdu znajdowała się wysoka żelazna brama oraz stróżówka z dwoma umundurowanymi mężczyznami, którzy gestem nakazywali jechać dalej wszystkim, którzy zatrzymywali tu swój samochód, żeby się pogapić. Wszystkie te zabezpieczenia wiązały się z tym, że Billy była jedną z najbogatszych kobiet na świecie; były one dla niej tak samo konieczne jak dla każdego szefa w świecie zorganizowanej przestępczości, a teraz oto Maggie MacGregor wpycha się tu z kamerzystami, nie pytając jej nawet o zgodę. Dlaczego Maggie nie może przeprowadzić wywiadu z Vitem w jego biurze?

Nadal nie chcąc przeszkadzać Vitowi, Billy nabazgrała to pytanie i podetknęła je pod nos Sandy, która na sekundę przestała flirtować z Jackiem Nicholsonem i mruknęła: - Zainteresowanie ludźmi - nagrywa u każdego w domu.

Billy wycofała się do swego sanktuarium - stumetrowej garderoby z siedziskiem w głębokim wykuszu okna. Tu wczoraj siedziała skulona, kiedy zdała sobie sprawę, że jest w ciąży, kiedy kilka godzin zagłądania we własną duszę odkryło jej uparcie nie dowierzającemu umysłowi, że właściwie, sama o tym nie wiedząc, zawsze chciała mieć dziecko.

Była druga po południu, od tamtego czasu upłynęło ponad dwadzieścia cztery godziny, a ona jeszcze nie powiedziała mężowi. Nikt nie wiedział. Drżała od rozsadzającej ją wspaniałej wiadomości, a Vita nie można było oderwać od telefonu, żeby powiedzieć jemu pierwszemu, przed wszystkimi innymi, co było słuszne i właściwe. Dopóki on się o tym nie dowie, będzie musiała milczeć. Billy zdała sobie sprawę, że trochę trudno jej będzie zatrzymać tę nieziemską szczęśliwość, którą przeniosła nietkniętą z marzeń do życia, ale po chwili się rozjaśniła. Następných kilka godzin spędzi w „Scruples”. Jeśli nie będzie widziała inwazji telewizji na jej dom, to tak jakby jej w ogóle nie było.

Szybko się ubrała. Udało się jej wyjść tak niepostrzeżenie, że ani Vito, ani Sandy nie podnieśli głów znad telefonów. W czasie ośmiominutowej jazdy samochodem do swego okazałego sklepu przy Rodeo Drive w Beverly Hills Billy zdała sobie sprawę, że wczesnowiosenna, podniecająca pogoda doskonale pasuje do jej nastroju. Na pogodzie oscarowej zawsze można było polegać. Podczas tych dwóch szczególných dni w Kalifornii aura była zawsze wspaniała, jakby na zamówienie widowni telewizyjnej z całego świata. Nikt nigdy nie widział tych ponurych, nie kończących się mglistych czerwcowych poranków, kiedy słońcu udaje się przedrzeć przez chmury dopiero po południu, nikt nie widział ciemnych, chłodnych i przerażających styczniowych ulew czy,

co jeszcze gorsze, niebezpiecznego, płaskiego, białego blasku słońca w późnoletniej porze pożarów lasów... nie, kiedy świat patrzył, Hollywood zawsze się głupio stroiło i pokazywało swą najlepszą twarz. To takie typowe, pomyślała Billy, takie typowe. Zachowała w sobie jeszcze tyle bostońskiego ducha, żeby umieć lekko szydzić z miasta, któremu zawsze udawało się oszukać publiczność.

Przejechała wzdłuż Rodeo Drive i skręciła na podziemny parking „Scruples”, czując znane, pełne dumy poczuci własności. Dom Mody „Scruples” był ekstrawagancką fantazją, którą powołała do życia przed czterema laty, najzasobniejszym i odnoszącym największe sukcesy sklepem specjalistycznym, jaki kiedykolwiek istniał. Zeszłego wieczoru podczas uroczystości rozdania Oscarów Billy postanowiła otworzyć filie „Scruples” na całym świecie, w wielkich stolicach, gdzie mieszkały zamożne kobiety, których życie obracało się wokół zakupów i rozrywek, tworzące maleńką, lecz nieskończenie zachłanną kastę, jakby urodzone po to, by stać się klientelą „Scruples”.

Billy pamiętała, że postanowiła nie rzucać się na oślep w budowę nowych filii, nie zrobić ani jednego ważnego kroku bez zasięgnięcia rady Spidera Elliotta i Valentine O’Neill. Planowała zrobić z nich swoich wspólników w nowej firmie „Scruples”, którą stworzy jej prawnik Josh Hillman. Spider, były fotograf mody, zarządzający teraz sklepem, był autorem kluczowego pomysłu, który przyczynił się do powstania specyficznej, niefrasośliwej atmosfery będącej atutem sklepu, a Bóg jeden wiedział, że nie potrafiłaby funkcjonować bez wychowanej w Paryżu Valentine, głównego zaopatrzeniowca i projektantki wspaniałych strojów szytych na zamówienie, nadających „Scruples” niepowtarzalny styl. Gdy

winda dojeżdżała do trzeciego piętra, gdzie znajdowały się gabinety kierownictwa, Billy pomyślała, że nie może się już doczekać, kiedy im opowie o swoich planach.

O dziwo jednak, nie można było znaleźć ani Spidera, ani Valentine. Jego sekretarka przypuszczała, że poszli po zakupy. Co za dziwaczny pomysł, pomyślała Billy, a gdzież to mogli robić zakupy, skoro „Scruples” jest Mekką kupujących? Po raz kolejny zniechęcona, lecz uparcie zachowując dobry humor - prawdopodobnie poszli kupić prezent dla Vita z okazji zwycięstwa, coś, czego nie da się znaleźć w sklepie dla kobiet - Billy postanowiła obejść swoje królestwo, co często robiła, udając że przyjechała spoza Hollywood i widzi sklep po raz pierwszy. Ledwo jednak zaczęła dyskretnie kręcić się po parterze „Scruples”, wyobrażając sobie, że jest turystką z Pittsburgha, opadło ją z pół tuzina kobiet, z których kilka znała. Wszystkie chciały niejako zastępczo uczestniczyć w tryumfie Vita, składając jej gratulacje, żeby móc potem pójść do domu i powiedzieć jak największej liczbie znajomych:

„Powiedziałam dzisiaj Billy Orsini, jak bardzo się cieszę z sukcesu jej i Vita”. Rozdając na prawo i lewo uprzejme uśmiechy, Billy instynktownie uciekła do swego gabinetu i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Usiadła za biurkiem i zastanowiła się nad sytuacją. Jeszcze przez kilka godzin nie mogła wrócić do domu. Nie miała też ochoty udawać Joan Didion i jechać donikąd autostradą swoim bentleyem, a zatem musiała zostać tu w odosobnieniu, bo nie potrafiła stawić czoła atakom kobiet na dole. Czy inne kobiety w podobnym zwycięskim dniu nie zostałyby tam, by rozkoszować się przychylnym skądinąd trajkotem, od

którego właśnie uciekła?

Do jasnej cholery, czy kiedykolwiek przestanę być nieśmiała? - zadała sobie pytanie Billy, przyznając się w końcu, że nie potrafi cieszyć się komplementami i gratulacjami, nie czując jednocześnie bolesnego zażenowania. Kiedy dorastała, miała powody, żeby być nieśmiałą: pulchna, źle ubrana, osierocona przez matkę uboga krewna wszystkich tych arystokratycznych i finansowo niezależnych Winthropów z Bostonu, skazana na towarzystwo dwudziestki doskonale przystosowanych kuzynów i kuzynek, którzy w najlepszym wypadku ją ignorowali, a w najgorszym, co zdarzało się bardzo często, wyśmiewali się z niej. Nic więc dziwnego, że kiedy wysłano ją do Emery Academy, ekskluzywnej szkoły z internatem dla pańienek z towarzystwa, była nieśmiała. W szkole spędziła sześć nieprawdopodobnie trudnych, rozpaczliwie samotnych lat jako programowy wyrzutek, cel żarcików i klasowe dziwadło, dziewczynka o wzroście 178 centymetrów i wadze 98 kilogramów.

Potem jednak wyjechała na rok do Paryża, skąd wróciła szczupła i wreszcie dorosła do swej mrocznej, władczej urody. Z kolei udała się do Nowego Jorku, gdzie pracowała jako sekretarka Ellisa Ikehorna, tajemniczego multimilionera, którego firma Ikehorn Enterprises prowadziła interesy na całym świecie. Zawarła też pierwszą w życiu przyjaźń, z Jessiką Thorpe, z którą dzieliła mieszkanie. Jessica mieszkała teraz w Nowym Jorku, ale dwa razy w tygodniu rozmawiały ze sobą przez telefon. Drugą prawdziwą przyjaciółką była Dolly Moon.

Dwie bliskie przyjaciółki, pomyślała Billy, to nie tak dużo jak na trzydzieści pięć lat. W wieku dwudziestu jeden lat wyszła za Ellisa Ikehorna i od tego dnia aż do jego wylewu w siedem lat później wiodła

życie składające się z międzynarodowych podróży, podczas których dzięki swemu doskonałemu wyczuciu stylu i księżęcym klejnotom była stale umieszczana na liście najlepiej ubranych kobiet świata. Kiedy nie podróżowali w interesach, mieszkali w uroczej willi w Cap-Ferrat, odwiedzali ranczo w Brazylii, całymi tygodniami gościli w swym apartamencie w londyńskim hotelu Claridge, a potem lecieli do nadmorskiego domu na Barbadosie czy do posiadłości w winnicy w dolinie Napa. Ich główna kwatery mieściła się w nowojorskim mieszkaniu w wieżowcu Sherry Netherland, ich fotografie stale pojawiały się w dziesiątkach czasopism, zaliczali się do wąskiego grona mającego wstęp do ogólnoświatowego towarzyskiego panteonu i wydawałoby się, że mają dziesiątki przyjaciół.

Nikt jednak poza Ellisem i Billy nie przedarł się do najważniejszej prawdy skrywanej za parawanem przywilejów. Jediną rzeczą, która miała dla nich jakiegokolwiek znaczenie, była bliskość ich stosunków. Podczas licznych przyjęć nie zawarli ani jednej znaczącej przyjaźni, bo poza nimi samymi nikt tak naprawdę nie zwrócił na siebie ich uwagi. Zaczarowany krąg, jakim otoczyli swe życie, doskonale ich osłaniał i równie skutecznie nie pozwalał nikomu przeniknąć do jego wnętrza.

Kiedy w roku 1970 Ellis dostał wylewu krwi do mózgu, który go sparaliżował, Billy skończyła właśnie dwadzieścia osiem lat. Przez następne pięć lat, aż do jego śmierci, mieszkała niemal jak pustelnica w ich fortecy w Bel Air, gdzie całe życie obracało się wokół męża. Jej kontakty z innymi kobietami ograniczały się do uczestniczek grupy gimnastyki, kobiet, których źle skrywana ciekawość odstraszyła ją od jakiegokolwiek możliwości głębszej przyjaźni. Billy uważała jednak, że była

to ciekawość naturalna, bo czyż nadal nie była dziwadłem? Nieskazitelnie ubranym, szczupłym i pięknym dziwadłem, którego istotę tworzyło bogactwo?

Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: jest urodzonym wyrzutkiem, po prostu nie pasuje do żadnej z grup tworzących się wśród kobiet tego miasta żyjącego z jednego przemysłu. Była zbyt zajęta swym umierającym mężem, by stroić się i chodzić z nimi na plotkarskie lunchy, do których częstym pretekstem było planowanie balu charytatywnego. Nie należała do grupy, którą utworzyły żony mężczyzn zajmujących kierownicze stanowiska w wytwórniach filmowych. Pozycja każdej z tych kobiet była całkowicie uzależniona od władzy, jaką miał jej mąż w przemyśle filmowym, co stanowiło drapieżną, hollywoodzką odmianę waszyngtońskiej hierarchii żon polityków. Pod żadnym pozorem nie mogła zostać jedną z „żon-partyzantek”. Były to trzydziestokilkuletnie kobiety o twardym ciele, rozpaczliwie kalkulujące piękności, które poślubiły dwa razy starszych od siebie, bogatych rozwodników, podpisawszy kontrakty przedmażeńskie, które wykluczały podział wspólnej własności. Głównym celem ich życia było zajście w ciążę, żeby zdobyć zakładników, kiedy ich mężowie zaczną przemyśliwać o porzuceniu ich dla młodszych panienek. Billy nie mogłaby też zaprzyjaźnić się z którąś z pisarek, producentek czy gwiazd przemysłu filmowego, które szanowały jedynie równe sobie pracujące kobiety i nie miały czasu dla innych.

Potencjalne przyjaciółki mogłabym odkryć w Hancock Park czy Pasadenie, pomyślała Billy. Mieszkały tam spokojnie eleganckie dziedziczki starych fortun, rzadko zniżające się do przejścia na „zachodnią

stronę”, gdzie osiedliły się wszystkie filmowe pieniądze, ale nawet nie znając ich była pewna, że byłyby one kalifornijskimi odpowiednikami tych konserwatywnych kuzynek Winthropów, które przysporzyły jej w dzieciństwie tyle cierpień.

Kiedy Ellis umarł i Billy mogła porzucić samotność, zamiast odegrać rolę nowej wdowy i „dodatkowej” kobiety, poświęciła się stworzeniu „Scruples”. Po dwóch latach wyszła za Vita i natychmiast pochłonięła ją realizacja Zwierciadeł. Kiedy na planie spotkała Dolly Moon, nie była względem niej nieśmiała, bo Dolly nie miała pojęcia, kim jest Billy, a kiedy się dowiedziała, nie sprawiło jej to żadnej różnicy.

Dolly i Jessica. Dwie prawdziwe, niezawodne przyjaciółki. Może to nie jest tak mało. Może taka jest przeciętna, może większość kobiet oszukuje się co do wierności swoich oddanych przyjaciółek? Billy położyła stopy na biurku i objęła dłońmi kolana. Czuła się jak wyrzutek po prostu dlatego, że dzień, który miał się zacząć od przekazania mężowi nowiny o dziecku, tak nagle i gwałtownie zboczył ze swego kursu. Głupio zrobiła przypominając sobie upiory tak wielu straconych i samotnych lat, pozwalając im wkroczyć w cud jej nowego życia. To, że nie czuje się swobodnie wśród kobiet, nie oznacza, że nie potrafi przeżywać przyjaźni. Opuszczając nogi na podłogę Billy powiedziała sobie, że ciotka Kornelia kazałaby jej podciągnąć skarpetki. Pochyliła się nad biurkiem i spojrzała na stertę papierów, które nie pozwolą jej wrócić do domu, dopóki wszystko się tam nie wyklaruje. Cieszyła się, że praca trochę przytłumi w niej bolesne, gorączkowe, rosnące pragnienie bycia z Vitem, pragnienie, by skupić na sobie jego uwagę, znaleźć się w jego ramionach, powiedzieć mu nowinę i obserwować wyraz szczęścia na jego twarzy, pragnienie

oderwania go od tego pieprzonego telefonu!

* * *

Kiedy o wpół do szóstej podjeżdżała do stróżówki, jeden ze strażników zapewnił Billy, że ludzie z telewizji właśnie wyszli. Dodał jednak, że przybyli inni goście, których pan Orsini kazał wpuścić.

Któż to, u diabła, może być, zastanawiała się Billy odczuwając rozczarowanie i irytację. Nastął wieczór, nie było jej kilka godzin, dzień pracy skończył się nawet dla zdobywców Oscara! Goście! Wyrzuci ich wszystkich, nieważne, kto to jest, w szybkim tempie! Nie obchodzi ją, czy to Wasserman, Nicholson i Redford z duchami Louisa B. Mayera, Irvinga Thalberga i Jean Hersholt, nawet gdyby byli w towarzystwie Harryego Cohna i braci Warnerów. Wyprosi ich z domu!

Z niedowierzaniem i wściekłością popatrzyła na dwadzieścia samochodów zaparkowanych przed domem, zamasyście otworzyła drzwi i osłupiała na widok przynajmniej czterdziestu ludzi rozprawiających i śmiejących się na całe gardło, którzy wypełniali podwójny salon. Nie wierzyła własnym oczom. Przyjęcie w apogeum, sprawiające wrażenie, że zamieni się w pandemonium, a w jego centrum znajdował się Vito. W tłumie dojrzała Fifiego Hilla, reżysera Zwierciadeł, gwiazdy, montażystów, kompozytora i dziesiątki innych, którzy od początku byli związani z realizacją filmu. A za nią, przepychając się przez drzwi, wchodzili następni, członkowie ekipy i obsady; wszyscy szybko ją całowali i ściskali, a potem śpieszyli do Vita.

Billy przepchnęła się przez tłum do męża.

- Jak... dlaczego... Vito, co u diabła...?

- Kochanie! W samą porę! Zastanawiałem się, co się z tobą dzieje.

Mamy przyjęcie na zakończenie filmu - pamiętasz, pierwsze przyjęcie zostało przerwane, więc postanowiłem zacząć je od nowa. Wszyscy są nadal nabuzowani. Nie martw się o jedzenie, Sandy zadzwoniła do Chasena i kazała przysłać wszystko, co mają. Czy to nie świetny pomysł? Posłuchaj, muszę znaleźć Fifiego, jeszcze nie zdążyłem mu pogratulować Oscara za reżyserię.

- Zrób to koniecznie - powiedziała Billy do miejsca, w którym jeszcze przed chwilą stał Vito. Czy Aleksander Wielki był kiedykolwiek po którymś ze swoich zwycięstw tak pewny siebie, tak tryumfujący, tak płonący energią i podnieceniem? - zastanawiała się wiodąc wzrokiem za swym zuchwałym, opalonym Cezarem. Poślubiła Vita powodowana wielką, namiętą miłością, prawie wcale go nie znając. Dopiero po ślubie zdała sobie sprawę, ile pasji zachowywał dla swej pracy, jaką obsesją było dla niego kręcenie filmów. Teraz, po dziesięciu trudnych miesiącach kompromisów i dostosowywania się, Billy myślała, że już się z tym pogodziła. Tak, z pewnością się pogodziła, zapewniała siebie samą, przemykając wśród tłumu do schodów. Przyjmowała go dokładnie takim, jakim był, a dzisiejszy wieczór jest taki, jaki powinien być: głośna, rozbrykana uroczystość na cześć wyjątkowego osiągnięcia, za jakie Vito uważał nagrodę dla niskobudżetowego filmu.

Przechodząc przez salon, Billy zauważyła sterty nie otwartych telegramów rzuconych między kosze kwiatów, które zajmowały każde wolne miejsce, z podłogą włącznie. Jutro wszystkie telegramy zostaną odesłane do biura Vita, jutro Josie otworzy wszystkie karneciki na kwiatach i zrobi listę osób, którym trzeba będzie podziękować. Teraz jednak Billy włoży coś odświeżonego i włączy się do przyjęcia. Prędzej czy

później goście będą musieli wyjść, a ona zostanie sama z Vitem i zjedna jedyną wiadomością, która naprawdę się liczy w tym dniu tryumfu i radości.

* * *

Vito i Billy zmęczeni zegnali się z ostatnimi gośćmi, kiedy jeden ze strażników zadzwonił z informacją, że przyjechała jeszcze jedna osoba pytająca o pana Orsiniego.

- Powiedz, że mi przykro, ale jest za późno, Joe, przyjęcie skończone - powiedział Vito. - Cooo? Co? Jesteś pewien? Nie, w porządku, przepuść taksówkę.

- To zupełnie niemożliwe - mruknęła Billy - byli tu nawet ludzie dostarczający posiłki na plan. Vito, przeproś, nie waż mi się nikogo tu wpuszczać. Jeśli uda mi się wejść na schody, to idę do łóżka, jestem wykończona.

- Idź, kochanie, ja to załatwię.

W dziesięć minut później, kiedy Billy się rozebrała, włożyła szlafrok i zaczynała zmywać makijaż, Vito wszedł do jej garderoby i zamknął za sobą drzwi.

- Kto to był, u diabła? - spytała Billy opadając wyczerpana na taboret przy lustrze.

- To... to długa historia.

W głosie Vito brzmiała nuta całkowitego niedowierzania i zaskoczenia, która uzmysłowiła Billy, że nie ma to nic wspólnego ze spóźnionym gościem.

Billy odwróciła się i spojrzała na niego uważnie.

- To coś złego, tak?

- Nie rób takiej przestraszonej miny, Billy. To nie dotyczy nas, to nie dotyczy ciebie.

- A więc dotyczy ciebie! Vito, co się stało?

- O Jezu! - powiedział padając na krzesło i omijając ją wzrokiem. Wydawało się, że patrzy w ścianę. - Jest tyle rzeczy, o których ci nie mówiłem... to niewybaczalne. Od chwili gdy wzięliśmy ślub, byłem tak zajęty filmem, bez pieprzonej wolnej chwili... obiecywałem sobie, że jak tylko skończy się to całe szaleństwo, wszystko ci opowiem, kiedy będziemy mieli dla siebie chwilkę czasu... Powinienem ci powiedzieć w dniu, w którym się poznaliśmy, ale była to ostatnia rzecz, o jakiej wtedy myślałem. Wtedy wydawało mi się, że to nie ma znaczenia, bo nie wiedziałem, że się pobierzemy... mogłem myśleć jedynie o teraźniejszości, przeszłość była przeszłością, a potem wszystko między nami potoczyło się tak szybko...

- Vito, jeśli nie powiesz, o co chodzi...

- Przyjechała moja córka.

- Nie możesz mieć córki - odparła stanowczo Billy.

- Mogę. I mam. Byłem już żonaty. Nie trwało to nawet roku. Rozwiedliśmy się i od tego czasu mieszkała z matką.

Wstrząs spowodowany tymi słowami sprawił, że głos Billy wcale nie drżał. Tak bardzo starała się nie krzyżeć, że prawie szeptała.

- Dziecko? Nie obchodziłoby mnie, gdybyś miał dziesięć żon, ale dziecko, Vito? Próbujesz mnie przekonać, że w ciągu roku, w którym jesteśmy małżeństwem, nie było ani jednej jedynej minuty, abyś mógł mi o tym powiedzieć, na litość boską? Mój Boże, co z tego, że jesteś rozwiedziony, ale dziecko! Mieliśmy całe godziny dla siebie, mogłeś mi

powiedzieć w czasie któregoś z posiłków, zanim kładliśmy się spać, kiedy wstawaliśmy rano... Nie mów mi, że nie było ani jednej spokojnej chwili!

- Ciągle miałem zamiar ci powiedzieć, tylko po prostu nigdy do tego nie doszło - wymamrotał.

- Vito, przyznaj, że mam trochę inteligencji. Pozwoliłeś, żeby sprawy zaszły za daleko, a potem nie chciałeś zakłócać spokoju. Powinieneś powiedzieć mi przed ślubem, nie zrobiłoby to żadnej różnicy, ale teraz, zaskakujesz mnie tym teraz? Nie jestem w stanie w to uwierzyć. Jak ma na imię? Gigi.

- Dlaczego przyjechała tu dzisiaj? - spytała Billy, walcząc z pragnieniem krzyku. Musiała zachować spokój, ponieważ Vito wyglądał, jakby miał zemdleć. - Z powodu Oscara?

- Jej matka... jej matka umarła... pochowano ją... wczoraj. W Nowym Jorku. Gigi wysłała do mnie telegram. Musi gdzieś być z resztą. Kiedy nie otrzymała ode mnie żadnej wiadomości, wsiadła w samolot i po prostu... przyleciała.

- Gdzie jest teraz?

- W kuchni. Dałem jej szklankę mleka, trochę ciasta i kazałem poczekać, aż porozmawiam z tobą.

- Ile ma lat?

- Szesnaście.

- Szesnaście! - warknęła Billy. - Szesnaście! Mój Boże, Vito, to nie dziecko, to nastolatka. Właściwie kobieta. Czy ty nic nie wiesz o szesnastolatkach? Vito, nalej mi koniaku, dużo koniaku. Albo nie, przynieś mi całą butelkę. - Billy starła krem, który cały czas miała na

twarzy, i pośpieszyła do drzwi.

- Billy...

- Co?

- Czy zanim poznasz Gigi, nie powinniśmy porozmawiać?

- O czym Vito? - spytała Billy, nie wierząc własnym uszom. - Nie byłoby jej tutaj, gdyby miała dokąd pójść, prawda? Nie widziała się z tobą co najmniej od roku, bo bym o tym wiedziała, więc jeśli przeleciała przez cały kraj, nie mając od ciebie żadnej wiadomości, to musisz być jej ostatnią deską ratunku, nie sądzisz?

- O Chryste! Billy, w ogóle mnie nie chcesz wysłuchać. To stara historia, skończyła się piętnaście lat temu, a ty mnie osądzasz, jakby się to dopiero co wydarzyło.

- Jestem realistką - odparła Billy. - Wydarzyło się to dopiero co - dla mnie. - Odwróciła się i szybko zeszła do dużej kuchni. Zanim pchnęła podwójne drzwi, słysząc że Vito jest jeszcze na schodach, zawahała się tylko sekundę.

Na wysokim stołku za wielkim, zrobionym z rzeźnickiego kłoca stołem, siedziała nieruchomo niewielka postać. Przed nią stała pusta szklanka i pusty talerz, a na podłodze mała, poobijana walizka. Kiedy Billy weszła do kuchni, Gigi podniosła wzrok i zsunęła się ze stołka. Stała w milczeniu, bez ruchu. Pierwszą myślą Billy było to, że Vito musi się mylić, dziewczynka nie wygląda na nastolatkę. I nie jest podobna do niego. Rysy jej twarzy wyłaniającej się z masy prostych, brązowych włosów były delikatne, trochę dziwne i w pewien nieokreślony sposób natychmiast przywodziły na myśl elfa. W dzinsach i kilku powyciąganych, dość sfatygowanych swetrach włożonych jeden na drugi wyglądała na

zbląkanego krasnoludka przywianego do tej wspaniałej, jasnej kuchni przez kapryśny podmuch wiatru.

Gigi stała bez ruchu, nic nie mówiąc przez dłuższy czas, wytrzymując badawczy wzrok Billy.

W postawie, jaką przyjęła, stojąc pewnie w kowbojskich butach, wyprostowana na całą wysokość, nie było nic przepraszającego ani zaczepnego, a jednak mimo niewielkiego wzrostu i nieokreślonego wyglądu narzucała otoczeniu swą obecność. Była zmęczona i bardzo smutna, lecz nie żałosna, tylko samotna. Nie szukała wsparcia. Miała w sobie coś niezwykle interesującego. Oczy Gigi napotkały wzrok Billy; Gigi uśmiechnęła się i Billy - częścią serca, o której istnieniu nie miała pojęcia - pokochała dziewczynkę.

* * *

Gdy tylko zostały wypowiedziane konieczne, konwencjonalne słowa powitania i pociechy, Billy postanowiła gorączkowo, że najważniejszą rzeczą jest odłożenie wszystkiego, wszelkich wyjaśnień, planów i jakichkolwiek dyskusji, do jutra. Żadne z nich nie było w stanie jasno myśleć. Vito, który cały czas sączył koniak, milczał i był tak całkowicie zagubiony, że Billy zdziwiła się, że jest to możliwe. Nią samą zawiadnęła mieszana tak wielu sprzecznych uczuć, że czuła się oszołomiona. Tego stanu wcale nie zmniejszyła potężna porcja koniaku, a Gigi, właśnie pijąca ten alkohol po raz pierwszy w życiu, była nieprzytomna ze zmęczenia i rozpacz.

- Wszyscy musimy się porządnie wyspać - oznajmiła Billy wyrzucając ich z kuchni. - Gigi, chcesz się wykapać przed snem czy jesteś zbyt zmęczona?

- Chciałabym się wykapać, jeśli można. - Billy pomyślała, że jej głos brzmi tak młodo. Bez żadnego lokalnego akcentu, wyraźny, czysty i niewinny dźwięk, w którym jednak mimo zmęczenia pobrzmiewała delikatna obietnica śpiewności, muzyczna nutka.

- Vito, weź walizkę - rzekła Billy i obejmując niemal dziecięcą kibić Gigi poprowadziła ją do jednego z wielu pokoi gościnnych, stale utrzymywanych w pełnej gotowości.

- Pokażę Gigi, gdzie wszystko jest. Vito powiedz córce dobranoc i wynoś się - powiedziała Billy do męża, który wpatrywał się tępo we wniesioną przez siebie na górę walizkę. Kiedy Gigi wypakowywała swój niewielki bagaż, Billy napuściła wody do wanny, a gdy dziewczyna znalazła się w łazience, posłała łóżko, uchyliła okna i zaciągnęła zasłony. W końcu usadowiła się w głębokim fotelu i dołała sobie koniaku. Nie potrafiła wymyślić nic, co byłoby pożyteczne, właściwe lub rozsądne, nie mogła też pozwolić na to, żeby Gigi sama położyła się spać.

Billy zamknęła oczy i odpłynęła w sferę marzeń, bo jej umysł odmówił rozwiązania problemów stworzonych przez przyjazd dziewczyny. Pomyślała sobie, że tak naprawdę potrzebuje francuskiej kuracji likwidującej zmęczenie, podczas której pacjent przez trzy tygodnie jest pogrążony w głębokim śnie z wyjątkiem pór posiłków, po czym budzi się i wygląda o dwadzieścia lat młodziej. Tylko że chyba wszystkie takie kliniki zostały zamknięte. Może okazało się, że trzy tygodnie diety barbituranowej nie są korzystne dla zdrowia? A może powinna udać się do jednego z tych przerażających, okrutnych uzdrowisk, gdzie przed śniadaniem składającym się z soku owocowego każą człowiekowi biec dziesięć kilometrów pod górę, a do jedzenia dają pałeczki, żeby każdy

maleńki posiłek z posiekanych warzyw trwał jak najdłużej? W każdym razie potrzebowała czegoś, co pozwoli jej wyrwać się z błędnego koła myśli. Upiła kolejny łyk koniaku.

- Billy?

Na wpół otworzyła oczy i ujrzała maleńką, zagubioną postać owiniętą w biel, wyglądającą dokładnie jak Przyjazny Duch Kacper.

- Śpiewasz - powiedziała Gigi.

- Naprawdę? - Billy była zdumiona. - Pewnie się upiłam.

- „Szukaj srebrzystej podszewki”. Moja... mamusia zawsze śpiewała tę piosenkę.

- Założę się, że śpiewają ją wszystkie kobiety... założę się, że napisali ją dla nich jacyś dwaj faceci.

- Tak, Jerome Kern i jeszcze ktoś.

- Jak to możliwe?

- Jak co możliwe?

- Jak to możliwe, że o tym wiesz?

- Moja mama należała do cyganerii.

- No to czy... to znaczy czy nie powinnaś mieć jakiegoś... kręgu... czy czegoś takiego?

- Chciałabym. Ale to nie taka cyganeria. Była tancerką. Miała trasę ze wznowieniem Annie Get Your Gun... tańczyła z zapaleniem płuc, nikomu nie powiedziała, nie poszła do lekarza... nie zwracała na chorobę uwagi, bo nie mogła sobie pozwolić na utratę roli, więc kiedy już nie mogła niczego ukrywać było za późno na antybiotyki... artyści... ciągle robią takie głupstwa. - Gigi usiłowała mówić spokojnie, ale słowa wypadały z jej ust drżącym potokiem.

- Och, Gigi! - zawołała Billy wyciągając do niej ramiona i sadzając zawiniętą w ręcznik postać sobie na kolanach. - Tak strasznie mi przykro. Nie potrafię nawet ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro. Gdybym tylko wiedziała! Nie miałam pojęcia, bladego pojęcia, słowo daję! Gdybym wiedziała, pomogłabym, wiesz, że pomogłabym.

Gigi wyprostowała się. Głos jej drżał z wysiłku opanowania go. - Mama zawsze mówiła, że jest pewna, że o nas nie wiesz. Była zbyt niezależna... nigdy nie liczyła na tatę, nigdy nie usiłowała się z nim skontaktować. Nie miałyśmy od niego wiadomości - od pewnego czasu. Od dłuższego czasu. Ale zawsze tak było.

- Ile, ile miała lat?

- Trzydzieści pięć.

W moim wieku, pomyślała Billy, dokładnie w moim wieku. Poczowała przeszywające uderzenie czystej wściekłości. Vito przeżywał wzloty i upadki, czasami uważano go wśród producentów za bankruta, ale nic, żaden powód nie usprawiedliwiał zaniedbywania własnego dziecka.

- Gigi, obiecuję ci, że nigdy już tak nie będzie - przyrzekła Billy gładząc włosy dziewczyny. Gigi pozwoliła się głaskać, ale siedziała na kolanach Billy sztywno, wyraźnie starając się nie poddać emocjom. Ponieważ wilgotne włosy Gigi przykrywał ręcznik, Billy zobaczyła wreszcie jej rysy. Miała prosty nosek, prawie zadarty, małe, nieomal spiczaste uszy, jasnobrązowe brwi tworzące mocne, ostre łuki nad przepięknie ukształtowanymi powiekami i duże oczy, które w tym przyćmionym świetle miały nieokreślony kolor. Usta Gigi miała małe, a dolną wargę pełniejszą od górnej, która unosiła się w kącikach ust, tak że nawet w chwilach powagi, jak teraz, twarz Gigi kryła prowokacyjną

obietnicę uśmiechu. Czoło i podbródek miała przyjemnie zaokrąglone, a linię szczęk owalną, co sprawiało wrażenie, że cała jej głowa jest skonstruowana przemyślnie i starannie. Billy pomyślała, że dziewczyna jest ładna, ale albo o tym nie wie, albo ją to nie obchodzi. Bez płątaniny włosów zasłaniających twarz Gigi przypominała obrazki podlotków z lat dwudziestych - błyskotliwych zuchwałych, figlarnych.

- Czy to twoje prawdziwe imię, po prostu Gigi? - spytała Billy, szukając jakiegoś neutralnego tematu rozmowy. Chciała okazać szacunek dziewczynie, która zapewne pragnęła być dorosła.

- Tak wszyscy mnie nazywają. Nigdy nie mówię, jak mam naprawdę na imię.

- Ja naprawdę nazywam się Wilhelmina. Niemożliwe, żeby twoje imię było gorsze - spróbowała dociec prawdy zaintrygowana Billy.

- Tak? No to co powiesz na Graziella Giovanna?

- Graziella Giovanna - powtórzyła powoli Billy. - Ależ to brzmi tak pięknie, tak melodyjnie - jak imię jakiejś włoskiej księżniczki z czasów renesansu.

- Może dla ciebie, ale nie w podstawówce ani w szkole średniej i gdziekolwiek w tym stuleciu. Tak się nazywały babki taty. Mama się uparła, nie wiem dlaczego. Jej własne babki nazywały się Moira i Maud. Moira Maud... „Wróć do mnie, moja duszko, wieczorem o zmierzchu”... brzmi jak irlandzka piosenka miłosna - wolę już mimo wszystko nazywać się Gigi.

- Graziella... Graziella... Zastanawiam się, jak nazwę swoje dziecko? - powiedziała w rozmarzeniu Billy. - Na decyzję mam jeszcze tylko sześć- siedem miesięcy.

Gigi zeskoczyła na podłogę.

- Będziesz miała dziecko! - zawołała.

- O mój Boże, powiedziałam ci! Miałam powiedzieć najpierw Vitowi. Odkryłam to dopiero wczoraj. Ależ Gigi, co się stało, dlaczego płaczesz?

Wstając z fotela Billy zachwiała się, chwyciła Gigi w ramiona i opadła z powrotem na fotel, mocno ją tuląc do siebie. Serdeczny płacz dobrze zrobił Gigi. Upłynęło dużo czasu, zanim wyszłochała się w ramionach Billy. W końcu przestała i pozwoliła osuszyć sobie twarz.

- Nigdy nie płaczę - mruknęła w końcu, gwałtownie pociągając nosem - chyba że z powodu dobrych wiadomości. Nigdy nie lubiłam być jedynaczką.

* * *

Kiedy Billy ułożyła Gigi i wróciła do sypialni, Vito leżał na całej szerokości łóżka, pogrążony w głębokim śnie. Billy patrzyła na niego z rękoma opartymi na biodrach, czując powracający, narastający gniew. Nagle stał się dla niej kimś zupełnie obcym. Oto człowiek, który w ciągu prawie roku trwania ich małżeństwa nie powiedział jej, że ma córkę. To nie jest przeoczenie, które można łatwo wyjaśnić. Nie zna go, naprawdę go nie zna. Przez rok nie widział Gigi ani o niej nie wspomniał. Czyż to nie oznacza, że nie będzie chciał ich dziecka?

Rozpalona kilkoma kieliszkami koniaku Billy wiedziała, że musi stawić czoło Vitowi w tej sekundzie. Muszą to sobie wyjaśnić, nawet gdyby miało to zająć całą noc. Jeśli nie będzie chciał ich dziecka, wspólna przyszłość będzie niemożliwa. Billy nie może czekać aż do rana. Złapać go samego będzie równie trudno, jak w czasie tego nie kończącego się,

doprowadzającego do wściekłości dnia. Nie, będzie nawet gorzej, ponieważ on będzie chciał uniknąć tego problemu. Wyraźnie wyobraziła sobie, jak Vito znika na kolejnych spotkaniach przez cały następny tydzień, miesiąc, pół roku, a potem w okresie przedzdjęciowym, w czasie zdjęć, a potem montażu i udźwiękowania, kiedy nie będzie mógł poświęcić jej swojej cennej uwagi aż do chwili przyjęcia kończącego pracę nad Białym Amerykaninem; ale nawet na ten moment skupienia w odległej przyszłości nie było gwarancji - mówiła sobie Billy uderzając go mocno w rękę, szturchając w ramiona, ciągnąc za uszy, szczypiąc w nos i bijąc w klatkę piersiową z rosnącą gwałtownością, nie zważając ani trochę, czy sprawia mu ból: w końcu miała taką nadzieję. W chwili kiedy zaczynała myśleć, że koniak pozbawił go całkowicie przytomności, Vito otworzył jedno oko, uniósł lekko głowę i spojrzał na Billy spod zmrużonej powieki.

- Vito, będziemy mieli dziecko. Jestem w ciąży! - wrzasnęła z wściekłością Billy.

Oko Vita zamknęło się, głowa mu opadła i zanim znów odpłynął, mruknął ledwo dosłyszalnie: Tak, Lew... jasne, Lew... o siódmej trzydziści...

Jadąc z dużą prędkością na umówione śniadanie, mrugając niecierpliwie na światła drogowe poprzez grzmiącą, szarą mgłę największego kaca w życiu, Vito myślał z wściekłością, że Billy zachowała się tak, jakby był masowym mordercą, człowiekiem napastującym seksualnie dzieci lub powoli i okrutnie zabijającym ulubione pudle. A jeśli rzeczywiście zapomniał powiedzieć Billy o Gigi? Były tysiące rzeczy, o których nie miał czasu jej powiedzieć, o których nigdy jej nie powie. Dobra, było to bezmyślne, głupie, niezmiernie krępujące, ale nie złośliwe czy kłamliwe, nie usiłował nikogo oszukać, był po prostu zbyt zajęty. Ale było to męskie zajęcie, praca najważniejsza na tym świecie. Dlaczego wszystkie pieprzone kobiety, jakie spotykał w życiu, nie mogły zrozumieć, co to znaczy być zajęтым?

Usiłując bezskutecznie osiągnąć obojętny stan umysłu, Vito powiedział sobie, że płaci zbyt wysoką cenę, wcale nie mniej upokarzającą z powodu swej nieuchronności, za małżeństwo z bogatą kobietą. Kiedy zeszłej wiosny poznali się na festiwalu filmowym w Cannes, kiedy tak błyskawicznie się w sobie zakochali, kiedy pozwolił Billy namówić się na poślubienie jej wbrew swoim przekonaniom, gonił po prostu za swoim członkiem, i to wszystko. Musiał przyjrzeć się faktom -jego zdrowy rozsądek i opór zniknęły pokonane wzwozem. Vito zbyt dobrze pamiętał, jak dał się Billy przekonać, że jeśli to on miałby pieniądze, ich małżeństwo byłoby zupełnie normalne. Słusznie! I takie by pozostało. Lecz w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy, od dnia ślubu, kiedy prawie całą ich uwagę pochłoneła produkcja *Zwierciadeł*, w wewnętrznej, niewidzialnej strukturze ich małżeństwa zestaliło się coś potężnego, coś, co świadomie

lub nieświadomie ignorował do tego poranka, kiedy nie dało się już od tego uciec.

Vito dopiero dzisiaj z całą ostrością zdał sobie sprawę z tego, że mieszka we wspaniałym domu, na który nigdy by go nie było stać, chyba żeby był jednym z dawnych gigantów przemysłu filmowego, w domu, który był utrzymywany tygodniowo za ogromne pieniądze, za sumę, której się nawet nie domyślał. Służba, łącznie z drugim kucharzem, którego jedynym obowiązkiem było gotowanie dla reszty personelu mieszkającego we własnym skrzydle, była opłacana przez księgowych Billy, podobnie jak rachunki z restauracji, rachunki za kwiaty, bilety na rozmaite imprezy rozrywkowe, podróże, ubezpieczenie, nawet pralnia. Jego samochód zawsze był zatankowany przez niewidocznego pracownika, który utrzymywał go w nieskazitelnej czystości. Kiedy ostatnim razem zatrzymał się przy drogerii i zapłacił za paczkę żyletek? Nie byli z Billy małżeństwem wystarczająco długo, żeby wspólnie wypełnić formularz podatkowy, ale ponieważ jego dochód za ten rok wynosił tyle, co kot napłakał, a jej szedł w dziesiątki milionów, wspólne podpisanie formularza w biurze jej księgowego byłoby farsą przeprowadzoną na jej życzenie. Vito powiedział sobie ze złością, że całe jego życie jest tak luksusowo zaplanowane tylko dlatego, że ona tak chce. „Chcę” to drugie imię Billy. Kiedy po raz pierwszy poprosiła go, żeby się z nią ożenił, odpowiedział, że to niemożliwe, bo oznaczałoby to dla niego życie w jej stylu, a nie w jego własnym - kiedy o tym zapomniał? Ile czasu zajęło mu przyzwyczajenie się do swego obecnego życia i uznanie go za coś normalnego? Kiedy zaczął przypisywać życzeniom Billy magiczną moc?

Odczuł siłę tej mocy dzisiejszego poranka, odczuł ją w rozmiarach i

swobodzie gniewu Billy, jakby była królową oszukaną przez niewolnika. Dlaczego nie mogła zrozumieć, że jego dawno przebrzmiałe pierwsze małżeństwo z Mimi O'Brian, matką Gigi, nie miało większego znaczenia niż przelotny romans? Oczywiście oprócz dziecka, dziecka, które uparła się urodzić, chociaż Vito go nie chciał. W kilka miesięcy od dnia zawarcia tego pochopnego, godnego pożałowania związku małżeńskiego, kiedy Mimi oznajmiła, że jest w ciąży, Vito powtarzał jej, że żyje zbyt szybko, aby mieć dziecko. Z uporem twierdził, że to niemożliwe, że to nie wchodzi w rachubę, że to wielki błąd, lecz ona była piekielnie upartą Irlandką, wierzyła, że dziecko scementuje ich rozpadające małżeństwo, chociaż ją ostrzegał, że nie da się zaszantażować. Jej postanowienie nazwania córki imionami jego babek, Giovanni i Grazielli, było jeszcze jedną formą szantażu, ale Mimi nie miała żadnych żyjących krewnych, którzy mogliby się temu sprzeciwić, i porwała dziecko do chrztu, zanim Vito się zorientował, o co chodzi. Był to żaloszny i nic nie znaczący gest, ponieważ Vito żadnej ze staruszek nawet nie znał.

Lecz po rozwodzie postąpił z Mimi bardzo dobrze, lepiej niż bardzo dobrze, bez względu na to, co sądzi Billy. Odczekał z rozwodem, aż dziecko miało sześć tygodni, a Mimi z powrotem stanęła na nogi, udawało mu się wpłacać pieniądze na dziecko, a ilekroć był w Nowym Jorku, odwiedzał je, żeby dowiedzieć się, jak im się wiedzie. Robił to bez względu na trudności, ale tak szczerze powiedziawszy wcale nie było to niewygodne. W połowie przypadków Mimi była na tournée, a Gigi mieszkała z jakąś rodziną czasowo bezrobotnych artystów. Wszyscy oni byli przyjaciółmi zajmującymi się nawzajem w razie potrzeby swoimi dziećmi... Stwierdził wtedy, że w takim życiu nie ma nic złego. Gigi rosła

w kibucu tancerzy, w jednej wielkiej rodzinie, w której wszystkie dzieci czuły się zupełnie dobrze.

* * *

Ale, Chryste Panie, kiedy zwał się rano z łóżka, Billy już nie spała i kipiała wściekłością. Pewnie nie spała całą noc, planując, jakby tu go oskarżyć o wszystkie zbrodnie popełnione kiedykolwiek przez różnych ojców. Dobrze, że musiał wcześniej pędzić na spotkanie z Lwem Wassermanem, bo inaczej byłby przygwożdżony wykładem na temat swych wad. Vito pomyślał z goryczą, że po wczorajszej pełni radości Billy zniszczyła każdą cząstkę jego dobrze zasłużonego samozadowolenia. Zdobył najwyższą nagrodę, na którą pracował przez całe życie, właśnie miał zawrzeć upragnioną umowę, jego cała kariera nabrała znaczenia, zrobił wielki krok i przyszłość należała do niego.

Miał wszelkie prawo być w euforii, ale Billy wszystko zepsuła zjadliwymi oskarżeniami o nie popełnione występki. Nie miała o niczym zielonego pojęcia, ale nie pozwoliła sobie na najmniejszą wątpliwość. Gdyby chociaż dała mu czas na wyjaśnienie jakichkolwiek szczegółów - ale nie, w ciągu nocy zmieniła się w sędziego skazującego go na powieszenie. Zawsze wiedział, że Billy może się zmienić w sukę. Jaka kobieta nie ma tej możliwości? Ale niech go diabli porwą, jeśli pozwoli jej twierdzić, że ktoś musi zacząć być odpowiedzialny za Gigi, bo on, Vito, nie ma tyle przyzwoitości, żeby być ojcem, co wściekle wysyczała pod jego adresem, gdy próbował się ogolić. Jasne, niech Gigi trochę sobie tu pomieszka, dopóki nie przyjdzie do siebie po śmierci matki, ale potem zostanie odesłana do Nowego Jorku, gdzie będzie szczęśliwie mieszkać w jednej z tych cygańskich rodzin, wróci do swojej szkoły i wyrośnie na

nowojorskie dziecko, jakim jest. Na litość boską, w jego życiu nie ma miejsca na nastolatki! Ojcostwo zostało mu narzucone, ale to nie oznacza, że musi je lubić, teraz czy kiedykolwiek. Czy Billy uważa, że wolno jej wygłaszać opinie na temat jego córki? Musi się jeszcze dużo nauczyć, pomyślał Vito ponuro, skręcając do automatu parkingowego, a pierwszą rzeczą będzie ograniczenie jej władzy nad nim.

* * *

Kiedy Gigi obudziła się o dziesiątej, na dywanie obok kapci znalazła kartkę papieru.

Gigi, tak się cieszę, że tu jesteś! Będę w domu cały dzień. Jak będziesz gotowa na śniadanie, lunch czy cokolwiek, to wykręć 25 na interkomie obok łóżka, a ja zaraz przyjdę.

Ucałowania - Billy

Gigi usiadła na łóżku i przyjrzała się kartce ze zdumieniem i szacunkiem. Był to prawdziwy, absolutnie prawdziwy kawałek papieru, na którym rozmazywał się atrament zwilżony jej palcem, więc zgodnie z logiką inne przedmioty w pokoju też muszą być prawdziwe. Widziała takie pokoje na starych filmach, ale osoba w łóżku zawsze miała na sobie negliż z atłasu lub szyfonu, była aktorką grającą wielką panią i bawiła się filiżanką herbaty z trójkątną grzanką na tacy, którą lokaj właśnie umieścił z szacunkiem na jej kolanach. Gdyby nie to, że tak bardzo chciało jej się do toalety, zostałyby cały dzień w obszytej koronką i ozdobionej monogramami pościeli w tym prawdziwym, autentycznym łóżku z baldachimem obwieszonym hektarami kwiecistej bawełny, łóżku zbyt ekscytującym, aby w nim po prostu spać, łóżku zasługującym na potraktowanie go jak przeżycie teatralne. Gigi pomyślała, że mogłaby

nawet zadzwonić na lokaja, który z pewnością gdzieś się tu czai, ale wiedziała, że nigdy nie odważy się na coś takiego. Pobieгла do łazienki w podartej bawełnianej bluzce z krótkimi rękawami, w której zwykle spała. Wróciła po kilku minutach z promieniejącą, umytą buzią - niejasno przypominała sobie, że wieczorem się wykąpała, więc nie ma sensu tracić czasu na zbyteczną higienę - i po raz pierwszy w życiu ostrożnie podeszła do interkomu. Tak jak się spodziewała, aparat był biały. Gigi przyrzekła sobie, że nigdy nie połknie zawartości buteleczki z napisem: „Wypij mnie”. Wystarczy już tej Krainy Czarów.

- Och, Gigi, wspaniale, że wstałaś! Dobrze się wyspałaś? - spytała Billy.

- Cudownie, ale nic nie pamiętam. Czy piłam wieczorem koniak, czy to tylko moja wyobraźnia?

- To nie był duży kieliszek... w każdym razie nie bardzo duży, a dostałaś go z przyczyn czysto medycznych - odparła Billy z poczuciem winy w głosie.

- Nie straciłam chyba zupełnie pamięci, ale gdzie jestem? Gdzie jesteś ty? Co mam teraz robić?

- Włóż szlafrok, a ja przyjdę do ciebie za kilka minut.

Gigi spojrzała na swój stary, kraciasty szlafrok i pośpiesznie włożyła dzinsy i sweter, w którym przyjechała. Ubrania nie miały dla niej znaczenia, ale szlafrok wyglądał tak jakby był trochę lepki. A kiedy się mu uważnie przyjrzała, okazało się, że jest po prostu brudny. W Nowym Jorku mieścił się w granicach przyzwoitości, ale złociste poranne słońce wlewające się do sypialni w niebieskie, białe i żółte kwiaty ujawniło plamy, których przedtem nie zauważała. Właściwie wszystko we

wspaniałej, ogromnej sypialni istniało w innym wymiarze rzeczywistości niż ten, który uznała za możliwy, w wymiarze niewyobrażalnego luksusu, który wstrząsająco podziałał na jej zmysły, jakby wędrowała nocą po czarno-białym świecie i obudziła się w krainie Oz w technicolorze. Gigi pomyślała w oszołomieniu, że jest Dorotką w krainie Oz. Usłyszała stukanie do drzwi i do pokoju weszła Billy. Przytuliła ją mocno do siebie.

- Co najbardziej ze wszystkiego na świecie masz ochotę zjeść?- spytała Billy.

- Och, cokolwiek, umieram z głodu - powiedziała Gigi, usiłując rzucić szlafrok w nogi łóżka.

- Mówię serio. Mamy wszystko.

- No to poproszę bagietki, ser topiony i wędzonego łososa.

- Oto prawdziwa mieszkanca Nowego Jorku. Chyba jednak nie mamy wszystkiego. Spróbuj jeszcze raz - roześmiała się Billy. Ellis Ikehorn zawsze twierdził z wojowniczą miną, że wędzony łosoś jest lepszy od kawioru.

- Płatki kukurydziane, jajka sadzone, grzanka z białego chleba? Sok pomarańczowy? - Było to najzwyklejsze śniadanie, jakie Gigi mogła wymyślić na oczekaniu.

- Załatwione. - Billy podniosła słuchawkę telefonu i przekazała zamówienie Josie Spielberg, która już wyzdrowiała i wróciła do pracy. - Chodź, Gigi, zjemy na tarasie.

- Nie jadłaś jeszcze śniadania?

- Będę patrzyła, jak jesz, a Josie zadzwoni do delikatesów „U Arta” w Dolinie i zamówi najlepszego wędzonego łososa na zachód od Manhattanu.

- Nie chcę, żebyś robiła sobie tyle kłopotu, naprawdę - powiedziała Gigi. Była o wiele mniej zmieszana, niż sądziła. Często wyobrażała sobie nową żonę ojca, ale nic nie mogło jej przygotować na zapierające dech w piersiach wzrost, urodę i blask roztaczany przez Billy, na jej królewską pewność siebie i swobodną, lecz absolutną władzę. Billy Ikehorn zupełnie nie mieściła się w doświadczeniach Gigi, a jednak udało się jej sprawić, że dziewczyna czuła się dowartościowana. Ogromne różnice między nimi po prostu zdawały się nie mieć znaczenia.

- To dla mnie przyjemność - powiedziała szczerze Billy. Marzyła, żeby odkarmić Gigi. Jako szesnastolatka nie mogła przecież przestać rosnąć, ale nawet przy swym obecnym, zdecydowanie średnim wzroście wyglądała na zbyt kruchą.

Podczas śniadania Billy delikatnie wypytywała Gigi i zanim dziewczyna skończyła jeść, zdała sobie sprawę, że zaniedbana córka Vita nie ma w Nowym Jorku żadnych krewnych. Gigi nie знаła członków rodziny Vita, a jej matka nie miała rodzeństwa ani żyjących rodziców. Gigi była w drugiej klasie szkoły średniej i chociaż znała wielu chłopców, nie miała żadnych romansów. Właściwie uważała, że nigdy się w nikim nie zakocha oprócz Jamesa Deana z Na wschód od Edenu, który to film widziała piętnaście razy. Dobrze się czuła u każdej z trzech czy czterech rodzin, z którymi mieszkała podczas wyjazdów matki, ale żadna z nich nie była jej ulubioną. Gigi znała mapę nowojorskiego metra jak własną kieszeń i wiedziała zdumiewająco wiele o gotowaniu i kupowaniu jedzenia; zadania te przejęła od matki co najmniej przed pięcioma laty.

- Cyganeria nie odżywia się właściwie - wyjaśniła Gigi, zapalając się do tematu pod wpływem zainteresowania Billy. - Nigdy nie mają czasu,

żeby kupować świeże produkty i przygotować od zera przyzwoity posiłek. Większość żyje colą i papierosami, jak tancerze baletu. Mama martwiła się, że nie dostaję pożywienia odpowiedniego dla rosnącej dziewczynki, więc pomyślałam, że mogę jej w tym pomóc. A potem okazało się, że uwielbiam to robić i jestem w tym dobra. Znam dużo bazarów na peryferiach, potrafię zrobić włoskie, amerykańskie i zupełnie niezłe chińskie jedzenie - nauczyłam się od znajomych i z książek kucharskich. Nie zaczęłam jeszcze gotować francuskich potraw, ale zamierzam. Chodzi o to, że nawet jeśli nie zrobi się kariery, to kucharz zawsze znajdzie dobrą posadę. I jest to cudowne hobby.

- A masz jeszcze jakieś inne? - spytała Billy pod wrażeniem zaradności Gigi.

- Nie, jeśli nie liczyć chodzenia do kina na stare filmy i nucenia fałszywie. Wychowywałam się na starych melodiach, głównie na płytach z oryginalną obsadą, na prawdziwych starociach, takich jak Rodgers, Hart, Lerner i Loewe, na dobrej muzyce. Wiadomości o sztuce to mój ulubiony przedmiot w szkole - uwielbiam rysować.

- Czy kiedykolwiek myślałaś o pracy w przemyśle rozrywkowym, Gigi?

- Nie ma mowy. Mama... umarła od pracy w rozrywce, a i tata nie ma przez nią czasu na życie. Przecież jest ofiarą własnej pracy. To żalosne...

- Chyba można to tak określić - mruknęła Billy. Vito ofiarą! Ależ ten łajdak nawciskał jej kłamstw!

- To taki wspaniały facet - powiedziała Gigi z pełnym rezygnacji, cichym westchnieniem.

- Oczywiście rozumiałam, że musi tutaj pilnować interesu albo że wyjechał na zdjęcia i że poza mną nie ma najmniejszego powodu, żeby przyjeżdżać do Nowego Jorku. Zawsze wiedziałam, że nigdy się z mamą nie zgadzali, od samego początku. Kiedy tylko byłam na tyle duża, że mogłam to zrozumieć, wyjaśniła mi, że tata bardzo mnie kocha, ale że ma strasznie trudne życie. Czasami, kiedy starał się zebrać fundusze na jakiś film, spóźniał się z pieniędzmi na mnie, ale zawsze mimo wszystko je przysyłał. To cudowne, że w końcu mu się tak wszystko udało - zakończyła Gigi. - To chyba pierwszy prawdziwy dom, jaki kiedykolwiek miał.

- Chyba tak - powiedziała Billy zdając sobie sprawę, że matka Gigi stworzyła cudownie fałszywy obraz Vita, aby jego córka nigdy nie podejrzewała, jak małą rolę odgrywa w jego życiu. Najwyraźniej była kobietą, która przedkładała emocjonalny komfort Gigi nad własne rozgoryczenie i rozczarowanie. Billy aż się wzdrygnęła na myśl o życiu matki Gigi - lata gniewu o wiele głębszego niż ten, jaki odczuwała ona sama od chwili, kiedy Vito wypadł rano z domu. Tylko konieczność odwrócenia uwagi Gigi pozwoliła jej odsunąć go trochę od siebie. Czaił się jednak, gotów znów zaatakować i dokończyć dzieła. Dopóki jakoś nie zakończą żalosnej sprzeczki, którą przerwało jego wyjście na umówione śniadanie, nie istnieje możliwość powiedzenia mu o dziecku.

- Nie wiedziałam, że można naprawdę tak mieszkać. - Gigi szybko skończyła śniadanie i rozglądała się wokół siebie. Jej głos pełen był niewinnego, łagodnego zdumienia i tak pozbawiony zazdrości, jakby znalazła się we wspólnej jaskini z jakimś pustelnikiem.

- No cóż... Kalifornia... to jakby inny świat - powiedziała Billy,

patrzając na znajome otoczenie oczami Gigi.

Gigi rozejrzała się po świecie mitycznej świeżości i ze zdumienia wstrzymała oddech. Dom znajdował się w najwyższym punkcie posiadłości i był tak usytuowany, że z miejsca, w którym siedziały, nie było widać żadnych innych budynków. Wszędzie wokół rozciągały się romantyczne widoki, kuszące wzrok rozległą perspektywą, oświetlone rannym słońcem, lśniące licznymi odcieniami zieleni i miękkością barw. Cały widok tchnął europejskim przepychem, europejską dojrzałością kwiecistą. Kiedy Billy kupiła to czarujące, rozległe, stare domostwo stanowiące kombinację białych cegieł, pnączy, kominów i starych fragmentów muru pruskiego, namówiła największego projektanta zieleni swych czasów, niemal legendarnego Russella Page'a, angielskiego gentlemana opisywanego czasem jako „większego od Boga i dwa razy bardziej przerażającego”, aby powtórnie zaprojektował całą jedenastoakrową posiadłość, tworząc ogrody o lirycznej harmonii. Przemieszczono dziesiątki ton ziemi, przywieziono i przeniesiono za pomocą ogromnych dźwigów tysiące drzew; wszędzie pojawiły się tajemnicze lasy, gaje oliwne i świetliste polany, ogrody poprządkano strumieniami i odbijającymi niebo stawami, a gęste kwietniki podkreślały raj zieleni oraz triadę nieba, drzew i wody.

- A tamci ludzie? - zapytała Gigi, pokazując grupę widocznych w oddali ogrodników przecinających długą ścieżkę utworzoną przez dwa rzędy majestatycznych jaworów, która rozdzielała rozległą przestrzeń doskonałego trawnika. - Co na przykład będą robić - dokładnie?

- Dokładnie? - Billy uśmiechnęła się na tę niewinną precyzję. - Chyba zmiotą opadłe liście, będą podlewać, obetną zwiędłe kwiaty na

rabatach, wyrwą wszelkie chwasty, które odważyły się wykiełkować przez noc, usuną przekwitnięte rośliny jednoroczne i posadzą nowe.

- Skąd wiedzą, co posadzić? - pytaniu Gigi towarzyszyło spojrzenie pełne niekłamanej ciekawości. Jej wiedza o roślinach ograniczała się do parków i ulicznych stoisk z kwiatami.

- Wszystko mówi im główny ogrodnik. Co tydzień spotykam się z nim. Idziemy wtedy na przechadzkę, planujemy prace i robimy spis czynności. Zawsze jest coś do zrobienia. Przed laty ta część Kalifornii była pustynią i bez stałej uwagi i wody stałaby się nią na powrót w mgnieniu oka. - Billy wzdrygnęła się na myśl o przyrodzie.

- Czy ci ludzie przychodzą tu co tydzień?

- Właściwie... codziennie. - I są to tylko pracownicy do robót podstawowych, pomyślała Billy. Główny ogrodnik, którego wyszkolił sam Russell Page, i jego asystent mieszkali w domu Billy. Poza tym było dwóch mężczyzn zajmujących się szklarnią z orchideami oraz szklarniami, w których umieszczano między sezonami kwitnące rośliny doniczkowe; był także pracownik, który dbał wyłącznie o trawniki, a zatrudniony czasowo specjalista dawał pilne baczenie na kapryśne róże ogrodowe. Przez pełne trzy dni w tygodniu dwie kobiety nawoziły, podlewały i pielęgnowały setki roślin doniczkowych w samym domu. Nie do pomyslenia było pozostawienie ogrodów nawet na kilka dni bez intensywnej opieki. Lecz trudno to było wyjaśnić Gigi.

- O jej. Jak porządnie. Nigdzie ani jednego zwiędłego liścia, czy o to chodzi? - uśmiech Gigi, która sądziła, że już rozumie, jak to wszystko funkcjonuje, był pełen zdumienia i zachwytu, jak uśmiech dziecka, które po raz pierwszy w życiu widzi ogromny balon z Myszka Miki wypełniony

helem.

- Tak, musimy walczyć o lepsze Holmby Hills - odparła Billy. Josh Hillman, jej prawnik, miał stałą umowę z każdym większym pośrednikiem nieruchomości w mieście gwarantującą, że pierwszy będzie wiedział o możliwości kupna którejś z posiadłości przy tej ulicy. Billy miała zamiar wykupić je jedną po drugiej, wyburzyć domy i ponownie zwabić pana Page'a, by powiększył jej ogrody. Pomijając wyjątkową przyjemność obcowania z jego dziełem, nabytki te jeszcze bardziej powiększyłyby odległość między jej domem i domem Hefnera, położonym trochę dalej przy jej ulicy, Charing Cross Road. Billy właściwie nie słyszała, żeby jego mieszkańcy cokolwiek tam robili, ale nie chciała mieszkać przy tej samej wąskiej, wijącej się ulicy, nie odgrodziwszy się od domu właściciela Playboya najszerszym cordon sanitaire, jaki można było kupić za pieniądze.

W trakcie rozmowy Billy dyskretnie obserwowała Gigi. Odkryła, że jej oczy, które wieczorem wydawały się neutralnie szare, teraz emanują niespodziewaną jasną zielenią, intensywną jak pąk otwierający się wczesną wiosną na nowojorskim drzewie, zanim spadnie na niego choć jedna odrobina sadzy, zielenią, jaka w naturze trwa tylko jeden dzień. Billy zapamiętała tę szczególną zieleń z przedmałżeńskich czasów, kiedy z Jessiką i chłopakami wracała o świcie do domu i nagle zdawała sobie sprawę, że w ciągu nocy przyszła wiosna.

Gigi miała jednak jasne brwi, które nie ściągały uwagi na jej oczy, a wyjątkowo nieciekawa masa matowych, prostych, brązowych włosów spadała jej na oczy. Po pierwsze: fryzjer, pomyślała Billy, zaczynając w myślach przeróbkę wyglądu dziewczyny. Po drugie: jasnobrązowy tusz do

rzęs. To nic, że ma dopiero szesnaście lat, niestosowanie odrobiny tuszu to zbrodnia. Potem ubrania. Wszystko od pantofli w górę. Nieważne, czy Gigi chce całe życie chodzić w dżinsach i wytartych swetrach, ale potrzebne są jej nowe, a przynajmniej nowe, wyglądające na przyzwoicie znoszone. Billy nie wiedziała, skąd ma pewność, że ubrania Gigi są znoszone w niewłaściwy sposób, ponieważ nastolatki stanowiły dla niej tajemnicę, ale w sprawach ubrań nigdy się nie myliła. Była przekonana, że mogłaby się przejść po Pekinie i powiedzieć, które Chinki zrobiły coś tajemniczego, skrytego - i prawdopodobnie zakazanego - ze swoimi kurtkami, aby przydać im dodatkowego blasku.

Ale to wszystko będzie musiało poczekać. Nie chciała się narzucać Gigi, nie chciała, żeby dziewczyna poczuła, że musi coś w swoim wyglądzie poprawić. Billy spróbowała postawić się w sytuacji Gigi. Jest dziewczyną, która właśnie straciła matkę i dzielnie próbuje nie narzucać swego głębokiego bólu obcej osobie; dziewczyną, którą ojciec zostawił na cały dzień, nawet nie mówiąc jej do widzenia; sama z nie znaną kobietą, która, jak Gigi musiała się dowiedzieć z telewizji i prasy, jest nie tylko po prostu bogata, jest nieprawdopodobnie bogata i bardziej znana ze swego bogactwa niż z posiadania „Scruples” czy poślubienia Vita Orsiniego.

A jednak... Nagle Billy uświadomiła sobie, kogo jej Gigi przypomina. Spidera Elliotta, o dziwo! Zawsze traktował ją na równi z innymi, jakby nie miała ani grosza. Rozmawiał z nią z tą samą otwartością co Gigi. Jej pieniądze nigdy nie robiły na nim najmniejszego wrażenia, podobnie jak - czuła to - nie robią także wrażenia na Gigi. Zaciekawiał ją dom i posiadłość, interesowała się szczegółami, ale nie była nimi oszołomiona. Nie próbowała się zachowywać, jakby jej otoczenie nie było

dla niej nowe. Było to co najmniej dziwne.

- Gigi - Billy usłyszała własny głos brzmiący równie kusząco, jak głos węża mówiącego w rajach o jabłkach - czy zawsze miałaś długie włosy?

* * *

Sara, obecnie najlepsza mistrzyni nożyczek w salonie Vidala Sassoon w Beverly Hills, była zachwycona umawiając się z panią Orsini za pół godziny. Billy dobrze wiedziała, że kto inny czekałby tydzień.

- Święty Boże, co my tu mamy? - spytała Sara swym pozbawionym emocji głosem na widok Gigi siadającej w jej fotelu.

- Złotą okazję dla ciebie, dziecino - rzuciła Billy.

Nie zamierzała pozwolić, aby którakolwiek z zuchwałych Angielek sprowadzonych przez Vidala z Londynu zdeprymowała Gigi, co udawało im się robić z połową mieszkańców miasta bez względu na ich płeć. - Chcę, żebyś nadała mojej młodej przyjaciółce wygląd podkreślający jej urodę, a nie ilustrujący którąś z twoich ulubionych teorii albo teorii Vidala, skoro już o tym mówimy. Jedno modne cięcie za dużo - jedno cięcie - i chyba będziemy miały poważny kłopot.

- Rozumiem, pani Orsini - powiedziała Sara unosząc w obu dłoniach ciężką masę nie mających kompletnie żadnego stylu włosów Gigi, żeby przyjrzeć się ich linii na karku. - Dużo ich, nie? Jak jest dużo materiału do zabawy, to można zrobić wszystko.

- Dzisiaj pracujesz dziecino, a nie bawisz się - powiedziała surowo Billy, siadając w fotelu obok.

Sara spojrzała na nią spod oka i zazgrzytała zębami. Ponura policyjna mina Billy przypominała Sarze jej własną matkę, kiedy zaczynała ćwiczyć obcinanie włosów na młodszych siostrach. Gorsza mogłaby być tylko

matka z ładnym chłopczykiem.

Przez następne pół godziny Sara układała włosy Gigi za pomocą szczotki i grzebienia w dziesiątki różnych fryzur. Gigi i Billy patrzyły jak zahipnotyzowane. Nic nie wychodziło.

- Pani Orsini, żeby coś zrobić, będę musiała sporo obciąć - oznajmiła w końcu Sara. - Obciąć i przerzedzić.

- Po centymetrze, Saro. Nie rób mi żadnych niespodzianek.

- Się robi. - Zabrała się do pracy tak ostrożnie jak rzeźbiarz zdejmujący warstwy cennego marmuru. Stopniowo ukazała się szyja Gigi, bardzo biała szyja, która mimo niezwyklej delikatności była akurat na tyle mocna, by utworzyć doskonałą podstawę dla jej głowy. Na podłogę spadało coraz więcej włosów, które pomocnica natychmiast zmiatała. Co pewien czas Sara zwilżała włosy Gigi i suszyła je suszarką, żeby ocenić postępy. Zasadniczo były to włosy leciutko falujące, które bardzo chciały na końcach zawijać się do góry. Sara nie wyobrażała sobie, aby od czasu, kiedy Sassoon otworzył własny zakład i zaczął tworzyć proste, surowe, geometryczne i przylegające do głowy fryzury, dzięki którym zdobył majątek, ktokolwiek mógł wyjść z jego salonu z kręconymi włosami. Z drugiej strony Vidal był o sześć tysięcy mil stąd, a ta straszna, przerażająca Billy Orsini siedzi tuż obok.

- Pani Orsini, jedyną metodą na utrzymanie włosów tej młodej damy z dala od jej oczu jest zrobienie grzywki. Ma ich po prostu za dużo, dlatego spadają na twarz. I trochę się zakręcają z tyłu i z boków.

- Właśnie o tym myślałam - powiedziała Billy, po raz pierwszy się uśmiechając. - Na podlotka. Louise Brooks z podkreconymi włosami.

- Louise Brooks?

- To było dawno temu. Młoda gwiazda filmowa, która zniknęła po kilku filmach. Jej fryzura była słynna na cały świat.

- Coś takiego - mruknęła Sara, pochylając się nad Gigi z ulgą, skoro miała zgodę Billy Orsini. I co tu mówić o maniaczkach kontroli! Jej rywal Dusty Fleming może ją sobie przejąć. Po dziesięciu minutach fryzura była gotowa. Zielone oczy Gigi w oprawie jasnobrązowych rzęs spoglądały na świat spod krótkich, licznych pasemek podkreślających owalną linię jej czoła. Kiedy szybko ruszała głową, jej włosy ruszały się także z czarującą, falującą swobodą, a jej spiczaste uszy to pojawiały się, to znikały. Kiedy trzymała głowę nieruchomo, włosy nadal wyglądały na tryskające życiem aż po koniec każdego, zakręconego ku górze pasemka, a każde z nich było maleńką strzałą sprawiającą wrażenie jaśniejszej, gdy padło na nią światło.

- Jej - wydobyła z siebie Gigi w zachwycie. - Wyglądam... jej! Nie ma na to słów, prawda? Ale lepiej... lepiej niż mogę uwierzyć. Och, dziękuję ci, Saro!

- To moja najlepsza fryzura - powiedziała Sara z dumą. - Czy mogę zrobić ci zdjęcie? Chciałabym je posłać Vidalowi. Szkoda, że nie pomyślałam o zrobieniu zdjęcia przed stryżeniem.

- Zrób, oczywiście - powiedziała Billy, dając jej pięćdziesięciodolarowy napiwek. Gigi wyglądała doskonale. Teraz wyraźnie było widać jej urodę elfa. Nie była ładna w zwykły, normalny, przeciętny sposób, ale patrzyło się na nią z wielkim zainteresowaniem. A może jest po prostu cudownie figlarna? Elfia, figlarna? Figlarna? Elfia? W każdym razie była zdumiewająca i niezaprzeczalnie szykowna, czego Billy po prostu nie mogła z braku wyobraźni przewidzieć. Szykowna w wieku szesnastu lat, szykowna, na Boga, to ostatnia rzecz, jaką można by przy

śniadaniu powiedzieć o Gigi. Szyk to jedna z wielkich, wspaniałych, cudownie nieprzemijających rzeczy, jakich nie da się kupić za żadne pieniądze. Jeśli resztę Gigi owinąć w suknię do ziemi, to ta szyja i głowa mogą chodzić na lunch do każdej z wielkich restauracji świata przez następne siedemdziesiąt lat. Lunch.

- Która godzina? - spytała Billy zdumiona swym nagłym głodem.

- Prawie druga - odparła Sara.

- O Boże, przepraszam, dziecino - powiedziała Billy i dała jej następne pięćdziesiąt dolarów za to, że fryzjerka nie narzekała, choć śmiało mogła to zrobić. - Cześć, Saro. I dzięki. Może przyjdę w następnym tygodniu i pozwolę ci się na mnie wyżyć.

Billy i Gigi wyszły z salonu, zostawiając w nim fryzjerkę ogromnie zadowoloną - i tak nigdy nie jadła lunchu. Postanowiła nigdy nie dać się wciągnąć w czesanie Billy Orsini. Ale tę dziewczynę może czesać zawsze.

* * *

- Czuję się jak ktoś inny, jakby obcy z kosmosu przejął moją głowę - powiedziała Gigi do Billy, kiedy w milczeniu przełknęły po dwie kanapeczki w małym barku ukrytym w dziale z upominkami na trzecim piętrze sklepu Saks Fifth Avenue. - Szkoda, że mama mnie nie widzi.

- Jej głos brzmiał smutkiem.

- Ja też tego żałuję. - Billy pomyślała z żalem, że mogło się to stać tak łatwo, gdyby tylko jej ślepo egoistyczny mąż zaprosił córkę do odwiedzenia go za życia jej matki. Nie może jednak pozwolić, żeby dziewczyna zaczęła spoglądać wstecz; a nuż może zacznie wypytywać o ojca, a Billy wiedziała, że mimo najlepszych chęci pewnie nie będzie potrafiła kłamać na temat Vita tak skutecznie, jak przez cały ten czas

robiła to matka Gigi. Była jeszcze bardzo rozzłoszczona.

- Wiesz, Gigi, właściwie to jesteś kimś innym - powiedziała Billy, podając jej menu deserów - albo zaczynasz kimś takim być. Wyobraź sobie Marylin Monroe jako brunetkę z kokiem i przedziałką pośrodku. A między twoim obecnym i poprzednim wyglądem jest różnica dwa razy większa. Włosy... to... przeznaczenie. - Ostatnie trzy słowa Billy wymówiła z namaszczeniem.

Gigi zachichotała, a wyraz jej twarzy zupełnie się zmienił. - Posłuchaj, ja jeszcze jestem dzieckiem, ale wiem, że wcale tak nie uważasz.

- Masz rację, ale jest to jedna z tych rzeczy, do których nie przychodziłoby się dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi, jakich znam - powiedziała Billy w zadumie. Zdała sobie sprawę, że od chwili, w której Gigi się obudziła, nie zastanawiała się nad bolesną awanturą z Vitem - ich pierwszą awanturą. Nie myślała też bez przerwy o powiedzeniu Vitowi o dziecku. Całą uwagę skupiła na Gigi. Zapomniała nawet ograniczyć liczbę kanapek. Ta dziewczyna jest jak narkotyk. A do tego uczciwa i bystra.

- Posłuchaj, Gigi, posiedzmy tu przez chwilę i zastanówmy się.

- Nad czym?

- Nad twoimi planami na przyszłość. Wiem, że kiedy wczoraj wsiadałaś do samolotu, kierowałaś się ślepym pragnieniem bycia z ojcem, ponieważ jest wszystkim, co ci zostało. Wątpię, czy wybiegałaś myślą dalej. Mam rację?

- Po prostu wiedziałam, że muszę mu o tym powiedzieć. Nie pamiętam nawet, o czym myślałam podczas lotu poza tym, że muszę tu dotrzeć.

- Teraz jednak się tu znalazłaś, a on już wie. Czy myślałaś o następnym kroku?

- Niezupełnie. - Gigi potrząsnęła głową dziwiąc się, że w natłoku nowych wrażeń zapomniała tak łatwo o przyszłości. - Miałam po prostu włączonego automatycznego pilota. Może, jeśli ci to nie przeszkadza, mogłabym zostać tu jeszcze kilka dni. Zaległości szkolne nadrobię w kilka godzin... nie jest to właściwie szkoła dla geniuszy. I chyba chciałabym mieszkać u Himmelów. Ona jest byłą artystką, a on reżyserem. Mają córki prawie w moim wieku i dobrze nam ze sobą. Ojciec będzie pokrywał moje wydatki, dopóki nie skończę osiemnastu lat, ale i tak przedtem skończę szkołę i będę gdzieś pracować jako specjalistka od sosów. Mogę nawet zacząć naukę w szkole letniej, a w następnym roku wziąć trochę więcej zajęć i skończyć szkołę, zanim będę miała siedemnaście i pół roku.

- A gdybyś nie wróciła do Nowego Jorku?

- Słucham?

- Co by było, gdybyś została u nas, mieszkała z nami, chodziła tutaj do szkoły?

Gigi zabrakło słów. Wszystko, co od chwili przyjazdu do Billy widziała i robiła, było częścią marzenia sennego, które nie miało nic wspólnego z życiem, jakie znała. Alicja nie zamieszkała w Krainie Czarów, ona ją tylko odwiedziła. Dorotka wróciła z krainy Oz.

- Gigi, to świetny pomysł! - zawołała Billy. - Masz przecież ojca, nie możesz po prostu wyjechać i mieszkać z obcymi, skoro masz zupełnie dobrego ojca. Jestem pewna, że nie pozwoliłby ci na coś takiego. - Kiedy Billy zobaczyła, że wyraz twarzy Gigi się nie zmienił, użyła swego najbardziej stanowczego tonu. - I będziesz miała brata albo siostrę.

Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że zawsze tego chciałaś. I nawet jeśli Kalifornia nie jest Nowym Jorkiem, to ją pokochasz i możesz nauczyć się kuchni francuskiej od mojego kucharza i...

- Ale... - Gigi zastanawiała się, jak ma powiedzieć Billy, że nie chce być pasożytem. Domyślała się, że Vito zarobi na Zwierciadłach mnóstwo pieniędzy i może kiedyś zabierze ją do siebie, ale teraz najwyraźniej oboje żyli z pieniędzy Billy. Jej matka wiele razy rozmyślała o nowej bogatej żonie taty, ale nie mogła sobie nawet wyobrazić, co rzeczywiście oznaczają cyfry podawane przez gazety i czasopisma. Nikt nie mógł sobie tego wyobrazić.

- Ale co?

- To wszystko... jesteś, no, niewiarygodnie szczodra - ale to tak wiele... pewnie nie zdajesz sobie sprawy, jak... jak wiele... tylko to słowo przychodzi mi na myśl. - Gigi brakło słów, ale wiedziała, że musi powiedzieć, co myśli. - Twoje życie jest takie... twoje ogrody, łóżka, pościel! Nawet sposób, w jaki rozmawiasz z fryzjerkami, to znaczy... ja nie jestem częścią tego wszystkiego, prawda? Jestem dzieciakiem z Nowego Jorku, jestem pszczołą-robotnicą, a to miejsce jest dla mnie obcym krajem.

- Szczodra! - Billy wychwyciła kluczowe słowo, jedyne słowo, które w przemowie Gigi miało znaczenie. Przez dwadzieścia jeden lat była ubogą krewną i poznała wszystkie odcienie zniechęcenia, zobowiązania i bycia wyrzutkiem. - Bzdury! Szczodrość nie ma z tym nic wspólnego. Twoje zamieszkanie u nas jest absolutnie normalną sprawą! I obiecuję ci, że się przyzwyczaisz do tutejszego życia. To po prostu takie superprzedmieście, a wszystkie dzieciaki chodzą do takich samych szkół

jak w Nowym Jorku... - Billy zamilkła, myśląc z niepokojem o osławionych rozpuszczonych uczniach ze szkoły Beverly Hills High. Rozjaśniła się, kiedy zdała sobie sprawę, że nie mieszka w Beverly Hills, więc Gigi i tak nie mogłaby tam chodzić.

- Billy, ten twój pomysł... on jest taki... - Gigi przyszła do głowy inna metoda protestu. - To zupełnie zmieni moje życie. Jak mogę podjąć taką decyzję?

- Twoje życie zmieniło się, kiedy umarła mama - odparła łagodnie Billy. - Teraz twoją rodziną jest ojciec, a ja... słuchaj, ja też mam tu jakieś prawa, jestem twoją złą macochą.

- Jak możesz być tak staromodna? - Gigi nie mogła powstrzymać wybuchu śmiechu.

- Wiem, ale pod względem prawnym to prawda. Nie możesz zaprzeczyć, że żona twojego ojca jest twoją macochą.

- Nie zachowujesz się jak macocha.

- A jak się zachowuję?

- Jak przyjaciółka.

Oczy Billy napęłniły się łzami. Odwróciła głowę, żeby Gigi ich nie zobaczyła. Przez chwilę siedziały w milczeniu. Billy dotknęła ręki Gigi.

- Zostań, Gigi, proszę cię. Zostań dla mnie. Nie chcę, żebyś wyjeżdżała. Chcę mieć przyjaciółkę. Potrzebuję przyjaciółki.

- Ach. - Jej głos był cichy i brzmiał dziwnie.

- Ach? - powtórzyła niepewnie Billy.

- To jest różnica. Zupełna różnica. Nie wiedziałam, czy mnie potrzebujesz, czy czujesz, że powinnaś to zrobić.

- Nie ma tu żadnego „powinnaś”. Nigdy nie robię niczego tylko

dlatego, że powinnam to zrobić.

- Nie żartuj.

- Gigi, przestań się droczyć. Tak czy nie?

Gigi szybko się odwróciła i mocno pocałowała Billy w policzek.

- Tak! Pewnie zwariowałam, ale jakże mogłabym powiedzieć: nie?

* * *

Po spędzeniu pracowitej godziny w dziale dla nastolatek u Saksa Billy pozbyła się starego ubrania Gigi i kazała dostarczyć wszystkie nowe rzeczy do domu. Gigi była teraz ubrana w zblakłe dzinsy, wyglądające tak, jakby od lat jeździła w nich konno i żeglowała z Ralphem Laurenem, Calvinem Kleinem, Glorią Vanderbilt i kochanym, starym panem Levim z firmy Levi Strauss. Jej wypchany kardigan koloru nieokreślonej zieleni, gdzieś pomiędzy szalwią a szmaragdem, został najwyraźniej ręcznie zrobiony przez irlandzką chłopkę dla jej prababki, młodej księżnej. Biała sportowa koszula prawie na pewno została odkryta na pchlim targu przy Portobello Road, a trochę podniszczoną, lekko wystrzępioną czarną aksamitną kamizelkę z jeszcze wiszącymi na jednej nitce kilkoma czarnymi paciorkami zostawił jej ekscentryczny wuj transwestyta. Wszystko z wyjątkiem dzinsów było troszeczkę za duże, a dzinsy o te najważniejsze pół rozmiaru za małe. Gigi sprawiała wrażenie dziewczyny, która nie tylko nie ma zielonego pojęcia, w jaki sposób wybrała swe twarzowe ubrania, ale zupełnie jej to nie obchodzi, nigdy nie obchodziło i nie będzie obchodzić; dziewczyny, która po prostu włożyła na siebie to, co wpadło jej w ręce w stercie ciuchów na podłodze, bo zbyt była zajęta rozmowami przez telefon, żeby cokolwiek starannie poukładać. Billy zdecydowała, że Gigi powinna zatrzymać płócienną torbę na ramię i

brudne tenisówki. Były autentycznie tanie i sprawiały wrażenie jednorazowych, czego nie da się podrobić. Dobre buty i torebka są podstawową sprawą dla kobiety, ale u nastolatki mogłyby być oznaką przesadnej dbałości. Nowe tenisówki wszystko by popsuiły.

- Jesteś pewna? - spytała Gigi. Była podekscytowana, ale ciągle przyglądała się podejrzliwie swemu odbiciu w lustrze.

Gigi szybko się odwróciła i mocno pocałowała Billy w policzek.

- Tak! Pewnie zwariowałam, ale jakże mogłabym powiedzieć: nie?

Po spędzeniu pracowitej godziny w dziale dla nastolatek u Saksa Billy pozbyła się starego ubrania Gigi i kazała dostarczyć wszystkie nowe rzeczy do domu. Gigi była teraz ubrana w zblakłe džinsy, wyglądające tak, jakby od lat jeździła w nich konno i żeglowała z Ralphem Laurenem, Calvinem Kleinem, Gloria Vanderbilt i kochanym, starym panem Levim z firmy Levi Strauss. Jej wypchany kardigan koloru nieokreślonej zieleni, gdzieś pomiędzy szafią a szmaragdem, został najwyraźniej ręcznie zrobiony przez irlandzką chłopkę dla jej prababki, młodej księżnej. Biała sportowa koszula prawie na pewno została odkryta na pchlim targu przy Portobello Road, a trochę podniszczoną, lekko wystrzępioną czarną aksamitną kamizelkę z jeszcze wiszącymi na jednej nitce kilkoma czarnymi paciorkami zostawił jej ekscentryczny wuj transwestyta. Wszystko z wyjątkiem džinsów było troszeczkę za duże, a džinsy o te najważniejsze pół rozmiaru za małe. Gigi sprawiała wrażenie dziewczyny, która nie tylko nie ma zielonego pojęcia, w jaki sposób wybrała swe twarzowe ubrania, ale zupełnie jej to nie obchodzi, nigdy nie obchodziło i nie będzie obchodzić; dziewczyny, która po prostu włożyła na siebie to, co wpadło jej w ręce w stercie ciuchów na podłodze, bo zbyt była zajęta

rozmowami przez telefon, żeby cokolwiek starannie poukładać. Billy zdecydowała, że Gigi powinna zatrzymać płócienną torbę na ramię i brudne tenisówki. Były autentycznie tanie i sprawiały wrażenie jednorazowych, czego nie da się podrobić. Dobre buty i torebka są podstawową sprawą dla kobiety, ale u nastolatki mogłyby być oznaką przesadnej dbałości. Nowe tenisówki wszystko by popsowały.

- Jesteś pewna? - spytała Gigi. Była podekscytowana, ale ciągle przyglądała się podejrzliwie swemu odbiciu w lustrze.

- Absolutnie. - Po pierwszych dziesięciu minutach chodzenia po dziale dla nastolatek Billy wyczuła odpowiedni styl. Doświadczenia zebrane w ciągu całych lat poświęcania pilnej uwagi ubraniom przydały się jej w ocenie zgromadzonego tutaj towaru. Automatycznie odrzucała wszystko, co nie podkreślało urody Gigi albo co przekraczało pewną granicę i zbyt się zbliżało do przebrania. Gigi miała na sobie najbardziej oryginalne z kupionych rzeczy, bo większość ubrań stanowiło standardowe wyposażenie nastolatki, choć Billy nie mogła się oprzeć paru modniejszym drobiazgom.

Billy spojrzała na zegarek. Nie było jeszcze nawet wpół do piątej. Właśnie zadzwoniła do leżącej w szpitalu Dolly, gdzie została poinformowana, że Dolly na razie nie odbiera telefonów, a odwiedziny zaczynają się dopiero wieczorem. Chciała, żeby Gigi jak najszybciej zobaczyła Dolly i jej córeczkę, a kiedy się to nie udało, stwierdziła, że po tych wszystkich emocjach nie może spokojnie wrócić do domu, że musi pokazać Gigi komuś, kto właściwie ją oceni. To wyraźnie wskazywało jedynie na Valentine i Spidera. Co więcej, wczoraj nie mogła ich znaleźć, nie zadzwonili nawet z gratulacjami do Vita i Billy chciała się dowiedzieć,

co też oni kombinują, zanedbując sklep i uchybiając zwykłej grzeczności. Czas na małą wycieczkę do „Scruples”, mimo że rano obiecała sobie, że absolutnie tego nie zrobi, bo będzie to zbyt wiele wrażeń dla Gigi.

W przypiływie animuszu spowodowanego nadmiarem adrenaliny Billy stwierdziła, że to było wcześniej, a teraz jest teraz i Gigi przyswoiła sobie już tyle nowego bez najmniejszych oznak zmęczenia, że odrobina „Scruples” na pewno jej nie zaszkodzi.

- Powinam wpaść do „Scruples” - powiedziała do Gigi. - Chyba nie jesteś zmęczona?

- Zmęczona? Jestem tak podekscytowana, że nie będę mogła spać całą noc, a może nawet cały tydzień. - Gigi wetknęła kciuki do kieszeni dzinsów i zgarbiła się. - - Taa!

Przeszły dwa kwartały do „Scruples” - wysoka, wspaniała kobieta i nieduża, pełna wdzięku, wyróżniająca się z tłumu nastolatka, której miejsce najwyraźniej było na Rodeo Drive, gdzie ściągała na siebie pełne uznania, zaciekawione spojrzenia dziesiątków przechodniów. Po drodze Billy opowiedziała Gigi o Spiderze i wychowanej w Paryżu Valentine, wyjaśniając pokrótce, że od sześciu lat są dobrymi przyjaciółmi, że poznali się w 1972 roku w Nowym Jorku, gdzie Valentine pracowała jako projektantka mody, a Spider był fotografem do chwili, gdy dwa lata temu Billy zatrudniła ich do pomocy w „Scruples”.

- Spider urodził się i wychował w Kalifornii - wyjaśniła. - Ma typowe kalifornijskie włosy w złociste pasemka, jak ratownik wodny, i te nieprzyzwoicie niebieskie oczy, tak niebieskie, że po prostu nie można ich traktować poważnie. Ma wyrafinowany gust, ale pod pewnymi względami ciągle jest dużym, kłótliwym dzieckiem, chociaż jesteśmy mniej więcej w

tym samym wieku. W każdym razie żadna z moich najlepszych klientek nie kupi ani jednej sukienki, jeśli Spider nie wyrazi swojej aprobaty co do ich wyglądu. Valentine jest zupełnie inna - jest zapalczywa, ale poważna i bardzo skryta. Z nie znanych mi powodów prawie się ostatnio do siebie nie odzywają. Domyślam się, że chodzi o jakieś nieporozumienie zawodowe, ale zwykle są wielkimi przyjaciółmi i zachowują się całkowicie profesjonalnie. - Uznała, że nie ma potrzeby mieć Gigi w głowie wzmianką o skrywanej, lecz dobrze znanej reputacji Spidera jako uwodziciela, czarodzieja, który znał sekrety - i dotrzymywał ich - setki kobiet.

Po przybyciu do sklepu Billy przeciągnęła powłóczącą nogami Gigi po pokusach parteru, kierując się prosto do biur kierownictwa.

- Czy wrócili wreszcie z zakupów? - spytała Billy sekretarkę Spidera.

- Tak, pani Orsini, oboje są w swoim biurze.

Billy odwróciła się i zawahała przed wejściem. Tak jak ostrzegła Gigi, Spider i Valentine od kilku tygodni mieli ze sobą na pieńku. Nie chciała, żeby ich ponury nastrój udzielił się dziewczynie, ale z drugiej strony czy ktoś potrafi ją ocenić lepiej niż oni? I czy nie było im potrzebne jakieś rozweselenie? Czyż Gigi nie potrzebowała go o wiele bardziej od nich? A ona sama? To będzie przysługa dla wszystkich. Nie pukając Billy otworzyła drzwi biura, w którym Valentine i Spider dzielili bardzo stare, podwójne biurko z blatem pokrytym skórą. Billy zrobiła dwa długie kroki do środka i stanęła jak wryta. Gigi wpadła na nią.

- O przepraszam - mruknęła odruchowo i odwróciła się, żeby uciec, chwytając Gigi za rękę. Boże, Ojczy Wszechmogący! Valentine siedziała na kolanach Spidera, który całował ją w usta, przytulał mocno, i dłońmi

obejmował jej piersi. Boże, Ojciec Wszechmogący! Widziała to na własne oczy i Gigi też. To takie podatne na wrażenia dziecko. Boże, Ojciec Wszechmogący!

- Billy, wracaj, idiotko - rozkazał Spider, śmiejąc się tak bardzo, że Valentine prawie spadła mu z kolan.

- Jeszcze nie, nie chcę wam przeszkadzać - rzekła Billy w całkowitym pomieszaniu, usiłując nadać głosowi takie brzmienie, jakby nie zdarzyło się nic niezwykłego. - Przyjdę trochę później i wtedy zapukam.

- Włazisz czy mam cię inaczej poprosić? - krzyknął Spider, a Valentine zanosila się od śmiechu.

- Myślałam, że posłicie po zakupy - powiedziała Billy zawracając niechętnie. O Boże, Valentine nadal siedziała zwinięta na kolanach Spidera. Billy nigdy nie widziała na ożywionej twarzy Valentine takiego wyrazu błogiego zachwyty, takich błysków radości w jej syrenich oczach. Czy oni w ogóle nie mają wstydu?

- Co tu się właściwie, u diabła, dzieje? - spytała Billy odzyskując równowagę, ale nie wypuszczając z ręki dłoni Gigi, co dawało jej wsparcie moralne.

- Wczoraj wzięliśmy ślub - oznajmiła Valentine.

- Och, bzdura - rzekła Billy z oburzeniem.

- Wiedziałam - zawołała w zachwycie Valentine. - Wiedziałam, że tak powie! Jesteś mi winien dwadzieścia dolarów, Spider.

- Gratuluję - odezwała się Gigi z odruchową grzecznością, choć nie bardzo orientowała się w sytuacji. - Jestem pewna, że będziecie bardzo szczęśliwi.

- Nawet nie znasz tych ludzi! - powiedziała Billy z jeszcze większym oburzeniem. - Dlaczego to powiedziałaś?

- Wyglądają na małżeństwo.

- Naprawdę?

- Absolutnie.

- Ale nie mogą tak po prostu wziąć ślubu, nie w taki sposób, nic mi nie mówiąc, przecież znają się od dawna, nie kochają się... oni... oni... oni wzięli ślub. - Billy usiadła przytłoczona wiadomością. Nie mogąc dać sobie rady z ważniejszymi pytaniami, zastanawiała się, dlaczego zamiast do Spidera i Valentine mówi do Gigi.

- Pojechaliśmy do Vegas, uciekliśmy, nikomu nic nie mówiliśmy. Dowiadujesz się pierwsza - powiedziała Valentine zeskakując z kolan Spidera, żeby ucałować Billy. - Ty i...?

- Gigi Orsini, córka Vita.

- Jasne, Billy - powiedział Spider pobłaźliwie.

- Graziella Giovanna Orsini, córka Vita i moja pasierbica. Gigi przyjechała na stałe. - Billy wypowiedziała te proste słowa tonem złożonym z wielu odcieni, z niedwuznacznym spojrzeniem, które oboje doskonale znali. Natychmiast pojęli, że nie tylko dziewczyna jest córką Vita, chociaż, to nie do wiary, nigdy przedtem o niej nie słyszeli, ale że nie powinni zadawać żadnych pytań ani przejawiać najmniejszego zaskoczenia z powodu jej nagłego pojawienia się.

- Miło mi cię poznać, Gigi - powiedziała Valentine potrząsając ręką dziewczyny i po krótkim zastanowieniu całując ją w oba policzki. - Witamy w „Scruples”.

Spider wstał szybko i podszedł do Gigi ze swobodą mężczyzny,

który potrafi przejrzeć każdy kobiecy umysł.

- Cześć - powiedział, patrząc na nią ze szczerym zainteresowaniem. Ujął obie jej małe dłonie w swoje ręce i delikatnie je trzymając przyglądał im się z ciepłym zainteresowaniem. - Cieszę się, że tu jesteś. I wiem, że nasz widok cię nie zbulwersował. Coś mi mówi, że jesteś bardziej wyrafinowana niż Billy.

- Daj spokój. - Gigi uśmiechnęła się do niego. - To dlatego, że jestem z Nowego Jorku.

- To wyjaśnia sprawę. - Spider zastanawiał się, co mogłoby wyjaśnić smutek w jej oczach, lekkie drzenie, jakie wyczuwał w jej dłoniach i promieniującą z niej wrażliwość. - Czy Billy pokazała ci miasto?

- Byłam u fryzjera i kupiliśmy dla mnie całą szafę ubrań. Jeśli jest w mieście jeszcze coś do zobaczenia, to na razie nie mam na to siły.

- Nie tak łatwo się do niego przyzwyczaić. Ale ponieważ będziesz tu mieszkać, to masz mnóstwo czasu. I pewnego dnia obudzisz się, zastanawiając, jak mogłaś żyć gdziekolwiek indziej. Spojrzysz na ludzi wysiadających z autobusów turystycznych i robiących sobie zdjęcia na Rodeo Drive i nie będziesz wiedziała dlaczego, skoro to wszystko jest takie zwyczajne.

- To brzmi, jakby się przeszło pranie mózgu - powiedziała Gigi, śmiejąc się z jego gadaniny. Zastanawiała się, w jaki sposób tak wspaniale wyglądający mężczyzna sprawił, że poczuła się bezpieczna i doceniona, kiedy z zasady w towarzystwie wyjątkowo przystojnych mężczyzn robiła się nerwowa. Nie wiedziała, że dokładnie to samo pytanie zadawały sobie setki kobiet. Może to przez zmarszczki śmiechu w kącikach jego oczu, może przez złamany nos albo lekko wyszczerbiony jeden z przednich

zębów, a może po prostu szczery, ale w jakiś sposób magiczny, ton jego głosu sprawił, że poczuła się odprężona bardziej niż w ciągu całego dnia.

- To jest pranie mózgow, tylko że my wolimy to nazywać kalifornijskim stylem życia. Gigi, wyglądasz mi na głodną, a ty Billy też.

- Och Spider - zaproponowała Billy - ty zawsze uważasz, że kobiety wyglądają na głodne. Możesz mi wierzyć, Gigi, albo nie, ale praktycznie pierwszą rzeczą, którą wprowadziłam do „Scruples” za namową Spidera, była kompletna kuchnia, żeby nasi klienci nie musieli wychodzić na lunch i zakłócać rytmu zakupów.

- Nie wypaliło? - spytał Spider.

- Potroilo obroty i zwróciło się w ciągu dwóch miesięcy - przyznała Billy - a ja umieram z głodu. Zjadłyśmy z Gigi żaloszny lunch, a potem wykończyłyśmy się zakupami.

- Słabo mi - powiedziała z nadzieją w głosie Gigi.

Spider zadzwonił do kuchni i zamówił dla wszystkich potężny podwieczorek składający się z herbaty, kanapek i ciastek.

- Spider, zapomniałeś poprosić o szampana - rzekła Billy.

- Chcę wypić wasze zdrowie, nawet jeśli nadal nie rozumiem, jak to się stało i dlaczego niczego się nie domyślałam, co rzeczywiście mnie złości.

- Och Billy, to taka długa historia i to wszystko moja wina - odparła radośnie Valentine. - Byłam taka względem niego podejrzliwa - był zbyt frywolny, to duże, jasnowłose stworzenie, ten typowy amerykański chłopak z plaży, wiecznie otoczony wianuszkami adoratorek, był zbyt pewien siebie, więc stwierdziłam, że zawsze będzie tylko przyjacielem.

- Nie, to była moja wina - zaproponował Spider w chwili, gdy pojawił

się kelner z wyładowanym wózkiem oraz czterema butelkami szampana. - Odstraszyła mnie swoją francuską wyniosłością, więc zadawałem się z niewłaściwymi osobami, bo nic mi z nią nie wychodziło.

- Och bzdury - rzekła Valentine. - Właściwie pierwszą rzeczą, jaką mi powiedziałeś, był to, że jestem humorzystą, niewdzięczną suką. Czy tak mówi człowiek przestraszony?

- Nie, powiedziałaś, że ja sędzę, że taka jesteś. Nie wkładaj mi swoich słów w usta - poprawił ją Spider.

- Wygląda to na pierwszy szkic scenariusza, którego będę wysłuchiwać przez następne pięćdziesiąt lat - zauważyła sucho Billy. - A może to raczej ożywiony artykuł z czasopisma „Cosmo”? „Mężczyźni i kobiety, dziura w porozumieniu”? Czy możemy odłożyć następny odcinek waszego wzajemnego boskiego zaślepienia na później, kiedy wypijemy szampana?

Spider otworzył szampana, podał kieliszek Gigi i spojrzał na nią z pytającym wzrokiem. Zastanawiał się, ile ma lat. Może czternaście?

- Zeszłego wieczora zaczęłam pić koniak - zapewniła go - więc jestem już starą pijaczką.

- Za państwa Elliottów, którzy nareszcie są razem, co, jak się wydaje, nie stało się ani o minutę za wcześnie. Ale nie zwracajmy sobie głowy szczegółami, kocham was oboje i nigdy nie przestanę. Życzę wam długiego życia i wielkiego szczęścia. - Billy uniosła kieliszek i pociągnęła duży łyk, a inni poszli za jej przykładem.

Przez chwilę cała czwórka spokojnie piła szampana, czując, jak ogarnia ich ciepło nie mające nic wspólnego z zawartością alkoholu w butelce Dom Perignon. Spider dolał wszystkim i pomyślał, że Billy nigdy

nie była tak promieniejąco piękna. Może to z powodu Gigi, chociaż pomyślał, że Billy marzyła o pasierbicy, wydawał się naciągany, nawet jeśli się wzięło pod uwagę fakt, że miała ogromne możliwości w zakresie pragnienia rzeczy, których jeszcze nie miała.

Billy poczekała, aż wszyscy zaczną krążyć wokół wózka z podwieczorkiem, i dopiero wtedy zadzwoniła do swojej sekretarki. Nie, pan Orsini nie dzwonił. Były dosłownie dziesiątki innych wiadomości dla niej, kolejne kwiaty i telegramy, ale ani słowa od niego.

- Jeśli zadzwoni, to jestem w sklepie - powiedziała gwałtownie Billy, odłożyła słuchawkę i wypila jeszcze jeden kieliszek szampana, by ugasić płomień odnowionego gniewu. Zwykle, bez względu na nawał zajęć, dzwonili do siebie dwa razy dziennie. A więc pójdzie do ogrodu i będzie jadł robaczki, tak? Przyrzekła sobie, że nie zepsuje jej to zabawy. Gigi zostanie i będzie przez nią kochana; Spider i Val nareszcie się odnaleźli, a co więcej, właśnie przyszedł Lester Weinstock, osobisty agent prasowy jej drogiej Dolly. Wyglądał na tak szczęśliwego, jak na to zasługiwał i ostrożnie trzymał w ramionach zmięty kłęb iskrzącego się materiału.

- Przysłała mnie Dolly - powiedział prawie z wahaniem, zauważywszy panujący wokół świąteczny nastrój, lecz z uśmiechem radosnym i spokojnym jak zawsze. - To suknia, którą uszyła jej Valentine na rozdanie Oscarów. W końcu wyszła i Dolly pomyślała, że może jeśli się ją pošle do pralni...

- Oczywiście, że da się ją uratować - przerwała mu Valentine - jest tu tyle materiału, że obiecuję uszyć z niego Dolly dwie suknie: jedną krótką, a drugą długą.

Billy wypila kolejny kieliszek szampana za talent Valentine,

przypominając sobie, jak Dolly opuszczała uroczystość rozdania Oscarów, bo odeszły jej wody, a pamiętna plama płynu owodniowego na jej cudownej sukni została przekazana przez telewizję na cały świat.

- Kazała mi obiecać, że oddam ci ją do rąk własnych - dodał Lester.

- Zupełnie słusznie, nie można pozwolić, aby taka suknia dostała się w niepowołane ręce. Ale jak się czują dziecko i Dolly, Lester? - Valentine przyrzekła sobie, że nikomu nie powie, że nie oglądali ze Spiderem rozdania Oscarów.

- Obie czują się doskonale. Niewiarygodnie doskonale. Nie wiedziałem, że może istnieć taka absolutna doskonałość.

- Lester jeszcze nigdy tak bardzo nie przypominał wysokiego, trochę zbyt pulchnego, rozczochranego pluszowego misia w okularach. Ale Billy pomyślała, że bardzo się różni od owego młodego, niedoświadczonego agenta prasowego, którego przed sześcioma tygodniami wytwórnia przydzieliła Dolly po ogłoszeniu jej nominacji do Oscara. Skąd ta jego nowa pewność siebie, niezmacona radość ze wszystkiego, z samym sobą włącznie.

- Lester, nalej sobie szampana, usiądź, przywitaj się z Gigi Orsini, córką Vita, i opowiedz mi, co u Dolly poza doskonałością - rozkazała Billy. - Nie mogłam się jakiś czas temu do niej dodzwonić, nie chciano mnie połączyć. Spała, jest wyczerpana? Czy mogę ją wieczorem odwiedzić?

- Nie jest ani trochę zmęczona - odparł Lester. - Musiałem odciąć telefon. Chcą z nią przeprowadzić wywiad setki, dosłownie setki dziennikarzy z całego świata. Naokoło szpitala kręciło się kilkudziesięciu fotografów, ale nie mogli się dostać do środka. Zdobywcy Oscara zwykle

cieszą się dużym zainteresowaniem, ale z Dolly...

- Okoliczności były nadzwyczajne - wtrąciła Billy z uśmiechem, przypominając sobie historię znaną tylko jej i Dolly o ujeżdźdźcu koni na rodeo imieniem Sunrise, za którym Dolly jeździła po pokazach przez rok, póki z nim nie zerwała. Ich pogodzenie się w dniu święta narodowego, czwartego lipca, zaowocowało dzieckiem Dolly.

- Jako jej agent prasowy uważam, że z nikim nie powinna rozmawiać, absolutnie z nikim - oznajmił Lester. - Przecież jest niezamężna.

- Wiesz, że nie potrafisz jej powstrzymać - rzekła Billy.

- Dolly jest taka niewinna...

- Tak, i prawdopodobnie opowiedziałyby im też o Sunrisie - powiedział stanowczo Lester.

- Tylko że ja jej tego zabroniłem.

- Powiedziała ci o Sunrisie? - zapytała zaskoczona Billy.

- Powiedzieliśmy sobie wszystko - odparł Lester, promieniejąc dumą.

Billy uważnie spojrzała mu w oczy ukryte za grubymi szklami okularów krótkowidza. - Lesterze Weinstock, chyba usiłujesz mi coś powiedzieć, więc przestań wreszcie owijać w bawełnę i wyrzuć to z siebie, bo rozmawiamy tu o mojej najlepszej przyjaciółce.

- Kocham Dolly, Dolly kocha mnie i chcemy się jak najszybciej pobrać - oznajmił.

- Dobry Boże! Czy wszyscy powariowali. Znasz ją zaledwie od sześciu tygodni, a ona cały ten czas była w ciąży. Lester, czy to jakaś baśń o ratowaniu bliźnich?

- Jeśli tak, to ona ratuje mnie. Czy nie jesteś szczęśliwa z naszego

powodu?

- Ależ tak... nie posiadam się z radości... Jest to tak cudowne, że brak mi słów - powiedziała Billy, czując, jak zbierają się jej pod powiekami łzy. Co się dzisiaj z nią dzieje? Ona, która prawie nigdy nie płacze, teraz co chwilę tonie we łzach.

- Dolly wybrała imię dla dziecka - powiedział Lester obejmując ją ramieniem. - Wendy Wilhelmina Weinstock. Wilhelmina po tobie, bo jesteś matką chrzestną, a Wendy, bo pasuje do Weinstock. Podoba ci się?

- W.W. Weinstock - powtórzyła powoli Billy. - Brzmi jak dyrektor wytwórni. To bardzo hollywoodzkie, Lester, w duchu wielkiej tradycji. Oczywiście, że mi się podoba. Żenisz się z najlepszą dziewczyną na świecie.

Billy wstała.

- Cisza, ma być cisza w tym pokoju! Wypijemy za zaręczyny Lestera Weinstocka i Dolly Moon oraz za zdrowie ich córeczki, mojej chrześniaczki, Wendy Wilhelminy Weinstock.

W powstałym harmidrze Gigi spróbowała wyliczyć to wszystko, co się składa na kalifornijski styl życia. Macocha, która została jej przyjaciółką, zupełnie nowa fryzura, całkowicie nowe ubrania, perspektywa przeprowadzenia się o trzy tysiące mil od Nowego Jorku i zamieszkania w najpiękniejszym domu na świecie; ucieczka, zaręczyny, noworodek, jakieś cztery kieliszki szampana - a to wszystko tylko od śniadania. Wznosząc toast za Lestera, Dolly i maleństwo o tak imponujących imionach pomyślała, czując lekki zawrót głowy, że bardzo się jej tutaj podoba.

Ci ludzie są nawet bardziej szaleni niż nowojorska cyganeria.

Billy naląa sobie jeszcze jeden kieliszek szampana. Dolly to cud natury. Doskonale pasuj do siebie z Lesterem. A majc przed oczyma na to dowd, pomyla, e Spider i Valentine tez doskonale si dobrali. Najwyraniej nie ma instynktu swatki, bo inaczej dawno wyczulby, co si wici. Gdyby nie Gigi, byaby zupełnie nie w kursie, siedzc sobie w domu z wasn tajemnic, podczas gdy inni pili za lub, zarczyny i urodziny.

Wyobramy sobie mea, który po usyszeniu od wasnej ony, e jest ona w cizy, traci przytomnoc! Vito nie mia na tyle przyzwoitoci, eby zadzwonic przez cay dzien. Gdyby bya chociaz wiadomoc, e dzwoni, wiedziaaby, e chce si pogodzic. Jednym z niezachwianych przekonan Billy, na ktore gotowa bya postawic ostatniego dolara, byo to, e jeli naprawde chce si gdzie zadzwonic, to jeli jest w poblizu telefon, mona to zrobic bez wzgledu na to, jak bardzo jest si zajety, wanym i jak bardzo jest si przygniecionym spoczywajcym na barkach ciearem wiata. Juz dawno Billy przestaa wierzyc ludziom, którzy mowili: „Chciaem do ciebie zadzwonic, ale nie miaem ani jednej wolnej chwili”. Zapytaa jednak sam siebie, kime ona jest, by tak moralizowac, skoro jeszcze nie przeprosia Valentine, ktora dwa dni temu powiedziaa jej, e jest w cizy, kiedy jej suknia uszyta na rozdanie Oscarw nie chciaa si zapic. Wypia jeszcze w zamyszeniu szampana. Spider, Valentine i Lester z oywieniem omawiali plany dotyczce lubu i miodowego miesica, a Gigi usilowaa wszystko to sobie przyswoic.

Gigi bya przyzwyczajona do teatralnych wybrykw ycia tancerzy, ale przy tych ludziach tancerze wypadali blado i pospolicie. Spider Elliott by jak... jak... jakby jej ukochany James Dean wyro na meczyzn,

miał o pół metra wzrostu więcej, poruszał się jak Fred Astaire i stanowił połączenie z młodym Garym Cooperem w jednym ze starych filmów, które tak bardzo lubiła... tak... wtedy powstałby prawie Spider Elliott stwierdziła Gigi w oszołomieniu. Miał w sobie tę wspaniałość, którą łączyła tylko z Krainą Marlboro i wodzami wikingów albo uniwersyteckimi gwiazdami piłki nożnej, lecz nigdy z prawdziwymi ludźmi. A Valentine... była tak francuska, jak tylko Gigi potrafiła sobie wyobrazić: miała płomienście rude włosy, których można jej było zazdrościć całym sercem, niesamowicie zielone, lśniące oczy, wyrazistą twarz... Unosząc się na fali czci dla idoli Gigi pomyślała, że wszystko w niej jest doskonale aż po piegi na nosie.

Kiedy Gigi wodziła wzrokiem od Spidera do Valentine i z powrotem, Billy powiedziała sobie, że trzeba ujawnić pewne sprawy. Pewne sprawy dojrzały do ogłoszenia i jeśli będzie się je ukrywało, stracą atrakcyjność. Niektóre tajemnice istniały po to, żeby się nimi dzielić, wtedy kiedy powstaje krytyczna masa energii, kiedy jest się we właściwym miejscu, we właściwym czasie i z właściwymi ludźmi, a przynajmniej prawie ze wszystkimi z nich. W każdym razie Gigi wie, a Valentine się domyśliła, więc właściwie tak naprawdę nie jest to już tajemnica.

- Chciałabym wznieść jeszcze jeden toast - odezwała się, wstając dość chwiejnie z fotela.

- Za Valentine O'Neill, która dwa dni temu powiedziała mi coś, w co nie uwierzyłam. Valentine, kochana Valentine, jak zwykle miałaś rację.

- Billy! Och Billy, jak cudownie! - Valentine podbiegła i ku zdumieniu Spidera i Lestera uściskała ją. - Wy głuptasy, ona będzie miała dziecko, ucałujcie ją przynajmniej! - Valentine roześmiała się na widok

wyrazu ich twarzy, kiedy zaczęli rozumieć jej słowa.

W chwilę później, kiedy Billy stała skąpana w chwale, otoczona pandemonium okrzyków i gratulacji, w drzwiach pojawił się Vito ze zmarszczonym czołem. Gdy wrócił do domu i zastał w nim tylko służbę, Josie skierowała go do „Scruples”, gdzie, jak się spodziewał, odnalazł Billy, znajdującą się jak zwykle w centrum uwagi.

Rzuciła się na niego mała, dziwnie znajoma postać, wołając:

- Tato, nie będę zawsze jedynaczką, i będę mieszkać z tobą i z Billy!

- Vito, wspaniała nowina! Chcesz chłopca czy dziewczynkę? - chciał wiedzieć Lester. - Mam nadzieję, że to będzie chłopiec, skoro masz już Gigi.

Spider klepnął go w plecy.

- Dobra robota, Vito! Tego samego dnia Gigi przyjeżdża na stałe, i dowiadujemy się, że Billy będzie miała dziecko - szybki z ciebie Bili, stary.

- Vito, ależ to ekscytujące! Tak się cieszę waszym dzieckiem, a Gigi jest taka urocza - pewnie się czujesz, jakby cię kto na sto koni wsadził! Czy Billy powiedziała ci, że ja pierwsza się domyśliłam? - spytała Valentine.

- Vito, lepiej się napij - odezwała się przeciągle Billy.

- Jesteś zupełnie do tyłu z nowinami.

Vito odruchowo wziął podany mu kieliszek szampana, odruchowo przywołał uśmiech na usta i potrząsnął głową w sposób wskazujący, że nie radzi sobie z taką nawałnicą entuzjazmu, że z radości odjęło mu mowę. Usiadł z miną człowieka panującego nad swoim życiem i zadał sobie pytanie, jaką to wiedźmę poślubił, która bez najkrótszej nawet rozmowy,

bez słowa porady czy uprzedzenia, bez wspólnego uzgodnienia, że są gotowi na przyjęcie dziecka, nie mówiąc mu nawet tego w cztery oczy, przeistoczyła się w przyszłą matkę. Co to za sposób przekazywania takiej wiadomości, kiedy wykrzykują mu ją wszyscy oprócz Billy?

A tymczasem ona w ciągu zaledwie kilku godzin użyła chytrych podstępów, by wypalić swe wyraźne piętno na jego córce - przynajmniej przypuszczał, że tą młodą osobką nazywającą go „tata” jest Gigi - samodzielnie zająć się jej życiem i wszystkim ogłosić jej przyszłość.

- Zdrowie - powiedziała Billy tak cicho, że pozostali nie usłyszeli. Spojrzała mu prosto w oczy i uniosła kieliszek.

- Zdrowie? - odparł Vito. - Zdrowie zwycięzcy? Chyba jestem jedyną osobą, która nie wiedziała, że to jest współzawodnictwo.

W tydzień później Maggie MacGregor i Vito siedzieli przy lunchu w sali Polo hotelu Beverly Hills. Maggie dostała swoją łóżę umieszczoną w strategicznym punkcie, na lewo od drzwi, skąd mogła obserwować wszystkich wchodzących i wychodzących. Kiedy jednak nie chciała, żeby jej przeszkadzano pozdrowieniami, siadała plecami do drzwi w pozie mówiącej wszystkim z branży, że przeprowadza wywiad i że wtrącanie się nie jest mile widziane. Kiedy piła z Vitem białe wino i jadła sałatkę Cobba, w jej niepokojąco czujnym umyśle toczył się podwójny proces. Z jednej strony uważnie słuchała Vita ze skupionym, poważnym wyrazem swych okrągłych piwnych oczu. Teraz, kiedy wszystkie umowy o prawa do książki Biały Amerykanin zostały podpisane, a czek z wytwórni Curta Arveya opiewający na sumę pół miliona dolarów zaliczki przeszedł przez bank, Maggie była pierwszą dziennikarką, która dowiadywała się o najwcześniejszych planach produkcyjnych filmu, co słusznie się jej należało. Z drugiej strony jako kobieta, która pragnęła Vita mimo upływu czterech lat od ich romansu, usiłowała dociec, jaki jest rzeczywisty powód jego nastroju. Była zbyt doświadczoną dziennikarką i kobietą obdarzoną zbyt dużą intuicją i przenikliwością, żeby uwierzyć, iż Vito myśli jedynie o swym nowym filmie.

W jego pozornym skupieniu się na jednej rzeczy było oprócz nienaturalnego entuzjazmu coś jeszcze, jakiś zgrzyt czy cień połączony z wymuszonym zdecydowaniem, od którego lekko jeżył się każdy ciekawski włos na głowie Maggie. Otoczony klimatem niezwyciężoności potężny Vito Orsini, którego cztery lata temu poznała w Rzymie, był obecny ciałem, ale niezupełnie duchem. Coś się z nim działo, coś niedobrego, a

podejrzewała, że nie ma to nic wspólnego z filmem i jego produkcją. Energia Vita zwykle na poziomie dwa razy wyższym niż u innych ludzi, była jakby rozproszona. Jego głos brzmiał troszkę mniej dźwięcznie niż zazwyczaj, jakby zapomniał zjeść na śniadanie plutonu. Ciągłe emanowało z niego opanowanie mistrza i wirtuoza, człowieka, dla którego słowa: „Śpiesz się powoli”, nie mają najmniejszego znaczenia, ale była w nim jakaś... jakaś gorycz? Gorycz albo smutek? Czy może rozczarowanie?

Maggie zadała sobie jednak pytanie, jak to możliwe. Otrzymał symbol najwyższego uznania w branży, a ponieważ jego nowy film znajdował się jeszcze w powijakach, nic nie mogło przesłonić jego chwały. Cholera, jeśli Oscar za Najlepszy Film Roku nie przyniósł Vitowi absolutnej radości na co najmniej tydzień, to co mogłoby mu ją dać? A teraz miał robić film na podstawie książki, za którą wytwórnia Arveya zapłaciła rekordową sumę półtora miliona dolarów. Powinien być uskrzydłony. No cóż, Maggie pomyślała sobie, że jest najlepszą reporterką telewizyjną, bo nie waha się zadawać pytań, i odezwała się z właściwą sobie bezpośredniością.

- Vito, co się, do cholery, z tobą dzieje?

- Nic! Jesteś śmieszna, Maggie.

- Czy przez cały ten czas, od kiedy mnie znasz, kiedykolwiek byłam śmieszna?

- Głupia, owszem, nieskończenie głupia. Ale żeby śmieszna... no cóż, zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz.

- Może i tak, ale mnie się to jeszcze nie przytrafiło. Co się dzieje? Nie pytam jako reporterka, tylko jako twoja przyjaciółka.

Vito głęboko wciągnął powietrze, odłożył widelec i na chwilę

zapanowała między nimi cisza.

W końcu odezwał się zmienionym głosem, cierpkim i pobrzmiewającym litością nad samym sobą.

- Maggie, czy mogłabyś mi wyjaśnić, dlaczego dokładnie w tej samej chwili kiedy jedna rzecz w końcu pójdzie dobrze, coś innego się wali?

- To pierwsza zasada wszechświata. Teoria podwójnego Wielkiego Wybuchu. Miałam chyba z dziesięć lat, kiedy do tego doszłam. Nie jesteś trochę za stary na takie odkrycia?

- Najwyraźniej nie.

- A więc chodzi o Billy.

- Wcale tego nie powiedziałem!

- A o co innego? W życiu ma się czas tylko na półtorej sprawy jednocześnie, więc skoro nie jest to nowy film, to musi być to twoje życie rodzinne.

- Chcesz wiedzieć, z czym ona ma problemy? - wybuchnął Vito. - Nie rozumie, że w tej branży nie można odnosić sukcesów i być konkurencyjnym, jeśli się nie jest egoistą, jeśli człowieka w każdej chwili nie napędza pragnienie korzyści, jeśli komuś brak twardości, bezwzględności i stanowczości w usuwaniu przeszkód z drogi. Maggie, ty znasz to miasto, wiesz, że wymaga ono jaj, że właśnie takie cechy trzeba mieć, żeby tu w ogóle coś zacząć. Ale Billy nigdy nie musiała o nic w życiu walczyć. Mój Boże, Maggie, to jedna z najbogatszych kobiet w historii! Oczywiście uważa, że troskliwość, nieskończona delikatność i pokłady ciepłego, emocjonalnego, czułego gówna są standardowym wyposażeniem mężczyzny, a nawet jeśli nie, to powinny być. Zastanawiam się, jak temu jej pierwszemu mężowi udało się nie naruszyć

jej złudzeń, ale oczywiście on miał już ten swój majątek, zanim się poznali, a poza tym miał sześćdziesiąt lat, a ona dwadzieścia jeden i celem jego życia było rozpieszczanie jej. Przede mną Billy nie znała żadnego mężczyzny, który wszystko zawdzięczał wyłącznie sobie i znajdował się pośrodku drogi do kariery.

- Czy ciosa ci kołki na głowie, bo jesteś całkowicie pochłonięty nowym filmem? Daj spokój, Vito, wiem, ile wysiłku kosztował was sukces Zwierciadeł. Czy niczego się wtedy nie nauczyła?

- Chyba się nauczyła - powiedział niepewnie Vito wzruszając ramionami.

- A więc nie chodzi tu o brak uwagi - stwierdziła Maggie rozsądnie. - Seks? Nigdy tego nie pomijam, chociaż z tobą raczej bym to wykluczyła. Właściwie zupełnie bym wykluczyła. Vito jesteś wspaniały. Kłopoty finansowe? Nie ma mowy. Hej Vito, jeśli wyeliminujemy pieniądze, seks i poświęcanie uwagi, to co nam zostaje? Czy ona nie podziwia twojego charakteru?

- Maggie uśmiechnęła się krzywo na swoje ostatnie słowa. Jak wiedziała z doświadczenia, żony producentów wcześniej uczyły się nie analizować charakterów swoich mężów zbyt dokładnie.

- Ona uważa, że nie jestem dobrym ojcem.

- Och Vito, daj spokój! Myślałam, że będziesz ze mną uczciwy.

- Mówię poważnie. Zrobiłem bardzo głupią rzecz. Nie powiedziałem jej, że mam dziecko z pierwszego małżeństwa...

- Mnie też nie powiedziałeś - przerwała mu Maggie z pełnym oburzenia zdziwieniem. - Ani o małżeństwie, ani o dziecku, ale nie jestem twoją żoną. Billy musiała się wściec jak cholera.

- Do diabła, Maggs, to po prostu jakoś nie wypłynęło. Nie ma to z niczym nic wspólnego, to małżeństwo było pomyłką od dnia zawarcia ślubu - jedynym kłopotem było to, że jego efektem było dziecko. Ma teraz szesnaście lat, to dobra dziewczyna, ale wierz mi, że ja tego nie planowałem. Gigi - tak ma na imię - pojawiła się tu niespodziewanie w dzień po tym, jak Billy odkryła, że jest w ciąży. Zgranie w czasie nie mogło już być gorsze.

- Zdecydowanie nie jesteś dobrym ojcem, Vito. - Maggie potrząsnęła głową tak energicznie, że każdy kędziorek podskoczył na jej uroczej głowie. - Muszę się zgodzić z Billy.

- Ale czy jestem przez to zupełnym śmieciem?

- Zupełnym nie. W każdym razie nie na tyle, żeby mi to przeszkadzało. Ale prawdopodobnie spodziewała się po tobie czegoś więcej.

- Ona spodziewa się wszystkiego Maggie, tego wszystkiego, co sobie można wyobrazić, z idealnym tatusiem w przeszłości, teraźniejszości i w przyszłości włącznie. A dla Billy czasownik „spodziewać się” oznacza „chcieć”. Jej zachcianki są jej prawem. Przyznaję, że nie mam przyzwoitego usprawiedliwienia, ale nie jestem potworem. I co się dzieje? Tuż pod powierzchnią wyczuwam w niej potężny nurt podejrzliwości i zwątpienia. Billy jest jak ptak wykluwający się z jajka, gotowy zaatakować każdego, kto się zbliży. Chciałbym móc nie zwracać na to uwagi, to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję, ale daje mi się to we znaki, nawet ty to zauważyłaś.

- Czy Billy jest tak doskonała, że ma prawo spodziewać się po tobie tak wiele? - spytała jedwabistym tonem Maggie.

- Przestań! Wiem, że jej nie lubisz Maggs, nie powinienem puścić farby nawet przy tobie, ale nie ufam nikomu innemu. Oczywiście, że Billy nie jest doskonała, nikt nie jest doskonały. Bóg jeden wie, że ja też nie jestem, ale ona jest moją żoną i musi mnie przyjmować takim, jakim jestem.

- Musi czy nie musi, ale wyraźnie tego nie robi.

- Uważasz, że mam za wielkie wymagania?

- Skąd mam wiedzieć Vito? Nigdy nie miałam męża.

- I niech tak już zostanie, taka sytuacja ma liczne zalety. Szlag by to trafił Maggie, po prostu nie chcę, żeby mi dawano do zrozumienia, że nie mam racji. Nawet jeśli jej rzeczywiście nie mam.

- Och uwielbiam cię Vito! Niewielu mężczyzn mogłoby powiedzieć coś podobnego z takim poczuciem prawości. Ojciec z ciebie żaden, ale przynajmniej jesteś uczciwy. Kiedy Billy będzie rodzic?

- Za sześć czy siedem miesięcy. O ile się na tym znam, dopiero co zaszła w ciążę, ale przy tym całym zamieszaniu można by pomyśleć, że dziecko urodzi się dzisiaj.

- Zanim to się stanie, zmienisz się w dość przyzwoitego ojca, wierz mi, widziałam taką przemianę wiele razy, nawet w tym mieście.

Maggie postanowiła przetrwać wyznanie Vito później, w wolnej chwili. Nigdy przedtem Vito nie powiedział jej aż tyle o sobie. Oprócz zdawkowych uwag nigdy nie opowiadał o swoim małżeństwie. Świeżo uzyskane informacje były zbyt cenne, żeby o nich teraz nawet myśleć. A jej dziennikarskie wyczucie podpowiadało, że trzeba już zmienić temat.

- Powiedz mi coś jeszcze o twojej rozmowie z Johnem Hustonem - poprosiła. - Jak to się stało, że nie zaangażowałeś do reżyserowania

nowego filmu Fifiiego Hilla? Tak wspaniale spisał się przy Zwierciadłach. Przecież on też dostał Oscara.

- Budżet Zwierciadeł wynosił dwa miliony dolarów, a Biały Amerykanin przy odrobinie szczęścia będzie kosztował dwadzieścia. Potrzebny mi reżyser o naprawdę wielkim nazwisku, ktoś, komu się powiodło bez cienia wątpliwości-. Fifi ma do wyboru z tuzin dobrych propozycji, więc nie może narzekać. Gdybym zdobył Hustona byłoby to mistrzowskie posunięcie.

- I co za ból głowy.

- Poradzę sobie z nim.

Nie wiadomo, pomyślała Maggie w przyływie podniecającego oczekiwania, a w żołądku poczuła wzbierającą falę gwałtownej ciekawości i przyjemnej złośliwości. Nie wiadomo, skoro nie potrafisz dać sobie rady z Billy Ikehorn, tą zepsutą, bogatą, trzymetrową pindą, którą musiałeś akurat poślubić, kiedy mogłeś mieć mnie.

* * *

- Sprawdziłam, jak wygląda sprawa ze szkołami pani Orsini - powiedziała Josie Speilberg do Billy, która wróciła z samotnego spaceru po jaworowej ścieżce, co zwykle przywracało jej duszy pewien spokój. - Gigi ma tylko dwie możliwości. Może pójść do Westlake w Bel Air albo do Uni, czyli do Średniej Szkoły Uniwersyteckiej, najbliższej szkoły publicznej. Ja bym polecała Westlake.

- A czy przyjmą ją w środku drugiego semestru?

- Zrobią dla pani wyjątek, ale po rozmowie z Gigi i zaliczeniu przez nią standardowych testów. Westlake jest uważana za najlepszą prywatną szkołę w Los Angeles i chodzą do niej same dziewczyny. Sądzę, że jest

naprawdę odpowiednia.

- A Uni?

- Uczy się tam jakieś trzy tysiące uczniów, z których duży procent ma krajowe stypendia dla uzdolnionych. Dzieci pochodzą w większości z okolic szkoły, głównie z Brentwood, ale jest też spora grupa młodzieży z centrum miasta, którą dowożą autobusami. Oczywiście szkoła jest koedukacyjna.

- Josie pociągnęła znacząco nosem na taką rozszalałą demokrację. Decyzje pani Orsini były dla niej prawem, od czasu kiedy zaczęła dla niej pracować jeszcze wtedy, gdy Ellis Ikehorn powoli umierał w posiadłości położonej wysoko w Bel Air, ale nawet jeśli Josie nie była bezpośrednio zapraszana do wypowiedzania swej opinii, zachowała prawo do sugerowania jej.

- Gigi będzie lepiej w Uni - postanowiła natychmiast Billy. - W Westlake prawdopodobnie czułaby się nieswojo. Jest to mała szkoła ze wspaniałym wyposażeniem, ale pełno w niej bogatych dziewcząt, dzieci miejscowej elity. Czyż nie chodziły tam Shirley Tempie i Candy Bergen?

- Do Westlake chodzą też dziewczęta mające stypendia, tak jak do każdej prywatnej szkoły.

- Uni, Josie, Uni. Gdzie jest przystanek szkolnego autobusu?

- Nie ma żadnego przystanku. Kiedy zadzwoniłam do kuratorium okręgowego w Los Angeles, nawet nie słyszeli o Holmby Hills. Nikt stąd nie chodzi do Uni, absolutnie nikt. W końcu łaskawie zgodzili się sprawdzić na planie i powiedzieli, że Gigi będzie musiała jeździć komunikacją miejską!

- Josie nie posiadała się z oburzenia.

- Trzeba ją będzie wozić samochodem. Wybierz z personelu jakiegoś odpowiedzialnego mężczyznę i powiedz mu, żeby brał któryś z samochodów gospodarczych - powiedziała Billy mając na myśli furgonetki jeżdżące po zakupy do kuchni i ogrodu. - Jak tylko Gigi nauczy się prowadzić, będzie mogła sama jeździć do szkoły. Kiedy przyjdzie na to czas, kupię jej jakiś mały samochód.

- Oczywiście, pani Orsini - Josie zastanawiała się, co miała na myśli jej szefowa mówiąc:

„mały samochód”. Tradycyjnym samochodem dla wszystkich miejscowych chłopców, którzy skończyli szesnaście lat, był pojazd od używanego volkswagena do nowego BMW, ale nie musiało to dotyczyć dziewcząt. Uważała wprawdzie, że to głupio nie mieć osobistego kierowcy mając tak wielką posiadłość, ale ludzie z Los Angeles rzadko zatrudniali kogoś takiego. W Grosse Pointę, gdzie Josie zaczynała pracę jako sekretarka, ludzie cały czas korzystali z usług osobistych kierowców.

- Czy Gigi może zacząć chodzić do szkoły od poniedziałku? - spytała Billy wychodząc z pokoju.

- Oczywiście. Załatwię formalności.

Josie Spielberg zastanawiała się, kogo by tu zrobić w wożenie Gigi do szkoły. To tylko dziesięć minut jazdy, ale i tak ktoś musi być odpowiedzialny za dowożenie jej na czas i odbieranie codziennie po południu. Wyjęła z biurka listę mieszkającego na miejscu personelu i zamyśliła się. Kiedy po śmierci Ellisa Ikehorna Billy wprowadziła się do tego domu, Josie osobiście ich zatrudniła i trzymała żelazną ręką.

William, lokaj, musiał podawać śniadanie i podwieczorek, więc nie wchodził w rachubę. Jean-Luc, kucharz, także musiał być na zawołanie

cały ranek i po południu. Młody Gavin, główny ogrodnik, wstawał bardzo wcześnie i nadzorował bardzo ważny zespół osób podlewających ogród przed wschodem słońca. Nie mogła prosić, aby porzucił to szalenie odpowiedzialne zajęcie. Jego pomocnik Diego był nieodzownym tłumaczem Gavina w rozmowach z hiszpańskojęzycznymi pracownikami. Poza Gavinem i Diego cały personel ogrodniczy mieszkał poza posiadłością i Josie nie chciała się wtrącać w ich rozkład zajęć. Zbyt trudno było znaleźć uważnych, konsekwentnych ludzi, a pani Orsini, zwykle nie mająca nic wspólnego z anielskością, zauważyłaby każdy zwiędnięty płatek. Każda z trzech mieszkających w domu pokojówek albo mieszkające gdzie indziej druga kucharka czy zatrudniona na pełny etat praczo-szwaczka mogłyby zmieścić w rozkładzie swoich zajęć obowiązki kierowcy, ale pani Orsini chciała, żeby to był mężczyzna.

Pozostawał Burgo, pełnoetatowy, mieszkający na miejscu pracownik od wszystkiego. Burgo mył samochody, tankował je i utrzymywał garaż w nieskazitelnej czystości, prawie codziennie coś podmalowywał. Burgo wiedział, jak naprawić drobne usterki instalacji kanalizacyjnej czy elektrycznej, a kiedy przerastało to jego umiejętności, wiedział, gdzie zadzwonić po fachowców. Odznaczał się szczególnym talentem do nakłaniania przepracowanego specjalisty od napraw telefonów do obsługi antycznej instalacji, której od ślubu pani Orsini nie było czasu zmodernizować, oliwił skrzypiące drzwi, wymieniał żarówki i nadzorował ludzi myjących co tydzień okna. W sumie Burgo był mężem opatrnościowym domu i Josie nigdy nie ośmieliła się zadać sobie pytania, jak inni radzą sobie bez cudownego Burga. Jednak od czasu, kiedy przywabiła go z domu wydawcy Playboya dzięki znacznej podwyżce

pensji, Burgo wydawał się zupełnie zadowolony ze swojego pokoju, wyżywienia i towarzystwa współpracowników. A więc Burgo O'Sullivan. No bo po co jest pracownik od wszystkiego?

* * *

- O kurczę Burgo, czy jest coś gorszego niż nowa szkoła? - głos Gigi brzmiał żałośnie, a ona sama zateęskniła nagle za Nowym Jorkiem. Burgo, przyjemny, wesoły mężczyzna w średnim wieku o wyblakłych rudych włosach i dobrodusznym uśmiechu, wzbudzał w niej zaufanie, którego jej owego ranka brakowało.

- To duże miejsce, a w większej grupie jest bezpieczniej - rzekł.

- Chodziłam już do dużej szkoły i każda nowa osoba wyróżniała się, jakby oświetlał ją reflektor, więc nie pocieszaj mnie Burgo.

- Wyglądasz jak wszyscy i jesteś prawdopodobnie tak samo zaawansowana w materiale jak oni.

- Wspaniale, i od tego mam się poczuć lepiej?

- Nie, ale nie gorzej. Wiem, że to trudne, ale pomyśl sobie, że po dzisiejszym dniu nie będziesz już nowa. Zaprzyjaźnij się tylko z jedną osobą i to będzie właściwy początek.

- Burgo O'Sullivan jesteś prawdziwym Irlandczykiem.

- A mogę zapytać, co możesz na ten temat wiedzieć?

- Moja mama nazywała się O'Brian. Wykorzystywała te same, tradycyjne chwytły.

- I co, nie miała racji?

- W większości przypadków. No dobrze, Burgo, mój chłopcze, już mi lepiej. Zadowolony? Nie mogę się doczekać, kiedy zaczniesz się we mnie wgapiać cała klasa, w której wszyscy marzą, żeby zostać moim pierwszym

przyjacielem czy przyjaciółką. Gdybym tylko była o jakieś piętnaście centymetrów wyższa, miała blond włosy i umiała pływać na desce...

- No tak, ale mniejsze dziewczyny łapią więcej chłopaków - powiedział Burgo w zamyśleniu. - Chłopcy w twoim wieku są zwykle za niski dla dziewcząt, ale zawsze można coś wybrać.

- Nie lubię chłopców - powiedziała ze złością Gigi. - Mają pryszcze, śmierdzą i nie wiedzą, jak rozmawiać.

- Polubisz ich. Mogę się o to nawet założyć. Jesteśmy na miejscu - powiedział Burgo zatrzymując się przy krawężniku podjazdu do szkoły. - Tam jest parking dla nauczycieli. Będę tam na ciebie czekał punktualnie o trzeciej trzydzieści. - Wychylił się z furgonetki i pozdrowił stojącego w pobliżu pracownika szkoły.

- Stan, nie wiedziałem, że tak wcześnie zaczynasz pracę. To jest Gigi Orsini, zaczyna tu dzisiaj naukę.

- Witam, młoda damo. Nie wiedziałem, że zostałeś kierowcą, Burgo.

- Nowe obowiązki. Pnę się po stopniach kariery. Przyjdiesz wieczorem na pokera, Stan?

- Czy kiedykolwiek opuściłem jakąś grę?

- Nigdy.

- Poker! - zawołała Gigi. - Uwielbiam pokera! I jestem dobra! Mogę przyjść?

- To tylko dla facetów, Gigi, a poza tym musiałabyś być trochę starsza. - Burgo parsknął śmiechem na widok jej entuzjastycznej miny. Był pewien, że jest w lepszym nastroju niż wtedy, kiedy wyjeżdżali z domu. - No idź już. Powodzenia!

- Miłego dnia panie O'Sullivan. - Gigi zagrała mu na nosie

podnosząc wysoko brwi i zademonstrowała tak fałszywy i szeroki uśmiech, jak umiała. Wyskoczyła z samochodu, wzruszyła ramionami, zaczerpnęła powietrza i odeszła powłócząc nogami, najwyraźniej nie śpiesząc się do nowej klasy.

* * *

W tydzień później Billy wróciła do domu wczesnym wieczorem po wizycie u swego ginekologa, doktora Aarona Wooda. Powiedział, że jej wyczerpanie jest najzupełniej normalne. Pierwszy trymestr ciąży często jest najbardziej męczący, a o ile może stwierdzić, nie skończył się jeszcze trzeci miesiąc. Ostrzegł ją, że skoro nie jest pewna, kiedy zaszła w ciążę, przewidywany termin rozwiązania może się różnić od rzeczywistości nawet o kilka tygodni.

Billy opadła na szeszlony w żółto-brązowym saloniku znajdującym się w części domu, którą dzieliła z Vitem. Niewielki pokój, którego ściany pokrywała wytłaczana, marszczona tkanina, przybrany był tego dnia mnóstwem wiosennych kwiatów: na stołach stały kosze żonkili, narcyzów oraz wonnych żółtych i białych frezji, a po obu stronach kominka, w którym na godzinę przed przyjściem Billy rozpalono ogień, stały w doniczkach białe azalie w pełnym rozkwicie. Zamknęła oczy, zsunęła pantofle na podłogę i usiłowała się odprężyć w ciepłym, pachnącym powietrzu, lecz jej nazbyt zmęczone ciało nie chciało pozbyć się sztywności, a umysł przeciwstawiał się pogrążeniu w marzeniach. Zamiast tego po raz kolejny zaczęła krążyć myślami wokół spraw związanych z Vitem.

Od owego ranka po przyjeździe Gigi starała się nie robić mu już wyrzutów z powodu jego poprzedniego traktowania dziewczyny. Gigi

stała się dla niej zbyt droga, aby wdawać się z Vitem w bezowocne dyskusje na temat tego, co zaniedbał w przeszłości. Częściowo jej milczenie było spowodowane również tym, że - jak uświadomiła sobie niechętnie - wtedy w „Scruples” dała się ponieść emocjom. Nawet cały wypity przez nią szampan, nawet czterdzieści osiem godzin milczącej frustracji, kiedy strzegła swej tajemnicy, nie usprawiedliwiała faktu, że powinna była powiedzieć o dziecku najpierw Vitowi, a dopiero potem innym. Ale jaką to sprawiłoby różnicę?

- pytała się sama siebie po raz setny. Tamtego wieczoru, kiedy wrócili do domu, mówił jej, jaki jest szczęśliwy z powodu jej ciąży, ale jego słowa brzmiały w jej uszach konwencjonalnie. Billy pomyślała z nieszczęśliwą miną, że nie wie, czego się spodziewała. Vito jest taki zmienny, że mógł zatańczyć z radości albo wybuchnąć płaczem, albo... albo... cokolwiek, wszystko było do przyjęcia tylko nie ta jego całkowicie konwencjonalna reakcja. Od tego czasu tak był zajęty, że przychodził do domu tuż przed kolacją, którą jedli we trójkę z Gigi. Prawdę mówiąc kilka razy opuścił kolację na rzecz spotkań z różnymi potencjalnymi scenarzystami, agentami i tym podobnymi ludźmi. Po kolacji Vito wracał do telefonu w swoim domowym biurze, żeby skontaktować się z tymi, których nie udało mu się złapać w ciągu dnia. Wyglądało na to, że jego praca lub to, co nazywał „stadium rozwojowym”, sprowadzała się do zlewających się ze sobą rozmów telefonicznych, przerywanych jedynie spotkaniami, które rodziły następne telefony, mające na celu zorganizowanie kolejnych spotkań. Kiedy ostatni raz mieli dla siebie spokojną godzinę? Rozmyślania Billy przerwał wchodzący do pokoju Vito.

- Nie spodziewałam się ciebie przed ósmą - powiedziała z zaskoczeniem w głosie.

- Agent Redforda musiał złapać samolot - wyjaśnił Vito.

- Napijesz się? - spytał zmierzając w kierunku kredensu.

- Nie, dziękuję. Od alkoholu boli mnie głowa. W każdym razie lekarz zakazał mi pić. Jak film?

- Na razie nieźle. Za wcześnie jeszcze na świętowanie, ale jestem prawie pewien, że mam Nicholsona, a Redford jest prawie załatwiony. Doszliśmy już do negocjowania części zysku, więc zasadniczo jest to tylko kwestia pieniędzy. Chcę im dać, ile trzeba, tylko nie chciałbym, żeby im to przyszło zbyt łatwo. Oczywiście obaj chcą wiedzieć, kto zagra dziewczynę.

- A kto zagra dziewczynę? - spytała Billy żałując, że nic ją to nie obchodzi, żałując, że jest śmiertelnie zmęczona, że trochę ją mdli cały czas, a nie tylko rano, że Vito nie pyta, jak się czuje, żałując, że ona i Vito są tak cholernie nienaturalnie dla siebie grzeczni, żałując, mimo zmęczenia, że nie muszą się ubierać i pędzić na jakieś przyjęcie. Nie musieliby wtedy nadal być grzeczni w czasie kolacji we dwoje, bo Gigi została zaproszona na noc do dziewczyny, którą określała jako najporządniejszą z jej pięciu - czy może piętnastu? - nowych najlepszych przyjaciółek.

- Z jednej strony Dunaway albo Fonda, z drugiej Streep - odpowiedział Vito. - Nie chcę nawet przyjmować telefonów od ich agentów, dopóki nie będą podpisane umowy z aktorami, ale gotów jestem się założyć, że dostanę, kogo tylko zechcę. Pytanie, która z nich jest najlepszą żoną dla Redforda?

- To rzeczywiście problem - zgodziła się Billy, myśląc, że żadna z nich nie jest dobrą żoną dla Redforda. Właściwie żadna z nich się nie nadaje, ale Vito był zainteresowany obsadzeniem tylko największej gwiazdy. Z drugiej strony, jakie to ma znaczenie? Streisand była najgorszą z możliwych żon dla Redforda, ale pod koniec Tacy byliśmy Billy wypłakała wiadra łez.

- Może Streisand? - zaproponowała, usiłując wykazać zainteresowanie.

- Streisand! - Vito z trzaskiem odstawił kieliszek. - Na litość boską Billy, nie czytałaś tej cholernej książki? Redford żeni się z dziewczyną z własnego środowiska, ona jest białą anglosaską protestantką w jeszcze większym stopniu niż on, jeśli to w ogóle możliwe. Streisand!

- To był żart Vito.

- Akurat - odparł oskarżycielsko. - W ogóle nie uważałaś.

- Masz rację. Pewnie myślałam o czymś innym - rzekła zimno.

- A co to ma znaczyć? Tak jak bym nie wiedział.

- Jak gdybyś o czym nie wiedział, Vito?

- Że siedzisz i pielęgnujesz swój żal do mnie - powiedział z nagłą gwałtownością. - Codziennie od chwili pojawienia się Gigi rozbudowujesz, podsycasz i pielęgnujesz ten żal; straszliwy ojciec Vito Orsini, nieodpowiedzialny Vito Orsini, Vito bez serca, Vito, przed którym uratowałaś biedną, żalowaną Gigi i jednym ruchem swej magicznej różdżki zmieniłaś ją w księżniczkę, Vito, który nie jest na tyle ogłupiały, powalony na kolana i oszalały z zachwyty, żeby nie potrafił myśleć o niczym innym jak tylko o tobie i twojej świętej, wstrząsającej światem ciąży, Vito, który bez wątpienia okaże się dla tego dziecka tak samo strasznym ojcem jak dla

Gigi...

A więc to się w nim kotłowało, pomyślała Billy. Powinna się była domyślić. Był pełen poczucia winy i zwracał je teraz przeciwko niej. Podniosła się z półleżącej pozycji, a całe jej zmęczenie zniknęło.

- Widzę, do czego zmierzasz - rzekła Billy opanowanym głosem, który doprowadził go do pasji. - Wcale nie musisz się tak pienić Vito. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak strasznie dziecinnie i śmiesznie to brzmi.

- Nie jesteś w stanie zobaczyć samej siebie. - Vito, ugodzony jej słowami, podniósł głos.

- Myślisz, że jednego dnia możesz bladym świtem wykrzykiwać pod moim adresem oskarżenia, a potem przez następne dwa tygodnie traktować mnie chłodno, spokojnie i wyniośle, jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby sprawa została załatwiona i możemy dalej spokojnie żyć. Otóż mam dla ciebie nowinę. Nie pozwolę na to! Nie będę tego tolerował! Nie zamierzam żyć w ten sposób!

- Ach jaki śliczny napad złości! Może po prostu położysz się na dywanie i trochę pokopiesz nogami? - Billy wstała. Była opanowana i lodowata. - Nie mam zamiaru z tobą rozmawiać, kiedy znajdujesz się w takim stanie.

- Porozmawiamy o tym teraz, więc do cholery siadaj, Billy! - wrzasnął Vito kładąc jej ręce na ramionach i popychając z powrotem na szeszlone. - Teraz posłuchaj. Nie jestem ci winien żadnych wyjaśnień. Jestem dokładnie taki sam jak wtedy, kiedy mnie poznałaś, nic się nie zmieniło i ani myślę przeproszać za cokolwiek z mojej przeszłości. Mogłem ci pewne rzeczy wyjaśnić - nie usprawiedliwiać się, ale wyjaśnić - żebyś zrozumiała, dlaczego nie byłem dla Gigi dobrym ojcem, ale w

ogóle mnie o to nie zapytałaś, nie dałaś mi najmniejszej szansy. Nie, od razu doszłaś do najgorszych wniosków i rzuciłaś się jej na pomoc jak strażak do płonącego budynku, żeby ją zmienić, wszystko jej załatwić, zrobić z niej swoje dziecko...

- Wybacz, że ci przerywam, ale to po prostu nie jest...

- Zamknij się, jeszcze nie skończyłem. A teraz jesteś w ciąży. Nikt mnie nie pytał o zdanie, nie brałem udziału w podejmowaniu tej decyzji. Kiedy zachciało ci się dziecka, to jak zwykle nie zadałaś sobie trudu, żeby dowiedzieć się, co ja o tym sędzę. Cokolwiek chcesz, dostajesz to, taki jest twój styl postępowania. Spróbuję być porządnym ojcem, zechciej przynajmniej w to uwierzyć. Nie podobało mi się, że usłyszałem o tym na szarym końcu, ale nieważne. Co się stało, to się nie odstanie. Nie, nie przerywaj! Chcę, a właściwie domagam się, żebyś zrozumiała, że twoja ciąża nie usuwa w cień wszystkich innych spraw w moim życiu - o nie, tu się grubo mylisz, Billy.

- Vito, chyba nie... - wtrąciła Billy.

- Zamknij się, jeszcze nie skończyłem! - wrzasnął. - Muszę zrobić film. Biały Amerykanin będzie wielkim filmem, największym, jaki zostanie nakręcony w tym roku. To szansa, o którą walczyłem od pierwszego dnia w tej branży. Robię ten film dwadzieścia cztery godziny na dobę, tak jak ty robisz dziecko, i jestem w niego tak samo zaangażowany jak ty w swoją ciążę. Tak to już jest - tak by było z każdym mężczyzną w mojej sytuacji - a ty musisz to zaakceptować i przestać się zachowywać jak pieprzone naczynie świętości. Twoje pieniądze całkowicie cię izolują od świata. Nie żyjesz na tej samej planecie co zwykli śmiertelnicy, może nie zdajesz sobie sprawy albo nawet cię nie

obchodzi, jak to jest dla mnie ważne. Dla ciebie nie ma w tym wszystkim żadnego ryzyka - cokolwiek się stanie, twoje życie nie zmieni się ani na jotę, prawda? Czy sądzisz, na litość boską, że robienie filmów jest dla mnie tylko konikiem? Od osiemnastu lat jest to moje życie, rozumiesz, moje życie! Lepiej wydostań się z tej swojej egoistycznej, wyłożonej sobolami złotej kapsuły i spróbuj być prawdziwą istotą ludzką, bo inaczej będzie to piekielnie ciężki rok.

Billy wstała, wyprostowała się i spojrzała mu w oczy bez śladu emocji na twarzy.

- Chyba właśnie się zaczyna, prawda? - powiedziała spokojnie i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi do sypialni na klucz.

* * *

Billy siedziała w wykuszu okna w swojej garderobie, dokąd się wycofała po tyradzie Vita, tak oszołomiona, że nie ruszyła się przez godzinę. W końcu podniosła słuchawkę telefonu i nakręciła domowy numer Josie Speilberg.

- Josie, muszę jutro niespodziewanie polecieć do Nowego Jorku w sprawach „Scruples”. Czy mogłabyś zrobić mi wielką przysługę i do mojego powrotu spać w jednym z pokoi gościnnych? Pan Orsini ma nieregularny rozkład zajęć, a nie chciałabym po twoim wyjściu zostawiać Gigi samej ze służbą.

- Oczywiście, pani Orsini. Nie ma sprawy. Nie ma powodów martwić się o Gigi. Całkowicie omotała Jean-Luca. Po szkole pracują nad podstawami przyrządzania francuskich sosów. Codziennie godzinami rozmawia przez telefon z koleżankami. Nie wiem, kiedy znajduje czas na odrabianie lekcji, ale je odrabia. Będę dotrzymywać Gigi towarzystwa

przy kolacji i dopilnuję, żeby kładła się spać we właściwym czasie.

- Czy mogłabyś zadzwonić do mojego pilota? Powiedz mu, że będę chciała wystartować przed dziewiątą i przyślij tutaj samochód z kierowcą na ósmą. Będę spakowana i gotowa do drogi. I zamów samochód w Nowym Jorku.

- Czy zarezerwować hotel?

- Nie, chyba że jeszcze raz zadzwonię. Zatrzymam się prawdopodobnie u pani Strauss. Możesz się ze mną skontaktować pod jej numerem telefonu.

- Oczywiście, proszę pani. Życzę przyjemnej podróży.

- Dziękuję Josie. Dobranoc.

Billy przerwała połączenie i nakręciła numer Jessiki Thorpe Strauss na Piątej Alei.

- Jessie, kochana, bardzo przepraszam, że dzwonię tak późno... Och świetnie, bałam się, że może śpisz. Posłuchaj, muszę się z tobą zobaczyć. Czy mogę przyjechać jutro i zostać kilka dni? Wspaniale! Przyjadę tuż przed kolacją. Nie, nie mogę teraz o tym mówić. Do jutra.

Zelektryzowana podjętym działaniem, Billy zaczęła wkładać rzeczy do walizki. Kiedy się spakowała, otworzyła drzwi sypialni. W saloniku nie było nikogo. Wyjęła z kredensu sok pomidorowy, owoce oraz krakersy i wróciła do swego pokoju nie zwracając sobie głowy zamykaniem drzwi na klucz. Zupełnie jej nie obchodziło, gdzie Vito będzie spał. Zakładała, że po tym czarującym przedstawionku nie będzie to żaden z jej domów.

* * *

- Rąbnęłabym go podpórką na książki - zawołała Jessica - a jeżeli przypadkiem bym go zabiła, żaden sąd na świecie by mnie nie skazał. Jak

mogłaś spokojnie wysłuchać tych wszystkich ohydnych bzdur?

- W dalszym ciągu tego nie rozumiem - odparła Billy z tym samym nienaturalnym spokojem, w jakim odbyła cały lot do Nowego Jorku. - Im robił się gorszy, tym bardziej lodowaciałam. Wydawało się, że każde słowo przerywa jakiś łączący nas nerw. Patrzyłam na niego, jak się wścieka, wszystko przekreśla, wymyśla coś, co nie miało miejsca, i wydawało mi się, że między nami znajduje się szklana tafla... jakbyśmy byli w różnych pokojach... jak gdyby on był na scenie, a ja na widowni. To był Vito, a jednak nie Vito. Nie mogłam uwierzyć, że jestem jego żoną. Nadal nie mogę. To takie niesamowite. Nie wiem, jak naprawdę powinnam się czuć. Nigdy dotąd nie mieliśmy takiej awantury. Nadal jestem jak odrętwiała. Potrafiłam tylko z niego drwić, nie umiałam wstać i walczyć. A teraz wydaje mi się, że nie czuję się tak wściekła, jak powinnam. Myślisz, że to z powodu dziecka? Jakiś kokon ochronny czy co?

Billy sączyła herbatę miętową, którą Jessica przygotowała w swoim przytulnym saloniku, nazywanym przez nią „gabinetem”. Był to jedyny pokój w jej dużym mieszkaniu wychodzącym na Central Park, do którego nikt nie miał wstępu. Było to konieczne, zważywszy na ciągłe naprzykrzanie się jej pięciorga dzieci i męża Davida, który teraz był na ważnej uroczystości inwestycyjno-bankowej w Bostonie. Jessica wbiła swe krótkowzroczne oczy w przyjaciółkę. Ostatnie, pełne oszołomienia słowa Billy zaniepokoiły ją bardziej niż te obrzydliwe rzeczy, które mówił Vito.

- Czy pamiętasz - powiedziała ostrożnie - jak zeszłego lata, kiedy Vito był na planie Zwierciadeł, przyjechałam do ciebie w odwiedziny, a ty

powiedziałaś, jak strasznie nie znosisz być doskonałą, niewidoczną, bezużyteczną żoną producenta?

- Nieprędko to zapomnę.

- I jak zapytałam cię, dlaczego się nie rozwiedziesz, a ty odpowiedziałaś, że za nim szalejesz - właściwie dokładnie powiedziałaś: „Nie wyobrażam sobie życia bez tego faceta”.

- A ty wtedy powiedziałaś, że to depresja po miodowym miesiącu i że za kilka miesięcy nie będę o tym nawet pamiętać - rzekła Billy. - Może nie jesteś najważniejszą osobą, do której zawsze powinnam się zwracać i prosić o radę?

- Możliwe, ale czy masz kogoś innego?

Billy uśmiechnęła się zagadkowo do swej malutkiej przyjaciółki. Od 1962 roku otrzymywała rady od Jessiki Thorpe, od Jessiki Thorpe pochodzącej z jednej z najstarszych rodzin na Rhode Island, od Jessiki Thorpe o prerafaelickich włosach, lawendowych oczach, inteligencji, dzięki której skończyła uniwersytet Vassar z wyróżnieniem, i o porywającej delikatności rysów. Kiedy Jessica Thorpe została jej najlepszą przyjaciółką, w ciągu pięciu minut nauczyła ją wszystkiego o mężczyznach i seksie oraz przeprowadziła ją przez wszystkie romanse, które Billy miała przed poznaniem Ellisa Ikehorna.

- Nikogo. Jesteś skazana na mnie - rzekła energicznie Jessica. - Powiedz mi, jak to się stało, że skoro nie pieniałaś się z wściekłości, wskoczyłaś w samolot i przyleciałaś prosto do mnie? Mogłyśmy o tym porozmawiać przez telefon.

- Nie, musiałam się z tobą zobaczyć. Musiałam sprawdzić rzeczywistość. Czy jestem taka, jak on powiedział? Jesteś jedyną dorosłą

osobą, o której wiem, że będzie ze mną szczerą, oprócz... no, może Spidera Elliotta, ale przecież jego nie mogę zapytać. Wiem, że moje pieniądze pozwalają mi nie mieć problemów, z którymi borykają się wszyscy inni, więc... może on ma rację? Czy jestem tak obłudna i samolubna?

- Twoje pieniądze nie sprawiają, że przestajesz być człowiekiem, Billy. Nie zaczynaj tak myśleć. Pieniądze mogą jedynie pozwolić ci nie martwić się o sprawy materialne, o które martwią się wszyscy inni, pieniądze dają ci więcej czasu na martwienie się sprawami zasadniczymi...

- Ach, Jessie...

- Nie, nie mówię tego, żeby poprawić ci humor. Znałam cię, kiedy nie miałaś ani grosza, i najważniejszych cech charakteru nie zmieniłaś, poza tym, że trochę wydorosłałaś. Jasne, masz własny samolot odrzutowy, stu dwudziestu pięciu ogrodników, największą, najbardziej wypchaną szafę i najwymyślniejszy sklep na świecie. Jesteś wymagającą, obsesyjną perfekcjonistką, ale byłaś już taka, kiedy cię poznałam, tylko po prostu nie było cię stać na odpowiednie do tego postępowanie. Nadal jesteś Billy Winthrop, jesteś hojna, lojalna, uczciwa i nigdy w życiu nie byłaś obłudna. Byłaś cudowną żoną dla Ellisa i jak cholera starałaś się być cudowną żoną dla Vita. Oczywiście, że od czasu do czasu jesteś pochłonięta sobą, ale powiedz mi, kto, do diabła, nie jest centrum swego własnego wszechświata? Ja nadal jestem i szczycę się tym. Przy pięciorgu dzieciach tylko mój egoizm trzyma mnie jeszcze przy zdrowych zmysłach. Czy uważasz, że każde z nich nie jest środkiem jego własnego, osobistego wszechświata? - Jessika pełnym oburzenia dmuchnięciem pozbyła się z

oczku wiecznie za długich pasemek grzywki.

- Kiedy zachodzi się w ciążę po raz pierwszy w wieku trzydziestu pięciu lat - ciągnęła - to przejmowanie się swoimi uczuciami jest absolutnie normalne. Nienormalny jest natomiast gniew Vita. To mnie niepokoi najbardziej. Wszystko, co mówił, było spowodowane przez gniew, a ja po prostu nie rozumiem, jakie on ma prawo gniewać się na ciebie. Zastanawiam się... czy to możliwe, żeby się czegoś bał i pokrywał swój strach gniewem?

- Jediną rzeczą w jego życiu jest teraz Biały Amerykanin... Dlaczego miałby się bać?

- Od osiemnastu lat robi tylko niskobudżetowe filmy, tak? Kiedy poznałaś Vita, miał za sobą kilka sukcesów i kilka porażek, ale zasadniczo jego kariera wisiała na włosku. Pamiętasz, jak opowiadałaś mi, że kiedy cię poznał, radośnie przyznał, że jego ostatnie trzy filmy przyniosły straty? Zwierciadła to był szczęśliwy przypadek, śliczny filmik, ale daleko mu było do zdobycia Oscara. Nagle, dosłownie z dnia na dzień, Vito odniósł ogromny sukces. Czy może o to chodzi?

O tę zmianę, o wyzwanie dla niego?

- Żeby strach zmienił się poprzez gniew w podłość... względem mnie? W paskudną, zasraną podłość? Czy spowodował to sukces? I czy w ogóle jest to logiczny ciąg?

- Nie wiem. Ja wcale nie znam Vita, Billy. Mój David na pewno by tak nie zareagował - po prostu zadaję pytania, bawię się w detektywa.

- Nie - Billy ze zdecydowaniem potrząsnęła głową. - Vito zawsze był taki nieustraszony, Jessie. To pierwsza cecha, którą u niego zauważyłam - nieustraszoność. To człowiek, który nigdy nie martwi się jakimiś „jeżeli”,

on po prostu prze dalej, tworzy wydarzenia. W taki właśnie sposób pracuje nad Białym, całą naprzód, bez żadnych pytań, z poczuciem, że wreszcie nadszedł jego czas. Nie, to nie strach, chciałabym, żeby to było takie proste. Wtedy mogłabym zacząć go rozumieć.

- Możemy się nigdy nie dowiedzieć, co się z nim dzieje, ponieważ człowiek nie jest zwierzęciem, które porozumiewa się ze swym partnerem - powiedziała Jessica, unikając w ten sposób wyraźnego komentarza. Była zbyt wściekła na Vita, żeby dalej zastanawiać się nad jego postępowaniem nie mówiąc czegoś, czego Billy nigdy by jej nie wybaczyła. - Opowiedz mi o Gigi.

- Widzę, że oplakuje matkę, chociaż jest tak zajęta, że ktoś inny mógłby tego nie zauważyć - powiedziała powoli Billy. - Dużo czasu upłynie, zanim pogodzi się z tą stratą... może człowiek nigdy nie godzi się z czymś takim. Nie znałam swojej matki, ale mam szacunek dla takiej kobiety, jaką musiała być matka Gigi... Wychowała ją na samodzielną, bezpośrednią osobę, która interesuje się całym światem, czuje się swobodnie ze wszystkimi ludźmi. Od razu zgrała się ze swoją klasą. Jest już bardzo lubiana i dzięki Bogu jeszcze nie interesuje się chłopcami. Dopiero wtedy zacznę się martwić.

- Tylko nie przychodź do mnie po rady w sprawach dorastającej młodzieży - rzekła Jessica.

- Każde z moich dzieci reprezentuje oddzielny zestaw problemów. Powinny poznać Gigi, to mogłoby je czegoś nauczyć.

- Chwileczkę, Jessie! Czy David junior nie byłby akurat w odpowiednim wieku dla Gigi, nie teraz, ale kiedy zacznie się interesować chłopcami? Mogliby się pobrać, mieć mnóstwo dzieci, a my zostałybyśmy

razem babciami!

- Jeśli tylko zdejmie mi Davida juniora z karku, uważaj sprawę za załatwioną - roześmiała się Jessica, uradowana, że choć przez chwilę udało jej się odciągnąć przyjaciółkę od myśli o Vicie. Poszła zrobić jeszcze herbaty, rozmyślając o tym, jak zmartwiła się, kiedy Billy postanowiła wyjść za kogoś, kogo знаła dopiero od tygodnia. I co tu mówić o szukaniu guza!

Zeszłego lata, kiedy Billy była taka nieszczęśliwa, czując się na planie Zwierciadeł jak wyrzutek, Jessica prawiała jej morały o konieczności kompromisów w małżeństwie, cytując nawet Edmunda Burke. Teraz jednak Jessica pomyślała ze złością, że nie potrafiłaby doradzić Billy, by poszła na kompromis z mężczyzną, który, według słów samej Gigi, w ciągu całego jej dzieciństwa nie spędził z nią prawie ani chwili. Jeśli guzik go obchodzi jego pierwsze dziecko, to dlaczego miałby się zmienić w dobrego ojca dla dziecka Billy? Co za podły brutal, żeby ją skrzywdzić, kiedy znajduje się w tak szczególnym okresie życia. Jak to możliwe, że Billy nie jest na niego tak wściekła jak ona, Jessica? A może podświadomie powstrzymuje się przed wybuchem, do którego ma cholerne prawo, ponieważ zaszła w ciążę z tym sukinsynem i nie śmie przyznać przed samą sobą, jak kiepskie ma w związku z tym perspektywy?

Wyłączając elektryczny czajnik z gotującą się wodą Jessica doszła do wniosku, że gdyby rzeczywiście miała powiedzieć, co myśli, musiałaby powiedzieć, że Vito stał się zdrajcą właśnie z powodu swego sukcesu, a nie ze strachu przed nim. Musiałaby powiedzieć, że zachowywał się przyzwoicie tak długo, jak znajdował się na dole, ale skoro teraz jest u szczytu, może wreszcie wyrazić swą niechęć do bogactwa Billy. Nieliczni

mężczyźni, jeśli w ogóle tacy byli, dobrze znosili małżeństwo z kobietą o wiele bogatszą od siebie, a co tu mówić o kobiecie tak bogatej jak Billy. Ale nie miała zamiaru tego powiedzieć, bo istniał cień szansy, że nie ma racji i wszystko wróci do normy. Może ten Oscar nie jest przekleństwem?

- Mięta czy rumianek, Billy?

- Wybieram niebezpieczeństwo. Poproszę tym razem o rozpuszczalną kawę, kochanie. Oczywiście bezkofeinową.

* * *

Stosunek Josie Speilberg do sekretarki Vita Sandy Stringfellow był pełen ostrożności. Sandy pracowała dla Vita od siedmiu lat, prawie tyle, ile Josie pracowała u Billy, i obie traktowały się ceremonialnie, jak ambasadorowie sąsiadujących ze sobą państw, które współlistnieją w pokoju, lecz mają się na baczności przed jakąkolwiek demonstracją siły czy naruszeniem granic. Były zbyt lojalne względem swych pracodawców, żeby dzielić się ze sobą plotkami, dzięki którym mafia hollywoodzkich sekretarek jest tak silna, jednak regularnie informowały się nawzajem o miejscu pobytu Vita i Billy. Sekretarki hollywoodzkie muszą dwadzieścia cztery godziny na dobę wiedzieć, gdzie kogo znaleźć, więc rano po otrzymaniu wiadomości od Billy o jej przylocie do Nowego Jorku Josie zadzwoniła do Sandy, aby jej powiedzieć, że Billy zostanie tam jeszcze przez kilka dni.

- Kupuje stroje ciążowe? - spytała Sandy.

- Przypuszczam, że pani Orsini zamówi sobie ich uszycie w „Scruples” - odparła Josie.

- A dlaczego nie? - odezwała się Sandy opryskliwie.

- Sama bym tak zrobiła, gdybym była w takim wieku, że mogłabym

zajść w ciążę.

- Nie mogę się doczekać, kiedy będę już miała bezpiecznie za sobą menopauzę jak ty, Josie.

To taki kłopot stale się obawiać ciąży, nawet kiedy się stosuje pigułki.

- Pociesz się, że to już niedługo. Jakiś rok czy dwa, najwyżej trzy.

- Policzę się kiedyś z tobą za to. Cześć, Josie. Informuj mnie na bieżąco.

* * *

Po trzech dniach Josie znów zadzwoniła do Sandy, żeby jej powiedzieć, że Billy wraca wieczorem.

- Pani Orsini zamierza wylecieć z Nowego Jorku po kolacji, więc nawet przy trzygodzinnej różnicy czasu będzie późno. Powiedziała mi, żebym po kolacji z Gigi poszła do domu. Chyba nie chce, żeby pan Orsini na nią czekał, w każdym razie nic nie mówiła.

- I tak on idzie na kolację z Maggie MacGregor.

- Dobrze. Cześć Sandy - powiedziała Josie myśląc, że to interesujące wiedzieć, gdzie dla odmiany je kolację pan Orsini. Od czasu wyjazdu Billy wychodził co wieczór, chociaż Jean-Luc, nie mając żadnych instrukcji, przygotowywał kolacje, jakby pan Orsini miał jeść w domu. Co ranka, zanim Josie Spielberg schodziła na śniadanie, Vito był już w drodze do swego biura. Raz zadzwonił, żeby przywitać się z Gigi, nigdy natomiast nie widziała, żeby wracał wieczorem. W tym czasie Gigi kończyła odrabiać lekcje w swoim pokoju. Pokojówka z piętra zameldowała Josie, że pan Orsini wyniósł się z głównej sypialni do jednego z pokoi gościnnych, ale było ich tyle, że Josie ani razu go nie widziała.

Josie pomyślała, że pani Orsini pewnie ma kłopoty ze snem, chociaż jej o tym nie wspominała. Rodzice Josie poza krótkim miesiącem miodowym nigdy nie mieli wspólnego pokoju, bo ojciec głośno chrapał. Wiedziała też, że sypialnie królowej Anglii i księcia Filipa znajdują się nawet na różnych piętrach Pałacu Buckingham. Nawet jak na parę królewską, było to trochę dziwne, ale oddzielne sypialnie stanowiły luksus, który całkowicie rozumiała i pochwalała, nawet jeśli dotyczyło to dobrze sypiających. Josie doszła do wniosku, że oddzielne sypialnie utrzymywały romantyzm w małżeństwie jak nic innego, oprócz oddzielnych łazienek. Gdyby wyszła za mąż, upierałaby się przy łazienkach, nawet gdyby musiała się obejść bez wbudowanej w ścianę szafy.

* * *

Kiedy Vito zorientował się, że Billy wyjechała do Nowego Jorku, zadzwonił do Maggie, żeby umówić się na kolację. Nie miał zamiaru ani jeść z Gigi i Josie i odgrywać tatusia, ani jeść gdzieś samotnie w restauracji, nie miał też zaplanowanej żadnej kolacji, a mógł polegać na Maggie, że wyczuje jego nastrój i nie będzie zadawała mu pytań, na które nie miał ochoty odpowiadać.

Poszli do „Dominicka”, ciemnego, zadymionego, ciasnego, niewygodnego, niczym nie wyróżniającego się grilla nie mającego nawet szyldu nad drzwiami, który stanowił jedną z najlepiej utrzymywanych tajemnic w Hollywood. Podawano tam tylko kilka rodzajów steków i kotletów, bardzo rzadko któryś z ulubionych klientów dostawał kurczaka z rusztu. Nie nakrochmalone obrusy były w autentyczną czerwono-białą kratę, trzeba było płacić gotówką albo mieć rachunek na miejscu,

rezerwacje robiono tylko dla stałych klientów, wychodziło się z włosami woniejącymi kuchnią, zastanawiając się, dlaczego w ogóle się tam poszło, lecz co wieczór u Doma zbierała się śmietanka najważniejszych ludzi w Hollywood, bo nie widywało się tam gości przypadkowych. Podobnie jak sala Polo hotelu Beverly Hills, było to miejsce, gdzie miało się gwarancję bycia zauważonym, i kiedy Maggie i Vito przychodzili tam na kolację przez trzy dni z rzędu, nikt, nawet Dom, nic sobie nie pomyślał. U Doma nie można było robić nic niewłaściwego, bo restauracja stanowiła część branży, a nie można było robić nic niewłaściwego z Maggie MacGregor z tego samego, zawodowego powodu.

A przynajmniej tak uważano, pomyślał Vito. Kiedy po raz pierwszy zjadł kolację z Maggie, pojechał potem do niej na kieliszek. Tam podjęli romans, który jesienią 1974 roku zatrzymał Maggie przez dwa tygodnie w Rzymie, kiedy przeprowadzała z nim wywiad dla Cosmo. Przez całą kolację oboje wiedzieli, że tak się stanie, a klubowa atmosfera u Doma, w której nic nie mogło się ukryć, tylko podkreślała poczucie oczekiwania, obywatelujące się bez żadnych pytań i odpowiedzi, które by je gwarantowały.

Vito wcale nie zapomniał, jak smakowicie erotyczna jest rozebrana Maggie. W ciągu czterech lat, jakie upłynęły od czasu, kiedy po raz ostatni widział ją naga, nauczyła się ubierać, ale nie straciła nic ze swej zmysłowości. Dojrzałym, ciężkim piersiom Maggie nie brakowało ani centymetra, a jej pulchne, kuszące pośladki były tak krągłe i śmietankowobiałe jak zawsze. Osiągnęła orgazm cudownie szybko, prawie w chwili gdy tylko zaczął dotykać jej łechtaczki zanim jeszcze ją posiadał, a potem nalegała, żeby wziął ją tak szybko i bezwzględnie, jak tylko mu się podoba, zachęcając go bez słów niedwuznacznymi poruszeniami

otwartego, soczystego ciała. Vito pomyślał, że kochanie się z Maggie to jak pieprzenie najlepszej dziwki na świecie, i przekonał się, że może osiągnąć orgazm częściej niż mu się to zdarzało z Billy, ponieważ potrafił zadowolić Maggie szybko i często, bez zbytnich wstępów. Między nawrotami miłości plotkowali i śmiali się w swobodnym poczuciu koleżeństwa tak lubianym przez Vito, nie zwracając sobie głowy ociekającymi słodyczą frazesami, normalnymi między dwojgiem zakochanych. I cały czas Vito był po królewsku pewien, że ilekroć zechce poczuć miękkie wargi Maggie wokół czubka swego fiuta, wystarczy mu tylko położyć dłoń na jej karku i popchnąć jej głowę między swoje nogi. Lubiała to, lubiała to w każdy sposób, lubiała, gdy był twardy, i lubiała, gdy był miękki, bo wtedy stawał się twardy dzięki niej. Myśl o tej gotowości Maggie do sprawiania mu przyjemności rozogniała go w ciągu dnia w nagły, krępujący sposób, co mu się nie zdarzało od czasu szkoły średniej. Vito pomyślał, że pieprzenie Maggie MacGregor nie wymaga wielkiego zachodu i dlatego jest tak rozkoszne.

Kiedy Sandy poinformowała go o powrocie Billy do Kalifornii późnym wieczorem, Vito wiedział, że będzie wtedy u Maggie. Mając powyżej uszu ograniczonego jadłospisu u Doma postanowili zjeść pizzę u niej. Siedział przy biurku zastanawiając się, czy powinien, jak zawsze, zostawić śpiącą Maggie i bardzo późno wrócić do pokoju gościnnego w domu przy Charing Cross Road, gdzie nadal sypiał, ubierał się i jadał śniadania, czy też być w domu o rozsądnej godzinie. „Rozsądną” godziną powrotu dla każdego, kto jadł kolację w restauracji w Hollywood, była jedenasta lub najpóźniej jedenasta trzydzieści. Ludzie nie zostawali tu w restauracjach jak we wszystkich cywilizowanych miastach na świecie.

Jedli nie później niż o siódmej trzydzieści, a przyjęcia kończyły się wkrótce po jedenastej; nawet udane przyjęcia odbywające się w weekendy kończyły się przed północą.

Vito w końcu zdał sobie sprawę, że nie potrafi się zdecydować. Jeśli wróci do domu przed jedenastą trzydzieści, prawdopodobnie zobaczy się z Billy, a jeśli zobaczy się z Billy, będą musieli porozmawiać, a jeśli porozmawiają, to nie wiadomo, co sobie w końcu powiedzą. Jeżeli wróci do domu o trzeciej nad ranem, wyjaśnienie nie będzie potrzebne. Pomyślał, że może w ciągu dnia wydarzy się coś, co pozwoli mu podjąć jakąś decyzję, ale teraz spoczywa ona w rękach bogów, jeśli jacyś bogowie w ogóle się tu jeszcze kręcą, i podniósł słuchawkę cierpliwie dzwoniącego telefonu.

* * *

Kiedy Billy dotarła do swojej sypialni, zrobiła się dziewiąta. Nie było śladu Vita, ale ona nie zamierzała go szukać. Lot przeszedł gładko, przesiadła go czytając, a jednak czuła się niezwykle zmęczona, zbyt wyczerpana nawet na to, żeby pójść na palcach do pokoju Gigi, gdzie nie paliło się już światło, i spojrzeć na dziewczynę, co obiecała sobie w drodze. Była jednak zbyt skonana i mogła tylko zrzucić ubranie, włożyć nocną koszulę i wpełznąć do łóżka. Billy zdała sobie sprawę, że w Nowym Jorku jest północ, lecz jeśli chodzi o jej ciało, godzina była zupełnie inna. Zасыpiając zastanawiała się, czy za zmęczenie spowodowane lotem może być odpowiedzialna zaledwie trzygodzinna różnica czasu.

W kilka godzin później Billy obudziła się w ciemności jakby pod wpływem koszmaru, z bijącym sercem i niezachwianym przekonaniem, że coś jest nie w porządku. Przez chwilę pilnie nasłuchiwała, zastanawiając

się, czy nie pali się dom, gdy nagle w jej brzuchu zaczął narastać straszliwy, ściskający ból. Objęła się ramionami, z całej siły uciskając żołądek, aż ból, sprawiający wrażenie silnego skurczu miesiączkowego, stopniowo zaniknął. Teraz Billy wiedziała, co ją obudziło. W przypiływie strachu wstała z łóżka i zapaliła światło. Na prześcieradle była krew i zaczął się kolejny skurcz. Billy zamknęła oczy, pochyliła głowę i czekała jęcząc, aż ból przeminie i znów będzie mogła się ruszać. Zdołała tylko pomyśleć, że musi dostać się do szpitala, i to szybko. Vito! Nie, nie wie, gdzie on jest. Wykręciła na interkomie numer Gigi.

- Halo... halo, kto mówi? - głos Gigi brzmiał niepewnie.

- Gigi, tu Billy. Wróciłam, ale mam kłopot. Zbudź przez interkom kierowcę, który wozi cię do szkoły, i powiedz, żeby natychmiast podjechał pod drzwi wejściowe. Jadę do szpitala przy UCLA, zapamiętaj, powiedz mu, że chodzi o UCLA, on jest najbliżej.

- Dobrze, poczekaj, zaraz przyjdę.

- Nie, Gigi, nie, nie chcę, żebyś to widziała.

- Tylko włóż kaptcie i ciepły szlafrok - powiedziała Gigi i rozłączyła się.

W minutę później Billy usłyszała, jak Gigi otwiera drzwi sypialni. Była właśnie w łazience i wypychała jednorazowymi chusteczkami majtki, które włożyła pod koszulę.

- Czy jestem ci tam potrzebna?! - zawołała Gigi.

- Nie, zaraz wychodzę. - Billy wyszła gotowa do drogi i zobaczyła Gigi stojącą czujnie przy drzwiach do łazienki. Dziewczyna miała na sobie dzinsy i sweter naciągnięte na piżamę, a na nogach kaptcie.

- Oprzyj się o mnie - powiedziała Gigi. - Burgo czeka na dole.

Pomyślałam, że nie zechcesz, żeby przychodził do twojego pokoju.

- Och Gigi, Gigi, tracę dziecko.

- To nic pewnego, jeszcze nie teraz. Połóż mi rękę na ramieniu, musimy zejść na dół i dostać się do lekarza.

- O Boże, dlaczego to się stało?

- Chodź Billy, stawiaj po kolei nogi, możesz się na mnie oprzeć, jestem silna.

- Czekaj... czekaj, nie mogę się ruszyć... teraz już dobrze, pośpiesz się, zanim chwyci mnie następny skurcz.

Razem szybko pokonały schody i przeszły przez dom, zatrzymując się tylko raz, kiedy nadszedł kolejny skurcz. Gdy tylko pojawiły się w drzwiach wejściowych, Burgo przejął Billy i pomógł jej wejść do samochodu. Gigi usiadła obok niej obejmując ją opiekuńczo ramieniem.

Popędzili na ostry dyżur do pobliskiego szpitala. Ale chociaż znaleźli się tam po kilku minutach i zastosowano wszelkie środki, by uchronić Billy przed poronieniem, w ciągu godziny było już po wszystkim. Doktor Wood, lekarz Billy, przybył za późno, by zrobić cokolwiek poza potwierdzeniem faktu.

- Ale dlaczego, dlaczego? - pytała Billy raz po raz.

- To nie jest nic niezwykłego, pani Orsini. Była pani zaledwie w trzecim miesiącu ciąży, może najwyżej w pierwszym tygodniu czwartego. Jeśli ma nastąpić poronienie, najczęściej zdarza się to w ciągu tych pierwszych trzech miesięcy. Nie uniemożliwi to pani posiadania dzieci w przyszłości. Musiał być jakiś powód, aby ta ciąża nie rozwijała się dalej. My, lekarze, uważamy to za sposób natury na poprawienie jakiegoś błędu.

- O Boże - powiedziała Billy bezbarwnym tonem. Nigdy więcej już o

to nie zapyta.

- Jeśli czuje się pani na siłach, radzę, żeby udała się pani karetką do domu. Szpital jedynie wprawi panią w przygnębienie. Przyślę pani do opieki prywatną pielęgniarkę. Kilka dni w łóżku i będzie pani jak nowa.

- Mniejsza o karetkę. Mam Gigi, a Burgo czeka na dole. Przywieźli mnie tutaj, to z pewnością mogą mnie odwieźć z powrotem.

Lekarz spojrzał ostro na Gigi. Od godziny trzymała Billy za rękę. Nikt nie potrafił oderwać jej od Billy. - Dobrze, pani Orsini, ale proszę zostać tu przynajmniej jeszcze godzinę. Zaczekam na dole, pojedę z panią do domu i zajmę się tam panią. Czy mogę zapytać, kim jest ta młoda dama?

- To moja córka - odparła Billy.

- No to ma pani już jedno dziecko i z całą pewnością będzie miała następne. Ma pani dopiero trzydzieści pięć lat.

- Tak - zgodziła się Billy. - Mam przynajmniej ją.

Po powrocie ze szpitala do domu Billy położyła się do łóżka. Najpierw zapadła w głęboki sen, na chwilę prawie odzyskała świadomość, a potem znów zasnęła. Kilka razy dzwoniła po sok pomarańczowy i grzanekę z dżemem, czasem na pół godziny pogrążała się w lekturze, ale przez dwa dni i jedną noc udało się jej wprowadzić w stan zapomnienia, wymuszonego spokoju, wytworzyć w sobie strefę ochronną, do której nic nie mogło przeniknąć oprócz miękkości pościeli, kilku stron nic nie znaczącej książki i szybkiej poprawy stanu zdrowia.

Dawno już minęła północ, kiedy Billy otworzyła oczy. Czowała się tak silna i wypoczęta, że nie była w stanie pozostać w łóżku choćby jedną minutę dłużej. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że księżyc w pełni stoi wysoko na niebie, noc jest bezchmurna, a ścieżki ogrodowe są oświetlone miękkim światłem ukrytych lamp zapalających się automatycznie co noc. Pośpiesznie włożyła ciepły sweter, luźne spodnie, treneczki i kalosze, wzięła klucz i wyszła na zewnątrz, żeby się trochę pokręcić po ogrodzie i przytępić pobudzone zmysły, a potem móc spać do rana.

Wyszła wolnym, lecz stanowczym krokiem na taras wypróbując swą sprawność i odkryła, że ruch jest jej potrzebny, wręcz konieczny. Zaczęła iść szybciej, ciesząc się odgłosem swych pewnych kroków na ścieżkach skąpanych w rosie, która co noc zjawiała się tu znad oceanu. Idąc długą ścieżką wzdłuż granic posiadłości, mijając ogrody różnych kwiatów, warzywniki, szklarnie, korty tenisowe i basen, czasem wymieniając ruchem głowy milczące pozdrowienie z którymś z jej ochroniarzy, kierowała się ku ukrytemu ogrodowi, do którego miała klucze tylko ona i Gavin, główny ogrodnik.

Po dziesięciu minutach Billy otworzyła drewnianą furtkę do otoczonego murem ogrodu, ukrytego za szpalerem ciemnych cyprysów. O każdej porze roku ogród był wyłącznie biały. Tego wieczoru zakwitły pierwsze wiosenne róże, wyrzucając swe młode pędy wysoko ponad czterometrowe kamienne ściany. Ich gałązki splątały się z dzikim winem i wybijały jaśminem w pełnym rozkwicie. Ten ogród na planie kwadratu założył Russell Page na specjalną prośbę Billy. Po raz pierwszy w życiu widziała całkowicie biały ogród w zamku Sissinghurst w hrabstwie Kent, kiedy wczesną wiosną złożyła tam wizytę z Ellisem Ikehornem. Zobaczyła w tamtejszym ogrodzie cały klomb ogromnych białych bratków z fioletowymi środkami. Ich piękno poraziło ją bardziej niż ogród w pełnym rozkwicie w środku lata.

Billy zamknęła za sobą furtkę i weszła do środka, poprzez grządki obsadzone masą białych pierwiosnków i narcyzów, irysów, tulipanów, lilii, cyklamenów i jaskrów, a wszystkie te wiosenne kwiaty mieniły się w blasku księżyca tak miękko przenikającego do ich serca. Była już trochę zmęczona i z przyjemnością usiadła na starej, drewnianej ławce czekającej pod drzewkiem wistarii. To było jej najulubieńsze miejsce na świecie, miejsce, do którego przychodziła, kiedy chciała być sama, z dala od domu, telefonów, najmniejszych nawet oznak hałasu czy pośpiechu.

Zdała sobie sprawę, że nie przychodziła tu od wielu tygodni, nie pamiętała nawet, od ilu.

Kiedy ostatnim razem odwiedziła biały ogród, róże nie były jeszcze, jak co roku, przycięte po świętach Bożego Narodzenia, a teraz dochodziły do szczytu swego późnokwietniowego kwitnienia, w najpiękniejszym okresie po trzymiesięcznym odpoczynku podczas krótkiej kalifornijskiej

zimy.

Róże powiedziały Billy to, co już i tak wiedziała. Przyszedł czas na chwilę zatrzymania się i zastanowienia. Czas sporządzić remanent życia, zamiast pędzić przez nie na oślep, czas opuścić azyl uzdrawiającego snu.

Zacznij od nowa, powiedziała sobie, zacznij od tego przyjęcia w Hotel du Cap, które wydała Susan Arvey akurat przed rokiem; zacznij od poznania tego wieczora Vita Orsiniego i od zakochania się w nim; zacznij od tych krótkich, natarczywych godzin zalotów, kiedy to szybko wyjaśniła swój zamiar poślubienia go; zacznij od obiadu, podczas którego twoje zdecydowanie wygrało i Vito zgodził się cię poślubić; zacznij od wspólnego lotu do domu, od jedenastu nieprzerwanych godzin, najdłuższego czasu, jaki spędziliście tylko we dwoje aż do... nie, najdłuższego czasu, jaki w ogóle spędziliście we dwoje, w łóżku czy poza nim.

Vito rzucił się w wir obsadzania ról w Zwierciadłach w dniu ich powrotu z Cannes. Po sześciu dziko pracowitych tygodniach, mając prawie gotowy scenariusz i zebraną obsadę, zostawił ją samą i pojechał szukać odpowiednich plenerów. Kiedy już znalazł je w północnej Kalifornii, pojechała razem z nim, by przeżyć toczące się gwałtownymi zrywami, gorączkowo nudne, zwolnione szaleństwo kręcenia filmu, podczas którego czuła się tak zaniedbywana przez Vita, tak nie zauważana i ledwo tolerowana, jeśli nie zawadzająca mu, że w ataku wściekłości i żalu nad sobą uciekła do Jessiki, tak jak uczyniła to kilka dni temu.

A co zrobiłaś ze swoim życiem pomiędzy tymi wypadami, w czasie których mogłaś sobie pojęczeć, poskarżyć się i wylać kłopoty na głowę biednej Jessice spytała Billy kwaśno samą siebie. Zaprzyjaźniła się z Dolly

Moon, patrzyła z boku, jak Spider i Valentine fachowo prowadzą „Scruples” bez jej pomocy i służyła jako awaryjna sekretarka planu podczas montażu Zwierciadeł u niej w domu. Ta praca, pozwalająca jej wykorzystać stare umiejętności sekretarskie, był jedyną naprawdę pożyteczną rzeczą, jaką zrobiła w ciągu całego roku, poza żądaniem, aby Vito znalazł dla Dolly agenta prasowego, przez co nieumyślnie wprowadziła w jej życie Lestera Weinstocka. Poza tymi dwoma dobrymi uczynkami nie miała nic, z czego mogła być dumna, chyba żeby doliczyć uratowanie Gigi, tylko że tak naprawdę to Gigi uratowała ją.

Całymi miesiącami czekała bez końca, cierpliwie i niecierpliwie, aby wreszcie Vito przysiadł gdzieś na kilka minut, żeby mogła się z nim przywitać. Była jego podporą, dobrą towarzyszką i kibicem, ofiarną, kochającą żoną, której życie zamykało się w sukcesie męża i - straszną mendą. Nie była mu bardziej potrzebna niż trzecia noga, trzecia ręka czy trzecie jądro. Po dwa miały sens, trzy były niepotrzebne.

Billy pomyślała, że Vito nie był jej mężem lecz lokatorem, kimś, kto wynajął pokój we wspaniałym pensjonacie i czasami szybko, dokładnie i fachowo przelatywał właścicielkę. To musiała mu przyznać. Kiedy udało mu się znaleźć wolną chwilę, kochał wspaniale, jeśli telefon był wyłączony. Dlaczego nigdy nie zaprotestowała, kiedy potem włączał go z powrotem? Błagała, żeby choć raz odwiedził z nią ten ogród, ale nigdy nie udało mu się uwolnić od pracy na te pół godziny, bo tyle by mu to zajęło. Dlaczego bardziej nie starała się go tu ściągnąć?

Dlaczego - ale po co ma sobie zawracać głowę pytaniem, dlaczego, po co zawracać sobie głowę analizowaniem, co zrobiła źle ona, a co on? A może po prostu trzeba zdać sobie sprawę, że była nim zauroczona, ale nie

kochała go? Gdyby go teraz kochała, nie mogłaby tu siedzieć, zastanawiając się nad przeszłością z sercem bijącym spokojnie i bez gniewu. Gdyby go nadal kochała, nie potrafiłaby o nim myśleć z zimną obojętnością i ogromną pogardą, jaką do niego czuła. Przeminięcie zauroczenia wyjałowiło jej serce, poraniło duszę. Zwariowana na punkcie słowników Jessica nazwała to kiedyś „przesadnie lekkomyślną lub nierozsądną namiętnością”. Rzeczywiście, to niezłe określenie, podsumowała beznamiętnie Billy. Podobno każdy musi zjeść w życiu odrobinę brudu i Billy pomyślała, że każdy musi też przejść przez zauroczenie. Żałowała tylko, że nie przeżyła tego wcześniej, w wieku czternastu lat zamiast trzydziestu pięciu.

Tylko że jest jeszcze Gigi. Billy poczuła nagły przypływ wściekłości, od którego zrobiło się jej tak gorąco, że nie mogła spokojnie usiedzieć. Ruszyła szybkim krokiem wokół rabat, drżącymi palcami rozrywając kwiat róży i wrzucając płatki do niewielkiego stawu na środku ogrodu. Gigi. Sposób, w jaki Vito traktował Gigi, był niewybaczalny, absolutnie niewybaczalny.

Nawet teraz nie zwracał na nią uwagi, jeśli nie liczyć dwóch zdawkowych telefonów. Nie było żadnego „ale”, żadnych okoliczności łagodzących, żadnej obrony. Gdyby Gigi nie miała wspaniałej matki, Bóg jeden wie, co by się z nią stało. Tak, Vito jest człowiekiem mającym mnóstwo pracy, zajęтым swoją karierą, ale nic nie mogło usprawiedliwić zaniedbywania Gigi. Jedynym wyjaśnieniem - nie usprawiedliwieniem, lecz wyjaśnieniem - było to, że w pewnym podstawowym sensie był złym człowiekiem. Złym człowiekiem, który był złym ojcem. Nie każdy dobry, uczciwy mężczyzna musi koniecznie mieć cechy dobrego ojca, ale żaden

na pewno nie pozwoliłby sobie na bycie złym ojcem.

Billy szybko zamknęła za sobą furtkę do strzeżonego murem ogrodu i przekręciła klucz w zamku. Wróciła do domu najkrótszą drogą, nie zauważając przesączającego się przez stare drzewa blasku księżyca, nie zwracając najmniejszej uwagi na pergole, polany, stawy i łąki, żywopłoty i piękne widoki rozciągające się wokół niej. Prawie biegła, chcąc jak najszybciej wprowadzić w życie podjętą decyzję. Zastanawiała się, o której będzie mogła najwcześniej zadzwonić do Josha Hillmana. Była prawie czwarta rano, a jej prawnik wstawał wcześniej. Ale musi poczekać jeszcze przynajmniej dwie godziny, zanim będzie mogła zadzwonić i wydać mu polecenie wszczęcia kroków rozwodowych oraz, co ważniejsze, kroków mających doprowadzić do ustanowienia jej prawną opiekunką Gigi. Zgodnie z prawem kalifornijskim przeprowadzenie rozwodu zajmie pół roku i dzięki Bogu we wrześniu znów będzie się nazywała Billy Ikehorn. Czekanie z telefonem do Josha dwie godziny wystawi na próbę jej cierpliwość, ale przynajmniej była pewna zasadniczego elementu w swoich planach. Vito nie będzie się ani trochę opierał. Nie ośmieli się.

* * *

W ciągu następnego roku Billy była pochłonięta tworzeniem nowych Domów Mody „Scruples” w Nowym Jorku i Chicago. Dotrzymując danego sobie przyrzeczenia, uczyniła Spidera i Valentine współnikami nowych sklepów, nie żądając żadnego innego wkładu oprócz ich talentu. W ten sposób okazywała, jak bardzo ich ceni, w końcu właściwie dziękowała za rolę, jaką odegrali w sukcesie „Scruples” w Beverly Hills. W ten sposób zapewniała sobie ich wdzięczność i to, że nigdy ich nie straci na rzecz zazdrosnej, czyhającej na każdą okazję konkurencji. Josh

Hillman utrzymywał, że nie ma prawnej konieczności, aby była aż tak hojna, ale Billy uparła się, a nikt nie wiedział lepiej niż on, że wówczas nie przekonają jej żadne argumenty.

Spider pracował teraz ciężko dzień i noc, kontaktując się z architektami i dekoratorami wewnątrz wynajętymi przez Billy do jak najszybszego stworzenia nowych sklepów. Latał jej odrzutowcem między Nowym Jorkiem a Chicago, żeby dopilnować, aby podstawowa koncepcja „Scruples” jako sklepu będącego doskonałym placem zabawy dla kupującego, niewyczerpanym źródłem rzeczywistego i wymyślnego zadowolenia, prezentującym ogromną możliwość wyboru, została zachowana w najmniejszych szczegółach. Valentine zatrudniła kadrę handlowców mających pomóc jej w obstawieniu europejskich kolekcji, chociaż w Paryżu, Mediolanie i Londynie sama musiała podejmować ostateczne decyzje, bo tak drobiazgowej oceny nie mogła zostawić innym - klienci „Scruples” kupowali coraz więcej gotowych modeli z zagranicznych kolekcji. Zarówno ona, jak i Spider byli często potrzebni w sklepie w Beverly Hills; ona, aby projektować ubrania na zamówienie, a on, by przypieczętować swoją aprobatą najważniejsze zakupy największych klientów, dla których jego bezpardonowe rady stały się nieodzowne.

Billy jeździła służbowo do Europy, na Hawaje i do Hongkongu, gdzie wydawała ogromne sumy na zakup wspaniale położonych działek pod przyszłe sklepy „Scruples”, które zaczynała natychmiast projektować. Była tak zajęta, że kiedy wracała do Kalifornii, najchętniej spędzała większość wieczorów z Gigi, chociaż zmuszała się do przyjmowania sporadycznych zaproszeń na przyjęcia. Nie była zainteresowana

poznaniem nowego atrakcyjnego mężczyzny, gdyby oczywiście taki rzadki ptak latał swobodnie po Los Angeles; emocjonalnie Billy miała wrażenie, jakby znalazła przytulnie zamrożony pokój i z ulgą zamknęła za sobą drzwi. Jeśli zachodził w niej jakiś proces uzdrawiający, to była go nieświadoma; wydawało się jej, że małżeństwo z Vitem było zbyt płytkim związkiem, żeby poczynił poważne szkody. Jego rozwiązanie zostawiło po sobie uczucie raczej pustki niż goryczy. Jawny romans Vita z Maggie MacGregor nie interesował jej, co niewątpliwie dowodziło, że już się z zauroczenia Vitem wyleczyła. Billy się wydawało, że jej serce wyschło, wiedziała, że jeśli chodzi o szczęście, stała się bardziej cyniczna, ale rozum jej podpowiadał, że ma rację. Wzruszyła ramionami i zwróciła się ku nieustannie ekscytującemu rozwojowi jej handlowego imperium.

Spider i Valentine nie mieli czasu potrzebnego na rozejrzenie się za odpowiednim domem, więc Spider sprzedał swoją kawalerkę i wprowadził się do jej nadbudówki na wieżowcu w zachodnim Hollywood. Mniej więcej co dwa miesiące Valentine znajdowała minutę, aby pomartwić się, że nie prowadzą solidnego, burżuazyjnego życia małżeńskiego, że jej przyprawy wietrzeją i że od wyjazdu z Nowego Jorku nie przyrzadziła Spiderowi porządnego pot au feu, ale on był oczarowany jej mieszkaniem, w którym w jakiś magiczny sposób odtworzyła nastrój mieszkania na Manhattanie, pod którego drzwiami się poznali. Tam powierzali sobie romantyczne rozczarowania. Przez całe lata byli kochającymi się przyjaciółmi, lecz nigdy kochankami.

To pierwsze mieszkanie z meblami pokrytymi wyblakłą biało-różową tkaniną, oświetlone lampami o czerwonych abażurach, w którym tak często było słycać przejmującą nostalgię śpiewu Piaf, zawsze

przypominało mu Paryż. Teraz miał kawałek Paryża w Los Angeles, zmyślonego Paryża, w którym jedynym najbardziej autentycznym i niewątpliwie francuskim elementem była sama Valentine, czarodziejka z oczyma pełnymi kapryśnego, dowcipnego życia, z wiecznie zmieniającym się wyrazem bladej twarzy pod grzywą kędzierzawych włosów wyglądających, jakby zanurzyła koronkę w papryce. Zapewniał swą żonę, że zawsze może żyć na restauracyjnym jedzeniu, że nie ożenił się z nią dla jej talentów kulinarnych - no, może niezupełnie - i z całą pewnością nie ożenił się, by prowadzić burżuazyjne życie. I o co tu w ogóle chodzi, pytał, skoro według niego żadne z nich nie jest burżujem? O wygodę, odpowiadała, o regularne zwyczaje i poczucie prawdziwego zakorzenienia. Nie o tę niemal cygańską egzystencję, nie o te wszystkie podróże i z całą pewnością nie o jedzenie na wynos.

* * *

Pierwszy, publiczny pokaz Białego Amerykanina odbył się wieczorem pod koniec kwietnia 1979 roku. Susan Arvey udostępniła kopię filmu na galowy seans dla Związku Kobiet Szpitala św. Jana, na który bilet kosztował pięćset dolarów. Ta doroczna impreza charytatywna tradycyjnie składała się z uroczystej kolacji i przedpremierowego pokazu głośnego filmu. Zaproszenia na kolację zostały szybko wykupione, bo wszyscy, którzy przeczytali książkę, to znaczy wszyscy nadal jeszcze czytający bieżącą literaturę, chcieli zobaczyć film, kręcony zupełnie bez reklamy, co jedynie pobudziło ich ciekawość.

Po imprezie, kiedy Susan Arvey usiadła, aby zmyć makijaż, stwierdziła, że ciągle nuci melodię z filmu. Rozpuściła swe długie blond włosy, które miała upięte w gładki, elegancki, nieskazitelny kok, będący

jej znakiem rozpoznawczym w mieście pełnym farbowanych, tapirowanych i lakierowanych włosów, i przyjrzała się sobie uważnie w lustrze, równie szczegółowo jak po zakończeniu ubierania się, wyznawała bowiem zasadę, że jej makijaż powinien wyglądać równie doskonale po powrocie do domu, jak przed wyjściem. Zgodnie z oczekiwaniami nie rozczarowała się, chociaż nigdy nie zanieczywała ścisłej inspekcji swej nieskazitelnej urody, urody tak skończonej, że wiele prawdziwych piękności wyglądało przy niej, jak by były nie wykończone i surowe. Rysy miała delikatne i doskonale wymodelowane, twarz lekko zaokrągloną i dziecinną, co odziedziczyła po matce, aktorce z Minnesoty, która dzięki szwedzkim przodkom była jedną z nielicznych naturalnych blondynek, jakie dotarły do Hollywood.

W wieku czterdziestu lat Susan Arvey wyglądała jak kobieta, której trzydzieste piąte urodziny nastąpią gdzieś w przyszłości, lecz sprawność umysłu i żądzę władzy odziedziczyła po ojcu, Joe Farberze, niegdyś groźnym rekinie przemysłu filmowego. Susan była jedynym dzieckiem Farbera, urodzonym przez jego drugą żonę, kiedy dobiegał sześćdziesiątki. Rodzice wychowali ją do gronostajów i purpury. Ojciec opowiadał jej o złotych czasach Hollywood, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, a matka pośpiesznie wycofała się z zawodu po miernej karierze i dokładnie pilnowała, by jej kurczątko w pełni wykorzystywało swe zalety. Susan została nauczona prowadzenia domu godnego księżnej Windsoru oraz przygotowana do wczesnego i dobrego wyjścia za mąż, a nade wszystko przestrzegana przed poślubieniem mężczyzny, który odznaczałby się talentem artystycznym.

W wieku dziewiętnastu lat przyjęła oświadczyzny Curta Arveya,

trzydziestotrzyletniego syna właściciela wytwórni filmowej, który piastował .w niej odpowiedzialne stanowisko. Teraz, w dwadzieścia jeden lat później, Susan od dawna już miała wszystkie niezbędne cechy pozwalające jej dominować w hollywoodzkim towarzystwie. Była jego jedną z najlepszych prowodyrek, której wszyscy się bali. Cenione zaproszenie na jedną z jej uroczystych kolacji, podczas których niedbale używała ogromnego zbioru bezcennej chińskiej porcelany po matce, dawały zaproszonej parze miejsce w kręgu, który w Hollywood był odpowiednikiem królewskiego dworu. Odtąd dana para żyła w nieustannym niepokoju, bo Susan potrafiła blisko się zaprzyjaźnić, a potem po latach nienaganych stosunków zrywać kontakt bez najmniejszej przyczyny. Właściwie nie musiała szukać usprawiedliwienia dla swych poczynań, aby jeszcze raz udowodnić, iż może dzierżyć władzę, którą nie mogła się otwarcie posługiwać w wytwórni męża.

Czy którakolwiek z kobiet obecnych na ostatnim dobroczynnym pokazie wiedziała, że chociaż Susan może na zawołanie dostarczyć kopię Białego Amerykanina, to jej wpływ na decyzje męża jest mocno ograniczony? Susan zastanawiała się nad tym, sprawdzając w lustrze swój wygląd. Była najlepiej ubraną kobietą w Los Angeles po Billy Ikehorn, miała najlepszy backhand na wszystkich kortach tenisowych w Bel Air, a także była właścicielką jednej z najlepszych kolekcji pierwszorzędných francuskich impresjonistów na obu wybrzeżach, a jednak - kręcąc głową na boki, żeby przyjrzeć się swemu delikatnemu profilowi - wiedziała, że jest kobietą nie spełnioną.

Dni miała wypełnione zajęciami. Co rano o siódmej grała w tenisa. O ósmej piętnaście brała prysznic i po przejrzeniu L.A. Timesa i New York

Timesa jeszcze przed dziewięcią trzydzieści zaczynała ze swoją sekretarką dwugodzinną sesję telefoniczną, regularnie dzwoniąc do kobiet, z którymi jadła lunchy i kolacje, planowała przyjęcia dobroczynne. Popołudnia poświęcała kupowaniu nowych kreacji na owe lunchy, bale i kolacje, przymierzaniu już kupionych strojów i codzienne, dwugodzinne, wyczerpujące ćwiczenia w swojej prywatnej sali gimnastycznej, zakończone masażem.

Jednak mimo życia, w którym nie spędzała ani minuty samotnie czy beczynnie, Susan Arvey była stale sfrustrowana, od urodzenia miała bowiem ogromny apetyt na wspinanie się po szczeblach kariery, który został stłumiony nie tylko przez jej płęć, lecz przez jej ojca. Zanim skończyła dwadzieścia sześć lat, zarówno Joe Farber, jak i jego żona zmarli. Susan odziedziczyła ogromny majątek, ulokowany jednak na zasadach takiego powiernictwa, że nie można się było do niego dostać. Administratorzy majątku zainwestowali sporą część jej spadku w wytwórnię, którą jej mąż przejął od Joego Farbera, a kiedy Curt Arvey wyszedł ze swoją firmą na rynek akcji, Susan stwierdziła, że jest największą akcjonariuszką własnego męża. Nie mogła jednak podejmować żadnych znaczących decyzji w dziedzinie produkcji filmów, bo ojciec nie wierzył, aby potrafiła zarządzać własnymi pieniędzmi. Mogła próbować wywierać wpływ na działalność wytwórni jedynie za pośrednictwem instytucji małżeństwa, wpływ ten nie zadowalał jej jednak nigdy, ponieważ nie dawał jej równej pozycji.

Szczotkując włosy, Susan mimowolnie rozmyślała nad swym zastarzałym żalem, nad gorzkim, rozwścieczającym, psującym jej szyki życiowym zakazem, nad impotencją, na którą nie ma lekarstwa. Jako żona

szefa za ledwie, a nie sama szefowa, musiała ukrywać swe żądania pod płaszczykiem słodyczy, a w gruncie rzeczy porzucić wszystkie oprócz najważniejszych. Gdyby nie wyszła za Curta, jej pakiet akcji zagwarantowałby jej cenioną, wysoką pozycję w zarządzaniu wytwórnią. Jeśli jednak chciała pozostać w udanym związku z mężczyzną tak upartym i obraźliwym jak Curt, musiała się powstrzymywać, nie wychodzić poza pewne wyraźnie oznaczone granice, bo mógł się obrazić nawet za najbardziej taktowne wtrącanie się. Rozwód nie stanowił rozwiązania, nawet gdyby go chciała, bo dla kobiety, która zamierza nadal królować w społeczności filmowej, stabilne małżeństwo jest rzeczą podstawową.

Chociaż Curt odniósł o wiele większy sukces finansowy niż jej ojciec, o czym Susan często sobie przypominała z pogardliwym prychnięciem, bo były to dzisiejsze, zdevaluowane dolary, Joe Farber zrobił pieniądze w czasach, kiedy można było je trzymać. Trwające dwadzieścia jeden lat małżeństwo Arveyów znajdowało się w stanie napięcia. Curt Arvey nie mógł lekceważyć zresztą ukrytych reakcji żony na jego decyzje. Ale ich wzajemne strzelanie do siebie z zasadzki, jakby byli żołnierzami z wrogich sobie armii wyrzuconymi przez morze na bezludną wyspę, było o wiele bardziej interesujące niż ordynarne kłótnie przy ognisku.

* * *

Kiedy Vito Orsini robił dla wytwórni Curta Białego Amerykanina, Susan poświęciła filmowi więcej niż zwykle krytycznej uwagi. Od czasu gdy dwa lata temu Vito praktycznie porwał Billy Ikehorn z jej przyjęcia na festiwalu filmowym w Cannes, Susan mu nie dowierzała. Nawet rozwód Orsinich, który potwierdził, że od początku miała rację, nie przywrócił

Vita do jej łask. Tak, ze szczególną uwagą stale śledziła postępy Białego Amerykanina.

Odgarnawszy włosy z twarzy, Susan chodziła po sypialni szykując się do snu. Tak była zachwycona wydarzeniami ostatnich kilku godzin, że nie mogła się powstrzymać od zrobienia co pewien czas kilku tanecznych kroków, nadal radośnie nucąc melodię z filmu. Przygotowując się do usuwania makijażu, Susan Arvey porównywała ostatni wieczór z innymi imprezami charytatywnymi. Kolacja w sali balowej hotelu odbyła się zgodnie z planem, jedzenie było na swym nudnym, lecz zupełnie jadalnym poziomie, obsługa była zręczna, kobiety, które nie wiedziały, jak się ubrać na oficjalny pokaz filmowy, przeszły same siebie, wkładając obszerne suknie spływające na kolana sąsiadów, widownia przyjęła film z wielkim, udawanym entuzjazmem.

Susan sama była oczarowana powieścią, na podstawie której nakręcono Białego Amerykanina. Kiedy Curt powiedział jej o niesłychanej sumie, jaką musiał zapłacić za prawa filmowe, zadowolona się jedynie pokręceniem głową, co miało oznaczać, że został nabrany. W rzeczywistości była zadowolona, że to on ma robić ten film, a nie któraś z konkurencyjnych wytwórni. Intryga powieści nie była skomplikowana - i to właśnie było jedną z jej zalet, pomyślała Susan starannie nanosząc krem na twarz.

Akcja rozgrywa się w ciągu dwudziestu pięciu lat, począwszy od roku 1948, kiedy tytułowy biały Amerykanin, anglosaski protestant, Josiah Duff Sutherland, zaczyna studia w Princeton. Pochodzi z zamożnej rodziny z Rhode Island, z której wywodził się niejeden prezydent Stanów Zjednoczonych, senator czy rektor uniwersytetu.

Sutherland, weteran z Korei, przystojny, prawy i cnotliwy, był inteligentny i miał czarujące, towarzyskie usposobienie. Zamieszkał w jednym pokoju z Richardem Romanosem, prawnikiem jednej z najważniejszych rodzin mafijnych w kraju, osobnikiem o magnetycznej osobowości, któremu dumny, potężny ojciec wyznaczył przyszłość całkowicie poza mafią, wśród amerykańskiej arystokracji.

Rick Romanos był równie dowcipny, jak przekonujący i dysponował inteligencją o wiele większą niż Sutherland. Przyciągani różnicami osobowości, Rick i Josh natychmiast się zaprzyjaźnili. Po ukończeniu studiów nierozłączna para wstąpiła do Szkoły Prawniczej Harvarda, zawsze mieszkając razem, razem chodząc na randki i dzieląc się wszystkim oprócz tajemnicy prawdziwego pochodzenia Romanosa. Razem zatrudnili się w ważnej firmie prawniczej i razem planowali kampanię wyborczą Josha Sutherlanda do Rady Miejskiej Nowego Jorku, Kongresu, potem senatu i w końcu na stanowisko prezydenta.

Sutherland poślubił śliczną, odpowiednią dziewczynę, Laurę Standish, pochodzącą z jednej z wielkich charlestońskich rodzin, a Romanos został kawalerem, wzorem dandysa. W ciągu dwudziestu pięciu lat między ukończeniem studiów a prezydenturą Sutherlanda Rick Romanos stwierdził, że, chcąc nie chcąc, coraz bardziej zazdrości przyjacielowi sukcesów, kariery, która według niego była możliwa wyłącznie dlatego, że Sutherland jest białym anglosaskim protestantem. W równym stopniu zazdrościł przyjacielowi idealnej żony. Z Laurą flirtował w niezobowiązujący, jawny sposób, co jest możliwe nawet pod samym nosem męża, jeśli jest on na tyle ślepy, żeby bezmyślnie być pewnym oddania żony.

W końcu Romanos postanowił zdradzić Sutherlanda, stopniowo znajdując sposoby na wykorzystanie mafijnych pieniędzy do zapewnienia Sutherlandowi zwycięstwa w wyborach, powoli uzależniając go od interesów mafii, otaczając przyjaciela mafią tak ciasno i skrycie, że dla polityka nie było już ucieczki. Kiedy osiągnął już to wszystko, odebrał Sutherlandowi Laureę podczas prezydenckiej kampanii wyborczej.

Kiedy Josiah Sutherland obudził się rankiem w dniu inauguracji, nie był pewien, czy żona stanie u jego boku. Pojawiła się w ostatniej chwili i stanęła przy nim, ale składając przysięgę nie wiedział, jaki charakter będzie miał jej przyszły związek z Rickiem Romanosem, który już na zawsze miał zostać jego najbliższym współpracownikiem. Nie wiedział, jakiej zapłaty zażąda przyjaciel w zamian za poprzednie przysługi.

Zmywając delikatnie dyskretny makijaż natłuszczonym wacikiem, Susan pomyślała, że nie mogli znaleźć lepszej obsady. Dianę Keaton jako dziewczyna była doskonała, fizycznie o wiele lepiej pasowała do Redforda niż Dunaway czy Fonda była całkowicie wiarygodna jako dobrze urodzona żona polityka. Tak, ciężka próba zrobienia Białego Amerykanina, próba, która spadła na Vita Orsiniego i której rozwój obserwowała z rosnącym zainteresowaniem i przyjemnością, zaczęła się od doskonałej obsady.

Pierwsza przeszkoda pojawiła się przy próbie znalezienia „chaty” w Newport, posiadłości mającej służyć jako dom letni rodziny Sutherlandów i będącej sceną wielu wydarzeń. Zbyt wielu ostrożnych, zamożnych mieszkańców Newport nie chciało za żadną cenę wynająć swych domów wytwórni filmowej i Vito musiał zadowolić się posiadłością, która po prostu była za mała. Salę balową i inne duże dekoracje musieli zbudować

w halach zdjęciowych w Hollywood, ale nawet specjalista nie potrafił odróżnić, kiedy aktor przechodził z jednego pokoju w prawdziwym domu do następnego pokoju, wybudowanego w studiu odległym o trzy tysiące mil. Zatracił się ten autentycznie doskonały wygląd z Newport, ale Susan zastanawiała się, czy ktokolwiek na widowni zauważy różnicę?

Ale od niepowodzenia w Newport budżet zaczął wymykać się spod kontroli, jeszcze zanim dostarczono ostateczną wersję scenariusza. Albo właściwie jeszcze wtedy, gdy pisał się pierwszy z pięciu scenariuszy.

Susan przerwała zmywanie makijażu mając jedno oko umalowane, a drugie czyste, i zastanowiła się nad charakterami czterech najlepszych scenarzystów, do których zwrócił się Vito. Oczywiście każdy z nich, mając do czynienia z książką, widział sposób opowiedzenia jej treści troszeczkę inaczej niż widział to autor; każdy z nich miał na myśli kilka zmian, o które walczył i przy których się upierał. Ale Vito Orsini nigdy nie pozwoliłby nawet na niewielką dozę twórczej swobody, na tę konieczną dozę. Jego ego rosło z każdym dniem i Vito stał się tak zażartym stróżem nienaruszalności książki, jakby sam napisał każde jej słowo.

To prawda, przyznała Susan, że po koszmarnych awanturach z czterema najlepszymi scenarzystami w Stanach Zjednoczonych i Anglii Vitowi rzeczywiście udało się znaleźć nieznanego autora, który dokonał całkowicie wiernego i możliwego do zrealizowania przekładu książki na język filmu, tego nie mogła zaprzeczyć. Oczywiście do tego czasu budżet urósł ponad wszelkie oczekiwanie, ale scenarzyści nie pochłaniają największych pieniędzy przy robieniu filmu, a przynajmniej nie wtedy, gdy ma się dobry scenariusz, na który wszyscy się zgadzają.

Susan skończyła usuwać makijaż z oczu i sięgnęła po flakon z wodą

różaną, którą kazała sobie robić w pobliskiej aptece. Nic tak delikatnie nie usuwało cienkiej warstewki tłuszczu pozostającej na skórze. Rozpamiętując z przyjemnością cierpienia, jakie reżyserzy zadali Vitowi, powiedziała sobie, że reżyserzy są oczywiście słynni ze swej kapryśności, o wiele większej niż scenarzyści. Miała wątpliwości, kiedy Vito chciał wynająć Hustona, a kiedy umowa nie doszła do skutku, nie była zaskoczona. Tym dwóm ludziom nie było pisane dojść do porozumienia, nawet Curt zgodził się z nią co do tego.

Ze wszystkich egomaniaków, którzy zbierają się, by razem robić filmy, reżyserzy są niewątpliwie najgorsi, ale czy nie można było pomyśleć, że chociaż jeden z nich będzie odpowiadał Vitowi, mimo rozdympającego go poczucia własnej ważności? Milos Forman, John Schlesinger i sir Carol Reed przeczytali scenariusz i chcieli reżyserować Białego Amerykanina, dopóki Vito nie dał im jasno do zrozumienia, że będzie chciał ich zdominować. Póki nie zrozumieli, że ten producent, zaledwie producent, ma szczyry zamiar codziennie pojawiać się na planie i patrzeć im przez ramię, jak wykonują swój zawód, zamiast wynieść się do swego biura, najlepiej gdzieś głęboko pod ziemią, gdzie mógłby zająć się pracą nad ułatwianiem im życia.

Nie mogła się powstrzymać, żeby nie powiedzieć mężowi, że Vito sobie na to zasłużył, skoro nie zaangażował Fifiiego Hilla, który wyreżyserował Zwierciadła i zdobył w zeszłym roku Oscara za reżyserię. Gdy Vito usiłował to załatwić, Fifi miał już inne propozycje. Ale nawet wtedy, pomyślała Susan, uśmiechając się szeroko na to wspomnienie, Vito w ostatniej chwili uratował sytuację. Wytrzasnął skądś młodego reżysera Danny'ego Siegela, który nakręcił dwa niskobudżetowe filmy chwalone

przez krytykę, reżysera tak nowego w branży, że rzucił się na okazję zrobienia dużego filmu mimo wiszącego nad nim widma kontroli sprawowanej przez Vita.

Susan wspomniała, że wtedy nawet ona zgodziła się, że z punktu widzenia okresu przygotowawczego film wypłynął na szerokie wody. Wydawało się, że przy podpisanych umowach z gwiazdami obsadzonymi w głównych rolach, z dobrym scenariuszem, utalentowanym, choć nie sprawdzonym reżyserem oraz doświadczonym producentem, który właśnie zdobył nagrodę Akademii, szansa, że się powiedzie, wzrosła. Wydawało się, że Vito rozwiązał swe kłopoty i dobry humor Susan zniknął.

Oczywiście wtedy cały budżet dawno już znajdował się w koszu. Przy takiej ilości czasu zmarnowanego na zarzucone scenariusze i szukanie reżysera Siegel będzie musiał kręcić w rekordowym tempie, tak zwanym „czasie platynowym”, który zaczyna się, kiedy nie ma już możliwości zrealizowania filmu w czasie dwa razy krótszym od przewidzianego, a wszystkim zaangażowanym w kręcenie trzeba płacić potrójną stawkę, jeśli film ma być zakończony w terminie, dzień pracy trwa dwanaście godzin i trzeba też pracować w weekendy i święta. Ale jakie znaczenie ma dla filmu mającego stać się sensacją roku dodatkowy milion dolarów na płace dla ekipy? Czy Curt nie sformułował tego właśnie tak? Jej ojciec nazwałby to nieco ostrzej, a może w ogóle by na coś takiego nie pozwolił, ale za jego czasów reżyserzy nie byli tak wszechwładni jak teraz.

Susan Arvey zaczęła powoli szczotkować włosy. Przygotowywanie się do snu było uspokajającym rytuałem i nigdy się wtedy nie śpieszyła, choćby było bardzo późno. Szczotkowała i szczotkowała, uśmiechając się

do swego odbicia w lustrze na wspomnienie tego, jak młody Danny Siegel natychmiast sprawił, że Redford i Nicholson polubili go i obdarzyli zaufaniem. Było w nim coś, jakaś dynamiczna siła, młodzieńcza, świeża wyobraźnia, której nie można się było oprzeć, kiedy przychodził mu do głowy genialny pomysł, kiedy znajdował najbardziej nieoczekiwany i wymagający sposób posłużenia się aktorami, oni natychmiast pozytywnie reagowali.

Susan nigdy nie zapomni dnia, w którym Curt wrócił do domu i powiedział, że na propozycję Siegela Redford i Nicholson postanowili zamienić się rolami, że Redford zagra księcia mafii, a Nicholson białego anglosaskiego protestanta. Curt powiedział, że Vito zaraził się ich entuzjazmem, że zupełnie się zgadza z Siegelem, że to wspaniały pomysł, że Vito jest całkowicie przekonany, iż tylko jakiś młody studenciak szkoły filmowej mógłby obsadzić Redforda w roli tytułowej, że tylko nędzny producencina obsadziłby Nicholsona w roli makiawelicznego mafiosa, że pozwolić im zagrać wbrew ich emploi jest aktem odwagi i geniuszu, którego Hollywood nigdy nie zapomni.

Charakteryzatorzy zrobili, co mogli, zwłaszcza że obaj bohaterowie musieli się podczas trwania filmu postarzeć o dwadzieścia pięć lat, ale przy gwiazdach takich jak Redford i Nicholson istniało ścisłe ograniczenie ilości makijażu zmieniającego ich twarze słynne na całym świecie. Susan Arvey weszła do garderoby, żeby włożyć szlafrok, zamknęła za sobą drzwi i poddała się fali ogarniającej ją wesołości, która u kobiety nie umiejącej się tak dobrze opanować zmieniłaby się w wybuch hysterii.

Redford z przyciemnionymi blond włosami, lecz obciążony swymi anielskimi, błękitnymi oczyma, niezniszczalnym uśmiechem dobrego

faceta, cudownymi zębami, całym osobistym bagażem anglosaskiego dziedzictwa, promieniejący słodyczą - na litość boską - knujący przeciwko najlepszemu przyjacielowi ze zbieraniną groźnych mafiosów, z których każdy ma być członkiem jego własnej rodziny. Nicholson, z tym doskonałym anglosasko-protestanckim tupecikiem nad stonowanymi, lecz niewątpliwie diabolicznymi brwiami, złośliwie błyskającymi oczkami, cudownie szalonym uśmiechem, ze swoim rechoczącym, nieprzyjemnym śmiechem, najwyraźniej nie mający najmniejszych problemów ze zdobyciem zaufania amerykańskich wyborców... Obaj aktorzy dokładają wszelkich starań, Bóg świadkiem, ale kompletnie nie potrafią uwolnić się od podstawowych i głęboko osobistych cech, dzięki którym są gwiazdami, a nie zaledwie aktorami. Chryste, przez większą część charytatywnego pokazu nie miała odwagi spojrzeć na ekran, w obawie, że wybuchnie niepohamowanym śmiechem. Musiała się skoncentrować na swej pogardzie dla dobroczynnego tłumu, składającego się z samych cywilów.

Tak byli podekscytowani zdobyciem upragnionych, drogich biletów, tak przytłoczeni scenerią i wyszukаныmi dekoracjami, tak przejęci ugruntowaną sławą gwiazd na ekranie, tak zachwyceni wiernym oddaniem intrygi książki, że nie ośmielali się zaufać własnemu osądowi na temat obsady, nawet zakładając, że jakikolwiek osąd wydawali. Krytykami, powiedziała sobie, nie są. Krytycy, prawdziwi krytycy, będą mieli coś do powiedzenia już wkrótce.

- Jesteś skończony, Vito - powiedziała sobie radośnie Susan Farber Arvey i przesłała swemu odbiciu pocałunek.

- Susan? Gdzie jesteś u diabła? - Mąż krążył pod jej łazienką, nigdy nie ośmielając się wtargnąć do jej sanktuarium.

- Zaraz wychodzę - zawołała. Przypomniała sobie, że przecież dwadzieścia lat małżeństwa... będzie musiała się ulitować nad biednym niezgłą, jak jej ojciec nazywał go do końca życia. A przynajmniej dzisiejszego wieczora.

- Zmęczony? - spytała współczująco, wychodząc z łazienki i obwiązując szarfą atlasowy szlafrok.

- Tak, wykończony. Te przeglądy wysysają z człowieka wszystkie siły, mimo że prasa jeszcze nie widziała filmu.

- Myślę, że Dianę Keaton jest rewelacyjna, kochanie, nie miałam pojęcia, że może być tak zniewalająco seksowna. Kiedy kobietę można przekonać, że inna kobieta jest seksowna...

- Ta scena, kiedy Romanos uwodzi ją w apartamencie w Marriotcie, gdy Sutherland wygłasza swoje wielkie przemówienie wyborcze w sali balowej...

- To była tak wulgarna i nieprzyzwoita scena, jaką tylko da się pokazać na ekranie... wszyscy będą o niej mówili... Mogłabym ją oglądać bez końca.

- Nigdy nie sądziłem, że uda nam się zdjąć z niej tyle ubrania - powiedział Curt Arvey.

- Wszystkie jej ubrania były świetne, kochanie. Wygląd Annie Hali zniknął na zawsze. Właściwie wszyscy, którzy mieli coś wspólnego z kostiumami, powinni dostać podwyżkę.

- A muzyka, Susan, czy nie była wspaniała?

- Ciągle mi brzmi w uszach, szczególnie motyw przewodni.

- A co z dekoracjami, Susan? Mówiłem ci, że będą dobre, nawet bez tych cholernych domów, których nie mogliśmy wynająć w Newport.

- Kto się dowie? Gdybym sama nie była w Newport, przysięgłabym, że kręciliście zdjęcia tam. Vito miał wspaniałego scenografa, Curt, nie tylko Newport, cały film był obłądny.

- A ta Dianę! - Curt Arvey gwizdnął. - Kiedy sobie pomyślę, że Vito chciał mieć Fondę... cieszę się, że go od tego odwiodłem.

- Zdumiewające, że odwiodłeś Vita nawet od tego drobiazgu, kochanie. Zdajesz sobie sprawę, że cały film jest jego, całkowicie jego. Film Vita Orsiniego, nie zapominaj. Wizja Vita kochanie, jego odpowiedzialność, jego końcowa aprobata, jego wszystkie najważniejsze decyzje.

- Susan układała poduszki na łóżku, żeby leżały dokładnie tak, jak lubiła, czego nie mogła się nauczyć żadna pokojówka. Odwróciła się do Curta, który siedział na swoim łóżku wpatrzony w przestrzeń.

- Wiesz, Curt, byłabym ostatnią osobą, która nie doceniałaby roli wytwórni. Ty wyłożyłeś pieniądze na film, stanowi on część twojej rocznej produkcji, ale spójrzmy prawdzie w oczy; kochanie Vito Orsini zgarnie wszystkie pochwały, nie ma rady. Muszę uczciwie przyznać, że bez względu na to, czy go lubię czy nie, a nadal go nie lubię, w ostatecznym rachunku to on jest twórcą tego filmu i jego ewentualny sukces nie ma tu nic do rzeczy. Zakładam, że tak jak przy Zwierciadłach, Vito przypisze sobie wszystkie zasługi i jak zwykle będziemy musieli przyglądać się z boku, jak spływa na niego cały splendor, a nazwy wytwórni, która sfinansowała sprawę, nikt nawet nie będzie pamiętać.

- Tak, masz rację, Susan. - Curt Arvey uśmiechnął się po raz pierwszy od pięciu godzin. - Tak, racja, to od początku do końca dziecko Vita, do ostatniej klatki. Chyba spróbuję się przespać, Susan.

- Śpij dobrze kochanie. - Susan Arvey czule ucałowała męża. Planując jutrzejsze odwiedziny u Magnina na posezonowym pokazie mody Geoffreya Beenea pomyślała, że za tę swoją wieczorną działalność powinna pójść prosto do nieba dla żon. Beene był jej ulubionym projektantem i Susan pomyślała, że może zamówi sobie po jednej sztuce z każdego modelu. Właściwie była tego pewna.

W dniu, kiedy Curt przyszedł do domu i opowiedział jej o zamianie ról Redforda i Nicholsona, w dniu oznaczającym przejęcie filmu przez Danny'ego Siegela, kiedy to Vito mimo swej megalomanii nie zauważył pułapki, w jaką wchodził, bo był tak niewiarygodnie nadęty poczuciem swej nieomyślności, że dołączył do grupy szaleńców małego Danny'ego, otóż w owym dniu Susan Farber Arvey powiedziała mężowi, że musi uzależnić wypłatę zysków za Zwierciadła od przyszłych zysków z Białego Amerykanina i to od razu. Wtedy nie zawracała sobie głowy owijaniem słów w bawełnę, powiedziała: „Musisz” i właśnie to miała na myśli. Curt posłuchał jej bez sprzeciwu, Vito nie robił trudności ze zmianą umowy, w równym stopniu zaślepiony świadomością, że nie może popełnić błędu, co przekonany groźbą Curta, że zarzuci realizację filmu i odpisze go sobie od podatku jako stratę.

Pomyślała beztrąsko, że mimo dzisiejszego uroczystego rozpoczęcia reakcji łańcuchowej bilans roczny wytwórni Arveya nie zmniejszy się ani o grosz, bo Biały Amerykanin, film za trzydzieści milionów dolarów, który nie tylko nic nie zarobi, ale i straci każdego włożonego weń centa, jest całkowicie ubezpieczony finansowo przez zyski ze Zwierciadeł, które systematycznie napływały z całego świata.

Coraz wyraźniej uzmysławiając sobie tę radosną prawdę finansową,

Susan Arvey postanowiła, że pojutrze zarekwiruje jeden z odrzutowców wytwórni, poleci do Nowego Jorku i zrobi jakieś porządne zakupy, bo ostatecznie ile można wydać na ubrania? Może powinna się zastanowić nad zmianą wystroju całego domu. Właściwie to jakby się sprawie przyjrzeć, to aż się o to prosi. Rano zadzwoni do Marka Hamptona. Stwierdziła, że zasługuje na drobne radości.

Redford i Nicholson nic nie tracą. Z łatwością zbędą śmiechem tak ewidentnie nie utrafią obsadę... to dla nich drobne niedociągnięcie, nawet nie to. Ale Vito! Vito miał możliwość zablokowania zamiany ról od samego początku. Vito mógł zwolnić tego karygodnie skretyniałego Siegelka, zastąpić go jakimkolwiek kompetentnym zerem, a film, przy takim scenariuszu i pierwotnej obsadzie, stałby się klasykiem, ogromną kurą znoszącą złote jajka dla wszystkich.

Ach, Vito, ty niepoprawny optymist, w końcu zrobiłeś fatalny błąd, którego Hollywood nigdy ci nie wybaczy ani nie zapomni... twój pierwszy duży film, pierwsza wielka szansa, okazja ugruntowania sukcesu psim swędem zdobytego Oscara, a ty ją kompletnie spieprzyłeś. Wszyscy w tym mieście będą zachwyceni twoją klęską. Ale czy nie prosiłeś się o to już od dawna? Susan Arvey skreśliła w myślach Vita Orsiniego z listy osób, z którymi ma wyrównać porachunki. Nie może już mu zrobić nic, czego sam sobie nie zrobił.

Zastanawiała się, czy Curt kiedykolwiek otwarcie przyzna, że to ona nakłoniła go do finansowego powiązania obu filmów, że to ona w porę zauważyła górę lodową, która zatopiła „Titanica”. Prawdopodobnie nigdy nie przyzna, że miała rację. Trochę późno zdała sobie sprawę, że poślubiła człowieka, który tak samo ją lekceważył jak jej własny ojciec, ale na taki

klasyczny błąd nie ma rady.

No, ale w ostatecznym rachunku ma na jakieś dwa czy trzy lata - może cztery - punkt przewagi nad Curtem i on o tym wiedział. Kiedy po obejrzeniu filmu ludzie uciekają się do wzajemnych zapewnień, że muzyka była świetna, to zostało osiągnięte dno. Radośnie zapadając w sen Susan Arvey żałowała, że jej ojciec, ten ślepo szowinistyczny stary drań, nie wysłuchał jej ostatniego występu. Ale nie, był pewnie zbyt zajęty przewracaniem się w grobie. W jego czasach za trzydzieści milionów dolarów można było kupić spory kawałek Los Angeles. Co też w swoim czasie zrobił.

Maggie MacGregor odepchnęła do tyłu fotel na kółkach, na którym siedziała, i ułożyła stopy na swoim zaśmieconym biurku. Cotygodniowe spotkanie w celu omówienia jej programu już się skończyło; producent, kierownik produkcji, jego liczni zastępcy, scenarzyści i reszta krążących wokół programu luźnych współpracowników, bez których, według kierownika sieci telewizyjnej, program nie pojawiałby się co tydzień na antenie, wyszła, zabierając ze sobą fajansowe kubki i resztkę pączków.

Znalazszy się zupełnie sama Maggie zapomniała o programie, który z takim przejęciem wszyscy planowali, i zastanowiła się nad najważniejszym faktem spotkania. Nikt nawet mimochodem nie wspomniał o Białym Amerykaninie.

Film nie doczekał się jeszcze ani jednej recenzji, nawet w hollywoodzkich czasopismach filmowych, które swoje recenzje publikują przed gazetami codziennymi. Całostronicowe reklamy filmu pojawiały się od dwóch tygodni, a w kinach premierowych od kilku miesięcy wyświetlano zwiastuny Białego Amerykanina. Film za trzy dni miał wejść na ekrany ośmiuset kin w całym kraju i na spotkaniu nikt, nawet najniżej postawieni gońcy, jakby zupełnie nie słyszał o jego istnieniu.

Maggie mogłaby przysiąc, że nikt z jej ekipy nie odznacza się taktem, lecz najwyraźniej była w błędzie. Wszyscy byli niezwykle taktowni: całemu pokojowi ludzi udawało się kompletnie ignorować obecność rozkładającego się trupa słonia na środku pokoju, który ważył o tonę więcej niż wszyscy oni razem wzięci i wydzielał straszliwy smród.

Oczywiście, gdyby byli wielkimi aktorami, mogliby się poważyc na jakąś lekką wzmiankę o filmie, jakby nie miał z nią żadnego związku, ale

nie dysponując aż takim talentem mądrze wybrali ślepotę. Czy przed dzisiejszym spotkaniem wszyscy się zebrali i umówili co do postępowania? Zdała sobie sprawę, że pewnie tak, bo nikt nie zrobił fałszywego kroku, a taka dyscyplina ze strony jej zwykle pozbawionych najmniejszego szacunku i niesfornych podkomendnych była nie do pomyślenia bez przygotowania. Na tych spotkaniach nie było nic świętego, najpodlejsze i najbardziej nieprzyzwoite zawodowe plotki były traktowane jako coś zwykłego; żadna gwiazda, choćby i największa, nie wzbudzała w nich szacunku, a żadna historia nie była dla nich na tyle skandaliczna czy wulgarna, by uznali ją za znajdującą się poza zasięgiem ich języków.

Maggie przyjęła, że o niej i o Vicie wiedzieli wszyscy od wielu miesięcy, a pewnie i dłużej, najprawdopodobniej od samego początku, ponieważ przed ludźmi pracującymi dla niej i przez nią wyszkolonymi nic takiego nie mogło pozostać tajemnicą. Doniosłaby im o tym rutynowo jej własna, rozległa i świetnie zorganizowana siatka szpiegowska, sięgająca do każdego zakątka przemysłu filmowego. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że wieści o Białym Amerykaninie rozeszły się tak szeroko bez jednego profesjonalnego pokazu.

Gdyby to był tylko rozczarowujący i niepewny film, który na pewno oprócz złych recenzji zbierze i kilka dobrych, film, na który mimo sprzecznych opinii pójdzie wiele osób, aby zobaczyć wspaniałą obsadę i kosztowne dekoracje, Biały Amerykanin nie byłby tematem tabu, nawet gdyby ona i Vito byli małżeństwem. Ci ludzie pracowali dla niej zbyt długo, aby myśleć, że Maggie będzie urażona ich spekulacjami co do przyszłości takiego filmu, i raczej zajęliby się wymyślaniem sposobów na

zapewnienie mu nieco dobrej prasy.

A zatem ich milczenie oznaczało, że jest nawet gorzej niż myślała. Nie mówi się o sznurze w domu powieszzonego. Czy nie jest właśnie tak? Kto by pomyślał, że jej ekipę stać na taką delikatność? Więc film Vita rzeczywiście zrobi kompletną klapę, a wieść o tym już się rozniosła.

Maggie była zaskoczona, ale tylko tym, że jej zaskoczenie wcale nie jest wielkie. Miłość do Vita nie zamieniła jej mózgu w kaszkę mannę. Słuchała jego barwnych opowieści o komplikacjach z całą galerią scenarzystów i reżyserów, przekonana, że Vito jak zawsze wszystko jakoś doprowadzi do dobrego końca. Kłopoty w okresie przedzdjęciowym były przy robieniu filmu tak normalne jak pieluchy przy małym dziecku.

Kiedy jednak Vito powiedział jej o zamianie głównych ról, musiała się odwrócić, by ukryć zaskoczenie. Później tego samego wieczora udało się jej niby mimochodem wtrącić, że nie wyobraża sobie Przemiętło z wiatrem z Rettem Butlerem granym przez Lesliego Howarda i Clarkiem Gable'em w roli Ashleya Wilkesa.

- To by nie wyszło, Maggie - zgodził się wtedy Vito. - Ale ten film to nie to samo, wcale nie to samo. - I to była jego jedyna reakcja, bo namiętność do pomysłu, który uważał już za swój, zbyt go zaślepiła, żeby chociaż zastanowił się nad jej ostrzeżeniem.

Wysłuchując się w ciszę panującą w budynku, z którego wszyscy oprócz niej wyszli na lunch, Maggie spytała samą siebie, czy właśnie wtedy nie zaczęła się kończyć jej miłość do Vita.

Pewnie tak. Znała siebie na tyle dobrze, by traktować sprawę z dystansem. Przede wszystkim dbała o samą siebie. Nie utrzymałaby się w tym interesie, nie zaszłaby tak daleko, gdyby ciągle nie pilnowała własnej

dupy.

Miłość była luksusem, na jaki rzeczywiście nie powinna sobie pozwolić przy tej pracy, ale kiedy Vito i Billy się rozeszli, postanowiła sobie dogodzić. Okazja była zbyt cudowna, żeby ją przepuścić. Miłość była jak jedna z tych wspaniałych sukienek: zbyt kosztowna, nie dałoby się jej włożyć tyle razy, by usprawiedliwić jej cenę, powinno się ją zostawić w sklepie dla jakiejś innej frajerki - ale i tak się ją kupowało, bo życie jest za krótkie i gdyby się tego nie zrobiło, to żałowałyby się do końca swych dni.

Mogła sobie pozwolić na miłość, mimo że cena była dość wysoka, ale nie mogła sobie pozwolić na związek z kimś skończonym. Maggie powiedziała sobie, że ma dwie publiczności: telewizyjną, która nawet nie wiedziałaby, że Vito Orsiniemu powięła się noga, a nawet gdyby, to nic by ją to nie obchodziło, oraz ważny krąg osób wtajemniczonych w działanie przemysłu filmowego, które szanowałyby ją i bałyby się jej mniej niż muszą, gdyby dowiedziały się, że ona i Vito nadal są razem mimo Białego Amerykanina i przyjęcia, jakie spotka film.

Dzięki Bogu, Vito nigdy nie proponował jej małżeństwa! Mogłaby się zgodzić i jak by teraz wyglądała? Wzdrygnęła się myśląc o kobietach, które cały czas muszą się uśmiechać, kobietach zmuszonych do lojalności bez względu na sytuację. Taka linia postępowania zawsze była jej obca. Serdeczne dzięki, ale nie staje do współzawodnictwa o Nagrodę im. Żony Normana Maine'a.

Maggie wykręciła numer nowojorskiego biura sieci, łącząc się bezpośrednio z wszechmocnym wicedyrektorem i dyrektorem programów specjalnych Fredem Greenspanem, który właśnie wrócił ze wzmacniającej

go, niespiesznego lunchu na Manhattanie, trwającego niemal tak długo, jak obiady celebrowane przez Rzymian. W ciągu dziesięciu minut wymyślili serię programów, które Maggie zrealizuje na Manhattanie. Na ulicach pięciu dzielnic Nowego Jorku kręcono wystarczająco dużo filmów, aby dać jej zajęcie na kilka miesięcy. Kiedy będzie mogła zacząć?

- O rany, Fred, przecież mnie znasz... kiedy przyjdzie mi do głowy jakiś pomysł, to nie mogę się doczekać, aby zacząć go realizować. Zobaczmy - mogę się spakować po południu i złapać nocny samolot. Wyślij po mnie na lotnisko samochód, dobrze? Kolacja jutro? Ależ, Fred, będę zachwycona! Obiecujesz nie mówić o sprawach zawodowych? Będę cię trzymać za słowo, Fred. Wiem, że zawsze robiłeś do mnie słodkie oczy... ale mogę się założyć, że nadal nie jesteś gotów nic z tym zrobić.

* * *

Gigi siedziała w wyłożonym perkalowymi poduszkami wykuszu swego pokoju z najlepszą przyjaciółką, Mazie Goldsmith. Dziewczyny siedziały po turecku, miały na sobie znoszone dżinsy i wyblakłe bawełniane koszulki, o których godnej pozazdrosczenia i zaszczytnej historii świadczył zszargany wygląd; przypominały sztandary bojowe jakichś zapomnianych pułków. Miarowo sięgały do talerza pełnego ciasteczek z potrójną ilością czekolady i świeżą polewą kokosową, które Gigi właśnie upiekła. Było sobotnie kwietniowe popołudnie.

Mazie i Gigi wypracowały sobie schemat postępowania, który odpowiadał i Billy, i Goldsmithom. Prawie w każdy piątkowy wieczór nocowały w domu rodziców Mazie w Brentwood, gdzie ojciec Mazie, zajmujący wysokie stanowisko w wytwórni MGM, niezmiennie gromadził niewielkie grono znajomych i wyświetlał w swej salce kinowej jakiś nowy

film, po czym następowała zimna kolacja i jeszcze jeden film, bardzo często jakiś klasyk czy film zagraniczny. W sobotę rano dziewczyny jechały do Billy i tam spędzały dzień. Mazie zostawała na noc i wyjeżdżała w niedzielę akurat na czas, żeby zjeść z rodziną kolację.

Mazie Goldsmith była dziewczynką, która pewnego dnia zamieni się w klasyczną czarnowłosą piękność, co było jasne dla każdego dorosłego na pierwszy rzut oka. Nic jednak nie mogło jej teraz o tym przekonać: była za wysoka, miała nadwagę siedmiu kilogramów dziecięcego tłuszczu i grube okulary, które bała się zamienić na szkła kontaktowe. Mazie dostawała świetne stopnie, prawie tak dobre jak Gigi. W dniu, kiedy Gigi zaczęła naukę w Uni, obie dziewczynki wyłowiły się wzajemnie z tłumu, rozpoznając w sobie bratnie dusze.

Siedemnastoletnia już Gigi chodziła do trzeciej klasy szkoły średniej. Od czasu przyjazdu do Kalifornii urosła pięć centymetrów i mierzyła już 160 centymetrów. Zachowała całą delikatność swej budowy, która sprawiała, że na pierwszy rzut oka wyglądała wiotko, ale w jej postawie zaszła subtelna zmiana. Zamaszyste ruchy, które niegdyś rekompensowały jej niski wzrost, teraz wyrażały absolutną pewność siebie. Chociaż w żadnej grupie nigdy nie wysuwała się na pierwszy plan, jej wyprostowana sylwetka i nieświadoma elegancja ruchów przyciągała uwagę innych, czego Gigi jednak nie zauważała.

Bez względu na to, w jak niedbalej pozycji się ułożyła, tworzyła niezapomniany obraz, jak nie potrafiąca siedzieć czy stać bez wdzięku baletnica. Jej brązowe włosy, na których eksperymentowała Sara, dopóki krótka, prosta fryzurka o włosach delikatnie podkreślonych na końcach ku górze nie osiągnęła doskonałości, były przetykane jaskrawymi pasemkami

koloru nagietków w różnych odcieniach od czystej pomarańczy do głębokiej terakoty. Gigi nauczyła się używać brązowego ołówka do przyciemniania jasnych, mocno wygiętych brwi i umiejętnie nanosiła czarny tusz na swe długie, lecz niewidoczne rzęsy. Teraz jej głęboko osadzone oczy ocienione ciemnymi rzęsami wzbudzały natychmiastową ciekawość. Ludzie widzący Gigi po raz pierwszy w życiu podchodzili bliżej, powodowani mimowolną ciekawością, by określić kolor jej zielonych jak liście tęczęwek. Miała wyraziste oczy, lecz jej spojrzenia nadal były nieśmiałe i nieświadome zalet kokieterii. Czysta, mleczna skóra Gigi zdradzała jej emocje, bo dziewczyna łatwo się rumieniła. Miała w sobie sporo teatralności, a gładki wygląd podlotka z lat dwudziestych, który odkryła w niej Billy, został czarująco podkreślony. Wydawało się, że Gigi ma w sobie niewyczerpane zasoby śmiechu, bo nawet kiedy była poważna, unosiła się nad nią wesołość jak delikatny zapach perfum.

Tego popołudnia Gigi i Mazie doszły do wniosku, że jest jeszcze zbyt wilgotno i zimno, żeby pojechać na plażę, za wcześnie na odrabianie matematyki, co było pretekstem ich spotkania, i zbyt przyjemnie razem, żeby zacząć dzwonić po znajomych, aby się dowiedzieć, co planują na ten wieczór. Ich liczne koleżanki i koledzy chodzili wszędzie stadami; żadna dziewczyna nie umawiała się na randki z żadnym z chłopaków - po prostu w czasie weekendów osobnicy płci męskiej i żeńskiej z Uni ciążyli ku sobie wzywani tam-tamami młodzieżowego świata.

- Wyczułam, że kiedy wczoraj oglądaliśmy pełną wersję Ostatniego tanga w Paryżu, tata był trochę skrepowany, nie spodziewał się takich ostrych scen - odezwała się Mazie.

- Był zdenerwowany naszą obecnością, ale co mógł zrobić, kiedy

film już się zaczął? Wyprosić nas z pokoju przy wszystkich i zniszczyć reputację, jaką ma w Amerykańskim Związku na Rzecz Swobód Demokratycznych? Kiedy zapaliło się światło, spojrzał na mnie z zakłopotaniem, ale mama ani mrugnęła okiem.

- Nie uważasz, że był fantastyczny? - spytała Gigi.

- Ja tak.

- Nie jestem pewna, czy wszystko dokładnie zrozumiałam, było kilka niejasnych miejsc... ale tyłek Brando... hmm... a co z Brando, Gigi, czy kwalifikuje się do twojej drużyny?

- Całkowicie. Do pierwszego składu, do Drużyny Marzeń.

- Jesteś absolutnie pewna? Ten film ma już siedem lat i Brando od tego czasu przytył z tonę. Jest teraz Ojcem Chrzestnym. Jeszcze możesz się rozmyślić - zaproponowała wielkodusznie Mazie.

- Mazie, jeśli nie chcesz zobaczyć wyposażenia Brando, to nie masz w sobie ani krzty prawdziwej ciekawości. Mówimy tu o jednym z wielkich amantów wszechczasów, o jednym z wielkich aktorów, wielkich osobowości, zapomnij o jego tuszy, o jego wieku, pomyśl o jego duszy.

- Pamiętaj Gigi, że w Drużynie Marzeń masz tylko dziesięć miejsc.

- Brando wchodzi do mojej. A do twojej?

- Spokojnie, właśnie się zastanawiam. Może... może Belmondo. Kiedy tata pokazał Do utraty tchu, dostałam na jego punkcie fioła. On jest autentycznie seksowny, ma obłądne łożkowe usta... nie wolałabyś od Marlona Brando Belmonda? - spytała poważnie Mazie z oczyma zmrużonymi za szklami okularów.

- Nie - padła szybka odpowiedź Gigi. - Mogę sobie doskonale wyobrazić wyposażenie Belmonda, więc nie muszę dla niego marnować

miejsca w mojej drużynie. Założę się o wszystko, że ma dobrze podwieszony, bien pendu?, kawałek, jeśli Francuzi mają słowo na kawałek. Może umieścisz go w drugiej drużynie?

- Ach, druga drużyna - zapaliła się Mazie. Zdjęła okulary i rozchmurzyła się. Mazie uwielbiała nominacje do drugiej drużyny, bo nie były one tak zobowiązujące jak nominacje do Drużyny Marzeń. Do drugiego składu można było wyznaczyć mężczyznę, którego członek mógł się okazać niezadowolający, i nie martwić się za bardzo tym, że traci się okazję wyboru jakiegoś innego członka. Jak wybredny kolekcjoner w antykwariacie, który w końcu zdecydował się na trudny pierwszy zakup i zaczyna się rozglądać z nową chciwością, Mazie poczuła, że swobodnie może się zająć nominacjami do Drużyny Marzeń. - Woody Allen - oznajmiła.

- Momencik, Mazie, momencik - zaproponowała Gigi.

- Woody Allen od kilku miesięcy jest w mojej Drużynie Marzeń. Nie możesz tak nagle go zapragnąć dla siebie, to nieuczciwe.

- Dlaczego? I tak zobaczyłabyś go pierwsza. Nie musiałybyś mi nic mówić.

- No pewnie. Mogłabym się spokojnie przyjrzeć, może nawet zrobić mu zdjęcie polaroidem, a potem trzymałabym tę informację w tajemnicy przed tobą. Co za nędzna przyjaciółka byłaby wtedy ze mnie! - Gigi spojrzała ze śmiechem na swą zawsze rozsądną towarzyszkę i podała jej następne boskie ciasteczko.

- Chcesz powiedzieć, że podzieliłabyś się wrażeniami ze mną? Naprawdę?

- Jasne, że tak. Pomyśl, jak mogłyby się nam podobać jego filmy,

gdybyśmy znały ostateczną prawdę, gdybyśmy wiedziały, co naprawdę kryje się pod tymi zmiętymi boksyerskimi spodenkami, w których wiecznie paraduje? Musi być jakaś przyczyna, że nigdy nie wkłada nic obcisłego.

- Ale w zasadach nie ma dzielenia się informacjami - zaproponowała Mazie.

- Posłuchaj, to ja wpadłam na pomysł tej zabawy, więc dzisiaj ustalam nową zasadę, zasadę dzielenia się informacjami, która każdej z nas daje podwójne możliwości.

- Ale czy nie chodziło tu o ich zmniejszenie? O udrukę?

- Mazie, traktujesz to zbyt poważnie, musisz się rozluźnić. I tak nigdy nie zobaczymy, co mają, więc dlaczego nie mamy być pazerne? Do roboty. Ja wezmę Sinatrę. Drużyna Marzeń. - Na widok przerażonej miny Mazie Gigi tryumfalnie strzeliła palcami.

- Wielki Boże, Gigi, bierzesz coraz starszych! To jakiś wygłup czy po prostu perwersja?

- Zainteresowanie historyczne. - Gigi przymierzyła okulary Mazie, w których wyglądała tak wyniośle, jak Gloria Steinem. - Może błękitnooki staruszek ma błękitnego ptaka. Pamiętaj, że w czasach jego młodości tabuny kobiet były zdolne z jego powodu zabijać.

- No dobrze, w takim razie wezmę Richarda Nixona, ja też mogę mieć trochę nie po kolei w głowie.

- To już coś więcej niż nie po kolei Mazie, nie radzę ci tego robić, naprawdę nie radzę. Będę udawała, że wcale nie słyszałam tej kandydatury - rzekła wielkodusznie Gigi.

- Dobra. A ja ci nie policzę Sinatry. Teraz do roboty. Dustin Hoffman, chcę zobaczyć Dustina Hoffmana w Drużynie Marzeń.

- Ja od czasu Absolwenta też. Obie upieramy się przy Dustinie Hoffmannie. Czysty podwójny przypadek Drużyny Marzeń, to trzeba zobaczyć - zgodziła się Gigi. - Ale wkraczając do świata literatury... Norman Mailer?

- Nigdy! Nawet w piątej drużynie.

- Tylko cię wypróbowałam. On nie wychodzi na boisko, nie podaje nawet piłek z tą swoją świętą spermą.

- Philip Roth?

- Nie ma mowy - odparła Gigi.- Poza tym, że to zupełnie banalna kandydatura, jest ona zbyt oczywista. A jak się już przeczyta Portnoya, to jego ostre sceny robią się takie oklepane, że tracą urok nowości. Zmarnowany głos. Ciekawe, czy stary J.D. Salinger jeszcze się nadaje?

- Och Gigi, przestań! To pustelnik!

- Tak, ale potrafił pisać. Złote starocie, Mazie. Stary, ale jary.

- Gigi, jeśli jeszcze raz wspomnisz Waltera Cronkite'a, to z nami koniec.

- Założę się, że jest obłądny. Mam go w Galerii Zasłużonych... można przejść na emeryturę, ale członkostwo zachowuje się na całe życie.

- Znowu nowa zasada - jęknęła Mazi.

- Jestem dzisiaj w buntowniczym nastroju. Gdybym mogła, obaliłabym konstytucję i zaczęłabym w tym kraju wszystko od nowa. Wybieram Andy Warhola. Drużyna Marzeń.

- Gigi!

- Mówię, że Warhol! To mój wybór, moje prawo, moja drużyna.

- To absolutnie obrzydliwe! Och Gigi, jesteś okropna!

- Ale ty sama nigdy byś o nim nie pomyślała, prawda? - zapiała

tryumfalnie Gigi. Bawiła się w równym stopniu reakcjami Mazie, co swymi kandydaturami. - Czy nie należą mi się punkty za oryginalność? - Brwi Gigi podskoczyły pod grzywką w dzikim tańcu, której to sztuczki nerwy Mazie nigdy nie mogły wytrzymać.

- Czasem się o ciebie martwię. - Mazie zjadła ostatnie czekoladowe ciasteczko z pełnym troski westchnieniem. W ciągu ostatnich kilku tygodni Gigi bez ostrzeżenia zrobiła sobie pasemka wylewając całą butelkę wody utlenionej na grzebień i przeciągając nim po swych ładnych, brązowych włosach; oddała do polakierowania na szokujący różowy kolor nieskazitelnie białe, nowe volvo, które dała jej pani Ikehorn, ponieważ był to najbezpieczniejszy samochód na rynku, a teraz jej fantazje wymykały się spod kontroli... Sinatra... Warhol... czy to jakiś zły omen?

- Gigi - odezwała się ostrożnie Mazie - a drużyna piłkarska Uni?

Gigi wydała kilka głośnych, przekonująco realistycznych dźwięków wymiotnych. - Błę! Żadnych chłopaków! Przecież wiesz, że ma nie być żadnych chłopaków! Fuf, pfe, i jeszcze raz fuf!

- Słusznie - powiedziała Mazie z ulgą. Gigi nie sprzeniewierzyła się ich głównej zasadzie.

- A trener? - zapytała chytrze.

- Ach, trener, ten wieczny problem, moja Mazie, moja stara przyjaciółko, oto pytanie, czy zainteresować się trenerem. W tej sprawie jeszcze nie mam zdania. Wybór trenera jest trochę banalny, ale... on jest jednak obłądny. Chyba nie mogę się zdecydować, czy naprawdę chcę zobaczyć penisa prawdziwej osoby, osoby, którą widuję na terenie szkoły, osoby, którą znam osobiście, może brałabym na siebie zbyt dużą... odpowiedzialność.

- Nie rozumiem, dlaczego miałabyś się czuć odpowiedzialna. Przecież nie musiałabyś mu mówić, że go widziałas.

- Ale pokusa byłaby straszna. Powiedzmy, że zobaczyłabym go i że mi się spodobał. Że go zapragnęłam. Wtedy musiałabym spróbować uwieść trenera, żeby doszło do... zbliżenia.

- Pragnąć go? Kto kiedykolwiek mówił o pragnieniu?

- wykrzyknęła zaniepokojona Mazie.

- Ależ to oczywiste, że to musiałby być następny krok. Po zobaczeniu pragnienie, po pragnieniu dotknięcie.

- Nie, nie! - zawołała Mazie z oburzeniem. - Absolutnie nie... zmieniałaś o jedną zasadę za dużo. Posunęłaś się za daleko! Dotykanie! Wiesz, że powiedziałyśmy sobie, że nie ma żadnego dotykania!

- Żadnego dotykania, nigdy w życiu, obiecuję - zgodziła się pośpiesznie Gigi, której udało się przestraszyć samą siebie.

- Nie ma mowy o trenerze! Tylko już o nim nie wspominaj, nie przypominaj mi o nim.

- Spokojna głowa.

- Dziewczęta? Dziewczęta! Odrabiacie matematykę? - dobiegł je zza drzwi głos Billy.

- Tak pani Ikehorn - odpowiedziała szybko Mazie. - Jesteśmy w samym środku.

- To dobrze, bo jeżeli zrobiliście jakieś postępy, to możecie sobie zrobić przerwę. Pomyślałam, że może chciałybyście dostać się na wczesny seans Sprawy Kramerów, a potem zjeść hamburgera w „Hamlecie” - to znaczy jeśli nadal chcecie zobaczyć Dustina Hoffmana.

- Och, tak - odparła pośpiesznie Gigi - zdecydowanie tak.

Skończymy na czas Billy, możesz na to liczyć.

* * *

W trakcie swej kariery Vito Orsini miał wzloty i upadki, jednak nikt nie mógł powiedzieć, że widział go przygnębionego. Jego zuchwała, energiczna twarz nigdy nie przybierała wyrazu słabości, Vito znosił kłopoty z tą samą pewnością siebie, z jaką podchodził do sukcesów. Dzięki jego włoskiemu pochodzeniu, arystokratycznie orlemu nosowi, mocno zaznaczonym ustom i wrażeniu powodzenia we wszystkich przedsięwzięciach nigdy po nim nie było widać rozczarowania czy choćby śladu przegranej. Z łatwością sprawiał wrażenie silnego. Kiedy zadzwonił do Maggie, chcąc się umówić na kolację, i wysłuchał nagranej wiadomości, że wyjechała z miasta i można się z nią skontaktować jedynie zostawiając swoje nazwisko i numer telefonu, przyjął to tylko z gniewnym grymasem ust i zmarszczonym czołem. Żaden obserwator nie zdałby sobie sprawy, że Vito właśnie otrzymał miarodajne oświadczenie, że Biały Amerykanin padł, zupełnie jakby wyczytał to w tytule na pierwszej stronie New York Timesa. Znaczenie nagłego wyjazdu Maggie było oczywiste dla wszystkich oprócz Vita.

Odkładając słuchawkę Vito pomyślał, że Maggie, która uważa się za tak bystrą, jest jednak głupia i kiedy film odniesie sukces, będzie się czuła jak idiotka. Gorzej, będzie wiedziała, że zachowała się jak tchórz, a głupi jest on, skoro spodziewał się większej filmowej mądrości po dwudziestosiedmioletniej telewizyjnej plotkarce, która jeszcze pięć lat temu pisała dla jakiegoś kobiecego czasopisma. Do diabła z nią, pomyślał, i nie zaprzętał już sobie głowy jej nieobecnością. Nigdy jej nie kochał, ale sądził, że była tą rzadko spotykaną kobietą, z którą mógł być szczery,

przyjaciółką, którą mógł pieprzyć i której mógł ufać. No więc pomylił się co do niej. Tam, gdzie chodzi o kobiety, życie jest pełne pomyłek, ale przegrana będzie Maggie.

Przez następnych kilka dni, kiedy zaczęły się pojawiać recenzje, Vito, zgodnie ze swoim długoletnim zwyczajem, nie brał do ręki żadnej gazety i nie omawiał recenzji z ludźmi, którzy je czytali. Na początku swej kariery, kiedy pojechał do Włoch i zrealizował szereg zjechanych przez krytykę spaghetti westernów, zdecydował raz na zawsze, że publiczność wie, co chce zobaczyć na ekranie, i żaden recenzent nie powstrzyma jej przed chodzeniem do kina. Tak pogardzane westerny przyniosły mu zdumiewające zyski. Jednak kilka późniejszych filmów, które uważał za swoje najlepsze dzieła i które krytyka bardzo chwaliła, nie przyciągnęły widzów do kin. Powiedział sobie, że wszystko to jest hazardem, a tym razem czuł, że ma szczęście, wyczuwał zapach sukcesu, sukcesu, w który wierzył cały czas podczas walki o wyprodukowanie Białego Amerykanina.

Zanim minął pierwszy tydzień od wejścia filmu na ekrany, Vito przestał wierzyć w swoje szczęście. Wpadł w panikę. Spadł z tak wysokiego konia, że rozczarowanie nie narastało powoli, a świadomość, że dobre początki filmu skończyły się zbyt szybko, nie ogarniała go stopniowo. Upadek był tak szybki jak upadek zgilotynowanej głowy z szafotu.

Pierwszego dnia, w piątek, wpływy kasowe były duże, ponieważ zagorzali wielbiciel Redforda i Nicholsona powodowani niezdrową ciekawością chcieli zobaczyć na własne oczy, jak film jest niedobry, nie mogąc przyjąć jednogłośnie stwierdzenia krytyki, że nikt nie powinien zmarnować nawet jednej minuty na oglądanie potworności, jaką zrobiono

ze wspaniałej książki. Wszyscy recenzenci, którzy chwalili książkę, w zapale potępienia świętokradztwa, jakiego dopuściły się na niej hollywoodzkie potwory, nie zauważali żadnych zalet filmu. Krwiożerczość ta nie miała precedensu i nawet Susan Arvey nie potrafiła przewidzieć takiej żądzy niszczenia. Mimo wszystko drugiego dnia, a przynajmniej do pierwszego seansu o osiemnastej, wpływy kasowe były do przyjęcia, a zawsze istniała nadzieja, że interes zakwitnie w sobotę wieczorem.

Jednak poczta pantoflowa, ta nadzwyczajna instytucja, skuteczniejsza w działaniu od każdej kampanii reklamowej i silniejsza od magnetyzmu jakiegokolwiek gwiazdy, wykonała swoją robotę. Zupełnie jakby wszyscy, którzy widzieli Białego Amerykanina w piątek i sobotę, zadzwonili do dziesięciu osób, żeby im powiedzieć, jak film jest niedobry, a każda z tych dziesięciu osób zadzwoniła do kolejnych dziesięciu. Dzięki takiemu słownemu łańcuchowi publiczność nie stawiała się w kinach - z wyjątkiem kilku zapalonych kinomanów chcących na własne oczy zobaczyć film, zanim zostanie zdjęty, żeby móc dokładnie opowiedzieć innym, o ile był gorszy niż się spodziewali.

Wszystkim, którzy zapłacili, żeby obejrzeć to dzieło, nie podobał się ani Redford jako intrygancki czarny charakter, ani Nicholson jako bezradny bohater pozytywny. Widzowie byli osobiście obrażeni każdą sceną filmu, ponieważ poczuli się oszukani sposobem, w jaki wykorzystano ich dwóch ulubionych gwiazdorów, co zachwiało ich wiarą w redfordowość Redforda i nicholsonowość Nicholsona. Tak jakby Vito oskalpował i wypatroszył świętego Mikołaja w sierocińcu w Boże Narodzenie.

W sobotę wszystko się skończyło. Dopóki właściciele kin nie sprowadzili awaryjnie kopii innych dzieł, film szedł przy pustych widowniach. Od chwili premiery Vito zerwał wszelką łączność ze wszystkimi ludźmi biorącymi udział w realizacji filmu. Cały czas spędzał jeżdżąc samotnie wokół Los Angeles, od San Diego do Santa Barbara i odległych zakątków doliny San Fernando, wyszukując kina, które zamówiły Białego Amerykanina i sprawdzając, czy widać przed nimi jakiegokolwiek oznaki życia. Wiedział, że zajęcie to jest bezcelowe i śmieszne, nie potrafił jednak go przerwać. Nie nadeszło jeszcze niedzielne południe, a Vito już wiedział, że pozostała mu do zrobienia tylko jedna rzecz.

- Twój ojciec - rzekł kamerdyner prosząc Gigi do telefonu.

- Cześć, tato - powiedziała Gigi starając się, by zaskoczenie w jej głosie nie było zbyt wyraźne. - Jak się masz?

- Wspaniale. Posłuchaj, jeśli nie masz nic lepszego do roboty, może byś poszła ze mną na kolację?

- Och! No... jasne... wspaniale! Z radością. Dokąd pójdziemy, to znaczy, w co powinnam się ubrać? - Gigi zdawała sobie sprawę, że mówi od rzeczy, ale ojciec nie dzwonił do niej od dwóch miesięcy albo i dłużej.

- Nie zawracaj sobie głowy strojeniem się, po prostu wyglądaj schludnie. Zapytaj Billy, powiedz jej, że idziemy do Dominicka, ona już coś wymyśli. Przyjadę po ciebie punktualnie za piętnaście siódma.

Vito odłożył słuchawkę, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Gigi przyjrzała się sobie w mętnym szkle weneckiego zwierciadła w drewnianej, malowanej i rzeźbionej ramie, które wisiało nad stolikiem z telefonem w holu. Spojrzała na siebie zdumionym wzrokiem i powoli

potrzęsnęła z zastanowieniem głową.

W ten weekend obie z Mazie zostały u siebie w domu, żeby pouczyć się do dużego egzaminu z angielskiego, który miał się odbyć w poniedziałek i był zbyt ważny, żeby uczyć się do niego razem. Gigi spędziła nad książkami całą sobotę i zamierzała jeszcze wkuwać w niedzielę wieczorem. Zbliżające się popołudnie planowała spędzić w kuchni z kucharzem. Przez większą część tygodnia Billy była w Nowym Jorku i miała nie wrócić do domu przed kolacją, więc Gigi i Jean-Luc ułożyli bogaty plan zagospodarowania jego wolnego czasu i przyrządzenia gotowanego kurczaka à la François Premier - z grzybami, truflami i gęstą śmietaną.

Zapomnij o kurczaku, rozkazała sobie Gigi, zakuwaj do za piętnaście szósta, a potem się ubierz.

- Jean-Luc - zapytała kuchmistrza, kiedy już go przeprosiła i odwołała lekcję - czy słyszałeś o restauracji Dominicka?

- Tutaj, w Los Angeles?

- Aha.

- Nigdy. A więc porzucasz mnie dla Dominicka?

- Wiesz, że porzuciłabym cię tylko dla mego ojca.

- Baw się dobrze Gigi - powiedział kucharz obsypując Vita w duchu przekleństwami, tego tak zwanego ojca, który bezceremonialnie porywa mu najbardziej obiecującą uczennicę, jaką kiedykolwiek miał, właśnie wtedy, kiedy zamierzał wyjawic jej dziesięć najważniejszych informacji o truflach i ich pasjonujących możliwościach w połączeniu z mięsem i sokami kurczęcia.

Gigi udało się pogрузić w książkach do piątej. Nigdy w życiu

ubranie się nie zajęło jej godziny, ale była zbyt podniecona perspektywą zobaczenia się z Vitem i zbyt przejmowała się swym wyglądem, żeby spędzić choć jedną minutę więcej z poezją epoki elżbietańskiej. Wzięła prysznic i umyła włosy umyte poprzedniego dnia. Kiedy je wysuszyła, z uwagą dodała do swej grzywki kilka nowych, cienkich, lecz jasnych pasemek, używając zamiast grzebienia pędzelka zamoczonego w wodzie utlenionej. Zebrała wszystkie ulubione ubrania i ułożyła je w grupy, odrzucając wszystko, co choć trochę zatracąło o strojność lub pasowało jedynie dla licealistki. Wypróbowała kilka różnych kombinacji, zanim osiągnęła wreszcie kompromis, który według niej pasował do każdej restauracji, o której znający wszystkie najlepsze lokale w mieście Jean-Luc nigdy nie słyszał. Wciągnęła przez głowę kremowy kaszmirowy golf i włożyła szeroką spódnicę z miękkiego zamszu o odcieniu pasującym do najciemniejszej barwy ochry w jej włosach. Włożyła sweter w spódnicę, owinęła się szerokim pasem i naciągnęła kowbojskie buty z miękkiej rdzaworudej skóry.

Malując oczy postanowiła nie wkładać klipsów. Miała z dziesięć par do wyboru, ale nie opanowała jeszcze zasad wielkiego kodeksu ich noszenia. Klipsy mogą podkreślić albo zniszczyć każdy strój. Znaczyły tak wiele różnych rzeczy w tak wielu okolicznościach, że, aby zgłębić ich język, wiedzieć, która para nadaje się na jaką okazję i dlaczego, trzeba być tak doświadczoną jak Billy. Łatwym, niezobowiązującym wyjściem było przekłucie uszu i noszenie prostych, złotych lub srebrnych kulek, ale Gigi, która w wielu sprawach nie była tchórzem, pocila się na samą myśl o kimś zbliżającym się do jej uszu z igłą.

Gigi narzuciła na ramiona skórzaną kurtkę i przysiadła na fotelu w

półkolistym holu wejściowym tak, żeby od razu zobaczyć samochód Vita. Przyjechał punktualnie i Gigi od razu wybiegła z domu, otworzyła drzwi samochodu, wsiadła i przywitała ojca szybkim pocałunkiem w policzek, jakby coś takiego robili często, a nie jakby pierwszy raz wybierała się na kolację we dwoje z własnym ojcem.

Stosunkowo krótką drogę do restauracji Dominicka na Beverly Boulevard przejechali rozmawiając o pogodzie. Vito, jak wszyscy bywalcy, pojechał prosto na ukryty parking za lokalem i pomógł Gigi wysiąść z samochodu. Weszli do restauracji tylnymi drzwiami, przeszli przez małą kuchnię i dopiero wtedy znaleźli się we właściwej sali. Tak jak zaplanował, przybyli pierwsi. Zarezerwował dokładnie określony stolik, nieco odsunięty od innych i znajdujący się z boku w przeciwległym końcu sali, tak że Gigi siedziała przodem do środka restauracji, a on tyłem.

Sącząc kilka martini w stylu lat czterdziestych, przyrządzonych dla niego przez Doma przy barze, Vito wyjaśnił Gigi, co to za restauracja, opisał jej klubowy charakter i atmosferę wtajemniczenia. Słyszał, jak za nim sala szybko się wypełnia, bo w Hollywood w niedzielne wieczory jadano szczególnie wcześnie, ale ani razu nie rozejrzał się, żeby zobaczyć, kto przyszedł.

Vito skupił uwagę wyłącznie na Gigi, skłaniając ku niej swą ciemną, krótko ostrzyżoną, kędzierzawą głowę, jakby dziewczyna była najbardziej fascynującą kobietą na ziemi. Wypytywał ją szczegółowo o szkołę, potakując i ze skupieniem słuchając jej ożywionych odpowiedzi. Chciał się dowiedzieć wszystkiego o Mazie i innych jej znajomych. Jego komentarze wywoływały u niej napady chichotu. Jedli kotlety baranie z frytkami. Vito interesował się każdym szczegółem życia Gigi, zadawał

uważne, często zabawne pytania przy każdym opisie. Zatopił się w niej całkowicie, tak jak potrafi to uczynić mężczyzna jedynie w obecności pięknej i ponętnej kobiety, zapominając o całym otoczeniu i pragnąc nawiązać z nią doskonały kontakt.

W blasku jego galanterii i troskliwej uwagi Gigi stawiała się coraz bardziej swobodna. Jej niski, autentycznie radosny śmiech rozbrzmiewał raz po raz, wybijając się ponad dyskretny pomruk plotek wypełniających zadymione wnętrze, w duecie z głębszym, lecz równie szczerym śmiechem Vita. Gigi skłoniła swą wyrefinowaną szykowną główkę ku ojcu. Prostota swetra podkreślała jej pełne życia włosy, a śliczna szyja wyrastała z golfa i przechodziła w owalny podbródek o tak pięknym kształcie, że zazdrościły go jej wszystkie kobiety. Dla Gigi tak wyraźnie nie istniało nic poza przyjemnością bycia z Vitem, że nikt w całej restauracji nie mógł nie zauważyć, że przy stoliku Vita Orsiniego dzieje się coś szczególnego, coś, z czego wszyscy inni są całkowicie wyłączeni.

Po deserze mogli już wyjść z restauracji, zanim wszyscy inni skończyli główne danie. Kiedy Vito podpisał czek, ruszył przez całą długość restauracji trzymając Gigi pod rękę. Dziewczyna była zarumieniona i na swój delikatny sposób zadowolona z siebie. Przy każdym stoliku Vito zatrzymywał się na krótko, by ją przedstawić z dumnym uśmiechem, błyskiem szczęścia w spojrzeniu i swą zwykłą miną konkwistadora.

- Sid, Lorraine, to moja córka, Gigi Orsini... Sherry, Danny, to moja córka, Gigi Orsini... Lew, Edie, to moja córka, Gigi Orsini... Barry, Sandy, Dave... to moja córka, Gigi Orsini...

Zanim wyszli przez kuchnię i wsiedli do samochodu, Gigi poznała

znaczny procent najważniejszych ludzi w przemyśle filmowym, ludzi, którzy założyliby się o ciężkie pieniądze, że Vito Orsini tego właśnie wieczora nie będzie się wspaniale, beztrosko bawił, ludzi, którzy nie wiedzieli, że ma tak zachwycającą córkę i że jest z nią w tak bliskich, serdecznych stosunkach.

Ludzie ci spoglądali po sobie wzrokiem wyrażającym dwa uczucia: zaskoczenie beztroskim przyjęciem przez Vita katastrofy roku oraz przyznanie, że jednak w życiu istnieje coś ważniejszego od sukcesu czy porażki jakiegoś filmu. Czyż wszyscy oni nie mają rodzin, dzieci? Czyż na dłuższą metę nie to właśnie się liczy? No i ten facet, który nie pozwoli, żeby cokolwiek zakłóciło jego wieczór z córką. Trzeba go podziwiać. Przez wiele minut po wyjściu Gigi od Dominicka spora liczba wybitnych osobistości Hollywood myślała o Vito Orsinim jako o szczęśliwym człowieku.

Po drodze do domu Gigi nie zauważyła milczenia Vita. Pławiła się w ciepłe wieczoru, jakiego nie zaznała nigdy dotąd, wieczoru, o jakim nie marzyła.

Gdy podjeżdżali do stróżówki, Gigi zauważyła, że właśnie odjeżdża limuzyna, którą przyjechała Billy z lotniska.

- Billy jest w domu - powiedziała ostrzegawczo.

- No to nie będę wchodził - odparł Vito. - Pożegnamy się tutaj. Jutro wyjeżdżam.

- Na długo?

- Tak. Prawdopodobnie na kilka miesięcy.

- Och, tato - powiedziała Gigi, nagle zasmucona.

- Nie chciałem zepsuć ci kolacji mówiąc o tym wcześniej. Muszę

pojechać do Francji, aby wypełnić pewne zobowiązanie, którego się podjąłem przed Zwierciadłami. Podpisałem wtedy z grupą zagranicznych biznesmenów umowę na dwa filmy. Są to ludzie niezwykle zamożni, poważni Libañczycy mający pieniędzy jak lodu, którzy chcą się zahaczyć w międzynarodowym świątku filmowym. Zanim wezmę się do czegokolwiek innego, muszę zrobić dla nich te filmy. Pojutrze spotykam się z nimi w Paryżu. Wygląda na to, że dużo zdjęć będziemy kręcić we Francji i w Anglii.

- Cholera.

- Wiem. Nie chcę jechać, ale takie są zasady tej gry. Jak powiedział Willie Sutton: rabował banki, bo tam były pieniądze... a teraz znajdują się one w Paryżu. Może przyjedziesz w lecie na kilka tygodni... Mógłbym dać ci pracę posłańca, wprowadzić cię do interesu. Zadzwońię do Billy z Paryża i omówię to z nią.

- Och, nie zapomnij, chciałabym przyjechać, naprawdę!

- Nie zapomnę - obiecał Vito. Otworzył drzwi, szybko ucałował Gigi na dobranoc i odjechał machając ręką.

Niepocieszona Gigi weszła do domu i poszła na górę do pokoju Billy.

- Kochanie! - Billy odwróciła się i uściskała ją. - Wyglądasz wspaniale! Ale tak smutno!

Co się stało? Czy twój ojciec mówił coś okropnego? William powiedział, że zabrał cię na kolację.

- Właśnie powiedział mi, że wyjeżdża na Bóg wie jak długo do Francji.

- To chyba można zrozumieć, prawda? - spytała łagodnie Billy.

- To chyba dobry pomysł, ale nie chcę, żeby wyjeżdżał.

- Czy mówił coś... o tym filmie?

- Ani słowa.

- Więc ty też nie musiałaś nic mówić - powiedziała Billy, uważnie przypatrując się Gigi.

- Nie, na szczęście. Na początku kolacji naprawdę się martwiłam, ale potem zrozumiałam, że będzie się zachowywał tak, jakby nic się nie stało, więc odprężyłam się. Nigdy tak wspaniale mi się z nim nie rozmawiało! Och, Billy, interesowało go wszystko, co mnie dotyczy... tak jakby mnie dopiero odkrywał! Może wreszcie jestem dla niego wystarczająco duża, nie sądzisz? Miałam mu tyle do powiedzenia, a on tak wspaniale słuchał, że zupełnie zapomniałam o tym filmie. Nie mogę uwierzyć, że ani razu o nim nie pomyślałam.

- Hm. - Billy zamyśliła się. Kiedy razem z Mazie i Gigi nie dostały biletów na Sprawę Kramerów poszły na pierwszy wieczorny seans Białego Amerykanina w Westwood. Żadna z dziewcząt nie śmiała zaproponować wyjścia, gdy film zaczął rozwijać się w całej swej żenującej krasie, aż wreszcie Billy, głęboko współczując Gigi, zarządziła odwrót, wymawiając się straszliwym bólem głowy. Gigi przeczytała po kilka razy każdą recenzję, cierpiąc tak bardzo, że Billy musiała je jej w końcu odebrać i podrzeć.

- Gdzie jedliście? - spytała z ciekawością Billy.

- U Dominicka. Dlatego pachnę, jakbym się piekła na rożnie. Ale kiedy wychodziliśmy, spotkałam mnóstwo znajomych taty... znał tam wszystkich. Byli bardzo mili, bardzo uprzejmi, jakby nic się nie stało. Nikt nie powiedział ani słowa.

- Tak to się dzieje... w miejscach publicznych. Nikt nie wie, kiedy znajdzie się w takiej samej sytuacji jak Vito, więc istnieje pewien kodeks zachowania - wyjaśniła Billy obejmując Gigi.

Pomyślała z goryczą: jesteś skończoną świnią, Vito, posługując się córką, o którą nigdy się nie zatroszczyłeś, jak tarczą, zabierając ją w najbardziej publiczne miejsce, bombardując ją swym czarem, odgrywając zachwyconego ojca, popisując się nią przed całym Hollywood, wiedząc, że pomoże ci przetrwać trudne chwile, zmyli tłum, zamydli im chwilowo oczy. Doskonale widzę, jak się dzisiaj zachowywałeś, czarując Gigi równie skutecznie jak mnie, każąc swojej córce na zawołanie się w tobie zakochać. Skoro jest tak cennym nabytkiem, to jakie masz teraz względem niej plany?

Valentine O'Neill siedziała przy swoim biurku w atelier w „Scruples” sącząc mocną, francuską kawę, jaką parzyła sobie co rano, i zastanawiała się nad kilkoma sprawami. Nastąpiła wiosna 1980 roku i Valentine była całkowicie szczęśliwa. Zastanawiała się, ile kobiet jest całkowicie szczęśliwych. I to w nic nie znaczącym wieku dwudziestu dziewięciu lat. Miała wrażenie, że w wieku dwudziestu dziewięciu lat większość kobiet martwiła się swoimi chłopakami, mężami, dziećmi czy pracą lub też ich brakiem, albo daniem sobie rady z wszystkim naraz. Większość kobiet nie osiągała całkowitego szczęścia - co oznaczało pewien spokój, który pozwalał na aktywną obserwację własnego szczęścia, czyż nie? - aż do czasu, kiedy zostawały babkami, mogły wycofać się z potyczek życia i po prostu miło spędzać czas, a przynajmniej tak jej mówiła matka. Jej biedna matka, która mimo całej swej mądrości umarła zbyt szybko, niemal do ostatniej chwili pracując jako wysoko wykwalifikowana krojczyni w domu mody Balmaina.

Valentine zdała sobie sprawę, że nie jest oczywiście całkowicie szczęśliwa, bo zawsze będzie tęsknić za swoją matką, która wyszła za Amerykanina poznanego w dniu wyzwolenia Paryża i wyjechała z nim do Nowego Jorku, gdzie urodziła się Valentine. Dopiero po jego przedwczesnej śmierci młoda wdowa zabrała córkę, w której żyłach płynęła krew pół na pół irlandzka i francuska, do rodzinnego Paryża, gdzie szwalnie wielkiego domu mody Balmaina stały się drugą szkołą Valentine. Tam nauczyła się tyle, że po śmierci matki w 1972 roku odważyła się wrócić do Nowego Jorku i na własną rękę rozpocząć karierę projektantki mody.

I oto teraz, w osiem lat później, jest żoną Elliotta oraz, w co równie trudno uwierzyć, współniczką Billy Ikehorn w jej dwóch odnoszących coraz większe sukcesy sklepach, nowych Domach Mody „Scruples” w Chicago i w Nowym Jorku. Gdyby tylko matka dożyła jej szczęścia, pomyślała Valentine, niemal nie będąc w stanie go pojąć bez rozmawiania o nim z kimś innym oprócz Elliotta, który był tak beztrąsko oczarowany jej zachwytem, że nie była pewna, czy naprawdę rozumie, jak to wszystko jest zdumiewające.

Valentine stała twardo na ziemi, projektując pojedyncze stroje dla poszczególnych klientek. Żadna inna praca nie potrafiła jej zmusić do porzucenia całkowitej kontroli nad działem mody istniejącym jedynie w kalifornijskim „Scruples”, nad luksusowym działem, o którego usługach wiele zamożnych kobiet mogło jedynie marzyć bez względu na ilość posiadanych pieniędzy, bo Valentine mogła poświęcić im niewiele czasu, a pierwszeństwo miały najdawniejsze klientki. Miała fizyczną potrzebę pracy własnymi rękoma, wymyślania, szkicowania, dotykania materiałów, tworzenia strojów na specjalne okazje, strojów wyrażających jej własną wyobraźnię i talent. Jej lista oczekujących była już zamknięta od roku, chociaż, jak na każdej liście oczekujących, było kilka wolnych miejsc dla kobiet ze specjalnymi powiązaniem.

Jak Gigi Orsini. Oczywiście, że uszyje dla niej sukienkę na bal maturalny, pomyślała Valentine z dreszczykiem emocji, nawet jeśli Billy, równie drobiazgową, jak każda troskliwa matka, sądziła, że coś takiego może rozpuścić dziewczynę. Jak można rozpuścić dziewczynę, która wyobrażała sobie raj jako wtajemniczenie w sekrety kuchni Valentine? Jak można rozpuścić dziewczynę, która spędziła całą sobotę na zakupach i

gotowaniu w ich mieszkaniu pięciodaniowego obiadu jako prezentu dla nich na drugą rocznicę ślubu, obiadu tak klasycznego, że Valentine z zadowoleniem przyznała, iż nawet będąc w najlepszej formie nie potrafiłaby wyczarować nic lepszego? Jej własna kuchnia, której nauczyła się od matki, była wspaniała, lecz zasadniczo na poziomie posiłków klasy średniej, które można było - właściwie powinno się - jeść codziennie. Gigi jednak uczyła się u wykwalifikowanego francuskiego kuchmistrza, a jej elegancka, wyrafinowana kuchnia miała się do zwykłego francuskiego jedzenia tak jak własne projekty Valentine do ubrań z wieszaka w sklepie.

Nawet gdyby Gigi była okropnym bachorem, jak mogłaby na tak poważną okazję jak bal maturalny nie zaprojektować sukienki, w której dziewczyna zajaśniałaby swym pełnym blaskiem? Każdy projektant zmuszony pracować z kobietami, których ciało trzeba było ukrywać, upiększać lub zmieniać, całym sercem skorzystałby z okazji zrobienia czegoś wspaniałego dla Gigi, tej rozkosznej młodej osoby łączącej w sobie kapryśną świeżość i niewinną chępliwość. Valentine wydawało się, że Gigi przynosi z sobą dźwięki odległej muzyki, radosne urywki beztroskich melodii wypełniających powietrze w minionych czasach. Wyglądała tak, jakby wyszła tanecznym krokiem z innej epoki, odległej o pięćdziesiąt lat, kiedy tańczyło się w rytm jazzu; wyglądała tak, jakby czuliła się na tylnym siedzeniu kabrioletu ze studentem z Yale i piła gin w wesołych spelunkach, paliła zakazane papierosy i doprowadzała do szału całe zastępy chłopców - a w rzeczywistości dopiero zaczęła się umawiać na randki i według Billy nie miała żadnych złych nawyków, co i tak dostarczało Billy zmartwień.

Valentine zastanawiała się, czy to ich wspólne irlandzkie dziedzictwo

powodowało, że tak lubi Gigi. A może dzieje się tak dlatego, że obie ciężko pracują i zgodnie z logiką szanują zastany porządek rzeczy, przeciwko któremu natychmiast by się skutecznie zbuntowały, gdyby uznały, że tak należy uczynić? Jedno było pewne - obie należały do zielonookiego, rudego typu kobiet o jasnej cerze bez względu na to, jakim sposobem owa rudość - czy raczej kolor pomarańczy - została osiągnięta w przypadku Gigi, bez względu na to, że Valentine miała poczucie górowania wzrostem nad Gigi, która wreszcie chyba przestała rosnąć. Projektowanie dla Gigi było jak projektowanie dla samej siebie, gdyby kiedykolwiek miała bal maturalny, imprezy takie były bowiem z pewnością zakazane w jej paryskim liceum, gdyby się o nich dowiedziano.

Spojrząwszy na zegarek, Valentine zdała sobie sprawę, że nie może teraz myśleć o sukience Gigi. Za dwie minuty była umówiona z nową klientką, jeszcze jednym wyjątkiem na liście oczekujących. Ze zmarszczonym czołem pomyślała o prośbie, której nie mogła odmówić: Billy poprosiła ją o zaprojektowanie garderoby dla Melanie Adams, mającej być gwiazdą w nowym filmie Wellsa Cope'a *Legenda*.

Cope, najsilniejszy, a także odznaczający się nienagannym smakiem i wzbudzający powszechną zazdrość producent w Hollywood, cały rok czekał na propozycję dokładnie odpowiadającą Melanie Adams, która została międzynarodową gwiazdą po pierwszym filmie, jaki z nią nakręcił.

Legenda, opowiadająca historię, która stanowiła umiejętne połączenie karier Dietrich i Garbo, mogła zostać zrealizowana rzeczywiście tylko z udziałem jednej współczesnej aktorki, która nie musiała się bać - przynajmniej fizycznie - porównania z tamtymi nieśmiertelnymi gwiazdami. Jednak mimo wszystkich nalegań i szansy na

rozślawienie swego nazwiska Valentine odmówiłaby, bo nie potrzebowała dodatkowego rozgłosu, a ponadto była nieczuła na wszelkie namowy.

To właśnie Melanie była ową modelką, która cztery lata temu złamała serce Elliottowi, odchodząc od niego i zostawiając mu tylko zjadliwą karteczkę, a jego przyjaciółce Valentine wrak człowieka.

Elliott, jej Elliott, był mężczyzną doceniającym kobiety, czczącym ich obecność na świecie, oddającym im się równie ciepło i serdecznie, jak one oddawały się jemu, kojącym ich ból i rozumiejącym ich problemy. Zanim jednak zakochał się w Valentine, kochał prawdziwie tylko raz - Melanie Adams.

A ta dziewczyna postąpiła z nim brutalnie, bezceremonialnie go wykorzystała, okłamywała i traktowała jego uczucia z pogardą. W rozmowach z Valentine Elliott nigdy nie obwiniał Melanie, zawsze starał się ją zrozumieć, wyjaśnić jej postępowanie, lecz Valentine znała prawdę i płonęła żądzą ukarania istoty, która sprawiła Elliottowi tak straszliwy ból. Melanie wyrządziła kochanemu przez nią mężczyźnie niewybaczalną krzywdę. Elliott był gentlemanem. Gdyby Melanie Adams dzisiaj do niego przyszła, byłby dla niej uprzejmy, nie chciałby się zemścić, ale ona, Valentine, miała na to zbyt kobiecą naturę.

A także, szczerze powiedziawszy, czyż Valentine nie była choć odrobinę ciekawa tej Melanie Adams? Na wpół rozbawiona własną odpowiedzią potrząsnęła głową. Czyż nie jest normalną rzeczą chcieć zobaczyć na własne oczy kobietę, którą kochał Elliott?

* * *

Melanie Adams przybyła do atelier w chwili, gdy Valentine właśnie zapięła ostatni guzik surowego, białego fartucha, jaki przyjmując klientki

zawsze nakładała na własne ubranie. Otaczała ją cała świta: sam Wells Cope - jasnowłosy, przystojny mężczyzna około czterdziestki, szczupły i nienagannie ubrany - oraz jego kierownik produkcji, dwaj agenci prasowi, osobisty fryzjer Melanie Adams i sekretarka. Cała szóstka otaczała aktorkę ochronnym kordonem, tak że zrazu Valentine nie mogła dostrzec między nimi Melanie. Podczas gdy wszyscy przedstawili się Valentine, była modelka stała z miną, jakby jej w ogóle tam nie było, jak królowa schwytna przez dzikusów.

- Żałuję, panie Cope, ale nie mogę pana zaprosić do mojego atelier - oznajmiła Valentine.

- Nie miałam pojęcia, że zamierza pan osobiście towarzyszyć panie Adams i nie rozumiem, dlaczego sprowadził pan ze sobą aż tyle osób.

Wells Cope roześmiał się swobodnie, wcale nie zbity z tropu lodowatym tonem Valentine.

- Powinienem panią uprzedzić, panno O'Neill, ale oczywiście kostiumy do Legendy są zbyt ważne dla Melanie, by weszła tu sama, jak każda inna klientka. Przyszliśmy, aby ułatwić pani pracę, pomóc...

- Panie Cope, nie może mi pan w niczym pomóc. Przeczytałam scenariusz i dokładnie zdaję sobie sprawę, jakie kostiumy są potrzebne. Potrzebna mi jest tylko panna Adams.

- Ależ... pani nic nie rozumie. Panna Adams - Melanie - spodziewa się, że będziemy ją wspierać, przecierać ścieżki...

- Trzymać ją za rękę, panie Cope? Jeśli nie potrafi mi zaufać, nie ma sensu niczego zaczynać. Oczywiście w końcu zamierzam z panem współpracować, oczywiście będzie pan akceptował moje projekty, poprawiał je z moją pomocą, ale teraz potrzebuję samej panny Adams.

Mam dla niej dzisiaj mniej niż dwie godziny. Zostawi ją pan ze mną sam na sam, czy wszyscy wychodzą, z panną Adams włącznie.

- Mogła mnie pani uprzedzić, nie miałem pojęcia, że będzie pani taka... - Wells Cope już się nie uśmiechał.

- Jaka? - spytała Valentine zadowolona z jego zmieszania, ale nie dająca tego po sobie poznać.

- Taka... stanowcza.

- Proszę zrobić, jak pan uważa, panie Cope, ale proszę nie marnować mojego czasu.

- Melanie? - Wells Cope zwrócił się do niej pytająco.

- Na litość boską, Wells, może się wreszcie stąd wyniesiecie? - Głos Melanie Adams nadal brzmiał delikatnym, złudnie słodkim akcentem jej rodzinnego Louisville w stanie Kentucky, ale cała wypowiedź była szorstka.

Wells Cope odkrył ją, wylansował, zmienił w aktorkę i podpisał z nią umowę na realizację czterech filmów. Zalew pochlebstw spowodowany sukcesem sprawił, że miała już nieco dość jego mentorstwa i prawa własności do niej, lecz na razie nie mogła od tego uciec.

- Wrócę po ciebie w południe - powiedział marszcząc czoło. - Chodźcie, zostawmy obie damy samym sobie.

- No - rzekła Valentine, kiedy zostały same. - Teraz chyba lepiej.

- Podziwiam pani styl, panno O'Neill. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś wyrzucił Wellsa. Podobało mi się to.

- Proszę nazywać mnie po imieniu. Zwykle nie jestem taka szorstka, ale ich obecność była całkowicie niepotrzebna. Dziwię się, że tego nie wiedzieli.

- Mówiłam Wellsowi, że nie projektuje pani grupowo, ale wszyscy są tak podenerwowani, żeby kostiumy były właściwe, skoro Legenda ma być filmem z epoki...

- Dla którego oczywiście nigdy nie zaprojektowałabym strojów dokładnie takich, jakie wtedy noszono, bo dla nas byłyby one zdecydowanie nieatrakcyjne.

- O tak! To samo pomyślałam, oglądając zdjęcia Dietrich i Garbo z czasów, kiedy przyjechały do Hollywood... obie ubierały się koszmarnie, wszystko było albo za długie, albo za obszerne, albo po prostu obszarpane, a te okropne kapelusze! Nie chciałam zagrać w Legendzie, bo nie zniosłabym tych ubrań.

- Nic się nie bój - powiedziała Valentine, dokładnie przyglądając się Melanie, obserwując ruchy jej dłoni, osadzenie głowy, postawę. Oczywiście była mniejsza niż na zdjęciach, ale Valentine przyznała w duchu, że w rzeczywistości jest nawet piękniejsza niż na ekranie, jeśli w ogóle coś takiego wchodzi w rachubę.

- Zinterpretuję epokę, zaprojektuję to, czego wymaga twój wygląd, a widownia i tak będzie miała wrażenie, że masz na sobie modele będące ostatnim krzykiem mody tamtych czasów. Uniknę tego, za co pan Cope tak dobrze mi zapłaci, czyli rozczarowania odtworzoną rzeczywistością.

- „Rozczarowania rzeczywistością”... podoba mi się to, rozumiem to - powiedziała powoli Melanie. Rzeczywistość zawsze jej umykała. Przez całe życie, bez względu na to, ilu ludzi mówiło jej, jak jest piękna, ilu mężczyzn ją kochało, nigdy nie potrafiła odnaleźć w sobie osobowości. Czasami myślała z dziecinnym niepokojem, że jest pewna, iż istnieje naprawdę tylko wtedy, kiedy ma potworny katar.

Kiedy Melanie Adams zmieniła się z modelki w aktorkę, stwierdziła, że czuje swe istnienie przez cały czas pracy kamery. Oczywiście istniała jako ktoś inny, ale istniała. Kamera musiała jednak kiedyś się zatrzymać, zostawiając ją jak wrak na brzegu, pochłoniętą własną pustką i stale podejmowanymi próbami zerwania ścisłego związku z własnym obrazem i wyjścia na świat jak kurczę próbujące przebić się przez twardą skorupkę. Jej potrzeba stałego brania, by stworzyć choćby najmniejsze, zawsze ulotne wrażenie własnej osobowości nauczyło ją wzbudzać miłość ku sobie, lecz żadne uwielbienie nie potrafiło wyzwolić jej z więzów narcyzmu.

- Powiedziałam: „odtworzoną rzeczywistością” - poprawiła ją delikatnie Valentine.

- Och, chyba tak, ale to przecież to samo, prawda? - powiedziała niepewnie Melanie, przebierając palcami po belach materiału opartych o ścianę obok biurka Valentine, delikatnie dotykając aksamitów, lejących się kaszmirów, lodowatych atłasów. Z ciekawością zwróciła się do Valentine, sprawiając wrażenie, jakby otrząsnęła się ze snu.

- Jesteś żoną Spidera Elliotta, prawda? - spytała. Widziała zdjęcia Valentine w Womens Wear, ale nigdy się z nią nie zetknęła osobiście. Nie spodziewała się, że Valentine będzie tak współczująca, tak wyrozumiała. Właściwie nie chciała spotkać żony Spidera i przyszła tutaj jedynie ulegając namowom Wellsa.

- Jesteśmy małżeństwem od dwóch lat - odparła beznamietnym tonem Valentine.

- Kiedyś go znałam... właściwie to on robił mi pierwsze zdjęcia próbne, kiedy zaczęłam pracować jako modelka. Można chyba

powiedzieć, że zrobiłam karierę dzięki niemu.

- Owszem - zgodziła się Valentine - ale mógł to zrobić każdy inny fotograf. Elliott powiedział, że nie można ci zrobić złego zdjęcia. Kiedy Harriet Toppingham po raz pierwszy zobaczyła te próbne zdjęcia, nazwała cię „zabójczo piękną” - wiedziałaś o tym?

- Nie - odparła zachwycona Melanie. - Harriet zawsze przesadzała, ale jest wspaniałym redaktorem. Wielki Boże, musiałaś dobrze znać Elliotta, skoro ci to powiedział, taki głupi szczegół, a było to przynajmniej przed czterema laty. Jestem zdumiona, że jeszcze to pamięta.

Valentine wzięła do ręki centymetr.

- Chcę cię najpierw obmierzyć, póki pamiętam. Stój spokojnie. - Zaczęła zręcznie odmierzać podstawowe odległości od karku do szczytu kręgosłupa, stamtąd do samego końca łopatki, od łopatki do łokcia, od łokcia do przegubu, od przegubu do czubka środkowego palca. Wymiary te stanowiły tylko początek, ale były zbyt ważne, aby powierzyć ich zdjęcie jakiegóż asystentce.

- Nie pamiętał tego dokładnie - powiedziała Valentine pracując centymetrem. - Widzisz, byliśmy sąsiadami na poddaszu i wieczorami Elliott opowiadał mi o wszystkim, co przydarzyło mu się w ciągu dnia. Byłam na tyle miękka, żeby gotować mu codziennie, kiedy nie jadł na mieście, ale inaczej musiałabym pozwolić temu głupkowi umrzeć z głodu. W dniu, kiedy cię poznał, powiedział mi, że wyznał ci miłość, nie znając nawet twojego imienia! Powiedział, że zaskoczył cię tak bardzo, iż jedynym sposobem zatrzymania cię w atelier było zrobienie ci ogromnej kanapki z wątrobianką i szwajcarskim serem.

- Głos Valentine zabarwił się humorem. - Szczerze mi zaimponował,

że mimo tak wielkich emocji miał na tyle przytomności umysłu, żeby zrobić przyzwoitą kanapkę, skoro kiedy ja przyszedłam do niego po pociechę, załamana tragicznym końcem jednego z moich romansów, potrafił dla mnie wymyślić jedynie swą wieczną zupę pomidorową Campbella i krakersy Ritza.

- Powiedział ci o tym, że się we mnie zakochał?

- Ależ oczywiście - odparła Valentine wzruszając ramionami. - Nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic. To chyba dziwnie brzmi - kobieta i mężczyzna, którzy mówią sobie wszystko, którzy nadal nie mają przed sobą sekretów, ale tak się właśnie dzieje, kiedy nie zaczyna się od miłości, lecz od zwykłej przyjaźni.

- Zwykłej przyjaźni? Wydaje mi się, że było to coś więcej.

- Och, nie, naprawdę nie. Właściwie na początku Elliott nawet mi się nie podobał... a właściwie nie podobał mi się jego zwyczaj zakochiwania się na zabój w połowie najpiękniejszych modelek w Nowym Jorku. Jestem pewna, że kiedy go poznałaś, musiałaś wiedzieć, że tak jest. Jak mogłam zaufać człowiekowi, który przechodził od kobiety do kobiety, kochał szaleńczo tu i tam, prawie bez różnicy, jeśli tylko dziewczyna była piękna? Mimo że bardzo go lubiłam, bardzo musiał się postarać, żeby zdobyć moje zaufanie.

- Jak... cię przekonał... że możesz mu wierzyć? - Pełne wahania pytanie Melanie dobiegło jakby z wielkiej odległości, bo wypowiedziała je tak cichym głosem.

- Tego nie wolno mi powiedzieć - odparła Valentine z łagodnym uśmiechem. - Wbiłabyś się w zbyt wielką dumę, a jeśli ma się nam dobrze współpracować, to nie mogę stać się jeszcze jedną schlebiającą ci osobą.

- Ale miało to coś wspólnego ze mną? No, Valentine, musisz mi powiedzieć! To nieładnie tak tylko o tym wspomnieć, bardzo nieładnie. Jeśli nie zamierzałaś mi powiedzieć, to w ogóle nie powinnaś o tym mówić.

Valentine odłożyła centymetr.

- Wiesz, Melanie, masz rację. Są pewne rzeczy, które powiedział mi Elliott, a które powinien zachować dla siebie. Powinnam była milczeć.

- Ale ja nalegam! Obiecuję, że nie będzie mi przykro... skoro mówi ci wszystko, to dlaczego miałby o jednej rzeczy nie powiedzieć? Co to takiego, Valentine?

- No cóż... pamiętasz, że po pierwszym swoim filmie długo czekałaś, zanim pan Cope zdecydował, jaki powinnaś zrobić następny krok w karierze?

- Jak mogłabym zapomnieć? Wariowałam od tego czekania, ale jaki to ma związek z twoim zaufaniem do Spidera?

- Wtedy Elliott nie widział cię od czasu, gdy wyjechałaś do Hollywood, kiedy pewnego popołudnia dość niespodziewanie opuściłaś go. O Melanie, wierz mi, że musiałam go pocieszać po tym szoku. Biedny Elliott był przez pewien czas z tego powodu całkiem załamany. Upłynęły całe tygodnie, nim znalazł sobie jakąś nową miłość, ale w ostatecznym rozrachunku dobrze to zrobiło jego męskiemu ego, kiedy się przekonał, że przynajmniej jedna dziewczyna potrafi mu odmówić... O czym to ja mówiłam? Ach tak, w jakiś czas potem, kiedy przyszłaś do niego do domu tutaj, w Los Angeles, i... - Głos Valentine zamarł. Zarumieniła się i odwróciła wzrok.

- No i co? - spytała ostro Melanie.

- Melanie, oczywiście to było naturalne, prawda, że wtedy poszliście do łóżka? I że było wam wspaniale? Obojgu. Doskonale rozumiem, dlaczego chciałaś odnowić stary romans z Elliotem, tyle dziewczyn z trudem albo wcale nie mogło o nim zapomnieć... kiedy mi o tym opowiedział i - jak mam to wyrazić? - wspomniał, jak został zmuszony do wyjaśnienia ci, że nie żywi już do ciebie żadnych uczuć, bez względu na to, jak dobrze wam było ze sobą w łóżku.

No cóż... chyba dlatego, że absolutnie się z ciebie wyleczył, czego chyba nie może powiedzieć żaden mężczyzna, który cię kiedykolwiek kochał. Chyba właśnie wtedy zaczęłam - chociaż powoli, bardzo powoli - ufać mu, wierzyć, że może już dorósł i pozbył się nałogu zakochiwania się w każdej napotkanej piękności. Czy jest to dla ciebie jakaś odpowiedź?

- Całkowita - rzekła Melanie usiłując zażartować.

- I nie przypochlebiałam ci się za bardzo?

- Nie wiem, Valentine. Muszę się nad tym zastanowić.

- Brawo! A więc zaczynajmy. Zrobiłam kilka wstępnych szkiców, to tylko pierwsze pomysły, których nie zamierzam pokazywać panu Cope'owi, dopóki nie usłyszę twego zdania.

To ty będziesz to nosiła, więc projektuję dla ciebie, a nie dla niego. Podejdz do biurka, to ci je pokażę.

Kiedy Melanie odwracała kartki papieru, bacznie się im przyglądając, Valentine dziwiła się samej sobie, wewnętrznie rozbawiona faktem, że wiele się jeszcze musi nauczyć o własnych uczuciach. Pozwoliła Melanie zachwycać się projektami, a sama zapaliła papierosa. Zawsze miała w atelier paczkę gauloises bleus na rzadkie chwile, kiedy chciała zostać sam na sam z własnymi myślami i teraz poczuła nagłą

potrzebę zapalenia. Przede wszystkim nie myślała, że potrafi tak przekonująco przedstawić Elliotta jako mężczyznę kochającego wiele kobiet, a nie tylko dwie. Po drugie aż do dzisiaj nie wiedziała, jak straszliwie jest zazdrosna o Melanie Adams. Wtedy, gdy Elliott był nią zajęty, prawie udało się jej przekonać siebie samą, że myśli o nim tylko jako o przyjacielu, chociaż teraz wiedziała, że pokochała go w dniu, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. W końcu mimo zamętu owych minionych uczuć wiedziała, że zrobi niegdyś zniechęconej Melanie cudowne stroje, że przejdzie samą siebie.

Valentine postanowiła, że stworzy dla Melanie garderobę, która sprawi, że biedactwo będzie mniej smutne. Aż do dzisiaj nigdy by nie uwierzyła, że najmocniejszym uczuciem, jakie będzie żywiła dla Melanie Adams, będzie litość.

* * *

Susan Arvey wyszła z biura Marka Hamptona lekkim krokiem debutantki, której właśnie się udało. Nuciała coś pod nosem. Kiedy tylko ten słynny dekorator wewnątrz znajdzie czas, przyleci do Kalifornii, żeby dobrze się przyjrzeć ich domowi, a potem wróci do Nowego Jorku i zacznie planować gruntowny remont od A do Zet, od podszewki, od pralni po salon. Jakiż to uroczy człowiek! Posiada encyklopedyczną wiedzę o historii wielkiej architektury wewnątrz, lecz jego wyczucie współczesności jest tak doskonałe, że ktoś taki jak ona, zdecydowany na przepych w każdym calu, lecz przepych funkcjonalny, gdzie nad wszystkim góruje wygoda, nie mógł trafić lepiej. Hampton doskonale zna zastosowania ekstrawagancji i luksusu. Ona zaś całym sercem zgadzała się z jego pożegnalnym zdaniem: „Warto stosować się jedynie do zasad narzucanych

przez samego siebie”. Właściwie miał wtedy na myśli urządzenie sypialni, lecz Susan stwierdziła, że uwagę tę można rozszerzyć na całe ludzkie życie.

Czekając w popołudniowej godzinie szczytu na zmianę świateł pozwalającą jej przejść przez Piątą Aleję, czuła się lekko oszołomiona, jak zawsze po szybkim spacerze nowojorskimi ulicami po podróży z Los Angeles. Często tu przyjeżdżała, ale zawsze zapominała, że na Manhattanie są takie tłumy, że wszyscy walczą o swój mały kawałek przestrzeni, bojąc się, że zanim uda im się bezpiecznie przejść ulicę, światło się zmieni.

Jak zwykle pierwszego dnia na Manhattanie, Susan podziękowała Bogu, że urodziła się na Wybrzeżu. W Nowym Jorku nawet córka i jedyna spadkobierczyni Joego Farbera byłaby zaledwie jedną z setek równie zamożnych kobiet, stale zabiegającą o nieustającą uwagę socjety. Gdyby tu mieszkała, znalazłaby się w masie podobnych sobie kobiet i jak ci ludzie, z niepokojem czekający na zielone światło, musiałyby walczyć o miejsce w modnym świecie. Musiałyby rok w rok stawać do zawodów z kobietami, które miały pieniądze z dawnych rodowych majątków, z kobietami o wiele dumniejszymi ze swego pochodzenia niż ona, zbijającymi fortuny w bankowości, przemyśle, na Siódmej Alei, w świecie wydawniczym, właściwie w każdej dziedzinie robienia wielkich pieniędzy istniejącej w Nowym Jorku.

W Hollywood, mieście jednego przemysłu, gdzie jej ojciec zaliczał się do garstki potentatów finansowych, a jej mąż według dzisiejszych kryteriów też był jednym z nich, znalazła się na szczycie właściwie bez żadnego wysiłku ze swej strony. Sukces miała gwarantowany, chyba że

bardzo by się starała go uniknąć. Susan o tym wiedziała - każda kobieta równie wyrachowana jak ona musiała przyjąć ów fakt do wiadomości. Niemniej jednak poświęcała całą swą energię, by znajdować się na samym szczycie, walczyła o pierwszeństwo nawet wtedy, gdy nie było to absolutnie konieczne, co dzień tęskniąc za władzą większą, niż mógł jej dać zdominowany przez mężczyzn Hollywood.

A jednak... jednak... w Nowym Jorku kobieta czasami mogła posmakować swej własnej władzy, a nie władzy będącej odbiciem władzy jej ojca czy męża, co w Los Angeles było prawie zawsze regułą. W Nowym Jorku kobieta mogła prowadzić czasopismo, agencję reklamową czy dom mody i nic nie zawdzięczać żadnemu mężczyźnie.

Lecz Susan Arvey zdawała sobie sprawę, że coś takiego oznacza pracę, karierę, ryzyko niepowodzenia, a takie życie wcale jej nie odpowiadało. Nie, nie miała nic przeciwko wczesnemu wstawaniu na lekcję tenisa, ale do biura! Jak mawiali Brytyjczycy, to „nie przystoi”.

Po przyjeździe do pięciopokojowego apartamentu w hotelu Sherry Netherland, który Arveyowie wykupili przed laty, zadzwoniła do domu. W Nowym Jorku była prawie pora kolacji, a w Los Angeles popołudnie.

- Tak, Curt, wszystko w porządku. Właśnie od niego wyszłam... był niezwykle uprzejmy. Tak, kochanie, postanowiliśmy przerobić cały dom. Zmiana wystroju sprawia, że człowiek czuje się młody, nie wpada w rutynę. Przecież nie chciałbyś, żebym zrobiła się na tyle niespokojna, żeby po-sprzedawać obrazy i założyć nową kolekcję malarstwa współczesnego, prawda? Och, będę mogła wyjechać dopiero za jakieś trzy dni... tu jest tyle do zrobienia. Jak się czujesz, kochanie? Lepiej? To dobrze. Powinieneś spróbować zupełnie zapomnieć o tym filmie. Wszyscy inni już

to zrobili. Dziś wieczorem? To co zwykle. Natalie odkryła sztukę, która ma tak mało wspólnego z Broadwayem, że grają ją chyba w Newark. Nie martw się, Curt, oczywiście, że zamówiłam sobie samochód, chyba nie sądzisz, że wsiadłabym do nowojorskiej taksówki? To tak, jakby zamknąć się w szafę z wariatem. Zadzwoń jutro. Uważaj na siebie, spróbuj się wyspać. Pa, kochanie.

Dopełniwszy małżeńskich obowiązków, Susan Arvey zdjęła całą biżuterię i włożyła ją do sejf, który kazała sobie zainstalować w szafie. Odbyła jeszcze jedną krótką rozmowę telefoniczną i umówiła się na późny wieczór.

Biorąc długą, wspaniałą kąpiel, z czułością pomyślała o Natalie Eustace, z którą dzieliła pokój na pierwszym roku studiów, zanim je porzuciła, aby wyjść za mąż. Curt nie znosił artystycznych aspiracji Natalie, jej miłości do sztuk, które nigdy nie powinny zostać napisane, a co dopiero wystawione. Zawsze był pełen wdzięczności, kiedy nie musiał spędzać z nią wieczoru. Właściwie nie widział się z Natalie od wielu lat, bo Susan oszczędzała mu tych spotkań, umawiając się z nią tylko wtedy, gdy przyjeżdżała do Nowego Jorku bez Curta. Biorąc pod uwagę zainteresowania artystyczne żony i jej wielką kolekcję sztuki, zdawał sobie sprawę, że musi tam jeździć częściej niż on. Trzeba było obejrzeć tak wiele wystaw, sprawdzić tyle nowych galerii, być na tyłu obiecujących aukcjach, nie mówiąc już o odwiedzaniu ulubionych muzeów. Curt twierdził, że on sam doskonale się bez tego wszystkiego obejdzie, ale skoro ją to bawi, to czemu ma tam nie jeździć?

No właśnie, dlaczego nie, powtórzyła jak echo Susan Arvey, uważnie przyglądając się swemu odbiciu w lustrze na toalecie. Kiedy przeszła

pierwsze operacyjne usunięcie zmarszczek, miała trzydzieści osiem lat i była kobietą niezwykle piękną i młodo wyglądającą.

Całymi latami czekała na stosowną chwilę, pierwszy moment, w którym zdoła dostrzec na swym podbródku efekt siły ciężenia. Codziennie automatycznie naciągała skórę szczęki i policzków w tył ku uszom, a potem pozwalała jej wrócić na dawne miejsce. Dzień, w którym skóra opadła za bardzo, ale zaledwie o tyle, że było to widoczne tylko dla niej, był dniem, w którym Susan umówiła się na konsultację z chirurgiem plastycznym z Palm Springs, o wiele dyskretniejszym i droższym niż którykolwiek z jego kolegów w Beverly Hills.

Dobry Doktor, jak nazywała go w myślach, powiedział jej, że niewiele kobiet jest tak inteligentnych jak ona, tak błyskotliwych, żeby zgłosić się do niego równie wcześnie. Zwykle czekały, aż konieczność interwencji chirurga rzuciła się w oczy. Powiedział z żalem, że jeszcze dziesięć lat temu lekarze zwykle uważali za rozsądne czekać z operacją plastyczną do czasu, kiedy jej efekt będzie wyraźnie widoczny. To oznaczało, że ich praca będzie widoczna, a przecież chodzi o to, żeby w ogóle była niezauważalna. Zadowolony z perspektywy idealnych warunków powiedział, że jej operacja nastąpi dokładnie wtedy, kiedy nie będzie jeszcze potrzebna. Dobry Doktor zapewnił ją, że zrobi tak delikatną, subtelną robotę, iż nawet jej najbardziej bystrookie i podejrzliwe znajome niczego się nie domyśla. W dodatku nieuniknione sińce i opuchlizna zejda wyjątkowo szybko i łatwo. Dobry Doktor dotrzymał wszystkich swoich obietnic.

Susan Arvey powiedziała Curtowi, że wyjeżdża na kilka tygodni do uzdrowiska przeprowadzić kurację dietetyczną i intensywnie poćwiczyć.

Kiedy wróciła z pustyni, gdzie przebywała w odosobnionej pooperacyjnej klinice Doktora, widując się tylko z pielęgniarkami i nim samym, Curt zauważył, że uzdrowisko przywróciło blask jej oczom. Teraz, mając czterdzieści jeden lat, wyglądała dokładnie tak samo, jak wtedy, kiedy miała ich trzydzieści cztery. Zakładała, że będzie tak zawsze, z wyjątkiem tych nieuniknionych, a w rzeczywistości dość atrakcyjnych zmarszczek dodających człowiekowi charakteru, które, związane z uśmiechaniem się i marszczeniem brwi, wracały prędzej czy później. Dobry Doktor był od niej starszy tylko o parę lat i szkolił dwóch wspaniałych, młodych chirurgów, więc jeśli nie zarzuci tenisa, ćwiczeń i masażu, to dlaczego miałyby kiedykolwiek wyglądać na więcej niż trzydzieści cztery lata?

Susan Arvey przyjrzała się szczegółowo swemu nagiemu ciału jak zwykle bezlitosnym, podejrzliwym okiem. Kiedyś miała wspaniałe, szczupłe ciało i pełne piersi. Dzięki nieustającym staraniom pozostało ono gibkie i sprężyste jak dawniej. Dzięki Bogu nie miała dzieci - takie uszkodzenia były już nie do naprawienia. Po rannej lekcji tenisa nigdy nie wystawiała się na działanie promieni słonecznych, więc jej skóra przypominała skórę dziewczynki. Była o wiele silniejsza niż na to wyglądała - od dawna jej ćwiczenia miały na celu wyrobienie elastyczności, a płaskie mięśnie brzucha oraz długie, kształtne mięśnie rąk i nóg nie zdradzały żadnych wypukłości.

Układając jasne włosy w ponadczasowy kok i nakładając delikatny makijaż Susan uśmiechnęła się na myśl o wyglądzie trzydziestoczwolatk w wieku lat pięćdziesięciu czterech. Oczywiście wtedy ludzie już się domyśla, że miała jakąś operację, bo po prostu będą się wtedy już za długo z nią znali, ale nie będą mogli plotkować o szczegółach ani ustalić

dokładnej daty i lekarza, co z zapalem robili w odniesieniu do każdej kobiety, która nagle wyglądała na „wypoczętą”.

Susan poszła do kuchni, wyjęła z lodówki sałatkę z kurczaka, którą zostawiła tam dla niej służba hotelowa, i pośpiesznie ją zjadła. Ubrała się w najspokojniejszą i najbardziej elegancką ze swych kosztownych sukienek i wyszła z hotelu, jak zwykle pozdrawiając przyjaznego portiera. Gdy tylko straciła go z oczu zatrzymała taksówkę i podała kierowcy adres na Drugiej Alei. Taksówka stanęła przed nieciekawie wyglądającym nowoczesnym budynkiem bez portiera i z samoobsługową windą. Susan pojechała na jedenaste piętro i otworzyła drzwi niewielkiego mieszkania, które miała od lat i które kazała umeblować projektantom Bloomingdale. Mieszkanie było kupione, umeblowane i utrzymywane na jej polecenie przez powierników jej majątku. Nie byli oni ciekawi owego mieszkańca, a ponadto nie mieli żadnych kontaktów z mężem Susan.

Jak zawsze pomyślała, że ma dość przyjemny salonik, wygodny i urządzone ze smakiem, salonik, na jaki mogłaby sobie pozwolić każda dobrze zarabiająca samotna kobieta pracująca. Włączyła wszystkie wentylatory, bo powietrze było nieświeże, i szybko przeszła do sypialni. Tu serce zabiło jej mocniej.

Sypialnia nie była ani przeciętna, ani zwykła, ani skromna w swoim wystroju. Nie była nawet gustowna. Od świata zewnętrznego oddzielały ją bogate, gęsto udrapowane zasłony, całkowicie zasłaniające ściany i okna. Miały kobiece odcienie jasnego i przydymionego różu przetykanego gdzieś głęboką czerwienią. W pokoju znajdowało się kilka starannie umieszczonych parawanów i zwierciadeł oraz duże łóżko z ozdobnym, żeliwnym zagłówkiem, zasłane jedwabną pościelą i obłożone

poduszkami. Była to sypialnia całkowicie hedonistyczna, sypialnia kryjąca sekrety.

Susan Arvey przeszła przez nią szybkim krokiem, zmierzając wprost do dużej garderoby, gdzie zdjęła swe nie rzucające się w oczy ubranie. Starannie wybrała jeden z dziesięciu wiszących tam, długich do ziemi peniuarów, decydując się na połyskujący fioletami. Każdy z peniuarów był przepasywany szeroką szarfą, miał głęboki dekolt i rozszerzany dół. Były uszyte z drogocennych, lecz lekkich materiałów, tak delikatnych, że niemal przejrzystych, skrojonych tak hojną ręką, iż fałdy ich kryły ciało nawet przed uważniejszym wzrokiem. Susan otworzyła szafkę w garderobie i przyjrzała się umieszczonym tam na stojakach pięciu rudym i czarnym perukom z długimi włosami. W końcu wybrała niezwykle długą kaskadę czarnych loków. Rozpuściła swoje włosy, upięła je na czubku głowy i starannie przymocowała do nich perukę. W jednej chwili Susan Arvey wyglądała nie na trzydzieści cztery, a na dwadzieścia cztery lata, bo grzywa włosów ujęła jej całe dziesięć lat. Makijaż nie wymagał żadnej poprawki - jego prostota powiększała tylko wrażenie jej młodości.

Po raz drugi tego wieczora stanęła przed dobrze oświetlonym, długim zwierciadłem i zrobiła pełną inwentaryzację. Mimo że była bardzo krytyczna, widziała tam tylko dziewczynę, wyjątkowo przystojną dziewczynę o niezwykle atrakcyjnym ciele, o którym w najgorszym razie można było powiedzieć, że miało może nieco zbyt bujne piersi o trochę za bardzo wyraźnych sutkach. Nikt z jej znajomych by jej nie rozpoznał, bo czarna peruka zdumiewająco zmieniała jej wygląd, opadając lokami na czoło i ocieniając policzki. Ujęła swe nagie piersi w dłonie i uniosła do góry, tak że wyraźnie odcinały się od dekoltu peniuaru wspaniałą bielą.

Ułożyła kilka loków peruki na biuście i rozsunęła peniuar w pasie, tak że jasne włosy łonowe stały się widoczne. Stała przez dłuższą chwilę, lekko się chwiejąc i podziwiając swój erotyczny wizerunek, czując wzbierającą falę ciepła, potężne, płynne uczucie przerywane błyskami pożądania. W końcu niemal niechętnie poprawiła peniuar i poszła do sypialni, poruszając się po niej zręcznie i sprawdzając, czy właściwe lampy palą się stłumionym światłem i czy poduszki są ułożone tak jak trzeba.

Dzwonek u drzwi odezwał się w chwili, gdy skończyła przygotowania. Drżąc lekko podeszła do drzwi, żeby je otworzyć. Owe wieczory były tak ekscytujące między innymi dlatego, że nigdy nie zamawiała dwa razy tego samego mężczyzny. Dzięki temu nie nabierali oni zbytnej ciekawości ani poczucia, że Susan należy do nich. Miało to też urok ich zaskoczenia. Wszyscy mężczyźni pracujący tutaj byli utalentowani, jak zwierzyła się jej bardzo pijana aktorka, od której Susan dowiedziała się o istnieniu agencji.

- Nie przysyłają brzydkich, ale nie chodzi o ich wygląd, rozumiesz, chodzi o to, że może im stać bardzo długo, potrafią znaleźć się na wysokości zadania, rozumiesz, jeśli wiesz, co mam na myśli, i wierz mi, mówimy o bardzo, ale to bardzo szczególnym talencie na wagę złota. Wszyscy są młodzi, bo inaczej nie potrafiliby tego robić, nie mogą oszukiwać jak dziewczyny i dlatego ich usługi kosztują majątek. Są absolutnie czysti i nigdy nie są brutalni. Kosztują jak cholera, no, ale spójrzmy prawdzie w oczy, czasami jest to tego warte, rozumiesz, co mam na myśli?

Susan udała wtedy, że nie wie, o co jej chodzi, ale zachowała wizytówkę agencji, którą wmusiła jej aktorka. Zapomniała, o czym

rozmawiała z Susan Arvey, ale nie musiała się martwić o utratę jej przyjaźni, bo Susan nie była pewna, ile owa kobieta zapamiętała z rozmowy, do której nigdy już nie wrócili.

Otworzyła drzwi nie zdejmując łańcucha. Kilka razy nie podobał się jej wygląd przysłanych przez agencję mężczyzn. Wypraszała ich wtedy, natychmiast dzwoniąc po kogoś innego. Dzisiaj była zadowolona. Wpuszczając chłopaka do środka, zlustrowała go wzrokiem. Na jego przyjemnej, świeżo ogolonej, otwartej twarzy malowało się widoczne skrępowanie. Susan pomyślała, że najwyraźniej jest w tym nowy. Oceniała jego wzrost - był nieco tylko wyższy od niej - krótkie, jasnobrązowe, kędzierzawe włosy, szerokie ramiona, silną budowę ciała. Miał na sobie, jak wszyscy mężczyźni przysyłani przez agencję, niezobowiązujące, lecz schludne ubranie. Nosił rozpiętą pod szyją bawełnianą koszulę, a przez ramię przewiesił sobie sportową bluzę. Nigdy nie ubierali się bardziej oficjalnie - agencja nie wynajmowała panów do obstawy.

Zamykając za sobą wejściowe drzwi na zasuwę, Susan powiedziała:

- Jesteś tu po to, by robić wyłącznie to, co ci powiem. Nie pozwalam na żadne pytania, nie wolno ci mnie o nic prosić, bez względu na okoliczności musisz milczeć. Musisz sprawić mi przyjemność, musisz mi być bezwzględnie posłuszny. - Chociaż mówiła cichym, równym tonem, nie można było wątpić w całkowitą powagę jej słów.

Poprowadziła gościa poprzez salonik do sypialni, dostrzegając, że oszołomienie chłopca tylko się spotęgowało na widok jej nieoczekiwanej młodości i urody. Kiedy weszli do wiele mówiącej różowej, głębokiej jaskini, Susan wzięła od niego bluzę i rzuciła ją na krzesło. - Zdejmij całe ubranie - rozkazała i usiadła w fotelu przy drzwiach obserwując, jak

chłopak wykonuje polecenie prawie się potykając przy zdejmowaniu spodni, które rzucił na dywan. - Teraz stań plecami do drzwi i patrz prosto przed siebie, nie patrz na mnie - zażądała. Nie zważając na zaskoczony wyraz jego twarzy, z namysłem przyglądała się opalonemu, nagiemu ciału młodzieńca. Owłosienie torsu i ud miał dość gęste i o tym samym jasnobrązowym odcieniu, co włosy na głowie. Był mocno zbudowany, wszystkie mięśnie miał niezwykle dobrze rozwinięte, a jego członek, ciężko zwisający mu między nogami, był znacznie krótszy niż przeciętny, lecz dwa razy grubszy.

Siedząc obojętnie i nie zdradzając niczego poza spokojnym zainteresowaniem, Susan czuła, jak na widok tego budzącego pożądanie chłopca ogarnia ją fala podniecenia. Musiał być nieznajomym, nie wolno mu było wyrażać własnej osobowości, musiał stać nieruchomo i poddawać się jej badawczemu wzrokowi, nie mogąc nic zrobić bez jej pozwolenia. Jego młodość i wyraźny brak doświadczenia wywołały u niej wybuch złośliwej pomysłowości. Dała mu rozkaz, jakiego nigdy nikomu jeszcze nie wydała.

- Masz się odwrócić i stanąć twarzą do drzwi, przycisnąć się do nich i trzymać stopy razem - powiedziała Susan, kiedy już nasyciła się widokiem. Miał mocne plecy oraz kształtne, twarde i okrągłe pośladki, które oprócz penisa były jedyną bladą częścią jego ciała. Wstała i stanęła za nim, nie dotykając go peniuarem i delikatnie powiodła mu palcem po kręgosłupie aż do jego podstawy, zadowolona z silnego, odruchowego dreszczu, którego nie potrafił opanować. Nie dotykając go nigdzie indziej zaczęła muskać jego pośladki, drażniąc je od niechcienia pieszczotliwym dotykiem błędzących palców. Podczas tej zabawy wydawała mu

polecenia.

- Stój całkowicie nieruchomo - rozkazała - i nie odsuwaj się od drzwi ani na centymetr. Myślisz, że wiesz, czego chcę, ale nie masz o tym bladego pojęcia. Myślisz, że możesz mi to dać, ale ja sama to sobie wezmę. Wezmę, słyszysz? - Położyła obie dłonie na mocnych krzywiznach jego siedzenia, tak nimi obracając, że wytworzyło się pełne ciepła tarcie.

- Przestań! - rozkazała z okrucieństwem, kiedy poczuła, że chłopak zaczyna na nią napierać. - Ani się waż! Stój spokojnie, rozstaw nogi, ale nie odsuwaj się od drzwi. - Kiedy wykonał polecenie, powoli, tak powoli, że nie mógł powstrzymać jęku, wsunęła rękę w ciepłe miejsce między jego udami i zawładnęła jądrami. Chłopak stał drżąc z wysiłku, żeby się nie poruszyć, a ona przez długie minuty ważyła je w palcach, ciesząc się ich bezwładnym ciężarem i badając grubość szorstkich włosów u podstawy jego potężnie rozdętego, krótkiego penisa przyciśniętego do drzwi.

- Dotknij go - wyjęczał.

Susan uśmiechnęła się przelotnie, ale gdy się odezwała, w jej głosie brzmiał tylko gniew. - Powiedziałam ci, żebyś o nic nie prosił. Nie masz żadnych praw. Nigdy go nie dotknę, nigdy, właśnie załatwiłeś sobie karę, nie posłuchałeś mnie. - Polizała wszystkie palce i wróciła do jego jąder, nawilżając je i delikatnie, cudownie je ściskając, wsłuchana w jego przyśpieszony oddech. Bawiła się wywołując u niego coraz większe podniecenie, zachwycona coraz większą trudnością, z jaką powstrzymywał się przed wydaniem jakiegokolwiek dźwięku. - Nie potrafisz się opanować? - spytała pogardliwie. - Odwróć się do mnie przodem. Och, naprawdę powinieneś się wstydzić. Spójrz tylko na siebie, jesteś zupełnie

jak jakieś zwierzę. Przeciwwstawiał się każdemu mojemu poleceniu. Podejź do łóżka, połóż się na plecach i przygotuj na przyjęcie kary. Ostrzegłam cię raz... to powinno było wystarczyć.

Podszedł sztywno do łóżka i położył się, zastygając w bezruchu z rękami leżącymi po bokach, chociaż z trudem łapał powietrze. Susan pochyliła się nad nim rozchylając peniuar i uwalniając swe pełne piersi. Na ich widok przygryzł wargę, ale nie poruszył się. Kiedy zobaczyła, że udaje mu się wykonywać polecenie, rozsunęła peniuar aż do talii, pozwalając mu zobaczyć to, co ma między nogami, poruszając miarowo biodrami na boki, aż w końcu sprowokowała go do uniesienia się kilka centymetrów w górę. Susan spojrzała z pogardą na jego zarumienioną twarz i odezwała się cichym, wzdurczonym głosem:

- Chciałam ci dać ostatnią szansę - rzekła, owijając się peniuaem - ale właśnie ją odrzuciłeś. Miałam zrobić ci... takie wspaniałe, wspaniałe rzeczy... ale... nie... to koniec... nie otrzymasz już kolejnej możliwości... czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, co straciłeś przez swoje nieposłuszeństwo? No! Wyciągnij ręce nad głowę, rozsuń nogi i leż nieruchomo.

Z błyskiem strachu w oczach obserwował, jak Susan wyciąga z nocnej szafki długie, szyfonowe szale. - Nie martw się - rzekła. - Nie lubię sprawiać bólu. - Zrecznie przymocowała mu nadgarstki i kostki u nóg do wdzięcznych łuków żelaznego zagłówka i podnóżka, wiedząc, że mimo całej swej delikatności szale są niezwykle mocne. Ostatni z nich ułożyła tak, że zasłaniał mu oczy, pozwalając mu niewyraźnie widzieć ją poprzez warstwę szyfonu. Susan Arvey odstaąpiła o krok przyglądając się swemu jeńcowi z miną smakosza. Jego potężny członek, do którego w żadnym

razie nie mógł sięgnąć, by przynieść sobie ulgę, drgał boleśnie. Był zdany całkowicie na jej łaskę, rozpalony do granic, przed przekroczeniem których przeciętny mężczyzna nie mógł się długo powstrzymać, no, ale agencja nie przysyłała przeciętniaków. Susan wiedziała, że może z chłopcem zrobić, co jej się żywnie podoba, i to tak powoli, jak jej się podoba.

Pozwoliła peniuarowi miękko opaść na podłogę. Zebrała wszystkie poduszki leżące między głową chłopca i zagłówkiem, rzuciła je na dywan i zrobiła sobie dość dużo miejsca na materacu nad krótkimi kędziorami na głowie chłopca. Uklękała tam dyskretnie obserwując jego oczy, które usiłowały spojrzeć w górę na jej nagość. Pomyślała, że pragnie jej, tak bardzo jej pragnie. Ostudzenie go było konieczne dla jej zamiarów. Nawet najlepiej wyszkolonym mężczyznom z agencji nie można było całkowicie zaufać, nie była pewna, czy zgodzą się na karę, jaką dla nich wymyśliła. Powoli pochyliła się nad nim, aż jej duże sutki zachwiały się nad jego otwartymi ustami, zbyt jednak daleko, aby mógł ich dosięgnąć. Patrzył na nie przez szal, a jego język trzepotał błagalnie w powietrzu. Od czasu do czasu pozwalala mu chwycić sutek i przez chwilę go possać, po czym wycofywała się, nie zwracając uwagi na jego protesty, upokarzając go, dopóki nie zaczynał jej błagać, bo skoro już stracił nadzieję na zadowolenie jej poprzez uległość czy posłuszeństwo, bezwstydnie ją prosił. Susan bawiła się tak z nim, dopóki jej sutki nie stwardniały, po czym powoli pozwalala mu coraz głębiej chwytać w usta każdą pierś, rozkoszując się cudownym, mocnym ssaniem. Dopiero gdy postanowiła dłużej już się nie powstrzymywać, pochyliła się nad nim głęboko, wspierając się na łokciach i kolanach, szeroko rozchylając mu nad głową

nogi.

Powoli, bardzo powoli, wiedząc, że bezradnie na nią patrzy oniemiały z pożądania, opuściła się w kierunku jego ust. Wyczuła raczej niż zobaczyła jego mięsisty język wyciągający się ku niej. Był tępo zakończony, wilgotny i rozpaczliwie niespokojny. W końcu, po długim wahaniu, pozwoliła chłopcu wsunąć go między jej rozwarte uda i wodzić tam po miękkich, wonnych, częściowo rozchylonych wargach. Pozwoliła mu wepchnąć język między owe wargi, rozsuwać włosy, uderzać w gładkie, wilgotne powierzchnie. Chłopak unosił brodę najwyżej, jak potrafił. Pozwoliła mu spróbować osłabić ją za pomocą sprytnych sztuczek, czuła pulsujący napływ krwi i cały czas oczy miała utkwione w podobnym do maczugi członku, którego chłopak absolutnie nie był w stanie użyć. Gdy tylko udało się jej oderwać od jego słodkich natarczywości, uniosła się z lekkością i przysiadła na piętach, tak że chłopak nie mógł jej dosięgnąć ani nawet zobaczyć.

- Och, nie! Proszę! - odezwał się błagalnie, a ona roześmiała się i dała mu possać tylko opuszki swoich migających palców. Wkrótce znów pochyliła ciało nad jego ustami, tym razem na tyle nisko, by udało mu się pochwycić jej łechtaczkę. Zaczął ją pieścić językiem, wargami i wewnętrzną stroną policzków, a Susan powoli, ze znanstwem zataczała kręgi siedzeniem, na chwilę mocno wciskając mu łechtaczkę do ust, po czym znowu unosiła się poza zasięg spragnionego języka. Raz po raz odrywała się od jego ust i lubieżnie słuchała jego błagań, aby pozwoliła mu włożyć w nią fiuta, aby tylko wpuściła go do środka. - Nie - była nieugięta - nigdy... jesteś coraz gorszy, nie można ci ufać, jesteś obrzydliwy, absolutnie obrzydliwy, ostrzegałam cię... Dałam ci nawet

jeszcze jedną szansę... ale nie ma już dla ciebie ratunku... zasługujesz na karę. - Teraz wychyliła się tak daleko do przodu, że chłopak wiedział, iż jeśli tylko Susan zechce, to z łatwością może dosięgnąć jego członka językiem. Jednak leżała nieruchomo, chociaż drżała, pozwalając mu na dogłębne badanie ustami soczystego skarbu między jej nogami. Skoncentrowała się na jego gorączkowym lizaniu gwałtownie powiększającej się łechtaczki. Jego członek był tak nabrzmiały, że niemal zlitowała się nad sobą i nad chłopakiem, prawie pozwoliła sobie na dotknięcie go językiem, ale stanowczo powstrzymała się przed ulegnięciem tej słabości. Wkrótce spostrzegła oznaki, że chłopak nie panuje nad swym podnieceniem, bo chociaż nie mógł dotknąć swego członka czy zamknąć nad nim ud, to swobodnie posuwistym ruchem w górę i w dół napinał i rozluźniał pośladki, co właśnie miało doprowadzić go do granic wytrzymałości. Dopiero wtedy oddała się w zapamiętaniu ssącej sile jego języka na owym ciężkim, rozpalonym, stęsknionym punkcie jej ciała, dopiero wtedy pozwoliła sobie oddać się falom pożądania, które prędko doprowadziły ją do przeciągłej chwili najwyższej ekstazy i wyzwolenia, tym rozkoszniejszej, że widziała jego spermę wytryskującą w powietrze, a nie w nią, nie, nigdy w nią, to było bowiem niedozwolone, dopóki to ona jest szefem, dopóki to ona jest górą i ma władzę.

* * *

Nazajutrz, kiedy Susan Arvey spotkała się na lunchu z Natalie Eustace, uważnie wysłuchiwała omówienia kilku najlepszych sztuk nie związanych z Broadwayem. Natalie uwielbiała te pogawędki, podczas których mogła odczuwać wyższość wobec starej przyjaciółki, której życiu,

mimo licznych przywilejów, brakowało tego artystycznego wymiaru.

- Jak spędzasz tu wieczory, Susan? - spytała w końcu Natalie po długim opisie własnej działalności.

- Jak zwykle, kolacje z partnerami Curta, ludźmi, z którymi nie chciałabyś rozmawiać. Naprawdę zazdroszczę ci, że wszędzie chodzisz, ale na to, niestety, po prostu nie mam czasu.

- Może kiedy będziesz w mieście, żeby kupować z Markiem Hamptonem antyki, będziesz miała czas na jeden wieczór ze mną. Ale Curta zostawimy jak zwykle w domu, co?

- Liczę na to, Natalie, chociaż kupowanie antyków zupełnie mnie wykańcza.

- Muszę powiedzieć, że nie wyglądasz na wykończoną - powiedziała Natalie z nutką zazdrości spowodowaną kwitnącym wyglądem Susan.

- To kalifornijskie życie, kotku, zawsze mówiłam, że jest może i nieciekawe, ale ma w sobie coś niezaprzeczalnie zdrowego, to jakiś tajemniczy składnik smogu. - Pomyślała, że na dzisiejszy wieczór będzie dobra ruda peruka, ta prosta i długa, i dwóch chłopców... tak, zadzwoni zaraz po lunchu i zamówi dwóch najnowszych, najmłodszych chłopców z agencji i jednego z nich, nagiego, związanego i nie mogącego się poruszyć zmusi do patrzenia, jak będzie drugiego uczyła posłuszeństwa. Tak, mając oczy przesłonięte cienkim szyfonem, żeby mogła się czuć zupełnie swobodnie, będzie wszystko widział czekając na swoją kolej, będzie obserwował, dopóki nie zrozumie, że jej rozkazy nigdy nie są gołosłowne. Jeśli dobrze wszystko pojmie, może Susan dotknie go językiem, a nawet wargami... a może nie. Będzie tyle innych zabaw z dwoma chłopcami, ile możliwości w świecie, w którym warto stosować się jedynie do zasad

narzucanych przez samą siebie.

- O co chodzi, Jean-Luc? Podobno chciałeś się ze mną widzieć?

Był początek lata 1980 roku. Josie Speilberg, zajęta pracą w biurze, zastanawiała się, dlaczego szef kuchni prosi ją o rozmowę w cztery oczy.

- Jest mi bardzo przykro, mademoiselle, ale muszę złożyć wymówienie - powiedział spokojnie grubas.

- Och, Jean-Luc, nie możesz tego zrobić!

- Mogę, mademoiselle. Nie robię tego z powodu pracy. Była pani dla mnie bardzo uprzejma i nie mogę narzekać, ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. W przyszłym roku Gigi wyjedzie do college'u. Była moją najlepszą uczennicą i, prawdę mówiąc, byłem tu tak długo tylko po to, by nauczyć ją wszystkiego, co sam umiem. A pani Ikehorn wcale nie potrzebuje kucharza.

- Ależ, Jean-Luc, pani Ikehorn zawsze zatrudnia kucharza. Odkąd wyszła za pana Ikehorna, zawsze miała kucharza. Na pewno cię potrzebuje. - Josie była przerażona perspektywą poszukiwania kolejnego doświadczonego szefa właśnie teraz, kiedy sprawy w kuchni miały się tak dobrze, że nie musiała wcale zawracać sobie nimi głowy.

- Pozwoli pani, że wyrażę sprzeciw. Kiedy bawi tu mada-me, jada tak mało, że moja sztuka kulinarna jest, że się tak wyrażę, niczym chudy rosołek. Bardzo pożywny, ale nie trzeba wielkich umiejętności, żeby go ugotować. Jeżeli madame zechce znowu przyjmować gości, może zatrudnić dobrego specjalistę od organizacji przyjęć. Nie potrzebuje kucharza, który nie ma tu nic do roboty. Niedługo zapomnę, jak smakuje zwyczajne masło i śmietana.

- Jeżeli to kwestia wynagrodzenia... jeżeli chcesz pracować dla

kogoś innego...

- Nie, mademoiselle, nie w tym rzecz. Tak się składa, że mam szansę, o jakiej marzyłem od dawna. Mój przyjaciel potrzebuje szefa kuchni do małej restauracyjki, którą otwiera w Santa Barbara. Kuchnia będzie świetna, restauracja elegancka i zaproponował mi przystąpienie do spółki. Chyba się pani ze mną zgodzi, że byłbym głupi, gdybym nie skorzystał z okazji.

- Nie prowadzimy tu wyrafinowanej kuchni francuskiej, Jean-Luc, nie przeczę, ale czy mogę coś zrobić, żebyś zmienił zdanie?

- Nic, droga mademoiselle. Chyba że Gigi zostałaaby w domu. Odejdę za jakieś dwa miesiące. Sądzę, że to wystarczy, żeby znalazła pani kogoś odpowiedniego. Może jakiegoś starszego mężczyznę, który będzie się cieszył, że płacą mu za to, by siedział wygodnie i prawie nic nie robił. Kogoś, kto nie lubi się wysilać. Może Amerykanina?

- Och, doprawdy, Jean-Luc!

- Nie jestem niesprawiedliwy, mademoiselle, tylko szczery - odpowiedział z szacunkiem i odszedł.

* * *

Zmuszona decyzją Jean-Luca Josie rozpoczęła poszukiwania, aż wreszcie znalazła młodego kucharza, dwudziestosześcioletniego Quentina Browninga, którego ojciec był właścicielem wspaniałego zajazdu w Cotswolds, znanego z wybornej kuchni. Ash Grove, znakomity hotel niedaleko Stratford-on-Avon, miał dwadzieścia pokoi i pięć apartamentów, ale tajemnica jego sukcesu o każdej porze roku tkwiła w dużej restauracji, w której rezerwowali stoliki nie tylko ludzie z okolicy, ale i londyńczycy, przybywający tu wyłącznie z powodu wspaniałego

jedzenia.

Quentin Browning wyjechał do Rugby, skąd udał się prosto do Szwajcarii, by uczyć się hotelarstwa. Wiedział, że pewnego dnia przejmie doskonale prosperujący interes rodzinny. Pasjonował się sprawami związanymi z hotelarstwem i odniósł sukces w Szwajcarii. Potem postanowił zająć się poważnie kuchnią. Mimo iż w Ash Grove zatrudniano w kuchni duży i kompetentny personel, uznał, że musi umieć wszystko, co powinien umieć szef, aby mógł krytykować innych i wprowadzać zmiany. Jeżeli nie zdobędzie tych umiejętności, będzie zdany na łaskę szefa, a to byłoby nie do zniesienia.

Quentin Browning pracował w kuchniach wielkich restauracji Lyonu, Paryża, Mediolanu i Rzymu, zaczynając od najniższych stanowisk i pnać się w górę zgodnie z klasycznymi zasadami. Sukces zapewniła mu ciężka praca, talent i urok osobisty, skuteczny w dwójnasób, jeśli jest się Anglikiem - członkiem wyspiarskiej nacji, która nie uważa wdzięku za istotną zaletę pracownika. Quentin Browning zakończył właśnie roczną praktykę jako zastępca szefa kuchni w najlepszej restauracji francuskiej w Huston i otrzymał ponętą propozycję pracy w San Francisco. Odrzucił ją jednak, korzystając z okazji, jaką stwarzało zatrudnienie w dużej prywatnej rezydencji.

Zdecydował, że po latach iście średniowiecznego terminowania w charakterze kuchcika, niemęcząca praca jest dokładnie tym, czego mu trzeba. Ojciec jakoś sobie poradzi bez niego i nigdy się nie dowie, że jego obowiązkowy syn zrobił sobie dobrze płatne wakacje, zważywszy wynagrodzenie, które zaproponowano mu za tak nieskomplikowaną pracę. Dlaczego nie miałby zachłysnąć się przez chwilę kalifornijskim stylem

życia: deskami surfingowymi, słońcem i tym, co podobało mu się najbardziej, jeśli chodzi o kobiety - wielkimi, pięknymi, hożymi, jasnowłosymi lalami, najlepiej po tuzinie naraz - zanim zagrzebie się w kraju Szekspira i wypełni swoje życiowe posłannictwo? - zadawał sobie pytanie, w którym zawarta była już odpowiedź.

Gigi pożegnała ze smutkiem Jean-Luca, przyjaciela i niezastąpionego mistrza, który został aż do uroczystości rozdania świadectw, wydarzenia, na którym nie zabrakło Billy, Spidera, Valentine, Dolly, Lestera, Sary - fryzjerki od Sassoona - wszystkich mieszkańców domu przy Charing Cross Road i połowy personelu „Scruples”. Vito bawił gdzieś na południu Francji i nie tęsknił za nim nikt prócz Gigi.

Aby pocieszyć się po odejściu Jean-Luca, Gigi postanowiła upiec ciasto dla jego następcy, który miał przybyć następnego dnia. Nic wymyślnego, nic ostentacyjnego, nic prostackiego, lecz ciasto, które będzie najlepszym sprawdzianem, czy nowy przybysz zna się na wypiekach. Wybrała genoise, klasyczny francuski biszkopt, którego doskonałość wymaga tak dyskretnej znajomości rzeczy, że potrafi ją ocenić tylko ekspert. Jego reakcja na biszkopt to sprawdzian, który dla niego przygotowuje, pułapka, którą zastawi, bo nie dowierza żadnemu Anglikowi, podającym się za mistrza kuchni francuskiej.

- Dlaczego biszkopt, Gigi? - zapytał z ciekawością Burgo O'Sullivan patrząc, jak zabiera się do pracy w pustej tego popołudnia kuchni. - Dlaczego nie coś bardziej efektownego?

- Burgo, wiem, że z trudem nauczyłeś mnie prowadzić samochód, wiem, że ryzykowałeś życie, kiedy jeździliśmy po autostradach, ale nawet tobie brak desperackiej odwagi i pewnej ręki, żeby ośmielić się upiec to

pozornie proste ciasto. Podczas pieczenia można zepsuć tyle rzeczy, że sama nie odważyłabym się do niego zabrać, gdyby nie to, że jest cholernie smaczne.

- Podziwiam twoją skromność. Gigi posłała mu uśmiech.

- W kuchni nie ma miejsca na skromność. To tak jak walka byków. Nie należy zaczynać czegoś, czego nie umie się skończyć - oznajmiła, ubijając jajka, cukier i wanilię nad garnkiem z gorącą wodą. - Objętość powinna powiększyć się ni mniej, ni więcej, tylko czterokrotnie, mój przyjacielu. Ta mieszanka musi być ubita mocno, ale z zegarmistrzowską precyzją.

Burgo usadowił się wygodnie. Pomyślał, że Gigi skupiona na pracy, owinięta w sięgający do kostek biały wykrochmalony fartuch, w czarnej opasce, dzięki której włosy nie wpadały jej do oczu, wygląda jak gospodarna, staroświecka młodzianka narzeczona, której wizerunek mógłby zdobić wiktoriańską książkę kucharską.

- Nie jestem zachwycony - powiedział - ale wiem, że to tylko kwestia czasu. Powiesz mi, dlaczego ubita mocno?

- Cały sekret tego pozornie nieudanego ciasta polega na jego niedościgłej konsystencji, a po dodaniu topionego masła, co zaraz zrobię, piana traci puszystość i może całkiem oklapnąć. Dlatego - celebrowała swą sztukę Gigi, mierzając w niego trzepaczką - trzeba to zawczasu zrekompensować i ubić pianę bardzo mocno, by uzyskać niebiańsko pulchne ciasto.

- To ma sens - chrząknął Burgo.

- Poczekaj, Burgo, poczekaj! Jeżeli dam się ponieść i ubiję je trochę ponad miarę, piana będzie zbyt puszysta i ciasto też nie będzie pulchne.

- Będzie suche, jak ubijesz je za mocno, i suche, jak ubijesz za słabo.

- Jedno potknięcie i zamieni się w wielki suchar, Burgo - odparła Gigi z udawanym smutkiem, dodając mąkę do masy, która, jak oceniła, osiągnęła już stan doskonałości.

- Z drugiej strony, nie używam proszku do pieczenia, więc jeśli nie wymieszam mąki w jedyny właściwy sposób, by osiągnąć całkowicie gładką masę, ciasto będzie ciężkie i lepkie. Nie wielki suchar, Burgo, ale ogromny, mokry naleśnik.

- Czy pieczenie ciast to zawsze taka ciężka robota? W kąciuku kucharskim Betty Croker wygląda to na wielką frajdę.

- Burgo, chcę upiec nieziemskie ciasto, które sprawi, że nowy kucharz wybałuszy swoje sprytne, świńskie oczka. Betty Croker nie umiałaby tego zrobić.

- Wydaje mi się, że się popisujesz.

- Każda dobra kuchnia to popis - odparła niewzruszona Gigi. - Gdyby nie instynkt gotowania, nadal siedzielibyśmy w jaskiniach, jedząc surowe mięso i korzonki. Domy istnieją przede wszystkim po to, by dać schronienie kuchni. Bez instynktu gotowania nie byłoby cywilizacji.

- Zawsze wiedziałem, że można na coś zrzucić winę za cywilizację - powiedział Burgo, kiedy Gigi przekładała masę do tortownicy, wkładała ją do rozgrzanego piekarnika i zabierała się za krem z masła, mleka i jaj, którym zamierzała przełożyć trzy warstwy ciasta i posmarować je po wierzchu.

- Mieszkam w tym domu dostatecznie długo - dodał - by stwierdzić, że w grę wchodzi raczej instynkt zakupów. Masz dziś randkę, Gigi?

- Oczywiście - odrzekła bez wahania. - Idziemy wszyscy na Rocky

Horror Picture Show.

- Jacy „wszyscy”?

- Moja paczka, ty głupku, moja paczka. Mazie, Sue, Betty i kilku chłopaków. Dlaczego pytasz?

- Widziałaś ten film dwanaście razy - zaprotestował Burgo, domyślając się, że zobaczą go jeszcze dwanaście razy, zanim się znudzą. W rzeczywistości chciał się dowiedzieć, czy Gigi ma randkę z jakimś chłopcem. Grywając nocą w pokera ze swoim przyjacielem Stanem, strażnikiem w szkole Gigi, wypytywał go o zjawisko grupowych randek. Burgo uważał, że najwyższy czas, by Gigi znalazła sobie chłopca, zamiast łązić w stadzie. Przecież miała już osiemnaście lat. W tym wieku jego matka była już drugi raz w ciąży. Jednak Stan, który wiedział więcej o nastolatkach niż Burgo, wyjaśnił mu, że to całkiem naturalne.

- Gdyby zadawała się z jednym zasmarkanym byczkiem, byłoby się o co martwić, zważywszy na to, że jesteście nad-opiekuńczy - uspokajał go przyjaciel. - Kiedy Gigi znajdzie się jesienią w college'u, wszystko się zmieni i zatęsknicie do czasów, kiedy miała swoją miłą, bezpieczną paczkę.

Przez dłuższą chwilę, czekając aż ciasto ostygnie na tyle, by Gigi mogła je przekroić i przełożyć kremem, siedzieli w pełnej zrozumienia ciszy.

- Burgo, spójrz na to ciasto - zażądała Gigi, ukończywszy dzieło. - Co u tym sądzisz?

- Mówiłaś, że to ma być coś zwyczajnego.

- Ale nie nudnego! To najnudniejsze ciasto, jakie widziałam w życiu. Okrągłe i białe. To wszystko, co można o nim powiedzieć. To najbardziej

wyrefinowany biszkopt na świecie, a wygląda jak krążek sera Brie.

- Udekoruj je.

- Chciałam, żeby było gładkie, zwyczajne, pozornie nijakie, żeby ten durny Angol zareagował tylko na jego jakość. Każdy umie ozdobić ciasto i sprawić, by wzrok oszukał podniebienie. Zniszczę jego doskonałość, jeśli je udekoruję, a jak tego nie zrobię, nikt nie będzie miał ochoty go spróbować. Dzięki ozdóbkom Sara Lee dorobiła się majątku.

- Hej, Gigi. Masz problem artystyczny. Poddajesz się czy upierasz przy swoim?

- Idę na kompromis. Ozdobię ciasto napisem, najprościej jak się da - odparła Gigi w przyływie natchnienia, roztopiając białą czekoladę i skręcając papier w stożek. Wlała do niego roztopioną czekoladę z kroplą oliwy, odcięła koniuszek stożka, na powierzchni ciasta wypisała:

„Witaj, Quentinie Browning” wielkim, cienkim ozdobnym pismem i dodała niemal niewidoczny, skomplikowany zawijas na całym krążku.

- Świetnie - powiedział z zachwytem Burgo. - Białe na białym, jak koszula i krawat gangstera.

- Będzie musiał spróbować, choćby przez uprzejmość. A gdy spróbuje, napomknę, że jestem kucharką amatorką i upiekłam byle co. Ha! A potem niech cały ten Browning spróbuje zrobić coś lepszego. Jean-Luc powiedział mi, że Anglicy nie mają pojęcia o pieczeniu... to wada wrodzona. Teraz pozmywamy, Burgo.

- Zmywa kucharz, Gigi. Masz mnie za kompletnego durnia?

- To nie kwestia przekonania, lecz fakt. Jazda, możesz wylizać resztkę kremu.

* * *

Kiedy Quentin Browning przybył z walizką na Charing Cross Road w niedzielne popołudnie, wielki dom był pogrążony w ciszy. Po dyplomie Gigi Billy wyjechała do Monachium, gdzie eleganckie, zasobne kobiety z utęsknieniem oczekiwały otwarcia sklepu „Scruples”, który nie był jeszcze gotowy. Ponieważ niemal cała służba miała wychodne, Josie wysłała Burgo na powitanie przybysza. Burgo wskazał Quentinowi pokój w skrzydle przeznaczonym dla personelu.

- Czy chcesz, żebym cię oprowadził po domu, czy wolisz się rozpakować? - zapytał.

- Rozpakuję się później. Dziękuję. Chciałbym najpierw zajrzeć do kuchni. Kiedy pani Spielberg przyjmowała mnie do pracy, nie miała czasu, żeby mi ją pokazać.

- Jasne. Zrobię ci herbaty, jeśli chcesz.

- Dziękuję. Z przyjemnością. Od lat nikt oprócz mojej matki nie robił mi herbaty. Czym się tu zajmujesz?

- Wszystkim, poza gotowaniem, sprzątaniem i ogrodem.

- To tak jak mój wuj - powiedział Quentin, uśmiechając się ze zrozumieniem. - To facet, bez którego cały interes rozpadłby się w ciągu kilku dni. Jesteś więc niezastąpiony.

- Można by tak powiedzieć - odparł Burgo, mierząc przybysza wzrokiem. Niezły chłopak jak na Anglika. Może gra w pokera?

Po szczegółowej inspekcji kuchni, kredensu, spiżarni i piwniczki oraz jadalni dla służby i pokoju stołowego Quentin i Burgo przysiedli w pokoju śniadaniowym z dzbankiem herbaty i ciastem, które Burgo wyjął zgodnie z poleceniem Gigi. Quentin odczytał napis. - To bardzo miłe, a poza tym umieram z głodu - przyznał, uradowany takim przejawem

uprzejmości.

- Zadzwoń do Gigi przez interkom i zapytaj, czy chce herbaty

- powiedział Burgo.

- Gigi?

- To przybrana córka pani Ikehorn. Była u siebie i czytała.

- Mała dziewczynka?

- Niezupełnie mała, ale i nie wielka, jak na to popatrzeć - powiedział z namysłem Burgo.

- W każdym razie, mała jak na Kalifornię.

- Ile ma lat?

- Młodziutka. O, już jest. Gigi Orsini, Quentinie Browning.

Gigi odruchowo podała mu rękę, uśmiechnęła się odruchowo i odruchowo usiadła. Nigdy nie poznała osobiście żadnego Anglika, ale znała ich bardzo dobrze jako gatunek, od Laurence'a Oliviera po Aleca Guinnessa, od Alana Batesa po sir Ralphi Richardsona, od Rexa Harrisona po Davida Nivena, od Johna Gielguda po Johna Lennona. Była pewna, że mimo całej swej różnorodności, Anglicy nie mogą jej zaskoczyć. A jednak nie widziała w żadnym filmie nikogo, kto przygotowałby ją na spotkanie z tym właśnie młodym mężczyzną. Był wysoki i smukły, w typie podróżnika. Nie wyglądał jak kucharz, lecz jak pewny siebie badacz górnych dopływów Nilu, a gdy się uśmiechał, jego leciutko wystające zęby przywodziły jej na myśl uczniaka, który właśnie wrócił z wakacji. Miał długi wąski nos, dość duże uszy i proste jasne włosy gładko zaczesane na bok, które nieustannie opadały mu na czoło. Był pełen dystansu, lecz jego szare oczy miały otwarty przyjazny wyraz.

- Dalej, spróbujmy ciasta - powiedział Burgo, widząc, że Gigi siedzi

cicho, z rozbieganymi oczyma, nie łyknąwszy nawet herbaty, którą przygotował.

- Ciasta? - zapytała Gigi, jakby to był obcy wyraz.

- Ciasta które stoi na stole. Tego białego, okrągłego ciasta - powiedział Burgo, niecierpliwie krojąc je nożem. W myślach kosztował je już od wczoraj. Nie powinien był nawet tknąć tego kremu.

Gigi i Quentin bez namysłu spróbowali ciasta. Burgo zjadł wielki kawał i pomyślał, że oszaleje z zachwyty. To było więcej niż obiecywała Gigi, więcej niż można się spodziewać po jakimkolwiek cieście.

- Może być - powiedziała rozkojarzona Gigi.

- To naprawdę świetne ciasto - przyznał w roztargnieniu Quentin, przyglądając się jej i biorąc do ust następny boski kęs. Nie była w jego ulubionym typie wielkiej blondyny, ale zawsze można zrobić wyjątek dla jej rozczochranych pomarańczoworudych włosów, spiczastych uszek i złożonych do uśmiechu ust. Pod względem uroku miała wysokie notowania.

- Wasz kucharz był artystą.

- Był - westchnęła Gigi.

- Chciałbym być tak dobry choć w połowie.

- Gigi - szturchnął ją Burgo. - Kiedy dokładnie powstało to ciasto?

- Kto wie? - westchnęła tajemniczo Gigi.

- Nie pamiętasz? Gigi? Gigi?

- Nie - powiedziała, wzrokiem nakazując mu milczenie.

- Umiesz gotować? - zapytał Quentin, szukając w myślach sposobu, by zainteresować tę śliczną, obojętną, małomówną istotę.

- Och, nie - odparła ze smutkiem Gigi. - Nigdy nie miałam czasu na

naukę. Ani minuty.

- A może masz choćby jakieś podstawy?

- Byłam zbyt zajęta, prawda, Burgo?

- Co? Och, jasne...

- Chciałabyś się uczyć? Podstawowych rzeczy. Tyle, ile trzeba, żeby sobie dać radę? - Lekcje gotowania, które dawał dziewczynom zawsze skutkowały.

- Hm... chyba tak... to może i dobry pomysł, tak na wszelki wypadek, co, Burgo?

- Taaak, Gigi, na wypadek, gdybyś musiała... - odrzekł Burgo z niesmakiem. Jeżeli Gigi zastawiała na Quentina jakąś pułapkę, pomysł był zbyt makiaweliczny, by Burgo mógł się w nim rozeznąć. Powinna była przynajmniej go uprzedzić o swojej nowej psocie.

- Możemy pominąć obieranie cebuli i skrobanie marchewki i przejść od razu do... jajecznicy - zaproponował Quentin, starając się z całej siły, by nie pachniało to ciężką harówką.

- Och, nie. Chcę się tego nauczyć - powiedziała Gigi, szeroko otwierając oczy w wyrazie szczerości. - Chcę zacząć od samych podstaw i przejść aż do jajecznicy... przez wszystkie etapy. Mam mnóstwo czasu i nie mam nic innego do roboty... przez całe lato.

- Chyba zjem jeszcze kawałek ciasta - powiedział Burgo w nagłym przeczuciu nieszczęścia, które niemal odebrało mu apetyt - bo wy dwoje nie jesteście chyba głodni.

* * *

Tego wieczoru Gigi zawiozła Quentina na wycieczkę po Los Angeles, od portu w Santa Monica do Beverly Hills, od Sunset Strip do

Pinks, słynnej budy z hot dogami, która jak inne turystyczne atrakcje, żeruje na ludzkim upodobaniu do nieskrępowanego, bezwstydного tarzania się w brudzie.

- Opowiedz mi jeszcze o Cotswolds - poprosiła Quentina, kiedy stali przy barze i zamawiali następną porcję ostro przyprawionych hot dogów pokrytych chili, musztardą i siekaną cebulką.

- Słuchaj, Gigi, odkąd wsiedliśmy do samochodu, ciągle zadajesz mi pytania, ale nie powiedziałaś mi jeszcze nic o sobie.

- Och - zawahała się Gigi, umykając wzrokiem z miną tak czarująco tajemniczą, że tylko Betty Davis mogłaby jej dorównać. - Naprawdę nie wiem, od czego zacząć... to takie skomplikowane, światowe życie, Quentin... te podróże między Nowym Jorkiem a Los Angeles. Wzięłam z obu miast to, co najlepsze. Chyba uważa się mnie za przedwcześnie dojrzałą i muszę przyznać, że bezsprzecznie jestem zepsuta, ale, do cholery, to nie moja wina, że od urodzenia nie mogę usiedzieć na tyłku. To nieuleczalne - to wieczne szukanie nowych doświadczeń, nawet szokujących, to wieczne pragnienie nowych wrażeń, nawet jeśli są niebezpieczne. A najgorsze, że dobrze wiem, co się ze mną dzieje. Można by sądzić, że w wieku dwudziestu jeden lat znalazłam nareszcie coś, czego będę się trzymać. Nie patrz na mnie z takim zdziwieniem, Quentin. To ten przekłety dziecienny wygląd. Nabrały się na to całe tuziny facetów. - Z rozmyślną, teatralną przesadą Gigi pokiwała głową nad swoim zwodniczym naturalnym wyglądem i uczyniła lekceważący zblazowany gest. - Widzisz, Quentin, niezależnie od tego, jak się miotam, jak eksperymentuję, zawsze coś mnie gna naprzód, jakaś pełnia życia, odkrywana w każdym następnym spotkaniu.

- Więc dlaczego spędzasz tu lato? Było tu tak spokojnie, kiedy przyjechałem.

- W zeszłym roku byłam... jak to powiedzieć?... szalona... nawet, tak, przebrałam miarę, obawiam się, że znalazłam się na granicy autodestrukcji. W domu i tak będą pewnie plotkować, więc mogę ci powiedzieć, że związałam się bardzo, bardzo mocno z... och, do diabła... z grupą rockową... dziwaczny epizod, teraz, kiedy na to patrzę, ale nie pozbawiony swoistego uroku. - Gigi powoli przywołała na twarz ironiczny uśmiezek, skrywający wiele sekretów. - W każdym razie - ciągnęła - Billy postanowiła, nawet nalegała, żebym tego lata została w domu i nie przysparzała jej zmartwień. A ja zgodziłam się, ponieważ ją kocham. Nie przypuszczałam nawet, że będę miała szansę nauczyć się... gotować. - Spojrzała na Quentina spod ciemnych rzęs tak przebiegle i psotnie, że w mgnieniu oka zrozumiał, iż pojęcie uroku jest zbyt ograniczone, by zamknąć w sobie osobkę tak światową jak Gigi.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie miałaś czasu na naukę.

- To nie było najważniejsze.

- Jasne, że nie. A jak się nazywa ta grupa rockowa?

- Wolałabym nie mówić, Quentin. Szczerze mówiąc, staram się zapomnieć. - Odwróciła nieco głowę i mógł zauważyć, jak znaczący rumieniec pokrywa jej twarz aż po białą szyję, widoczną w głębokim dekolcie obszernej białej jedwabnej koszuli włożonej w białe džinsy. Gigi zarumieniła się aż po korzonki włosów, a jej długie srebrne indyjskie kolczyki z turkusami zakołysały się, kiedy starała się zapanować nad emocjami.

- Wybacz, Gigi. Byłem głupi, że o to zapytałem. Nie wiem, dlaczego

to zrobiłem.

- Nie przepraszaj. To już skończone, od wielu miesięcy.

- Naprawdę?

- Całkowicie. Już doszłam do siebie. W istocie, jeśli mowa o doświadczeniu, to było właśnie to. Czego więcej można chcieć? Non, je ne regrette rien. Pamiętasz tę piosenkę Piaf, Quentin?

„Niczego nie żałuję”. To moje motto. Chodź, wracamy do domu.

* * *

Gigi milczała, pewną ręką prowadząc szokująco różowe auto z powrotem na Charing Cross Road. Przez cały ubiegły rok chciała być dorosła aż do bólu, bezowocnie szarpiąc się na wszystkie strony, by rozerwać jedwabny kokon dziewczęcości, ale życie nie dostarczyło jej dotąd żadnej okazji. Chłopcy z jej paczki byli emocjonalnie niedojrzali w porównaniu z nawet najbardziej zieloną z dziewczyn. Trzymali się jednak razem, tworząc małą, zamkniętą grupę w najstarszej klasie. Żadne z nich nie miało ochoty niczego zmieniać aż do końca szkoły. Jak to zwykle bywa wśród nastolatków, obmacywali się i obściskiwali w ciemności, knując nieszkodliwe intrygi, ale chłopcy byli w zasadzie jednakowi i, w jej przekonaniu, tak mało podniecający, jakby byli rodzonymi braćmi.

* * *

Gigi nie mogła uwierzyć, że tkwiła tak biernie w starej skórze, z której dawno już wyrosła, że tak spokojnie poddawała się opiece Billy, Josie i Burga, rutynie wielkiego domu i przyjaźni z Mazie. Jak się okazało, razem z Mazie mogłyby równie dobrze trafić do szkółki klasztornej zamiast na uniwersytet, pomyślała, mimo iż wśród tysięcy studentów zdarzało się towarzystwo tak szalone, że trudno sobie wyobrazić.

Wydawało się jej, że każda przejechana mila przybliży ją do krainy dorosłości. Za każdym razem, kiedy zerknęła na fascynujący profil Quentina, jej ręce zaciskały się mocniej i bardziej zdecydowanie na kierownicy. Stawała się dojrzała, mądrzejsza i bardziej pewna siebie. Był mężczyzną, a ona kobietą, powtarzała w myślach. Stała się kobietą w chwili, kiedy powiedziała mu, że nie umie gotować. Ale wśród całej litanii kłamstw opowiedzianych Quentinowi, które zaskoczyły nawet ją samą, była jedna prawda. Nie wierzyła w wyrzuty sumienia. Teraz, gdy rozumiała, że żyła pod kloszem, nie było już odwrotu.

Gigi przywitała odzwiernego, w ciszy pokonała długi podjazd i zostawiła samochód w garażu.

W domu wszyscy spali, co stwierdziła po nieomylnych oznakach, otwierając frontowe drzwi i drżąc lekko w mocnym postanowieniu.

- Nie masz klucza?

- Nie jest potrzebny, kiedy są strażnicy. Poznasz ich.

- Jak trafię do swojego pokoju? Nie dam sobie rady bez Burgo.

- Zaprowadzę cię. Nie ma problemu. Ale chodź na górę zobaczyć moje mieszkanie. Warto zobaczyć. To jeszcze jedna atrakcja turystyczna, zwłaszcza po Pink's.

- Jak sekretna wyprawa do prywatnych apartamentów królowej w pałacu Buckingham?

- O ile wiem, u mnie jest znacznie wygodniej. - Gigi poprowadziła go przez hali do schodów. W zeszłym roku jej sypialnię powiększono i przerobiono na całe mieszkanie przez wyburzenie sąsiedniej ściany pokoju gościnnego. Teraz był tu duży salon, mała kuchenka i garderoba. Billy miała nadzieję, że to połączenie luksusu i wspaniałości zachęci Gigi do

wstąpienia na Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles i pozostania w domu na czas studiów.

- To istne... Hollywood - odezwał się wreszcie Quentin zdumionym głosem, kiedy oprowadziła go, zatrzymując się przy *pièce de résistance* - największym łóżku, jakie widział w życiu, ze zwieszającą się z sufitu kotarą zrobioną z takiej ilości bladozielonego, pasiastego jedwabiu, że starczyłoby go na namiot podróżny dla Katarzyny Wielkiej.

- Tak miało być. Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję.

- Pocałować cię?

- Tak, proszę.

Gigi wyprostowała się, objęła jego szyję ramionami i szybko pocałowała go w brodę.

- Tak, lepiej pójdę do siebie - powiedział zdecydowanie Quentin.

- Dokąd się spieszysz?

- Gigi...

- Tak?

- Czego chcesz? Szukasz następnej okazji? Kolejnego mocnego doświadczenia?

- Dokładnie tak - odparła ze śmiechem, czując ulgę, że przejął pałeczkę z jej niedoświadczonych rąk. - Pod warunkiem, że tego chcesz. To nie należy do twoich obowiązków.

- Jezu, Gigi, nie przebierasz w słowach - zamruczał.

- Masz dokładnie pięć sekund na podjęcie decyzji - powiedziała Gigi, z determinacją zaciskając pięści i z niecierpliwości wstrzymując oddech.

- Ach, Hollywood - wyszeptał Quentin Browning i poddawszy się,

wziął ją w ramiona, uniósł i położył na łóżku. Coraz mocniej i zapamiętałej całował jej spragnione zwycięskie usta, rozpinając guziki koszuli i uwalniając małe, różowe, wzruszająco młode, sterczące piersi. Gigi, szybko zniecierpliwiona nawet najwspanialszymi pocałunkami, schwyciła go za włosy, więc musiał oderwać się od jej ust i schylić ku piersiom. Ujęła je w dłonie i gwałtownym ruchem przycisnęła swoje delikatne zaczepne sutki do jego warg, tak gwałtownie, jakby chciała, by je gryzł.

- Zaczekaj, zaczekaj - wymruczał, lecz Gigi postanowiła, że go nie posłucha, i szybko wyplątała się z dzinsów i majtek, gdy on nadal zastanawiał się, jak bardzo mogą jeszcze nabrzmieć i stwardnieć różowe koniuszki.

- Boże, jakaś ty zachłanna - wymamrotał, kiedy uświadomił sobie jej nagość. - Zachłanna mała dziewczynka, taka nienasycona - mówił, rozbierając się najszybciej, jak mógł. Ramionami otoczyła jego nagą pierś i ocierała się o jego ciało tak gwałtownie, jakby płonęła i starała się ugasić ogień dotykiem jego skóry, całując go przy tym namiętnie tam, gdzie zabłądziły jej spragnione usta.

- Przestań - zdecydował, chwytając ją za ramiona, by jej się przyjrzeć, by popatrzeć na mocno wciętą talię, wspaniale zaokrągloną linię ładnie ukształtowanych bioder i nóg, na delikatną wypukłość brzucha i obiecujący gąszcz włosów jej łona.

Kiedy patrzył na nią, Gigi zacisnęła mocno powieki, w oczekiwaniu wstrzymując oddech, ale nie mogła uwolnić się od jego badawczego spojrzenia, dopóki nie zaczęła kołysać biodrami to w jedną, to w drugą stronę, ruchem instynktownie zmysłowym i tak uwodzicielskim, że

zapomniał o swoich oględzinach.

Gdy poczuła, że zwalnia uścisk, opadła na niego, rozkładając nogi i przesuwając się tak, że jego penis znalazł się w schronieniu jej gorących ud. Jej napiętność rozbawiła go. Cofnął się, by móc pieścić ją między nogami i sprawić, by dobrze się otworzyła. Odnalazł ścieżkę w jedwabistym, kędzierzawym gąszczu jej delikatnego wzgórka, świadomie przesuwając palcami po jego wnętrzu, które chciał zobaczyć na własne oczy, zanim w nie wejdzie. Pod wpływem jego dotyku Gigi znów przymknęła oczy, zaciskając zęby i wiercąc się na łóżku tak mocno, że jej żarliwość objęła go płomieniem i nie mógł już dłużej zwlekać. Ujął twarde, drżący penis i wepchnął go jednym szybkim brutalnym ruchem, zbyt rozpalony jej napiętnością, by czekać. Jest ciasna, pomyślał, bo jest taka mała, i była to jego ostatnia jasna myśl, gdy ruchy jej ciała odpowiedziały na jego pchnięcia. Ugryzła go w ramię aż do krwi, reagując na jego nieustępliwość równą determinacją, ponaglając go szybko w ataku tak niepowstrzymanej napiętności, że zdumiał się, mimo całego swojego doświadczenia. Próbował się powstrzymać, nie wiedząc, czy jest już gotowa, ale nie pozwoliła mu na żadne wahanie, miotając ciałem w szalonym tempie, bezlitośnie, niemal nieporadnie, lecz z tak potężnym skutkiem, że wkrótce cofał się i nacierał w skurczu głębokiego nieopanowanego orgazmu.

Wyczerpany, zsunął się z ciała Gigi i leżał bez słowa. Wreszcie wydał z siebie znużone westchnienie zachwyty. - Naprawdę wiesz, czego chcesz, co? - Kiedy nie odpowiedziała, spojrział przez półprzymknięte powieki i zobaczył nieomylnie zarumienioną, wyczekującą twarz nie zaspokojonej kobiety.

- O, cholera... nie miałaś... przepraszam...

- Nie miałam, ale będę miała... przecież nigdzie nie idziesz - uścisnęła go Gigi. - Przykro mi, że cię ugryzłam.

- Nigdy tego nie rób. To boli.

- Następnym razem... nie będę musiała. To tylko dlatego, żeby nie krzyczeć, kiedy bolało. Quentin gwałtownie usiadł. - Co jest, kurwa? Poczekaj... co to jest? - Oskarżycielskim gestem wskazał niewielką plamę krwi na pościeli.

- Jak to wygląda? - zapytała Gigi, wielce zadowolona z siebie.

- Wygląda na to, że jesteś największą kłamczuchą, jaką spotkałem w życiu - powiedział z wściekłością.

- Chyba tak - przyznała uszczęśliwiona. - Chyba tak.

- A co z tym pieprzonym zespołem rockowym? Co tam robiły dziewczynki?

- Och, Quentin, nie bądź taki drobiazgowy - zachichotała Gigi, gładząc włosy, które opadły mu na czoło. - Tak się składa, że nienawidzę rocka.

- O Boże, w co ja się wpakowałem?! - wykrzyknął. - Ile masz lat, zachłanna mała dziwko? Czternaście?

- Oczywiście, że nie! - odpowiedziała z żartobliwym oburzeniem. - Nie masz się o co martwić, nie podpadam już pod paragraf. Dlaczego nie położysz się i nie zdrzemniesz? Wygląda na to, że tego potrzebujesz. Zaraz wracam.

Gigi przedsięwzięła środki ostrożności, zamykając dwoje drzwi apartamentu i chowając klucz.

Quentin zasnął głęboko z wyrazem zadowolenia na niebywale

pociągłej, szczupłej i przystojnej twarzy, więc nieco chwiejnym krokiem wyszła na palcach do łazienki.

Puszczając gorącą wodę, która miała uśmierzyć ból obolałych, posiniaczonych i swędzących miejsc, podśpiewywała swawolną przeróbkę piosenki Tony'ego Bennetta *Bulwar Straconych Złudzeń*. Mimo wszystko, nic nie powie Mazie. Jest zbyt dorosła, by opowiadać o wszystkim, co jej się przydarza. A to przecież dopiero początek nocy.

* * *

Jeżeli Gigi tak sobie wyobraża flirtowanie, to ręce opadają, myślał Burgo, widząc, jak posłusznie skrobie marchewki, sieka selery i uczy się, jak obrać pomidor ze skóry po uprzednim zanurzeniu go we wrzątku. Tę drobną sztuczkę pokazała mu już trzy lata temu. Ręce opadają. Ta cała głupia dziecinada to nie jego interes. Skoro Gigi jest tak niedorozwinięta, że uważa, iż przez robienie z siebie idiotki w kuchni zainteresuje sobą faceta, on umywa ręce. W końcu nie ma strachu. Przez jakieś okropne pół godziny zamartwiał się, że Gigi pójdzie w ślady pani Ikehorn, która, z tego co wiedział o jej przeszłości, nie zabawiała się w obieranie szalotki, kiedy przyszła jej chęć na chłopca, ale mała Gigi nie robiła żadnych postępów akurat w tej dziedzinie. I Bogu za to dzięki. Był ostatnią osobą, która powiedziała jej, w czym tkwi błąd.

Siedząc w swoim biurze, Josie Speilberg wiedziała o wszystkim, co dzieje się w domu, i była zadowolona, kiedy dowiedziała się, że nowy kucharz daje Gigi lekcje gotowania. W takiej dziedzinie jak gotowanie zawsze można nauczyć się więcej. Każdy kucharz ma swoje własne sposoby, a uczennica równie pilna jak Gigi z pewnością potrafi wyciągnąć coś ważnego z każdego nauczyciela, z którym się zetknie. Żałowała, że

Jean-Luc odszedł i nie może zobaczyć, że zainteresowanie Gigi gotowaniem wcale nie osłabło. Jak zawsze powiadała, nie ma ludzi niezastąpionych.

Co do pozostałej służby, to tak bardzo przywykli do obecności Gigi w kuchni, że dawno już przestali dopytywać się, co tam robi. Wszystkie czynności wstępne wyglądały tak samo, więc interesowano się tylko rezultatami.

Billy wróciła z Monachium i spędziła kilka dni w Los Angeles przed wyjazdem na Hawaje - gdzie wznoszono kolejny Dom Mody „Scruples”, by wykorzystać możliwości wspaniałych interesów, które stwarzali wczasowicze i rosnące zastępy zamożnych i podążających za modą japońskich turystów.

Na tę wyprawę Billy chciała zabrać ze sobą Gigi, potem zamierzała zajrzeć jeszcze do „Scruples” w Hongkongu. Nie lubiła długich okresów rozłąki, ale po całym zamieszaniu i napięciu ostatniego roku w szkole biedne dziecko wyraźnie marzyło tylko o tym, by posiedzieć spokojnie w domu niczym u Pana Boga za piecem, oddawać się orgii lenistwa, spać wiele godzin dłużej niż zwykle, pętać się po kuchni, troszkę popływać po południu i powoli uwalniać się od stresu związanego z wstąpieniem do college’u. Przyjęto ją jednocześnie do Smith, Vassar i Berkeley, ale ku zadowoleniu i uldze Billy Gigi zdecydowała się na Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles.

Kiedy jadły razem lunch, Billy przyjrzała się uważnie Gigi i zauważyła, że ukończenie szkoły bardzo ją zmieniło. Ukończenie szkoły średniej to, rzecz jasna, jeden z wielkich rytuałów inicjacyjnych, myślała Billy, dostrzegając w zachowaniu Gigi rozczulającą radość, nowy błysk w

oczach i rumieniec na mocno opalonych policzkach. Wydawało się jej, że Gigi urosła przez te kilka tygodni. To niemożliwe, to złudzenie optyczne, ale uderzyło ją to po powrocie z Monachium. Nowa była słodko rozkwitająca pewność siebie Gigi, nowa była rozkoszna kokieteria i nowe giętkie dojrzałe ruchy, nowa była... jej kobiecość.

- Gigi - zapytała Billy, tknięta nagłym, straszliwym podejrzeniem - czy jesz więcej niż zwykle?

- Może tak - przyznała Gigi. - Tak naprawdę nic innego nie robię. Choć wielki ze mnie leń, nie opuściłam ani jednego posiłku.

- Mój Boże! Kochanie, musisz koniecznie uważać! Nie możesz być gruba, a przy twojej delikatnej budowie widać będzie nawet kilka dodatkowych kilogramów. Może ci się wydawać, że łatwo się tego pozbędziesz, ale wierz mi, jeżeli nie ćwiczysz i jadasz normalnie, wszystko się sumuje, aż pewnego dnia... - Billy wzdrygnęła się na samą myśl o tym, że Gigi mogłaby być gruba. - Wyglądasz teraz wyjątkowo korzystnie. Przydały ci się te dodatkowe kilogramy, ale granica między rozkwitem i roztyciem jest niemal niedostrzegalna i musisz mi obiecać, że nigdy jej nie przekroczysz.

- Przysięgam na mój honor, Billy, że zacznę liczyć kalorie. Jeżeli nie musisz iść dzisiaj do „Scruples”, wygram z tobą w tenisa, żeby ci dowieść, że nadal jestem w świetnej formie.

- Zgoda - przystała Billy bez wahania. Obawiała się jedynie tego, że u Gigi nastąpi przyrost wagi typowy u świeżo upieczonego studenta. Trzeba będzie bardzo jej pilnować, żeby tak się nie stało, licząc kalorie albo w jakiś inny sposób. Gigi nie była malutka, drobniutka, niska i filigranowa. Ani te, ani inne słowa nie oddawały uczciwie jej niepozornej

postury, kiedy po raz pierwszy przyjechała z Nowego Jorku - stwierdziła Billy z prawdziwą bezstronnością, którą posługiwała się zawsze w sprawach tak istotnych jak ta. Gigi urosła na tyle, dokładnie na tyle, że jej krucha sylwetka stała się całkiem, całkiem doskonała. Wzrost w centymetrach nie był tak ważny jak proporcje, a Gigi była zbudowana tak proporcjonalnie, że sprawiała wrażenie wyższej niż w rzeczywistości, zwłaszcza że trzymała się prosto, z niemal królewską wyniosłością. Zawsze jednak mogła jeść tyle, ile chciała, a przecież powszechnie wiadomo, że w ten sposób mogą postępować tylko bardzo młodzi, do których Gigi już się nie zaliczała.

Smutne to, lecz nieuniknione.

* * *

Kiedy Billy nie było w domu, Gigi i Quentin przekradali się schodami dla służby w głównym skrzydle do pokoju Gigi w opustoszałym korytarzu. Gdy wracała, znajdowali inne miejsca, by kochać się co noc: szatnie w pawilonie tenisowym, gdzie mościli sobie łóżko, rzucając na podłogę dziesiątki grubych ręczników, składzik w domku z orchideami, w którym worki z torfem tworzyły miękkie legowisko, a kontrolowana wilgotność i temperatura były tak doskonałe, że mogli leżeć nago i czuć się jak w lesie.

Gigi była w stanie ciągłego zauroczenia pierwszą miłością. W głowie czuła zamęt, niczym na wiecznie kręcącej się karuzeli, w sercu głód. We dnie, zbyt wzburzona, by czytać, obojętna na dawnych przyjaciół, żyła w stanie gorączkowej nadziei i czekała na lekcję gotowania, wiedząc, że wkrótce Quentin będzie pochylał się nad nią, demonstrując, jak należy właściwie trzymać kuchenny tasak albo obieraczkę do kartofli, bo była

najbardziej dziwaczną, ślamazarną i tępą uczennicą, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Musiał setki razy ujmować jej ręce w swoje dłonie, zanim nauczyła się, jak zręcznie rozbić jajko, by nie uszkodzić żółtka stłuczoną skorupką, a gdy przyszło do jajecznicy, musiał stać za jej plecami i wszystko pokazywać, zanim zaczęła pojmować, jak zgrać ruchy patelni i łyżki, by skrobiąc, unosząc i mieszając jajeczną masę zapobiec jej przypaleniu.

W istocie Gigi nie potrafiła opanować najprostszej techniki kucharskiej, dopóki Quentin nie znalazł się blisko niej, dopóki nie zaczął oddychać zbyt szybko i plątać się w swoich wskazówkach. Wtedy stwierdziła nagle, że musi poszukać czegoś w spiżarni, a on szedł za nią, bezradny, wiedząc, że będą tam stać w uścisku, zatracając się w niebezpiecznych pocałunkach, dopóki nie zapomną o lekcji i przez resztę dnia będzie mógł myśleć tylko o nadchodzącej nocy.

Gigi kochała go z całego serca, Quentin zaś, który kochał tylko w połowie, widział różnicę z dystansu dzielących ich ośmiu lat. Zdawało mu się, że w ciągu ostatniego miesiąca, odkąd to wszystko się zaczęło, nie miał dla siebie ani minuty, by spokojnie przemyśleć całą sytuację. Nie poznawał siebie, fizycznie zniewolony przez osiemnastoletnią czarodziejkę, która rządziła nim z tak wyniosłym przeświadczeniem o własnej wyższości, że nawet gdyby chciał, nie wiedziałby, jak zaprotestować. Co noc, każdej nocy, wspinał się na szczyt seksualnej rozkoszy tak intensywnej, że przedtem nie wierzył nawet w jej istnienie, a jednak następnego dnia Gigi z łatwością wzbudzała w nim pożądanie na nowo, nawet jeśli przysięgał sobie, że oprze się jej ten jeden raz, że choć jeden raz nie będzie tak, jak ona chce.

* * *

Gigi nie znała granic, myślał, ale on sam był przecież dorosłym, dwudziestosześcioletnim mężczyzną, doskonale świadomym ich istnienia i faktu, że je przekracza.

Kiedy Quentin Browning powracał rano do swojego pokoju, ubierał się szybko i schodził na dół, by przygotować śniadanie, zdawał sobie sprawę, że jest bliski utraty własnej tożsamości, nie mówiąc już o planach na dobrze zorganizowaną przyszłość. Przemawiał sobie do rozumu wiedząc, że traci głowę, lecz rozsądne poranne myśli pierzchały wraz z nadejściem nocy, a cudowny, niski śmiech Gigi i wyzywające spojrzenie jej zielonych oczu podniecały go, pozbawiając zdrowego rozsądku.

Wczesnym rankiem Quentin wziął jeden z samochodów i wybrał się do Gelsona po zakupy na przyjęcie, które Billy wydawała następnego dnia przed wyjazdem na Hawaje. Skorzystał z okazji, jaką stwarzało kilka godzin samotności, by przemyśleć sytuację, w której znalazł się tak nieoczekiwanie.

Owszem, Gigi jest czarująca, ale... Jest wiele przeszkód. Rzecz nie tylko w tym, że nie miała jeszcze dziewiętnastu lat, lecz we wszystkim, co jej dotyczy: jej zwariowana matka, jej zwariowana przeszłość, jej ojciec - reżyser filmowy, jej niewyobrażalnie bogata macocha, wszyscy wychowujący ją ludzie, całe życiowe doświadczenie, kształtujące dziewczynę niczym egzotyczny kwiat, który może kwitnąć tylko w Hollywood.

W przeblysku rozsądku przekonywał sam siebie, że ich związek nie ma przyszłości, nawet gdyby przyszło mu do głowy oświadczyć się jej. Był zdecydowany na karierę właściciela hotelu, który żyje przez cały rok

zgodnie z rytmem wyznaczanym przez wymagający poświęceń interes. Dla niego takie życie było dobre, owocne, pożyteczne i interesujące, ale dla Gigi nie ma w nim miejsca.

Jeśli się ożeni, od swojej żony będzie oczekiwał stałej, solidnej, niezawodnej pomocy w wypełnianiu czekających go obowiązków. Będzie musiała nauczyć się tego wszystkiego, co potrafi jego matka: doskonałego prowadzenia gospodarstwa, zatrudniania i zwalniania pracowników, zdolności dopilnowania wszystkiego - od eleganckiego wyglądu pościeli do powitania i rozlokowania stałych gości w ich ulubionych pokojach. Te czynności muszą ją uszczęśliwiać, rok po roku. Musi być szczęśliwa, prowadząc uczciwe i odpowiedzialne życie, wspaniałe życie, pozbawione jednak fantazji i swobody. Tak to wygląda.

Gigi? Ona w tej roli? Gigi, jego zepsuta, namiętna, romantyczna, pomysłowa mała ślicznotka?

Gigi, która zawsze robi i będzie robić to, na co przyjdzie jej ochota? Gigi, której przygoda dopiero się zaczęła, a życie jest pełne niezmiernych możliwości? Czy Gigi chciałaby teraz osiąść w jednym miejscu, nawet gdyby miała taką możliwość, osiąść tak jak on, osiąść na dobre? Ma przed sobą całe lata studiów. Do niej należy cały świat.

Nawet gdyby zgłupiał do reszty i, oddawszy się jej całym sercem, myślał o małżeństwie, nawet gdyby zgodziła się za niego wyjść w najlepszej wierze, nie ma żadnych szans, żeby coś z tego wyszło, za żadne skarby świata. Powtarzał to sobie, bo w głębi duszy był tego całkowicie pewny.

Szukając miejsca na parkingu z żalem stwierdził, że nikt go nie ostrzegł przed problemami, które wynikną, gdy spróbuje kalifornijskiego

stylu życia. Dlaczego zamiast szybkiej jak rtęć celtycko-włoskiej mieszanki o oczach łobuza i ustach kieszonkowca nie natknął się na wymarzoną wielką, ociężałą anglosaską blondynkę?

Nawet teraz, po miesiącu, Gigi przerastała go temperamentem niemal o połowę i nawet nie próbowała zachowywać się rozsądnie. Zbyt mocno pragnęła jego pocałunków, by go uważnie wysłuchać, gdy starał się powiedzieć jej, że powinni zwolnić tempo, ochłonać, dać sobie trochę spokoju. Gigi upajała się całkiem dla niej nowym podniecającym niebezpieczeństwem i była skrajnie, jeśli nie więcej, lekkomyślna. Radośnie lekceważyła wszelkie ryzyko, korzystając z każdej sposobności, by go dotykać i pieścić nawet w obecności innych ludzi. Quentin wiedział, że pewnego dnia, wcześniej czy później, wszystko się wyda, jeśli nadal będą postępować tak nieostrożnie jak dotychczas.

Był dopiero początek lata, pozostały jeszcze dwa miesiące do rozpoczęcia wrześniowych zajęć, a i wtedy Gigi będzie sypiała w domu co noc. Quentin Browning powtarzał sobie, że podejmuje straszliwe ryzyko, które będzie się zwiększać z każdym dniem i jeżeli - nie jeżeli, lecz kiedy - ich romans się wyda, cała wina spadnie na niego. Był przecież dorosły, kiedy przybył do rezydencji, a Gigi była jeszcze dziewicą, niemal dzieckiem, oczkiem w głowie całej służby i najcenniejszym skarbem przeraźliwie wpływowej pani Ikehorn, która zrujnuje mu życie.

Pchnął oba wózki na zakupy do działu mięsnego, gdzie zamierzał szczególnie poinstruować rzeźnika, jak ma przygotować kawałki polędwicy cielej potrzebne na dzisiejszy wieczór. Potem chciał zrobić inne zakupy i odebrać mięso w drodze powrotnej. Gdy mijał piramidę pomidorów w puszkach, zbliżyła się do niego Gigi, prosta jak świeca,

nonszalanckim tanecznym krokiem panienki z epoki jazzu, a jej złotorude włosy chwyciły i odbijały blask światła ogromnego sklepu niczym na scenie. Gdy podeszła do niego, zatrzymała się i spojrzała zdumiona.

- To zabawne, że cię tu spotykam - powiedziała, schylając się szybko, żeby wziąć puszkę pomidorów. Zanim wrzuciła ją do jednego z wózków, udało jej się musnąć jego rękę szybkim pocałunkiem.

- Gigi! Miejże rozum, na litość boską! Co będzie, jeśli zobaczy nas jakiś znajomy pani Ikehorn?

- Znajomi Billy nie robią sami zakupów - odparła, w zniecierpliwieniu wzruszając ramionami i zbliżając się do niego z wyraźnym zamiarem w oczach. - Pocałuj mnie mocno, moje najdroższe kochanie. Nikogo tu nie ma. Tak bardzo chcę, żebyś mnie pocałował. Musisz mnie pocałować.

- Przestań! - Quentin obrzucił ją lodowatym, pełnym złości spojrzeniem, porzucił wózki i zniknął w innym przejściu tak szybko, jak tylko pozwalały mu jego długie nogi.

* * *

- Quentin naprawdę mnie zawiódł - westchnęła Josie Spielberg następnego dnia, gdy Gigi pojawiła się w jej biurze, by poprosić o przedłużenie karty Klubu Automobilowego.

- Przecież przyjęcie Billy wypadło doskonale.

- Złożył wypowiedzenie. Oto co zrobił. Jutro wyjeżdża. Bez choćby tygodniowego uprzedzenia. To niewiarygodna bezmyślność. Nie można sobie wyobrazić gorszego kłopotu. O tej porze roku żaden w miarę przyzwoity człowiek nie szuka pracy. Ale był nieugięty, mimo moich nalegań i rad.

- Rad?

- Oczywiście poprosiłam go, żeby przedstawił choć jeden powód, dla którego porzuca pracę z dnia na dzień. Jedyna przyczyna, którą mi podał - właściwie napomknął, tak bardzo był zmieszany, a ja domyśliłam się reszty - to związek z jakąś dziewczyną, z którego nie może się wywikłać inaczej, jak tylko wiejąc do Anglii tak szybko, jak tylko się da. Proponowałam mu tysiące rzeczy, które mógłby powiedzieć, żeby się jej pozbyć i zostać na miejscu - w tej dziedzinie żaden poradnik mi nie dorówna - ale upierał się, że musi wyjechać. Może ona jest w ciąży... Założę się, że tak. Nie wiem, co powiem pani Ikehorn, kiedy wróci z Hongkongu i zobaczy w kuchni nową twarz, jeżeli oczywiście kogoś znajdę. Czy to nie okropne, że ludzie sprawiają taki zawód?

- Nie wierzę!

- Tak właśnie mu powiedziałam... Gigi! Poczekaj, zostaw mi starą kartę. Och naprawdę...

- Josie Spielberg rozejrzała się po pustym biurze. Dlaczego ludzie nie mogą być bardziej pozbierani? Dlaczego wszystko jej utrudniają? Dlaczego tak się spieszą i są przy tym tak uparci? Gdyby to ona rządziła światem...

* * *

Gigi zamknęła się w swoim pokoju, oddając się rozpaczom tak wielkiej, że musiała wpakować sobie do ust róg prześcieradła, by jej krzyki nie zwróciły uwagi pokojówek przechodzących korytarzem. Zwinęła się na łóżku pod narzutą w ciasny, rozedrgany kłębek przeraźliwej rozpacz. Starła się opanować, obejmując się z całej siły, by powstrzymać gwałtowny ból, przypominający wypuszczone z klatki dzikie

zwierzę, które zębami toruje sobie drogę z pułapki jej piersi. Umysł dziewczyny nie przestał jednak pracować. Nie wątpiła ani przez chwilę, że Quentin naprawdę wyjedzie następnego dnia. Gdyby nie rozmowa z Josie, zniknęłyby bez słowa.

Nie kochał jej. Nigdy jej nie kochał. Chciał odejść i był zbyt wielkim tchórzem, by spotkać się z nią i powiedzieć jej to w oczy. Myślał, że będzie robić sceny. Wiedział, że będzie chciała go zatrzymać. Nie był na tyle uprzejmy, by ją okłamać, wymyślić jakąś historyjkę, pilną sprawę rodzinną, w którą mogłaby uwierzyć. Dlaczego nie powiedział, że miał telefon z domu, że musi jechać, żeby pomóc ojcu? Czy sądził, że będzie nalegała, by pojechać razem z nim? Może... może... tak właśnie myślał. A więc nie był zupełnym tchórzem. Zachował tylko środki ostrożności, żeby uciec przed jej niepożądanymi... względami. Niepożądanymi, och tak, niepożądanymi, w taki sam bezlitosny sposób, jak tamtego dnia u Gelsona. Zniosłaby wszystko, nawet gdyby jej powiedział, że jej nie kocha, gdyby tylko szanował ją - tak, choć trochę szanował - na tyle, by usiąść i powiedzieć jej, co czuje. To, że go kocha, nie oznacza przecież, że nie zniosłaby prawdy. Nie ma obowiązku jej kochać.

Po długiej chwili Gigi przestała płakać i leżała cicho, myśląc o tym, co robić. Gdyby tylko mogła schować się w swoim pokoju, dopóki Quentin nie wyjedzie, pozostać w bezpiecznym ukryciu, by nikt jej nie widział! Jeżeli jednak tak zrobi, niezależnie od tego, jakiego pretekstu użyje - bólu brzucha czy przeziębienia - Josie szybko skojarzy fakty i będzie wiedzieć, co się stało. Takie upokorzenie to najgorsze, co można sobie wyobrazić, mimo że Josie z pewnością nigdy jej nie wyda, nie będzie o tym mówić i nigdy nie będzie na nią nawet patrzeć tak, jakby

wiedziała.

Za cztery godziny będzie lekcja gotowania, a jeśli Quentin nie chce, by zadawała mu pytania, będzie czekał na nią w kuchni, jak zwykle. Mogła oczywiście odwołać lekcję, nie budząc podejrzeń Josie, lecz wszystko buntowało się w niej na tę myśl. Nie może już niczego ocalić prócz dumy, szacunku do samej siebie, z którego ją odarto. Nie, pomyślała Gigi idąc do łazienki, żeby zanurzyć twarz w zimnej wodzie i przejrzeć na oczy. Nie, niczego nie odwoła, będzie taka jak zawsze... prawie taka jak zawsze.

Kiedy doprowadziła się do porządku, wymknęła się niepostrzeżenie i zrobiła błyskawiczną wycieczkę do sklepu z owocami morza w Santa Monica. Wróciła do domu, kiedy była pewna, że Quentin opuścił już kuchnię i zaszył się w miejscu, w którym nie będzie mogła go znaleźć, dopóki lekcja gotowania nie zmusi go do powrotu.

Wniosła do kuchni cztery duże torby, włożyła fartuch i z precyzją pielęgniarki na sali operacyjnej zaczęła długi proces wyjmowania wszystkiego, co potrzebne. Ustaliwszy co trzeba zrobić najpierw - bo zamierzała zrobić przed lekcją tylko niezbędne minimum - przygotowała smakowity wywar z pokrojonych warzyw, przypraw, wina, sosu z małży i włożyła do niego wszystkie ości, głowy, ogony, skóry i okrawki z wielu funtów czerwonego tuńczyka, halibuta, pompano, małży i okoni, które kupiła. W drugim garnku udusiła krewetki, małże i mule w skorupkach, w trzecim zaś zanurzyła homara w gotującej wodzie. Zostawiła wywar na małym ogniu na pół godziny, po czym odcedziła go i przelała do największego garnka w kuchni. Wyjęła ugotowanego homara i, gdy ostygł, podzieliła go na odpowiednie kawałki. Jeszcze raz spojrzała uważnie na

kuchenny stół i zerknęła na zegar. Podeszła do interkomu i zadzwoniła do Burgo, który zawsze o tej porze odpoczywał w swoim pokoju z nogami uniesionymi w górę.

- Burgo, przyjdiesz dzisiaj na moją lekcję gotowania?

- Nie zrobię tego, Gigi, nawet dla ciebie. Przykro mi, kochanie, ale co za dużo, to niezdrowo.

- Dzisiaj nie będę się uczyć, Burgo. Będę udzielać lekcji - powiedziała takim tonem, że z hałasem opuścił nogi.

- Dobra! Odezwała się irlandzka natura, co, dziecinko? Jaką chcesz mieć publiczność?

- Zbierz, kogo się da, z Josie i wszystkimi ogrodnikami włącznie.

- Masz ich jak w banku.

- Przyjdź tylko minutkę wcześniej i... Burgo, jeśli Quentin zechce wyjść, nie pozwól mu.

- Człowiek gryzie psa, co? Powiem tylko, że najwyższy czas.

- Wolno się uczyć.

- Ale nie jesteś całkiem głupia, kochanie.

- Liczę na ciebie.

- Zawsze możesz - powiedział i odłożył słuchawkę, znowu radosny po raz pierwszy od dnia białego ciasta z białym napisem. Strasznie długo to trwało, zanim Gigi zrozumiała mężczyznę - pomyślał, ale była zbyt młoda i niedoświadczona, by zdać sobie sprawę, że odgrywanie idiotki nie jest ani jedyną, ani najlepszą metodą zwrócenia na siebie uwagi.

* * *

Quentin Browning spędził dwie godziny na piaskach plaży w Santa Barbara, po raz ostatni spoglądając przeraźliwie ponuro na Pacyfik. Nie

wróci tu już nigdy. Będzie więźniem lądu otoczonego zimnymi morzami, a po Gigi zostanie tylko wspomnienie. Oczywiście, ożeni się pewnego dnia, będzie szczęśliwy i wszystkie wspomnienia tego miesiąca zblakną. Nieuchronne zapominanie - rozmyślał - to najgorsza strona całej tej sprawy. Nie mógł sobie pozwolić na to, by kochać Gigi, i nie śmiał jej tego powiedzieć. Skurwiel z niego, zgoda, ale bardzo sprytny skurwiel, który zniknie teraz bezboleśnie, szybko i łatwo.

Gdy powrócił i zbliżył się do kuchni, usłyszał niezwykle gwar wielu głosów. Dobrze, pomyślał, dzięki Bogu nie będzie z nią sam. Nie miał pojęcia, jak zniósłby jeszcze jedną lekcję, gdyby byli tylko we dwoje, ale nie miał wyboru. Wszedł do wielkiego pomieszczenia i zobaczył, że Gigi stoi przy kuchennym stole, ledwie widoczna w zaciekawionym tłumie służby.

- Co tu się dzieje? - zapytał jedną z pokojówek, lecz ta uśmiechnęła się tylko, nie udzielwszy odpowiedzi. Wiedziała, że w pracy nastąpiła przerwa na popis Gigi, jeden z tych, które dawała często, gdy był tu jeszcze Jean-Luc.

- Hej, uważaj! - krzyknął Quentin, gdy Gigi wzięła bardzo ostry nóż, ale zanim zdążył jej przeszkodzić, zaczęła kroić pory w cieniuseńkie paseczki, nóż zaś poruszał się tak szybko i z taką znajomością rzeczy, że Quentin stanął jak wryty, tak zdumiony, że nie mógł się poruszyć ani wydobyć głosu.

W kilka sekund pory były gotowe, a Gigi kroić pomidory w kostkę, miażdżyła czosnek, siekała koper, rozcierała na proszek liście laurowe, siekała cebulę, rozdrabniała skórkę pomarańczową i meła pieprz. Wszystkie te czynności wykonywała jednocześnie. W każdym razie tak się

zdawało tym, którzy z zachwytem patrzyli na jej sprawne ręce i szybkie stopy, na blask i błysk, stuk i puk jej licznych narzędzi. Fachowy rytm jej ruchów nie załamał się ani na chwilę, gdy odmierzała nasiona selera, otwierała opakowanie szafranu i nabierała tej cennej przyprawy na łyżkę, gdy wybierała koncentrat pomidorowy z puszki i wreszcie wrzuciła to wszystko do wielkiego garnka, w którym czekała już wrząca oliwa. Potem z nonszalancką precyzją dodała do oliwy trochę soli, sypiąc ją wprost z ręki, i zamieszała wszystko pewnym siebie ruchem.

- Gigi...- zaczął Quentin, sądząc że musi coś powiedzieć, cokolwiek, ale nie zwracała uwagi ani na niego, ani na innych, zabierając się do stosu oczyszczonych ryb i tnąc je na filety z wirtuozerską dokładnością. Zręczne palce wprawiały noże w lśniący taniec ze swobodną wprawą eksperta. Gdy przygotowała ryby, pokroiła te, które gotowały się wolniej, w dwucentymetrową kostkę, pozostałe zaś na pięciocentymetrowe kawałki, wykonując zadanie tak szybko, że wystarczyły trzy minuty, by nadać odpowiednie rozmiary dwu i pół kilogramom ryb.

Dopiero gdy wrzuciła ryby do gorącego wywaru stojącego na ogniu, raczyła spojrzeć na Quentina. Stał ciasno oplatając pierś ramionami i wpatrywał się w nią, starając się bezskutecznie wpaść w gniew, jak człowiek, który zrozumiał, że padł ofiarą gigantycznego żartu. W jego oczach znać było jednak podziw dla profesjonalizmu Gigi i była to jedyna rzecz, którą chciała zobaczyć.

- Czy wiecie - zapytała Gigi wszystkich obecnych - że *bouillabaisse* wynaleźli dobrzy aniołowie, którzy przynieśli tę potrawę trzem Mariom, gdy ich statek rozbił się gdzieś na południu Francji? Nie wiedziałam, że istoty święte też bywają głodne, tak jak my, ale właściwie, dlaczego nie?

Oczywiście ta zupa nie będzie tak wspaniała, jak byłaby, gdybym miała pod ręką ryby śródziemnomorskie złowione tego ranka, ale robię, co mogę, i sędzę, że będzie całkiem smaczna. Wystarczy dla wszystkich. Och, Quentin, proszę cię, czy mógłbyś przynieść mi dużo miseczek, podgrzać je i pokroić te bagietki, a ja tymczasem zrobię majonez czosnkowy - do tradycyjnego *bouillabaisse* musi być przecież rouille. Prawda, mistrzu?

Quentin odwrócił się na pięcie i chciał wyjść z kuchni.

- Na twoim miejscu - powiedział cicho Burgo, zastępując mu drogę - przyniosłbym te miseczki i pokroił bagietki.

Zaskoczony Quentin spojrział na Burga, a to, co zobaczył w twarzy starszego mężczyzny, sprawiło, że niezwłocznie ruszył do kredensu, w którym trzymano kamionkowe miseczki. Dureń! Dureń! Dureń! Zrobiła z niego zupełnego, cholernego dupka! Cały dom musiał mieć przez ten czas wspaniałą zabawę, mówił do siebie, niemal zaślepiony gniewem, gdy zabierał się do bagietek, które Gigi ułożyła na bocznym stoliku. Gdy spojrział na zgromadzonych, zobaczył uśmiechnięte twarze wpatrzone w Gigi z wyrazem oczekiwania na dobrze znane przyjęcie, niczym twarze widzów w teatrze, czekających, aż podniesie się kurtyna i zacznie się ulubiony spektakl.

- Wszystko na czas - powiedziała radośnie Gigi, wkładając po kawałku bagietki na dno każdej miseczki i nakładając ze znanstwem małże. - Teraz mamy czas, żeby napić się czegoś, zanim zupa będzie gotowa, ale do *bouillabaisse* powinno się pić piwo, nie wino, z powodu, który rozumieją tylko Francuzi. A może mistrz powie nam, dlaczego? Czy może pan to wyjaśnić, mistrzu Quentin? Nie? To szkoda. W takim razie

otwórz piwo i wypijemy je bez specjalnego powodu.

Burgo pomógł znaleźć szklanki i nalać piwo, litując się nad Quentinem, biednym palantem, choć nie wiedział nawet, dlaczego. Wiedział tylko, że Gigi go przerosła, i tak powinno być. Wkrótce wszyscy w kuchni mieli już szklanki.

- Poczekajcie! - zadźwięczał głos Gigi, która wskoczyła na kuchenne krzesło. - Poczekajcie! Wzniesiemy toast! Toast pożegnalny za naszego przyjaciela, Quentina Browninga. Jutro nas opuszcza. Och, przestańcie wrzeszczeć. Musi wyjechać i tyle, więc wypijmy szybko i będzie czas na jeszcze jedno piwo. - Uniosła wysoko szklankę w pełnym galanterii geście pożegnania i spojrzała Quentinowi prosto w oczy, marszcząc ostro zarysowane brwi i składając usta do szczerego uśmiechu. Jej twarz świadomie wyrażała zrozumienie i współczucie, mimo iż w sercu tkwił prawie niewidoczny, cienki stalowy nóż.

- Żegnaj, Quentin, *bon voyage*. Wracaj zdrowo do domu i *regrette rien*. Wiesz, że to moje własne motto. Nie mam nic przeciwko temu, żeby było twoje, jeśli kiedykolwiek poczujesz, że jest ci potrzebne. Niczego nie żałuj, Quentin, *rien*!

Księżna Robertowa de Lioncourt, z domu Cora Middleton z Charleston w Południowej Karolinie była *jolie laide*. Jak to zwykle bywa z pewnymi francuskimi powiedzonkami, dosłowne tłumaczenie może wprowadzić w błąd. Kobieta, którą nazywa się „ładną brzydulą”, nie jest ani ładna, ani brzydka w zwykły sposób. Może być pociągająca, jeśli wie, jak wykorzystać swoje walory. Może być zachwycająco modna, jeśli wie, jak się nosić. Może być sławna, jeśli ma osobowość i talent, ale jej ogólny wygląd nie skłania się ani ku tradycyjnej urodzie, ani też nie zasługuje nawet na jotę na określenie: „brzydka”. Barbra Streisand, Bianca Jagger, księżna Windsoru i Paloma Picasso to przykłady *jolie laide* w najlepszym, najbardziej wyrafinowanym, najbardziej inteligentnym i władcym wydaniu.

Gdy Cora Middleton, której matka wywodziła się ze znanej rodziny Chatfield osiadłej w Cincinnati, wychodziła za księcia Roberta de Lioncourt, nie zdawała sobie sprawy z tego, że przeistoczy się w *jolie laide*. Obliczyła swoje szansę tak zimno, jak kalkulowała swoje wszystkie możliwości, i pojęła, że niezależnie od swojej inteligencji i wspaniałego pochodzenia, jest najpospolitszą dziewczyną na świecie, której przeznaczenie to najpierw podpieranie ściany, a potem staropanieństwo.

W wieku dojrzewania brak fizycznych powabów, który rzucał się wyraźnie w oczy w mieście Południa słynącym z nastoletnich piękności, przyprawiał Corę o wielką nieśmiałość i skrępowanie. Nigdy nie nauczyła się posługiwać przyrodzonymi wdziękami, które posiadała - pięknym, dźwięcznym głosem, doskonałymi zębami i ustami, których nienawidziła, ponieważ uważała, że są zbyt wąskie i długie, mimo iż stawały się

rozkoszne, kiedy zdobił je uśmiech. Mówiła więc jak najmniej i śmiała się rzadko. Jako dziewiętnastolatka, trzeźwa i cyniczna oportunistka, przyjęła oświadczyzny czterdziestodwuletniego mężczyzny - egoisty, któremu nie przyszłoby nigdy do głowy małżeństwo z Corą Middleton, gdyby nie wiedział, że posiada ona stały osobisty dochód w wysokości siedemdziesięciu tysięcy dolarów rocznie. Przyjęła jego oświadczyzny, ponieważ uważała, że ślub z księciem, noszącym autentyczny tytuł, jest dużo lepszy niż żaden ślub. Przyjęła oświadczyzny księcia, ponieważ posiadał budzący zazdrość apartament w najlepszej dzielnicy Paryża i pewną pozycję w kręgach francuskiej socjety, gdzie często zapraszano go na kolacje jako nadliczbowego mężczyznę wolnego stanu. Mógł zapewnić jej życie budzące w Charleston zachwyty jej atrakcyjnych koleżanek z klasy, którym zawsze zazdrościła.

Książę był ostatnim potomkiem rodu i pragnął jedynie łatwego, leniwego życia wypełnionego pogonią za pięknymi przedmiotami. Kolekcja antyków była namiętnością, której poświęcał cały swój czas i lwią część odziedziczonego majątku. Pieniądze Cory pozwalały mu na wygodne życie, jeśli nie będą mieć potomstwa, a w tej kwestii byli zgodni, bo Cora nie chciała zostać wdową obarczoną dorastającymi dziećmi, co byłoby pewne, zważywszy wiek męża.

Lioncourtowie poznali się i pobrali w 1950 roku w Paryżu, dokąd wysłano Corę na naukę francuskiego. Tam stworzyli sobie dom w wielkim, odziedziczonym przez Roberta mieszkaniu na pierwszym piętrze starego hotel particulier przy ulicy de l'Universite. Przez sześć miesięcy w roku podróżowali dla przyjemności, zatrzymując się najczęściej u przyjaciół. Podróżowali nie jako turyści, lecz jako kolekcjonerzy, bo Cora,

wzorem Roberta, nauczyła się wielbić stare meble i porcelanę, stare szkło, srebra i rzeźbioną kość słoniową; cenne przedmioty stały się jej religią, jej dziećmi, jej radością.

Kupowanie rzeczy, różnych rzeczy, o ile były naprawdę piękne, a jeśli nie piękne, to wysoce oryginalne, oraz aranżowanie ich uzupełniających się kolekcji pochłaniało Corze połowę życia. Drugą połowę poświęcała na poznawanie ludzi o wysokiej pozycji towarzyskiej w każdym mieście, do którego zawitali. Nie zamierzała zostać wdową z dziećmi wymagającymi opieki, ale nie chciała też zostać wdową pozbawioną szerokiego kręgu znajomych.

Cora miała własne znajomości, bo Chatfieldowie i Middletonowie mieli w Europie przyjaciół, mimo iż rzadko opuszczali rodzinne miasta, dwa najładniejsze miasta w Stanach Zjednoczonych, które przedkładali nad wszystkie inne. Matka Roberta była Angielką, trzecią córką baroneta, dzięki czemu Robert miał cenne znajomości w Londynie i Paryżu. Ludzie tacy jak Lioncourtowie, parający się kolekcjonerstwem w Europie, nieodzownie nawiązują przyjaźnie w Nowym Jorku w tamtejszych kręgach kolekcjonerów. Lioncourtowie budzili szacunek ludzi przyjeżdżających do Francji, dużo bogatszych od nich, bo pielęgnowali formy gościnności i do mieszkania o niezrównanym uroku zapraszali na kolację znajomych, bawiących przejazdem w Paryżu.

Gdziekolwiek padło spojrzenie gości, widniały przedmioty, które chętnie posiadaliby sami, zakupione przez Lioncourtów po najkorzystniejszych cenach, bez jednego fałszywego kroku. Każdy dobry sprzedawca antyków w Europie dostawał drgawek, gdy wkraczali do jego sklepu, bo kupowali dokładnie ten przedmiot, który sprzedawca, wbrew

własnym zasadam, gorąco pragnął zachować dla siebie. Kupowali antyki, które niebawem miały stać się modne lub przedmioty tak dziwne, tak niezwykle, że nikt nie zwracał na nie uwagi, dopóki Lioncourtowie nie zaczęli węszyć po kątach sklepu. Cora i Robert de Lioncourt gotowi byli przelecieć całą Europę w jednej chwili na wieść o pogrzebie sprzedawcy antyków, wiedząc, że przy takiej okazji chciwość rodziny umożliwi zakup za pół ceny, byle tylko za gotówkę. Stali się takimi ekspertami w dziedzinie udanych zakupów na aukcjach jak sami sprzedawcy, ponieważ przy licytacjach nigdy nie dawali się ponieść nerwom. Rzadko umykała ich uwagi jakakolwiek sprzedaż nieruchomości. Nadto pielęgnowali znajomości z dziesiątkami wątłych starszych pań, które w młodości parały się kolekcjonerstwem, a teraz, w podeszłym wieku, wyprzedawały cenne przedmioty, jeden po drugim, by zdobyć środki utrzymania.

Lioncourtowie nie kupowali obrazów i rzeźb. Szybko rozstrzygnęli tę kwestię. Sztuka, która zdobyła już uznanie, była dla nich zbyt droga, natomiast ta w fazie eksperymentu, po jeszcze przystępnych cenach, stanowiła zbyt wielkie ryzyko. Na ścianach wieszali wspaniałe lustra i ryciny. Otaczało ich tyle przedmiotów, że nikt nie zauważał nawet braku dzieł sztuki.

Każdy zagraniczny znajomy, który odwiedził Lioncourtów w domu, sądził, że są niesłychanie bogaci. Roberta i Corę łączyła niesłychana satysfakcja, którą sprawiała im taka opinia - jeśli już nie mogły łączyć ich inne uczucia. W Siódmej Dzielnicy nie było jednak damy, która płaciłaby swoje rachunki równie niechętnie jak Cora de Lioncourt. Znajdowała niedociągnięcia we wszystkich wykonywanych dla niej usługach, we wszystkim, co kupowała dla siebie i dla domu. Narzekała ze złością, każąc

czekać sprzedawcom i fachowcom. Odkładała płatności tak długo, jak się dało, podczas gdy jej dolary procentowały w banku Chase na ulicy Cambon. Płaciła w końcu gotówką, otrzymując za to specjalną zniżkę. W kraju o tak wysokich podatkach jak Francja, w którym ludzie płacą czekami niemal za wszystko, z tanimi posiłkami w bistro włącznie, gotówka nie deklarowana w zeznaniach, nazywana po prostu *liquide*, jest tak pożądana, że szeleszcząca harmonia banknotów Cory pozwoliła jej utrzymywać wydatki na minimalnym poziomie.

Gdy w 1973 roku zmarł Robert de Lioncourt, Cora miała czterdzieści dwa lata. Była w odpowiednim - jak sądziła - wieku, by rozpocząć okres długo oczekiwanego wdowieństwa. Czuliła wdzięczność do męża za to, że opuścił ten padół w tak stosownym czasie, bez zbędnego przeciągania struny. Kiedy wychodziła za Roberta, seks niewiele ją obchodził, a pożycie małżeńskie wcale nie wzmogło tego zainteresowania. Nie traciła więc czasu na rozglądanie się za innym mężem, bo nie tylko obliczyła co do grosza wysoką wartość swego tytułu, ale wiedziała też, że nieżonaty mężczyzna w jej wieku lub starszy nie będzie szukał takiej żony jak ona, lecz kobiety młodszej, bardziej seksownej i z pewnością ładniejszej. Zyska sobie większy rozgłos jako utytułowana wdowa ze słynnymi zbiorami niż jako czyjaś połowica.

Przez dwadzieścia trzy lata małżeństwa z człowiekiem, którego jedyną zaletą był dobry smak, księżna Cora de Lioncourt nie zaniedbała własnego rozwoju. Robert nalegał, by chodziła do najlepszego fryzjera w Paryżu. Sam wybierał dla niej stroje, dopóki nie opanowała tej umiejętności. Nauczył ją, jak się malować, osobiście nadzorując lekcje, bo jego żona, tak jak jego mieszkanie, była wizytówką jego dobrego gustu.

W wieku lat czterdziestu dwóch Cora stała się *jolie laide*. Jej ptasi nos, proste włosy i zbyt wysokie czoło harmonizowały ze wspaniałym uśmiechem, nadając jej wygląd niebywale interesujący - wyszukany i stylowy, pełen wyrafinowanej światowości, która przykuwała wzrok. Ilekroć wkraczała do pokoju, ludzie pytali, kim jest ta kobieta. Ubierała się ascetycznie, na czarno-biało w zimie i na biało-czarno w lecie. Nigdy nie zmieniała sięgającej tuż poniżej uszu prostej fryzury na pazia, z przedziałkiem pośrodku. Nikt nie widział jej nigdy wieczorem bez pięknej, antycznej biżuterii, odziedziczonej po matce Roberta. Miała niezłe nogi, nosiła robione na miarę pantofle od M.Massaro, projektanta czółenek Chanel, proste niczym struna ciało, na którym ubrania leżały niezwykle dobrze, oraz długie dłonie z nienagannie wypielęgnowanymi paznokciami, pokrytymi bezbarwnym lakierem.

Cora de Lioncourt zdawała sobie sprawę, iż jej jedyny problem polega na tym, że siedemdziesiąt tysięcy dolarów dochodu rocznie w 1973 roku nie wystarcza na takie życie, jak w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Musi znaleźć sobie pracę.

Przysiadła na łóżku. Z okularami na nosie i notesem na kolanach rozważała sytuację. Praca w Paryżu nie wchodziła w grę, bo Cora zachowała obywatelstwo amerykańskie i nie uzyska pozwolenia na pracę. Mogłaby pokonać urzędowe przeszkody i otworzyć sklep z antykami, ale myśl, że zostałaby sprzedawczynią, przyprawiała ją o mdłości. Należy przecież do klasy, która nie sprzedaje, lecz kupuje.

W istocie idea prawdziwej pracy, w której spędzałaby osiem godzin dziennie, była jej nienawistna. Trawienie takiej ilości czasu w jakimś obskurnym biurze wydawało jej się niewyobrażalnie nudne. Poza tym

żadnej pracy nie mogłaby wykonywać tak, by znajomi zwątpili w jej bogactwo. A do tego nie może nigdy dopuścić.

Cora de Lioncourt zapisała w swoim notatniku dwa słowa: *Nowy Jork*.

Zawsze kochała Nowy Jork. Nigdzie nie czuła się tak rześko jak tam. W Nowym Jorku podobało jej się wszystko, zwłaszcza przyjaciele, którzy nie mieli zbyt wielkiego pojęcia o jej świecie i byli nim zachwyceni, niezależnie od ich własnego stanu posiadania. Każdy z nich mógłby pozwolić sobie bez trudu na wielkie mieszkanie lub dom z ogrodem w Paryżu, lecz tak bardzo onieśmiały ich przewidywane trudności językowe i własne przerażające wyobrażenie o snobizmie i wyniosłości Francuzów, iż podziwiali ją za sam fakt, że wiedzie wśród nich szczęśliwy żywot.

Przyzwyczajenie się wymagało jednak trochę wysiłku, pomyślała, wspominając pierwsze lata małżeństwa. Dysponowała jednak i praczką Roberta, i dostawcami, i jego domowym elektrykiem, i domowym hydraulikiem, i domową sprzątaczką, którzy znaczyli dla niej niemal tyle samo, co jego tradycja rodzinna, jeśli nie brać pod uwagę mnóstwa drobnych irytujących spraw, związanych z prowadzeniem domu w Paryżu. Francuska socjeta to kaszka z mleczkiem w porównaniu z dopilnowaniem francuskiego elektryka, by dobrze naprawił zepsuty bezpiecznik, myślała Cora.

Sporządziła następną notatkę: *niewidoczna praca*.

Cóż mogłaby robić tak, by nie było tego widać, zastanawiała się, a jej mózg pracował szybko, gdy przeliczała swoje atuty. Znała prawie „wszystkich”, co znaczyło, że znała wiele ważnych osób, które mogły

przedstawić ją innym ważnym dla niej osobom. Ani ona, ani Robert nigdy nie przyjmowali gości bez celu. Bezwzględnie decydowali się na zapraszanie tylko tych, którym odpowiadało skupione wokół nich towarzystwo.

Oszacowali swoją własną pozycję bez próżności, co do joty, i nigdy nie pozwalali sobie na zbliżenie z kimś lub dopuszczenie do swojego grona kogoś, kto nie przydawał im świetności. Naprawdę jednak nie otarli się nigdy o najwyższe kręgi francuskiej socjety. Było to źródłem nieustannego rozczarowania, z którym z czasem Cora nauczyła się godzić.

Cora i Robert de Lioncourt już dawno zdali sobie sprawę z tego, że powiedzenie:

„Pochlebstwo do niczego nie prowadzi”, to wierutne kłamstwo. Dzięki umiejętnemu stosowaniu pochlebstwa można było mieć wszystko, może prócz prawdziwej przyjaźni. Według ścisłej oceny własnej największą zaletą Cory de Lioncourt było zręczne posługiwanie się pochlebstwem. Dzięki umizgom zyskała tych znajomych, którzy mogli najwięcej pomóc, i dzięki nim podtrzymywała te znajomości. Jej pochlebstwa nie były nigdy natrętne. Nie polegały na zwyczajnych komplementach, lecz na entuzjastycznym zainteresowaniu innymi ludźmi, ich podróżami i powrotami, kłopotami i radościami. Jej entuzjazm w połączeniu z uśmiechem, którym nauczyła się sprawnie posługiwać, schlebiał nawet ludziom przeświadczonej o własnej nieczułości na komplementy. Ponieważ nikt nie podejrzewał, że ta bogata kobieta, posiadaczka tylu cennych przedmiotów, ma w tym jakiś interes, nikt nie zdawał sobie sprawy, że podstawą znajomości jest jej przymilność.

Powoli zapisała jeszcze dwa słowa i opatrzyła je znakiem zapytania:

kontakty z ludźmi?

Nie, to jeszcze nie to, ale było coś... coś w tych słowach, o czym można by pomyśleć. Sądziła, że nie nadaje się do tego, by kogoś reprezentować. W tym zawodzie kobiety harują jak woły - a na to ona wcale nie ma ochoty - zaś lwia część ich pracy polega na wnoszeniu próśb w imieniu klientów. Poza tym nie zna zasad tej gry.

Stwierdziła, że sama chce, by ludzie prosili ją o coś i jeszcze za to płacili. Czy taki zawód ma swoją nazwę? Uśmiechnęła się zimno uśmiechem, którego nie znał żaden z jej przyjaciół. Nie, kurwom płaci się za inne usługi, a alfonsum za jeszcze inne... ale w Nowym Jorku z pewnością znajdzie się miejsce dla kobiety, która ułatwia różne rzeczy. Dla kobiety, dzięki której dzieje się coś, co bez niej nie doszłoby w ogóle do skutku. Kobiety inteligentnej, eleganckiej, wysoko postawionej, zdolnej za dyskretną opłatą umożliwić to, co niemożliwe.

Bez wątpienia, tłumaczyła sobie Cora, taka kobieta jest zawsze potrzebna w rojnym, nieskomplikowanym Nowym Jorku, gdzie tyle pań pragnie wspiąć się na szczyt, marząc o kimś, kto wprowadzi je w świat. Tylko w Nowym Jorku można się spodziewać takiego wynagrodzenia, jakiego wymagałyby jej usługi. Francuzi są zbyt skąpi, by płacić wysoką cenę, którą zamierza wyznaczyć. Anglikom nie jest potrzebna. Łaski i zaszczyty zdobywają własnymi, tradycyjnymi sposobami.

Tak. Opuściła łóżko i wolno obeszła mieszkanie, delikatnie dotykając różnych przedmiotów, zatrzymując się to tu, to tam, by podziwiać gustowne kontrasty w urządzeniu pokoi i przeglądać się w różnych lustrach, które odbijały jej postać w otoczeniu nagromadzonego wokół niej takiego piękna, że aż budziło smutek. Nikt nie wiedział tak

dobrze jak ona, że farba na ścianach jest w opłakanym stanie. Mieszkanie będzie można sprzedać w jeden dzień, z uwagi na jego lokalizację i wielkość, a suma, którą za nie otrzyma, pozwoli jej kupić lepsze na dobrej ulicy w Nowym Jorku. Zabierze ze sobą wszystko, wszystkie rzeczy, co do jednej, wszystkie meble. Ustawianie ich w nowym miejscu, aranżowanie nowej przestrzeni, by wyglądały najbardziej korzystnie, to jej ulubione zajęcie. Nie może, niestety, robić tego dla innych, bo zawodowi dekoratorzy muszą iść na kompromisy, by zadowolić swoich klientów, a ona nigdy nie zgodziłaby się na kompromis w urządzeniu wnętrza. Nie ufałaby też klientom, bo mogliby coś zmienić albo przestawić z chwilą, gdy zakończyłaby pracę.

Czy będzie tęsknić za francuskimi przyjaciółmi? Cora de Lioncourt zachnęła się. Nikt, kto nie urodził się Francuzem, kto nie doświadczył francuskiego systemu oświaty, nie miał prawdziwych francuskich przyjaciół. Francuskie panie z towarzystwa nawiązywały przyjaźnie w szkole, *en classe*, przede wszystkim w szkołach klasztornych, do których posyłano większość z nich. Przyjaźnie umacniały się w *ralleys* - zamkniętych grupkach nastolatek z dobrych domów. Matki organizowały te grupki niemal z chwilą narodzin dziewczynek. Znała dwie setki osób, które byłyby zachwycone, jedząc u niej kolację i odwzajemniając zaproszenie. Mimo to jednak, jeśli ktoś nie narodził się w ich kręgu, zawsze pozostawał w ich oczach tylko gościem. Wszystkie jej związki z Francuzami wynikały z powiązań rodzinnych Roberta, a ci znajomi dobrze wiedzieli, że Robert nie miał pieniędzy, dopóki się z nią nie ożenił. Wśród francuskiej socjety państwo de Lioncourt nie mogli uchodzić za ludzi bogatych. Ród Roberta nie był też szczególnie świetny. Cora musiała

przyznać sama przed sobą, że nigdy nie udało im się wspiąć na sam szczyt, osiągnąć pozycji. Tego nigdy Francuzom nie wybaczy. Z radością opuści Paryż, miasto, które i tak ma już za sobą okres największej świetności.

Ale, mój Boże, cóż to za piekło mieć do czynienia z francuskimi specami od przeprowadzki!

* * *

Spider i Billy siedzieli w Le Train Bleu, nowo otwartej drogiej francuskiej restauracji przy jednej z bocznic Madison Avenue, czekając na Corę de Lioncourt, z którą mieli zjeść lunch tego dnia, pod koniec czerwca 1980 roku. Przyjechali do Nowego Jorku na kilka dni w interesach, podczas gdy Dom Mody „Scruples” w Beverly Hills zamknięto po z górą czterech latach, żeby go odnowić i nieco przebudować. Czerwiec był dla handlu martwym miesiącem. Klienci kupowali garderobę wiosenną i letnią pod koniec zimy, zaś jesienną w lipcu, więc Billy stwierdziła, że zamknięcie sklepu nie przyniesie żadnych strat.

- Dlaczego chcesz się z nią spotkać? - zapytał Spider.

- Może się przydać - odparła Billy. - Tylko tyle. Myślę jednak, że ci się spodoba. Spotykam ją tu i tam, kiedy jestem w Nowym Jorku. Jest wyjątkowo miła. Wszystkich zna... Kiedy byłam tu ostatnio, wydała dla mnie małą kolacyjkę i już dawno nie bawiłam się tak świetnie.

- Poza tym, że wkradła się w twoje łaski, co może dla nas zrobić? Do czego jest nam potrzebna?

- Och, Spider, nie bądź taki podejrzliwy.

- Pani Ikehorn, pani wyraz twarzy mówi mi, że ma pani niedobre zamiary.

- Panie Elliott, czy kiedykolwiek miałam dobre zamiary?

- Jezu, zadaj mi pytanie, na które znam odpowiedź. Spider obdarzył Billy radosnym, zmysłowym uśmiechem, na który daremnie starała się być nieczuła. Gdy w 1976 roku Valentine zgodziła się opuścić Nowy Jork i pracować dla „Scruples”, przez telefon zmusiła Billy do zatrudnienia Spidera. Billy odkryła podstęp Valentine, zanim go poznała, ale przekonała ją, że warto dać mu szansę. Pierwszą myślą, która przyszła jej do głowy w związku z osobą Spidera, było to, że jest jedynym mężczyzną, na którego nie może sobie pozwolić. Ilekroć znalazła się z nim sam na sam, powtarzała sobie tę myśl. Z wiekiem Spider stawał się coraz bardziej atrakcyjny, więc wznosiła mur żartu, który chronił ją skutecznie... prawie skutecznie... przed jego urokiem.

Billy sączyła białe wino, rozmyślając o szczególnych zaletach, które czyniły Spidera, obok Josha Hillmana, jej prawnika, jednym z dwóch mężczyzn na świecie, którym mogła zaufać. Pomyślała, że nie ma w nim najmniejszego śladu sztuczności. Jego surowa prostota, jego imponująca męskość i hultajska energia były cechami wrodzonymi. Był po męsku energiczny, po męsku uprzejmy, po męsku otwarty, lojalny i łagodny w sposób nieświadomy i stały, naturalny, niezależnie od tego, z kim miał do czynienia. Miał wigor, cholerny seksualny wigor, na który żadna kobieta nie była obojętna. Był nim przesiąknięty do szpiku kości. Nie było to coś, czym posługiwał się lub nie z siebie tylko wiadomych powodów. Nie wyobrażała sobie, by potrafił skłamać, lecz przede wszystkim, przy swoim uroku, Spider zachował męską prostotę, której nie zepsuło i nie umniejszyło żadne światowe obycie. Może dlatego, że tak naprawdę nigdy nie stał się dorosły.

Gdy Billy siedziała spokojnie, rozglądając się po nowej, ciekawie

urządzonej restauracji, Spider wpatrywał się w nią w zamyśleniu. Kiedy ją poznał, była tak nieznośną babą, że nikt nie wmówiłby mu, że po czterech latach będzie ją uważał za swoją najlepszą przyjaciółkę. Do dziś ma pewne cechy, które sprawiają, że ludzie uważają ją za nieznośną. Nadal jest cholernie niecierpliwa. Jest impulsywna i uparta. Nadal wybucha gniewem, gdy nie wypełnia się jej poleceń.

Spider zdawał sobie sprawę, że ludzie niewątpliwie czują przed nią strach, ale nie byli to ludzie, którzy znali ją od najlepszej strony. Nie ma dwóch zdań, że wielu rozlazłych architektów i dekoratorów, murarzy i majstrów w Hongkongu, Monachium, Rio, Zurychu i Monte Carlo dostaje wysypki na sam dźwięk jej nazwiska.

Kiedy Billy oświadczała, że jedzie do Nowego Jorku lub Chicago, Spider wiedział, że żaden pracownik obu Domów Mody nie spocznie, dopóki Billy nie odleci do Los Angeles. Billy była bezsprzecznie kurewsko wymagającą szefową. Nie była jednak nigdy nierozsądna czy niesprawiedliwa, jeśli wyjaśniano jej okoliczności, nawet w czasie komplikacji związanych z tworzeniem pierwszego sklepu „Scruples”. Zawsze dawała ludziom szansę poprawy, czasem nawet dwie, zanim zwolniła kogoś z pracy, a tych, którzy radzili sobie dobrze, niezwłocznie nagradzała hojnie i lojalnie.

Ciekaw był tej nowej przyjaciółki, która zaprosiła ich oboje na lunch. Razem z Valentine zastanawiali się często, dlaczego wśród przyjaciół Billy jest tak niewiele kobiet. Stwarzała niewielki, lecz wyczuwalny dystans między sobą a każdą kobietą, którą znali. Nieliczne z nich, takie jak Susan Arvey, traktowała bez tej maleńkiej rezerwy, ale Susan Arvey nawet nie lubiła. Szanowała tylko jej inteligencję.

Przez ostatnich kilka lat Valentine i Billy bardzo się do siebie zbliżyły. - Billy powiedziała mi dzisiaj, że uważa Dolly, Jessicę i mnie za swoje trzy najbliższe na świecie przyjaciółki - wyjawiała mu kiedyś Valentine. - Wzruszyłam się. Było mi tak miło i jednocześnie tak smutno ze względu na nią. Może dlatego, że nie ma takiego przyjaciela w mężu jak ja.

To smutne, myślał Spider, że Billy - ze swoim majątkiem - nie może być zwyczajną kobietą, ze zwyczajnymi przyjaciółmi. I na pewno nie ma też zwyczajnych randek. Bóg jeden wie. Jakoś sobie radziła z facetami, którzy się za nią uganiali, ale teraz zrobiła się cholernie nieśmiała. I nic dziwnego.

Małżeństwo z tym nędznym fiutem, Vito, ściągnęło ją na ziemię, ale po rozwodzie nie ufała żadnemu mężczyźnie. Z przerażeniem myślał, co mogłoby spotkać Billy po rozwodzie, gdyby nie Gigi. Gigi wyzwoliła w Billy czułość i głęboką kobiecą słodycz, o którą Spider nawet jej nie podejrzewał. Łatwo jednak mogła popaść w depresję, mającą swoje źródło w czymś, czego nie pojmował.

Wyglądała teraz młodziej niż wtedy gdy ją poznał, ale wiedział, że jest starsza od niego o niecały rok i ma trzydzieści siedem lat. Może to kwestia fryzury, pomyślał Spider. Niedługo po rozwodzie ścięła bardzo krótko swoje długie ciemnobrązowe włosy i układały się teraz w rozwichrzony kosmyk na karku, swobodnie opadając z czoła gęstymi, cieniowanymi, puklami. Wyglądały tak, jakby nie tknął ich żaden fryzjer. Ten pozornie nonszalancki styl wymagał jednak strzyżenia co dwa tygodnie. Jej głowa, osadzona na mocnej szyi, miała teraz wygląd bardziej władczy niż w miękkim otoczeniu włosów do ramion. Usta były jak

zawsze pełne. Naturalnie różowe wargi pokrywał cienką warstwą przezroczysty błyszczak. Oczy nie straciły nic z mglistej tajemniczości. W istocie w ich mroku czaiło się jeszcze większe wyzwanie. Jeśli ktoś nie miał pojęcia, kim jest Billy, musiał odwrócić się, by spojrzeć na nią, bo w jej oczach odbijało się całe imperium. Piękno Billy - a Spider musiał przyznać, że była oszałamiającą, płomienną, rzucającą na kolana, kurewsko zabójczą piękną - zachowało swoją moc graniczącą z męską siłą, która stawiała ją w jednym rzędzie z innymi pożeraczkami serc. Dzisiaj, w czerwonym dopasowanym żakiecie z paskiem i spodniach o nienagannym kroju, które zaprojektowała dla niej Valentine, Billy, obojętna na fakt, że w zatłoczonej restauracji zwraca powszechną uwagę, wyglądała tak, jakby miała wskoczyć na rumaka i na dźwięk wojennej trąb poprowadzić angielskie wojsko. Brakowało jej tylko szpady.

- Madame spóźnia się - zauważył.

- Przyszliśmy za wcześnie - odparła Billy, zerkając na zegarek. - Dokładnie za minutę spóźni się o minutę. A oto i ona, więc przestań marudzić. Po prostu jesteś głodny.

Billy przedstawiła ich sobie i gdy Spider znowu usiadł po przywitaniu nieznajomej, przyjrzał się jej uważnie. Dziwny okaz, uderzająco osobliwy, pomyślał, powstrzymując się od oceny, bo był mężczyzną, któremu podobały się wszystkie poznawane kobiety, i zamierzał dać tej damie równe szansę, choć głęboko w podświadomości coś mówiło mu, że dla niej może zrobić wyjątek w swoich uczuciach. A jednak była czarująca, czarująca bez zarzutu. Tryskała dowcipem, uważnie słuchała tego, co miał do powiedzenia i, o ile mógł zauważyć, pozycja Billy nie robiła na niej wrażenia, a Spider wiedział, że to rzadkość.

- Cora ma najcudowniejsze mieszkanie, jakie zdarzyło mi się oglądać, pełne najbardziej wyrafinowanych przedmiotów w całym Nowym Jorku - oznajmiła Billy Spiderowi.

- Lubisz przedmioty, Spider? - zapytała Cora de Lioncourt.

- Czy mogłabyś ująć to ściślej, Coro?

- Antyki, ozdóbki, bibeloty, wielki śmietnik, „drobiazgi” - wyjaśniła swoim ślicznym głosem, z którego akcent Południa nigdy nie zniknął na dobre.

- Jakie „drobiazgi”?

- Brytyjscy sprzedawcy nazywają tak przedmioty, które kupuje się pod wpływem impulsu, rzeczy, których nie chcesz kupować i nie są ci potrzebne, ale w końcu przepłacasz i zabierasz je do domu, doznając rozkoszy posiadania.

- Wielkie rzeczy przyprawiają mnie o zawrót głowy, ale „drobiazgi”? To brzmi jak nazwa cukierków, dla mnie zbyt ciężko strawnych. Nigdy też nie mieszkałem w otoczeniu antyków i nic o nich nie wiem... a bibeloty zdarza mi się tłuc.

- Zatem musisz koniecznie mnie odwiedzić, żebym mogła pokazać ci moje rzeczy i nawrócić cię - rzekła Cora, na pozór zauroczona jego obojętnością. - Mam co najmniej dziesięć przyjaciółek, które twierdzą, że zmieniłeś ich życie swoimi niewiarygodnie przenikliwymi uwagami o strojach. Jestem pewna, że masz instynktowną wiedzę na temat przedmiotów. Założę się o każdą sumę, że potrafiłbyś odróżnić wspaniałe antyczne krzesło od zaledwie dobrego, tu, w tej chwili, nie wiedząc dlaczego, tylko dzięki oku. Obiecuj, że mnie odwiedzisz!

- Doceniam twoje zaproszenie - rzekł Spider - ale nie przepadam za

zakupami. Lubię radzić kobietom, jak wyglądać najkorzystniej, lecz czynność zwaną „zakupami” uważam za okropne tortury.

- Spider, Cora nie mówi o zakupach. Mówi o kolekcjonerstwie - zaśmiała się Billy, wiedząc, że Spider czasem celowo udaje tępotę. Niekiedy, choć niezbyt często, można było nadepnąć mu na odcisk.

- Billy, skoro o zakupach mowa, zeszłej nocy tuż przed zaśnięciem przyszedł mi do głowy pewien pomysł - powiedziała Cora de Lioncourt - i zanotowałam go, żeby nie zapomnieć. Pomyślałam, że choć reklamy „Scruples” są fantastyczne, można by je jeszcze udoskonalić. Nie mam zielonego pojęcia o reklamie, więc przerwij mi, jeśli to, co powiem, jest głupie, ale dlaczego nie miałabyś sama pokazywać się w reklamach zamiast modelek? Dla kobiet byłoby to znacznie ciekawsze, gdyby mogły zobaczyć ciebie - właścicielkę we własnej osobie - w ubraniach, które sprzedajesz. Jesteś pewnie w wieku swoich najlepszych klientek, chociaż wyglądasz tak niesłychanie młodo. Widziałam cię na zdjęciach tyle razy i wiem, że dałabyś sobie radę. Czy to całkiem idiotyczne, czy ma jakiś sens?

Zapadła cisza, bo Billy i Spider milczeli, nie biorąc się do jedzenia. To był śmiały i oryginalny pomysł, który nigdy dotąd nie przyszedł żadnemu z nich do głowy.

- Taaak... - mruknęła Billy, nie chcąc przyznać, że projekt wydał jej się od razu niesłychanie kuszący. Niemal wstydziła się, że jest tak dumna ze swoich Domów Mody. Utożsamiała się z nimi całą istotą. Były jej zwycięstwem. Wiedziała, że świetnie wygląda na zdjęciach, że świetnie się ubiera... Dlaczego nie?

- Nie wiem - powiedziała powoli. - Nigdy nie przyszło mi to do

głowy. Co o tym sądzisz, Spider?

- Tak prosto z mostu? Dobra. Myślę, że to... ryzykowne.

- Dlaczego ryzykowne? - Billy zażądała wyjaśnień.

- Nie wiem, czy chciałabyś stać się symbolem klientek „Scruples” - powiedział, dobierając słowa. - Słuchaj, Billy, mam z nimi do czynienia na co dzień, a dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent z nich nie potrafi nosić ubrań tak jak ty. Przyzwyczyły się do oglądania zdjęć modelek, które wyglądają tak, jak im samym nigdy się nie uda, ale ty jesteś człowiekiem z krwi i kości. To może być irytujące i odstraszać je. Jest jeszcze coś...

- Co? - zapytała niecierpliwie.

- Sama mówiłaś mi często, że nie znosisz, jak umieszczają cię na liście dziesięciu najbogatszych kobiet w Ameryce i zawsze cię tak przedstawiają w prasie, radiu i telewizji, prawda?

- Prawda.

- Pojawiając się w reklamach, w najmodniejszych strojach, narazisz się na to tym bardziej. Będą ci zazdrościć jeszcze więcej. W rezultacie to może okazać się dla ciebie niekorzystne... kobiety spojrzą na reklamę i pomyślą: „Och nie, znowu ta Billy Ikehorn w sukni, która pewnie kosztuje majątek... takiej to łatwo, ten cholerny sklep należy do niej i jest tak piekielnie chuda, ale mnie na to nie stać, a i tak nie mogłabym tego nosić...” Coś w tym stylu.

- Masz rację, Spider - powiedziała Billy, próbując bez powodzenia ukryć rozczarowanie.

- Widzę, że masz rację - powiedziała Cora de Lioncourt, umiejętnie skrywając rozczarowanie. - To twoja wrażliwość, to zrozumienie kobiecej

psychiki czynią cię tak niezwykłym, Spider. Teraz widzę wady tego pomysłu... nadaje się do kosza.

- Ale może być cudowny dla kogoś innego, Coro - podsunęła Billy. - Może dla projektanta lub projektantki, która robi stroje dla kobiet o takiej figurze, jak jej własna... Jestem pewna, że kiedyś ktoś z niego skorzysta. Jesteś bardzo pomysłowa, Coro!

- Dziękuję ci - powiedziała Cora, demonstrując nieskazitelne uzębienie. - Może więc zanotuję go sobie, żeby nie zapomnieć.

- Jak chcesz, Coro. Jestem zachwycona, że zgodziłaś się pomóc nam przy tym wielkim przyjęciu na jesieni, po Święcie Pracy - oznajmiła Billy.

Spider jadł swoją flandrę. Pierwszy raz słyszał o jakimś przyjęciu, ale nie zamierzał o nic pytać.

W każdym razie nie zaraz po tym, jak wbił szpilę Corze de Coştam.

- Będzie naprawdę trudno - stwierdziła Cora - zaplanować coś, co przebiję przyjęcie, które wydałaś z okazji otwarcia pierwszego sklepu „Scruples”. Wiem, że ten ogromny sukces to wyłącznie dzieło Spidera. Tamto przyjęcie to istne dzieło geniuszu, Spider! Z pewnością nie poradzę sobie tak dobrze nawet w połowie, ale naprawdę chcę spróbować. Żeby nowojorczykom zaimponowało wielkie przyjęcie w Los Angeles... no, no! Spodziewają się, że jesienna uroczystość przejdzie wszelkie wyobrażenie, a są wybredni Billy, wybredni jak diabli. Nie znoszą rywalizować z prowincją. Gdyby nie uważali, że Nowy Jork to pępek świata, po co mieliby tu mieszkać?

- Spider, nie miałam okazji powiedzieć ci o tym przed lunchem - powiedziała Billy - ale Cora zaproponowała mi to, kiedy byłam tu ostatnio.

- Rozumiem. Zatem Cora ma zamiar pomóc?

- Jeżeli dobrze się zastanowić, Spider, to ma to sens. Nigdy nie robiliśmy oficjalnego otwarcia, więc powinniśmy wydać wielkie przyjęcie, choćby w celach reklamowych, jeżeli już nie z innego powodu. Nowy Jork nie należy do nas tak jak Los Angeles, a z pewnością nie do mnie. To miasto Cory. Potrzebujemy kogoś tu, na miejscu, kto zna odpowiednich ludzi, którzy zajmą się jedzeniem, kwiatami, muzyką, dekoracjami. Kogoś, kto doda do naszej listy gości nowe, interesujące nazwiska... To niewątpliwie dobry pomysł.

- Jedyne, czego mi trzeba poza przyjemnością związaną z przygotowaniem - rzekła Cora - to sukni na przyjęcie, którą wybierze dla mnie Spider. Potrzebuję słynnego doświadczenia Spidera Elliotta.

- Sądzę, że doskonale dbasz o swój wygląd, Coro. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie jestem ci wcale potrzebny - odparł Spider miłym głosem, lecz bez uśmiechu.

Mówiąc to myślał, że takie przyjęcie jest całkowicie zbyteczne. Będzie kosztowało pierdolony majątek, a filia „Scruples” w Nowym Jorku i tak przynosi już trzykrotnie większe zyski na metr kwadratowy niż inne sklepy w mieście. Jeżeli potrzebują rozgłosu, mogą go mieć za darmo. Skoro jednak Billy chce wywalać kupę forsy, dlaczego nie? To jej nie zrani, nie zrani tak, jak mogłyby zranić reklamy, więc dlaczego miałyby wylewać jej na głowę kubek zimnej wody?

Jedyny problem w tym, że Billy miała mnóstwo czasu, żeby powiedzieć mu o tym przed lunchem. Minęły całe tygodnie, odkąd Cora wpadła na ten pomysł, więc dlaczego Billy czekała, żeby go zaskoczyć, do chwili kiedy będzie miała przy sobie Corę, która ją poprze? Nie, ta

Lioncourt wcale mu się nie podoba. A pochlebstwem daleko nie zajędzie.

* * *

Po lunchu, za który - jak zwykle - nikt nie wystawił jej rachunku, przed powrotem do domu Cora de Lioncourt odwiedziła kilku sprzedawców antyków. Zgodnie z przypuszczeniem, nie znalazła niczego godnego choćby chwili jej cennego czasu, ale chciała odrzucać oferty, odrzucać, odrzucać raz po raz ostrymi, złośliwymi, odpowiednio wzgardliwymi słowami, by dać upust wściekłości, którą wzbudził w niej Spider Elliott. Chryste, nienawidziła takich mężczyzn!

Przystojnych, bezużytecznie przystojnych, pełnych dystansu, mających własne zdanie.

Mężczyźni, którzy wywierali wpływ na bogate kobiety, byli jej naturalnymi wrogami, a facet taki jak Spider, nieprzenikniony facet, który stawiał opór i nie wahał się wyrażać własnego zdania, był najgorszy ze wszystkich. Żerowała na bogatych kobietach, a Billy Ikehorn była jej największą zdobyczą. Osaczała ją powoli, ostrożnie i skutecznie, odkąd ją poznała, i zaprosiła Spidera na wspólny lunch, żeby go wybadać. Kiepska sprawa z tym Spiderem, pomyślała Cora, kiedy wróciła do domu i zrobiła sobie filiżankę herbaty, zanim usiadła przy biurku i zabrała się do rachunków.

W roztargnieniu studiowała listę pięciu drogich restauracji w mieście, z którymi miała umowy. Wszystkie honoraria płacono jej gotówką - Cora domagała się *liquide* - za przyprowadzanie grup przyjaciół na lunch lub kolację. Czekałami zajmowali się sami restauratorzy. W Le Train Bleu czekali dwa miesiące, by przyprowadziła Billy Ikehorn. Jutro w poczytnej rubryce towarzyskiej pojawi się odpowiednia notatka. Są jej

winni sporą prowizję. Choć brała opłatę za rok z góry, niczego nie obiecywała właścicielom restauracji. Gwarantowała, że przyprowadzi odpowiednie osoby na otwarcie i w jakiś czas potem, ale sukces restauracji zależał wyłącznie od czynników, na które nie miała wpływu. Jeżeli restauracja nie zdobyła uznania, rezygnowała z niej natychmiast. Nie mogła przecież pozwolić sobie na przyprowadzanie przyjaciół do miejsca, które świeciło pustkami.

Restauracje miały najmniejszy udział w jej interesach - myślała - ale można było na nich polegać. Zamykano je i otwierano w szaleńczym tempie, a ona godziła się pracować tylko dla najlepszych, poleconych jej przez członków sieci, którą zorganizowała w ciągu ostatnich siedmiu lat pobytu.

Pierwszy rok był niesłychanie trudny, ale Cora de Lioncourt wytrwała w swoim postanowieniu, powtarzając sobie, że jest to okres, w którym trzeba inwestować. Nie może liczyć nawet na grosz, dopóki wszystkiego nie zorganizuje. Przeprowadzka okazała się znacznie trudniejsza, gdy stwierdziła, że za swoje dolary może w Nowym Jorku kupić znacznie mniej niż za franki w Paryżu, więc urządzenie mieszkania i utrzymanie dawnego poziomu życia zmusiło ją do uszczknięcia tego i owego z jej zasobów. Nikt w Nowym Jorku nie dawał zniżki płacącym gotówką, nawet szewc, malarz pokojowy czy pomoc dentystyczna, która czyściła jej zęby. Co się dzieje z tymi Amerykanami? Przecież muszą płacić podatki tak jak wszyscy. Wytrwała jednak w swoim postanowieniu. Jej przyjaciele w Nowym Jorku zapraszali ją do siebie, a gdy jej mieszkanie było już gotowe, Cora szybko odwzajemniła ich zaproszenia, w dobrze przemyślanych układach towarzyskich, dołączając najlepszych

spośród nowych znajomych - zwłaszcza tych, którzy byli związani z prasą, radiem i telewizją.

W Paryżu media nie były tak ważne jak w Nowym Jorku. Francuskie gazety zamieszczały recenzje filmów, przedstawień i książek, ale w kwestii high life'u zatrzymały się w epoce kamienia łupanego. We francuskich gazetach i magazynach nie było stron poświęconych stylowi życia ani kolumn plotek towarzyskich. Natomiast w Nowym Jorku zamieszczano informacje o tym, która pani domu wydała przyjęcie, jak ubrał się ten i ów przy tej lub innej okazji, kogo, gdzie i z kim widziano na lunchu, kto kupił nowy dom i zamierzał go odnowić i urządzić, kto pojechał na wakacje i w jakiej kompanii, które panie zamierzają wydawać bale na cele dobroczynne.

Francuzi nie dawali na cele dobroczynne prawie nic. Ich prywatne przyjęcia były zamknięte dla prasy. Panie jadały lunch w domu, a wszyscy wiedzieli, gdzie ubiera się tych kilka dam, które mogą sobie jeszcze pozwolić na wielkie kreacje. Ludzie przebiegłe nie obnosili się z bogactwem w obawie przed inspektorami podatkowymi.

Ach, Nowy Jork! Wydarzenie nie znaczyło nic, jeśli nie opisano go w prasie. Gazety i pisma pękały w szwach od takich wieści, a Cora de Lioncourt ze skrupulatnością antropologa badała środki masowego przekazu informujące o życiu wyższych sfer. Zawsze była pewna, że tak czy inaczej musi się jej poszczęścić, więc była ogromnie zadowolona z przyjaźni z Harriet Toppingham - wpływową i budzącą postrach redaktorką Mody i Wnętrz.

Obie kobiety spotkały się kilka razy przelotnie w Paryżu, kiedy redaktorka działu mody przyjeżdżała na pokazy kolekcji. Miały wielu

wspólnych znajomych, ale ich związek przerodził się w cenną przyjaźń dopiero w Nowym Jorku. Harriet, tak jak Cora, była ofiarą manii kolekcjonerskiej i była z niej równie znana. Niekłamana sympatia i prawdziwy szacunek rozwinęły się między nimi podczas wspólnych niedzielnych lunchów, po których uczestniczyły w aukcji u Parke Berneta lub wybierały się za miasto, by przeczesać sklepy z antykami. Nie gardziły nawet podmiejskimi wyprzedażami garażowymi, bo wiedziały, że nigdy nie można być pewnym, gdzie znajdzie się wspaniały lub choćby tylko uroczo zabawny przedmiot.

Obie stwierdziły, że - niezależnie od kolekcjonerstwa - w głębi duszy są sobie w naturalny sposób bliskie. Obie były w młodości niezbyt atrakcyjne i bardzo ambitne. Obie osiągnęły sukces dzięki inteligencji i gustowi, rekompensującymi niewielkie walory, którymi obdarzyła je natura. Obie były cyniczne, nie miały zaufania do mężczyzn i nienawidziły wszystkich pięknych kobiet na świecie, które bez trudu płynęły przez życie otoczone aurą zachwyty. Obie były zgorzkniałe, samotne i przebojowe. Były sobie potrzebne.

Harriet Toppingham i Cora de Lioncourt zbierały odmienne przedmioty i różnie aranżowały je w wymyślnych, wypieszczonych wnętrzach. Nie było zatem elementu rywalizacji, który mógłby stanowić problem. Gdy tylko mieszkanie Cory nadawało się do sfotografowania, Harriet poświęciła mu ośmiostronicową kolorową rozkładówkę w jednym z comiesięcznych wydań Mody i Wnętrz.

Kiedy numer się ukazał, Cora zyskała nie tylko pozycję, ale i błogosławieństwo. Każdy, kto się dla niej liczył w Nowym Jorku, został uświadomiony, że oto do miasta zjechała fascynująca księżna de

Lioncourt, kustosz świata skarbów, wysoko urodzona ozdoba Charleston, Chatfield i Cincinnati, która podbiła Paryż, by teraz powrócić w rodzinne strony i stworzyć tu siedzibę w wyrafinowanym stylu, o charakterze tak wyjątkowym, tak niebywale osobistym, że żaden dekorator wnętrz nie zrobiłby tego lepiej. W drugim roku pobytu Cory w mieście niedzielny dodatek New York Timesa zamieścił zdjęcia jej mieszkania na stronach poświęconych architekturze wnętrz, a za nim magazyn New York oraz Miasto i Wieś.

Nowojorczyki, znużeni nieco podziwianiem swoich opatrzonych już dzieł malarstwa i rzeźby zabiegali o zaproszenia na małe kolacyjki u Cory, na których czuli się niczym w innym świecie, świecie istniejącym poza czasem i przestrzenią, stworzonym przez Corę na wzór jej paryskiego mieszkania. W małym światku, z którego zamierzała ciągnąć zyski, otaczano ją szacunkiem i schlebiano jej.

Tak, droga Harriet miała istotne znaczenie, ale Cora pomyślała, że nie docenia siebie samej. Nawet nie zdaje sobie sprawy, że zajęcie, które dla siebie wymyśliła, odpowiada tak doskonale jej zdolnościom. Wstała od biurka, włożyła szlafrok i ułożyła się na głębokiej sofie pokrytej haftowanymi poduszkami - sofie, która stała się swego rodzaju biurem. Tu znajdował się sztab operacyjny Cory i wszystkie narzędzia pracy, których potrzebowała: trzy książki telefoniczne, żółty notatnik, ołówki i telefon.

Pierwszymi klientami byli sprzedawcy antyków, handlowcy, z którymi umiała radzić sobie najlepiej. Cora spełniała gorące prośby swoich przyjaciół błagających, by „zabrała ich na poszukiwanie antyków” i wiodła ich do drogich sklepów, z którymi miała umowy. Od wysokich cen pobierała ogromne prowizje. Z drugiej strony - myślała z dumą - nigdy nie

doradziła nikomu kupna rzeczy bezwartościowej. Jeżeli ktoś okazywał głupie pragnienie posiadania jakiegoś szmelcu, stanowczo, lecz łagodnie wykladała, dlaczego nie jest wart kupna.

Potem wylansowała młodego utalentowanego dekoratora z Charleston, nowicjusza w Nowym Jorku, swojego dalekiego krewnego, który prosił ją o pomoc w znalezieniu pierwszego majątnego klienta. Cora ostrożnie zarzucała sieci, dopóki nie skontaktowała go ze świeżo rozwiedzioną przyjaciółką, która szukała kogoś nowego i oryginalnego, kto zaprojektowałby dla niej poddasze. Od tej transakcji oraz innych podobnych umów z sześcioma starannie dobranymi dekoratorami Cora pobierała okrągłe dziesięć procent sumy wydanej przez klienta. Współpracujący z nią dekoratorzy uznali ten procent za rozsądny, jako że księżna zawsze przyprowadzała im klientów przekonanych o konieczności włączenia do projektu wspaniałych antyków, a to przekonanie prędzej czy później zmuszało ich do rozrzutności, na którą godzili się, widząc już oczyma duszy olśniewające gotowe wnętrza.

Cora de Lioncourt wydawała tak wspaniałe przyjęcia, że z konieczności zajęła się także i nimi. Panie zawsze błagały ją, by zdradziła im swoje sekrety, a ona nie skąpiła rad, wiedząc, że kiedy będą kopiowały jej pomysły, znajdzie nowe źródła inspiracji. Kwaciarnie, które dzięki niej stały się modne, organizatorzy przyjęć, których wylansowała, muzycy, których polecała, z wdzięczności płacili jej roczną prowizję, bo Corę naśladowało całe towarzystwo.

Było wszakże kilka dziedzin, w które Cora wołała nie wkraczać. Salony fryzjerskie stanowiły zbyt wielką niewiadomą i nie chciała ryzykować utraty przyjaciółki z powodu złej fryzury. Nie dowierzała

jubilerom i kuźnierzom, poza najbardziej znanymi, których reputacja świadczyła o jakości sprzedawanych towarów, ale ci z kolei wcale jej nie potrzebowali. Nie miała nigdy najmniejszej ochoty, by skłaniać kobiety do kupowania ubrań w tym czy innym sklepie, gdzie zawsze mógł przytrafić się kosztowny błąd.

Po trzech latach poważnych sukcesów w pobieraniu haraczu od sprzedawców antyków, dekoratorów wnętrz, restauratorów i przedstawicieli innych profesji związanych z rozrywką, Cora de Lioncourt stwierdziła, że jest przygotowana do lansowania ludzi. To delikatne zadanie wymagało całego jej smaku, rozsądku i inteligencji.

Ludzie pragnący się przebić, nowicjusze w Nowym Jorku lub świeżo wzbogacone mieszcuchy, których przybywało z każdym dniem, często nie nadawali się do wylansowania, bo brakowało im pożądanых przez nią cech. Przyjmowała tylko tych klientów, którzy odznaczali się rzeczywistą zdolnością samodzielnego wypłynięcia na powierzchnię, gdy już rzuciła ich na głęboką wodę. Podobnie jak w przypadku restauracji, nie gwarantowała niczego i zawsze pobierała opłatę z góry. Kiedy jednak trafiał się odpowiedni klient - rozmyślała Cora, uśmiechając się do siebie - kiedy zatelefonowało do niej odpowiednie małżeństwo z prowincji lub przedstawiła się jej samotna, bardzo majątna kobieta, była to istna żyła złota. Nie było takiej sumy, której ci ludzie nie zgodziliby się zapłacić, byle tylko zaczepić się w nowojorskim towarzystwie, a gdy Cora de Lioncourt zaprosiła ich na jedną ze swoich maleńkich kolacyjek, gdy krok po kroku przedstawiała ich coraz szerszym kręgom znajomych, gdy pomagała im samym przyjmować gości w mieszkaniach zaprojektowanych przez jej dekoratorów, nie mieli powodów do narzekań,

jeśli nic z tego nie wyszło.

Tworzyło się w ten sposób jedno wielkie koło, a z każdym jego obrotem pieniądze sypały się do jej rąk, a z rąk do pęczniejącego portfela pełnego akcji i obligacji. W tańcu, który zainicjowała Cora, trzeba było ciągle nowych wodzirejów, gwiazd takich jak Billy Ikehorn. Właśnie dzięki niej świat, który stworzyła wokół siebie Cora, pokryje się nową warstwą błyszczącej pozłoty.

Bliski związek z Billy Ikehorn, nawet jeśli nie kupiła dotąd nawet łyżeczki do herbaty, jest wart czasu Cory, bo przeczuwa, że Billy Ikehorn, jeśli ją odpowiednio zachęcić, wyda znacznie więcej pieniędzy niż wszystkie inne kobiety, z którymi ona, Cora, dzieli się tak szczerze swoimi pomysłami. Koncepcja reklamy „Scruples” nie przyniosła jej żadnych korzyści oprócz wdzięczności Billy. Od czasu do czasu ludziom wyjątkowym Cora udzielała takich wskazówek, które, radując się rozkoszną podłością własnych zamiarów, nazywała „haczykami na grube ryby”.

Jesienne przyjęcie w „Scruples” to zaledwie początek. Jest oczywiste, że Billy musi mieć mieszkanie w Nowym Jorku.

Cora nie mogła pojąć, dlaczego Billy zadowala się tylko czteropokojowym apartamentem w Carlyle i ma tylko jeden dom w Kalifornii. To zakrawa na skandal - myślała Cora - że tak bogata kobieta żyje tak skromnie, tak oszczędnie, w sposób tak bezpretensjonalny. Przynajmniej z poczucia obowiązku wobec nowojorskich ludzi pracy powinna zacząć szastać pieniędzmi.

Cora de Lioncourt obiecała sobie, że zgodnie z jej planem Billy musi przysłużyć się społeczeństwu, nawet jeśli jej, Corze, społeczeństwo nie

odwdzięczy się za to nigdy.

* * *

Ilekcroć Spider wyjeżdżał w interesach, Valentine stwierdzała, że jest jej dwa razy trudniej zasnąć. Zawsze cierpiała na bezsenność, ale dało się to znieść, kiedy mogła pętać się po domu, wiedząc, że Spider śpi. Teraz, kiedy była sama w środku nocy, była tak niespokojna, jak nigdy dotąd. Dzięki Bogu Spider wraca jutro z Nowego Jorku - pomyślała, włączając telewizor w salonie o drugiej nad ranem. Bezsenność dokuczała jej bardziej, gdy leżała w łóżku, niż gdy starała się czymś zająć. Mogła pojechać ze Spiderem do Nowego Jorku. Prosił ją o to. Valentine postanowiła jednak skorzystać z remontu sklepu i poszukać domu.

Nie można od nikogo oczekiwać, by cierpliwie chodził od domu do domu z pośredniczką sprzedaży nieruchomości, lecz Valentine oddała się na wiosnę temu zajęciu, przekonana, że gdzieś czeka na nich wymarzony dom. Pomyślała, że dzisiaj... chyba go... znalazła, a jej bezsenność była częściowo spowodowana podnieceniem, że już jutro zaprowadzi tam Spidera, by usłyszeć jego zdanie.

Z niesmakiem wyłączyła telewizor. Nie, tych okropności nie można znieść. Było tylko jedno lekarstwo, do którego uciekała się często jeszcze przed ślubem, a nawet i teraz, gdy mąż wyjeżdżał z miasta. Musi zająć się pracą, dopóki nie uśnie ze zmęczenia. W tym celu musi znaleźć się w „Scruples”, w swojej pracowni. W domu, który dzisiaj oglądała, jest miejsce na pracownię nie mieszczącą się w ich obecnym mieszkaniu, myślała Valentine, ubierając się pospiesznie. Jest miejsce na ogród, miejsce na bibliotekę, miejsce na pokój dziecienny, miejsce... tyle cudownej przestrzeni... to będzie całkiem nowe życie, choć trudno sobie

wyobrazić lepsze od tego, które prowadzą teraz.

Szybko pokonała niewielką odległość do „Scruples” i weszła do środka. Z racji swoich nocnych wizyt miała klucz do drzwi wejściowych i znała wszystkie kody zabezpieczające. Idąc do pracowni, Valentine zauważyła, że sklep pachnie świeżą farbą, drewnem i trocinami. Wydawał się ogromny i obcy. Na czas remontu sprzęty wyniesiono do magazynu. Uprzątnięto wszystko, by zrobić miejsce dla brygad malarzy i stolarzy. Wielu z nich zostawało nawet po godzinach, by szybko zakończyć prace, ale nikt nie miał prawa wstępu na jej terytorium. Nie pozwoliła nawet odmalować swojej pracowni. Wielkie dzięki! Tkwi po same uszy w pracy nad kostiumami do Legendy i za żadne skarby świata nie pozwoli sobie przeszkadzać, co z całą stanowczością powiedziała majstrowi brygady malarzy.

Valentine włączyła jasne światła u sufitu pracowni i z ulgą rozejrzała się dokoła. Tu może spędzić owocną noc, a nawet przespać kilka godzin na zniszczonym starym szezlongu stojącym w rogu, na wpół zagrzebanym pod stosami magazynów mody i zdezaktualizowanych egzemplarzy Kobiety i Stroju. Przeglądanie starych numerów pisma, wynajdywanie zdjęć dawnych przyjaciół i czytanie o tym, co działo się wiele miesięcy temu w szalonym świecie na Siódmej Alei, do którego już na szczęście nie należała, stanowiło stały, miły zwyczaj. Valentine często dokonywała odstępstwa od codziennej rutyny, zwijała się w kłębek na pół godziny i przeglądała gazety, lecz ostatnio nie miała na to czasu z powodu nawału pracy.

Rozglądając się wokół, Valentine stwierdziła, że jeśli kiedykolwiek jeszcze Billy poprosi ją o zaprojektowanie kostiumów do filmu, tak jak

teraz do Legendy, będzie musiała zażądać większej pracowni. Nigdy jeszcze nie było tu takiej graciarni, ale konieczność wymyślenia na czas kostiumów dla Melanie Adams zmusiła Valentine do ustawienia dwunastu manekinów zrobionych dokładnie na miarę Melanie.

Aktorka nie miała ani czasu, ani cierpliwości, by stać spokojnie podczas długich przymiarek ponad sześćdziesięciu kostiumów projektowanych przez Valentine. Teraz każdy z manekinów okrywał materiał przypominający gazę, rodzaj ciężkiego, lejącego się tiulu, którym Valentine posługiwała się zamiast tradycyjnego krawieckiego muślinu, zbyt sztywnego, by używać go do toile - makiet przygotowywanych przez nią, udrapowanych miękko i ponętnie kostiumów z lat dwudziestych i trzydziestych.

Oprócz wielu manekinów małą pracownię zaśmiewały stare fotosy z wczesnych filmów Garbo i Dietrich, stopy pożółkłych gazet ze zdjęciami obu aktorek wybierających się w podróż przez Atlantyk lub powracających i pozujących fotografom prasowym, książki na temat historii filmu, które Valentine ściągnęła do pracowni, żeby je przestudiować. Pomyślała z niechęcią, że jej schludna pracownia nigdy jeszcze nie była w takim stanie. Na szczęście to nie potrwa długo. Było tu zaledwie tyle miejsca, by mogła poruszać się wokół manekinów, krojąc, przypinając szpilkami, upinając i drapując na nowo sprężystą, miękką gazę. Milczące, białe, bezgłowe postacie stanowiły dla niej znacznie przyjemniejsze towarzystwo niż byle jaki nocny film w telewizji.

Valentine pracowała pilnie przez kilka godzin. Najgorszy etap pracy nad Legendą prawie dobiegł końca. Wells Cope przyjął wszystkie jej projekty. W przyszłym tygodniu trzeba będzie zrobić jeszcze pół tuzina

kostiumów, a potem zastąpić gazę prawdziwym materiałem. Melanie Adams będzie musiała pofatygować się osobiście do ostatniej przymiarki, ale Valentine pomyślała sennie, że ten problem pozostawi panu Cope. Była zadowolona z tego, co zrobiła i postanowiła przerwać pracę.

* * *

Zmęczona, wyciągnęła się na starym szezlongu i zapaliła Gauloise Bleu wyjętego z paczki, którą zawsze miała pod ręką. Jego zapach przypominał jej Paryż. Leżąc i wydmuchując dym, Valentine poczuła rozkoszne odprężenie... tak, w swoim nowym domu musi koniecznie mieć pracownię, pomyślała, zanim pogrążyła się w głębokim śnie.

Niedopałek papierosa wysunął się z jej palców i wylądował na stercie zetlałych fotografii, które natychmiast zajęły się ogniem. Od fotografii zapaliły się stare gazety i w ułamku sekundy cała pracownia stanęła w ogniu. Gaza na manekinach strzelała wysokim płomieniem, a walające się wszędzie papiery roznieciły huczący żywioł, który szybko ogarnął pomieszczenie. Ogień runął przez świeżo malowane pomieszczenia biurowe w dół po odnowionej kłace schodowej i zajął stosy drewna pozostawione przez stolarzy. Roznieciły go jeszcze puszkę farby rozstawione w niemal wszystkich kątach, nie domknięte przez niedbałych malarzy, którzy rano mieli wrócić do pracy. Nienasycony grzmiący płomień pochłonął podłogi, ściany i świeżo lakierowane gabloty, przerzucił się na konstrukcję edwardiańskiego ogrodu zimowego i lizał świeżo wytapetowane ściany przymierzalni, których drzwi pozostawiono otwarte dla wygody ekipy remontowej.

Wystarczyło kilka okrutnych, tragicznych minut, na długo przed pojawieniem się straży ogniowej z Beverly Hills, by ze „Scruples”

pozostały nagie mury. Wnętrze spłonęło doszczętnie, otoczone wypielegnowanymi ogrodami, które oddzielały sklep od Rodeo Drive. Valentine nie żyła, uduszona dymem na długo przedtem, zanim to, co się dzieje, mogłoby dotrzeć do jej świadomości.

Blisko rok po pożarze, wiosną 1981 roku, Josh Hillman z całą prawniczą skrupulatnością stwierdził, że nie znajduje żadnej sprawy, która wymagałaby jeszcze załatwienia, i akta „Scruples” można już zamknąć. Zbyt podekscytowany, by usiąść, przemierzał swoje biuro w wyniosłym gmachu spółki Strassberger, Lipkin i Hillman w Century City bez zwykłego uczucia ulgi, którego doznaje człowiek mający świadomość, że uporał się z trudnym zadaniem.

Billy nawet nie spojrzała więcej w stronę „Scruples” w Beverly Hills, pomyślał wspominając, jak przyszła do niego prosto z lotniska i wydała dyspozycje w stanie takiej rozpacz, o jaką nie podejrzewał jej po tych wszystkich latach wspólnego prowadzenia interesów.

- Proszę zrównać budynek z ziemią - powiedziała oschłym, łamiącym się głosem, zmienionym nie do poznania. - Zrównać z ziemią ogrody, oczyścić teren i natychmiast sprzedać.

Przytaknął skinieniem głowy i sporządził notatkę, ale ona zaczęła wydawać dalsze polecenia, które w jego przekonaniu były całkowicie niezrozumiałe.

- Sprzedać sklep w Chicago, sprzedać sklep w Nowym Jorku, sklep w Monachium, sklep w Honolulu, sklep w Hongkongu. Zaprzestać wszystkich rozpoczętych inwestycji. Sprzedać tereny zakupione pod przyszłe budowy. Pozbądź się ich jak najszybciej, Josh.

- Billy, rozumiem, co czujesz w związku ze sklepem w Beverly Hills - powiedział łagodnie - ale Chicago i Nowy Jork? Posuwasz się za daleko, Billy. Za daleko. Jako twój prawnik muszę cię ostrzec, że podejmujesz najgorszą z możliwych decyzję w interesach. Obie filie przynoszą

niebываły dochód, a takiej lokalizacji nie zdobędziemy już nigdy. Nikt przy zdrowych zmysłach nie sprzedawałby ich przy dzisiejszym boomie rynkowym. Wiem, jak bardzo jesteś załamana, ale wierz mi, że to niedobra pora na długoterminowe planowanie. Porozmawiamy o tym za kilka tygodni, jeśli nadal...

- Zamknij się, Josh! Podjęłam decyzję i nie obchodzą mnie ani zyski, ani straty.

- Posłuchaj, ten szok musi choć trochę minąć. Nie jesteś teraz zdolna do racjonalnego myślenia. To normalne w tej sytuacji. Ale zrujnujesz imperium „Scruples”, jeśli twoje polecenia zostaną wykonane.

- Im szybciej, tym lepiej - powiedziała z tak oschłą gniewną stanowczością, że spojrzał na nią z niedowierzaniem, bo nikt nie wiedział lepiej niż on, ile dla niej znaczył olśniewający sukces Domów Mody „Scruples”.

- Billy, wybacz, ale po prostu nie rozumiem - powiedział całkiem zdezorientowany.

- Valentine żyłaby dzisiaj, gdybym nie prosiła jej o zaprojektowanie kostiumów do Legendy. Jestem pewna, że właśnie dlatego znalazła się w sklepie. Była przepracowana, starała się zdążyć na czas. To moja wina, Josh. To wszystko, co mogę powiedzieć i to wyłącznie tobie. I tylko dlatego, żebyś przestał się sprzeciwiać i wziął się do roboty. To moja wina. Nie mam lepszego pomysłu... Wiem, że nie przywrócę jej życia, ale... tak trzeba.

- Billy - nie zdążył zaprotestować i zamilkł na głuchy dźwięk jej głosu.

- Josh, spodziewam się, że w sprawie nieruchomości porozumiesz się

z moimi prawnikami w Nowym Jorku. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Zostawiam wszystko w twoich rękach. Wypląć sześciomiesięczne pobory wszystkim pracownikom „Scruples” w Beverly Hills, dwumiesięczne - w Chicago i w Nowym Jorku. Zapłać wszystkie zaległe rachunki bez dyskusji, Josh. Bez dyskusji. Nigdy pod żadnym pozorem nie zamierzam więcej rozmawiać z tobą na ten temat. „Scruples” ma zniknąć z powierzchni ziemi.

Billy wyszła z biura, zanim zdążył powiedzieć, że zastosuje się do wszystkich jej poleceń.

Przystał na jej szaleńczy pośpiech, na irracjonalne poczucie winy, ale działał ze zwykłą sobie roztropną precyzją. Trzeba było aż roku, by wykonać zadania i zakończyć wszystkie sprawy, do ostatniego przecinka w każdym z dokumentów prawnych. Josh Hillman zlikwidował cały majątek „Scruples” w szybkim tempie, ale i z dbałością o interesy. Wiedział, że wartość dobrze zlokalizowanych parceli rośnie z minuty na minutę. Gdy zakończył likwidację sklepów i sprzedaż terenów, stwierdził z ponurą satysfakcją, że imperium „Scruples” osiągnęło znaczny zysk, zwłaszcza filie w Chicago i Nowym Jorku, które sprzedał natychmiast. Zakończył już wszystkie sprawy i nikt na świecie nie wiedział, że została mu tylko tabliczka z morelowego marmuru z wyrytą na niej nazwą „Scruples”, zdobiąca niegdyś frontowe drzwi sklepu przy Rodeo Drive. Zgodnie z przepisami wydział straży pożarnej w Beverly Hills przekazał mu ją jako prawnemu przedstawicielowi Billy, a on nie potrafił się z nią rozstać.

Tabliczka to wszystko, co pozostało mu po Valentine. Valentine, w której zakochał się od pierwszego wejrzenia. Valentine, dla której

rozwiódł się po wielu latach małżeństwa. Valentine, która chciała za niego wyjść, jak sądził aż do dnia, w którym uciekła ze Spiderem Elliottem. Nikt nie miał pojęcia o jego miłości, nawet jego była żona Joannę. Josh Hillman musiał pogodzić się z małżeństwem Valentine w tej samej stoickiej okrutnej ciszy, w której rozpaczał po jej śmierci. To była jedyna rzecz, jaką mógł zrobić dla kobiety dającej mu niegdyś tyle radości.

Josh Hillman spojrział na wschód z okien swojego dwudziestodwupiętrowego biurowca. W powietrzu nie wisiał dziś smog, mógł więc sięgnąć okiem aż po wysoki budynek, w którym mieszkała Valentine, najpierw sama, a potem, po ślubie, ze Spiderem. Gdzie podziewa się Spider? - pomyślał.

Czek na dziesięć milionów dolarów - udział Spidera i Valentine w spółce z Billy - dostarczono Spiderowi przez posłańca, zanim jeszcze opuścił Los Angeles, ale od dnia ceremonii pogrzebowej Valentine nikt go nie widział. Od sprzedawcy jachtów z Marina del Rey, który porozumiał się z nim, zanim przyjął czek Spidera wypisany w pośpiechu w miejscowym banku, Josh dowiedział się, że Spider kupił używaną łódź oceaniczną, zniszczoną, lecz jeszcze sprawną starą łajbę bez wygod, coś pośredniego między jachtem a krypą. Miała pięćdziesiąt pięć stóp długości, ożaglowanie i silnik oraz cztery kabiny, w których było dość miejsca dla właściciela i załogi. W ciągu tygodnia Spider przeniósł na pokład swoje rzeczy, zwerbował dwóch członków załogi, zaprowiantował łódź i odpłynął w kierunku Hawajów. Dwa razy widziano go w różnych miejscach, ale on sam nie kontaktował się z nikim. Podobno stał na kotwicy w Kauai, po czym zniknął z oczu na kilka miesięcy, dopóki nie zatrzymał się w Raiatea na Wyspach Towarzystwa w Polinezji francuskiej.

Z braku innych wiadomości Josh przypuszczał, że Spider jest gdzieś w tym rejonie, dorównującym wielkością Europie Zachodniej.

Josiah Isaiah Hillman myślał, że chętnie zrobiłby to samo. Chciałby tak po prostu powiedzieć światu, by sam sobie zmierzał ku zagładzie, odpłynąć i spróbować pogodzić się z życiem, ale miał już czterdzieści siedem lat, był głównym udziałowcem wielkiej firmy prawniczej, ojcem trojga dzieci i miał obowiązki wobec społeczeństwa. Jedynym „występkiem” w jego uporządkowanym, pełnym sukcesów życiu była namiętność do Valentine. Teraz, kiedy jej zabrakło, będzie żył jak przed ich poznaniem, wiedząc, że jego przyzwyczajenia utrzymają go przy życiu.

Dzięki Bogu nikt nie poprosił go o wygłoszenie mowy na ceremonii pogrzebowej Valentine w ogrodach Billy. Nie byłby zdolny wykrztusić słowa, żeby się nie rozpłakać, tak samo jak Billy i Spider, którzy siedzieli z dala od siebie i pozostałych. Nie śmiał spojrzeć na Spidera, ale zerknął na Billy i zauważył, że jej twarz była niemal całkowicie ukryta pod szerokim rondem czarnego kapelusza, który osłaniał ją przed ciekawym wzrokiem. Przemawiała Dolly Moon. Mówiła o magicznym uroku Valentine z taką miłością i opanowaniem wielkiej aktorki, że jej słowa niosły ukojenie. Jimbo Lombardi, wielki przyjaciel Valentine z czasów, gdy zajmowała się projektowaniem w Nowym Jorku, wspominał ją, przywołując ulotne obrazy lat, w których Valentine ożywiała swą obecnością grupę skupioną wokół jej byłego pracodawcy Johna Prince’a. Przemawiał także Wells Cope, wymownie i z powagą sławiąc talent Valentine. Na koniec Gigi wykrztusiła kilka krótkich zdań głosem jasnym i czystym, choć widać było, że cała drży. Mówiła o dniu, w którym

poznała Valentine, i czasie, który potem spędzały razem, czasie szczęśliwym i radosnym. Potem nastąpił koniec.

Billy zamknęła dom przy Charing Cross Road, zlecając Josie Speilberg i Burgo O'Sullivanowi utrzymywanie go w porządku. Ekipa porządkowa zjawiała się raz w tygodniu, by posprzątać puste pokoje. Nadal dbano o ogrody, lecz wydawało się, że wyjeżdżając, Billy opuszcza Kalifornię na zawsze. Zabrała ze sobą Gigi, by spędzić resztę lata z Jessicą Thorpe Strauss i jej rodziną w East Hampton.

A on, Josh Hillman, musiał pójść do domu i przebrać się na kolejne wieczorne przyjęcie u Susan Arvey, bo - jej zdaniem - był teraz najlepszą partią w Hollywood. Takiego nudnego, bezużytecznego losu nie życzył żadnemu mężczyźnie.

* * *

- Nie mogę uwierzyć, że już w ten weekend będzie Święto Pracy - powiedziała łagodnie Jessicą, otwierając szeroko smutne oczy koloru lawendy i z nieodpartym urokiem rozchylając czarujące usta. Był ostatni tydzień sierpnia 1980 roku. Podniosła oczy znad książki i popatrzyła przez chmurę delikatnych jak u dziecka włosów, wijących się niczym na płótnach preraphaelitów. Razem z Billy siedziały na osłoniętej werandzie, pogrążone w lekturze. Przez całe lato, czyli od dwóch miesięcy, odkąd Billy i Gigi przybyły tu po pogrzebie Valentine, Jessica unikała wszelkich rozmów dotyczących kwestii przyszłości Billy, ale teraz, kiedy lato dobiegało już kresu, był najwyższy czas, by coś postanowić.

O trzy lata starsza Jessica była świadkiem najważniejszych zmian w dorosłym życiu Billy, ale jeszcze nigdy od szesnastu lat nie widziała swojej przyjaciółki tak pogrążonej w smutku - niewzruszonej niczym

granit, nieprzystępnej jak posąg. Ożywiała się na krótko tylko wtedy, kiedy wspólnie żeglowały lub grały w tenisa z Gigi oraz piątką dzieci Jessiki. Całkiem tak, jakby Billy przyjechała do East Hampton na letni obóz, nie szukając niczego prócz ducha młodości i wesołej kompanii. Za wszelką cenę unikała pozostawiania z Jessicą sam na sam.

Zupełnie tak, jakbym ją o coś pytała, jakbym dawała jej jakieś rady, jakbym nie wiedziała, że czasem nie trzeba słów i że nie mogę zrobić nic, żeby jej pomóc - myślała Jessica.

Jednak po Święcie Pracy Straussowie musieli zacząć pakować manatki i myśleć o powrocie na Manhattan, bo młodzi członkowie rodziny szli we wrześniu do różnych szkół. Trzeba będzie kupić ubrania i załatwić tysiące spraw.

- Święto Pracy... och, Jessie, niech to lato się nie kończy... nigdy nie lubiłam Święta Pracy, ale w tym roku...

- powiedziała wolno Billy, niechętnie odrywając się od lektury. - Jeszcze nigdy żadne święto nie przyprawiało mnie o taki niepokój.

- Hmm... - Jessica wydała nic nie znaczące mruknięcie. Nie chciała nic mówić. Nie teraz, kiedy może wreszcie przyjaciółka zechce zacząć nieuniknioną rozmowę.

- Jessie - powiedziała Billy, prostując się i odkładając książkę - wykorzystywałam cię przez całe lato. Nie trać czasu na protesty i inne miłe bzdury wygłaszane w dobrej wierze, bo obie wiemy, że nie robiłam tu nic, poza tym, że starałam się wziąć w garść. Mam dzieci powyżej uszu, więc najwyższy czas, żeby z tobą porozmawiać.

- Hmm...

Billy z trudem zdobyła się na uśmiech. - Możesz sobie robić

„hmmm” cały dzień. Nie mam nic przeciwko temu. Oszczędzaj siły. Potrzebujesz ich, żeby kupić bliźniakom buty. Oświadczyły mi, że całą zimę zamierzają przechodzić w tenisówkach. Och, znam sekrety wszystkich twoich dzieci, Jessie. Także i ten, że David junior jest do szaleństwa zakochany w Gigi. Ponieważ są w tym samym wieku, z równym powodzeniem mógłby kochać się w Jeanne Moreau. Przysięgam jednak, że nic ci nie powiem, więc obiecaj, iż będziesz udawać, że nic nie wiesz, dobrze?

- Hmmm...

- Ale ponieważ jest taki przystojny, Gigi zgadza się jednak, żeby się z nią przespał.

- Co?!

- Wiedziałam, że zmuszę cię do żywszej reakcji. - Billy roześmiała się, widząc wyraz twarzy Jessiki, a Jessica, słysząc jej śmiech, uspokoiła się. Jeśli Billy jest w stanie stroić z niej żarty, wszystko powoli wraca do normy.

- Co zamierzam ze sobą zrobić? Zadajesz sobie to pytanie, co?

- Przyszło mi to na myśl - powiedziała Jessica z łagodną zachętą w głosie.

- Posłuchaj tego - rzekła Billy: - „Trzeba po prostu żyć, nawet gdy jest zupełnie źle i nie ma wyjścia. Jedyna rzecz, którą można zrobić, to... wytrwać do cholernego końca”. Czy to zła rada?

- Jaka rada? Jak żeglować po Amazonce?

- To rada, którą otrzymał F. Scott Fitzgerald, kiedy miał kłopoty z powieścią Czula jest noc. Myślę, że da się zastosować do wszystkiego, z wyjątkiem jedzenia czekoladowego ciasta. Mam zamiar z niej skorzystać i

wytrzymać do końca.

- Co wytrzymać?

- Życie. Dobrze wiesz, o czym mówię - powiedziała Billy z brawurą, niemal piskliwie. - Zamierzam udawać, że jestem nieprzyzwoicie bogatą, nie najbrzydszą, wolną i jeszcze młodą kobietą, która może kupić prawie wszystko na świecie, czego zapragnie. Zamierzam kupować domy w stosownych miejscach, spotykać się z odpowiednimi ludźmi, sypiać z odpowiednimi facetami, wydawać odpowiednie przyjęcia, dać się fotografować w odpowiednich miejscach w odpowiednich porach roku. - Przerwała, spojrzała badawczo na wyraz twarzy Jessiki i mówiła dalej: - Niewielu ludzi będzie wiedzieć, że całkiem spieprzyłam sobie życie, bo od tej chwili odmawiam przykładania ręki do swojego upadku. To, co ludzie o nas myślą, zależy ostatecznie od tego, do czego się przyznajemy, a od tej pory nie zamierzam przyznawać się do niczego, co nie wygląda, nie pachnie i nie brzmi jak zwycięstwo.

- Ładne rzeczy - mruknęła Jessica.

- No, co o tym sądzisz? - zapytała Billy, a w jej głosie znać było skrepowanie, bunt i lekkie przerażenie.

- Dlaczego mnie pytasz? Taka tryumfatorka nie potrzebuje mojej rady.

- Naprawdę tego chcę, Jessie. Naprawdę zamierzam zrobić to, co powiedziałam, bo muszę przecież mieć jakiś plan, a tylko taki plan nie skrzywdzi nikogo oprócz mnie. Wiem, że nie jest to dobry sposób, żeby dostać się do nieba...

- W istocie wystarczą tylko trzy spośród siedmiu grzechów głównych - powiedziała z namysłem Jessica. - Pożądliwość, chciwość i pycha.

- A pozostałe?

- Według świętego Tomasza z Akwinu zazdrość, łakomstwo, lenistwo i gniew, choć nie wiem, kto dał mu prawo... ale, jeśli spojrzeć pod tym kątem, to i tak jesteś nieco bliższa aniołom.

- Nie mam nic przeciwko temu, by popełnić sześć spośród siedmiu możliwych. Z pewnością nie mogłabym pozwolić sobie na łakomstwo... chcę po prostu znaleźć jakieś wyjście z marazmu, w który popadłam, a światowe życie to jedyna rzecz, która przychodzi mi do głowy. Wiem, że powinnam poświęcić się dla dobra ludzkości, ale nie mogę oszukiwać się: nie wytrzymałabym długo... Dałam Joshowi wolną rękę, żeby robił to za mnie. On wie najlepiej, kto potrzebuje pieniędzy.

Co z Gigi?

- Pogadałyśmy sobie. Nie chce iść do college'u i nie mam do niej o to pretensji. Ja też nie byłam w college'u i nie mam prawa jej zmuszać. Bardzo chce usamodzielnąć się tak szybko, jak się da, więc znalazła sobie pracę na najniższym stanowisku w najlepszej nowojorskiej agencji organizującej przyjęcia. Nazywa się to „Kraina Obfitości”. Poleciała ją tam Cora Middleton. Chciałabym, rzecz jasna, trzymać ją krótko, żeby nigdy nie oddalała się ode mnie, ale oficjalnie muszę na to przystać, biorąc pod uwagę możliwości Gigi.

- Gdzie będzie mieszkać?

- Wynajęłam jej mieszkanie w budynku strzeżonym najlepiej, jak się da... Zamieszka z dziewczyną, która nazywa się Sasza Nevsky. Sasza jest bardzo dojrzała i odpowiedzialna. Ma dwadzieścia dwa lata. Jej matka przyjaźniła się z matką Gigi. Wszystko omówiłam z panią Nevsky przez telefon... Była zachwycona, bo Sasza mieszkała do tej pory w domu bez

windy, w podejrzanej okolicy. Teraz obie dziewczyny będą mieszkać o krok od ciebie, więc Gigi czasami wpadnie po radę. Na wakacje może przyjechać do mnie albo ja przyjadę do Nowego Jorku, żeby ją odwiedzić.

- Skąd, na litość boską, przyjedziesz? Dlaczego twoje światowe życie nie zacznie się na Manhattanie? - zapytała Jessica, poważnie zaniepokojona po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia rozmowy.

- Chcę trochę pomieszkać poza Stanami, Jessie - powiedziała powoli Billy.

- Och, Billy, nie wyjeżdżaj - prosiła Jessica. - Dlaczego chcesz opuścić Nowy Jork?

- Ach, przestań. Chcę zacząć wszystko od nowa, a w Nowym Jorku to się nie uda. Nic tu po mnie. Wszyscy wiedzą o mnie wszystko... Rozumiesz, prawda?

- Niestety, tak.

- Nie będę dalej niż wtedy gdy mieszkałam w Kalifornii - powiedziała Billy, starając się z całych sił, by brzmiało to przekonująco. - Przynajmniej na razie. Paryż czy Los Angeles - to te same trzy tysiące mil.

- Z Paryża! Nie zamierzasz wrócić do Paryża?! Wilhelmino Hunnenwell Winthrop, nie wierzę własnym uszom!

- Francuski to jedyny język obcy, jaki znam, a poza tym mam tam jeszcze różne sprawy do załatwienia.

- Założę się, że wiem, jakie.

- Och, Jessie, nie wiesz wszystkiego. Wiesz prawie wszystko. Och, może i masz rację, wyjechałam z Paryża z podkulonym ogonem, kiedy byłam jeszcze biedna i nikt mnie nie chciał, a teraz kusi mnie powrót w wielkim stylu... Jeśli chce się spróbować światowego życia, trzeba go

szukać tam, gdzie od setek lat wiedzą, jak je prowadzić, czyż nie tak?

- Przypuszczam, że to pomysł Cory?

- Jest przerażona. Chciała, żebym została tutaj, tak jak ty.

- Och, Chryste! Znowu zostaję sama. Jakby nie było dość, że jestem kobietą bez rozmiaru.

- Co?

- Najpierw zabrakło rękawiczek na mój rozmiar - poskarżyła się drobniutka Jessica. - A może biustonoszy. To było tak dawno, że już nie pamiętam. Nikt już nie nosi miseczek w rozmiarze 34A, za to mogę ręczyć. Potem majtki... przestali produkować majtki na czwórkę. Bez uprzedzenia, więc nie zdążyłam zrobić zapasów. Nie wspomnę już o butach. Przestali projektować buty numer pięć dla dorosłych już dawno temu i nawet skarpetki do tenisa kupuję w sklepach dziecięcych. W ubraniach dawna ósemka nazywa się teraz czwórką albo szóstką. Nie uwierzysz, jakie rachunki płacę za przeróbki. Zastanawiam się, czy to ja się kurczę, czy może dyskryminuje się niebiańsko delikatne kobiety? Jedyłą rzeczą, którą mogę dostać w swoim rozmiarze są okulary do czytania. Można być zbyt bogatym... jak ty, lub zbyt chudym... jak ja... ale okularów do czytania wystarczy zwykle tylko jedna para. Przestali produkować szminkę w moim ulubionym kolorze i mój ulubiony tusz do rzęs... O, idą dzieci.

- Jeżeli wspaniałego chłopaka wzrostu metr osiemdziesiąt można nazwać dzieckiem! Cóż to wyśpiewuje David junior?

- Swoją nową odę do Gigi na melodię Znam już jej twarz. Znam już jej buty, jej obcasy, jej podeszwy, jej ranne pantofle, tak dobrze już znam, rozwiewa się jej tajemniczy czar, znów przyszedł czas, bym cipkę nową

sobie wziął, bo znam już jej buty... Słodkie, prawda? Nawet jeśli nie ma w tym ani rymu, ani rytmu - zaśpiewała Jessica wysokim, czystym sopranem, rozkoszując się zemstą za żart Billy na temat Gigi i Davida.

- Jessica! Cipkę? Jak on śmie? Skąd zna takie słowa? Gigi nie powiedziała mi, że się z nim przespała, ale nie powiedziała też, że tego nie zrobiła - zasyczała Billy.

- I myślę, że nie dowiemy się nigdy, co?

- Matki synów to straszne mieszczki!

- Mam i córki, o które muszę się martwić.

- Nie trać czasu na zmartwienia - spoważniała nagle Billy. - To nic nie pomoże. Do tego, o co się martwisz, wcale nie dochodzi, po czym okazuje się, że byłoby lepiej, gdyby doszło, bo to, co naprawdę się stało, jest dużo, dużo gorsze.

* * *

Sasza Nevsky siedziała na podłodze wśród na wpół spakowanych walizek, oddając się ponurej rozpaczycy i przeczuciu nieszczęścia. Miała wiele powodów, by nie opuszczać swojego mile zagraconego mieszkania bez wygód, z oknami wychodzącymi na zaniedbaną uliczkę w bok od West End Avenue. O Boże, zmusza się ją, by opuściła swój azyl i przeniosła się na drugi koniec miasta do nowo umeblowanego, luksusowego apartamentu w najlepszej części East Side. Apartamentu, który ma dzielić - dzielić! - z Gigi Orsini, młodszą od niej o prawie cztery lata dziewczyną, którą ledwie pamiętała jako zasmarkane stworzenie z furą okropnych włosów, z dziewczyną, która wyglądała tak, jakby długo jeszcze musiała czekać, zanim dojrzeje. Sasza dobrze wiedziała, że matka sprzedała ją Billy Ikehorn za cenę czujnych portierów pracujących na

okragło, drzwi, przy których warował strażnik, i windy obsługiwanej nie za pomocą guzików, lecz przez prawdziwych, żywych windziarzy. Przyjdzie rozstać się z wolnością, z bezcenną, ciężko wywalczoną wolnością, tak niezbędną w jej skomplikowanym życiu, tylko dlatego, że jej matka chce, by zamieszkała w lepszej dzielnicy i w bezpiecznym budynku.

Sasza niechętnie przyjmowała do wiadomości fakt, że gdy jej matka Tatiana Orloff-Nevsky, ta zwariowana terrorystka, wbiła sobie coś do głowy, żaden członek rodziny nie śmiał się sprzeciwić. I tak nie było łatwo uzyskać zgodę, by mogła zamieszkać sama, więc nadal nie protestowała głośno z uwagi na szczególny charakter swojej pracy. Matka była przeciwna temu zajęciu przez blisko rok, aż wreszcie poddała się i pozwoliła, by Sasza rozwinęła swój talent, przypominając jej jednak regularnie, że udzieliła zgody tylko na czas określony.

Jak to możliwe, że ta drobna, jasnooka kobieta ma taką siłę, że potrafiła tak długo uniemożliwiać rozwój zdolności swojej własnej córce? - zastanawiała się Sasza. Co sprawiało, że jej matka dzierżyła niekwestionowaną i absolutną władzę w szerokich kręgach rodziny? Gdyby Sasza mogła pojąć, jakież to niewidoczny, lecz niewątpliwy autorytet moralny sprawia, że jej matka niepodzielnie przewodzi sześciu rodzinom, z których każdą rządzi jedna z jej pięciu młodszych sióstr z rodu Orloff, postarałaby się odnaleźć go w sobie, rozwinąć i zawładnąć światem.

Układając rajstopy według kolorów, Sasza ponuro dokonywała w myślach przeglądu całego swojego dwudziestodwuletniego życia. Wśród Nevskych była wyrzutkiem, zakałą całego blisko ze sobą związanego

rosyjsko-żydowskiego klanu sióstr Orloff, jedyną wśród stada utalentowanych kuzynek, która nie umiała śpiewać, odgrywać różnych ról, grać na instrumentach muzycznych i - o zgrozo! - nawet tańczyć. Nie umiała stepować, nie miała pojęcia o balecie, nie znała najprostszych kroków, nie miała wyczucia pieprzonego rytmu, w rodzinie, w której dzieci tuż po narodzeniu mogły tańczyć solo w Jeziorze Łąbędzim.

Najgorsze były rodzinne spędy w Święto Dziękczynienia, stwierdziła Sasza. Musiała siedzieć, nienawidząc samej siebie - swojego wzrostu, chudości, beztalencja - i wysłuchiwać opowieści o musicalach przeszłych, teraźniejszych i przyszłych, na Broadwayu i gdzie indziej, o wznowieniach i tournée, bo stare musicale były wiecznie żywe. Gdy skończyli już z opowieściami o musicalach, wysłuchiwała nie kończących się opowieści o swoich kuzynkach, o ich próbach, recitalach, sukcesach w szkołach baletowych i muzycznych, o nadziejach i planach ciotek, rozmyślając, co zrobi ze swoim życiem, bo wynikami w nauce też nie mogła się pochwalić. Jej wrodzona inteligencja i bystry umysł nie zaowocowały nigdy dobrymi stopniami, które zyskałyby jej jakiś szacunek.

Wiedziała, co myślą o niej pozostali członkowie rodziny. Litowali się nad nią we właściwy sobie hałaśliwy i życzliwy sposób, jeśli w ogóle raczyli ją zauważać. Była w rodzinie brzydkim kaczątkiem, nieszkodliwą nieudacznicą, jedynym błędem Tatiany, ignorowanym i nieistotnym, stworzeniem pozbawionym ikry właściwej barwnemu gronu Orloff-Nevskych. Wpatrywała się w lustro i powtarzała sobie, że nie wygląda źle, lecz z chwilą, gdy znalazła się w kręgu Orloff-Nevskych, czuła się tak skrepowana, że usiłowała być niewidoczna, chowając się w jakimś kącie. Jeśli miała jakiś powab, skrywała go, kuląc ramiona i garbiąc się, starając

się wyglądać na tak małą i niepozorną, jak się dało. Z właściwym intruzowi instynktem przybierała barwy ochronne. Wiedziała, że jeśli ktoś z rodziny zauważy z jej strony choćby najmniejszy przejaw chęci podobać się, stanie się to najważniejszym wydarzeniem dnia, komentowanym z nadmiarem życzliwego zdziwienia, słów zachęty i rad. Jedynie pełna miłości stała troska jej wspaniałego starszego brata Zacharego - obdarzonego wieloma talentami chłopca o pięć lat starszego od niej - pozwoliła Saszy zachować poczucie własnej wartości przez wszystkie te lata, które zadecydowały o jej rozwoju.

Dopóty... dopóki - znacznie później niż to zwykle bywa - nie wyrosła na kobietę obdarzoną wspaniałymi walorami. Może klan Orloff-Nevskych, płaskich jak deski chudzielców o dobrze umięśnionych nogach tancerek i giętkich grzbietach, uważał, że para cyków o doskonałych kształtach, niezwykle subtelnie zaokrąglony tyłek i szczupłutka talia nie stanowią zalet, ale inni ludzie byli o tym przekonani i w dodatku chcieli za to płacić. W ten sposób Sasza Nevsky, niegdyś beznadziejnie tępy chudy wyrzutek, została najwyższej klasy modelką prezentującą bieliznę na Siódmej Alei.

Najwyższa klasa. Prezentacja bielizny to najlepszy teatr, na jaki mnie stać - pomyślała Sasza. Gdyby znalazł się następca Ziegfielda, byłaby u niego gwiazdą, bo poruszała się niczym bogini. Sasza Nevsky zadumała się, myśląc o sobie - jak zwykle - jak o kimś obcym. Poruszała się z natchnieniem, którego nie nauczyłyby jej żadne lekcje tańca. Poruszała się w sposób naturalnie wyzywający, seksownie i z godnością, tak jak potrzeba, by demonstrować kosztowne majteczki, biustonosze, kompleciki i nocne koszulki produkowane przez „Braci Herman” i sprawiać, że w

szybkim tempie opuszczały firmę i lądowały w sklepach i butikach całej Ameryki.

Fakt, że firma „Braci Herman” istniała od prawie stu lat i była jedną z najbardziej solidnych i poważanych firm produkujących bieliznę w Stanach Zjednoczonych, nie wystarczyło, by jej matka nie uważała tej pracy za formę białego niewolnictwa. Trzeba było wizyty w imponującej siedzibie firmy i długiej rozmowy z panem Jimmym, synem jednego z jej założycieli, rześkim, siwowłosym bon vivant i właścicielem interesu, człowiekiem znanym ze swojej życzliwości i łagodności, by Tatiana Nevsky pozwoliła jej podjąć pracę, w której dostawała miesięczną pensję równą uposażeniu aktorów. Co ważniejsze, płacono regularnie.

Sasza pracowała dla pana Jimmy’ego już ponad rok i to samo wycucie, które służyło jej podczas pokazów u „Braci Herman”, towarzyszyło jej także w codziennym życiu. Prostowała się na wysokość swoich stu siedemdziesięciu trzech centymetrów, przeginając wspaniałe ramiona, i nauczyła się tyle, ile trzeba wiedzieć o włosach i makijażu, by wydobyć naturalne piękno. Z wielką starannością kupowała też takie ubrania, o jakich zawsze marzyła oglądając żurnale. Jednak swojej drugiej twarzy nie pokazywała nigdy na rodzinnych przyjęciach, bo widok tak złowróżbnej przemiany w niepozornej, lecz na szczęście niewinnej i nie skalanej córeczce potwierdziłby tylko obawy matki o zepsuciu świata modelek reklamujących bieliznę.

Teraz jednak, myślała Sasza, gdy miała już doskonałą pozycję w niezbyt czasochłonnej pracy, gdzie towarzystwo było miłe, a plotki wspaniałe i pouczające, gdy wreszcie udało jej się ozdobić ponure mieszkanko roślinami, gdy zamierzała rozbudować szafy, gdy kot Marcel

przywykł do otoczenia, a trzech ulubieni adoratorzy mieli ściśle wyznaczony czas w jej napiętym planie, ją, Saszę Nevsky - istny cud - wrywano z korzeniami i przesadzano w miejsce tak eleganckie, że w pobliżu nie było nawet stacji metra.

Może oczywiście dojeżdżać autobusem i przesiadać się na Ósmej Alei, może nawet jeździć taksówką, lecz z zapalem oszczędzała pieniądze, by pewnego dnia otworzyć swój własny sklep z bielizną. Jeżeli jest coś, o czym Sasza Nevsky ma jakiegokolwiek pojęcie, to właśnie o tym, co kobiety pragną nosić pod ubraniem.

Nie umie tańczyć, ale może się założyć, że w handlu ma przed sobą wielką przyszłość. Może też dać głowę, że Gigi Orsini nosi białe bawełniane majtki i nie potrzebuje nawet stanika. Jasne, że przy takiej macosze jak Billy Ikehorn ta nijaka niunia, którą zapamiętała, wyrosła pewnie na zepsutą, zarozumiałą gówniarę. I na pewno jest jeszcze dziewczicą.

* * *

Gigi pobieżnie obejrzała nowe mieszkanie, otwierając i zamykając kredensy z obrusami, porcelaną i szkłem, pełne obcych naczyń, w tym - srebrnej zastawy dla dwunastu osób i kompletu do herbaty firmy Limoges. Zapasy wypełniały wszystkie półki w kuchni, a lodówka pękała w szwach. Co też ta Billy wymyśliła? Czy sądzi, że będą tu wydawać prośzone kolacje?

Gigi czuła się bardziej jak złodziej, który zamelinował towar, niż jak praworządny lokator. Zeszłej nocy, kiedy odprowadziła Billy na samolot do Paryża, zasnęła na jednym z dwóch łóżek w sypialni i wydawało się jej, że jeszcze w żadnym miejscu nie było tak cicho, a wiedziała przecież, że

budynek jest strzeżony jak harem w okresie rozkwitu imperium Otomańskiego. Zdała sobie sprawę, że pierwszy raz w życiu była w nocy sama, zupełnie sama, i zastanawiała się bez entuzjazmu, kiedy pojawi się Sasza Nevsky.

Od czasu kiedy widziały się ostatnio, musiało upłynąć chyba pięć lat, pomyślała Gigi, wspominając swoje dawne życie. Nie pamiętała, czy rozmawiały ze sobą, bo dzieląca je różnica prawie czterech lat była nie do pokonania. Pamiętała jednak Saszę - cichą, wyraźnie skrepowaną, chorowitą, inną niż niesłychanie atrakcyjne i żywo ze sobą rywalizujące pozostałe siostry Orloff.

Dobrze że Sasza była cicha i niepozorna, to pożądane u współlokatorki, skoro już Billy postanowiła, że nie pozwoli jej mieszkać samej w Nowym Jorku. Gigi włożyła najbardziej wyświechtane dzinsy i podkoszulek oraz najstarsze i najbrudniejsze tenisówki, żeby nie onieśmielać lękliwej dziewczyny żadnym z olśniewających nowych strojów, które kupiła jej Billy przed wyjazdem do Paryża. Jednak miłość własna kazała Gigi umalować rzęsy mocniej niż zwykle i zadbać o kolor włosów, bo to Nowy Jork, a Sasza Nevsky, choć tak bezbarwna, jest przecież jego mieszkanką.

Współlokatorka powinna być niewidoczna... ledwie obecna... niczym cień... obojętny duch, który pozostawia cię w spokoju, tak jak ty jego, ktoś, kto ze wzajemnością szanuje twoją prywatność. W 1980 roku skłanianie dwu obcych sobie dziewcząt do wymuszonej intymności wspólnego mieszkania było dziwacznym anachronizmem. Łączyła je tylko osoba matki Gigi, Mimi O'Brian, która była niegdyś przyjaciółką Tatiany Nevsky. Raz w roku pani Nevsky dzwoniła do Gigi do Kalifornii, żeby

zapytać, jak jej się wiedzie.

Gigi z niezadowoleniem pokręciła głową. Była przekonana, że wybierając Saszę Nevsky na jej współlokatorkę Billy chciała zapewnić Gigi opiekę. Mimo iż Billy ze zrozumieniem traktowała fakt, że chce pracować, i znalazła jej odpowiednie mieszkanie, zainstalowała w nim Saszę Nevsky, której na pewno poleciła opiekować się nią, tylko dlatego, że Sasza była od niej starsza. Kto wie? Może Sasza będzie donosić Billy o każdej randce Gigi. Jeśli tylko ktoś się z nią umówi... Na szczęście mieszkanie jest tak duże, że mają oddalone od siebie sypialnie i łazienki. Musi wymyślić jakiś sposób, by trzymać Saszę Nevsky na dystans.

Ponieważ nie spodziewała się Saszy wcześniej niż za godzinę i nie miała nic innego do roboty, zdenerwowana zrobiła pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy w nienaturalnie nowym mieszkaniu. Przygotowała własnego przepisu ciasto na słodkie herbatniki z gorzką czekoladą i włożyła je do nowego piekarnika. Gdy starała się zbadać zawartość lodówki, ostro zadźwięczał dzwonek. Podskoczyła na ten dźwięk i, wytarłszy ręce w fartuch, poszła otworzyć drzwi, przybierając głęboko sceptyczny wyraz twarzy.

- Słucham panią? - zwróciła się z irytacją do stojącej w drzwiach olśniewającej brunetki, wysokiej, imponującej istoty o przerażająco eleganckim wyglądzie. Jej czarne włosy były wysoko upięte. Miała na sobie wspaniale dopasowany czarny kostium, a na twarzy wyraz podejrzliwości. Współczesna wersja dziewczyny Gibsona, bujnej edwardiańskiej piękności, niecierpliwie tupiała nogą w pantofelku na wysokiej szpilce. Na rękę trzymała olbrzymiego białego angorskiego kota.

- Czy tu mieszka Gigi Orsini?

- Dlaczego pani pyta? - zdziwiła się Gigi, zerkając na nią spod puszystej grzywki.

- Mieszka czy nie? - zapytała Sasza.

- A kim pani jest?

- Sasza Nevsky. - Rozpoznając znajome rysy w twarzy intruza, Gigi zrozumiała, że to prawda. Dziewczyna zadzierała nosa. Jej wydatna górna warga wyginała się w grymasie przyrodzonej wyższości, a niemodne gęste brwi nadawały twarzy wyraz niezłomnej odwagi.

- Jestem Gigi - przyznała niechętnie.

- To niemożliwe - powiedziała obojętnie Sasza.

- To ja - potwierdziła ze złością Gigi.

- Udowodnij to. Podaj panięskie nazwisko mojej matki.

- Stalin. A ty jesteś tak samo nieznośna jak ona.

- Może jakoś się dogadamy - zaśmiała się Sasza, wkraczając do mieszkania bez zaproszenia. - Jeżeli lubisz koty.

- Nikt nie wspominał nic o kotach - prychnęła Gigi. - O kotach nie ma nic w umowie.

- Jasne, że nie ma. Te dwie bezkarne konspiratorki, moja matka i twoja macocha, zgodziłyby się na nasze wspólne mieszkanie nawet gdybym przyprowadziła ze sobą małe zoo. Masz szczęście, że to tylko mój śliczny malutki koteczek.

- Ha! Ta bestia jest wielka jak pies i łązi tu jak po własnym domu.

- Koty zawsze przywiązują się do miejsca. Na imię mu Marcel.

Gdzie farbujesz włosy?

- Sama farbuję... Woda utleniona i grzebień.

- Są cudowne. Myszkę też farbujesz?

- He?

- Włosy łonowe, żeby chłopcy myśleli, że masz naturalne rude włosy.

- Nie... ale będę... do diabła! Powinnam była o tym pomyśleć. Przecież to cholerna wpadka!

- Więc nie jesteś dziewicą?

- Jasne, że nie - zaprzeczyła oburzona Gigi. - A ty?

- Moja droga - odparła wyniośle Sasza. - To żalosne, że próbujesz znieważać Wielką Ladacznicę Babilońską.

- Super! Idealna opiekunka. Czy to twój zawód? Robisz to dla pieniędzy?

- Nie. Z powołania.

- Skąd wiesz, że jesteś w tym taka dobra?

- Moje recenzje... same zachwyty. - Sasza usiadła i gestem łaskawej pani domu pozwoliła Gigi usiąść. - Gdyby te recenzje wydrukowano, Sasza Nevsky byłaby światową sławą. Mój Boże! Marcel uwielbia cię! Nigdy tego nie robi!

Gigi spojrzała na długowłose stworzenie, które wskoczyło na jej okryte fartuchem kolana. Jego mruczenie wydało jej się nie tyle przyjazne, ile ostrzegawcze. Miała tylko nadzieję, że nie jest uczulona na kocią sierść.

- Ilu facetów trzeba mieć, żeby zostać Wielką Dziwką?

- Trzech. Zawsze trzech. Ni mniej, ni więcej. Trzeba dobrze znać granice. W przeciwnym razie można być tylko zwykłą dziwką.

- Trzech naraz?

- Ależ, Gigi! Jednego po drugim. I niejednej nocy. Każdy ma dwie noce w tygodniu. W niedziele śpiam sama.

- To oznacza aktywne życie seksualne, ale na czym dokładnie polega to, że jest się Wielką Dziwką, a nie zwykłą kurwą albo dupodajką? - zapytała zafascynowana Gigi.

- Stosunek do sprawy. Na tym polega istota rzeczy. To kwestia idei. Sama ustanawiam reguły. Jestem kapryśna, rządzę jak chcę. Nawet wtedy, gdy jestem wyjątkowo uprzejma i łaskawa, grymaszę i stroję fochy.

- Niestąła, zmienna, wybuchowa, może nawet... okrutna? - podsunęła Gigi.

- Trafiłaś - przytaknęła z aprobatą Sasza. - Gigi, mężczyźni muszą cierpieć. To trzy kluczowe słowa. Zapamiętaj je. Bez nich będziesz tylko jeszcze jedną dziewczyną, bardzo fajną, przyznaję. Powiem nawet, że więcej niż fajną. Niezwykłą. Wyjątkową, ale tylko dziewczyną. Wielka Dziwka nie może przegrywać. Co tak cudownie pachnie?

- O, do licha! Zapomniałam! - Gigi poderwała się i pomknęła do kuchni w samą porę, by uratować ciasteczka. Zaciekawiona Sasza poszła za nią, a Marcel wskoczył na kuchenny stół i zastygł w znaczącej pozie nad blachą do ciasta.

- Zjemy je, kiedy wystygną - powiedziała Gigi.

- Powinam była się domyślić. Marcel przylgnął do ciebie, bo zorientował się, że pieczesz ciasteczka. Zastanawiam się... hmmm... robisz je z ciasta w proszku?

- Z ciasta w proszku? Słuchaj, Sasza, może wiesz wszystko o tym, jak zostać Wielką Dziwką, ale nie potrafisz odróżnić domowego wypieku na pierwszy rzut oka. Tak się składa, że jestem świetną kucharką, a mówię ci o tym dlatego, że ty też nie jesteś zbyt skromna.

- Naprawdę świetną?

- Jedną z najlepszych.

- Świetna kucharka, która posiadzie sztukę Wielkiej Dziwki, może stać się Superdziwką - powiedziała z namysłem Sasza. - Jeżeli nauczysz mnie gotować, nauczę cię, jak być dziwką... są miliony ważnych rzeczy, do których sama nie dojdiesz, ale będziesz musiała postarać się o jakieś przyzwoite ciuchy.

- Mam przyzwoite ciuchy. Włożyłam te stare szmaty, żeby cię nie onieśmielać.

- Może nie umiem tańczyć, Gigi, ale mówisz do urodzonej Nevsky i córki rodu Orloff. Nic nas nie onieśmiela.

- Zauważyłam - odparła Gigi. - Tak mi się powiedziało.

- Lubię cię - stwierdziła Sasza. - A gdy kogoś polubię, to na dobre. Nie będziesz przeze mnie cierpieć.

- Ja też cię lubię - odpowiedziała Gigi, obejmując ramionami talię Saszy i całując ją.

- Może być fajnie - powiedziała Sasza.

- Już jest fajnie - zauważyła Gigi. - Czy twoje ofiary nie mają jakichś kolegów dla mnie? Zmarnowałam mnóstwo czasu, zanim cię spotkałam.

Może, pomyślała, kiedyś w przyszłości zaprzyjaźni się z Saszą na tyle, by zwierzyć się jej z historii z Quentinem Browningiem i z ran, które nosi w sercu. Gdy wyjechał, Gigi stwierdziła, że zniknęła gdzieś jej głęboka wiara w siebie, poczucie własnej wartości. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że je posiada, dopóki go nie straciła. Była przekonana, że sama prosiła się o kopniaka, którego dostała, że doigrała się, oddając się nieznanemu bez użycia broni, którą powinny posługiwać się dziewczyny. Oddała się bez udawania, wzbraniania się, wstydu. Bez

flirciarskich sztuczek, których uczą filmy, a nawet uniwersytety. Dosłownie rzuciła się na niego tej pierwszej nocy, przyssała się do Quentina jak pijawka, aż w końcu doprowadziła do tego, że pokazał jej jak mało dla niego znaczy, jak mało ma dla niej szacunku. Nie, nie była dziewczicą i chciała nauczyć się wszystkiego, co się da, o tym, jak sprawiać mężczyznom ból, ale nie wyobrażała sobie, że mogłaby znowu im zaufać. Będzie Wielką Dziwką, nawet nie uprawiając seksu. Wszystko, jak to ujęła Sasza, polega na stosunku do sprawy. Właśnie dostała nauczkę. Może zbyt wcześnie, ale przyda się na przyszłość. Jej motto pozostaje bez zmian. Niczego nie żałuje.

* * *

Na Boże Narodzenie 1980 roku Billy wróciła do Nowego Jorku, by spędzić święta z Gigi. Zaproszono ją do Nevskych na skromny rodzinny obiad z udziałem tylko dwóch tuzinów gości i stwierdziła, że miała szczęście, wybierając poważną, skromną i małomówną Saszę Nevsky na współlokatorkę Gigi. Dziewczyna miała zadatki na olśniewającą piękność, ale nie miała, niestety, pojęcia o swoich zaletach. Wyglądała tak nieefektywnie, że łatwo było przeoczyć ją w barwnym tłumie kuzynek. Sasza trzymała się na uboczu, podskakując i mrużąc coś niewyraźnie, ilekroć Billy usiłowała nawiązać z nią rozmowę. Lgnęła do Gigi i traktowała ją jak autorytet, nawet w obecności własnej rodziny, która przyjęła Gigi niczym adoptowaną Orloff-Nevsky. Taka bezbarwna, niesamodzielną współlokatorka jest znacznie lepsza dla Gigi niż jakaś nowojorska wyjadaczka. Według Billy im później Gigi dorośnie, tym lepiej.

Billy powęszyła w mieszkaniu, zadając zawoalowane pytania, by

wybadać, jak mają się sprawy z chłopcami, ale wyglądało na to, że obie dziewczyny szczęśliwie trwają w wieku niewinności, rozciągającym się między ostatnią wizytą u pediatry i pierwszą wizytą u ginekologa po zapas tabletek antykoncepcyjnych. Ponieważ Marcel przyprawił Billy o atak alergicznej wysypki, nie mogła wrócić i przeprowadzić bardziej szczegółowej inspekcji. Była jednak zadowolona, że Gigi uczy się tak wiele w „Krainie Obfitości”, a praca Saszy, która polega, zdaje się, na prowadzeniu księgowości w sklepie z bielizną przy Siódmej Alei, całkowicie ją pochłania. Poza tym obie dziewczyny utrzymywały mieszkanie w idealnym porządku. Wyglądało prawie tak, jakby nikt nigdy w nim nie sypiał.

Z początkiem 1981 roku, zaraz po Nowym Roku, Billy wróciła do Paryża, gdzie zajmowała obszerny czteropokojowy apartament - luksusową przestrzeń wielką jak dom - na drugim piętrze hotelu Ritz, apartament, w którym książę i księżna Windsoru mieszkali tak często, że wziął od nich swoją nazwę. Billy zwinęła się w kłębek na jednej z różowych pokrytych adamaszkiem sof w ulubionym z dwóch salonów, myśląc, że dojrzała do tego, by rozpocząć poszukiwanie domu. Płonące jasnym płomieniem zadbane kominki Ritza były, mimo całego ciepła, kominkami hotelowymi. Rozstawione wszędzie kwiaty miały bogatą, lecz sztywną bezosobowość hotelowych kwiatów. Atmosfera pokoi, przytulnych i pachnących, niczym wewnątrz wielkiej mufki, była mimo wszystko atmosferą hotelu, jednak udało się jej odcisnąć na nich swoje piętno. Na stoliku leżały jej pióra, notatniki i notesy z telefonami, ulubione zdjęcia Gigi, Dolly i Jessiki stały w ciężkich srebrnych ramach na kominku i krawędziach stołów. Wszędzie piętrzyły się książki, pisma i

gazety. Blask ognia odbijał się w jej wypolerowanych paznokciach, rzucał głęboki, niemal zielonkawy refleks na długi sznur czarnych pereł, które właśnie zdjęła z szyi i leniwie obracała w palcach, ale to nie był prawdziwy dom. Skończyło się Los Angeles, skończył się Nowy Jork. Trzeba stworzyć nowy dom w Paryżu.

Na szczęście była w Paryżu Cora Middleton. Przyjechała wczoraj, żeby uregulować jakieś kwestie prawne, związane z majątkiem jej męża, i kiedy zadzwoniła, Billy zaprosiła ją na herbatę. Cora zaofiarowała się znaleźć Billy pośrednika handlu nieruchomościami.

- Tylu ich jest - powiedziała Cora - że nie sposób odróżnić dobrych od złych, ale na szczęście znam kogoś, komu ufam bezgranicznie. Nazywa się Denise Martin i jeśli chcesz, mogę cię z nią skontaktować. Kiedy kupuje się coś lub sprzedaje, najlepiej mieć tylko jedną agentkę. Jeśli dowie się, że ma trzech konkurentów, którzy także szukają dla ciebie domu, nie będzie się starać tak jak wtedy, gdy będzie mieć pewność, że polegasz tylko na niej. Ponieważ jesteś poważną klientką, jedna pośredniczka pokaże ci wszystko, co tylko jest na rynku, nawet jeśli będzie musiała podzielić się prowizją z innym agentem. Jeśli o nią chodzi, będzie wolała pracować, licząc na pięćdziesiąt procent pewnego zysku niż na niepewne sto procent.

W ciągu następnych tygodni, gdy wraz z Denise Martin przeczesywały Siódmą Dzielnice, Billy przekonała się, że Cora dała jej, jak zwykle, doskonałą radę. Ten stary arystokratyczny rejon Faubourg Saint-Germain na Lewym Brzegu stanowił jedyną część Paryża, w której Billy chciała zamieszkać. Jak Madame de Stael, która powiedziała niegdyś, że chętnie odda swój piękny dom na wsi i widok szwajcarskich

gór za „śmietnik ulicy du Bac”, Billy uważała, że Siódemka stanowi jedyną szansę wtopienia się w tajemniczy, dobrze strzeżony urok Paryża, w którym żyła jeszcze historia. Jednak niewiele było tam domów prywatnych i sprzedawano je po znajomości. Nigdy nie pojawiały się na wolnym rynku. Wiadomo było, że ludzie, których przodkowie żyli w Faubourg Saint-Germain na długo przed panowaniem Ludwika XV, całe dziesiątki lat czekają z utęsknieniem na choćby małe mieszkanie w Siódemce.

Mimo to nie upłynęły nawet dwa miesiące, jak Denise posłyszała plotkę o *hôtel particulier*, którego właściciel właśnie zmarł. Była to rezydencja przy ulicy Vaneau. Żadnego z półtuzina spadkobierców nie było stać na jej wykup i zatrzymanie jej dla siebie. Nie był to żaden pałac, ledwie dwadzieścia pokoi, ale właściciele żądali takiej sumy jak za pałac - ośmiu milionów dolarów. Kilka dni później, po obejrzeniu domu przy ulicy Vaneau, Billy znalazła się w obskurnym biurze w towarzystwie notariuszy, z których jeden występował w jej imieniu, drugi zaś w imieniu właścicieli, oraz dwu pośredników handlu nieruchomościami, bezskutecznie skrywającymi swoją nadgorliwość.

Zakup nieruchomości był jedną z dziedzin, w której z biegiem lat Billy stała się doświadczoną, nieugiętą kobietą interesu. Mimo iż nigdy przedtem nie dobijała targu, dopóki Josh Hillman nie zajął się stroną prawną transakcji, znała kolejne stadia procesu kupna i szczyła się tym, że zawsze dobrze lokuje swoje pieniądze. Siedząc przy wielkim stole z piórem w ręku, czując na sobie wzrok pozostałych, zawahała się jednak.

Miała zamiar podpisać czek na *promise de vente*, czek na dziesięć procent wartości domu, na osiemset tysięcy dolarów, bezzwrotny, gdyby z

jakiegoś powodu, z jej śmiercią włącznie, wycofała się z transakcji. Billy była świadoma, że nikt nie spodziewa się, iż zapłaci za dom tyle, ile zażądano od niej na początku, niezależnie od tego, jak bardzo jej na nim zależy. A jednak zamierzała tak zrobić. Cena, jak wszystkie ceny nieruchomości, została niebotycznie wyśrubowana po to, by można było się targować. Co więcej, było zwyczajem, a nawet koniecznością, by przed podpisaniem dokumentów kupujący powołał biegłego eksperta do oceny stanu budynku. Żadnej Francuzce, nawet najbogatszej i najbardziej kapryśnej w całym kraju, nie przyszłoby do głowy kupno domu po cenie wyjściowej, domu, który obejrzała ledwie kilka dni wcześniej. Nie, nigdy, to niesłychane, niezależnie od wszelkich okoliczności. Notariusze i pośrednicy będą mieć wszelkie dane po temu, by uważać ją za największą frajerkę, z jaką kiedykolwiek mieli do czynienia. Pozwoli oszwabić się, wyrolować, zrobić w konia, nabić w butelkę i jak tam jeszcze Francuzi nazywają oszustwo, naciąganie, wystrychnięcie na dudka i wykorzystanie na zimno.

- Jeżeli nie podpisze pani dzisiaj, na pewno znajdzie się inny kupiec na dom, i to szybko - powiedziała Denise, zniżając głos, gdy Billy zastygła w bezruchu. - Akceptacja *promise de vente* przez spadkobierców oznacza, że zgodnie z prawem muszą sprzedać pani dom niezależnie od okoliczności. Co będzie, jeśli ktoś obejrzy dom dziś po południu - w Paryżu mnóstwo bogatych ludzi kupuje teraz domy, żeby tu osiąść - i zaproponuje wyższą cenę? Bez *promise de vente* może pani stracić dom. To zdarza się często, kiedy ktoś się waha.

Cholerna bzdura, pomyślała Billy. Nigdy nie dowierzała całkowicie opinii Denise i wiedziała, że ma słuszność. Zaufanie, którym darzyła ją

Cora było błędem kobiety przywykłej do kupowania drobiazgów, nie wielkich nieruchomości. Żadnego *hôtel particulier*, nawet w najlepszym punkcie, nie sprzeda się jednego popołudnia. Utrzymanie domu będzie kosztować fortunę. Jego dawny właściciel pozwolił, by dom obrócił się w ruinę. Trzeba wielu miesięcy bardzo kosztownego remontu, zanim będzie można urządzać wnętrza. Mogłaby prowadzić negocjacje całymi miesiącami.

Ach, jednak setki lat temu ten właśnie dom - nie pałacyk, lecz rezydencję - przy ulicy Vaneau zbudowano właśnie dla niej - pomyślała Billy. Czekał ponad dwa wieki, by ją zauroczyć. W jej najskrytszych marzeniach zadrżała czuła struna w chwili, gdy ktoś otworzył wysokie bramy osadzone w murach gęsto oplecionych bluszczem i pokazał jej lśniące okucia od strony ulicy. Billy weszła na wielki dziedziniec z wyboistych kocich łbów i spojrzała na niezwykle przyjemny dom, który zapraszał ją do środka. Podeszła do wabiących do wejścia podwójnych drzwi u szczytu czterech półokrągłych stopni, zerknąwszy tylko na boczne skrzydła domu, z których jedno, ze statuą konia stojącego dęba, było przeznaczone na stajnie. Nawet przy całym swoim podnieceniu zdażyła zauważyć wyraziste, pięknie cięte bloki szarego granitu niepozornego jednopiętrowego domu, łuszczącą się farbę szaro-białych okiennic, płaskorzeźby w kształcie muszli nad podwójnymi oknami, atmosferę wiejskiego spokoju, która otoczyła ją z chwilą, gdy weszła do okrągłego hallu wyłożonego zniszczoną drewnianą mozaiką, zbudowanego według idealnych dyskretnych wymiarów, które przemawiały do zakodowanego gdzieś w jej mózgu wycucia ludzkich proporcji. Gwar Paryża ucichł zupełnie, gdy przemierzała zaniedbane pokoje w amfiladzie, tak wielkie,

tak obficie wyposażone w okna i kominki, że natychmiast pojęła, iż dom stał niegdyś wśród wiejskich ogrodów, że był niegdyś wspaniały, lecz nie zimny i wyniosły, a całe pokolenia żyły w nim i umierały z godnością i spokojem.

Billy wkroczyła w świetną przeszłość. Nieuchronny upływ czasu znać było w każdym pokoju: w rogach zwisały pajęczyny, niczym geometryczne rysunki wykonane srebrną kreską. Wysokie zmatowiałe lustra w ramach odbijały pokryte złotymi cętkami obrazy nie z tego świata. Podłogi skrzypiały w intymnym i intrygującym powitaniu pod jej stopami. Wyściełane ławy przyokienne o zniszczonych, rozłazących się obiciach zapraszały, by uklękła i przyjrzała się fantazyjnej grze pnączy na parapetach. Gdyby wyjrzała przez okno, ujrzałaby dzielnych butnych jeźdźców w aksamitnych kołpakach zdobnych piórami i piękne damy w upudrowanych perukach, w obszernych krynolinach skrywających radosną rozpustę. Tytuły tych dam zdobiły iluminowane strony starych ksiąg. Nie było dla niej ważne to, czy trzeba będzie wymienić w domu każdą rurę, czy dachówki przeciekają w czasie deszczu, czy w piwniczkach grasują szczury, a na piętrach myszy, czy wyschłe zielsko pokrywa gzymsy.

Chciała kupować, kupować natychmiast, kupować drogo i bez namysłu. Czowała pragnienie, którego - jak sądziła - pozbyła się na zawsze, jak ktoś, kto beznamiętnie, z pustą obojętnością wyrósł ze swoich wad. Teraz jednak czowała pokusę podniecającego przypływu dawnej namiętności obejmowania w posiadanie, brania na własność, nabywania. Wypełniała ją dawna żądza, szaleńcza niecierpliwość, by mieć coś dla siebie. Ostrożność i rozsądek wydawały się jednakowo absurdalne, bo znów czowała pragnienie, żądzę, tę żywotną siłę, namiętność, moc, której nie można zniweczyć

żadną siłą woli, namiętność, z którą żyła tak długo, żądze, rozkosz, która opuściła ją po rozwodzie.

Billy powoli podpisała czek, kaligrafując każdą literę nazwiska z wzbierającą radością, zupełnie obojętna na wyśrubowane honoraria notariuszy, dwanaście różnych podatków, na które celowo nie zwróciła uwagi, prowizje od prowizji, które zjeżą włos na głowie Josha, gdy zobaczy dokumenty.

Chryste, jaka to rozkosz znowu być rozrzutną.

* * *

Od strony ulicy wysokie mury domu Billy tworzyły nieprzeniknioną fasadę, tak szarą i surową, jak w innych osiemnastowiecznych domach w okolicy. Jak wiele starych pałaców w sąsiedztwie, rezydencję przy ulicy Vaneau wzniesiono *entre cour et jardin*, z tradycyjnym *cour d'honneur* od frontu i rozległym ogrodem na tyłach. Wszystkie okna od tyłu wychodziły na park Hotel Matignon - oficjalnej, strzeżonej przez policję siedziby premiera Francji, znajdującej się w odległości kilkuset metrów od ulicy Vaneau, na prawo od domu Billy. Wspaniały park Matignon, zbyt rozległy, by można było nazwać go ogrodem, rozciągał się na wiele akrów i tylko mur oddzielał ogród Billy od potężnych drzew i szerokich trawników domu premiera. Plan Turgota sporządzony w 1738 roku nie obejmował ani domu Billy, ani ulicy Vaneau. Na całym obszarze, jak okiem sięgnąć, widać było drzewa, trawniki i ogrody kwiatowe. Później ograniczono obszar wiejskich posiadłości Matignon, a szereg najbardziej pożądanym domów w Paryżu stanął przy arystokratycznej ulicy Vaneau, tak cichej, że do miasta i z powrotem można było dostać się tylko pieszo, rowerem lub własnym samochodem.

Kiedy dom był w remoncie, jeszcze przed wyborem dekoratora Billy udała się do *monsieur* Moulie, utalentowanego projektanta ogrodów, właściciela Moulie-Savart, najbardziej szykownej kwaciarni Paryża przy placu du Palais Bourbon. Poprosiła zabawnego, rzutkiego i sympatycznie kokieteryjnego młodego *monsieur* Moulie, by zamienił jej konwencjonalny, zachwaszczony ogród w coś niezwykłego i finezyjnego. Wiedziała, że stare drzewa trzeba będzie przenieść za dom tak, by nie uszkodzić korzeni. Ten pomysł należało zrealizować przed urządzeniem wnętrza. *Monsieur* Moulie stworzył dla niej ogród, w którym drzewa i krzewy dobrano tak, by były zielone także w długie, nieznosne zimy, dopóki nie zaczną kwitnąć pomysłowo posadzone pnącza i kwiaty.

Billy nadal mieszkała w Ritzu, lecz w tygodniu spędzała przy ulicy Vaneau dużo czasu, doglądając renowacji. Stwierdziła, że postęp prac murarskich w tej stronie świata wymaga nieustannej kontroli. Francuskiemu majstrowi, którego ludzie, według nakazów związków zawodowych, nie mogą pracować więcej niż trzydzieści dziewięć godzin tygodniowo, pracę komplikuje dodatkowo znikanie robotników w piątki wczesnym popołudniem w pogoni za przyjemnościami oraz częste długie weekendy świąteczne, gdy cała załoga, tak jak cała Francja, spodziewa się *faire le pont* - „budowania mostu” - czyli takiego układu, w którym wolny jest dzień przedświąteczny i poświąteczny.

Dom przy ulicy Vaneau pochłoniął ją całkowicie. Z ochotą zajmowała się każdym szczegółem wzmacniania starej konstrukcji. W poganianie stada budowniczych pół tuzina nowych filii „Scruples” w pół tuzinie krajów wkładała niegdyś mniej zaangażowania i serca niż teraz w przebudowę starej rezydencji.

* * *

Wieczorem Billy wracała do Ritza, zdejmowała ubranie i zanurzała się w gorącej wodzie wypełniającej głęboką białą wannę. Wodząc zmęczonym wzrokiem po białej marmurowej łazience z kurkami umywalki i wanny w kształcie złotych łabędzi, ze stosami ręczników Porthault w kolorze brzoskwini, przyznawała, że gdyby zaraz po nabyciu domu zaczęła pracować z którymś z wielkich paryskich dekoratorów w rodzaju Henri Samuela, François Catroux czy Jacquesa Grange, zająłby się on domem równie dobrze jak ona. Znalazłby kogoś, kto odpowiadałby za podstawową konstrukcję, co tydzień doglądałby spraw i zdawał jej relację tylko w koniecznych przypadkach. Ona sama jeździłaby na nartach, leżała na plaży na jakiejś prywatnej wyspie, szukała wiejskiego zakątka w Anglii, kupowała konie wyścigowe lub... nie, musiała przyznać, że nie miała na nic ochoty. Nie chciała wyjeżdżać z Paryża.

Kiedy Billy przebierała się do kolacji, spojrzała w lustro i zaśmiała się na widok swojej rozpromienionej twarzy. Była zaborcza niczym czuła matka niemowlęcia. Nie chciała jeszcze wpuszczać dekoratora do domu. Nie chciała dzielić się z nikim. Nie potrzebowała rady, nawet dobrej. Nie chciała pomocy, nawet niezbędnej. To był jej dom, na Boga! Z radością wkładała całą energię w przywrócenie go do życia. Nadzorowanie remontu zaniedbanej rezydencji na Lewym Brzegu to nie powód przeprowadzki do Paryża, który podała Jessica, to nie to, co zaplanowała, zanim kupiła dom. Teraz jednak wie, że nawet gdyby chciała zaniechać tego pomysłu - nie umiałaby. Wzięło ją.

Pełnia paryskiego życia wkrótce pochłonęła Billy, zmuszając ją do opuszczenia przytulnej kryjówki w hotelu Ritz - gdzie wystarczyło nacisnąć guzik, by zapewnić sobie wszelkie wygody - i wypraw w różnych kierunkach w asyście szofera Roberta, który prowadził czarnego citroena, nie rzucającego się w oczy w Paryżu, niczym wiedziony radarem.

Zaproszenia zaczęły nadchodzić, nim zdążyła rozpakować walizki. Jej przyjazd zapowiadała tylko rezerwacja Apartamentu Windsor, a jednak zaanonsował go poczytny anglojęzyczny biuletyn Maggie Nolan. Zakup jednej z ostatnich pozostających w prywatnych rękach pięknych rezydencji l’Ancien Regime, doczekał się ironicznej notatki w International Herald Tribune. Billy podejrzewała, że punkt węzłowy podziemnego obiegu paryskiej plotki stanowi Denise Martin, a może nawet ktoś z recepcji Ritza.

Na początku większość zaproszeń pochodziła od znanych ludzi interesu i przywódców międzynarodowego high life’u, do którego wprowadził ją Ellis podczas uprzednich wizyt, oraz od ambasadora Stanów Zjednoczonych w Paryżu. Z każdym przyjęciem poszerzał się krąg gościnnych ludzi, aż gzyms kominka pokrył się „karteluszkami”, jak nazywała drukowane ozdobnie zaproszenia jedna z jej znajomych Angielek. Często wychodziła na lunch. W tym czasie nie było w domu nic do roboty, bo cała ekipa remontowa urządzała sobie na zaimprovizowanym stole w jej przyszłej kuchni solidny piknik, obficie zakrapiany czerwonym winem.

Lunch dla pań we francuskim wydaniu organizuje się po to, by osiem lub dziesięć blisko zaprzyjaźnionych osób mogło poddać szczegółowej

ocenie wszystkie atrakcyjne nowicjuszek. Billy trwała przy swoim postanowieniu uczestniczenia we wszystkich stosownych przyjęciach, przyjmując zaproszenia na lewo i prawo, z wyjątkiem tych, które wymagały spędzania weekendów w rozmaitych zamkach w okolicy. Po dwóch albo i trzech lunchach w tygodniu i po czterech uroczystych kolacjach lub balach Billy chciała mieć weekend dla siebie.

Zawarła mnóstwo odpowiednich nowych znajomości. Potomkowie najszlachetniejszych rodów Francji, którzy z niezmienną wyniosłością traktowali Corę Middleton de Lioncourt, na widok Billy Ikehorn rozpyłali się w gorących powitaniach. Jej sława wzmagiała ich ciekawość. Już na długo przed Benjaminem Franklinem znani cudzoziemcy podniecali paryżan. Fascynowały ich jej pieniądze, bo takich materialistów jak paryscy arystokraci ze świecą by szukać. Uroda i doskonała znajomość francuskiego w mgnieniu oka uczyniły z Billy francuski odpowiednik najwspanialszego kociaka w towarzystwie.

Jak oceniła Billy, jedna, może dwie inteligentne, olśniewające panie, które spotkała, mogłyby stać się kimś więcej niż zwykłymi znajomymi, ale jej życie towarzyskie toczyło się w zbyt szybkim tempie, by pozwolić na rozkwit prawdziwej przyjaźni. Ponadto za bardzo pochłonęło ją szaleństwo związane z domem i nie miała dość czasu, by podtrzymywać znajomości. Billy uświadamiała sobie, że do osiągnięcia sukcesu, którego wizję kreśliła niegdyś Jessice, brak jej teraz tylko czasu na zakupy i tego, by przeleciał ją odpowiedni facet. Seks i zakupy... skąd znała tę kuszącą, łatwo wpadającą w ucho formułkę? Z piosenki? Z książki?

Seks? Może wymagała zbyt wiele? Mężczyźni, których poznała w Paryżu, rozczarowali ją. Albo byli żonaci i wierni, albo mieli żony i

kochanki, albo byli żonaci i szukali łatwych przygód, albo byli nieżonatymi łowcami posagów, albo też wiecznymi kawalerami. Dla trzydziestosiedmioletniej kobiety perspektywy znalezienia odpowiedniego faceta były tak samo mgliste, jak w Los Angeles i Nowym Jorku. To nieistotne - myślała Billy, kiedy odrywała się czasami od tuneli rusztowań i lasu nowych rur przy ulicy Vaneau, by spieszyć do miary u Saint Laurenta lub Givenchy. To nieistotne. Zawsze przecież pozostają zakupy w aurze Paryża, a tam, gdzie są zakupy, znajdzie się i seks.

Podczas weekendów, które pozostawiała dla siebie, Billy oddawała się z upodobaniem nowemu nałogowi, który łączył się ściśle z jasną wizją przyszłego życia w nowym domu. W soboty i w niedziele nie mogło zabraknąć wyprawy na wielki targ, *le marche aux puces* przy Porte de Clignancourt, gdzie wynajdywała zabawne drobiazgi, jakich nie wybrałby dla niej żaden dekorator.

Nabrawszy doświadczenia, Billy nauczyła się ubierać tak, by dokonywać udanych zakupów na Marche Biron, Vernaison i Serpette - zakątkach *puces*, w których można było znaleźć małe skarby. Do zachlapanych tynkiem džinsów, które nosiła na budowie, zakładała gruby szary sweter, kupiony z powodu jego tandetnego wyglądu. Całości dopełniał wymiętoszony beżowy prochowiec. Nie malowała się, szyję owijała apaszką w nieokreślonym rudawym odcieniu. Sznurowała najstarsze tenisówki i brała ze sobą plastikowe torby z sieci sklepów Monoprix, by mieć w czym nieść do domu swój łup. Błyszczący do ust i zwitek gotówki chowała głęboko w wewnętrznej kieszeni prochowca, torebkę zaś zostawiała w Ritzu.

Wyglądam naprawdę okropnie, myślała Billy, niezmiernie

uradowana swoim zmienionym nie do poznania wyglądem, przemierzając główny hali Ritza w weekendowe poranki. Trzy eleganckie konsjerżki w recepcji, uprzejmy zwalasty portier-Jugosłowianin, który nie pozwalał ciekawskim zbliżyć się na odległość kilku stóp do hotelu, szwadron odźwiernych i służby, zawsze gotowej znaleźć taksówkę, nawet gdy graniczyło to z niemożliwością, przywykli do takiego przyodziewku, gdy ich co bardziej doświadczeni goście wybierali się na Pucés.

Przebranie było niezbędne, by skutecznie dobić targu. Billy, która tak często robiła zakupy w wielkim, niemal całkowitym zapamiętaniu, stwierdziła, że pobyt we Francji nauczył ją nowego stosunku do wydawania pieniędzy. Pchli targ fascynował ją, bo stwarzał okazję do wydawania z rozważą dusigrosza i niechęcią skąpca małych sum płaconych banknotami o małej wartości, z cudownym, podniecającym poczuciem winy, że oto płaci się prawdziwymi pieniędzmi, pieniędzmi, na których wydanie nie można sobie pozwolić - z autentycznym uczuciem słodkiego grzechu, którego nie zaznała od czasów młodości. Kiedy wypisywała czek, sięgając do niewyczerpanych zasobów, pieniądze po prostu nie były realne. Jedynym sposobem, by poczuć, że są rzeczywiste, że można ich dotknąć, było płacenie gotówką, wydzielanie banknotów i przyglądanie się, jak przelicza się je podczas długiej transakcji, której częścią była zabawa w targowanie się.

Nie była tak głupia, by sądzić, że którykolwiek handlarz z Pucés pozwoliłby jej ubić dobry interes, ale przynajmniej wyglądała na tyle biednie, że mogła wyklócać się tak długo, jak trzeba, by osiągnąć najniższą cenę, na którą gorliwie przystawał handlarz. Billy odchodziła z uczuciem obopólnego zadowolenia z transakcji i z satysfakcją, że dobiła

targu z wprawą rodowitej Francuzki.

* * *

W pogodny chłodny kwietniowy poranek 1981 roku Billy opuściła długie, pełne sklepów uliczki Marche Biron, znużona wielogodzinnymi bezowocnymi poszukiwaniami. Sprzedawcy antyków, ożywieni przybyciem pierwszych rozrzutnych wiosennych turystów, byli tego dnia niezwykle uparci, a ona odpowiadała im z bezwzględnością tubylca, który uważa, że we własnym kraju traktuje się go jak naiwniaka. Kupiła tylko jedną maleńką, zagadkową buteleczkę z kości słoniowej. Usiadła w tłocznej kafejce na chodniku i łapczywie pochłaniając croissanta wydobyla buteleczkę z ochronnej osłony gazet. Ustawiła ją ostrożnie na stoliku, by rozkoszować się choćby takim drobiazgiem. Rozluźniła pasek prochowca, odchyliła się na wiklinowym krześle i wyciągnawszy obolałe nogi uważnie przyglądała się pięciocentymetrowemu naczynku. Nagle uświadomiła sobie, że tak naprawdę wcale nie chciała go mieć. Kość słoniowa była niewątpliwie stara, ale Billy nie wiedziała, do czego służyła butelka, i nic ją to zgoła nie obchodziło. Będzie to jednak dobra pamiątka wolności, którą napawała się, siedząc tu tak anonimowo. Wolności, która wiązała się z niepozornym przebraniem, z tym, że jest się kimś z tłumu, że jest się obcym człowiekiem w obcym kraju, ale w tym kraju czuje się jak w domu. Billy tak wolna nie czuła się już od lat, a kiedy o tym pomyślała, jej oczy zaszyły mgiełką... Czuć się wolnym to czuć się młodym.

- To cholernie ładny kształt - odezwał się męski głos ze stolika za jej plecami.

- Czy pan mówi do mnie? - zapytała przez ramię zmęczonym głosem.

- Tak. Czy mógłbym przyjrzeć się jej z bliska?

- Oczywiście - odparła. To Amerykanin. Pewnie turysta. Billy odwróciła się z buteleczką w rękę i podała ją wysokiemu mężczyźnie siedzącemu tuż za nią przy pustej filiżance po kawie. Włożył okulary i obracał buteleczkę w dłoniach, wolno i ostrożnie badając palcami jej walcowaty kształt. Z wprawą odkręcił mały okrągły korek, wyjął go i włożył z powrotem.

- To cudeńko. Jak udało się pani znaleźć chińską buteleczkę apteczną w takim miejscu? Sądząc po rozmiarach korka, była w niej chyba trucizna.

- Kolekcjonuje pan butelki? - zapytała Billy, myśląc, że ktoś, kto spędził ponad cztery godziny na największym paryskim targu staroci po to, by zdobyć butelkę z kości słoniowej, w dodatku nie francuską, jest albo wybitnym znawcą, albo kompletną kretynką.

- Kolekcjonuję? - W jego głębokim głosie znać było rozbawienie, powątpiewanie i swobodę. - Gromadzę czasem różne śmiecie, a może one same gromadzą się wokół mnie, ale to nie kolekcjonerstwo. Jestem rzeźbiarzem. Zwróciłem uwagę na kształt buteleczki... Jest w nim coś zachwycającego.

- Proszę, niech ją pan weźmie - Billy usłyszała własny głos.

- Co takiego?!

- Naprawdę... chciałabym, żeby pan ją wziął. Znajdzie w panu lepszego właściciela. Gwałtownym ruchem oddał jej naczynie, potrząsając głową.

- Hej, dziecino, wielkie dzięki, ale nie. Jesteś chyba stuknięta, wiesz? Wyglądasz jak ostatnia sierota, która przebrnęła przez pola i ugory, żeby ją zdobyć. Nie możesz jej tak po prostu oddać.

- W jego głosie zamiast rozbawienia brzmiała teraz troska.

- Chyba jestem głodna - powiedziała Billy w nagłym olśnieniu. Dobrze wiedziała, jak musi teraz wyglądać.

- Przyniosę ci bagietkę z szynką. Albo z serem. Nic innego tu nie mają, dzieciно. Chyba że chcesz ciasta.

- Nie, dziękuję - odmówiła Billy bez wahania. Ciasta!

- Mogę się przysiąc? Pozwól przynajmniej, że postawię ci kawę. - Podniósł się, nie czekając na jej przyzwolenie, i usiadł obok. Zjadła tego croissanta tak szybko, jakby umierała z głodu - pomyślał. Była też śmiesznie hojna, na pewno turystka, pracująca dziewczyna, która musiała długo oszczędzać, żeby przyjechać w kwietniu do Paryża, a taka stara kość słoniowa na pewno nie kosztowała mniej niż pięćdziesiąt dolców. Czy nie przyszło jej do głowy, żeby wydać tę forszę na porządny sweter, zamiast na niepotrzebną buteleczkę, którą chce oddać nieznajomemu? Jego natura rzeźbiarza buntowała się przeciwko ubraniu szpecącemu prawdziwą piękność.

Billy piła kawę, którą zamówił, i spoglądała na niego ukradkiem. Nigdy jeszcze nie rozmawiała z nieznajomym w kawiarni ani też nie dała się poderwać, nawet tego roku, który jako dwudziestolatka spędziła w Paryżu. Była wtedy zbyt nieśmiała, a potem odwiedzała Paryż w towarzystwie Ellisa. Ale po co są francuskie kafejki?

Ten rzeźbiarz, który bez żenady mówił do niej „dziecino”, był zdecydowanie chudy i bardzo kościsty. Zbliżał się chyba do czterdziestki. Miał wyjątkowo gęste rudobrazowe włosy, ostrzyżone bardzo krótko, co wyraźnie podkreślało szlachetny kształt czaszki. Pod kośćmi policzkowymi zamiast wypukłości miał wgłębienia, dzięki czemu twarz

nabierała arystokratycznej szczupłości. Kiedy zdjął duże okulary w rogowej oprawie, które wcześniej włożył, by obejrzeć buteleczkę, spostrzegła jego krzaczaste brwi rysujące się nad głęboko osadzonymi szarymi oczyma, którymi patrzył na nią jak na pomyloną. Chryste, to śmieszne. Miał wąskie, kapryśne usta o pogodnie wzniesionych kącikach, a jednak wyglądał przy tym na faceta, który poradzi sobie w walce. W istocie, gdy tak sobie siedział, biła od niego niemal wyzywająca siła fizyczna. Z drugiej strony miał w sobie niewątpliwie coś z naukowca, zmarszczone czoło profesora przemierzającego harwardzki kampus, jak zauważyła, wspomniawszy lata spędzone w Bostonie i pewnych siebie młodych prymusów zakochanych w sportowych marynarkach, tak sfatygowanych, że nie nadawałyby się nawet dla biednych. Ten facet miał na sobie wytartą szewiotową marynarkę, flanelową koszulę i dżinsy, nosił je tak, że domyśliła się, iż nie jest to strój z okazji wizyty na pchlim targu, lecz jego powszedni przyodziewek, który miał swój styl. Wyglądał trochę na brutala, trochę na członka Ivy League.

- Sam Jamison - przedstawił się, wyciągając rękę.

Billy wymamrotała swoje: „Cześć”, uścisnęła jego dłoń i powiedziała: Misia Winthrop. Już przyglądając się jego twarzy postanowiła, że nie przedstawi się temu facetowi jako Billy Ikehorn. Każdy Amerykanin z pewnością rozpoznałby to nazwisko. Nie mogła także zaprezentować się jako Billy Orsini, bo pod tym nazwiskiem była sławna nie tak dawno. „Misia” było jej wzgardzonym przezwiskiem z dzieciństwa, ale nic innego nie przychodziło jej do głowy, a nie chciała, by wiedział o niej więcej niż mógł zobaczyć. Była bardzo ciekawa, jak to jest, kiedy rozmawia się z facetem, który nie ma pojęcia o nieoszacowanym

ciężarze majątku, o ładunku niewidocznego, lecz wszystkim znanego skarbu, który dźwiga ze sobą wszędzie podczas nocnego życia w Paryżu.

- Skąd pani przybywa, panno Winthrop?

- Z Seattle - odpowiedziała Billy. - A pan?

- Marin County, niedaleko San Francisco. Na jak długo pani przyjechała?

- Och... na trochę... to mój roczny urlop naukowy... Jestem nauczycielką. - Dobry Boże, dlaczego to powiedziała? Nie ma przecież zielonego pojęcia o uczeniu. Dlaczego nie powiedziała, że jest urzędniczką w dziale sprzedaży?

- Czego pani uczy? - zapytał, uważnie wpatrując się w jej twarz oczyma krótkowidza.

- Francuskiego?

- Ma pani wątpliwości? Jeżeli tak, żał mi pani uczniów. Słuchaj, nie masz nic przeciwko temu, że mówię do ciebie „dziecino”, co? Kiedy poznam cię lepiej, będę cię nazywał Misia, ale teraz... brzmi to dziwnie... pieszczotliwie, jakbyśmy byli starymi znajomymi.

- Nie. To znaczy, dobrze. Może być „dziecino”. Naturalnie, uczę francuskiego. Właśnie dlatego spędzam tu urlop. Ale nie mówmy już o tym... wszystkich to nudzi, oprócz mnie... te badania nad życiem i czasami Woltera w Bibliothèque Nationale... zanudzę cię. Mieszkas w Paryżu, czy jesteś tu przejazdem?

- Sam nie wiem, dziecino. Zawsze chciałem tu przyjechać i udało mi się w tym roku. Znalazłem pracownię do wynajęcia w Marais, niedaleko placu des Vosges i przyjechałem. Nie chcę stąd wyjeżdżać. Wzięło mnie to miejsce. Chciałbym tylko lepiej znać francuski. Ty na pewno radzisz

sobie świetnie. Jakoś mi idzie, ale nie czuję się swobodnie.

- Francuski nie jest trudny - zapewniła go szczerze Billy. Zdjęła z głowy zapomnianą chustkę i z wdziękiem przeczesła palcami przyklepane loki. Chryste, pomyślała, przysięgam, że dam temu facetowi przyśpieszony kurs francuskiego żargonu, jeśli natychmiast zamknie jadaczkę, zaciągnie mnie za łeb do pracowni i rzuci na łóżko.

- Nie wyglądasz na nauczycielkę - powiedział Sam Jamison i ku swojemu przerażeniu stwierdził, że czerwieni się po same uszy. Przekleństwo rudowłosych! Myślał, że już dawno z tego wyrósł: - Głupio gadam, prawda? - dodał szybko.

- Jak właściwie powinna wyglądać nauczycielka? Kobiety nienawidzą, kiedy mężczyźni robią takie uwagi. - Jak ktoś tak piękny mógł marnować życie, ucząc bachory języka, którym i tak nie będą się nigdy posługiwać? Weźmy to, jak zaofiarowała mu cenną buteleczkę, a jak ohydnie była ubrana - nie chciała nawet przyjąć od faceta kanapki ani mówić o swojej pracy. Trzeba nauczyć ją pewności siebie, nawet egoizmu, umiejętności żądania tego, czego chce, a może chceć wiele. Taka dziewczyna na pewno aż piszczy, żeby ją przerznąć, albo nie ma ani sprawiedliwości, ani litości, ani żadnego pożytku z tego, że jest się wiosną w Paryżu.

- Niezupełnie - wymamrotała Billy.

- Co „niezupełnie”? - O czym to mówił, zastanawiał się. Pogubił się. Palcami zrobiła coś z włosami, co sprawiło, że stracił wątek.

- Nie zawsze jest tak, że kobiety nie znoszą, kiedy mówi się im, że nie wyglądają na to, co robią. W moim przypadku - uczą. - Nigdy jeszcze nie widziała, żeby mężczyzna się rumienił.

A jeśli nawet widziała, nie zwracała na to uwagi. To dopiero byłaby frajda, gdyby zmusiła go do tego raz jeszcze. Nieopisana frajda. Jak na tak mocnego faceta, ma niesłychanie białą i delikatną skórę.

- A czego lubią słuchać kobiety? - Nie miała szminki, czy też specjalnie obywatła się bez niej, by kusić każdego mężczyznę naturalną różowością ust? Czy mógł o to zapytać, nie rumieniąc się ponownie?

- Ach, to odwieczny problem. Nawet Freud nie wiedział... zwłaszcza Freud. - Dlaczego wspomniała o Freudzie? Zabrzmiało to tak uczenie, tak staroświecko. Nikt już dzisiaj nie mówił o Freudzie. Może o Jungu, ale nie o tym starym dziwaku Freudzie, który nie doceniał łechtaczki, bo sam jej nie miał.

- Mówił, że nie wie, czego chcą kobiety, dziecińco - poprawił ją Sam.

- To wybieg. Co za różnica - chcieć czy mówić?

- Wygrałaś. W każdym razie, co powiesz na lunch? Właśnie otwierają restauracje.

- Ale... te tenisówki...

- Możemy znaleźć bistro. Bardzo maleńkie bistro. - Albo maleńki hotel, z bardzo maleńkim pokoikiem i bardzo wielkim łóżkiem. - A może jesteś już umówiona na lunch? Z mężem? Przyjacielem?

- Nic z tych rzeczy. Na szczęście jestem rozwiedziona.

- Ja też. Masz dzieci?

- Mam przybraną córkę. Mieszka w Nowym Jorku. A ty?

- Nie mam nikogo... tylko siebie, swoją pracę i Paryż. I rozrzućną panią Winthrop. Chodź, zjedz ze mną lunch - nalegał i, włożywszy okulary, patrzył jej w oczy wzrokiem tak badawczym, jakim przyglądał się buteleczce z kości słoniowej.

- Nie jestem w tej chwili głodna, ale ciekawa jestem... tak naprawdę... ciekawi mnie... twoja praca... Chciałabym zobaczyć, co robisz - powiedziała Billy słabym głosem, spuszczać oczy pod jego badawczym spojrzeniem.

- Och, naturalnie. Oczywiście. Tak. To świetny pomysł. W pracowni... tak... właśnie tam.

- Cholera! Czuł, że znów się rumieni.

- Czy to daleko?

- Nie. Wcale nie... złapiemy taksówkę...

W taksówce siedzieli obok siebie w milczeniu. Potem w milczeniu przemierzyli pięć kondygnacji schodów wiodących do pracowni Sama. W milczeniu weszli do ogromnego jasnego pomieszczenia. W milczeniu zignorowali wielkie rozstawione wokół bryły o geometrycznych kształtach. W milczeniu udali się prosto do małej sypialni, gdzie objęli się i zaczęli całować, nadal stojąc, z całych sił, z zachłannością i pożądaniem, które wcale ich nie zaskoczyło.

Całowali się długo, drżąc gwałtownie, nadal w milczeniu, aż wreszcie Billy zrzuciła prochowiec i tenisówki, uwalniając Sama z uścisku, by mógł zdjąć marynarkę. Nagle zabrakło czasu, by się rozebrać, bo ogarnęła ich fala pożądania tak wielka, że aż przerażająca. Upadli na łóżko. Billy, nie zdjęwszy swetra, rozpięła dzinsy i zdarła je z siebie. Sam zsunął spodnie i zrzucił buty. Posiadł ją bez słowa, bez wahania, ostro, a ona przyjęła go z gwałtownością równą jego bezwzględności, z dziką, zachłanną otwartością, spragniona, by wypełnić ją sobą i wziął bez zbędnych czułości. Nie dbał o jej rozkosz, ona nie dbała o niego, aż spotkali się w chwili czystej żądz, w której oboje dostali to, czego

pragnęli, dając i czerpiąc cząstkę z jednego aktu, w którym utonęli bez reszty. Kiedy doznali rozkoszy w jednej chwili, zdumieni się tak bardzo, że - gdy już było po wszystkim - leżeli śmiejąc się bezradnie, bo tak właśnie miało być, bez chwili, bez odrobiny namysłu. Potem zrzucili z siebie resztę ubrań i zasnęli, tuląc się w ramionach. W milczeniu.

* * *

- Dziecino kochana, jeżeli teraz nie jesteś głodna nie jesteś człowiekiem.

Billy otworzyła oczy, zamrugała w zakłopotaniu i zdała sobie sprawę, że jest w ciepłym łóżku, u boku cudownie pachnącego nagiego mężczyzny, którego poznała zaledwie kilka godzin temu.

O to właśnie chodzi, pomyślała leniwie. Wspaniała rzecz. Bardzo, bardzo wspaniała. Sam budził ją, kołysząc łagodnie i czule muskając jej wargi.

- Już wcześniej byłam głodna, ale nie chciałam czekać... Nie mogłam... nie zniósłabym lunchu... - ziewnęła rozkosznie. - Jak mogłeś gadać bez przerwy o jedzeniu?

- Przecież nie mogłem tak sobie powiedzieć: „Chodź, to cię przelecę”, prawda?

- Dlaczego nie? Ja nie mogłam, ale ty mogłeś.

- Dlaczego nie mogłaś? - zapytał, dotykając jej piersi ukrytych pod prześcieradłem.

- Stara amerykańska tradycja. Mężczyzna zaczyna. Teraz moja kolej. Chodź, przelec mnie.

Billy Ikehorn, owdowiała, rozwiedziona, bogata, sławna, zawsze obserwowana i osądzana, do nikogo nie mogła powiedzieć: „Przelec

mnie”, ale Misia Winthrop, nauczycielka rozsmakowana w paryskiej swobodzie, mogła mówić, co tylko zechce. Jej uczniowie w dalekim Seattle nie mogą zaprotestować. - Przeleć mnie - powtórzyła radośnie.

- Och, dziecino, niech ci się najpierw przyjrzę. - Odchylił prześcieradła i koc, patrząc na jej ciało z największą przyjemnością. Na wspaniałe kobiece ciało, które osiągnęło szczyt doskonałości. Billy zawsze skrywała pod ubraniem bogactwo kształtów, którego nie pozwalała domyślać się jej wzrost. Gdy była naga, jej wspaniała dojrzałość, bujne pełne pagórki miękkich piersi i obfite kształty białych ud stawały się zaskakująco wyraziste. Sutki miały tak intensywną barwę, jakby je uróżnowała. Była niczym róg obfitości, oszałamiający wielkością i kształtem. Sam długo i z przyjemnością wodził palcami po kształtach Billy, doznając radości odkrywania miejsc miękkich i jędrnych, soczystych, pulsujących darów, którym nie miał czasu przyjrzeć się wcześniej.

- Och, Sam, Sam... nie możesz zrobić tego później? Czy chcesz mnie zmierzyć i sprawdzić, czy nadaję się do wyrzeźbienia? - Billy była dumna ze swojego ciała i nie czuła fałszywej skromności. Jeśli jednak zamierzał dłużej dotykać jej w ten sposób, istniało ryzyko, że postrada rozum.

- Moje... rzeźby... są... niefiguracywne - powiedział, całkowicie pochłonięty badaniem obrzeża jej pępka.

- Połóż się na brzuchu - wyszeptała Billy suchymi wargami, w nagłym przyplywie natchnienia.

- He? Co?

- Musi być jakaś sprawiedliwość. Chcę obejrzeć cię tak samo jak ty

mnie.

Spełnił jej życzenie, a Billy, nieprzytomnie niczym we śnie, objęła go nogami w pasie, wodząc rękami wzdłuż jego pleców. Przesuwała palcami po delikatnych bokach, po obszarach cudownie gładkiej skóry - od pach aż do pasa, muskając go rozpalonym dotykiem, dopóki nie usłyszała, że oddycha coraz gwałtowniej i głębiej.

Uniosła się i przysiadła na jego smukłych muskularnych udach. Powoli przemierzyła ognisty szlak wiodący od talii ku kości ogonowej i z powrotem. Jęknął, unosząc szybko pośladki i rozsuwając nieznacznie nogi, po czym znów opadł na łóżko. Billy ześlizgnęła się niżej i, siedząc na jego łydkach, napawała się widokiem jego krocza. Jego członek zeszywniał już tak bardzo, że unosił się na podbrzuszu, lecz ciężkie kule jąder nadal spoczywały między nogami, na materacu. Schyliła się bez wstydu i zawisła nad nimi. Kiedy uświadomiła sobie, jak bezgranicznie jej ufa, poczuła suchość w ustach. Wreszcie, rozchyliwszy wargi, skierowała lekkie, podniecające tchnienia tuż nad jego jądra, rozgrzewając je i patrząc, jak kurczą się mięśnie jego pośladków, podczas gdy Sam krzyczał bezgłośnie z pożądania.

- Teraz odwróć się - wyszeptała, uwalniając go od ciężaru swego ciała. Posłuchał. Leżąc z zamkniętymi oczyma ukazał jej bez osłonek całą swoją nagość, obnażając długie, smukłe ciało.

Billy chciała dotykać lekko i powoli jego najczulszych miejsc, jego zmarszczonego czoła, skroni, podbródka, łokci, sutków, wszystkich tych miejsc, których pieszczotę mężczyźni lubią tak samo jak kobiety, lecz natychmiast porzuciła tę myśl, widząc jego członek nabrzmiały do granic możliwości. Musiała poczuć go w sobie. Natychmiast. Przesunęła się

zrećnie, przerzucając jedną nogę przez jego ciało i balansowała na łóżku kolanami, trzymając oburącz jego mocny miecz i pomagając mu odnaleźć drogę do niej. Otwarte oczy Sama patrzyły na nią, dopóki czubek nie musnął jej krocza, w które wdarł się wcześniej tak ostro. Patrzyły, jak stopniowo pcha go w ciepłe, drżące miejsce między nogami. Nie poruszył się, dopóki Billy nie opadła na niego powoli całym ciałem i nie zanurzył się głęboko, głęboko w jej wnętrze. Leżała pochylona ku jego piersi, z głową wtuloną w jego szyję. Pozwolił, by odnalazła własny rytm, wznosiła się i opadała na tych kilka istotnych cali, bawiła się członkiem niczym zabawką, niczym swoją własnością. Cofnął się gwałtownie i oddał się jej cały, rozkoszując się wzrastającą szybkością jej ruchów, chciwie chłonąc wzrokiem niepoahamowane, rosnące napięcie jej ciała, gdy zbliżała się do upragnionej chwili, w której nie ma już odwrotu. Wreszcie odchyliła głowę w ślepej ekstazie, a całym jej ciałem wstrząsnął niepowstrzymany dreszcz. Dyszała we wspaniałym zapamiętaniu, aż osunęła się na jego pierś, pulsując w spazmatycznym przedłużeniu orgazmu. Wtedy uniósł ją w swoich silnych ramionach. Niczym poganin oddający cześć bóstwu, łagodnie nawiedził łąkę jej ciała i w najwyższym skupieniu, z mocno powściąganą gwałtownością, znowu posiadał ją bez pośpiechu.

* * *

- Zamów coś, co potrafisz zjeść jedną ręką - powiedział Sam do Billy. - Nie zamierzam puścić tej drugiej.

- Nawet jeśli obiecuję, że potem będziesz mógł ją znów potrzymać?

- Nawet wtedy. Nie wierzę ci. Lubisz rządzić, dziecino.

- To dlatego wybrałeś pizzerię?

- Może. A może dlatego, że na tej ulicy są aż cztery. Jadam tu prawie

co wieczór.

- Francuz powiedziałby, że to twoja *cantine*. - Billy była rozkosznie potargana, mimo iż próbowała przygładzić włosy szczotką Sama. Umyła też zęby jego szczoteczką i wzięła kąpiel w jego maleńkiej wannie. Miała na sobie jeden z jego swetrów, stary żółty szetland z dekoltem w szpic, przykrywający jedno ramię i zsuwający się z drugiego. Ściągnęła go w taliu starym niebieskim krawatem, znalezionym w szafie Sama, lecz nic nie mogło zetrzeć z jej twarzy śladów miłości, która sprawiła, że policzki pokryły czerwone plamy tam, gdzie pocierał o nie wąsami. Usta Billy nabrzmiały, a ciemne oczy rozszerzyły się i lśniły w wyrazie zaspokożenia.

- Wiedziałem, że dasz mi w końcu lekcję francuskiego, jeżeli trochę poczekam.

- Nie licz na to. Mam wobec ciebie inne plany.

- Możesz powiedzieć, jakie?

- Nie tu, Sam. Nie w miejscu publicznym.

- Nikt nas nie słyszy. Dokoła sami Francuzi.

- Chcesz, żeby ci znów stanął? - Głos Billy brzmiał cicho, lecz stanowczo.

- To nie ma nic wspólnego z chęcią. Muszę zjeść dwie albo trzy pizze... ale po kolacji - tak, właśnie tego chcę.

- Po kolacji, Sam, jeżeli uważasz, że możesz to znieść.

- Jesteś pewna, że to twój urlop naukowy? A może związek zawodowy nauczycieli skazał cię na banicję?

- Nie dowiesz się - zachichotała. - Mam swoje małe tajemnice.

- Dziecino, chodźmy najpierw do ciebie, gdziekolwiek to jest, żebyś mogła wziąć wszystko, czego ci trzeba, i zostać ze mną tej nocy i jutro, i

jutrzejszej nocy, i pojutrze, i...

- Och... nie... nie róbmy tego. To byłoby... och, wiesz... to zajęłoby zbyt wiele czasu. Na rogu jest drogeria. Potrzebna mi tylko szczoteczka do zębów i grzebień. Mam nieskomplikowane upodobania.

- Lepiej wyglądasz w moich ubraniach niż w swoich własnych.

- Nie zawsze ubieram się tak jak dziś. Nie pokazuję się przecież uczniom w dzinsach i tenisówkach.

- Jutro wybierzemy się do twojego hotelu po ubrania i rzeczy.

- Sam, poczekaj! Nie mam zamiaru z tobą mieszkać.

- Dlaczego nie?

- To... to po prostu niedobry pomysł. Po pierwsze, za wcześnie na takie rzeczy, a poza tym chcę być niezależna. Taka już jestem.

- Uważasz, że cię poganiam?

- Coś w tym rodzaju. To po prostu nierozsądne.

- Sama jesteś nierozsądna, dziecino.

- To prawda. Nigdy nie byłam rozsądna. To jedna z moich największych wad... A jeśli z tobą zamieszkać, poznasz pozostałe.

- W porządku. Chętnie je poznam. Jedną dziennie. Ale zaproszenie nie traci ważności. Mój dom jest twoim domem. Moje ubrania są twoje. Moje łóżko jest twoje.

- Sam, która kobieta mogłaby się z tobą rozstać? Jak to się stało, że się rozwiodłeś?

- Pobraliśmy się zbyt młodo, zaraz po college'u. Nie miałem dość rozumu, by zdawać sobie sprawę, że rzeźba nie popłaca, dopóki nie ma się odrobiny szczęścia... a zanim znalazłem dealera i zacząłem sprzedawać tyle, że mogłem utrzymać nas oboje, ona straciła cierpliwość. Nie mam do

niej żalu. A ty, Misiu, kochanie - nie, nie mogę znieść tego imienia - dziecino, kochanie, dlaczego dałaś kopa swojemu mężowi?

- Stwierdziłam, że to skończony kutafon. Skurwiel pierwsza klasa, rozumiesz? Wiem, że nie można winić faceta za jego charakter - można mieć pretensje do siebie za swój wybór. Ale do diabła z tym. Gdybyśmy dalej byli małżeństwem, nie byłoby mnie tutaj, a ta myśl, sama możliwość, że ten szczególny dzień w życiu przeszedłby mi koło nosa - to nie do pomyślenia... całkowicie wykluczone! Och, Sam, a gdybym nie kupiła tej butelki? - zapytała Billy, uderzona nagłą myślą, jak wiele zależało od zakupu, którego dokonała w ostatniej chwili.

- Daj spokój. Wiem, że szukałbym sposobu, żeby z tobą porozmawiać, od chwili kiedy cię zobaczyłem. Butelka była wspaniałym pretekstem.

- Czy to naprawdę chińska buteleczka apteczna, Sam?

- Spójrz na to w ten sposób - dlaczego nie? Kochanie, jeżeli chcesz znać prawdę, trzeba będzie zapytać eksperta. Nie mam pojęcia.

* * *

Billy wróciła do Ritza w poniedziałek wczesnym rano, zostawiwszy Sama, który - zgodnie ze swoim zwyczajem - krzątał się w pracowni niemal od świtu. Na stoliku w salonie czekała na nią sterta telegramów i zaproszeń. Przejrzała je niecierpliwie, rzuciła na biurko i przysiadła na kanapie, żeby pomyśleć. Z takich świstków składało się całe jej życie, którego nie może nadal prowadzić, jeśli chce być z Samem. Sądził, że zamierza spędzić dzień w Bibliothèque Nationale. Obiecała mu, że wróci ze szlafrokiem i ubraniami o czwartej, kiedy Sam zwykle kończył pracę.

Wzięła zielony przewodnik Michelina po Paryżu. Miała go zawsze

pod ręką, planując wycieczki do muzeów, na które do tej pory nie znalazła czasu. Na jednej ze stron odszukała potrzebną mapę. Czerwonymi krzyżykami zaznaczyła trzy miejsca - plac des Vosges, plac Vendôme, przy którym mieścił się Ritz, oraz ulicę Vaneau. Krzyżyki utworzyły szeroko rozwarty trójkąt, z placem des Vosges w najodleglejszym wierzchołku na północ od Sekwany. Był to najdalej wysunięty na wschód rejon historycznego Paryża, równie odległy od Ritza na prawym brzegu i od ulicy Vaneau na lewym. Zakreśliła koło wokół Marais, omijając Pont Neuf - popularny przystanek na szlaku turystycznym Paryża. Z nadejściem wiosny wielu znajomych będzie pewnie spacerować Pont Neuf - pomyślała, rozpaczliwie pragnąc, by nikt nie uznał wiosennej wycieczki do Paryża za niezbędny element światowego życia.

Czy nie przyszło ci do głowy - zastanawiała się - że mieszkanie w zrujnowanej, niegdyś królewskiej dzielnicy Marais właśnie zaczyna być modne? Sława Marais jako dzielnicy mieszkalnej osiągnęła szczyt w XVII wieku, lecz za panowania Ludwika XVI szlachetnie urodzeni przeprowadzili się do zachodniej części miasta. Po rewolucji francuskiej Marais popadło w zapomnienie na blisko dwieście lat. Czy to nie pech, że kiedy wreszcie znalazła mężczyznę, który kochał ją dla niej samej, okazało się, że mieszka on w samym sercu tej części Paryża, którą ogarnęła najnowsza moda wynajdywania i remontowania starych domów?

A jednak zainteresowanie Marais było jeszcze świeże. Co innego, gdyby Sam miał pracownię naprzeciwko Diora. Powiedział jej też, że po długich godzinach pracy znajdował w Marais dość kafejek i barów, by prawie wcale nie opuszczać dzielnicy, zwłaszcza że dotarcie z Marais do innych miejsc w Paryżu autobusem lub metrem było trudne, taksówką zaś

- prawie niemożliwe.

Dziś rano minęły trzy kwadranse, zanim jej taksówka przedarła się z ulicy de Rivoli do Ritza.

Wilhelmino Hunnenwell Winthrop, rusz głową! - nakazała sobie. Kłamstwem utorowałaś sobie drogę do podwójnego życia i nie masz już odwrotu. Gdyby tylko nie była tak szaleńczo lekkomyślna, tak obłąkanie nieprzytomna, tak przepelniona tym szczególnym rodzajem niebezpiecznego erotycznego podniecenia, które nie dba o konsekwencje! Musiała przestać myśleć o jego mocnych, tak już ukochanych wargach, rozbawionym, powolnym tonie głosu i niesamowicie zachwycających wyżłobieniach policzków. Musi przestać, przestać w tej chwili. Przestać i pomyśleć, co trzeba zrobić.

Na kobietę, którą Sam poznał dwa dni temu, nikt nie patrzył takim wzrokiem od czasu, kiedy Ellis Ikehorn przystanął, by przyjrzeć się dokładnie dwudziestojednoletniej sekretarce. Sam spotkał kobietę, zwykłą istotę ludzką, to samo stworzenie, którym była siedemnaście lat temu, nie znane nikomu oprócz Jessiki, Dolly... i, prawdę powiedziawszy - Spidera Elliotta, którego nie obchodziło, że stworzenie to nazywa się Billy Ikehorn i mogłoby kupić całego Ritza, gdyby tylko sułtan Brunei, najbogatszy człowiek świata, który wszedł właśnie w jego posiadanie, zechciał go odsprzedać.

Dla Sama Jamisona nie istniała Billy Ikehorn, jej życie i wszystko to, co sobą przedstawiała. Takiej osobie nie miałby zapewne nic do powiedzenia i związek z nią na pewno nie przyszedłby mu do głowy.

Byli przecież związani. Blisko związani. Zakochani? Zakochani w miłości? Zakochani w wiecznie żywej legendzie kwietniowego Paryża?

Nie potrafiła wyrazić tego dokładnie. Bała się, że będzie bardziej szalona niż dotychczas - to były dwie najbardziej nierozsądne doby w jej życiu - ale nic na świecie nie mogło jej powstrzymać przed tym, by być z nim dziś i jutro, i pojutrze. To wystarczy. Sam Jamison pochłoniął ją całkowicie. To było coś więcej niż seks. Po rozwodzie miała kilka przelotnych miłości, ale seks nie zagłuszył jej strachu, że może stać się celem, przedmiotem. Seks nigdy nie wystarczył, by zatrzymać ją u boku mężczyzny, w którym podejrzewała oportunistę. Wilhelmino Winthrop, jeżeli nie przestaniesz myśleć o nocy, którą spędzisz z Samem, nigdy niczego nie zaplanujesz.

Billy poderwała się na odgłos delikatnego pukania do drzwi. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, nim zdążyła wydobyć z siebie głos, i stanęła w nich *gouvernante*, dźwigając ogromny wazon pełen pierwszych jasnopomarańczowych tulipanów, które Ritz kupuje co tydzień tysiącami. Każda część hotelu miała swoją *gouvernante* - młodą, przystojną, elegancko ubraną i niezwykle sprawną kobietę, władającą co najmniej sześcioma językami, której życiowym posłannictwem było pilnowanie, czy cały personel wykonuje swoje obowiązki bez zarzutu i czy dba należycie o zaspokojenie wszelkich potrzeb gości.

- Och, pani Ikehorn, proszę mi wybaczyć. Sądziłam, że w pokoju nikogo nie ma. Pokojówki powiedziały mi, że sprzątały tu przed chwilą i zauważyły, że nie wszystkie kwiaty są świeże.

- Niedawno przyszłam, mademoiselle Helene - powiedziała Billy. - Dziękuję pani. Proszę postawić je na stole.

Wzrok mademoiselle Helene zatrzymał się dłużej na różach na kominku. Billy wiedziała, że - pozostawiona samej sobie - sprawdzi, czy wszystkie kwiaty, stawiane zazwyczaj w Apartamencie Windsor, są

idealnie świeże. Jednakże Helene zbyt dobrze znała swoje obowiązki, by nie zauważyć, że Billy chce być sama. Uśmiechnęła się więc tylko i opuściła pokój.

Billy podniosła się szybko i zaczęła przechadzać się między oknami wychodzącymi na plac Vendôme. Ritz - pomyślała - cholerny, cudowny Ritz! Żyło się tu jak w domu u boku rodziców i dwóch setek służących, których jedynym zajęciem było dbanie o twoje przyjemności, jeśli - rzecz jasna - wiedzieli, gdzie w danej chwili jesteś.

Mieszkała tu już osiem miesięcy, od września zeszłego roku z wyjątkiem świąt Bożego Narodzenia spędzonych w Nowym Jorku. Przez ten czas jej apartament stał pusty. Dziś rano pokojówki musiały zauważyć, że nie spała w swoim łóżku. Pomyślały pewnie, że wyjechała na weekend. Gdyby noc spędzała u Sama, upłynąłby następny tydzień, a może i mniej, zanim *gouvernante* zostałaby powiadomiona o tym, że Billy nie sypia w Ritzu. Jeszcze kilka dni i mademoiselle Helene zaczęłaby się niepokoić. Troska o gości to jej zawód. Z pewnością zauważyłaby każdą zmianę, zwłaszcza że czteropokojowy Apartament Windsor kosztował tyle, że niewielu gości opuszczało go na noc. Mademoiselle Helene była zbyt taktowna, by ośmieliła się zapytać madame Ikehorn, dlaczego płaci kilka tysięcy dolarów na dobę za hotelowy apartament, z którego nie korzysta, ale żadne wycucie taktu nie powstrzyma jej od wyciągania właściwych wniosków. Billy westchnęła, kiedy zrozumiała, że nie ma sposobu, by hotel nie huczał od plotek.

Znajomi kelnerzy hotelowi, którzy co rano przynosili jej śniadanie, i ci z drugiej zmiany, którzy przynosili jej mocną herbatę, kiedy co wieczór przebierała się do kolacji, zostawialiby sobie wiadomości. Recepcjonista,

odpowiedzialny za skrytki sejfów z depozytami, zacząłby zastanawiać się, co się z nią stało, gdyby przestała pojawiać się co wieczór w drzwiach windy, w wieczorowej sukni i bez klejnotów, które brała, gdy były jej potrzebne, podpisując kwit za każdym razem, kiedy otwierała skrytkę i kiedy z powrotem oddawała swoją biżuterię w depozyt.

Jej kierowca Robert, który w tej chwili czekał na nią przed hotelem, sądził, że zawiezie ją jak zwykle na ulicę Vaneau i z powrotem do Ritza, żeby mogła się przebrać. Potem będzie gotów, by zawieźć ją na obiad i znów do Ritza. Za ladą recepcji będą gromadzić się wiadomości: sterty notek, listów i zaproszeń będą posyłane na górę i wsuwane pod jej drzwi. Trzy recepcjonistki ze zmiany dziennej i trzy ze zmiany nocnej, które zawsze widywała, wkrótce się dogadają. Nie minie tydzień, a wszyscy - od głównego zarządu Ritza po ostatniego z kucharzy, który co rano przyrządzał jej ulubioną jajecznicę, dowiedzą się, że łajdaczki się po nocach.

Nikt nie powie ani słowa. Nikt nie ośmieli się nawet stwarzać pozorów, że coś wie. Dopóki płaciła rachunki, Ritz zapewniał jej całkowitą swobodę wychodzenia i przychodzenia, kiedy chce i ubierania się, jak jej się podoba. W sferze akceptacji i fizycznego komfortu nie było nic, czego nie można by natychmiast kupić w Ritzu za pieniądze. Z wyjątkiem dwu rzeczy, pomyślała Billy. Trzeba zawiadomić ich z kilkugodzinnym wyprzedzeniem o zamiarze wydania typowej amerykańskiej kolacji w Święto Dziękczynienia, bo we Francji rzadko jada się indyka, sos żurawinowy i słodkie ziemniaki. I za żadne skarby nie można kupić sobie prywatności.

Wąchając świeże tulipany i stwierdzając, że - jak zwykle - nie

pachną, zastanawiała się, co powinna zrobić. Mogła, rzecz jasna, zniknąć ze świata Ritza i przeprowadzić się do innego luksusowego hotelu bez zbędnych wyjaśnień. Jednakże wszyscy recepcjoniści wszystkich znakomitych hoteli Paryża znali się. Wszyscy należeli do tej samej organizacji zawodowej Clefs d'Or i nie trzeba by długo czekać, by personel już nie jednego, lecz dwóch wielkich hoteli wiedział wszystko o jej poczynaniach.

Trudno byłoby choćby przewieźć bagaż, tuziny waliz, by nikt o tym nie wiedział. Co więcej, Billy musiałaby zawiadomić Gigi, Jessicę, Josha Hillmana, swojego dostawcę i kilku nowych przyjaciół, którzy, nie mogąc się z nią skontaktować, sądziliby, że zniknęła z powierzchni ziemi.

W rezultacie Josh bombardowałby hotel pytaniami, a nie doczekawszy się zadowalającej odpowiedzi wsiadłby w najbliższy samolot. Inny hotel skomplikowałby wszystko jeszcze bardziej. Chyba że... Chyba że byłby to taki hotel, w którym nikt nie zwróciłby na nią uwagi, nikt nie zauważyłby jej obecności, w którym jej nazwisko w paszporcie, wymaganym przy każdej rejestracji w każdym francuskim hotelu, nic by nikomu nie mówiło. Albo bardzo wielki komercyjny hotel, albo mały nieznaną pensjonat w małej uliczce.

Billy rozważała różne możliwości. Sam dowie się w końcu, gdzie mieszka. Nie mogła tak po prostu wymykać się, jak zrobiła to dziś rano, do jakiegoś hotelu, którego nazwy udało się nie wymienić. Było mało prawdopodobne, że nauczycielka na urlopie naukowym zatrzyma się w jednym z wielkich hoteli sieci Hiltona lub Sofitel. Poza tym większość dużych hoteli znajdowała się w centrum Paryża. Zwiększało to ryzyko spotkania z kimś ze znajomych, z kimś, kogo mogłoby zastanowić jej

pojawienie się w tak niezwykłym miejscu. A jeśli, uchojaj Boże, wychodząc z jakiegoś Sofitelu wpadnie na Susan Arvey?! Trzeba by kłamać przez co najmniej pół godziny, by stworzyć wrażenie, że to był zwyczajny przypadek.

Dlaczego ludzie chcą być bogaci i sławni? Wygląda to wspaniale, dopóki nie pragnie się zniknąć i po prostu kochać, kochać i być kochanym tak, by twój kochanek nie wiedział, kim naprawdę jesteś.

Zatem - mały hotel. Wynajmie pokój w hoteliku, w którym jest za mało personelu, by przejmować się tym, kto wchodzi i wychodzi. W takim hotelu, w jakim Sam spodziewałby się ją znaleźć. Zatrzyma apartament w Ritzu, żeby odbierać przesyłki i zachować pozory życia, które stworzyła sobie w Paryżu. Powie Samowi, że mieszka w pensjonacie, a Ritz, w którym będzie sypiać dwa razy w tygodniu, pozostanie jej kwaterą główną.

Naprawdę nie obchodzi jej to, że personel i zarząd Ritza dowiedzą się, iż zatrzymała Apartament Windsor i rzadko w nim sypia. W te wieczory będzie prowadzić swoje życie towarzyskie w Paryżu, zredukowane do niezbędnego minimum. Będą uważać ją za snobkę, a może tylko za odludka. Nie będzie przejmować się tym gadaniem, bo stworzy sobie nowy świat, a ci ludzie nic dla niej nie znaczą. Co do personelu Ritza, była pewna, że widywano tu już gości, którzy zachowywali się znacznie dziwniej i bardziej podejrzanie. Kiedy już szczegółowo przedyskutują fakt, że spędza noce poza hotelem, zapomną w końcu o tym, jak o jeszcze jednej przelotnej miłostce. Hotelik będzie czymś w rodzaju garderoby, miejscem przesiadki między tożsamościami. Będzie w nim przechowywać swoje ubrania i kosmetyki nauczycielki. Gdyby Sam chciał ją odwiedzić w jej pokoju, nie spotka go żadna

podejrzana niespodzianka. Będzie tu trzymać książki i gazety, błyskotki, bieliznę, buty... same odpowiednio dobrane rzeczy, które kupi w ciągu kilku godzin.

Oddychając z ulgą, Billy rozebrała się, by wziąć długą, gorącą kąpiel. Otulona peniuarem patrzyła, jak wanna napełnia się wodą. Rozwiązanie problemu odprężyło ją, więc przyglądała się bezmyślnie wodzie tryskającej ze złotych kurków w kształcie łabędzi. Nagle, po dwóch dniach całkowitego zapomnienia, przypomniała sobie o domu przy ulicy Vaneau.

Cholera! Nie! Przegapiła spotkanie z majstrem budowlanym, z którym miała przejrzeć ostateczny projekt nowej kuchni. Specjalista od renowacji stiuków w całym domu miał zjawić się za godzinę. Dzisiaj mieli też przyjść straszliwi inspektorzy z miejscowego wydziału elektrycznego, by sprawdzić nowe przewody, a był to zaledwie początek przedsięwzięć, które postanowiła nadzorować.

Billy błyskawicznie zakręciła krany i bosy pobiegła do telefonu. Nie chciała zatrudniać dekoratora, ale utkwilo jej w pamięci jedno nazwisko: Jean-François Delacroix, młodzieniec, który kilka lat temu zaczął pracować na własną rękę po intensywnym szkoleniu u Henri Samuela, króla paryskich architektów wnętrz. Kilka pań, których gust ceniła, rozpływało się nad jego oryginalnością. Dodzwoniła się do niego po kilku minutach przy pomocy ulubionej recepcjonistki.

- Panie Delacroix, mówi Billy Ikehorn. Jestem... och, przecież pan wie... po co komplikować sprawy. Proszę mi powiedzieć, czy podejmie się pan dopilnowania renowacji i dekoracji wnętrz dość dużego, dwudziestopokojowego domu przy ulicy Vaneau? Czy może pan zacząć

natychmiast? Dzisiaj?

- Ależ, madame... madame Ikehorn, przede wszystkim powinniśmy się spotkać, obejrzeć dom i przekonać się, czy dobrze się rozumiemy, czy mamy podobne gusta...

- Wcale nie - przerwała szorstko Billy. - Słyszałam o panu wiele dobrego. Rzecz w tym, czy może pan zacząć natychmiast? Jeżeli ma pan inne zajęcie, proszę mi powiedzieć.

- Znajdę czas, madame. Jest jednak wiele pytań, na które może odpowiedzieć tylko klient: budżet, styl - nowoczesny czy antyczny, rustykalny czy miejski, ascetyczny czy klasyczny, elegancki czy swobodny, subtelny czy śmiały, sprawa sztuki, rola fantazji... mógłbym mówić o tym godzinami...

- *Monsieur*, proszę, niech pan przestanie. Nie chcę sztywnych francuskich mebli, złocień, minimalizmu ani niczego ostentacyjnie nowoczesnego. Niech pan wydaje tyle, ile trzeba. Poproszę bankierów w Chase, żeby otworzyli dla pana konto. Poza tym, *monsieur* Delacroix, proszę zrobić mi niespodziankę!

- Ależ, madame...

- Tak?

- Czy spotkamy się któregoś dnia?

- Oczywiście. Wkrótce, niewątpliwie niedługo, ale... Nie potrafię tego przewidzieć. Ważne jest, żeby przejął pan obowiązki. Natychmiast, kiedy pan dotrze na miejsce. Zadzwoń do swojego majstra i powiadom go o pańskim przybyciu. Muszę też ostrzec pana, że dzisiaj zjawia się tam inspektorzy z wydziału elektrycznego.

- Niestraszni mi tacy urzędnicy, madame.

- Zatem potrzebuję właśnie takiego człowieka jak pan. Do widzenia, *monsieur*.

- A bientôt, madame! - zakończył Jean-François z nadzieją, kiedy Billy odkładała słuchawkę.

Facet myśli pewnie, że zwariowałam, powiedziała do siebie, odkręcając ponownie kurki. Które z jej spódnic i spodni nadawałyby się dla nauczycielki? Które z bluzek i swetrów budziły zaufanie? Czy bielizna nie jest zbyt wyszukana? Czy może powiedzieć, że to pożegnalny prezent od koleżanek ze szkoły? A buty? Czy powie, że dostała forszę w spadku, żeby wytłumaczyć istnienie kosmetyczki wraz z niezbędną zawartością? A może powinna kupić plastikowe butelki i pojemniczki, wrzucić je do plastikowej torby i próbować wytłumaczyć się z zegarka, kilku najprostszych par kolczyków i naszyjnika z pereł spadkiem po cioci Kornelii? Ciocia Kornelia zrozumiałaby wszystko. Zrozumiałaby... Robert!

Billy zabrakło tchu, kiedy pomyślała o słabym ogniwie łańcucha. Jej kierowca Robert spędzał wolny czas plotkując z innymi kierowcami i portierami z Ritza. Billy musi poruszać się jakoś po mieście, od hotelu, który trzeba jeszcze znaleźć, do Marais, z powrotem do Ritza i w końcu na ulicę Vaneau, bo nie może przecież pozwolić na to, by *monsieur* Delacroix zaczął rozwodzić się głośno nad swoją zwariowaną klientką.

Dobry Boże, czy którakolwiek kobieta musiała pokonywać takie trudności? Jak innym ludziom udawały się sekretne romanse? Byłoby znacznie łatwiej, gdyby mogła być sobą, a nie Misia Winthrop. Przez chwilę Billy wyobraziła sobie, że mówi Samowi prawdę, lecz nie udało się jej wywołać w myślach żadnego obrazu. Nie przychodziły jej do głowy

żadne słowa.

Będzie musiała mu wreszcie powiedzieć. Nie może tak postępować bez końca, ale nie teraz, jeszcze nie, dopóki nie poznają się na tyle dobrze, że ta prawda straci jakiegokolwiek znaczenie. A może tej miłości - jeśli była to miłość - nie jest dane przetrwać i wyjawienie mu prawdy nie będzie potrzebne? W każdym razie nie może tego zrobić teraz, a to oznacza, że Roberta trzeba zwolnić. Jeśli zatrzyma kierowcę, będzie on jedyną osobą na świecie, która będzie wiedzieć, co się święci, gdzie i z kim. Szybko pokojarzy fakty i z pewnością podzieli się wiadomościami z innymi szoferami.

Biedny Robert... da mu sowitą odprawę, kiedy zawiadomi go, że rezygnuje z jego usług.

Znajdzie jakąś agencję, samochód i nowego kierowcę, który będzie zabierał ją z różnych wyznaczonych przez nią miejsc, otrzymywał wskazówki, kiedy ma po nią przyjechać, i patrzył, jak znika za rogiem. Jeżeli wzbudzi jego ciekawość, jeżeli choć raz spróbuje ją śledzić, odkryje to od razu i natychmiast zastąpi go innym. Będzie płacić mu gotówką. Nigdy nie pozna jej nazwiska. Rozwiązawszy tę kwestię, odetchnęła z ulgą.

Billy stwierdziła, że stoi nadal w łazience, patrząc na napełnioną do połowy wannę, nie wiedząc, czy już się kąpała, czy nie. Wszystko jedno. To bez znaczenia. Była oszołomiona obudzoną na nowo żądzą, owładnięta pragnieniem dręczącego cielesnego pożądania, objawionym na nowo nieposkromionym apetytem, który mógł zaspokoić tylko Sam Jamison, który mogły nasycić tylko jego śmiałe ręce i usta, który mogło ukoić tylko złączenie jego ciała z jej ciałem.

Siekana wątróbka. Dolly Moon stała w kuchni przy zamkniętych drzwiach lodówki, myśląc czule i namiętnie o siekanej wątróbce. Nie przyszłoby jej nawet do głowy dobrać się do wielkiej przykrytej miski pełnej wątróbki, stojącej w lodówce na drugiej półce. Wątróbka była przeznaczona na dzisiejszy wieczór, na tradycyjną kolację Jom Kippur, kończącą post żydowskiego Dnia Pokuty, którą zamierzali wydać razem z Lesterem. Lester z rodzicami był jeszcze, tak jak wczoraj wieczór, w synagodze, by modlić się, słuchać rabina i pościć. Jakim cudem mogę w ogóle myśleć o siekanej wątróbce? - zastanawiała się Dolly. Trzeba być istnym niegodziwcem, by tak stać i ślinić się na samą myśl o wątróbce, którą przygotowała dziś rano.

Biorąc przepis z ulubionej świątecznej koszernej książki kucharskiej, usmażyła półtora kilograma wątróbki w kurzym smalcu, starając się bardzo, by nie była zbyt twarda. Usmażyła też w jeszcze większej ilości kurzego smalcu dziewięć pięknie posiekanych cebul, starając się, by przyrumieniły się ślicznie, ale nie przypaliły. W wielkiej drewnianej misce tasakiem o podwójnym ostrzu posiekała wątróbkę i cebulę, dodając tuzin jaj na twardo i jeszcze więcej kurzego smalcu, dopóki wilgotna masa nie osiągnęła odpowiedniej konsystencji, niezbyt grubej, ale i niezbyt drobnej siekaniny.

Na myśl o własnej szlachetności w kącikach wielkich błękitnych oczu Dolly zalśniły łzy, mącąc jej zwykłe spojrzenie pełne nieustannego zdziwienia i szczęścia. Nawet nie spróbowała siekanej wątróbki, by sprawdzić, czy jest dość słona. Zleciła to zadanie kucharzowi, bo doskonale wiedziała, co się stanie, jeśli tknie wielkiego kopca. W

mgnieniu oka zniknie połowa, pomyślała Dolly z rozrzewnieniem. W mgnieniu oka.

Miała na sobie peniuar z lawendowej satyny, suto przybrany koronką. Jasne włosy nakręciła na wałki, a na jej smutnej, lecz zaróżowionej twarzy nie było śladu makijażu. Kąciki zbyt pełnych, sławnych ust wygięły się w podkówkę. Nawet zbyt wielkie piersi i zbyt wielki tyłek, bez których nie byłaby Dolly Moon, najulubieńszą na świecie aktorką komediową, zdawały się wyrażać melancholię. Za jej plecami wielka kuchnia roiła się od kucharzy, obojętnych na jej ciche święto, bo dzisiejsza kolacja była radosnym wydarzeniem i trzeba było jeszcze upiec żeberka i faszerowane kurczaki, przygotować dziesiątki przystawek, wykwintne ciasta i torty. Dolly i Lester zaprosili dużą grupę przyjaciół oraz całą rodzinę Lestera, by świętować z nimi koniec postu.

Od dziesięciu dni, myślała Dolly, wyobrażając sobie wielką misę pięknie posiekanej wątróbki przybranej siekaną pietruszką, od całych dziesięciu dni, od początku Rosz Haszana - żydowskiego Nowego Roku - jej teściowie, którzy przestrzegali nakazów religii, rozmyślali o stronie moralnej swojego życia, pokutując za grzechy i wybacząc tym, którzy ich skrzywdzili.

Miała nadzieję, że teściowa nie zalicza jej do tych ostatnich. Jakże by mogła po tym, jak Dolly wydała w zeszłym roku na świat bliźniaki, prawowitych Weinstocków, dwóch chłopców - Lestera juniora i Henry'ego. Wiedziała, że gdy wychodziła za mąż, Weinstockowie przyjęli ją i jej nowo narodzoną Wendy Wilhelminę - córkę chrzestną Billy - ze zrozumiałą rezerwą. Dolly nie była wymarzoną synową. Nic z tych rzeczy. Nieważne, że właśnie otrzymała Oscara. Nie byli uszczęśliwieni, idąc na

ślub swojego jedynaka z narzeczoną, która karmiła jeszcze dziecko jakiegoś kowboja z rodeo i nigdy nie zwracała sobie głowy myślą o poślubieniu go.

Teraz jednak, we wrześniu 1981 roku, trzyletnia Wendy była ich ukochaną pieszczoszką, a mali Lester i Henry, książątkami. Dolly była pewna, że kochają ją i są z niej dumni. Jej ostatni film, w którym grała u boku Dustina Hoffmana, przyniósł większe dochody niż inne komedie tego roku, a jej teściowie osobiście przyczynili się do sprzedaży co najmniej dwunastu biletów, obejrzawszy film sześć razy. Chodzili do kina w Westwood i ustawiali się w kolejce jak zwykli śmiertelnicy, ponieważ chcieli siedzieć wśród innych widzów i słyszeć ich śmiech na własne uszy. Nie, naprawdę ją kochali. W każdym razie to nie stan ich rodzinnych uczuć sprawiał, że stała przed lodówką, walcząc z pragnieniem otwarcia drzwi i nabrania malutkiego kawałeczka siekanej wątróbki choćby na czubek widelca.

To niemal pewne, że kucharz nie posolił jej jak należy. Nikt nie będzie jej otwarcie krytykował z tego powodu, ale gdy wrócą z synagogi - radośni, oczyszczeni z grzechu, zgłodniali - i wypiją szklanekę soku pomarańczowego lub pomidorowego, żeby uzupełnić poziom płynu w organizmie, zachwiany całodobowym postem, a potem wezmą się za siekaną wątróbkę, mogą doznać straszliwego rozczarowania, jeśli będzie niesłona.

- Dolly, spóźnisz się. - Jej rozmyślania przerwał pewny siebie głos młodej kobiety, która śmiałym krokiem weszła właśnie do kuchni.

- Proszę, zostaw mnie w spokoju jeszcze przez chwilę - błagała Dolly swoją osobistą asystentkę Janie Davis, chudą brunetkę, która potrafiła

pożreć podwójną porcję opiekanych żeberek i spalić kalorie podczas półgodzinnej rozmowy przez telefon. Nic dziwnego, zadumała się Dolly, wszystkie agentki są nieprzyzwoicie chude, tak jakby należało to do ich zawodowych obowiązków.

- Ależ, Dolly! Dzieciaki się budzą. Wiesz, że bliźniaki są znośne tylko przez godzinę dziennie.

- Są znośne przez dwadzieścia cztery godziny - Dolly pociągnęła nosem.

- Wiesz, o czym mówię - nalegała niewzruszona Janie.

- Tylko przez godzinę. Jedną godzinę!

Dolly rozważyła fakty. Na trawniku czekał fotograf z Poradnika Domowego, który wraz z dwoma asystentami chciał zrobić zdjęcie Dolly z trojgiem dzieci na okładkę marcowego numeru. Zrobił już zdjęcia samej Dolly, które miały ilustrować główny artykuł o Dolly Moon, wspaniale godzącej małżeństwo i macierzyństwo z karierą zawodową. Trzej ludzie ze studia Arveya, w którym Dolly kręciła swój najnowszy film z Robertem de Niro, stali przy fotografach w nadziei, że na coś się przydadzą. Na piętrze, w garderobie, specjalista od makijażu i fryzjer czekali, by się za nią wziąć. Na specjalnym wieszaku wisiała suknia, którą uszył dla niej Nolan Miller. Cudowna suknia, idealna dla najseksowniejszej cycatki na świecie. Nolan dostarczył suknię osobiście godzinę temu, bo w ostatniej chwili okazało się, że wymaga poszerzenia w pasie.

- Może powinnaś przestać jadać między posiłkami, Dolly - powiedział do niej ostrzegawczym tonem, a ona podniosła wzrok wysoko, wysoko ku jego przystojnej, uprzejmej twarzy i obiecała - tak, obiecała, że przestanie jeść. Tak, Nolan. Tak, słodziutki. Powiedziałeś mi, że jestem

prawie tak ładna, jak Jaclyn Smith, a ja obiecałam ci, że przestanę jeść między posiłkami. Jeśli nie przestanę, następnym razem, gdy przyjdę do ciebie do miary, będziesz wiedział, czy przestałam, czy nie.

Problem polegał jednak na tym, że Nolan jej nie przerażał. Sprawiał, że będzie wyglądać cudownie, nawet jeśli w tej chwili zje kawałek wątróbki. Nolan będzie dla niej uroczy, nawet jeśli w sposób widoczny przybędzie jej kilka centymetrów w talii. W całej jej postaci szczupła była tylko talia i jeszcze nos. Bóg powinien urządzić to tak, by przyrost wagi zaznaczał się przede wszystkim na czubku nosa - pomyślała tęsknie Dolly. Ogromniejący nos stanowiłby prawdziwą zachętę do odżywiania się tuńczykiem w sosie własnym i tofu.

Dolly stwierdziła ponuro, że brak jej motywacji. Lester kochał jeść. Spotkali się przy strudlu i flirtowali przy chińskim daniu, a kochali się pierwszy raz, gdy była w ósmym miesiącu ciąży, więc jak mógłby nie lubić jej okrągłości?

Na samą myśl o tym poprawił jej się humor. Siekana wątróbka nie przestała zaprzętać jej głowy, ale Dolly odzyskała dobry nastrój. Po ślubie Lester rzucił dziennikarstwo i krótko pracował u ojca. Wkrótce jednak zainteresowały go możliwości finansowe związane z wyszukiwaniem i wykupem słynnych czarno-białych seriali telewizyjnych. Wziął pożyczkę bankową, dzięki której założył swój własny interes. O ile się na tym znała, czekały go wspaniałe perspektywy.

I tak mieli więcej pieniędzy niż było trzeba. Dolly nie mogła uwierzyć w wysokość honorarium, które uzyskał dla niej agent - na podstawie jej wyraźnych żądań - kiedy ostatnio podpisywała trzyletni kontrakt z wytwórnią Arveya. To zabawne, że płacili tyle pieniędzy

głównie za jej chichot, jak sądziła w skrytości ducha, niezależnie od tego, ile entuzjazmu było w opiniach krytyków. Ale były pieniądze i była ona sama, zboląła, drżąca, czujna, niczym nałogowiec opętana pożądaniem małego kaska siekanej kurzej wątróbki. Z krakersem.

Motywacja? Gdyby była tu Billy, zadzwoniłaby do niej i otrzymałaby szybki wykład w dobrym starym stylu na temat liczby wybitnie szkodliwych kalorii w jednej uncji siekanej wątróbki, który przywołałby ją natychmiast do porządku. Ale Billy nie było w Stanach już od roku. Czasem pisała i niespodziewanie dzwoniła, ale wydawało się, że w jakiś nieokreślony sposób... traci kontakt z rzeczywistością... od prawie sześciu miesięcy. Porozumiewały się teraz rzadziej, ale nic dziwnego, skoro Billy była tak zachwycona życiem w Paryżu... Ilekroć rozmawiała z Dolly, wyglądało na to, że tryska radością. Paryż musi być naprawdę cudowny, stwierdziła Dolly, jeżeli tak odmienił Billy. W jej głosie znać było odprężenie, a jeśli choć trochę znała Billy Ikehorn, wiedziała, że nigdy nie pozwala sobie na relaks. Brak tej umiejętności miała w genach. Może to ma jakiś związek z Bostonem albo z tym, że do dwudziestego roku życia była gruba. Och, Billy, gdzie się podziewasz teraz, kiedy jesteś mi tak bardzo potrzebna?

- Dolly, ubieramy bliźniaki. Dolly, chodź na górę, daj sobie zrobić makijaż i fryzurę. Fotograf czeka, wszystko gotowe, a niania twierdzi, że może od trzeciej do czwartej bliźniaki będą grzeczne jak aniołki. Dolly! - nalegała Janie Davis, gotowa sprowadzić pomoc, jeśli będzie trzeba. - Jest już piętnaście po drugiej.

- Weź mnie za rękę, Janie - powiedziała Dolly, mocno zamykając oczy, by nie widzieć drzwi lodówki, za którymi znajdował się jedyny

przedmiot jej miłosnego pożądania. - Weź mnie za rękę i wyprowadź mnie z kuchni. Jeśli będzie trzeba, ciągnij mnie z całej siły. Wrócę do siebie, kiedy znajdę się na górze.

* * *

Spider Elliott podniósł oczy znad listu, którego napisanie przychodziło mu z takim trudem, i zamówił jeszcze jedną butelkę SeyBrew - miejscowego piwa, które odkrył w przytulnej kawiarni w Victorii na wyspie Mahe, węzłowym punkcie Seszeli. Wyspy tworzyły archipelag na Oceanie Indyjskim w odległości około tysiąca mil morskich od wschodniego wybrzeża Afryki. Dzień wcześniej Spider i jego dwuosobowa załoga zarzucili kotwicę w Victorii z zamiarem spędzenia kilku nocy na lądzie i zaopatrzenia statku we wspaniałe miejscowe produkty.

Mimo iż Victoria znajdowała się kilka stopni na południe od równika, można z niej było wysyłać pocztę i mieć pewność, że dotrze do miejsca przeznaczenia, bo miasto było celem międzynarodowych wypraw turystycznych. Jeżeli podróżowało się dookoła świata, Mahe była punktem najbardziej odległym od Stanów Zjednoczonych i jednocześnie początkiem trasy powrotnej, marzeniem o dziewiczym pięknie, słynną ostoją ptaków, wspaniałym miejscem do nurkowania i podwodnych łowów. Przy stolikach wokół Spidera liczni turyści toczyli rozmowy po angielsku, francusku i w innych językach europejskich.

Pisząc w liście październikową datę 1981 roku, Spider zdał sobie sprawę z tego, że jego podróż trwa już blisko półtora roku. Nauczył się nie zwracać uwagi na czas, choć dni, tygodnie, a nawet miesiące łaskawie zacierały się w jego świadomości już od dawna. Przemierzył taką

przestrzeń, że przeszłość należała już do innego świata, a przyszłość przestała się liczyć. Istniała tylko teraźniejszość, rozwijająca się wolno, minuta po minucie, także i dziś.

Z nikim się jeszcze nie porozumiał. Był to pierwszy list, jaki napisał, odkąd wypłynął z Los Angeles. Zeszłej nocy wybrał się do kasyna w hotelu Beau Vallon Bay, natchniony niespodziewaną ciekawością, jakby to było znaleźć się znowu wśród ludzi. Kupił kilka żetonów, zagrał w ruletkę, przegrał i stwierdził, że w tłumie ogarnia go irytacja, nerwowość i drażniące uczucie dyskomfortu. Chciał już wyjść, kiedy natknął się na grupę uczestników rejsu, którzy zeszli ze statku zakotwiczonego w porcie. Kobieta, którą mętnie sobie przypominał, podeszła do niego, przywitała się, zaskoczona tym spotkaniem i wymieniła swoje nazwisko. Spider uprzytomnił sobie, że była jedną z pomniejszych klientek „Scruples”, zaopatrującą się w sklepie w prezenty pod choinkę. Była też pierwszą osobą, od której dowiedział się, że sieć domów „Scruples” - od Monachium po Hongkong - przestała istnieć.

Tej nocy Spider nie mógł zasnąć, rozmyślając o tym, czego się dowiedział. Postanowił wreszcie, że nie chce o tym więcej słyszeć. Jest jak jest. Jednak nagle przyszła mu do głowy myśl, która go nie opuszczała, choć starał się wmówić sobie, że to niemożliwe. Wreszcie postanowił, że napisze do Billy, żeby pozbyć się tej myśli i żyć dalej swoim życiem, wolnym od bólu - choć nie do końca - dzięki morzu i słońcu. .

- Czy mogę prosić o jeszcze jednego drinka? - zwrócił się Spider do kelnera, z uczuciem ulgi wkładając list do koperty. Spojrzał na kopertę z niedowierzaniem, że zmusił się do napisania, do przelania na papier myśli, od których uciekał, żeglując tysiące mil. - Tym razem chciałbym czegoś

mocniejszego niż piwo.

Droga Billy.

Wysłałam ten list do Josha Hillmana, bo nie mam pojęcia, gdzie teraz jesteś. Nie będzie mi łatwo wytłumaczyć ci, gdzie się znajduję, choć na żeglarskich mapach jest to dokładnie oznaczony punkt, ale podobno to miejsce jest najbliższe klasycznemu wyobrażeniu wyspiarskiego rajy na ziemi, a przez ostatni rok zostałam ekspertem od tak zwanych rajów. Większość z nich jest przereklamowana. Wierz mi.

W każdym razie wczoraj zszedłam na ląd po raz pierwszy od wielu tygodni i natknąłem się na kogoś, kto powiedział mi, że zlikwidowano wszystkie filie „Scruples”, nie tylko w Nowym Jorku i w Chicago. Po raz pierwszy, odkąd wyjechałam, spotkałem kogoś z Beverly Hills... Dotąd udawało mi się skutecznie unikać ludzi. Wyjeżdżając, nic o tym nie wiedziałem i - rzecz jasna - sądziłem, że nadal otwierasz za granicą jeden sklep po drugim.

Spędziłem długie godziny, starając się zrozumieć, po jaką cholere zamknęłaś wszystkie sklepy, zwłaszcza że prosperowały świetnie. Wreszcie przyszło mi do głowy tylko jedno dziwaczne wyjaśnienie, które ma jakikolwiek sens. Może nie ma żadnego powodu, żebym tak myślał, i pewnie wyobrażam sobie, Bóg wie co, ale na wszelki wypadek pomyślałem, że muszę do ciebie napisać, by ci powiedzieć: nie wolno ci w żadnym wypadku myśleć, że jesteś w najmniejszym stopniu odpowiedzialna za pożar w „Scruples”.

Nie rozmawialiśmy o tym, skąd wziął się ogień. W istocie nie rozmawialiśmy o niczym, ale chciałem i prawdopodobnie powinienem ci powiedzieć, że - moim zdaniem - sama Valentine przypadkowo zaproszyła

ogień.

Od czasów naszego spotkania w Nowym Jorku paliła niekiedy francuskie papierosy po skończeniu ciężkiej pracy, kiedy czuła się zmęczona lub tęskniła za Francją.

Czasami, kiedy nie mogła zasnąć, szła do pracowni, żeby się czymś zająć, nawet kiedy byłem w domu. Miała taki zwyczaj i nie mogłem jej tego oduczyć. Powiedziała, że to lepsze niż pętanie się po domu i zmuszanie się do snu. Jestem przekonany, że tamtej nocy poszła do „Scruples”, żeby pracować, skończyła pracę, zapaliła i zasnęła z palącym się papierosem. Pożar da się wytłumaczyć tylko w ten sposób.

O tym, że miała dodatkową pracę w związku z kostiumami do „Legendy”, nie powinnaś w ogóle myśleć. Musisz wiedzieć, że gdybyś nie dała jej tego zajęcia, znalazłaby sobie inne, bo zawsze miała mnóstwo roboty i lubiła brać się za nią w środku nocy, kiedy nikt jej nie przeszkadzał.

Może nikt na świecie nie wie tak dobrze jak ja, ile „Scruples” dla Ciebie znaczy. Mam nadzieję, że ten list to wariactwo, takie samo jak myśl, która przyszła mi do głowy tej nocy. Ufam, że miałaś po prostu dość prowadzenia tylu sklepów i wzięłaś się za coś innego... ale to chyba do Ciebie niepodobne. W każdym razie, jeśli pomyślisz, że zwariowałem, przypisz to nadmiarowi słońca i nie zwracaj na mnie uwagi. Jeśli nie, musisz, na miłość boską, zrozumieć, że nie zrobiłaś nic, co mogłoby spowodować ten pożar.

Nie mogę w to uwierzyć, że Beverly Hills nadal istnieje. Spędziłem większość czasu na morzu i stwierdziłem, że choć ocean jest wielki, trzeba być czujnym, bo inaczej ta miejscina cię dopadnie. Wraz ze swoją załogą

walczę o przetrwanie i to trzyma nas przy życiu. Może kiedyś gdzieś się zakotwiczę i założę coś w rodzaju klubu Med dla dzieciaków w bezpiecznym wieku przed okresem pokwitania.

Gdziekolwiek znajdzie Cię ten list, wierzę, że masz się dobrze, jesteś szczęśliwa i kwitniesz. U mnie też wszystko w porządku i jestem tak szczęśliwy, jak tylko można... przynajmniej nie jestem tym samym facetem, który wyjechał z Los Angeles, a to cholernie dużo. Przy okazji uściskaj ode mnie Gigi i Dolly. Pozdrów Josha. Kiedyś wrócę, ale nie wiem, kiedy. Ciebie także ściskam, Billy, gdziekolwiek jesteś. Byłoby fajnie, gdybym to Ciebie spotkał wczoraj wieczorem.

Spider

* * *

- Jeżeli kiedykolwiek miałabym wyjść za mąż - powiedziała Gigi do Saszy, wkraczając do mieszkania z podłużnym tekturowym pudłem przewiązany sznurkiem - przysięgam na wszystkie świętości, że związałam z kochankiem. Nic, nic na świecie nie zmusi mnie do tego, bym wystąpiła jako panna młoda na prawdziwym ślubie.

- Co takiego? - zapytała łagodnie Sasza, pokrywając paznokcie u nóg drugą warstwą lakieru. To był ich tradycyjny poniedziałkowy wieczór. Bez randek. Obie z Gigi zamierzały spędzić go razem w domu, spokojnie przygotowując się do zmuśnionego, wypełnionego romansami tygodnia. Gigi miała udzielić Saszy lekcji gotowania. Był jesienny wieczór października 1981 roku. Gdy Sasza szła do domu od przystanku autobusowego, wydawało jej się, że od wczoraj w powietrzu wyczuwa się zmianę. Wczorajszy dzień niósł ze sobą wspomnienie spóźnionego babiego lata, dzisiejszy - rytm i smak okresu przed Świętem Dziękczynienia.

- Dzisiaj po południu spotkałam się z Emily Gatherum, żeby zaplanować główną uroczystość weselną. Szkoda, że cię przy tym nie było. Matka panny młodej to wyniosła perfekcjonistka, która wyobrażała sobie ślub swojej córki ze wszystkimi wspaniałymi królewskimi szczegółami, odkąd mała skończyła dwa lata. Dodaj do tego nadzianego tatusia, chorobliwego skąpca, który nie ma nic przeciwko temu, żeby wydać kupę forsy na wesele dla trzystu osób, pod warunkiem że tę forszę będzie widać. Mamcia i tatuńcio nie rozmawiali ze sobą od rozvodu trzy lata temu. - Gigi zdjęła szyty na miarę żakiet od kostiumu, który jej szefowa, Emily Gatherum, kazała zawsze nosić w pracy w „Krainie Obfitości”. Rozsunęła zamek wąskiej spódnicy, rozpięła guziki prostej jedwabnej bluzki i zamaszystym ruchem zrzuciła z nóg czarne lakierki, które poleciały w kierunku sufitu. - Jakby tego było mało - ciągnęła - zaraz po rozwodzie tatuńcio poślubił swoją młodą asystentkę. To jedyna bohaterka dramatu, która z oczywistych względów nie wkroczyła dziś na scenę. Zjawiała się jednak matka pana młodego, niezwykle podejrzliwa i wyniosła wielka dama z ostatniego rodu w Ameryce, w którym nigdy, przenigdy nie było rozwodów. Siedziała, poruszając nozdrzami z wyniosłym niesmakiem, by było jasne, że jej jedynak jest stanowczo za dobrą partią dla tej biednej dziewczyny. Nic dziwnego, że przyszła panna młoda to emocjonalny wrak. Było mi jej żal. Jest rozdarta między ohydnyimi rodzicami i przyszłą teściową, której stara się przypodobać. Wyobraź sobie, jak to jest, kiedy trzeba łagodzić napięcia między taką trójką naturalnych wrogów. Ostatnim punktem dzisiejszego porządku było to, jak wyobraża sobie ślub sama panna młoda, a przecież to powinno być najważniejsze.

- Za bardzo się przejmujesz - powiedziała Sasza, wcale nie poruszona dobrze jej znanymi problemami Gigi. - Kiedy zaczynałaś pracę w „Krainie Obfitości”, nasza la Emily pozwalała ci tylko odbierać telefony, notować podstawowe dane klientów i przekazywać sprawę jej lub jednej z asystentek. Nigdy nie zapomnę twoich narzekań, że niczego się nie uczysz. Potem stopniowo, mniej więcej po tygodniu, pańcia Gatherum zrozumiała, co z ciebie za skarb. Nauczyła cię, jak funkcjonuje kuchnia, a ty zaprzyjaźniłaś się ze wszystkimi kucharzami. Pokazała ci, jak sporządzać menu; nauczyłaś się wszystkich szczegółów zleceń i tego, jak bez wiedzy klienta zarabia się na każdym listku pietruszki, który kupuje, i każdej łyżeczce, którą wypożycza. Teraz zajmujesz się organizacją małych przyjęć od początku do końca, przesiadujesz na wszystkich ważnych zebraniach poświęconych planowaniu, a mimo to bez przerwy narzekasz. Nie możesz spojrzeć na to z większym optymizmem? Nie upłynie wiele czasu, a Emily Gatherum pozwoli, żebyś sama prowadziła zebrania.

- Boże broń - żarliwie zaprzeczyła Gigi. - To właśnie zebrania organizacyjne doprowadzają mnie do szału... te nadzieje, pragnienia i ciche marzenia o miłości, które ludzie w to pakują. Cudownie to sobie wyobrażają, a nie mają pojęcia o zaopatrzeniu. Uważają, że z chwilą, kiedy wzięli głęboki oddech i postanowili wynająć „Krainę” do organizacji przyjęcia, mają kłopoty z głowy, bo zajmą się nimi doświadczeni ludzie. Sądzą, że weźmiemy na siebie wszystkie problemy związane z zabawą. W rzeczywistości sami komplikują sprawę, bo nie chcą i nie potrafią zostawić wszystkiego nam. Nie mogą wytrzymać, by nie mieszać się do każdej sprawy, z gotowaniem i podawaniem jedzenia włącznie.

Gigi pozbierała rozrzucone ubranie i zaniosiła je do sypialni. Po chwili wróciła ze szczotką w ręku, energicznie uwalniając chmurę złotorudych włosów ze schludnego koczka, w który układała je co rano za pomocą lakieru do włosów. Jej jasnozielone oczy śmiały się pod osłoną długich rzęs, które pokrywała codziennie trzema warstwami tuszu i nawet Emily Gatherum nie mogła jej tego zabronić. Gigi szybko uczyła się organizacji przyjęć. Wydawała się o całe pięć lat starsza od dziewczyny, która rok temu przybyła do Nowego Jorku, by zająć nowe mieszkanie i dzielić je z nową przyjaciółką.

Wykonała wielki nieunikniony krok w dorosłość i przekroczyła bezpowrotnie niewidoczną granicę dzielącą młode kobiety od prawdziwych kobiet. Skłonność do psot, która nadawała jej wygląd nastolatki, zniknęła, by ustąpić miejsca pikantnej dojrzałości, dojrzałości gibkiej i zwinnej, rozświetlonej radością i mocnym przekonaniem, że życie to świetna zabawa.

Gigi złagodniały rysy, które kiedyś czyniły z niej zuchwałą dziewczynę o impertynenckim wyglądzie. Niemal zadarty nos, niemal spiczaste uszy, małe usta o górnej wardze wygiętej w wesoły łuk, piękne powieki pod ostro zarysowanymi brwiami należały teraz do kobiety, którą jedni nazwaliby piękną, inni bardzo ładną, lecz nikt już nie nazwałby jej dziecinną. Nie zmieniło się jedno - urok dziewczyny epoki jazzu lat dwudziestych, który pierwsza dostrzegła Billy. Nieuchwytny czar smukłej sylwetki i piękny zarys czaszki czyniły z pracującej z poświęceniem Gigi nowe wcielenie wyidealizowanego podlotka, współczesną wersję rozszalałych, olśniewających, rozflirtowanych, nieodmiennie psotnych, szaleńczo roztańczonych, wariacko roześmianych, rozkwitających

młodych istot, które niegdyś łamały serca równie obojętnie jak oddychały.

- Czy wiesz, kto byłby idealnym klientem? - zapytała rozmarzona Gigi. - Człowiek interesu, kawaler. Najpierw określiliby budżet, potem podał wszystkie szczegóły, dał nam mnóstwo czasu na obejrzenie swojego mieszkania i zorientowanie się, jak wszystko ułożyć, zgodził się na jeden z trzech proponowanych zestawów dań. Nigdy nie zmieniłby zdania, nie żądał, by pokazać mu serwetki w dziesięciu kolorach i kieliszki do wina albo próbkę kompozycji kwiatowych i nie dostawałby hysterii w dzień przyjęcia.

- Ilu masz takich klientów? - zainteresowała się Sasza. - Jeżeli w nadmiarze, mogłabyś przedstawić mi kilku.

- Emily mówi, że miała kiedyś jednego takiego. To było zaraz po otwarciu agencji, ale do dziś go pamięta. Potem ożenił się z wykwalifikowaną kucharką, która sama organizowała mu przyjęcia i wynajmowała tylko kogoś do zmywania.

- Nieżonaci faceci nie wydają przyjęć, lecz na nie chodzą. W każdym razie nie organizują przyjęć przez agencje.

- Ale Zach nie jest żonaty i wydaje przyjęcia.

- Zach?

- Twój starszy brat, wiesz, o kim mówię.

- Zrozum, Gigi, że Zach jest inny - tłumaczyła cierpliwie Sasza. - Pracuje w teatrze, jest reżyserem. W dodatku nazywa się Nevsky i jest potomkiem rodu Orloff. Dla Zacha całe życie to przyjęcie. Zaproszenie kilku przyjaciół na drinka oznacza wódkę, wino i kolację dla dwóch tuzinów gości i towarzyszących im osób. I sami zmywają.

- Podoba mi się... takie życie.

- Do rzeczy, mała, do rzeczy - powiedziała leniwie Sasza, układając się z powrotem na stosie poduszek, by wysuszyć polakierowane paznokcie. Miała na sobie białą piżamę o męskim kroju, z ciężkiej satyny, z szerokim kołnierzem i drobno plisowanymi muślinowymi mankietami.

Na jednej z kieszeni były wyhaftowane inicjały - A.L. Piżama uszyta w 1925 roku była urodzinowym prezentem, który Sasza dostała od Gigi dziewięć miesięcy temu. Do prezentu Gigi dołączyła napisaną przez siebie kartkę:

Nie sądzisz chyba, że ktoś zmrużył oko w tej piżamie? Wiem przypadkiem, że jej właścicielka -jedni nazywali ją Antoinette, drudzy upierali się przy imieniu Lola - wkładała ją tylko wtedy, kiedy miała ochotę na wszystko tylko nie na drzemkę. Antoinette- Lola miała wielką hebanową kasetkę pełną klejnotów, głównie szmaragdów pasujących kolorem do jej oczu. Na jej jachcie z dwudziestoosobową załogą była tylko jedna kajuta. Kiedy wkraczała na salę balową, cała orkiestra podnosiła się z miejsc i grała „Sweet and Low Down” - piosenkę, którą bracia Gershwinowie napisali właśnie dla niej. Mąż Antoinette-Loli wiedział, że nie wolno mu pokazywać się w domu między piątą a siódmą, lecz mimo to był najszcześliwszym z ludzi. Co potrafiła Antoinette-Lola? Nic, czego nie potrafi Sasza. Chciałabym, żebyś nosiła tę piżamę i nie miała żadnych trosk.

Z najlepszymi życzeniami

Gigi

Pod listem Gigi naszkicowała ubraną w piżamę Saszę w najbardziej wyzywającej pozie, z długą cygarniczką, z nogami zaplątanymi w smycze trzech olbrzymich angorskich kotów.

Szukając czegoś wyjątkowego dla Saszy, Gigi zainteresowała się dawną bielizną. Teraz, gdy tylko miała wolną chwilę, przeczesywała targi z używanymi rzeczami i specjalistyczne sklepy z antykami, znosząc do domu dobrze zachowane skarby w postaci cienkich płócienek zdobnych nicianą lub jedwabną koronką. Wynajdywała jedwabne, szyfonowe i krepdeszynowe koszulki, majteczki, kamizelki, buduarowe czepki, peniuary, popołudniowe szlafroki, koszule nocne, a nawet przeplatane wstążkami gorsety. Ubierała się w nie, by zobaczyć, jak się w nich wyglądało, i chowała je pieczołowicie w wyznaczonej do tego celu szufladzie, owinięte w bibułę, by delektować się nimi w przyszłości.

Gdy tryumfalnie przyniosła kiedyś do domu jeden z pierwszych dwustronnych jednoczęściowych elastycznych gorsetów, zabytkowy przedmiot z 1934 roku, Sasza sprzeciwiła się zakupowi tak straszliwego przyodziewku. Gigi upierała się, że jego właścicielka błogosławiła zapewne jego wynalazcę, który wybawił kobiety od noszonych przedtem gorsetów fiszbinowych. Wyobrażała sobie, że każda część bielizny, którą przynosi do domu, ma swoją historię, każda mogłaby opowiedzieć coś cudownego, gdyby tylko można wsłuchać się w jej wibracje. Choć Sasza zaśmiewała się i mówiła, że Gigi staje się fetyszystką, kolekcja powiększała się ciągle o coraz bardziej kuszące i subtelne przykłady zapomnianych stylów.

- Sasza - zapytała Gigi z powagą w głosie - czy sądzisz, że staję się cyniczna?

- Bardzo wydorostałaś, odkąd zaczęłaś pracować. Ale cyniczna? Nie, nie wydaje mi się. Uważam, że cynik zżymałby się na samo wspomnienie ludzkiej dobroci czy uczciwości... a ty nie zżymasz się, lecz ciągle masz

nadzieję, że jej doznasz... Jeśli już, to jesteś całkowitym przeciwieństwem cynika - pokręconą optymistką czy czymś takim.

- Tak mówi Zach.

- Tak mówi?

- Tak - potwierdziła Gigi, zwijając się w kłębek na poduszkach u boku Saszy. - Kiedy mówię mu, że za każdym razem, gdy organizuję wesele, wydaje mi się, że to bzdura wydawać tyle pieniędzy, skoro istnieje tylko pięćdziesiąt procent szansy, że małżeństwo przetrwa, mówi, że jestem realistką, a realizm to dobra rzecz.

- Tak mówi?

- Mhm. A kiedy powiedziałam Zachowi, że uważam za niesmaczne urządzenie wystawnych przyjęć urodzinowych dla dwu- i trzylatków po to, by rodzice mogli pokazać, ile mają forsy, powiedział, że przemawia przede mną świadomość klasowa i powinnam się cieszyć, że ją mam, ale powinnam też zdać sobie sprawę z tego, że dzięki przyjęciom utrzymuje się wiele interesów, a wielu ludzi pracy zarabia pieniądze.

- Brzmi to poważnie.

- Tak. A kiedy rozmawiałam z Zachem o teatrze, powiedział, że powinnam spojrzeć na przyjęcia jak na rodzaj przedstawienia teatralnego i zdobyć się na uczuciowy dystans. Zach powiedział mi, że bym przestała przejmować się tak bardzo tym, czy gospodarze bawią się dobrze na swoich własnych przyjęciach, bo to oni je wydają i nie w tym rzecz, by sami dobrze się bawili. Zach powiedział, że powinnam martwić się tylko o to, czy gościom się podoba, bo goście to publiczność i całe przyjęcie organizuje się dla nich. Zach powiedział, że jeśli przyjęcie się uda, po jego zakończeniu gospodarze będą mieli dość czasu, żeby się nacieszyć, ale nie

ma żadnego sposobu, żeby nie denerwowali się podczas przyjęcia. Bardzo mi pomógł. Uspokoił mnie. Zach tak dużo wie. Nic dziwnego, że jest tak wspaniałym reżyserem.

- Tak uważasz, co?

- Och tak, Sasza. Zach jest naprawdę mądry - zapewniła Gigi. - Powiedział, że kiedy jest się profesjonalistą, niezależnie od tego, jak zachwycające wydaje się to, co się robi, trzeba stać się zwykłą pracowitą pszczołką, taką jak on i ja. Zach powiedział, że, z jednej strony, trzeba samemu pozbyć się złudzeń związanych z własnym zawodem - złudzeń, które sprawiły przecież, że się go wybrało - bo przede wszystkim poznajesz wszystkie wloty i upadki, orkę i pot, które się na te złudzenia składają, ale, z drugiej strony, tworzy się te złudzenia dla innych ludzi i to właśnie jest nagroda... to i sama radość tworzenia, sam proces.

- Kiedy rozmawiałaś z Zachem?

- Och, rozmawiałam niejeden raz. To nie była tylko jedna rozmowa.

- Rozumiem. Rozumiem. - Sasza skrupulatnie sprawdziła stan lakieru na paznokciach u nóg i stwierdziła, że już wysechł. - Gigi, co masz w tym pudełku? Wystarczy, że spojrzę, a już wiem, że kupowałaś bieliznę.

Gigi rozwiązała sznurek kartonowego opakowania i wyciągnęła strój niepodobny do niczego, co Sasza dotąd widziała.

- To nie bielizna - zawyrokowała.

- Bielizna. To śniadaniowa matinka - odparła Gigi, gładząc pieszczotliwie miękki ciemnoróżowy aksamit obszernej, długiej do bioder kurteczki. - Spójrz, ma podszewkę z beżowego plisowanego szyfonu, a to ciemne futro obszycia - jeśli wierzyć kobiecie, która mi to sprzedała - to syberyjskie norki. Czy nie jest boskie? Wyobraź sobie, że otulasz się tym

do śniadania, kiedy ogień na kominku nie ogrzał jeszcze pokoju. Zjedz jeszcze łośosia, najdroższa...

- Wygląda na twój rozmiar - powiedziała Sasza.

- Chodź tu i przymierz.

Gigi włożyła matinkę, szeroką w pachach i pozbawioną guzików, rozchylając się na orientalną modłę. Okręciła się dwa razy, przymykając oczy z rozkoszy. - Dam ją Jessice pod choinkę... będzie dla niej trochę za szeroka, ale może przecież nosić do niej pasek.

- Dlaczego nie zostawisz jej sobie? Jest dla ciebie w sam raz.

- Chciałam uporać się ze świątecznymi zakupami przed końcem miesiąca. Wiesz, ile pracy jest w Boże Narodzenie... Kiedy zacznie się listopad i ludzie pomyślą o przyjęciach świątecznych, nie wyrwę się z biura nawet na chwilę. Przed nami ostra harówka.

- Skoro o przyjęciach mowa, czy nie masz ochoty na kolację? Od lunchu minęło już sporo czasu, a całe popołudnie byłam na nogach, kupcząc stanikami i gaciami.

- Z wczoraj zostało mnóstwo potrawki z kurczaka po kreolsku - powiedziała Gigi. - Odgrzeję ją w kuchence mikrofalowej i już.

- Co? - Sasza nie wierzyła własnym uszom. - Powiedziałaś „z wczoraj”? „Odgrzeję”? Czy mówiłaś coś o kuchence mikrofalowej?

- Wiem, Sasza. Doskonale pamiętam, że zgodnie z planem dziś wieczorem powinnam udzielić ci lekcji gotowania, ale czy choć raz, ten jeden raz nie mogłabyś zjeść potrawy, której nie przyrządziłaś sama?

- Chyba mogłabym - zgodziła się niechętnie Sasza. - Ale to wbrew naszej umowie. Ja nie odwołuję swoich lekcji bez uprzedzenia.

- Sasza - odchrząknęła Gigi. - Sasza, myślę, że nigdy nie uda mi się

zostać Wielką Dziwką. Twoje lekcje to strata czasu.

- Aha! To dlatego nie chcesz uczyć mnie gotować!

- Nie, to zbieg okoliczności. Już dawno miałam ci to wytłumaczyć, ale nie chciałam psuć nam zabawy. Sasza, muszę wyznać, że nie potrafię spotykać się z więcej niż jednym facetem naraz - to takie... och, nie wiem... beznadziejne? Na pewno jest jakieś lepsze określenie, ale wiesz, o co mi chodzi. To wbrew mojej naturze. Słuchaj, przekonałam się o tym, więc przynajmniej nigdy nie przyjdzie mi do głowy, że coś straciłam. Brałam u ciebie lekcje, starając się zachować pozory, bo nie chciałam cię zawieść. Kiedy mi to wyjaśniłaś po raz pierwszy, brzmiało wspaniale, ale... wiesz, niezależnie od tego, co mi się wtedy wydawało, po prostu brak mi zdolności, ciągle się wycofuję i wiem, że nie jesteś tym zachwycona... więc myślę, że powinnam z tym skończyć.

- To nie znaczy, że przestaniesz uczyć mnie gotować - w tonie Saszy znać było stanowczość. Brzmiał surowo niczym kontrakt.

- Nie, nie, nie. Dam ci podwójne lekcje. Ile tylko zechcesz. Obiecuję - wyjęczała Gigi i - nadal w białym i matince - zniknęła w sypialni.

Sasza złożyła przybory do pedicure i opadła na sofę, rozważając sprawę kolacji z kuchenki mikrofalowej z większym spokojem. Właściwie dobrze się stało, że przepadnie lekcja gotowania, że nie trzeba będzie nakładać dzinsów i fartucha, i słuchać skomplikowanych wskazówek Gigi. I tak wie o gotowaniu więcej niż trzeba kobiecie. Ale nie zamierza tknąć kuchenki mikrofalowej.

To sprawa Gigi. Gigi nakryje do stołu i pozmywa. To będzie kara za jej niepowodzenia, za brak wytrwałości w wykorzystywaniu własnych szans.

Kiedy Gigi wróciła do salonu, Sasza obrzuciła ją badawczym spojrzeniem. Gigi miała na sobie strój wyjściowy. Ciemnozielone spodnie z szeroko prążkowanego sztruksu wpuściła w cholewki wysokich czarnych oficerek. Czarny kaszmirowy golf przewiązała w talii, spinając go szerokim pasem haftowanym złotem i srebrem, a różową aksamitną kurteczkę zarzuciła z wdziękiem na ramiona. Wyglądała jak mały rosyjski oficer armii carskiej - pomyślała zaskoczona Sasza, podnosząc się z sofy.

- A gdzie fartuszek, panno Orsini? Zdawało mi się, że trzeba odgrzać kurczaka.

- Och, Sasza, proszę cię. Czy mogłabyś zjeść dziś kolację sama? - zapytała Gigi błagalnym tonem.

- W poniedziałek? W poniedziałkowy wieczór, który mamy dla siebie? Nie mogę uwierzyć, że mówisz coś takiego!

- Mam... spotkanie... coś w rodzaju... randki - Gigi wycofywała się powolutku w stronę korytarza wiodącego do drzwi.

- Masz randkę? Z facetem? Oszalałaś? Wiesz, że w poniedziałek musisz mieć wolne! - Sasza podeszła do niej i zastąpiła jej drogę.

- Nie muszę, jeśli nie spotykam się przez cały tydzień z trzema różnymi facetami. Nie muszę, jeżeli decyduję się na monogamię - zbuntowała się Gigi.

- Tego się właśnie obawiałam. - Sasza potrząsnęła wzgardliwie swoją szlachetną głową, a jej długie czarne włosy rozsypały się na ramionach okrytych białą satynową piżamą. - Wszystkie moje nauki na nic. Wszystko przepadło. Nie powinnam zdradzać ci moich sekretów... ale to moja wina. Nigdy nie miałaś zadatków na dziwkę. Ani wielką, ani małą. Nie masz do tego serca. Zatem - masz randkę, tak? Któż to jest tak ważny, że

zostawiasz mnie na lodzie dla niego?

- Chcę się tylko czegoś dowiedzieć - broniła się Gigi.

- Nie pytam, co będziesz robić, ale z kim?

- Potrzebuję rady, fachowej rady, i dlatego wychodzę.

- Nie pytam, dlaczego idziesz na kolację. Pytam - z kim?

- Z kimś w rodzaju... Zacha.

- Na tym świecie nie ma nikogo, nikogo „w rodzaju Zacha” - zasyczała Sasza, a jej oczy zwęziły się z wściekłości. - I dobrze o tym wiesz, Gigi Orsini. Prawda?

- Dobra, mam randkę z Zachem, no i co?

- Cóż ja uczyniłam? O Boże, gdzie popełniłam błąd? Jak to możliwe, że coś takiego spotyka właśnie mnie? Ohyda! Obraza boska!

- Sasza, uspokój się i przestań wrzeszczeć! Co w tym złego, że spotykam się z Zachem?

- Powiedziałaś „monogamia”, wymówiłaś imię „Zach” i śmiesz pytać, co w tym złego? Ty dziwko!

- Powiedz, o co chodzi. Nie musisz mnie obrażać.

- Zach jest moim bratem. Moim! O to chodzi! Uwielbiam go! Jestem zazdrosna! O to chodzi!

- Przejdzie ci - pocieszyła ją Gigi. - Za kilka dni zrozumiesz, iż lepiej, że to ja niż ktoś obcy.

- Skąd wiesz? - zapytała dramatycznie Sasza. - Skąd ta pewność?

- Natura ludzka, Sasza - powiedziała Gigi, zamykając za sobą drzwi.

- Nawet ty ją masz.

- Och, uspokój się, Coro. Gdzie twój duch przygody? - Billy ciągnęła Corę de Lioncourt zatłoczoną uliczką Marché Saint-Honoré - targu z żywnością niedaleko Ritza - do Le Rubis, staromodnej kafejki i winiarni, w której lista win sprzedawanych na szklanki była długa na pięć stóp.

W zatłoczonej sali Billy znalazła stolik przykryty papierem i, kiedy usiadły, gestykulowała żywo tak długo, aż właściciel ją zauważył.

- Leon - wrzasnęła, przekrzykując zgiełk - dwie szklaneczki Beaujolais Nouveau i dwie kanapki *rillettes!*

Cora de Lioncourt cofnęła się ze wstrętem.

- Nie możesz zamawiać Beaujolais Nouveau. To wino taksówkarzy, Billy. Nikt go nie pija!

- Zasiedziałaś się w Nowym Jorku - roześmiała się Billy. - Coro, to największe święto od dnia zburzenia Bastylia... jest już tegoroczne Beaujolais Nouveau! Obudź się! Jest 15 listopada 1981 roku i w całej Francji ludzie zabijają się, żeby wypić pierwszą szklaneczkę... Specjalnie cię tu przyprowadziłam. Moje małe Beaujol to najmądrzejsze wino świata!

- Najtańsze - to pewne. Ale dlaczego najmądrzejsze?

- Szybko zrobione, *acheté, bu et pissé* - szybko i do rzeczy.

- Kupione, wypite i... wydalone. To czarujące. Moim zdaniem, równie dobrze można by pić sok winogronowy.

- Spokojnie, Coro. Nie doceniasz mojej znajomości rzeczy. Jest Beaujol i Beaujol. Przeważnie podłej jakości albo wymieszane z winem algierskim. Ale Le Rubis to jedno z niewielu miejsc, w których można mieć zaufanie do tego, co się pije. Leon zawsze kupuje u tego samego producenta. Bez pośredników. Może podać nam każde Beaujolais, jakie

tylko istnieje, więc jeśli kręcisz nosem na *mon petit* Beaujol, postawię ci szklaneczkę Moulin-à-Vent albo Côte de Brouilly, albo Saint-Amour, ale sama wypiję Nouveau. Spróbujmy tego *fromage fort*, co? Ta mieszanka Roqueforta i koziego sera to specjalność Leona - najlepiej wydobywa smak wina.

Oczy Cory rozszerzyły się z przerażenia, gdy patrzyła, jak Billy pije lekkie owocowe, ledwie sfermentowane wino, które można było wlewać w siebie bezkarnie. *Fromage fort! Rillettes* na dokładkę! Nie zamierza nawet tknąć tej wiejskiej mieszanki kawałków świeżo gotowanej wieprzowiny i zimnego smalcu - ulubionego dania niższych klas, jedzenia, którego przez wszystkie lata jej pobytu we Francji nikt jej nigdy nie zaproponował.

Cora bawiła w Paryżu od dziesięciu dni i okazało się, że niezwykle trudno umówić się z Billy na lunch. Teraz, kiedy już się spotkały, była pewna, że Billy weźmie ją do Relais Plaza - najmodniejszego baru w Paryżu, w którym dwie damy mogą zjeść lunch. Ale nie. Siedziały nawet nie w przyzwoitym bistro, ale w tej nędznej dziurze, w której kłębił się radosny tłum roześmianych sklepikarzy, sprzedawczyń, rzemieślników i robotników, a nawet zmiataaczy ulic, ożywionych długo oczekiwanym świątecznym nastrojem, podających sobie coraz to nowe szklaneczki ze świeżym winem nad samą głową Cory.

- Zjem twoje *rillettes*, jeśli nie masz na nie ochoty, Coro - zaproponowała Billy. - Czy poprosić Leona o menu? Robi dobre omlety.

- Proszę - szybko podała Billy swój talerz.

- Och, Coro, tak mi przykro. Nie podoba ci się tu, prawda? Myślałam, że taka odmiana będzie zabawna. Wiem, że to szaleństwo z Beaujolais to taki chwyt reklamowy, ale przynajmniej przypomina to

trochę nastrój naszego Święta Dziękczynienia. Chodź, znajdziemy jakieś spokojniejsze miejsce.

- Nie w tym rzecz, że mi się nie podoba. Po prostu trudno rozmawiać w tym hałasie - powiedziała wzburzona Cora, skrywając ulgę.

Kilka minut później, po szybkim spacerze do Ritza, obie panie zasiadły przy stoliku w hotelowej restauracji Espadon.

- Opowiedz mi o nowym domu - poprosiła z ożywieniem Cora. - Kiedy się wprowadzasz? Czy mogę go zobaczyć dziś po południu?

- Och, poczekajmy, aż będzie skończony - odparła niefrasobliwie Billy. - Nie mam jeszcze ani jednego mebla.

- Umieram z ciekawości, nawet jeśli nic w nim nie ma - stwierdziła Cora. Billy robiła zwyczajne uniki. - Jestem pierwszy raz w Paryżu, odkąd go kupiłaś - dodała z lekką naganą w głosie, a kiedy wyjadę, wrócę dopiero za kilka miesięcy. Muszę mieć o nim jakieś pojęcie, zanim wrócę do Nowego Jorku, albo ludzie zrobią z tego jeszcze większą sensację niż dotychczas.

- Chcesz powiedzieć, że w Nowym Jorku... plotkuje się o moim domu? Kogo to obchodzi?

- Oczywiście, że plotkują - powiedziała Cora, obnażając nieskazitelne uzębienie. - Biorąc pod uwagę, kim jesteś, należało się tego spodziewać. Czy zauważyłaś, że - w pewnym sensie - jeśli coś niezwykle intrygującego dzieje się w Paryżu lub Londynie, to samo dzieje się i w Nowym Jorku? Ludzie czują, że w tym uczestniczą. Poczują się do współwłasności. A ty wzbudziłaś jeszcze większe zainteresowanie, wypadając z gry.

- Nie wypadłam z gry, Cora - stanowczo zaprzeczyła Billy. - Tylko

w zeszłym tygodniu byłam na balu Rothschildów i na kolacji u państwa Polignac.

- Dwa przyjęcia tygodniowo? W listopadzie to tak jakbyś wcale nie bywała. Przecież to szczyt paryskiego sezonu, Billy. Zapraszają cię wszędzie. Tyle pań domu unieszczęśliwiłaś swoją odmową - Cora mówiła żartobliwym tonem, ale było jasne, że mówi poważnie.

- Chyba mam do tego prawo? - zapytała Billy, podnosząc nieco głos.

- Nie znoszę bywać częściej niż dwa razy w tygodniu. Nawet dwa wieczory oznaczają zajmowanie się bez końca strojami i włosami. Nie umiem sobie wyobrazić, jak kobiety, które wychodzą co wieczór, znoszą całą tę nudę. - Energicznie odłożyła łyżkę i dała się ponieść własnym słowom. - Wstają, telefonują i ubierają się na lunch. Po lunchu robią zakupy i mają nie kończące się przymiarki. Potem idą uczesać się na wieczór, wracają do domu, żeby przebrać się do kolacji, nakładają mocniejszy makijaż, wychodzą, przychodzą do domu, zdejmują ubrania, zmywają makijaż i idą spać po to, by następnego dnia zacząć wszystko od nowa. To całe ich życie, Coro. Ich całe życie! Jak mogą to znieść?

Twarz Billy ożywiało uczucie, którego Cora de Lioncourt nie potrafiła rozszyfrować. Czy naprawdę szczerze oburzał ją sposób spędzania czasu przez panie z towarzystwa, tak dla nich oczywisty? Czy zniescierpliwiała ją rutyna towarzyskich spotkań, choćby nie wiem jak wspaniałych i wystawnych?

A może... może, co najbardziej prawdopodobne, Billy skrywała rozczarowanie, że wszystkie poczynione przez nią przygotowania nie zaowocowały dotąd spotkaniem mężczyzny, którego nazwisko łączono by z jej nazwiskiem? Cora słyszała przecież, że od sześciu miesięcy Billy

proceedziła w Paryżu dokładnie takie życie, jakie przed chwilą opisała.

- To oczywiste, że takiej kobiecie jak ty, przywykłej do prowadzenia interesów, takie życie musi wydawać się ograniczone - powiedziała ostrożnie Cora. - Ale wierz mi, że jest wiele kobiet, które oddałyby wszystko, by móc prowadzić życie, które ty uważasz za puste.

- A ty?

- Wielkie nieba, nie! - zaprzeczyła Cora. - Kolekcjoner zawsze budzi się podniecony myślą o poszukiwaniach. To tak jakby pracowało się na pełnym etacie, z tą różnicą, że wydaje się pieniądze, zamiast je zarabiać. Zawsze uważałam, że jedynym sposobem, by być bogatym i ciekawym świata, jest kolekcjonować namiętnie - wszystko jedno co - albo być bardzo wybitnym w jakiejś dziedzinie, na przykład jakimś sporcie. Jestem pewna, że to tłumaczy zainteresowanie golfem.

- I brydżem.

- Dokładnie. No więc, kiedy wreszcie zobaczę ten tajemniczy dom? Pusty czy nie, nie spocznę, dopóki go nie zobaczę.

- Możemy wybrać się po lunchu - powiedziała Billy zrozumiawszy, że Cora nie ustąpi. Im szybciej to zrobi, tym mniej będzie musiała żonglować swoim życiem podczas pobytu Cory. A Cora rozpowie wszystkim sensatom, którzy plotkują o ulicy Vaneau, że to po prostu pusty dom, wymagający jeszcze urządzenia. Nic dodać, nic ująć.

Zwykły lunch z Corą oznaczał dodatkową wyprawę do Ritza, żeby przeistoczyć się znowu w taką Billy Ikehorn, jaką Cora spodziewała się zobaczyć. Przebierając się na lunch i w pośpiechu zmieniając stroje, Billy stwierdziła, że serce jej wali z niepokoju jak oszalałe. Musi wrócić do pokoju wynajętego w hotelu przy ulicy *Monsieur le Prince*, wepchnąć

suknię i płaszcz od Saint Laurenta głęboko do szafy i włożyć coś innego, zanim pokaże się Samowi. Nie, do cholery! Oznaczałoby to powrót do domu w ubraniach innych niż te, w których pożegnała Sama dziś rano. Zauważy to - dostrzegał w niej każdą zmianę. Trzeba będzie wrócić do cholernego Ritza, przebrać się w cholerne ubranie, które włożyła tego cholernego ranka, i iść do domu. Wszystko to bez pomocy cholernego kierowcy, bo nigdy nie pozwalała, by zabierał ją sprzed Ritza albo wiozł na ulicę Vaneau lub do pracowni Sama. Cholerny świat!

- Mój kierowca jest chory - powiedziała Billy. - Mam nadzieję, że znajdziemy taksówkę.

* * *

- Jean-François? Myślałam, że pojechałeś do Aix po antyki. - Billy była niemile zaskoczona widokiem dekoratora na ulicy Vaneau. Właśnie odbyły z Corą ekspresową wycieczkę po obu piętrach odremontowanego domu i już miały wychodzić, kiedy pojawił się Jean-François Delacroix. Byłoby niewyobrażalnie niegrzeczne, gdyby nie przedstawiła go Corze, a już dochodzi piąta.

- Przyjechałem dziś rano pociągiem, madame. Nie było nic ciekawego, a to, co trzeba, kupiłem już wczoraj.

- Czy to pan Delacroix? - zapytała Cora.

- Och, wybacz. Pozwól, że ci przedstawię: Jean-François Delacroix. Jean-François - to księżna de Lioncourt. Właśnie wychodzimy.

- Każdy zna księżnę i jej subtelny gust - rzekł młody dekorator, całując dłoń Cory. - Cały drzę.

- Nonsens - przerwała mu Cora. - Nic tu jeszcze nie ma, niestety... w tak wspaniałym domu nie ma nic do oglądania - nie ma czego ani chwalić,

ani ganić. Są tylko możliwości i to wspaniałe możliwości.

- Madame, potrzeba nam czasu, by przygotować otoczenie, tło, tak by było jasne, czyste i dawało pole do popisu. By wrażliwość madame Ikehorn mogła ogarnąć ducha osiemnastego wieku. Tymczasem w stajni gromadzę wszystkie znalezione przez nas skarby.

- Zastanawiam się - zapytała Cora, drżąc z ciekawości - czy mogłabym rzucić na nie okiem?

- Cała przyjemność po mojej stronie, madame, lecz przykrywamy je wszystkie starannie w obawie przed wilgocią.

- Och, nie! - Rozczarowana Cora niemal tupnęła nogą. Ta wizyta jest w najwyższym stopniu irytująca. Od początku do końca. Zwiedzanie pustych pomieszczeń. Oglądanie samych detali architektonicznych oraz odnowionych podłóg i ścian to istne tortury, które budzą w niej żądzę krwi. Ponieważ jednak otrzymała uczciwe ostrzeżenie, nie może okazać, jak bardzo jest zawiedziona.

- Czy mógłby pan coś odkryć? Coś małego? - Może jednak popołudnie nie będzie zupełnie zmarnowane.

- Spróbuję, madame. To znaczy... jeśli madame Ikehorn...

- Ruszaj, Jean-François - ponagliła go Billy z rezygnacją w głosie. Wiedziała, że Cora, usłyszawszy słowo „skarby”, za nic nie zrezygnuje z wizyty w stajni. - Zostanę tu i zobaczę, co zrobił ogrodnik. Powinien był posadzić cebulki już wiele dni temu. Nie zabawcie tam zbyt długo. Robi się późno, a musimy jeszcze znaleźć taksówkę przed godziną szczytu. Macie tylko dziesięć minut.

- Co pan widział w Aix, *monsieur*? - zapytała Cora. Idąc z młodym dekoratorem przez dziedziniec ku stajni wdała się w rozmowę o zaletach

prowansalskich sprzedawców antyków. Kiedy otworzył drewniane drzwi i włączył oświetlenie, ich oczom ukazały się dwa tuziny wypełnionych po brzegi starych boksów dla koni.

Cora przemierzyła stajnię, szybko pojmując, że wszystkie meble zapakowano zbyt starannie, by w tak krótkim czasie mogła je obejrzeć.

- Tak, madame - wzruszył ramionami dekorator na widok wyrazu jej twarzy. - Wiem, że jest pani rozczarowana. Chciałbym znać pani zdanie o wielu przedmiotach, które kupiłem. Przynajmniej jednak mogę pokazać pani coś, co dopiero nabyłem i jeszcze nie jest zabezpieczone. - Zdjął brezent z czegoś, co kształtem przypominało obraz oparty o ścianę i ukazał podłużne zwierciadło w misternie rzeźbionej ramie, błyszczące i lśniące przytłumionym blaskiem niczym ciemne okno otwarte na roziskrzoną klejnotami przeszłość.

- Ach... śliczne! Doprawdy, prześliczne. Nie jest francuskie, prawda? To koniec XVII wieku.

- Dokładnie, madame. Pochodzi z Niemiec; stanowiło prezent dla dynastii orańskiej z okazji wygranej bitwy.

- Cudownie lśni. Widzę, że jest świetnie zachowane.

- Przeznaczyłem je do sypialni madame Ikehorn. Przeglądać się w takim lustrze to tak jakby zobaczyć siebie samego w innej epoce. Czy pani podziela ten pogląd, madame?

- Tak, *monsieur* - odparła Cora, patrząc z upodobaniem na swoje odbicie w starym lustrze.

- Zatem wnętrza będą niebywale romantyczne?

- Któż to wie, madame?

- Przede wszystkim pan - odparła Cora zaskoczona.

- Równie dobrze mógłbym być ostatnią osobą w Paryżu, która coś wie. - W głosie młodego dekoratora brzmiała nutka goryczy, kłóca się z jego oczywistym pragnieniem pokazania jej czegoś pięknego.

- Jak to możliwe? - sondowała go, uśmiechając się tak, jakby sądziła, że chce wydać się skromny.

- Nie mogę narzekać, madame, ale nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z takim zadaniem.

- Przykrył lustro i ruszył w kierunku drzwi stajni.

- Chwileczkę, *monsieur* Delacroix. Chyba brak panu otuchy. Może mogłabym w czymś pomóc. Jak pan się domyśla, madame Ikehorn często korzysta z moich rad.

- Jest pani pierwszą osobą, która ogląda ten dom. To budzi we mnie nadzieję, że wkrótce pojawią się inni.

- Zdecydowanie brak panu otuchy. Czy moją przyjaciółkę trudno zadowolić? Jeśli tak, trzeba panu wiedzieć, że to jej stała cecha. To nie ma nic wspólnego z pańskim talentem.

- Trudno? Nie, nie mogę powiedzieć, że madame Ikehorn stwarza... trudności.

- W czym więc tkwi problem? Przecież nie w wydatkach na umeblowanie domu?

- Nic podobnego, madame. Mam wolną rękę. Od dnia, w którym podjąłem się tego zadania, nawet jednej mojej sugestii nie odrzucono ze względu na koszt.

- Zatem to wymarzona praca dla dekoratora.

- Tak, w zasadzie zmuszony jestem to przyznać.

- Więc?

- Ach, madame de Lioncourt, pomyśli pani, że narzekam...

- Nic podobnego, *monsieur*. - Cora obdarzyła go swoim ślicznym uśmiechem. - Widzę przecież, że nie należy pan do mężczyzn, którzy narzekają.

- To marnotrawstwo! - wybuchnął. - To cudowny dom, jeden z najwspanialszych w Paryżu. To dom, który zbudowano w czasach, gdy arystokracja traktowała życie jako formę sztuki. To nie jest zwykły dom, madame. On wymaga wielkiej pomysłowości. Kiedy go zobaczyłem, wiedziałem, że przywrócić mu świetność to tak, jak śnić na jawie. Całymi tygodniami nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście, że spadł mi z nieba tak rzadki przywilej - dom, w którym każdy kamień prosi się o pokazanie go światu, którego ściany mówią, że w ich otoczeniu jest się u samego szczytu cywilizacji Zachodu. Sądziłem, że po jego ukończeniu będą tu kolacje, gale, bale ogrodowe, wielkie przyjęcia... wyznam, że marzyłem o tym, by jego zdjęcia znalazły się w prasie...

- Taki dom przypieczętuje pańską karierę - zapewniła go Cora. - Wszyscy będą o nim mówić. Nie musi pan martwić się o to.

- Wręcz przeciwnie! Madame, to właśnie jest przyczyną mojego zmartwienia.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie. Madame Ikehorn powiedziała mi, że nie zamierza przyjmować wielu gości, że nie chce, bym projektował salony z myślą o wielkich balach, że nigdy nie pozwoli fotografować domu. - Chcę mieć przytulny dom - powiedziała. Przytulny! Tak jakby to był angielski wiejski domek. Przytulny! To dobre dla mieszczuchów. Sypialnie powinny być - to jasne - intymne i wygodne, ale salony? Niemożliwe!

- To pomieszanie pojęć - mruknęła Cora.

- Dokładnie tak! Tylko Anglicy w wiejskich rezydencjach potrafią łączyć wielkość z przytulnością. To efekt dziesięciu pokoleń kolekcjonerów, z których każdy dodawał własne przedmioty i nawet największe przestrzenie stały się w końcu trójwymiarowym hołdem składanym przodkom, wypełnione dobrymi i złymi przedmiotami, wspomnieniami - i psami, przede wszystkim psami. Czyżbym się mylił?

- Psy istotnie aranżują wnętrze - mruknęła Cora, uważnie chłonąc jego słowa.

- W Paryżu, w tak doskonałej klasycznej budowli, nie można osiągnąć takiego efektu. Uważam, że byłoby to pogwałcenie ducha domu. Próbowałem jej wytłumaczyć, ale uparła się. Powiedziała, że to możliwe. Najpierw mówiła, że chce, bym zrobił jej niespodziankę, ale szybko odkryłem, że to ostatnia rzecz, na której jej zależy. Postarałem się więc, by miała to, czego chce.

- Jean-François westchnął na myśl o upartej klientce. - Wszystkie te skarby znaleźliśmy wspólnie w ciągu paru dni, które zgodziła się mi poświęcić. Madame Ikehorn nalega, bym konsultował z nią każdy szczegół wystroju.

- Jestem pewna, że nie docenia pan własnych możliwości - powiedziała z namysłem Cora.

- Potrafi pan stworzyć nowy styl wystawnego, lecz przytulnego wnętrza, takiego, o jakim marzą ludzie w tych trudnych czasach.

- Ciągle to sobie powtarzam, madame. Mam nadzieję, że takie właśnie będzie. Nawet jeśli zobaczy je tylko kilku przyjaciół madame Ikehorn, z pewnością opowiedzą o nim innym.

- Przrzekam, że wrócę tu, kiedy będzie gotowe i wszystkim opowiem - rzekła Cora.

- Ufam, że madame zechce uzbroić się w cierpliwość...

- Ależ wszystko już gotowe do dekoracji. Dlaczego nie możecie zaczynać?

- Madame Ikehorn wcale się nie spieszy, żeby się tu wprowadzić. Nie chce, żebym kończył dom. Mówi, że nie ma pośpiechu i że będzie miała kłopot ze znalezieniem służby, kiedy wszystko już urządzi. Teraz jest tylko odźwierny przy bramie. Więc czekam. Czasami zadaję sobie pytanie, czy madame Ikehorn w ogóle zależy na tym, by zakończyć prace. Rozumie pani, że to stwarza dla mnie trudność. Nie chciałbym narzekać, ale ja też mam swój czuły punkt. Gdyby to był mój dom, nie mógłbym się doczekać, żeby w nim zamieszkać.

- Ja też nie. Zastanawiam się, dlaczego się ociąga.

- Sam się nad tym głowię. Boli mnie, gdy widzę pusty dom, nie jako profesjonalistę, ale osobiście. Mówię to pani, bo jest pani bliską przyjaciółką madame. Nie zwierzyłbym się nikomu innemu. Mam nadzieję, iż nie myśli pani, że się uskarżam. Uwielbiam madame Ikehorn, rozumie pani.

- Ma pan wszelkie prawa do narzekań - odparła Cora.

- Oszalałabym na pańskim miejscu. Chyba jednak powinniśmy już wracać.

- Wiem, że mogę pani zaufać, madame.

- Proszę na mnie liczyć, *monsieur*.

* * *

Cora de Lioncourt przebierała się do kolacji, ogarnięta gorączką

rozkosznych domysłów. Zmieniając czarny kostium na czarną wieczorową suknię, dokonała myślowego bilansu niezwyklej zmian w Billy Ikehorn, których nie dało się wytłumaczyć rocznym pobytem w Paryżu.

Po pierwsze, kobieta znana przez ostatnie piętnaście lat ze swojego nieskazitelnego szyku, kobieta, która zawsze pierwsza podążała za modą, miała na sobie sukienkę i płaszcz z kolekcji Saint Laurenta, fotografowanej kilka sezonów temu dla co najmniej pół tuzina magazynów mody. Nawet jeśli był to jej ulubiony strój, to niezwykle, że nosiła coś tak niemodnego. Co gorsze, dużo, dużo gorsze - suknia była obcisła. Bez cienia wątpliwości - ciasno opinała jej talię i biodra. Trzy kilogramy? Trzy i pół? Billy, której dawne, dobrze udokumentowane życie dowodziło, że nigdy nie pozwoliła sobie na odstępstwo od żelaznej dyscypliny - drugiej natury prawdziwie modnej pani - zrobiła coś niewiarygodnego i przytyła. Świadczył o tym dobitnie zamek błyskawiczny jej sukni. Nie musiała patrzeć, z jakim apetytem zajada okropnie tuczące *rillettes*.

Cora przypomniała sobie lunch ze Spiderem Elliotem w Nowym Jorku. Billy wyglądała wówczas na perfekcyjnie zadbaną. Dziś tego zabrakło. Inna kobieta nie zauważyłaby zmiany, bo Billy była równie piękna jak wtedy, a może nawet bardziej, ale podczas tego lunchu brakowało jej poloru, który uzyskuje się dzięki wielogodzinnej pielęgnacji, dopieszczeniu detalu, a to można kupić tylko za pieniądze. Paznokcie Billy nie były ani polakierowane, ani nawet wypolerowane do połysku. Włosy, zwykle krótko strzyżone, odrosły i sięgały teraz poniżej uszu. Wyglądało to może i atrakcyjnie, ale bez stylu. Wydawało się, że umalowała oczy w wielkim pośpiechu i nie włożyła kolczyków. Szczegóły... znaczące szczegóły.

Cały epizod w winiarni można było złożyć na karb pobytu we Francji - ciężki przypadek asymilacji - gdyby nie to, że taka kobieta jak Billy Ikehorn mogłaby pozostać we Francji na zawsze i nigdy, przenigdy nie znaleźć się w takim miejscu. Jej „petit Beaujol”, coś podobnego!

To szczyt nieprzyzwoitości. Nie w tym rzecz, mówiła do siebie Cora, że jej upodobanie do Beaujolais ma jakieś znaczenie, ale swoboda, z jaką poruszała się w winiarni, jej zgoda na stół przykryty papierem stanowiły elementy rozkosznej łamigłówki.

Cora wiedziała, że z Billy dzieje się coś dziwnego, jeszcze zanim z trudem udało się im umówić na lunch. Wielu jej przyjaciół w Paryżu skarżyło się, że Billy odrzuca ich zaproszenia, tłumaczy się z nieobecności na wieczornych przyjęciach i lunchach, na które chadzała z ochotą zaraz po przyjeździe. Przez pierwsze miesiące pobytu w Paryżu Billy zabierała gości na kolacje do jednej ze znanych restauracji, rewanżując się za zaproszenia, posłuszna świętej zasadzie życia towarzyskiego. Teraz - jak słyszała Cora - nie odwzajemniała nawet tych zaproszeń, które raczyła przyjmować, a przecież samotna kobieta, niezależnie od majątku i wysokiej pozycji, musi się rewanżować, bo inaczej popadnie w zapomnienie.

Czym wytłumaczyć obojętność Billy Ikehorn? Dlaczego ociąga się z przeprowadzką do domu, który kupiła za wygórowaną sumę w tak śmiesznym pośpiechu? Cora znała każdy szczegół tej transakcji, bo Denise Martin wynagrodziła jej pośrednictwo niezłą sumką.

- Nie zdała egzaminu - powiedziała na głos Cora. Olśniona nagłą myślą opadła na głęboki fotel w hotelowym pokoju. Jeśli to przemyśleć, wszystko się zgadza. Cora postawiła sobie za cel dowiedzieć się o Billy

jak najwięcej, z przejrzeniem starych wycinków prasowych na temat jej pierwszego małżeństwa włącznie. Nowojorska biblioteka publiczna stanowiła istną skarbnicę wiadomości, a nikt prócz niej nie miał dość sprytu, żeby z nich skorzystać. Tam pod warstwą pozłoty odkrywała nagie fakty, domyślała się utajonych motywów, wykrywała mroczne źródła pewnych fortun i obracała te wiadomości na swoją korzyść.

Kiedy Cora poznała Billy, wygrzebała wszystkie notatki prasowe o jej związku z Ellisem Ikehornem, który uczynił ją jedną z najbogatszych kobiet na świecie. Wiedziała, że choć Billy pochodzi z bostońskich Winthropów, należy do biednej, niczym się nie wyróżniającej, podrzędnej gałęzi tego ogromnego rodu. Owszem - Winthrop, ale najpośledniejszego gatunku. Koligacje Billy wyglądały dobrze na papierze, ale to naga prawda, że była sekretarką, która wyszła za swojego szefa - człowieka o wątpliwej i nieznannej przeszłości. Ich wspólne życie wyglądało olśniewająco na fotografiach, ale jako para Ikehornowie nie zapewnili sobie stałej pozycji towarzyskiej. W czasach „Scruples” zdjęcia Billy pojawiały się w działach mody, ale niemal wcale nie uczestniczyła w życiu towarzyskim Zachodniego Wybrzeża. Drugie, krótkie małżeństwo z amerykańskim reżyserem filmowym z pierwszego pokolenia włoskich emigrantów nie było godne wzmianki w rubrykach towarzyskich.

Tak. Cora zrozumiała wszystko. Przeprowadzka Billy do Paryża miała oznaczać próbę rozpoczęcia życia na nowo. Po raz pierwszy pojęła, dlaczego Billy nie chciała wejść w nowojorskie towarzystwo. Do starej gwardii nie sposób było się dostać. Nową tworzyli twardzi ludzie, zaprawione w bojach panie, które niechętnie dzieliły się świeżo zdobytą pozycją i dla samotnej kobiety stanowiły orzech trudniejszy do zgryzienia

niż Francuzi, równie przychylnie i obojętnie traktujący wszystkich bogatych i rozrzutnych Amerykanów.

Tak. W tym rzecz. Billy zjawiała się tu, rozdając pieniądze na lewo i prawo. Billy kupiła dom zdecydowanie zbyt arystokratyczny dla Amerykanki. Billy przyjmowała wszystkie zaproszenia bez różnicy, dobre i złe, i w pewnej chwili zorientowała się, że zadanie, które sobie wyznaczyła, jest ponad jej siły. Może narobiła sobie wrogów między dziesięcioma wpływowymi kobietami, które trzęsły Paryżem? Może sypiała z nieodpowiednimi mężczyznami? Zrobiła jakiś ogromny błąd nie do naprawienia, który sprawił, że powietrze uleciało z niej jak z przekłutego balonika. Zapraszano ją, oczywiście, na wielkie otwarte bale i przyjęcia, ale nic nie wspominała o zaproszeniach na małe spotkania bliskich przyjaciół, na niewielkie uroczystości, które potwierdziłyby, że jest akceptowana. Na te przyjęcia w niewielkim gronie, na które ona sama nie była zapraszana nigdy - myślała Cora ze złośliwą satysfakcją, z jaką jeden wyrzutek myśli o drugim.

Tak. Billy zrozumiała pewnie, że nie odniesie zwycięstwa w grze, którą zamierzała rozegrać przy wtórze fanfar i czyneli. Teraz poddaje się, poprzestając na kwaśnych winogronach. Nie zdała egzaminu! Billy Ikehorn nie ma tego, co trzeba, by osiągnąć wysoką pozycję, na którą liczyła w Paryżu. To Kopciuszek, który chowa się za kominem, bo szklany pantofelek okazał się za wąski. To jasne, że biedna Billy nie spieszy się z przeprowadzką do swojej pięknej rezydencji. Nigdy nie będzie się tam czuła tak dobrze jak w wynajętych pokojach hotelowych, które może mieć każdy, kto za to zapłaci, niezależnie od tego, jak sili się, by dom był przytulny. To przykre - pomyślała Cora z gorzkim uśmiechem na twarzy,

która przybrała złośliwy wyraz. Ona sama, Cora, mogłaby mieszkać przy ulicy Vaneau, jak na to zasługiwał ten dom, gdyby w okresie małżeństwa z Robertem de Lioncourt mogła wydawać tyle pieniędzy, ile wydawała Billy, gdyby nie musiała starać się tak bardzo, by stworzyć wrażenie dostatku, z pewnością zdałaby ten egzamin. Była tego pewna.

* * *

- Nigdy więcej! Sam, kochanie, przyrzekam. Już nigdy! Tak mi przykro, że się spóźniłam. Nie martwiłeś się o mnie, prawda? - Billy wpadła do pracowni dobrze po siódmej, zdyszana od biegu po schodach. - Korek był dziś większy niż przez cały rok. Zaczęły się świąteczne zakupy.

- Nigdy w to nie wątpiłem. Myślałem, że utknęłaś na czubku wieży Eiffla i zejdziesz dopiero rano. - Nie mogła nie zauważyć troski w jego głosie, mimo iż starał się żartować.

- Prawie tak było. - Billy ucałowała go szybciotko i opadła wyczerpana na jedno z wyplatanych krzeseł w pracowni, nadających jej niedorzeczny wygląd patio. - Dlaczego wszyscy znajomi myślą, że nie mam nic lepszego do roboty niż spędzać z nimi dzień w Paryżu?

- Mówiłem ci, że nie musisz się na to godzić, moja śliczna. Mogłaś się jakoś wymigać - powiedział spokojnie Sam.

- Przykro mi, że są tu tylko przejazdem, ale dzisiaj to już zbyt wiele.

- Czy Cora doceniła wycieczkę z przewodnikiem? Podziękowała?

- Nie zauważyłam.

- Chodź do mnie, kochanie. Zasłużyłaś na najwyższe wyróżnienie. Znowu wyglądasz tak, jakby nie starczało ci czasu na życie.

- Och, Sam - jęknęła Billy i z wdzięcznością opadła na jego kolana, ciasno oplatając mu szyję ramionami i odprężając się po raz pierwszy,

odkąd wyrwała się Corze i rozpoczęła zawiłą podróż do domu, przedłużoną o postój w Ritzu i zmianę ubrania.

- Nowe buty? - zapytał.

Billy spuściła wzrok na kosztowne pantofle od Maud Frizon, które zapomniała zostawić w Ritzu.

- Och, tak. Ładne, prawda? Cora nie mogła spędzić dnia w Paryżu bez zakupów, więc ja też postanowiłam zaszaleć. Myślę, że był to jedyny moment w ciągu dnia, kiedy mogliśmy usiąść.

- Nie jadłyście lunchu?

- Jadłyśmy, oczywiście. Wierz lub nie, ale Cora zabrała mnie na lunch do Ritza. Zawsze ma dużo pieniędzy, więc nie czułam się winna.

Billy zauważyła już dawno temu, że im więcej prawdy wkłada w to, co mówi Samowi, tym łatwiej przychodzi jej prowadzenie podwójnego życia. Wymyśliła także kilka podstawowych kłamstw, które utrwaliły się już na dobre i wydawało się, że przez to stały się prawdą. Sam sądził, że dwa razy w tygodniu - we wtorki i piątki - Billy kończy pracę w Bibliotheque Nationale i idzie prosto do bogatej Francuzki, która mieszka w samym centrum odległej Szesnastej Dzielnicy, żeby jej udzielać lekcji angielskiego. Zostaje do późna na kolacji, by dać okazję do konwersacji po angielsku. Kiedy Sam pytał, dlaczego nie wraca po lekcjach do domu, Billy twierdziła z uporem, że musi przespać co najmniej dwie noce w hotelu przy ulicy Monsieur le Prince, żeby zachować swoją niezależność.

Jej niezależność. Ta podła, nędzna, wyświechtana i wytarta wymówka zamiast rzeczywistej przyczyny, która sprawiała, że sama myśl o niezależności budzi w niej nienawiść - myślała znużona Billy. Jej niezależność - jedyna kwestia, w której ona i Sam nie mogli się zgodzić,

aż wreszcie mieli dyskusji po uszy. Niezależność, której każdą wypełnioną do granic możliwości minutę spędzała na pracy z Jean-François, przeglądaniu poczty i przesyłek w Ritzu, załatwianiu niezbędnych spraw i myciu głowy. Nie miała czasu na zakupy. Była szczęśliwa, gdy wygospodarowała choć chwilę na pedicure. W ciągu dnia nie miała chwili wytchnienia. Potem kąpała się i w pośpiechu ubierała na wieczór, by potwierdzić swoją obecność w Paryżu. Nie mogła sobie pozwolić na to, by wścibscy znajomi zaczęli głośno zastanawiać się nad jej nieobecnością i domyślać się, gdzie przepadła.

Jak mogła być tak krótkowzroczna, kiedy poznała Sama, by wyobrazić sobie, że prowadzenie podwójnego życia to ekscytująca gra? Zaplanowała wszystko tak inteligentnie, że sama sobie gratulowała, stając oko w oko z personelem Ritza bez cienia zażenowania z którejkolwiek strony. Wykazała niesłychaną skuteczność działania, znajdując świetnie zlokalizowany w pobliżu Ogrodu Luksemburskiego pokój hotelowy, służący jej za mieszkanie, które Sam mógł odwiedzać, kiedy tylko chciał. Opracowała cały system, który pozwalał jej poruszać się anonimowo po Paryżu. Udało jej się nadzorować pracę Jean-François i utrzymać w ryzach jego nazbyt wybujałe wizje. Wszystko zgadzało się w szczegółach. Nikt nie zauważył jej w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym towarzystwie, a jednak z każdym dniem jej podwójne życie napełniało ją coraz większym niesmakiem. Billy czuła się roztrzęsiona, rozbita, rozdarta między rolą głośnej, eleganckiej, obwieszanej klejnotami kobiety, wodzącej rej w kosmopolitycznych dyskusjach przy stole i obrazem siebie jako beztroskiej nauczycielki z Seattle, z pasją zajmującej się Wolterem i darzącej namiętną miłością Sama Jamisona.

Jakże nienawidziła swoich kłamstw! Po kilku tygodniach, które upłynęły od ich pierwszego spotkania, Sam poprosił ją o rękę. Kiedy ich pobyt w Paryżu dobiegnie końca - mówił - przeprowadzi się do Seattle i będzie tam pracował, jeżeli ona nie znajdzie pracy w Marin County. Jego dealer z Zachodniego Wybrzeża sprzedał dwie duże rzeźby z jego ostatniej wystawy. Sam spodziewał się także stypendium Rady Kultury i obiecywał, że nie będą skazani na życie w pokoiku na poddaszu. Nie ma żadnego powodu, by musieli się rozstawać.

Gdyby Billy była nauczycielką, przyjęłaby oświadczenia bez wahania, nawet jeśli było na to zbyt wcześnie, nawet jeśli nie znała Sama zbyt dobrze. Ale Wilhelminie Hunnenwell Winthrop Ikehorn Orsini życie udzieliło twardej lekcji o mężczyznach, którzy nie mieli pieniędzy, i kobietach, które miały ich za wiele. Nie mogła sobie pozwolić na to, by raz jeszcze ulec impulsowi.

Dysponowała jedną z największych światowych fortun. Powiedziała kiedyś Vitowi, że nie mogłaby pozbyć się jej nawet gdyby chciała, a nie chciała tego wcale. Majątek był dla niej równie ważny jak dotąd. Billy znała siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nawyk korzystania z wielkiego bogactwa stał się nieodzowną częścią jej osobowości. Życia, które prowadziła u boku Sama, nie mogłaby prowadzić w nieskończoność. Znosiła je jak namiastkę. Tak naprawdę, uczciwie rzecz biorąc, było ono nędzne.

To była prosta i zwyczajna nędza - myślała Billy, przytulając Sama tak mocno, że czuła bicie jego serca. Musiała przyznać, nawet kiedy czułym gestem burzyła jego włosy na karku, że nienawidzi pięciu kondygnacji stromych schodów, nienawidzi szorstkich prześcieradeł, które

raz w tygodniu prali na poczekaniu w miejscowej pralni. Nienawidzi wychodzić z rozgrzanego łóżka w zimnym pokoju i czekać, dopóki zawodne ogrzewanie nie napełni go ciepłem. Nienawidzi tanich kolacji, które jadali w knajpie, bo w pracowni był tylko jeden elektryczny palnik. Nienawidzi małej wanienki, w której mogła wyszorować naraz tylko jedną część ciała. Nienawidzi zagraconej toalety i tego, że nie może kupować całych naręczy kwiatów. Marzy o tym, by wyrzucić wszystkie tandetne rzeczy, które kupowała z takim upodobaniem w Galeries Lafayette, szukając odpowiedniego kostiumu do swojej nowej roli Misi Winthrop.

Jessica zrozumiałaby, myślała Billy, pokrywając usta Sama delikatnymi pocałunkami. Jessica natychmiast pojęłaby, że chociaż Billy nie zależy na wystawnym życiu w luksusie, ceną miłości nie powinno być życie w pracowni bez wygód.

Billy pragnęła z całego serca, by żyć wraz Samem w przestronnym, przytulnym komforcie, który wraz z Jean-François planowała stworzyć przy ulicy Vaneau. Chciała przerobić stajnię na odpowiednią pracownię dla Sama. Mieszkaliby w urokliwym starym domu, wibrującym ciszą minionych wieków, i napełniliby go miłością. Nie byłoby to olśniewające życie towarzyskie, którego wizję roztaczała niedawno przed Jessica, lecz życie naprawdę prywatne, dostarczające im najgłębszych rozkoszy. Spotykałiby się tylko z ludźmi, których oboje naprawdę lubią. Podróżowałiby, dokąd zechcą. Mogliby kupić dom na jednej z greckich wysp albo farmę w Toskanii. Albo siedzieliby w domu i uprawiali ogródek - wszystko jedno, dopóki są razem. Gdyby Sam uznał to za zabawne, mogliby nawet jadać lunch w Ritzu, którego łatwe do przewidzenia, pretensjonalne menu znała na pamięć.

Nie chciała myśleć o przyszłości, nie ufała mu na tyle, by uwierzyć, że zaakceptuje jej majątek i niemal nieograniczoną wolność, którą zapewniają jej pieniądze. Musi mieć pewność, że mimo to będzie ją nadal kochał.

Podczas tych tygodni ostatniej wiosny i lata, kiedy nalegał, żeby się pobrali, Billy zachowała choć tyle zdrowego rozsądku, by zdać sobie sprawę, że seks pozbawił ją zdolności oceny sytuacji. Wykorzystywała swoje prawo do niezależności, by mu odmawiać. Kupiła kłamstwami o sobie samej bezcenny czas i w ten sposób stworzyli wykraczające poza seks fundamenty związku, które umacniały się tym mocniej, im lepiej się poznawali.

Znosili swoje nastroje i okresy milczenia. Wiedziała, że Sam Jamison to człowiek, który ze spokojnym uporem postanowił iść za głosem talentu, wbrew świadomości, że tylko niewielu udało się rzeźbą zarobić na życie. Odkryła, że był uczciwym człowiekiem, który z uwagą wysłuchiwał jej argumentów na rzecz niezależności, nawet jeśli sądził, że nie ma racji. Stwierdziła, że ma głębokie poczucie godności i nie znosił, gdy nalegała, by zapłacić za siebie w bistro czy w jednym z kin Dzielnicy Łacińskiej, do którego czasami chodzili. Zaufała temu dumnemu mężczyźnie, czystemu jak kryształ - dumnemu mężczyźnie, który darzył ją odwzajemnianym szacunkiem.

Całymi godzinami Billy przypatrywała się Samowi przy pracy. Widziała, jak ogarnia go radość, kiedy wszystko dobrze idzie, i jak popada w straszliwą depresję, kiedy nic się nie udaje. Wspólnie przeżywali swoje zatrucia pokarmowe, przeziębienia i ataki alergii. Przetrzykali gorące lato w Paryżu bez klimatyzacji. Wynajęli samochód i zrobili trzytygodniową

wycieczkę nad Loarę. Nie ominęły ich zmiany opon, obskurne hotele, mizerne posiłki, nieprawdopodobnie zatłoczone zamki i ulewne deszcze. Znał Misie Winthrop z jej najgorszej strony i Billy Ikehorn z najlepszej - myślała ze smutnym uśmiechem - ale nadal nie znał prawdy.

Zamierzała mu wkrótce wszystko powiedzieć. Za dwa tygodnie Sam miał wystawę w galerii Daniela Templona przy ulicy Beaubourg. Jej właściciel, awangardowy dealer, prezentował już prace Helmuta Newtona i innych rzeźbiarzy takich jak Sam, który tworzył formy zrozumiałe dla Billy tylko dlatego, że sprawiały jej przyjemność, dostarczały wewnętrznej, pozarozumowej radości.

Gdyby w innych galaktykach były mądre dzieci, Sam Jamison z pewnością robiłby dla nich zabawki, myślała patrząc mu przez ramię na cykle wielkich podwójnych i potrójnych łuków, subtelnie połączonych i tworzących trudne do opisanego, lecz niezapomniane kształty. Każda z konfiguracji łuków spoczywała na kruchej, lecz doskonale wyważonej podstawie płaskiego drewnianego podestu. Mimo iż wiedziała, jak mocno są przytwierdzone, zauważyła, że przygląda się im uważnie, jakby były obdarzone inteligencją i mogły zdecydować, że zrezygnują z chwilowej równowagi i potoczą się szaleńczo wzdłuż ścian pracowni, zgodnie z nieznanymi regułami gigantycznej gry. W nocy wychodziła czasami z łóżka, by przyrzeć się łukom w świetle księżyca. Może czekały, aż nadejdzie noc, by ożyć i zająć się sobie wiadomymi sprawami. Wreszcie zwierzyła się z tego problemu Samowi.

- Chciałem wywołać właśnie takie uczucia - powiedział przepelniony radością.

W przyszłym tygodniu młody, łysiejący okularnik, pełen wdzięku

dealer Sama, zabierze rzeźby z pracowni. Po wernisażu, gdy Sam przestanie zamartwiać się, jak zostaną przyjęte jego prace, Billy postanowiła wyznać mu prawdę.

Jak? Kiedy? Jakimi słowami? Nie wiedziała. Okazja nadarzy się, tak jak wszystkie okazje, kiedy już zapadnie postanowienie, kiedy podejmie się decyzję, że można bezpiecznie zaufać drugiemu człowiekowi.

* * *

Sam Jamison oparł się o blat baru w foyer Opery Paryskiej, podczas gdy Henri bezskutecznie usiłował zamówić drinki. Henri Legrand, ochoczy młody asystent dealera, przysięgły wielbiciel prac Sama, dostał dwa bilety na dzisiejsze galowe przedstawienie i zaprosił go, by uczcić zakończenie instalacji jego prac. Dzięki swojemu wzrostowi Sam spoglądał z wysoka na zatłoczoną salę, w której znajdowało się wszystko, czego szczerze nienawidził w architekturze i wystroju wnętrza. Uznał jednak, że przesadnie ozdobny styl Drugiego Cesarstwa ma urok czystej bezczelności. Takiej różnorodności marmurów, tak ogromnych żyrandoli i takiego zalewu złocień nie było we Francji ani przedtem, ani potem. W porównaniu z operą - pomyślał Sam - Wersal wygląda jak kurnik.

Opera była częścią Paryża, o którym nie wiedział prawie nic. Kiedy przyjechał tu prawie rok temu, zanim na serio zabrał się do pracy, poświęcił miesiąc na to, by poznać miasto najlepiej jak mógł. Od rana do wieczora włóczył się z przewodnikiem Michelina. Przemierzył wszystkie wielkie bulwary na Prawym Brzegu, z obu nadbrzeży obejrzał całą Sekwanę, przeszedł każdy most i podziwiał wszystkie widoki w górze i w dole rzeki. Włóczył się małymi uliczkami na Lewym Brzegu, przesiadywał w dwóch tuzinach parków i zwiedził dwa tuziny kościołów.

Siedział przy setkach stolików w kawiarenkach na ruchliwych rogach ulic i godzinami przyglądał się przechodniom. Wstępował na drinka do George Cinq, Relais Plaza w hotelu Athenee i Ritza, oglądał wystawy Diora, Niny Ricci i Hermesa, wziął udział w nocnej wycieczce po Paryżu i widział miasto ze szczytu Łuku Triumfalnego. Lwią część czasu zajęły mu muzea.

Przemierzywszy turystyczne szlaki Paryża, Sam porzucił je bez żalu. Przyszedł czas na pracę. Życie w Marais zajmowało go i satysfakcjonowało swoim czarującym urozmaiceniem, małymi - często ubogimi - uliczkami zamieszkanymi przez rzemieślników i drobnych kupców, w niewielkiej odległości od najwspanialszych siedemnastowiecznych budowli. W powietrzu unosił się duch Madame de Sevigne, Richelieu, Victora Hugo - duch wszystkich królów, dworzan, panów i wielkich dam, dla których Marais było niegdyś domem. Po miesiącu wypraw Sam stwierdził, że nie można naprawdę poznać miasta tak wielkiego i urozmaiconego jak Paryż, lecz można doświadczyć Paryża; żyjąc w jednej z jego dzielnic, oznaczało posiąść to miasto na zawsze.

Cieszył się, że Henri wyciągnął go do opery na dzisiejszą galę, pierwszego dnia grudnia. Była to jedyna okazja, by włożyć stary smoking, który zapakował do walizki razem z innymi rzeczami, w myśl teorii, że skoro już się go ma, można go ze sobą wziąć. Sam czuł, że ginie w tłumie, ubrany tak jak pozostali mężczyźni, a anonimowość doskonale odpowiadała jego nastrojowi. Była to pożądana zmiana w stosunku do uczucia wystawienia na widok publiczny, które wstrząsnęło nim, gdy ujrzał swoje prace w obcym świetle galerii Templona. Wydawało mu się, że jego dzieła, wyrwane z relacji przestrzennych, które stopniowo nawiązywały się między nimi w pracowni, zagubiły się w nowym

otoczeniu, ale Daniel był niesamowicie zadowolony z wystawy. Sam przycisnął długie ręce do boków, robiąc miejsce dla tłumu i wyobrażając sobie wieczór otwarcia wystawy, tradycyjny *vernissage* z małymi drinkami i wieloma zaproszonymi gośćmi, stłoczonymi tak, że nawet gdyby chcieli przyjrzeć się jego rzeźbom, zdołaliby ledwie rzucić na nie okiem albo nadzieć się na nie. Ale niektórzy z gości to krytycy i wielu z nich przyjdzie jeszcze raz, żeby spokojnie popatrzeć na prace i zrecenzować je. A kolekcjonerzy, jeden, dwóch - a może żaden - będą kupować. Nie sposób przewidzieć losów tej wystawy, ale Sam był zadowolony, prawie zadowolony ze swoich nowych dzieł i liczyło się tylko to.

Henri podał mu drinka, a Sam wznosił toast za asystenta galerii, który dobrze znał angielski i ochoczo ćwiczył swoją znajomość slangu.

- Dzięki ci, stary, że wyciągnąłeś mnie z domu. Gdybym nie wyszedł, siedziałbym z flaszką w pustej chałupie. Misia daje dzisiaj lekcje angielskiego. Ocaliłeś mnie przed załamaniem nerwowym.

- Nie byłeś nigdy w Operze Paryskiej?

- Nigdy. Antrakt podoba mi się bardziej niż przedstawienie. Więcej hałasu i ładnych kobiet.

- Czy wiesz, Sam, że ten pomnik złego smaku wzniesiono po to, by Francuzki miały się gdzie pokazać? Opera to tylko wymówka. Schody główne są wymarzonym miejscem do prezentacji wielkich toalet. Najlepszym w Europie. Ale teraz, z wyjątkiem galowego przedstawienia, ludzie przychodzą w dżinsach i swetrach. Oczywiście nie ci z najlepszych miejsc. Popatrz na tych, którzy teraz wchodzą. Przyznasz, staruszkule, że zdobią salę bardziej niż na to zasługuje.

Sam rzucił okiem w stronę grupy, którą prowadzono do zarezerwowanego stolika pośrodku sali, na którym w kubałkach z lodem czekały już butelki szampana. Mężczyźni w białych krawatach, kobiety w strojnych sukniach balowych, zajmujący centralne miejsce - wszystko to znamionowało uprzywilejowaną pozycję. Z tak swobodną pewnością siebie przyjmowali szczególne względy w sali wypełnionej tłumem, który usiłował zwrócić na siebie uwagę zapracowanych kelnerów, że nie spieszyli się, by zająć miejsca jak inni, lecz pojawili się, kiedy przyszła im ochota, z przepychem i gracją pawi na trawniku. Nie rozglądali się nawet, by przyjrzeć się innym, bo sami tworzyli mały, odległy kosmos, którego roszczenia terytorialne nie podlegały dyskusji.

Ci ludzie na pewno wiedzą, że połowa sali wlepią w nich wzrok, pomyślał Sam, a jednak całkowicie to ignorują. Ignorują z pełną świadomością. Koncentrują się na swoich własnych dowcipach, jakby brali udział w pikniku na pustej plaży.

- Piękni ludzie - odezwał się Sam do Henriego. - Dzięki nim powiedzenie, że świat to ostryga, zyskuje nowe znaczenie. Może trzeba lubić ostrygi, żeby tam się dostać.

- Właśnie tak. Czasami zastanawiam się, jak to jest być jednym z nich.

- Nie dowiemy się nigdy, chłopie - odparł obojętnie Sam, odwracając wzrok.

- Ale piękność! - Henri pociągnął Sama za rękaw. - Patrz! Ta blondynka w czerwonej sukni to coś dla mnie. Czy myślisz, że mam dobry gust, jeśli chodzi o dupy?

Sam spojrział na słodką blondynkę, pogrążoną w rozmowie z

siedzącym przy niej mężczyzną.

- Niezła, Henri. Nie takie znów dno. Nie wykopałbym jej z łóżka, ale dupa to chyba nie jest.

- A ta ruda w zielonych aksamitach? Nie taka znów dziura, co, Sam?

- Nie dziura, chłopie, tylko dno. Przestań przekręcać nasz slang - uśmiechnął się Sam.

- Tylko jedna kobieta przy tym stole nie jest piękna, ta starsza w czerni, ale nawet ona jest *jolie laide*. Poderwać ją? Może u takiej miałbym szansę?

- Potrzy mam ci marynarkę, Henri. Do odważnych świat należy.

Zwrócona plecami do Sama brunetka o wysoko upiętych włosach przybranych plecionką z białych róż i siedzący u jej boku mężczyzna wzniesli toast. Obcisły gorset białej satynowej sukni bez ramiączek ciasno opinał jej talię. Kiedy poruszyła się, by stuknąć się kieliszkiem z mężczyzną siedzącym z prawej strony, biało-niebieskie refleksy rozbłysły w wielkich kroplach diamentów zwisających z jej uszu i zaśniły w wielkiej klamrze ciężkiego diamentowego naszyjnika.

Jej kark. Zarys ramion. Gest rąk. To niemożliwe.

- Sam! - wykrzyknął zakłopotany Henri, widząc jak jego amerykański przyjaciel toruje sobie drogę i zmierza w kierunku stołu. - Sam! Przestań! Przecież żartowałem!

Sam przedzierał się ku stołowi, nie bacząc na głośnie skargi ludzi, którym wytrącił z rąk kieliszki i papierosy. Zatrzymał się nagle za plecami brunetki, milczący i niezdolny do wykonania ani jednego ruchu. Dziewczyna w czerwieni spojrzała na niego z ciekawością.

- Billy - powiedziała - albo ten pan, który stoi za tobą, chce się

przywitać, albo zjeść róże, które masz we włosach.

Billy odwróciła się nieco, uśmiechając się z rozbawieniem, podniosła wzrok i zamarła - tylko jej diamenty rzucały słaby blask.

- Och, nie! Sam, chciałam ci wszystko powiedzieć! - Billy z trudem chwytając oddech.

- Kim jesteś? Kim jesteś, do cholery?

- Sam... chciałam ci powiedzieć zaraz po wystawie...

- Co tu, do diabła, robisz w tym towarzystwie? Co tu się dzieje, do kurwy nędzy?

- Sam, błagam. - Billy wstała z pośpiechem. - Słuchają każdego słowa - wykrztusiła z trudem wśród straszliwej wrzawy. - Odejdź, błagam cię. Natychmiast! Za pół godziny spotkamy się w domu. Na miłość boską, idź!

Sam odwrócił się i wybiegł z sali, zbiegł po nie kończących się schodach i opuścił gmach opery. Siedząc w taksówce nie słyszał i nie widział nic oprócz twarzy Billy, jej diamentów, jej nagich ramion. Dziewięć miesięcy, myślał, nieustannie przeliczając na palcach, dziewięć miesięcy. Z każdą sekundą czuł, jak nieprawdopodobne zaskoczenie zmienia się w czysty gniew. Niezależnie od wyjaśnienia, ktoś zrobił z niego idiotę. Zupełnego, całkowitego, absolutnego idiotę.

Pięć minut po powrocie Sama do pracowni przez otwarte drzwi weszła Billy owinięta w ciemne sobole. Jej suknia z białej satyny falowała nad srebrnymi pantofelkami. Każdy diament tkwił wyzywająco na swoim miejscu.

- O co chodzi? - zapytał ostro, stając pośrodku pustej pracowni.

- Sam, musisz mnie wysłuchać...

- Niech to będzie jasne - nie muszę.

- Wiem, że jesteś bardzo zły - powiedziała Billy tak spokojnie, jak tylko mogła - ale przysięgam ci, Sam, że już od tygodni chciałam ci to powiedzieć. Po wystawie, kiedy przestaniesz martwić się otwarciem.

- Dzięki za troskę. Cholernie to doceniam. To świetna sprawa, gdy ktoś ma w planie zrobić z kogoś zasranego, pierdolonego głupka.

- Czy nazwisko Billy Ikehorn coś ci mówi?

- Tak. Nawet kmiotki z Marin County słyszały o Billy Ikehorn.

- Billy Ikehorn to ja. Misia Winthrop to też ja. Przez dwadzieścia lat nazywałam się Misia Winthrop.

- Fajnie. Cholernie wielka sprawa. Wiem już o tobie jedną prawdziwą rzecz. To tyle co nic, kiedy cała reszta to stek ohydnych, śmierdzących kłamstw.

- Sam, nic nie rozumiesz. Powód...

- Bzdura! Dlaczego nie powiedziałaś mi, kim jesteś, po pierwszym weekendzie, który spędziliśmy razem? Bo nigdy mi nie ufałaś, nawet przez chwilę. To jest powód. Nie ma innego wytłumaczenia. Dziewięć miesięcy! Ile ci trzeba czasu, żeby komuś zaufać? Prawda jest taka, że to było ryzyko, żebym wiedział o Billy Ikehorn i jej przeklętej forsie. Co, kurwa, myślałaś? Co zrobiłbym z pieniędzmi, gdybym wiedział? Okradłbym cię? Wydał je? Wydarł ci z ręki? Szantażował cię?

- Nie wiesz, jak to się stało i nie dajesz mi żadnej szansy, żebym mogła to wyjaśnić...

- Jednej rzeczy nie musisz mi wyjaśniać. Nigdy nie traktowałaś mnie jak równego sobie. Jestem twoim romanssem z cyganerią, twoją ukrytą zabawką, twoim skokiem do rynsztoka. Twoje towarzystwo to ci ludzie, z

którymi byłaś dzisiaj. Spójrz na siebie. Idź do lustra i popatrz, kim jesteś. Gdyby to wszystko nie było jak mydlana opera, pewnie bym się śmiał. Nie wiedziałem, że takie damy trzymają rzeźbiarzy w charakterze pokojowych piesków, ale od czego doświadczenie. Wynoś się stąd i nie pokazuj mi się na oczy.

- Sam, chcę wyjść za ciebie. Kocham cię.

- Co za głupoty! Jak śmiesz stać tutaj i mówić takie rzeczy? Nawet jeśli mówisz prawdę, i tak nie uwierzę w jedno twoje słowo. Czy myślisz, że w ogóle brałbym pod uwagę ślub z kobietą, która nie ufa mi do tego stopnia, że przez dziewięć miesięcy nie powiedziała mi, kim naprawdę jest? Z kobietą, która uprawia ze mną obrzydliwe gierki i robi numery, których nie potrafiłbym zliczyć? Z kobietą, która nie ma odwagi powiedzieć mi, że ma pieniądze, i kłamie, mówiąc o tym, gdzie była w nocy? Nie wiem o tobie nic. Nie wiem nic o tym, jakim jesteś człowiekiem, jeżeli w ogóle nim jesteś. Czy myślisz, że to coś znaczy, że nazywasz się Misia Winthrop lub Billy Ikehorn, jeżeli nie potrafiłaś mi zaufać? Ile razy powtarzałaś ten numer? Ilu facetów znalazło się w takiej samej sytuacji? Ty i twoja święta niezależność. Uległem magii tego zwrotu. Czy masz choć pojęcie o tym, jak mnie znieważyłaś? Jak głęboko, na zawsze dotknęłaś? Nie sądziłem, że ktoś może wzbudzić we mnie takie uczucia. Powiedziałem ci, żebyś sobie poszła. Powtarzam to raz jeszcze. Brzydzę się tobą. Wynoś się.

- Nie wyjdę! Nie wyjdę, dopóki mnie nie wysłuchasz... Billy stała w pustej pracowni, słuchając odgłosu kroków Sama dźwięczących na schodach.

Czekając na Zacha w niczym nie wyróżniającej się restauracji przy Drugiej Alei Sasza powiedziała sobie, że ani jej w głowie szpiegować swoją najlepszą przyjaciółkę - ona ją tylko osłania. Kiedy zeszłego poniedziałku Gigi wychodziła na spotkanie z Zachem, jej kochana, niewinna twarzyczka miała tak żaloszny, bezbronny i pełen ufności wyraz, że po dokładnym zbadaniu swych uczuć i głębokim namyśle Sasza doszła do wniosku, iż bliskiej przyjaciółce należy się wyższa, bardziej wyrafinowana lojalność niż ta, jaką czuje się w stosunku do męskich członków własnej rodziny.

Gdyby kobiety w przeszłości wykształciły u siebie tę godną podziwu solidarność, nie musiałyby się męczyć z chamami, którzy stanowią przeważającą większość obecnej populacji mężczyzn. Sasza pomyślała ze smutkiem, że nawet jej ukochany brat jest chamem, lepszym rodzajem chama niż wszyscy inni, ale wzięwszy pod uwagę fakty, jest dogłębnie zepsuty, zły do szpiku kości. To nie jego wina, że od chwili kiedy trzeba mu było zmienić pierwszą pieluszkę, wszystkie kobiety uznawały go za idola. To nie jego wina, że jak daleko sięgała pamięć, wszystkie kobiety leciały na niego. Teraz było jeszcze gorzej niż wtedy gdy licealistki i studentki szkół aktorskich płątały mu się pod nogami w nadziei, że obdarzy je choćby spojrzeniem. Jako reżyser w parnej atmosferze teatru awangardowego był źródłem najbardziej nieprawdopodobnych fantazji seksualnych. Która aktorka nie chciała zaciągnąć swego reżysera do łóżka? Nie było także winą Zacha, że tak często dawał się wikłać w szereg zupełnie jawnych romansów - jakież rasowy reżyser może się oprzeć swoim aktorkom? Teatr awangardowy nie dawał pieniędzy, ale w zamian ociekał

seksem.

Skoro Gigi nie ma zadatków na Wielką Dziwkę, to nie można dopuścić, żeby „zaraziła się” Zachem. Gigi jest zbyt delikatna, ma serce zbyt podatne na złudzenia miłości. Ona, Sasza, jako starsza i mądrzejsza, musi coś zrobić. Jako duenna, przyzwoitka, opiekunka i mianowana bariera Gigi przeciwko jej kontaktom z niewłaściwym rodzajem mężczyzn, musi ostrzec brata, który, nie zdając sobie nawet sprawy ze swoich czynów, wykorzystałby słodką, dobrą kobietę. Kobietę taką jak Gigi, która nie potrafiłaby skutecznie pozbyć się swych staromodnych romantycznych ideałów.

Zach złożył długi pocałunek na karku Saszy i wsunął się na siedzenie naprzeciwko niej.

- Gdybyś nie była moją małą siostrzyczką, to bym powiedział, że jesteś kobietą o wspaniałej figurze.

- Ależ tak przecież jest - odparła Sasza, jak tylko potrafiła najsurowiej, jeśli wziąć pod uwagę, że darzyła brata bałwochwalczym uwielbieniem.

- No to muszę powiedzieć, że jesteś wprost cudowna. Paluszki lizać. Gdyby mogła cię teraz zobaczyć mama, potrzebowałaby natychmiastowej reanimacji. Kiedy wreszcie przestaniesz wyglądać w czasie uroczystości rodzinnych jak kandydatka do zakonu, która ma niebawem złożyć śluby wieczyste?

- Może po moim weselu, jeśli w ogóle będę je miała, bo jak dotąd nie spotkałam wartego mnie faceta. Ci, których znam, to banda oswojonych szczeniąt. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła wyjść za któregoś z tych dzieciaków.

Zach wyszczerzył w uśmiechu zęby i puścił mimo uszu dobrze sobie znaną skargę Saszy na niedojrzałość płci męskiej.

- Mama wie, jak zarabiasz na życie, mała. Czy według ciebie myśli, że pod bielizną nosisz obcisły kombinezon?

- Nie chce wiedzieć nic ponad to, co musi. Ale ja nie umówiłam się z tobą, żeby rozmawiać o moich zdziecinniałych chłopakach czy dobrowolnym statusie zera w kręgach Orloff-Nevskych.

- No to dlaczego tu jesteśmy? Poza naszym zwykłym kazirodczym pragnieniem przestawania ze sobą? - Uśmiechnął się do niej, ten mężczyzna jeden na miliard. W ciemnych oczach miał coś surowego, coś wymagającego i łagodnego zarazem, coś pełnego sprytu i humoru. Każda kobieta zaglądająca w te oczy wiedziała, że w razie konieczności Zach potrafi się śmiać, pieprzyć, reżyserować i pocieszać, chociaż niekoniecznie jednocześnie. Zach Nevsky miał postawę robotnika portowego: wysoki, o szerokich barach i muskularnej szyi, na której opierała się arogancko osadzona głowa w sposób, który wszędzie go wyróżniał. Jego nos był duży, zakrzywiony i stanowiłby najbardziej rzucający się w oczy element zuchowatej twarzy o wysokich kościach policzkowych, gdyby nie równoważyły go doskonale sardoniczne, pełne i mocne usta. W wieku dwudziestu ośmiu lat Zach Nevsky był nie pozbawionym inteligencji ogierem.

- Och, Zach - westchnęła Sasza patrząc na niego ze smutkiem - przestań ciągle o tym mówić.

- Sasza, ten kazirodczy dreszczyk jest jedynym sposobem, aby rodzeństwo, będące dla siebie naturalnymi wrogami, doceniało siebie wzajemnie jako przyjaciół.

- Ach te twoje teorie - rzekła ponuro Sasza.
- Wyglądasz, jakbyś miała jakiś problem. Powiedz tatusiowi.
- Martwię się o Gigi.
- Dlaczego?

Sasza zauważyła, że wygląda na zaniepokojonego. No jasne, nieczyste sumienie. Zdążyła na czas.

- Zach, wiesz, że Gigi nie jest pierwszą lepszą dziewczyną, prawda?
- Nie - to Graziella Giovanna Orsini - odparł sztywno.
- Powiedziała ci swoje imiona!
- Bo o nie pytałem. A co, czy to jakiś sekret?
- Wydobyć ich od niej zajęło mi kilka miesięcy. Uważa, że są zbyt formalne.

- Sądzę, że do niej pasują - powiedział Zach z nieszczerą zaczepnością w głosie. - Więc jaki ma kłopot?

- Jest bardzo wrażliwą osobą, Zach. - Jak gdyby o tym nie wiedział, pomyślała Sasza. Mężczyźni to tacy gówniarze.

- To dobrze. Chciałabyś, żeby była niewrażliwa? Żeby włączała i wyłączała sobie wrażliwość jak światło?

- Jej uczucia można łatwo zranić.

- Coś takiego można powiedzieć o prawie wszystkich członkach rasy ludzkiej. Wszystkich nas można łatwo zranić, nawet ciebie, nawet mnie. Ja też jestem bardzo wrażliwy. Można zranić nawet uczucia naszej mamy. Tylko że nigdy nie mieliśmy odwagi spróbować.

- Zach, nie udawaj kretyna. Nie chcesz usłyszeć, co mam ci do powiedzenia, chociaż specjalnie po to tu przyszedłem. A teraz uważaj! Gigi ma okropnego ojca, matka umarła w trudnym okresie jej dorostania. Jej

macocha zniknęła gdzieś na nizinach czy wyżynach Paryża, nie jesteśmy pewne. Gigi odbiera od niej tylko od czasu do czasu szaleńczo szczęśliwe telefony. Wygląda na to, że nigdy już nie wróci. Więc poza mną jest mniej więcej sama na tym świecie i zupełnie nie cieszy jej praca, jaką ma - więc my oboje mamy obowiązek traktować Gigi bardzo, bardzo ostrożnie. Musimy być dla niej łagodni. Czy to do ciebie dociera, Zach?

- Okropny ojciec, hę?

- Oczywiście. Nie miała od niego wiadomości od ponad roku. Nawet jednej pocztówki. Jest jak dziecko we mgle. I uważam, że troszkę zaczyna się w tobie durzyć.

- Niemożliwe - rzekł Zach z przekonaniem. - Coś sobie wyobrażasz.

- Mówisz tak tylko dlatego, że uodporniłeś się na delikatniejsze uczucia kobiet, Zach. Odniosłeś tyle łatwych zwycięstw, że nawet nie zauważasz, kiedy taka skromna osóbka jak Gigi zaczyna traktować każde słowo padające z twoich ust jak wyrocznię. Nie masz nawet pojęcia, jak często cytuje ciebie jako najwyższy autorytet.

- Jasne - powiedział Zach z niedowierzaniem. - A w jakiej dziedzinie? Kłopotów z jej pracą?

- Zasadniczo tak, ale to tylko zasłona dymna, za którą może wypowiadać twoje imię. Kiedy ktoś zaczyna mieć nieprzepartą chęć wypowiedzenia czyjegoś imienia, kiedy wplata je do każdej rozmowy, nawet jeśli nie dotyczy ona tej osoby - nawet ty musisz wiedzieć, co to oznacza. To ewidentny, absolutny znak zadurzenia się.

- O co ci chodzi z tym „zadurzeniem”? - spytał Zach ze złością. - O inklinacje uczennicy?

O łagodną skłonność? Jakaś pastelową bzdurkę? Nie spodziewałem

się, że kiedykolwiek usłyszę od ciebie takie słowo, mała. Zadurzenie jest zasadniczo nieszkodliwe i młodzieńcze, jak coś z Małych kobietek.

- Próbowałam ci tylko uświadomić, iż te twoje rozmowy z Gigi na temat jej pracy prowadzą do tego, że traktuje cię o wiele poważniej, niż byś sobie tego życzył.

- Sasza, wyduśże to wreszcie! Przestań owijać wszystko w bawełnę i nie mów długimi zdaniem, które nic nie znaczą- wybuchnął Zach.

- Jeśli nie przestaniesz jej wysłuchiwać i udzielać rad, to się w tobie zakocha - powiedziała złowrogo Sasza.

- Pęknię ze śmiechu!

- Znam Gigi i mówię ci, że tak jest. Może nawet jest już za późno.

- Bardzo zabawne - rzekł z wściekłością Zach. - To wszystko jest częścią waszego planu, tak? Ten lunch jest częścią intrygi, jaką obie przeciwko mnie uknułyście?

- O czym ty mówisz?

- Jasne, odgrywaj dalej niewinną przyjaciółkę! Przysłała cię tu, żebyś to wszystko powiedziała, prawda? Która z was wpadła na ten szatański pomysł? Która z was stwierdziła, że cierpię za mało? Och, wiem, jak rozumujecie, wiem wszystko o teorii konieczności cierpienia mężczyzn, ale nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że odnosi się to do twojego własnego brata! Nie czujesz ani odrobiny rodzinnej lojalności?

- Ty... ty cierpisz? Powiedziałeś, że cierpisz?

- Słusznie, rozdrapuj mi rany. Rozciągnij mnie na łożu tortur i słuchaj, jak jedna za drugą pękają mi kości, zakop mnie w piasku i popatrz sobie, jak mrówki dobierają mi się do oczu! Chciałbym wiedzieć, co ci zrobiłem, żeby zasłużyć sobie na takie traktowanie!

- Zamknij się, Zach. Muszę pomyśleć - rzekła gorączkowo Sasza.

- Nie ma o czym. Wygrałyście z tą swoją przyjaciółką. Napawaj się swoim zwycięstwem, co mnie to obchodzi? „Od czasu do czasu ludzie umierali i zjadały ich robaki, ale to nie z miłości”. No więc mam dla Szekspira niespodziankę - on nie wiedział wszystkiego, prawda? Nie przeprowadził ankiety, a już na pewno nie spytał mnie.

- Umierasz z miłości? - wydusiła z siebie Sasza.

- Jeszcze nie, ale jeśli nie wezmę się w garść, to tym się to skończy. Przecież musiała ci o tym powiedzieć! Pewnie siadacie sobie i śmiejecie się ze mnie, dwie wiedźmy i ich ofiara. Och, zaczęła zgodnie z wszelkimi zasadami: te wszystkie nieśmiałe pytania zadawane jakby drżącym głosem, od czego robiłem się taki wielki, opiekuńczy i ważny. A to jej spojrzenie, jakbym znał sekret wszechświata, czy to ty ją nauczyłaś niszczyć mnie tym spojrzeniem? A potem to zaproszenie mnie do siebie w zeszłą sobotę wieczorem, kiedy była skłopotana - skłopotana, słowo honoru, że użyła tego właśnie słowa - i sam nie wiem jak w pół godziny później jadłem najwspanialsze danie w życiu, a ona siedziała jak najdalej ode mnie i wyglądała w tym swoim teatralnym fartuszkach tak kurewsko pięknie, że nie mogłem jeść - i cały czas opowiadała mi, co się jej przydarzyło z tym Anglikiem w Kalifornii, facetem, który złamał jej serce, kiedy była dziewczyną, z tym cholernym łajdakiem, który chciał ją cichcem zostawić, nawet się z nią nie żegnając - pewnie to wszystko wymyśliła, żebym zrobił się jeszcze bardziej zazdrosny. A potem te wszystkie wieczory, kiedy mówiła mi, że nie może się ze mną umówić, bo ma już inne spotkania, ale nie powie mi o nich ani słowa, nie puści pary z ust - to jeszcze jedna rzecz, której ją nauczyłaś, tak? Powiem ci tylko, że jeszcze

cię za to dopadnę, Sasza. Jeszcze cię kiedyś dopadnę!

- Powiedz mi, że nie słyszę tego, co słyszę - poprosiła Sasza błagalnym tonem.

- Tak, napawaj się! A to, że nie pozwoliła mi się dotknąć - to też twoja sprawka. Poznaję twoją rękę, powinno się ciebie sprzątnąć ze świata. Najpierw doprowadzić frajera do stanu, w którym nie wie, jak się nazywa, a potem zabronić mu wszystkiego oprócz całusa w czubek cudownego, ostrego noska czy jedwabistej, pomarańczowej główki, a jeśli będzie bardzo grzeczny, pozwolić mu ucałować mięciutki policzek, ale to wszystko! Ani centymetra więcej! I powiedzieć mu, że to ze strachu, że jeśli pocałuje w usta, to za bardzo się go polubi - polubi! W usta... powiedziała „nie” przy ustach! To była kropla przepełniająca dzban. I co, do cholery, jest złego w lubieniu? To mnie dobiło. Nie słyszałem czegoś takiego przez całe życie, skąd wy bierzecie te wasze sztuczki? Kto je wam podsunął - Jane Austen? Henry James? Kamasutra?

- Jezu!

- On nic nie mówił o lubieniu. Znam twoje zasady, Sasza. Byłem idiotą i nigdy ich nie kwestionowałem, ale nie sędzę, żeby można było narażać niewinną dziewczynę, która przed poznaniem ciebie na pewno była dość przyzwoitym człowiekiem, na ryzyko zarażenia się twoimi niezdrowymi, manipulanckimi, antymęskimi teoriami. I nie rób takiej wstrząśniętej miny. Sama to wszystko na mnie sprowadziłaś, więc zaoszczędź mi fałszywego zmieszania.

- Och, Zach! Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

- Jasne, za sto tysięcy lat świetlnych albo kiedy dorwę w swoje ręce Gigi i zrobię jej to wszystko, za co teraz oddałbym życie. Zobaczymy, co

będzie pierwsze. A teraz udław się swoim lunchem. Wracam do teatru.

Sasza ze łzami w oczach tępo wpatrywała się w talerz. Biedny Zach, biedny, słodki, kochany Zach. Powoli, bardzo powoli jej twarz rozjaśniła się nieśmiałym uśmiechem tryumfu. Wszystko, czego dokonała Gigi, zawdzięczała jej, Saszy. Gigi wprawdzie postępowała inaczej, ale i tak... zwycięstwo jest zwycięstwem. Biedny Zach. Mężczyźni muszą cierpieć. To dla ich zdrowia.

* * *

- Wiesz, myślę, że pierwsi mormoni wpadli na niezły pomysł - powiedziała Gigi do Saszy, przeglądając najlepszą część swej kolekcji bielizny. Wszystko starannie rozłożyła na kanapie przykrytej bibułą.

- Poważnie? - Dawniej Sasza nie zaszczyciłaby swoją uwagą tego, co mówi Gigi, lecz teraz nabrała dla niej szacunku. Jej przyjaciółka prowadziła z Zachem skomplikowaną grę, a chociaż Sasza postanowiła nie zadać jej ani jednego bezpośredniego pytania, wszystko, co mówiła Gigi, może stanowić wskazówkę co do jej mistrzowskiego i ciągle tajemniczego planu ataku.

- Pamiętasz, że ich żony są na zdjęciach zawsze szczęśliwe, w stanie kompletnej błogości.

Nie widziałas w porannych gazetach zdjęcia tego starego mormona, którego złapano z tuzinem żon, chociaż niby już tego nie praktykują?

- No i co z tym zdjęciem?

- Nigdy nie widziałam żadnej grupy kobiet, od których promieniowałby taki spokój. A potem do mnie doszło - Kappa Kappa Mormon! Dwanaście kobiet i jeden facet, to chyba właściwa proporcja szczęścia.

- Gigi, wiesz, co sądzi Sasza Nevsky: właściwa proporcja to trzech facetów i jedna dziewczyna.

- Ale czy jesteś z tym taka szczęśliwa? Ciągłe się skarżysz, że są tacy niedoświadczeni, tacy niedorośli, niedojrzali, nawet ci najlepsi. Czy nie myślałaś o przeniesieniu się ze swoimi talentami do osiedla emerytów? Spróbuj na chwilę przestać myśleć w ogóle, a potem przemyśl wszystko od nowa. Zmusz komórki swego wspaniałego rozumu do zastanowienia się nad tym układem. Jedenaście kobiet, które naprawdę lubisz, jedenaście kobiet, z którymi świetnie się bawisz, z którymi możesz rozmawiać tak, jak nigdy nie porozmawiasz z mężczyzną - a do tego twoje dzieci biegające wokoło z wielką bandą przyrodnich braci i siostr, które mają lepszą opiekę, niż mogłaby im zapewnić jedna kobieta. I nie byłoby prawie w ogóle prac domowych, bo zajmowałyby się nimi dwanaście par rąk. Z drugiej strony mogłabyś się pieprzyć tylko kilka razy w miesiącu, ale co z tego? Przyznaj sama, że seks jest przeceniany, a nie miałybyś powodów do zazdrości, bo innym żonom wcale nie dostawałoby się więcej niż tobie.

- Hmm... Nie wiem. Zachowam swoje zdanie na temat seksu, ale myślę, że musiałyby być przynajmniej jedna żona, której nikt by nie lubił - powiedziała z namysłem Sasza.

- I taka, do której wszystkie chciałyby być podobne - skrzyżowanie wracającej do domu królowej z Panną Sympatią. Ale byłaby tak miła, że nie można by jej zazdrościć. - Gigi siedziała po turecku na podłodze, przytulając do siebie lawendową lizeskę o szerokich rękawach, uszytą z żorżety i ozdobioną kremową koronką przetykaną francuskimi pączkami róży, którą przeznaczyła na gwiazdkowy prezent dla Dolly.

- A twoja indywidualność? Przecież w takim tłumie byś ją straciła.

- Dlaczego? Czy indywidualność oznacza wyłączność praw do jakiegoś mężczyzny? Byłabyś dokładnie tą samą osobą, tylko wiedziałabyś, co skrywa przyszłość, nie miałabyś niepewności co do mężczyzn i ich podłego sposobu postępowania, żadnych nieokreślonych depresji, żadnego strachu przed samotnością, żadnego starzenia się oprócz wspólnego starzenia się z innymi, którzy robią to w tym samym tempie.

- Sasza, to idealne! Można by przestać żyć życiem opartym na związkach z mężczyznami i po prostu żyć! - Gigi mówiła z takim żarliwym przekonaniem, że Sasza spojrzała na nią z niepokojem.

- Masz dar przekonywania. Czy przed przyłączeniem się do ciebie mogę to sobie trochę przemyśleć?

- Ile tylko chcesz - rzekła wielkodusznie Gigi. - To i tak nielegalne, ale pomysł jest wspaniały.

Sasza pomyślała, że rozumie, dlaczego Gigi odpowiadałoby życie żony mormona. Każda dziewczyna uganiająca się za Zachem z zapierającym dech w piersiach powodzeniem i wspaniałą szczerością Gigi musiała słyszeć o wszystkich złamanym przez niego sercach, o dramatach zazdrości. Teraz Gigi jest górą, nawet jeśli o tym nie wie. Tylko że znając historię Zacha musi się poważnie martwić o utrzymanie go przy sobie, gdy już go zdobędzie. Kappa Kappa Mormon z Zachem jako głową rodziny mogło się wydawać właściwym rozwiązaniem. A może to jest rozwiązanie?

- Jeśli dzisiaj nie uda mi się uporządkować wszystkich prezentów gwiazdkowych, to nic nikomu nie dam - odezwała się Gigi. - To jest chyba idealne dla Billy. - Odłożyła lizeskę i uniosła krótki, prawie przezroczysty

kawałek delikatnej, czarnej koronki zwisający z cieniutkich, czarnych, atłasowych ramiączek. Potrząsnęła nim przed oczyma Saszy. - Zrobiono to na początku lat dwudziestych. To tak zwana kombinacja. Widzisz, koszulka razem z majtkami o szerokich nogawkach. Nosiło się do tego czarny pas do pończoch i czarne jedwabne pończochy. Czyż nie jest ona we francuskim stylu? Napisałam kartkę. Chcesz posłuchać?

- Jasne - odparła z zazdrością Sasza. Miała ten sam rozmiar co Billy, i ta kombinacja byłaby na nią w sam raz.

- „*Dokąd szła?*” to tytuł - zaczęła Gigi. *Miała na imię Nora. Tak, Nora, takie proste, dobre imię. Skomplikowani, podejrzliwi mężczyźni, którzy powinni byli wiedzieć lepiej, ale mężczyźni są tacy głupi, prawda? Ufali jej z powodu tego imienia. Wierzyli jej ujmującemu, nieśmiałemu uśmiechowi, ogromnym, szczerym oczom, jej pełnym wahania rumieńcom, i składali swe serca w jej dłoniach. Lecz skąd mieli wiedzieć, że pod schludnymi, zapiętymi pod szyję bluzkami i przyzwoitymi, plisowanymi spódnicami Nora nosi czarną, koronkową kombinację? Norę powinno się zamknąć w wieży i wyrzucić klucz. Dlaczego? Bo kiedy jeden z jej kochanków zasypiał owym głębokim snem całkowitego zaspokojenia, jaki mogła mu dać jedynie noc spędzona z Norą, ona wymykała się z łóżka i szła tańczyć, mając na sobie tylko tę kombinację i złociste pantofelki. Tańczyć w miejscach, o jakich kochający ją mężczyźni nawet nie śnili, tańczyć z mężczyznami, których nie zobaczy po raz wtóry, którzy rankiem wypłyną w morze, wciąż o niej myśląc, którzy przenigdy jej nie zapomną, tańczyć długo po zachodzie księżyca, aż do świtu. (Oczywiście Nora wkładała na kombinację futro, żeby nie szokować taksówkarzy.) Nora zawsze była z powrotem w łóżku, nim jej kochanek się obudził - i trzeba ją*

było budzić pocałunkiem. Tyloma pocałunkami. O tak, Nora to było za dużo dla jednego mężczyzny. Nora o roztańczonych stopach i lekkim, niewiernym, pięknym, wielkim sercu.

- Gigi! - Sasza wybuchnęła płaczem. - Gigi, nie możesz dać tego Billy. Wiesz przecież, że to prezent dla mnie! Powiedz, że tak, powiedz, że chciałaś tylko zobaczyć, czy mi się podoba!

- Och, Sasza, nie chciałam doprowadzić cię do płaczu! Oczywiście, że to dla ciebie! To cała ty, a nie Billy. Ale nie jest nawet zapakowany i nie zrobiłam jeszcze rysunku.

- Możesz to zrobić później - pociągnęła nosem Sasza - daj mi tylko przymierzyć.

Wróciła za dwie minuty jako Nora, której nie potrafiła sobie wyobrazić nawet Gigi, porwała ją w ramiona i zawirowała z nią w walcu wokół pokoju.

- Wygląda na tobie bosko - westchnęła Gigi z zadowoleniem, kiedy Sasza w końcu ją puściła. Szukała bardzo długo, żeby znaleźć coś, co się Saszy spodoba. - Teraz potrzebujesz tylko futra i jesteś gotowa na długą noc.

- Co pomyślałyby o tym moje nigdy nie zazdrosne mormońskie siostry? To oznacza kłopoty w mormońskim raju, Gigi. Chyba że znalazłabyś coś takiego dla wszystkich.

- Jest jedyna w swoim rodzaju, jak wszystkie moje rzeczy.

- A co dasz Billy?

- To. - Gigi rozwinęła kłęb ciężkiego atłasu w kolorze starego złota i zarzuciła go sobie na sweter i džinsy. Był dla niej o wiele za długi, nawet bez krótkiego trenu opadającego jej do stóp.

Od ramion do bioder atłas pokrywała leciutka warstwa kremowej koronki tworzącej jednocześnie szerokie rękawy. Koronka była przymocowana tu i ówdzie do atłasu kokardkami z błękitnego aksamitu.

- A cóż to takiego?

- To najwspanialsza, najcenniejsza rzecz, jaką posiadam. Suknia podwieczorkowa. Na początku wieku kobiety ubierały się w coś takiego, kiedy zapraszały na herbatę najbliższe znajome. Chyba nie sądzisz, że to trochę za duże?

- Jest dla Billy doskonała. Napisałaś już kartkę?

- Jeszcze nie. Muszę wymyślić coś odpowiedniego. Wyobrażam sobie, że Billy nosi to w swoim nowym domu w Paryżu w takie zimowe popołudnie jak dziś, kiedy nalewa herbatę potomkom tych postaci, którzy byli pierwowzorami bohaterów Prousta - albo na statku mieszkalnym w Kaszmirze - albo może w Szkocji w popołudnie zbyt deszczowe, żeby wybrać się na cietrzewie...

- Billy nie poluje na cietrzewie.

- Doprawdy, Sasza, nie musisz być taka dosłowna. To strój na każde miejsce i w każdym czasie, kiedy chce się olśniewać i zachwycać. A ta piżama jest dla Jessiki. Jest dla mnie za mała, więc na nią powinna pasować - dodała Gigi, strzepując dwa kawałki jasnoróżowego muślinu, ozdobionego przy szyi, rękawach i sięgających łydek nogawkach kilkoma warstwami pierrotopodobnych kryz. - Jest francuska, pochodzi z lat dwudziestych... Czy nie wygląda, jak stworzona dla niej?

- A czy jest wystarczająco seksowna? - W głosie Saszy paradującej w swych czarnych koronkach brzmiało powątpiewanie.

- Bielizna nie zawsze musi być seksowna. To jest prześliczne, jak

Jessica. A to dla Emily Gatherum - powiedziała Gigi pokazując Saszy czarny biustonosz z prawie stożkowymi miseczkami i dziurkami, przez które mogły wystawać sutki.

- Nie zrobisz tego!

- Nie, tak naprawdę kupiłam go dla siebie. Frederick's w Hollywood, 1960 rok. Emily by tego nie zrozumiała.

- I co z nim zrobisz?

- Chciałabyś wiedzieć, panno Nevsky! Nazywano go „strojem bojowym kurtyzany” - i nawet nie próbuj go ode mnie wydostać. Przestań patrzeć na niego pożądlivym wzrokiem. Jest mi potrzebny bardziej niż tobie. A teraz przebierz się i daj mi swój prezent, żebym mogła skończyć kartkę i zapakować go. Muszę jeszcze napisać kartki dla Dolly, Jessiki i Mazie, jest jeszcze ta cudowna, czekoladowa halka z jedwabiu i szyfonu z lat trzydziestych dla Josie Speilberg, jedynej kobiety, jaką znam, która nadal nosi halki, i wszystkie te inne lniane koszulki z koronkami dla Emily i znajomych z „Krainy Obfitości” - och, czy zdążę dzisiaj napisać te wszystkie kartki? Nie powinnam była ci pozwolić, żebyś mnie rozpraszała. Zobacz, jak późno.

- Gigi, zapakuję ci wszystkie prezenty, wiesz, że wspaniale to robię, jeśli pozwolisz mi wszystko - kartki i w ogóle - wziąć do biura i pokazać innym modelkom. Dobrze? Będą poza domem tylko jeden dzień, a do Bożego Narodzenia zostało jeszcze kilka tygodni. Będę ich bardzo dobrze pilnować.

- Naprawdę uważasz, że dziewczyny to zainteresuje? - spytała Gigi.

- Na sto procent. Dobre modelki prezentujące bieliznę muszą mieć więcej ciała niż inne modelki. Kształty musimy mieć miękkie, bujne i

dojrzałe, bo inaczej wszystko by na nas wisiało, i czasami, szczególnie w okolicach Gwiazdki, wpadamy w depresję myśląc, że nie jesteśmy dość szczupłe, gibkie czy wiotkie. Tak, nawet Sasza Nevsky miewa wątpliwości. Bardzo by im pomogło, gdyby się dowiedziały, co nosiły kobiety przed pojawieniem się rajstop.

- No dobrze... ale tylko na jeden dzień. I nie dostaniesz mojego stanika. Może będę go potrzebować.

- One wszystkie widziały już takie staniki, Gigi. Ciągłe się je robi... dokładnie ten sam styl, a połowa kobiet w Des Moines ma taki w swojej szafie - odparła łagodnie Sasza. - Nazywa się to „Specjał Sobotniej Nocy”.

* * *

- To dobrze znane zjawisko, ten gwiazdkowy smutek, przeczytałam o nim w Kochana Abby.

To nic złego, że tak się czujemy, byłoby prawie źle, gdyby było inaczej - powiedziała Dawn Levine niepewnym głosem, zawiązując pasek bawełnianego szlafroka w przebieralni modelek w domu Herman Brothers. - Ale Kochana Abby nie powiedziała ani słowa, dlaczego przytyłam o cały obrzydliwy kilogram, a do Gwiazdki jeszcze kilka tygodni. Może Ann Landers znów coś napisze o psychologicznym tyciu w okresie gwiazdkowym... Może to jak ciąża urojona? - mówiła Dawn bez przekonania. Blond włosy opadały jej na ramiona jasnymi pasmami, a prosta grzywka niemal wchodziła do smutnych, błękitnych, irlandzkich oczu.

- Bzdury, kochanie, same banialuki - odparła Sally Smart. - Jeśli przytyłaś o kilogram, a nawet stąd widzę, że tak, to dlatego, że zjadłaś osiem tysięcy kalorii nie dobrego tłuszczu, którego nie wchłonęłaś, tak

wyjaśnia mi to zawsze mama. Twierdzi, że z poczucia matczynego obowiązku mówi mi rzeczy, których inni mi z uprzejmości nie powiedzą. - Sally odgarnęła za uszy brązowe włosy przystrzyżone na pazia i zmarszczyła piegowaty nosek. - Powiedz to Kochanej Abby - poradziła Dawn - i niech spróbuje z tego wybrnąć. Niech cię przekona, że po prostu zatrzymujesz wodę, ale nie proś, żebym zgodziła się z twoim żalnym okłamywaniem samej siebie.

- O rany, Sally, dziękuję, strasznie mi poprawiłaś samopoczucie - powiedziała niechętnie Dawn. - Mogę tylko powiedzieć, że masz taką matkę, na jaką zasługujesz. A ona zasługuje na taką złą córkę jak ty. Czy powiedziała ci, że ta maleńka krosta na brodzie rośnie ci z każdą chwilą i na Wigilię będzie prawdopodobnie w pełnym rozkwicie, ale to i tak nie ma znaczenia, skoro nie jesteś z nikim umówiona na ten wieczór. Albo na Nowy Rok?

- „Na Gwiazdkę spędzaj miło czas, bo Gwiazdka w roku tylko raz”... Czy żadna z was nie słyszała tego wierszyka w szkole? - spytała Rosa Modena, trzecia modelka prezentująca bieliznę. Przyglądała się zmartwionym, niemal przerażonym wzrokiem swoim nogom. - Robią mi się żyłaki - powiedziała. - O dobry Boże w niebiosach, już po mojej karierze! Niech mi któraś szybko powie, że dwadzieścia dwa lata to za młody wiek na żyłaki!

- Niekoniecznie - zapewniła ją Sally. - Mogą się pojawić zawsze. I zamknij się z tym miłym spędzaniem czasu, chyba że chcesz kupować prezenty dla wszystkich dziewięciu dzieciaków mojej siostry, piekielnych pokurczów.

- Myślałam, że je uwielbiasz - zaoponowała Dawn.

- Na pewno nie w okresie Bożego Narodzenia. Dzieci dostają ładne prezenty, z niecierpliwością czekają na ten wielki dzień, uwielbiają śpiewać te idiotyczne kolędy, a my, dorośli, musimy się dostosować, bo nie mamy odwagi tego nie zrobić. Jeśli sądzisz, że moja krosta na brodzie się powiększa, to powinnaś zobaczyć tę na pupie.

- Jeśli Sasza nie wróci szybko z kanapkami, to się rozplacę - oznajmiła głośno Rosa. - Nie znoszę Bożego Narodzenia, nie znoszę swoich nóg, nie znoszę samej siebie, mojego chłopaka, a szczególnie was dwóch!

- Widzę, że przyszłam w samą porę - powiedziała Sasza, wpadając do przebieralni modelek z tekturowym pudełkiem kanapek. Tego dnia była jej kolej przyniesienia drugiego śniadania. - Za chwilę trzy zupełnie normalne dziewczyny, które zwykle zachowują się jak damy, skoczyłyby sobie do oczu. Macie, jedzcie i, na litość boską, przestańcie narzekać na Gwiazdkę, udawajcie, że to Czwarty Lipca. Wasza wspaniała Sasza Nevsky, jak zwykle myśląca, przyniosła wam coś na pociechę, żebyście mogli jakoś przetrwać ten dzień.

Oczy Saszy płonęły oczekiwaniem, nachylenie jej noska było dowcipniejsze niż zwykle, uśmiech miała tajemniczy, a nieco unowocześniona fryzura w stylu Pompadour, w jaką ułożyła swe ciemne włosy, piętrzyła się władczo.

Kiedy Sally, Rosa i Dawn rzuciły się na jedzenie, Sasza wyjęła ukryte w szafie dwie walizeczki, w których rano przyniosła rzeczy Gigi. Gdy tylko dziewczęta skończyły pośpieszny lunch, otworzyła je i wyciągała z nich po kolei prezenty gwiazdkowe, jakie Gigi znalazła dla swoich przyjaciółek. Podnosiła każdą sztukę dawnej bielizny, mówiła, co

to jest i dawała koleżankom do obejrzenia. Dotykały jej z szacunkiem głośno zachwycając się materiałami, bo wszystko, co nosiły prywatnie lub prezentowały zawodowo, było zrobione z bawełny lub nylonu, a żadna z nich nigdy nie miała ręcznie szytej bielizny, ani nie znała się na dawnej modzie.

Kiedy Sasza głośno odczytywała kartki Gigi, widziała, jak z twarzy koleżanek znika wyraz niezadowolenia, rozdrażnienia i troski, a na jego miejscu pojawia się nieomal hipnotyczne oszołomienie dzieci, które po raz pierwszy słuchają jakiejś czarodziejskiej opowieści.

- Czy... czy mogłabym tylko...? - zwykle wygadana Sally dotknęła czubkami palców sukni podwieczorkowej przeznaczonej dla Billy, błagając wzrokiem o pozwolenie przymierzenia jej.

- Ale bardzo uważaj - ostrzegła Sasza, nie mogąc się oprzeć jej spojrzeniu, zwłaszcza że wiedziała, jak każda z dziewcząt umie delikatnie obchodzić się z oryginalnymi modelami noszonymi na wybiegu. Wysoka Sally zdjęła szlafrok i powoli ułożyła sobie suknię na ramionach wsuwając ręce w koronkowe rękawy i robiąc kilka kroków, żeby mógł się za nią rozpostrzeć tren.

- Mój Boże - wyszeptała - czuję się... nawet nie potrafię powiedzieć jak... Z pewnością zupełnie nie jak ta podła, straszna osoba, jaką jestem. Och, Sasza, czy będę musiała ją zdjąć?

- Obawiam się, że tak.

- Jeszcze raz sama przeczytam kartkę - powiedziała Sally przybierając królewską pozę. - Słuchajcie.

Pochodziła ze starego brytyjskiego rodu. Na chrzcie otrzymała imiona Mary-Jane Georgina Charlotte Alberta, ale kazała się nazywać

Georgie. Rodzice wychowywali ją surowo, bo była tak przerażająco piękna... lecz zanim skończyła piętnaście lat, jej instruktor jazdy konnej i nauczyciel gry na pianinie stoczyli o nią pojedynek. Chan Aga doradził jej, na jakiego konia postawić, aby wygrać w Newmarket na wyścigu Tysiąca Gwinei, spadkobierca księstwa oddał jej serce, rękę i diadem, a wielki bankier podarował sznur różowych pereł, których zebranie zajęło dziesięć lat. Georgie nie dbała jednak ani o pieniądze, ani o szlachetne kamienie, ani o bogatych i utytułowanych mężczyzn - pragnęła prawdziwej miłości i znalazła ją w wieku siedemnastu lat u najbardziej czarującego mężczyzny w Londynie... skrzypka w Café de Paris. Jej biedni rodzice nigdy już nie przyszli do siebie! Straciła prawdziwą miłość w wieku osiemnastu lat i znów ją odnalazła mając ich dziewiętnaście. Prawdę mówiąc, Georgie znajdowała prawdziwą miłość ponad trzydzieści razy i za każdym razem była ona coraz cudowniej nieoczekiwana. W Wenecji znalazła ją z gondolierem, w Argentynie z zawodowym tancerzem tanga, w Granadzie z Cyganem, w Nowym Jorku z bokserem wagi ciężkiej, a w Hollywood ze scenarzystą. (Nawet najwięksi wielbiciel Georgie z trudem potrafili to zrozumieć!) Na szczęście Georgie mogła sobie pozwolić na każdą ilość prawdziwej miłości, bo mając osiemnaście i pół roku, w wolnej chwili pomiędzy dżokejem i inspektorem policji, wynalazła i opatentowała tusz do rzes na spirali. Co wieczór Georgie wkładała swą piękną suknię podwieczorkową i spędzała długą godzinę nad herbatą i maleńkimi kanapkami. Podwieczorek przynosił jej do sypialni kamerdyner. Czy ktoś kiedykolwiek zauważył, jak często Georgie zmienia kamerdynerów? Albo jak byli młodzi i przystojni? Kiedy kobieta oddaje się służbie publicznej wynajdując tusz do rzes, to ma prawo zaspokoić wszystkie swe zachcianki.

Tak myślała i robiła Georgie. I znów to robiła. Robili to też kamerdynerzy. Szczęściara z tej Georgie!”

- Bardzo mi się podoba postawa życiowa Georgie - oznajmiła Sally niemal śpiewnym tonem, kiedy skończyła czytać. - Wiedziała, co się naprawdę liczy. Jej kamerdynerzy też nie mogli się uskarżać.

- Nigdy by do tego wszystkiego nie doszła z imieniem Mary-Jane - odezwała się w zamyśleniu Dawn, tęsknie spoglądając na różową piżamę z kryzkami w stylu Pierrota. Kiedy Sally czytała, Rosa z zachwytem ścisnęła białą halkę z krepdeszynu obrębianą mereżką i pasujący do niej stanik. Obie sztuki bielizny, ozdobione kokardkami z białego atłasu, były przeznaczone dla Emily Gatherum.

- Och, przymierzcie wszystko - zawołała Sasza zirytowana na samą siebie, że wyobrażała sobie, iż może tylko pokazywać i opowiadać, kiedy koleżanki aż się rwały do przymierzania. - Przymierzcie wszystko. Tylko ostrożnie. Poproszę tylko z powrotem tę piżamę - nie wejdzie na żadną z nas.

Sasza włożyła swą własną kombinację z czarnej koronki. Dziewczęta umyślnie zwalniały ruchy swych doświadczonych dłoni, aby ostrożnie włożyć nie znaną sobie bieliznę. Początkowo poruszały się powoli, ale już po chwili podskakiwały, paradowały i płąsały, podziwiając się nawzajem z zarumienionymi, pełnymi zachwyty twarzami.

Przed wysokimi lustrami stały teraz cztery kobiety o wspaniałych ciałach; każda z nich miała wrażenie, że prześliznęła się przez jakąś dziurkę w tkaninie czasu i ujrzała samą siebie taką, jaką mogłaby być w innym, o wiele bardziej romantycznym i burzliwym życiu, zmieniona przez poczucie przynależności do chwili, która może powtarzać się w

nieskończoność. Kartki Gigi dały im poczucie, że wszystkie te stroje to nie tylko świadectwo dawnej mody, lecz namacalny pomost do pikantnego, osiągalnego marzenia, zamkniętego obietnicą ponadczasowości, marzenia, w którym tak łatwo mogły sobie siebie wyobrazić jako jego główne postacie. Czuły się zmysłowo uwrażliwione na inny świat, czarownie wyczułone na erotyczne przeżycia, jakich jeszcze nie znały.

Rozległo się stukanie do drzwi.

- Jesteście ubrane, moje panie? - zawołał pan Jimmy.

Rosa, Dawn i Sally zamarły i spojrzały w popłochu na Saszę, jakby zostały przyłapane na przebieraniu się na strychu.

- Uspokójcie się! - krzyknęła na nie Sasza. - Jest jeszcze przerwa na lunch. Zresztą on jest taki kochany, niech się ucieszy. Proszę wejść, panie Jimmy - zawołała. - Nie jesteśmy bardziej rozebrane niż zwykle.

- Za pół godziny będzie tu kilkoro klientów od Higbeego i... Co się tu dzieje? - spytał zdumiony. Nigdy nie widział swoich dziewcząt z tak rozmarzonymi, nieprofesjonalnymi, szczęśliwymi twarzami.

- Nazywam się Nora - rzekła Sasza postępując krok do przodu i całując go w czoło - i późnym wieczorem mamy dziś spotkanie. Będziemy tańczyć do świtu.

- Nazywam się Georgie - powiedziała Sally - i mam wrażenie, że zaraz dostanie pan pracę jako mój nowy kamerdyner.

- A ja jestem Lola-Antoinette - odezwała się Rosa ubrana w białą, atłasową piżamę Saszy.

- I chciałam ci podziękować za te szmaragdy... Naprawdę nie powinienes... no, ale skoro już mi je dałeś... - Też pocałowała go w czoło.

- Hej, o co tu chodzi? - uśmiechnął się pan Jimmy. - Czy próbujecie

pozbawić mnie pracy? A w ogóle to gdzie znalazłyście te rzeczy? Prawie pamiętam... zresztą nieważne, co prawie pamiętam, nie mogę być chyba aż tak stary.

- Moja współlokatorka, Gigi, zbiera dawną bieliznę - wyjaśniła Sasza. - To są jej prezenty gwiazdkowe. Przyniosłam je do pokazania... ach, kartki, musi pan przeczytać kartki i obejrzyć szkice, żeby zrozumieć cały pomysł. - Podała mu kartkę Nory, a on usiadł i przeczytał ją.

- Może i dziś potańczymy, Noro, ale jutro nigdzie nie wypływam - powiedział ze śmiechem pan Jimmy. - A twoja kartka, Sally? - Przeczytał ją szybko i uśmiechnął się do dziewczyny uśmiechem, dzięki któremu mógłby sprzedać pięć milionów podwiązek. - Nowy kamerdyner, co? Dzięki za pamięć, Georgie. Będę musiał o tym porozmawiać z moim księgowym.

- Proszę się nie martwić, panie Jimmy - powiedziała słodko Sally. - Kamerdynerzy Georgie nie pracowali u niej długo... Moim zdaniem jedynym jej zmartwieniem było to, że wykańczała służbę.

- Proszę przeczytać moją - domagały się razem Rosa i Dawn, wymachując swoimi kartkami.

- Chciałbym, ale przyszedłem powiedzieć wam, że zaraz tu będzie z pół tuzina klientów, którzy nie zamówili wystarczająco dużych partii na Gwiazdkę, chociaż ich ostrzegałem. Więc na stanowiska bojowe, dziewczęta, przygotujcie się do jeszcze jednego pokazu linii świątecznej. Hej, Sasza, czy mogłabyś mnie skontaktować ze swoją przyjaciółką? Chciałbym się trochę więcej o tym dowiedzieć - ty oczywiście też przyjdź.

- Coś wymyślę - powiedziała Sasza, słysząc w dobrodusznym głosie pana Jimmy'ego nutkę zainteresowania, od której ścierpła jej skóra na

karku.

- Zróbmy to jak najszybciej. Rozumiem, że Norze i Georgie zależało na natychmiastowym zaspokojeniu - mnie też.

- Tak jest, panie kapitanie.

* * *

- Czy dużo piszesz, Gigi? - spytał pan Jimmy, kiedy zamówił dla nich trojga obiad we włoskiej restauracji, którą zaproponował na spotkanie.

- Nie, nic, jeśli nie liczyć tych kartek. Sasza chyba powiedziała panu, że zajmuję się organizacją przyjęć... Właściwie jestem kucharką. Zaczęłam się interesować dawną bielizną kilka lat temu, ale do ostatnich urodzin Saszy nigdy nikomu niczego nie dawałam z mojej kolekcji. Sądziłam, że ta biała piżama z atłasu wygląda jak coś, na co zasługuje jedynie Sasza. Ona zainspirowała moją pierwszą kartkę i pierwszy rysunek.

- To Lola-Antoinette, dama, którą tak hojnie obdarowałam szmaragdami? To jej bieliznę miała na sobie Rosa?

- Tak, i leżała na niej jak ulał, chociaż jesteśmy zupełnie inne - rzekła Sasza.

- Ile mniej więcej czasu zajmuje ci napisanie takiej kartki? - spytał z ciekawością pan Jimmy.

- To zależy - odparła Gigi. - Czasami pomysł przychodzi mi do głowy od razu, a czasami muszę trochę pomyśleć, ale kiedy już zacznę pisać, to jakieś pół godziny, jeśli kartka jest długa.

- Napisałaś wczoraj przynajmniej sześć czy siedem w ciągu popołudnia - przypomniała jej Sasza. - Może więcej.

- Gwiazdkowa gorączka - powiedziała Gigi, skromnie wzruszając ramionami. Pan Jimmy spodobał się jej bardzo, tak jak obiecywała Sasza. Miał najuczciwszą czerwoną twarz, jaką widziała w życiu, i przepiękną grzywę siwych włosów. Był mniej więcej jej wzrostu, tylko że prawdopodobnie ważył co najmniej siedemdziesiąt pięć kilogramów więcej niż ona. Patrząc, jak pije drugie martini, Gigi pomyślała, że gdyby włożył czerwony aksamitny kostium, to w jednej sekundzie mógłby podjąć pracę jako najgrubszy, najbardziej anielski święty Mikołaj. Nawet jego nos miał odpowiednie czerwone żyłki.

- Gigi... - pan Jimmy zwrócił się nagle do niej. - To jest obiad służbowy i dobrze wychowani ludzie nie omawiają interesów przed zjedzeniem głównego dania, ale do diabła z tym - mam dla ciebie propozycję.

- W związku z moją dawną bielizną?

- Tak, ale chodzi mi o coś więcej. Gdybym zobaczył te twoje starocie na jakiejś półce, nie wpadłbym na ten pomysł, ale tamtego popołudnia pomyślałem o sposobie, w jaki Sasza i dziewczęta na nie zareagowały, i o twoich kartkach. Szukam pomysłu na powiększenie naszego rynku bielizniarskiego. Konkurencja robi się coraz bardziej zacięta, reklamy innych są coraz lepsze, a „Bracia Herman”, mimo że jesteśmy dużą firmą, nie byli jakoś ostatnio szczególnie pomysłowi. Dużo nad tym myślałem, a ty skierowałaś mnie na nowe tory. A gdybym tak znalazł cały zestaw dawnej bielizny, którą można by dokładnie odtworzyć, żeby wszystko wyglądało jak autentyczne... gdybym zrobił ją we wszystkich rozmiarach od czwórki do czternastki i stworzył zupełnie nową kolekcję posługując się reklamą, która wykorzystalaby twoje kartki jako tekst i twoje rysunki

jako ilustracje? Co o tym sądzisz?

- Ale... ale... ja nie mam bladego pojęcia o reklamie - wykrztusiła Gigi.

- Ale ja mam, i wierz mi, to żadna filozofia. Musiałabyś tylko pisać kartki i rysować, a...

- Chwileczkę, panie Jimmy. Zanim Gigi kupi jedną sztukę bielizny, przegląda ich setki w dziesiątkach sklepików - przerwała mu Sasza. - Jest z nimi związana emocjonalnie, one do niej przemawiają. Nie mogłaby pisać o bieliźnie, z którą nic ją nie łączy.

- Nie musiałaby. Wysłałbym Gigi z paroma ludźmi do pomocy i sama mogłaby szukać bielizny albo mógłbym rozesłać zwiadowców po całym kraju, żeby kupowali wyjątkowe sztuki, a Gigi decydowałaby, które z nich do niej przemawiają. Kolekcja zawsze byłaby efektem wyboru Gigi... ona ma dryg. Ja decydowałbym, czy to, co wybrała, da się odtworzyć za rozsądną cenę, ale zasadniczo robilibyśmy to razem, a ty, Sasza, mogłabyś całości sędziować.

- Chwileczkę, panie Jimmy - zaprotestowała Gigi - ciągle pan mówi o „odtworzeniu”. A w mojej bieliźnie chodzi właśnie o to, że wszystko jest unikatowe, jedyne w swoim rodzaju, autentyczne.

- Tak nie mogłoby być, Gigi - odrzekł stanowczo. - Nie w takiej ogromnej firmie jak „Bracia Herman”. Nie da się ukryć faktu, że byłyby to repliki, ale popatrz na to w ten sposób - byłyby to najlepsze repliki, na jakie można mieć nadzieję, zrobione tylko z naturalnych włókien, z prawdziwego jedwabiu, prawdziwej koronki i tak dalej. Gdyby nie wyglądały jak autentyki, to by się nie sprzedawały. Myślę o bardzo ekskluzywnej linii strojów dla starannie wybranych sklepów. W replikach

nie byłoby nic miernego, z ceną włącznie, ale tysiącom kobiet, które inaczej by tego nie miały, bo nie wiedzą, gdzie znaleźć taką bieliznę, dawalibyśmy romantyczną iluzję noszenia nieomal zabytkowych rzeczy. Właściwie one jeszcze nawet nie wiedzą, że ich pragną. Ale zapragną, zapragną!

- Hmmm. - Gigi czuła się rozdarta między jego entuzjazmem i swoją niechęcią do rozpowszechnienia czegoś, co stanowiło jej osobistą, skrytą przyjemność, co dzieliła tylko z nielicznymi podobnie jak ona myślącymi przyjaciółkami.

- „Nieomal zabytkowe” - czy właśnie to pan wymyślił?

- Chyba tak - odparł z dumą. - Niezłe, co?

- Ale przepraszam, panie Jimmy, czy uczciwie jest nazywać coś nowiutkiego nieomal zabytkowym?

- Gigi, chyba masz za duże skrupuły - wtrąciła się Sasza.

- Nic nie jest zabytkowe, jeżeli nie ma przynajmniej stu lat. Twoja bielizna ma w większości około sześćdziesięciu, góra osiemdziesięciu lat. Nie nazywasz jej „używanymi rzeczami”, prawda? A tym właśnie jest. - Czy Gigi nie widzi pukającej do drzwi okazji? - pomyślała i aż jej pociekła ślinka na myśl o nowej kolekcji.

- Dziewczęta, dziewczęta, nie rozdzielajmy włosa na czworo, odbiegamy od tematu - odezwał się pan Jimmy. - Nie potrafiłbym tego zrobić bez bielizny dobranej przez Gigi, bez jej tekstów i rysunków. Myślałem o skromnych początkach, o kolekcji zawierającej jakieś trzydzieści sztuk. A jeśli klienci na to nie pójną, co, szczerze mówiąc, bardzo by mnie zdziwiło, to nie ma żadnego ryzyka, bo całe pieniądze wyłożę ja.

- Jeśli mówimy o pieniądzach... - powiedziała z naciskiem Sasza zanurzając język w białym hiszpańskim winie jak poszukujący miodu miś.

- Jeśli mówimy o pieniądzach, moje panie, Gigi dostanie część zysku od każdej sprzedanej sztuki, ale dopiero wtedy, kiedy będę wiedział, czy to wszystko odniesie sukces.

- Myślałam o innym systemie - powiedziała gładko Sasza - o zaliczce na poczet honorarium, jak w wydawnictwach. Ponieważ Gigi będzie wybierała bieliznę, pisała teksty i rysowała, to będzie spełniała funkcję redaktora, autora i ilustratora. Mogłaby dostać pewną sumę, kiedy zgodzi się poświęcić dla pana czas, i kolejną sumę, kiedy skończy całą pracę, a pan będzie mógł zacząć produkcję. W ten sposób, jeśli, broń Boże, nie osiągnie pan zysku, Gigi i tak dostanie słuszną zapłatę za swą ciężką pracę. Inaczej zrobi wszystko za darmo. To jest trzydzieści kartek, panie Jimmy! I rysunki! Trzydzieści kobiet, które trzeba wymyślić!

- Ciekawe podejście - mruknął pan Jimmy. - Ale czy z eleganckiego bielizniarza stanę się przez to eleganckim wydawcą?

Przysłuchując się pilnie, Gigi zdała sobie sprawę, że pomijając skrupuły co do autentyczności, pomysł pana Jimmy'ego przypadł jej do gustu. Szukanie bielizny i pisanie opowiadań było czystą przyjemnością. Nigdy nie myślała, że można na tym zarobić. Chrząknęła.

- Moja agentka literacka, panna Nevsky, znalazła rozwiązanie, które wydaje mi się praktyczne - oznajmiła Gigi głosem przypominającym Emily Gatherum w napadzie apodyktyczności. - Oczywiście będzie musiała pod moją nieobecność wynegocjować z panem, panie Jimmy, warunki zaliczki na poczet honorarium, za co otrzyma zwyczajowe wynagrodzenie przysługujące agentom. Twórca nie powinien mieć nic

wspólnego z interesami. To rani psychikę.

Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

- Gigi to ta wrażliwa, krucha członkini zespołu, panie Jimmy - powiedziała Sasza. - Ja jestem bezwzględną agentką. Od niczego nie robi mi się niedobrze. To może omówimy sprawę zaliczki jutro u pana w biurze? Idzie kelner z naszym obiadem, nigdy nie lubiłam jeść homara a la Fra Diavolo, omawiając jednocześnie sprawy finansowe.

- Madame Ikehorn? - Mademoiselle Helene, *gouvernante* trzeciego piętra w Ritzu, po raz czwarty tego rana zastukała delikatnie do drzwi sypialni Billy. Wczoraj pokojówki zameldowały, że na wszystkich drzwiach apartamentu Billy wiszą wywieszki: „Nie przeszkadzać” i że nie mogły posprzątać. Nie było to samo w sobie niczym niezwykłym - i dla nich było wręcz wygodne - lecz z drugiej strony tak długiemu odpoczynkowi zawsze towarzyszyło kilka telefonów do obsługi pokoiów. Mademoiselle Helene sprawdziła jednak i odkryła, że od podwieczorku dwa dni temu z tego apartamentu nie było żadnych zamówień. Zapytany portier odpowiedział, że madame Ikehorn wróciła z opery przed północą we czwartek i od tego czasu nie wychodziła z hotelu. Jak obliczyła mademoiselle Helene, oznaczało to, że jej najbardziej tajemniczy gość przebywał w swoim pokoju dwie noce, cały dzień i cały obecny poranek, nie zamawiając nic do jedzenia i nie pokazując się nikomu z obsługi.

Madame Ikehorn mieszkała w Ritzu tak długo, że wszyscy się przyzwyczaili do różnych godzin jej wyjść i powrotów i aż do tej chwili jej odosobnienie było traktowane jako kolejny z licznych kaprysów. Dzisiaj jednak trzeba podjąć jakieś kroki.

Młoda kobieta w eleganckim czarnym kostiumie zapukała jeszcze raz, a potem włożyła do zamka klucz uniwersalny. Drzwi od środka były zamknięte na łańcuch.

- Madame Ikehorn - zawołała przez szparę - czy dobrze się pani czuje? Czy pani mnie słyszy? Jestem mademoiselle Helene.

- Proszę odejść i zostawić mnie samą. - Głos Billy dochodził z łóżka. W pokoju było zupełnie ciemno, okiennice były zamknięte, a zasłony

zaciągnięte, chociaż zbliżało się już prawie południe.

- Madame, czy pani jest chora? Natychmiast wezwę lekarza.

- Nic mi nie jest. Proszę mnie zostawić samą.

- Ależ madame, prawie dwa dni nic pani nie jadła.

- Nie jestem głodna.

- Ależ, madame...

- Przestań mi przeszkadzać! Co mam zrobić, żeby mieć trochę ciszy i spokoju?

Gouvernante cicho zamknęła drzwi. Przynajmniej madame Ikehorn żyje. Nie pośliznęła się w wannie i nie utonęła, nie upadła na mokrą posadzkę, nie uderzyła się w głowę i nie wykrwawiła na śmierć, nie leży nieprzytomna w łóżku. Chwilowo mademoiselle Helene się uspokoiła, lecz wydając polecenia obsłudze piętra postanowiła pilnie śledzić rozwój sytuacji. Wszyscy mieli obserwować apartament i natychmiast dać jej znać, gdyby ktoś wyszedł lub wszedł. U Ritza w Paryżu nikt nie powinien być długo głodny ani, co gorsza, nie powinien spać w tej samej pościeli dwie noce z rzędu.

* * *

Zwinąwszy się w ciasny kłębek pod cienkim pancerzem pościeli stanowiącej jej jedyną ochronę przed rzeczywistością, Billy na próżno usiłowała ponownie zasnąć. Po powrocie z atelier Sama zażyła potężną mieszankę środków uspokajających i tabletek nasennych, aby nieco ulżyć swej męce. Złościła się i wygłaszała tyrady do ścian, wciąż próbując wyjaśnić wszystko Samowi - było to tak potwornie niesprawiedliwe, tak straszliwie niesłuszne - a jednocześnie czuła się tak niewiarygodnie opuszczona, jak gdyby Sam nagle umarł na jej rękach. Przemierzając

gorączkowo pokoje swego apartamentu, jakby mogło to przynieść ulgę jej bezsilnej rozpaczycy bez łez, pocieszyć ją czy dać jakiś znak nadziei, tęskniła za choćby jednym słowem zrozumienia. W końcu tabletki zaczęły działać i Billy położyła się do łóżka, wpadając w objęcia nie kończącej się nocy straszego półsnu, w którym ciągle miała przed oczyma wyraz twarzy Sama, z jakim mówił, że nią gardzi.

Nie mogąc zasnąć, Billy zdała sobie sprawę, że doprowadziła się do stanu straszliwej trzeźwości. Miała wrażenie, że jej umysł przypomina nagą równinę smaganą wiatrem, deszczem i paloną słońcem, równinę, na której nie można się spodziewać żadnej trawy. Wydawało się jej, że żyje zarówno na tej równinie, jak i w jej wnętrzu, gdzie pewna jest tylko jedna rzecz: w sprawach mężczyzn i pieniędzy jest skończona.

Jej udręka nie była burzą ślepych emocji. Z radością powitałaby potoki łez, gdyby mogły przynieść jakąś ulgę, lecz łzy się nie pojawiały. Coś mocno trzymało jej myśli przy faktach, które doprowadziły ją do tej sytuacji. Obsesyjnie, nie pomijając żadnego szczegółu, Billy na nowo przeżywała dziewięć miesięcy z Samem i rok z Vitem, usiłując dokładnie zbadać każdy aspekt ich wzajemnych stosunków. Kiedy oddzieliła dwie tak różne osobowości i skupiła się jedynie na faktach, straszna prawda ujawniła się jak na dłoni: jest kobietą zamożną, a żaden mężczyzna nie jest w stanie kochać bogaczki.

Przestała być dla Sama istotą ludzką w chwili, kiedy się dowiedział, że jest bogata. W tej sekundzie wyrzucił ze swych myśli kobietę, jaką znał. Jakże inaczej mógłby być tak dziwnie zły, nieuprzejmy i niechętny wszelkim wyjaśnieniom. Nigdy by nie powiedział, że nią gardzi - Sam, którego znała z takiej bezpośredniej namiętności i słodkiej intymności

kochania - gdyby nie stała się kimś innym, błyskawicznie zmieniona przez bogactwo. Nie chciał uznać jej istnienia, podeptał wszystkie jej szlachetne uczucia dla niego, bo czuł się urażony, podejrzewany, oszukiwany. Jego duma nie przeżyła tego ciosu, a duma była dla niego ważniejsza od miłości.

Vito był niechętny jej pieniądзом od początku. Nigdy nie pozbył się przekonania, że dawały jej przewagę, władzę, której nie był w stanie zwalczyć. Wszystkie jej działania oceniał z perspektywy owej władzy. I on też zwrócił się przeciwko niej. Czy kiedykolwiek widział ją jako zwykłą, niczym nie wyróżniającą się kobietę, która go kocha? Nie dało się uciec od aury bogactwa, przed którą próbowała przynajmniej uchronić Sama.

Vito oskarżył ją, że jest jak władczą królowa pszczoł. Sam oskarżył ją o to, że uważa się za kogoś lepszego. Czy sądziliby tak samo, gdyby nie wchodziły w rachubę jej pieniądze?

Nawet gdyby znała odpowiedź, nawet gdyby dokładnie wiedziała, jaka jest Billy Ikehorn bez pieniędzy, mogłaby nią być tylko dla Jessiki, Gigi i Dolly. Tylko inne kobiety mogły myśleć o niej jako o podobnej sobie istocie ludzkiej. Dzielily z nią kobiecość, wiedziały, że tego zasadniczo bezbronnego stanu rzeczy nie zmienią żadne pieniądze. Kobieta z pieniędzmi potrzebuje miłości jak każda inna. Dlaczego mężczyźni tego nie rozumieją?

Billy wtuliła się w stertę poduszek i powiedziała sobie, że dla kobiety z takim problemem nie istnieje żadne dobre rozwiązanie. Z problemem, który chciałoby mieć prawdopodobnie sto kobiet na sto, z problemem, na jaki wiele kobiet bez chwili zastanowienia zamieniłoby swe własne życie. Ona ma tak wiele. Jakie ma prawo oczekiwać jeszcze więcej? Powinna raz

na zawsze przestać szukać, powinna wyzbyć się nadziei na miłość. Nie powinna od żadnego mężczyzny oczekiwać, że da jej więcej niż wycieczka do obcego kraju: trochę nowości, nieznanego jedzenia, krajobrazów, nowych zwyczajów, brzmienia nowego języka. A potem, kiedy będzie miała już dość, będzie mogła wrócić do domu ze spokojnym sercem, tak jak zamierzała od samego początku. W ten sposób nie da się zranić. Minimalne oczekiwania - czyż nie tak to się nazywa? Czy może po prostu jest to rzeczywistość?

Zza drzwi sypialni dobiegły ją odgłosy przyciszonej rozmowy. Billy pomyślała, że to pewnie mademoiselle Helene próbuje wejść do pokoju. Ta kobieta jest zdolna do wszystkiego, nawet do zdjęcia drzwi z zawiasów, żeby się upewnić, czy jej podopieczni dobrze się czują. Niech ją diabli! Czy w Ritzu nie ma nic świętego?

Wyskoczyła w ciemności z łóżka i potykając się podeszła ze złością do drzwi, próbując usłyszeć, co się tam na zewnątrz dzieje.

- Mogę się założyć, że to kac. - Billy rozpoznała głos jednej z pokojówek.

- Albo zrobiła sobie popijawę. W barku jest tyle alkoholu, że można być pijanym kilka dni - rozważała druga.

Billy pośpiesznie wróciła do łóżka i spojrzała na duży ścienny zegar. Pokazywał albo południe, albo północ. W pokoju było za ciemno, żeby się mogła zorientować. Podeszła szybko do okna i z niecierpliwością szarpnęła najcięższą z trzech warstw zasłon, które przysłaniały każde okno u Ritza - wielki płat zielonego, grubego brokatu, dodatkowo obciążonego czterema rzędami galonów w czterech kontrastujących ze sobą odcieniach zieleni i frędzlami z dużymi zielonymi oraz różowymi pomponami.

Zasłony rozsunięły się na tyle, że Billy mogła dosięgnąć ozdobnych, różowych zasłon z jedwabiu. Rozsunęła je także i spojrzała poprzez ostatnią warstwę z firanek, za którymi były mocno zamknięte białe, metalowe żaluzje, otwierane i zamykane za naciśnięciem guzika umieszczonego na ścianie przy oknie. Billy nacisnęła guzik i do pokoju natychmiast wpadło światło dnia. Południe. Dzięki Bogu, pomyślała Billy, podchodząc do telefonu, żeby zamówić duże śniadanie. Zadzwoiła z prośbą o posprzątanie pokoju, zdjęła łańcuch z drzwi i zniknęła w łazience, aby wziąć długi prysznic. Umyła i wysuszyła włosy odgarniając je niedbale z twarzy, i szybko, automatycznie nałożyła makijaż, zmuszając się do tego powodowana instynktem samozachowawczym.

Gdy wyszła z łazienki jeszcze ubrana w różowy płaszcz kąpielowy, stwierdziła, że wszystkie okna w jej apartamencie są odsłonięte, łóżko jest posłane, na każdym stoliku i biurku stoją wazony ze świeżymi białymi różami, a przykryta taca czeka wraz z egzemplarzem International Herald Tribune. Z zaskoczeniem Billy odkryła, że jest sobota. Nic dziwnego, że jest tak oszołomiona i głodna. Musiała wziąć więcej tabletek niż zamierzała - ale jakież podejrzliwe są te pokojówki! Niewątpliwie zbyt dużo lat w zawodzie spowodowało, że oczekują najgorszego. Zjadła wszystko z tacy i zadzwoniła po dodatkowe rogaliki i kawę. Czekając na nie patrzyła na blask słoneczny padający na podłogę, na to rzadkie, kruche, cenne światło, które czasami nawiedza w zimie Paryż, przypominając jego mieszkańcom, że ich miasto leży na tej samej szerokości co Helsinki. Myśli Billy odpłynęły od niej samej i od jej bólu, a ona z zaskoczeniem przypomniała sobie, że zeszłego wieczoru było otwarcie wystawy Sama. W chwilę później rozmawiała przez telefon z portierem.

- *Monsieur* Georges, czy mogę pana prosić o przysługę? Proszę zadzwonić do galerii Templon przy ulicy Beaubourg i zapytać, czy sprzedano jakieś rzeźby z otwartej wczoraj wystawy. Proszę nie mówić, skąd pan dzwoni.

Odłożyła słuchawkę i czekała na jego odpowiedź. Z całą pewnością zaraz po Adamie i Ewie Bóg wynalazł portiera z Ritza.

Telefon zadzwonił po kilku minutach. - Och, nie! Pięć rzeźb! Tak, tak, *monsieur* Georges, to dobra wiadomość! Dziękuję.

Billy zakręciło się w głowie od zaskoczenia i oszałamiającej radości. Pięć rzeźb pierwszego wieczora! Kto słyszał o takim sukcesie odniesionym przez Amerykanina, który nigdy przedtem nie wystawiał w Paryżu? Sam musi tryumfować. Musi się czuć... musi... nie, ona, ona musi wykorzystać tę okazję, musi natychmiast do niego napisać, zanim opadnie jego uniesienie spowodowane zwycięstwem - musi mu wytłumaczyć wszystko, czego nie pozwolił sobie wyjaśnić wstrząśnięty odkryciem. Przecież teraz przyjmie jej słowa - więcej niż przyjmie - pewnie tańczy z radości, zapomniał o obawach, odrzucił artystyczną niepewność - musi mieć umysł otwarty i gotowy na jej przyjęcie!

Billy nagle nabrała przekonania, że już jej przebaczył! I nie wie, jak ją znaleźć, nie ma zielonego pojęcia, gdzie jej szukać! Jeśli do niego nie napisze, nigdy się nie dowie. Może wyrywa sobie włosy z głowy, próbując sobie wyobrazić, gdzie ona jest, chce się natychmiast z nią zobaczyć, skruszony, żałujący wypowiedzianych przez siebie słów... tak! Szukając pióra i papieru wyraźnie go widziała, widziała wyraz jego twarzy, kiedy zdał sobie sprawę, że zniknęła, że ją stracił. Szybko, musi szybko napisać list, bo nie może się do niego zbliżyć, dopóki on nie przeczyta jej listu.

Pomysł ten o władnął nią całkowicie. Zapisywała stronę za stroną, żywo opisując, jak to jest, kiedy każdego mężczyznę poznaje się, mając swój majątek wypisany na czole lub przyczepiony niewidocznie do sukienki jak metkę z ceną. Napisała, że nie obrażała go, że musi to przecież zrozumieć, że tylko czekała na właściwy moment, żeby powiedzieć mu prawdę. Tyle razy kusiło ją, aby zdobyć się na szczerość, ale najpierw była zbyt szczęśliwa jako po prostu Misia, zbyt zachwycona, że jest kochana dla samej siebie. Tak, ta radość była dla niej zbyt ważna. Ma do siebie słabość, przyznaje to otwarcie, ale nigdy nie podejrzewała go ani o jedną z tych wstrętnych rzeczy, o które ją oskarżył. Z początku włożenie maski było taką rozkoszną nowością, niewinną, czarującą zabawą, która nikomu nie szkodziła. A potem, pod koniec lata, tak bardzo zaangażował się w wystawę, coraz bardziej się nią martwił. Jak mogła go niepokoić podczas tych czterech trudnych miesięcy rosnącej nerwowości przed otwarciem wystawy? Och, przecież musi wiedzieć, że całym sercem wierzyła w jego sukces! Ale on musiał to udowodnić samemu sobie - więc zmusiła się do czekania do wernisazu. Teraz widzi, że zupełnie nie miała racji, że popełniła straszliwy błąd, ale przyczyną była głębia jej miłości. Czy nie mógłby uwzględnić jej głupoty nabytej w toku doświadczeń z innymi mężczyznami i czy nie mógłby jej wybaczyć? Jej jedyną zbrodnią była głupota.

Zaklejając list i drżąc z pośpiechu i emocji, Billy zapytała samą siebie, jak mógłby jej nie uwierzyć? Jak po przeczytaniu jej wyjaśnień Sam mógłby nie zrozumieć tego, co się naprawdę stało? Czyż można odpowiadać za prawdę?

Billy zadzwoniła po posłańca, żeby wziął taksówkę i osobiście

doręczył list do galerii, gdzie Sam z pewnością go otrzyma. W chwilę potem, jak oddała list, Billy opadły wątpliwości, których nie dopuszczała do siebie podczas pisania. Pochyliła głowę, zamknęła oczy i oparła czoło na dłoniach, wyobrażając sobie, jak Sam otwiera kopertę i czyta. Czy nie zapomniała o czymś ważnym, co powinna dodać do swej obrony? Nie może wyjść z pokoju, dopóki Sam nie będzie miał szansy zadzwonienia do niej, dopóki nie będzie miał szansy przeczytania listu kilka razy i zastanowienia się nad nim. I zadzwonienia. Taki list nie powinien pozostać w zawieszaniu - nikt nie może być tak okrutny. Wkrótce nadejdzie odpowiedź.

W straszliwym niepokoju znów spojrzała na zegar. Sobota, prawie wpół do trzeciej. Nie ma pojęcia, gdzie jest Sam. Mógł wyjść na pośpieszny lunch z Danielem czy Henrim albo pograć się w rozmowie z widzami. Sobota była najlepszym dniem na obchód dla kolekcjonerów sztuki i poza przerwą na lunch, kiedy większość galerii zamykała swoje podwoje, Sam musiałby tkwić przykuty do swojej wystawy w gotowości udzielenia odpowiedzi na każde pytanie. Galeria może być dziś otwarta do późna, by wykorzystać tłumy miłośników sztuki kręcących się w sąsiedztwie muzeum Beaubourg. Zaproszenia na wczorajszy wernisaż były na godzinę siódmą - do dziesiątej - Daniel może postanowić, że i dziś zamknie później, jeśli ruch będzie tego wymagał.

Kiedy Sam będzie mógł się wymknąć i przeczytać list? Z pewnością będzie miał na to czas, z pewnością znajdzie wolną chwilę i weźmie go do biura Daniela gdzieś przed czwartą czy piątą.

Och, z pewnością przed piątą! A jeżeli włoży list do kieszeni i postanowi przeczytać go dopiero w domu? A może nawet podrze go nie

czytając? Nie, nie, to niemożliwe. Co za szalona myśl. Ludzie robią coś takiego tylko na filmach. Jednak jeśli Sam nie przeczyta listu przed zamknięciem galerii...

Billy zdała sobie sprawę, że musi wyjść. Szarpała nią zbyt wielka niepewność, by mogła usiedzieć w jednym miejscu. Znajomy widok jej apartamentu był koszmary, przypominał jej minione dziewięć miesięcy szczęścia. Każda długa biała róża, każdy pompon, każda oznaka luksusu i doskonale zorganizowanej przestrzeni drażniła ją, jakby w zbolełe serce wcierał jej ktoś żelazne opiłki. Miotła nią zbyt wiele dzikich przypuszczeń, zbyt wiele pytań bez odpowiedzi, aby mogła zostać w tych cichych, spokojnych pokojach. Żyła w świecie strachu. Nadała temu listowi taką wagę, że doprowadzi się do szaleństwa, że rozerwie ją pragnienie, aby Sam ją zrozumiał i jej wybaczył, że rozsadzi ją ta irracjonalna nadzieja, iż szczęście jest w zasięgu telefonu. Nie wytrzyma nawet kwadransa takiego czekania. Kiedy Sam zadzwoni, oczywiście zostawi u portiera wiadomość, a wtedy ona będzie mogła do niego pojechać.

W ciągu kilku sekund Billy przebrała się w ciemnozielony aksamitny kombinezon i wciągnęła na nogi długie buty z czarnego zamszu na niskim obcasie. Ręce wsunęła w rękawy dwurzędowego, długiego do pół łydki obszernego futra z ciemnych norek zapinanego na antyczne złote monety. W talii było obcisłe, a dołem się rozszerzało. Chwyciła torebkę, zegarek i odruchowo włożyła parę kolczyków z ogromnymi szmaragdowymi kaboszonami, które zawsze nosiła przy Samie, bo nieregularne kamienie bez ciętych powierzchni nie odbijały światła i łatwo można było je wziąć za imitacje.

Dokąd? Dokąd? Dotarcie do holu na parterze, przebiegnięcie go i przejście przez ulicę de la Paix zajęło Billy niecałą minutę. Tam, po przeciwnej stronie placu Vendôme, znajdował się Van Cleef & Arpels. Niecierpliwie weszła do sklepu. Akurat było pusto i sprzedawca natychmiast do niej podszedł.

- Dzień dobry, madame. Czym mogę służyć?

- Tak, tak, chciałabym obejrzeć... - Billy zamilkła. Nie miała pojęcia, co chce obejrzeć, wiedziała tylko, że chce, potrzebuje, musi coś mieć, cokolwiek, byle natychmiast, w tej chwili, na litość boską, czy on tego nie rozumie? Spojrzała na sprzedawcę w gniewnej rozterce. Idiota, pomyślała, kompletny idiota.

- Czy to na prezent, madame?

- Nie, nie - dla mnie - coś niezwykłego, innego, wyjątkowego...

- Coś z diamentami, madame? Nie? Z szafirami, szmaragdami, rubinami...

- Tak - nieomal wyjąkała, bo facet nie miał zamiaru przerywać - tak, z rubinami, z birmańskimi rubinami.

- To kamienie, które najtrudniej znaleźć - rzekł sprzedawca rzucając okiem fachowca na jej kolczyki. - Akurat dysponujemy kilkoma wspaniałymi egzemplarzami, które właśnie przyszły na święta. Madame przyszła we wspaniałym czasie dla...

- Proszę je tu przynieść - przerwała mu Billy. Jej groźne spojrzenie oznaczało dla niego najmiłsze słowa w handlu biżuterią. Bogata. Amerykanka. Kobieta. Impuls. Klientka.

Sprzedawca odszedł pośpiesznie, aby wyszukać kilka owych birmańskich rubinów osadzonych we wspaniałych oprawach. Zostawił

Billy w odosobnionym szarozłotym pokoiku, do którego ją uprzednio poprowadził, tak cichego, jakby był dźwiękoszczelny, pokoiku przeznaczonego dla poważnych klientów, odgradzonego od miejskiej gorączki. Kiedy tak czekała i z niecierpliwością stukała stopą, nagle ujrzała własne oczy w okrągłym lustrze stojącym na stole obok czarnej, aksamitnej tacki do demonstrowania biżuterii. Zaskoczona, przyjrzała się uważniej. Boże, Ojczy Wszechmogący, czy tak wygląda?! Wstrzymała oddech, wstrząśnięta szaloną chciwością tak wyraźnie odcisniętą w jej rysach. Między brwiami pojawiła się zmarszczka, o której istnieniu nie wiedziała, a wargi miała zaciśnięte w pełnym niecierpliwości grymasie, jakby powstrzymywała się przed rzuceniem na kawał surowego mięsa. Szpeciły ją pożądliwość i żądza posiadania. Czuła, że dławi ją wielka chmura burzliwego oczekiwania, grożąca uduszeniem przez śmiertelnie groźną mieszankę strachu i nierozsądnej nadziei, chmura, którą mogła próbować rozproszyć poprzez kojący rytuał przymierzania i kupowania biżuterii, tak jak w średniowieczu mężczyźni usiłujący pozbyć się gorączki otwierali sobie żyły.

Nie! Poderwała się i po chwili była na zewnątrz sklepu. Zaczepnęła głęboki haust mroźnego powietrza. Nieomal biegnąc chodnikiem w kierunku Sekwany powiedziała sobie, że jest szalona. Szalona, bo chciała kupować nie chciwą biżuterię po to, żeby wziąć się w garść, szalona, bo chciała posłużyć się tą starą metodą, żeby chwilowo zagłuszyć potrzebę kontaktu z Samem.

Czy rzeczywiście sądziła, że kupno klejnotów wartości setek tysięcy dolarów przywróci jej kontrolę nad własnym życiem? Czy tego trzeba, by odzyskała siły? Jeśli tak, to rzeczywiście jest sumą tego, co kupiła. Ach,

do cholery, przecież jest lepsza! Miarą jej wartości jest przecież nie tylko to, co ma na sobie, nie może być jedynie błyskotką, jedną z tych, jakie może kupić w najlepszych sklepach świata. Nie jest tym drogim pakunkiem owiniętym w biały atlas i pokrytym diamentami, który Sam zobaczył w operze, nie jest tą kobietą, której niemal zapierała dech myśl o szybkim remedium, z którą właśnie miał do czynienia u Van Cleefa nieszczęsny, rozczarowany sprzedawca.

Przechodząc obok Cartiera i Bulgariego Billy wyobraziła sobie cały towar sklepów jubilerskich znajdujących się w zasięgu dwuminutowego spaceru od Ritza, wyobraziła sobie tackę za tacką błyszczących wyrobów zrzuconych na stertę pod kolumną Vendôme odlaną z brązu, który pochodził z tysiąca dwustu dział zdobytych w bitwie pod Austerlitz. Jak wysoka musiałaby być ta sterta, żeby dorównać jej wartości? W końcu znalazłoby się wystarczająco dużo barwnych kawałków rzadkich minerałów, którym ludzie postanowili przypisać pewną wartość, żeby dorównać wartości majątku Ikehorna. A potem co? Jakimi słowami mogły przemawiać klejnoty, jakie działania podejmować, jakie emocje odczuwać? W zimną noc, kiedy tylko ogień płonącego drewna lub inny człowiek mógłby ją ogrzać swoim ciepłem, wszystkie te kosztowne błyskotki nie były nic warte.

Billy doszła do rozległego placu de la Concorde, którego ponadczasowa szlachetność proporcji górowała nad największym korkiem ulicznym Paryża, i przeszła obok greckich fasad Jeu de Paume i oranżerii, przechodząc na Lewy Brzeg mostem de la Concorde, poruszając się jak tylko mogła najszybciej wśród spacerujących tłumów, które postanowiły wykorzystać nieoczekiwanie ładny dzień. Nie miała żadnego celu ani

planu, nic do roboty oprócz wałęsania się, do czasu kiedy będzie mogła zadzwonić do Ritza i odebrać wiadomość od Sama. Po spokojnym Lewym Brzegu spacerowała trochę wolniej, idąc wzdłuż wielkiego Palais Bourbon, aż znalazła się na skwerku tuż za pałacem, w pobliżu swojej ulubionej kwiaciarni.

Na zewnątrz Moulie-Savart ulicę i nawet część skwerku pokrywał jaskrawy, wielobarwny przedświąteczny ogród kwitnących roślin ustawionych na tle wysokiej ekspozycji zielonych roślin doniczkowych. Billy stanęła jak wryta z oczyma wlepionymi w zaskakująco wesoły obraz pokusy rozkwitły wśród szarych kamieni, po czym bez wahania ruszyła przeciwną stroną skwerku. Nie da się skusić na kupno nawet jednego amarylisu w doniczce.

Po drodze powiedziała sobie, że w kupowaniu nie ma nic moralnie nagannego, kupowanie jest zakorzenione w ludzkiej psychice. W każdej oazie ludzie niespokojnie wyglądali wielbłądzich karawan z towarami, wędrowni sprzedawcy zawsze i wszędzie mogli się spodziewać dobrego przyjęcia, a ludzie pierwotni na pewno spotykali się w jaskiniach, żeby dokonać wymiany towarów. Kiedyż w historii ludzkości kupowanie nie było zwykłym ludzkim zajęciem? Ale nie dla niej, nie dzisiaj. Musi cierpliwie czekać na wiadomość od Sama i nie tłumić emocji za pomocą swej starej metody. Nie wiedziała, dlaczego, ale czuła, że to konieczne. Nie robi tego dla kogoś innego, lecz dla siebie samej. Może to przesąd? Rodzaj testu? Jeśli niczego nie kupi, może czar sprawi, że w ciągu kwadransa Sam zadzwoni do Ritza?

Nie, takie dziecinne myślenie magiczne nie ma sensu. Czy ona naprawdę wierzy, że jeśli będzie myśleć tylko o Samie, który czyta jej list

i w chwilę potem pędzi do telefonu, to wyśle wystarczająco silny sygnał, który do tego doprowadzi?

Billy przeszła obok kawiarni i zawahała się. Skąd wiadomo, że nie można przekazywać myśli? Ileż to razy dzwoniła do kogoś, kto jej mówił, że właśnie miał do niej dzwonić? Weszła szybko do kawiarni i kupiła żeton telefoniczny. Przez kilka długich minut czekała za chudym nastolatkiem, który opowiadał przyjaciółce intrygę obejrzanego zeszłego wieczora filmu, odgrywając rolę Gerarda Depardieu. Billy pomyślała ponuro, że powinno istnieć prawo, automatycznie zapewniające kobiecie pierwszeństwo przed mężczyzną w kolejce do telefonu. Jak można nazywać Francję cywilizowanym krajem? Kilka razy trąciła łokciem obrzydliwego bubka i przeproszała go, aż w końcu zmusiła do skończenia rozmowy. W Ritzu nie było dla niej żadnej wiadomości. Ale nie wybiła nawet czwarta, ta obiecująca godzina między lunchem i podwieczorkiem, kiedy w całym Paryżu bywalcy galerii idą na nowe wystawy. Billy powiedziała sobie, że jest o wiele za wcześnie, żeby czegoś się spodziewać. Ruszyła szybszym krokiem, jakby pozwalało jej to wyprzedzić wewnętrzny zamęt, złagodzić strach wwiercający się w żołądek, wpuścić promyk światła do ciemnych zakamarków myśli.

Wkrótce znalazła się przed muzeum Rodina. Tu może wejść. Właściciel hotelu Biron - rząd francuski, miasto Paryż czy ktoś inny - nie przyczepiał karteczek z ceną na zgromadzonych tam brązach.

Zapłaciła za bilet i nagle stwierdziła, że nie chce wchodzić do muzeum. Nie może dać się zamknąć w żadnych czterech ścianach, bez względu na znajdujące się tam arcydzieła. Przeniosła swego niespokojnego ducha do oazy leżącego za muzeum parku i zaczęła

spacerować wśród rodzin, które przyprowadziły tu swe dzieci, aby sobie pobiały pod geometrycznymi rzędami drzew. Spróbowała uspokoić nieokiełznane wysoki swego umysłu, obserwując zabawy francuskich dzieci. Każde z nich wyraźnie różniło się od innych, każde było małą, określoną osobowością mającą własne plany, a nie tylko członkiem grupki podobnych dzieci. Tworzyły zespół małych, zgadzających się przez chwilę być razem indywidualności, a nie stado. Wiele z nich bawiło się radośnie w samotności, zaabsorbowanych swoimi własnymi sprawami. A jednak, jak przypomniła sobie Billy jakąś lekturę, najgorszą karą dla dziecka, które źle się zachowywało w szkole, był słowny ostracyzm ze strony innych uczniów, ignorowanie jego słów, nieodzywanie się do niego, chociaż pozwalano mu uczestniczyć w lekcjach.

Siedząc na ławce zauważyła, że za każdym razem, kiedy jakieś dziecko miało kłopoty w czasie zabawy z innymi czy się rozzłościło, zamiast robić zamieszanie, natychmiast biegło do rodziców pilnie je obserwujących z pobliskiej ławki. Tam wylewało swe żale, było uważnie i spokojnie wysłuchiwane, pocieszane, a potem odsyłane z powrotem do grupy, do której przyłączało się z zadowoleniem.

Billy przyszło na myśl, że kiedy umarła jej matka, ona sama miała półtora roku. Ojciec, przepracowany lekarz, który wolny czas wypełniał całkowicie badaniami naukowymi, nigdy nie poświęcał jej więcej niż kilka minut, a nawet wtedy wyraźnie błędził myślami gdzieś indziej. Hanna, gosposia, była jej jedynym łącznikiem ze światem. Dopiero po pójściu do szkoły Billy zorientowała się, że nie ma życia rodzinnego jak inne dzieci. Zamiast niego ma wyniosłych kuzynów i kuzynki, którzy jej nie akceptują, oraz kilka władczych ciotek. Bez własnej winy stała się wyrzutkiem.

Patrząc jak matki otrzepują, przytulają, całują, chwają i z powrotem wysyłają do piaskownicy swoje zapłakane przed chwilą córeczki, Billy, ku swemu zaskoczeniu, poczuła w sercu ostre ukłucie bólu, a w oczach łzy.

Zdała sobie sprawę, że była zaniedbywanym dzieckiem. Nigdy przedtem nie myślała o sobie w taki sposób, lecz patrząc na scenki rozgrywające się obok, zrozumiała, że w wieku, którego nie pamiętała, nikt jej właściwie nie cenił. Nikt jej nie kochał tak, by stworzyć jej wewnętrzne poczucie własnej wartości, którego nadal z trudem poszukiwała.

A jeśli nie wyrosło się z owym poczuciem wartości, to jak można je zdobyć? Na pewno nie za pomocą wszystkich birmańskich rubinów świata ani góry diamentów, które otrzymywała na urodziny. Zastanawiała się bezowocnie nad tym pytaniem, aż wygoniło ją ono z parku. W to nie kończące się sobotnie popołudnie nie chciała patrzeć na szczęśliwe dzieci.

Po wyjściu z parku Billy znalazła się na ulicy de Varenne. Zdała sobie sprawę, że to nie przypadek. Wiedziała, że jeśli skręci w prawo i będzie szła tą jednokierunkową ulicą jakieś dziesięć minut, przechodząc obok ulicy Barbet de Jouy, znajdzie się na rogu ulicy Vaneau, tylko parę kroków od swego domu. Klucz do bramy miała w torebce. Znów żaden przypadek. Billy uświadomiła sobie, że zmierzała tam od chwili wyjścia z Ritza.

Zanim schroniła się we własnym domu, poszukała jeszcze jednej kawiarni. Tam telefonu strzegła „Madame Pipi”, jedna z całego zastępu srogich Francuzek spodziewających się napiwków od każdego, kto używa toalety lub telefonu. Kiedy kobieta z niechęcią się ruszyła, by łaskawie połączyć ją z Ritzem, Billy przyszło na myśl, że ta „Madame Pipi”

wywodzi się bezpośrednio od kobiet, które robiły pod gilotyną na drutach i liczyły spadające głowy. Zastała trzy wiadomości, ale żadna nie była od Sama. Wytłumaczyła sobie od razu, tłumiąc niepokój, że musi być niewiarygodnie zajęty albo jeszcze nie otrzymał listu. Poprosiła do telefonu *monsieur* Georges, który zapewnił ją, że list został zgodnie z obietnicą doręczony i że ma pokwitowanie od *monsieur* Jamisona.

Billy popędziła wąskim chodnikiem w chłodnym powietrzu popołudnia i szybko niknącym świetle zatrzymywanym przez wysokie, szare kamienice. W dzikim pośpiechu otworzyła bramę do domu i zamknęła ją za sobą, pomachała zdumionemu dozorczy, przeszła przez wybrukowany dziedziniec i otworzyła drzwi frontowe, wciskając guziki nowego alarmu przeciwwłamaniowego, który reagował tylko na szyfr.

Wreszcie bezpieczna, oparła się plecami o drzwi, pochyliła, zginając się prawie w pół, obejmując się rękoma i rozdzierająco zaszlochała. Na pewno jeszcze nie przeczytał listu, to jedyne możliwe wyjaśnienie. A ona nie może zadzwonić do galerii, nie może tam pójść, może tylko czekać. Billy szlochała chrapliwie, wiedząc, że nikt jej nie usłyszy, jęcząc z bólu rozczarowania, które jednak ciągle zawierało w sobie te uparte strzępy nadziei, które cały dzień trzymały ją przy życiu.

A jeśli Sam zadzwonił i nie zostawił wiadomości? To nagłe pytanie zelektryzowało Billy. Jeśli jej telefon nie odpowiadał, to dlaczego miałby prosić o połączenie z portierem? Dlaczego miałby pomyśleć o zostawieniu wiadomości? Dlaczego to zakładała? Kiedy telefon zadzwonił w jej pustym pokoju, po prostu odwiesił w złości słuchawkę! To musi być to! Być może jest nawet teraz w drodze do Ritza, albo czeka na nią w holu. Ale nie, oczywiście nie może wyjść z galerii. Jego obecność tam aż do

zamknięcia ma dla niego zasadniczą wagę, a o porze zamknięcia może zdecydować jedynie Daniel.

Czując powrót nadziei Billy osuszyła oczy i w roztargnieniu przeszła na tyły domu, gdzie powstał nowy ogród zimowy. Wzdłuż trzech ścian podwójnych okien, które wychodziły na wiecznie zielony ogród za domem, ciągnęło się niskie siedzenie. Nowe centralne ogrzewanie było maksymalnie przykręcone, ale w pokoju zostało ciepło słonecznego dnia i Billy mogła zdjąć futro i uformować je w wygodną poduszkę, którą ułożyła na siedzeniu pod oknem. Oparła się o stertę norek i przycisnęła nos do szyby zastanawiając się, co ma robić. Na górnych gałęziach drzew w parku premiera jeszcze pobłyskiwało słońce, ale na hiacyntowym niebie nad Hotel Matignon wisiał pełny i niski zimowy księżyc. Z pobliskiej katedry św. Klotyldy dobiegły pierwsze uderzenia dzwonów kościelnych tak licznych w tej dzielnicy, z których każdy wydzwaniał piątą o własnej porze, co pewien czas osiągając zachwycającą, nie zaplanowaną harmonię.

Billy w końcu zdała sobie sprawę, że najlepszą rzeczą będzie odpoczynek. Długi spacer i dręczące telefony wyczerpały jej siły. Pomału uspokajały ją dzwony, ciepło i myśl, która przyszła jej do głowy, że jedno słowo do Jean-François spowoduje, iż może tu już za tydzień mieszkać. Tutaj, właśnie tutaj. W następną sobotę o tej samej porze ona i Sam mogliby zamieszkać w tym domu, pomyślała w rozmarzeniu. Przeprowadzka nie potrwa dłużej... z pierwszymi skrzynkami wina w piwnicy włącznie. W ogrodzie jest idealnie symetryczna jodła, którą na Gwiazdkę obwieszą setkami białych żarówek. Co wieczór będą prosili o rozpalanie w każdym pokoju ognia z drzew owocowych; codziennie, kiedy Sam będzie pracował, ona będzie sobie chodzić po domu, przesuważąc

rzeczy na stołach, komodach i ścianach, aż znajdzie dla nich właściwe miejsce, bo sprzęty w domu potrzebowały dłuższego czasu, aby odkryć to jedno, przeznaczone sobie miejsce.

Jej śliczny niski dwór będzie płonął blaskiem ognia przez całą ciemną zimę, co będzie przypomnieniem przywróconej do życia przeszłości.

Billy osunęła się na norki i pogрузzyła głębiej w owej wizji. Gdy dźwięk dzwonów znów ją otrzeźwił, księżyc był już wysoko. Jest głodna, nie, umiera z głodu. I jest jej strasznie zimno. Ile upłynęło czasu? Czy to możliwe, żeby niepostrzeżenie się zdrzemnęła, myśląc, że czuwa, a tymczasem odpłynęła w niebyt na godzinę? W ciemności nie widziała zegarka. Billy rozłożyła futro, otuliła się nim i starannie zapięła. Czy znów ma zadzwonić do Ritza? Nie, do cholery, do jasnej cholery, to nic jej nie da, już wcześniej doszła do tego wniosku. Powinna była się zmusić do spędzenia dnia, czekając w apartamencie przy telefonie bez względu na stan swych nerwów. Jedno jest pewne - czy Sam przeczytał jej list, czy nie, nie może się z nią skontaktować, kiedy ona siedzi niezdecydowana w ciemnym domu, o którego istnieniu on nawet nie wie.

Jedyną rozsądną rzeczą, jaką może teraz zrobić, jest zjedzenie czegoś, zanim zemdleje z głodu. Starannie zamykając za sobą bramę Billy pomyślała, że nie trzeba jej birmańskich rubinów, ale, na Boga, musi coś zjeść. Drżąc od wilgotnego, zimnego powietrza, jak najszybciej pobiegła ulicą de Bac do bulwaru Saint-Germain, gdzie skręciła w prawo w kierunku piwiarni „U Lippa”. Nigdy jeszcze nie była w tej słynnej na cały świat restauracji, która nie tylko była blisko jej domu, ale oferowała dwie rzeczy, których potrzebowała Billy: ciepło i jedzenie.

Billy weszła zdecydowanym krokiem do zatłoczonego niekrepującego lokalu przy skrzyżowaniu Saint-Germain-des-Pres, i pośpiesznie przeszła przez tłum ludzi kręcących się z kieliszkami w rękach tuż za drzwiami. Policzki miała zaróżowione od chłodu, ciemne oczy wypoczęte od snu, z którego nie zdawała sobie sprawy, a włosy rozburzone wiatrem. Kołnierz futra z norek tworzył ramę dla jej pełnej życia urody, podkreślonej jeszcze pulsującą mieszaniną nadziei i paniki, która towarzyszyła jej cały dzień. Dół futra falował w ślad za nią, gdy pośpiesznie weszła do środka z podmuchem zimowego powietrza jak rosyjska księżniczka, która przemierzyła step w ucieczce przed stadem wilków. Podeszła prosto do surowego, wąsatego mężczyzny w średnim wieku, który najwyraźniej miał tu władzę.

- Dobry wieczór, *monsieur* - odezwała się z uśmiechem, patrząc mu prosto w oczy, które były na poziomie jej wzroku. - Mam nadzieję, że ma pan miejsce dla jednej osoby.

Mężczyzna z wąsami, Roger Cazes, francuski restaurator, któremu najbardziej w całej Francji schlebiano i nadskakiwano, spojrzawszy na nie znaną sobie kobietę swym jak zwykle beznamiętnym wzrokiem i postanowił, że miejsce musi się znaleźć, nawet w najgorętszym czasie najbardziej zatłoczonego dnia w roku. Wszyscy ludzie siedzący na zewnątrz w ciasnej, zadaszanej kawiarence przed restauracją oraz klienci ze środka, stojący z drinkami w dłoniach, już zdążyli go pokornie poprosić o błogosławieństwo stolika i usłyszeli w odpowiedzi, że muszą poczekać nawet godzinę, lecz ta samotna kobieta, ta wspaniała, wielkooka nieznajoma, która właśnie poprosiła o coś niemożliwego z niezachwianą wiarą, że to otrzyma, dostanie miejsce natychmiast. Spełnianie takich

niewinnych, szalonych próśb sprawiało, że posiadanie restauracji było dla *monsieur* Cazes'a codzienną przygodą.

Wierni klienci przychodzili do Lippa co tydzień od dziesięciu, a nawet dwudziestu lat, z nadzieją, że pewnego dnia usiądą wreszcie przy jednym z najlepszych stolików, aż w końcu z rezygnacją siadali przy dobrych, lecz nieco gorszych stolikach, przydzielonych im przez żelaznego restauratora. Billy jednak została natychmiast poprowadzona wokół szklanego przepierzenia do wąskiej salki usytuowanej w odległym, lewym rogu restauracji, do sanktuarium - małego, wyłożonego zwierciadłami, hałaśliwego zakątka zawsze wypełnionego pupilami *monsieur* Cazes'a: politykami, pisarzami i aktorkami. „U Lippa” nie przyjmowano żadnych rezerwacji, nikomu, nawet najpotężniejszym ludziom we Francji nie pozwalano zajmować tego samego stolika dwa razy z rzędu, w obawie, by nie ośmielili się pomyśleć, iż mają do niego jakiegokolwiek prawo. Mężczyźni przyprowadzali tu swoich synów, gdy tylko ci dorosli do trzymania widelca i noża, na próżno usiłując zapewnić chłopcom w przyszłości stolik.

Billy została wciśnięta między dwie duże, roześmiane grupy biesiadników siedzące na długiej, pokrytej czarną skórą ławie. Przed nią pojawił się w magiczny sposób maleńki stolik udrapowany białym, lnianym obrusem, co zdarza się jedynie w niektórych najlepszych restauracjach świata. Rzuciła okiem na krótkie, niezmiennie menu wydrukowane na niewielkim kartoniku.

- Wędzony łosoś, pieczeń jagnięca i karafka czerwonego wina - zwróciła się Billy do wiekowego kelnera, nieświadoma spojrzeń innych gości. Czekać na łososa duszkiem wypła kieliszek wina. Nagle i

zupełnie nieoczekiwanie Billy poczuła, że swobodnie zanurza się w przytulną atmosferę huczącej życiem restauracji. Bardzo potrzebowała takiego odprężenia. Rozsiadła się w mikroskopijnej, wyczarowanej dla niej przestrzeni, pogrążając się w uspokajający nastrój w niewielkim pomieszczeniu, w którym obcy sobie ludzie jedzą i piją w biesiadnej anonimowości. Napiła się jeszcze wina i poczuła, jak straszne napięcie i niepokój całego dnia nieco się zmniejszają.

Sączyła wino, a wokół niej siedziały Francuzki z krótkimi włosami, które postanowiły zapuścić włosy tak, żeby spadały im na twarz, podczas gdy inne Francuzki, z długimi włosami, decydowały się ściąć włosy do niedbałej, nieokreślonej długości i przegarniać je palcami, jak robiła to Billy. Ludzie mierzyli ją wzrokiem: ciemna zieleń stała się modnym kolorem, a aksamit modnym materiałem zimy 1982 roku. Billy niedbale obserwowała ludzi widocznych poprzez znajdujące się przed nią szklane przepierzenie.

Kobieta jest najbardziej zauważalna, gdy sama przychodzi do wytwornej restauracji, gdy swą postawą dowodzi, że czuje się zupełnie swobodnie i nie jest skrepowana samotnością. Billy nigdy nie wyróżniała się tak, jak owego sobotniego wieczora „U Lipa”, kiedy skupiła się na prawie białym norweskim łososiu i krwistej baraninie, jedząc je z apetytem.

Naprzeciwko niej siedziała kobieta przypominająca nieco Jessicę Thorpe. Billy uśmiechnęła się do siebie na tę myśl, co spowodowało, że połowa mężczyzn wyprostowała się w przyływie ciekawości. Usiłowała przypomnieć sobie idiotyczny spis zamierzeń na przyszłość, jaki Jessie zaprezentowała dawno temu w East Hampton. Billy zapytała samą siebie

w nagłym poczuciu absurdu wywołanego przez wypite wino, czy nie powiedziała wtedy, że skoro może kupić wszystko na świecie, to zamierza mieć domy w odpowiednich miejscach, spotykać odpowiednich ludzi, wydawać odpowiednie przyjęcia, dać się fotografować w odpowiednich miejscach w odpowiednich porach roku oraz sypiać z odpowiednimi mężczyznami?

Billy potrząsnęła lekko głową ze smutnym niedowierzaniem. Jessie ma prawo być nią zupełnie rozczarowana. Udało się jej spotkać wiele odpowiednich osób, ale większość z nich okazała się nudna, a chociaż zapraszano ją na niezliczone odpowiednie przyjęcia, wiele z nich okazało się nużących. Udało się jej przynajmniej kupić jeden cudowny dom, ale nie sypiała z odpowiednimi mężczyznami. Zakochała się - ale tego na liście nie było.

Billy, zdecydowana zakończyć posiłek, zanim powróci niepokój, oderwała myśli od Sama. Tak, pomyślała sobie, koncentrując się całą siłą woli na tych odpowiednich mężczyznach, z którymi nie chciało się jej sypiać, tak, patrząc wstecz, kiedy jest już za późno, to jest jeden rodzaj mężczyzny zdumiewająco odpowiedni dla kobiety takiej jak ona, stanowiący najlogiczniejsze rozwiązanie problemu bycia kobietą z pieniędzmi. Nikt nie oskarżył jej o inteligentną premedytację, ale pojęła teraz, że powinna zarzucić szeroką sieć i złapać czarującego, kulturalnego, eleganckiego, światowego Europejczyka, wychowanego do poślubienia pieniędzy, mężczyznę, dla którego bogactwo żony byłoby równie miłym i koniecznym dodatkiem, jak jego tytuł dla niej. Billy doszła do wniosku, że do tego celu doskonale nadawałby się Anglik. Ponad sto lat literatury brytyjskiej poświęcono cenionemu, uświęconemu tradycją i całkowicie

poważnemu zajęciu poślubiania spadkobierczyń; żaden angielski książę nie uznałby jej majątku za coś, co mu się nie należy i gdyby Billy miała odrobinę zdrowego rozsądku, mogłaby teraz być zajęta przystrajaniem jakiegoś zamku do wspaniałej, staromodnej Gwiazdki. Ale czy ten wymaginowany szlachcic nie okazałby się równie nieatrakcyjny jak odpowiedni ludzie i odpowiednie przyjęcia? Czy nie okazałby się płytki i mierny, czy nie byłby kolorową błyskotką, przedmiotem, a nie mężczyzną? Billy bawiła się tymi pytaniami, płacąc rachunek.

Postanowiła natychmiast wrócić do Ritza, ale najpierw musiała pójść do toalety. Kelner poinformował ją, że trzeba zejść po schodach znajdujących się w połowie drogi na tyły głównej sali restauracji. Billy zastąpiła na moment drogę defilada obładowanych kelnerów wychodzących z kuchni.

W końcu mogła przejść. Przecisnęła się między stolikami ustawionymi naprzeciw kasy i skręciła do głównej sali. Nagle stanęła, bo jej prześlizgujący się po restauracji wzrok zatrzymał się na pewnym szczególe, na tkaninie jakiegoś rękawa. Był to tweed marynarki Sama, marynarki, którą zawsze nosił. Billy stała znieruchomiła, wpatrzona w rękaw. Sekundy mijały niezrozumiale wolno, a ona czekała na swoje imię wypowiedziane jego ustami. Pewnie się pomyliła, to nie może być Sam, pomyślała i znalazła dość odwagi, by podnieść wzrok. Przodem do sali siedzieli obok siebie Sam i Henri. Naprzeciw nich i plecami do niej siedział Daniel. Sam pochylał się do przodu, skamieniały w pół słowa. Billy postąpiła szybko krok do przodu ze wzrokiem utkwionym w oczach Sama, z pytaniem na twarzy. Sam odchylił się do tyłu i potrząsnął głową w geście ostatecznej odmowy, patrząc Billy prosto w twarz bez śladu

uczucia.

Od razu poznała, że ich stosunki zostały zerwane na zawsze. Patrzył na nią, jakby była figurą woskową, a nie żywą kobietą. Henri wlepił w nią oczy. Billy postąpiła nieświadomie jeden krok w kierunku ich stolika, ale Sam odmówił jej przystępu nieruchomym, beznamiętnym spojrzeniem. Następnie odwrócił się i powiedział coś do Henriego.

Billy zawróciła i wyszła z restauracji z podniesioną głową, zachowując resztkę godności. Na ulicy dwie osoby czekały na postoju taksówek. Mając umysł całkowicie pusty po właśnie doznanej krzywdzie, automatycznie stanęła w kolejce. W kilka sekund później pociągnął ją za rękaw Henri, który wybiegł za nią. Odwróciła się z twarzą bez wyrazu, ciągle jeszcze zachowując surowy spokój.

- Misiu, on uważa, że jego prace kupili tylko twoi znajomi. Zanim zamknęliśmy, sprzedanych było już siedem rzeźb... niewiarygodne! Myśli, że ty... za nie zapłaciłaś, załatwiłaś to, sfalszowałaś, jest przekonany, że nie odniósł prawdziwego sukcesu.

- Nie zrobiłam tego.

- Oczywiście, że nie, my o tym wiemy, próbowaliśmy mu to powiedzieć, ale nie chce nam wierzyć. Misiu, przykro mi. Jest głupi.

- Przeczytał mój list?

- Tak, jak tylko go otrzymał. A potem zaczęli przychodzić klienci... - Henri rozłożył wyjaśniająco ręce.

- Wracaj do restauracji, trzęsiesz się z zimna. Dziękuję, że mi powiedziałaś, Henri.

* * *

Billy pomyślała, że przez większą część dnia musiała wiedzieć,

musiała wiedzieć od chwili, kiedy dowiedziała się, że otrzymał list, bo jeśli nie wiedziała cały dzień, jeśli nie przygotowywała się na to ostateczne fiasko, to dlaczego teraz nic nie czuje? Dlaczego siedzi na łóżku w futrze, nie czując absolutnie nic? Nie miała pojęcia, co ze sobą zrobić, nie pamiętała, jak dotarła od Lippa do swego apartamentu, nie potrafiła sobie wyobrazić żadnej przyszłości, przypomnieć przeszłości, a terażniejszość nie istniała.

Usłyszała pod drzwiami szmer i zobaczyła, jak na dywan wsuwa się jakiś list. Wpatrywała się weń pół godziny, zanim udało się jej zmusić do podniesienia go. Obracała go w rękach: szara koperta od Josha Hillmana. W końcu, ponieważ nie miała zupełnie nic do roboty, otworzyła ją i przekonała się, że zawiera ona jeszcze jeden list, którego kopertę prawie zupełnie pokrywają zagraniczne znaczki - kolejne doniesienie od Spidera Elliotta. Otworzyła list automatycznie i automatycznie go przeczytała.

Kochana Billy!

Nadal nie wiem, gdzie jesteś ani czy dostałaś mój ostatni list, ale dzisiaj rano obudziłem się w nastroju do napisania do kogoś, a zdarzyło mi się to po raz pierwszy od wyjazdu z Los Angeles. Jeśli napiszę do jednej z moich sześciu sióstr, to reszta będzie zazdrosna, więc ponieważ jesteś jedyną inną kobietą w moim życiu, dostajesz ten list drogą eliminacji. (Nie strofuj mnie, bo wysyłałem mamie kartki z każdego portu, żeby się o mnie nie martwiła.)

Dotarłem na Morze Egejskie i wyspy greckie, co w tutejszych kategoriach odpowiada Broadwayowi i 42 Ulicy - wysp jest 2000. Ktoś w greckiej informacji turystycznej rozpuszcza wiadomość, że na wyspach jest w sumie 30 000 plaż. Zastanawiam się, czy wysłano jakiegoś biednego

durnia, żeby je policzył? Wydaje mi się, że to chwyt reklamowy... to dawałoby 15 plaż na wyspę! Ale chętnie w to uwierzę - chyba przepłynąłem obok jakichś 29000 odcinków złocistego piasku. Jak to się stało, że kupienie przez Onassisa jednej z 2000 wysp nabrało takiego rozgłosu? Zaimponowałby mi własną drużyną baseballową, ale wyspą? Bez przesady!

Stoję na kotwicy przy Skali, porcie na wyspie Astipalaja w grupie wysp Dodekanez. Znasz tę nazwę? Nie, nie musisz czuć się głupio, Billy, wyspa jest właściwie nie znana. Ma jednak wszystkie zalety: położone na wzgórzu miasteczko z wiatrakiem, wioskę rybacką nad laguną i wenecką twierdzą. Czy wspomniałem o plaży dla nudystów? Serio, jest tu i coś takiego. Mając do wyboru 2000 wysp pomyślałem sobie, że wyspa z plażą dla nudystów musi mieć też swobodne życie nocne, więc zarzuciłem kotwicę tutaj.

Dziwne, ale nabrałem strasznego podejrzenia, że się nażeglowałem. Jeszcze jedna latająca ryba, jeszcze jeden zachód słońca, jeszcze jedno śliczne miasteczko nad zatoką, jeden dzień na Morzu Egejskim czy jakimkolwiek innym akwenie - i chyba zwymiotuję. Poważnie. Nie sądziłem, że można mieć za dużo morza i za dużo wysp, ale wierz mi, ta mania ma swoje granice.

Z czystej nudy zapuściłem długą, nędzną i zielonkawą brodę, po czym z tego samego powodu ją zgolilem. Czytam tak dużo, że chyba będę potrzebował okularów, ale ponieważ jeszcze widzę litery, kiedy trzymam książkę w wyciągniętej ręce, to tak bardzo się nie martwię. Widziałem tyle gwiazd, że mógłbym dostać pracę w planetarium, ale nie chcę. Potrafię sterować przez sen i właściwie robię to cały czas, nie wpadając w kłopoty,

bo ocean jest rzeczywiście bardzo duży. To chyba najgłębsza prawda, jaką odkryłem - ocean jest cholernie duży! Zawsze słyszałem to na lekcjach geografii, a teraz sam się o tym przekonałem. Wielkie odkrycie. Mam nadzieję, że Ci zaimponowałem, bo zdobycie tej informacji zajęło mi mnóstwo czasu.

Jeszcze mam dobre stosunki z załogą. Wynająłem parę zaprzysiężonych pustelników i jest to dla nich najlepsza, jak dotąd, okazja: żadnych ludzi i cholernie mało gadania. Przynajmniej potrafią gotować. Za późno zdałem sobie sprawę, że trzeba było wynająć parę komunikatywnych Włochów. Teraz mówiłbym już płynnie po włosku i byłbym najlepiej opalonym facetem na Via Veneto.

Myślę, że chyba już czas, żebym wrócił do domu. Nie mam żadnych szczególnych planów, ale wiem, że mam dosyć tego jachtu. Może wrócę do fotografii. A może otworzę galerię sztuki i będę wspierał młodych malarzy albo założę jakiś nowy interes. Kto wie? Śmieszna sprawa być bogatym... kiedy dawałem pieniądze Joshowi, żeby je dla mnie zainwestował, wydawało się, że to ogromna kupa forsy, ale teraz, kiedy przyzwyczailem się do myśli, że majątek spokojnie sobie rośnie, majątek oznaczający, że nie będę musiał już pracować... myśl o beczynności okazuje się najokropniejszą myślą, jaka od dłuższego czasu przyszła mi do głowy! Pytanie, co zrobić z sobą i ze swoją przyszłością, zaczyna wisieć nade mną jak czarna chmura. Jesteś chyba jedną z nielicznych osób, które potrafią mnie rzeczywiście zrozumieć... przecież kiedy zakładałaś „Scruples”, nie robiłaś tego dla forsy, prawda? Mimo całej zabawy - i dramatów - jaką nasza trójka miała ze „Scruples”, nie widzę swojej przyszłości w żadnym innym sklepie... Nigdy nie znajdę takiej współpracownicy jak Ty - nie ma kogoś,

z kim klóciłoby mi się tak dobrze - więc po co próbować? Pamiętasz, jaką byłaś lodowatą suką, kiedy przyjechaliśmy z Valentine do Los Angeles? Ale dostrzegłem w Tobie odpowiedni materiał i nadanie Ci odpowiedniego kształtu nie zajęło mi dużo czasu. Uważam, że znakomicie się spisałem, chociaż mówię to sam o sobie.

Billy, stara przyjaciółko, wysyłam ten list jutro z nadzieją, że dotrze on do Ciebie na czas, żeby przekazać Ci serdeczne uściski i życzenia wesołych świąt Bożego Narodzenia. Ja sam takimi je planuję i mam nadzieję, że i Ty będziesz miała wspaniałe święta. Kiedy wrócę do Los Angeles, skontaktuję się z Tobą, gdy tylko Josh mi powie, gdzie, do diabła, jesteś. Chyba przylecę samolotem z Aten. Powrót pod żaglami zajęłby mi kolejny rok - nie ma mowy! Joyeux Noel, moja dobra kobieto!

Ucałowania

Spiker

Kiedy Billy dotarła do końca listu, po jej twarzy spływały strumienie gorących łez. Zastanawiała się, dlaczego, do cholery, płacze teraz, dlaczego wreszcie coś czuje? W końcu zrozumiała, że jej łzy są przeznaczone dla Spidera, że są to łzy szczęścia z jego powodu.

Wyglądało na to, że odżył, że wszedł w swą dawną skórę.

Sama nabrała ochoty na wyrwanie się z lodowatej jaskini, w której błądziła, nieczuła na nic. Jeśli Spider może się otrząsnąć, to otrząśnie się i ona, na Boga! Świat nie jest stracony dlatego, że jakiś tchórzliwy facet nie ma wystarczająco dużo wiary w siebie, by zrozumieć, kim naprawdę jest Billy. Pieprzyć artystyczny niepokój Sama! Pieprzyć Vita i Sama, tych tak bezbronnych tchórzów, którzy mieli czelność szczyścić się tym, że przypadkiem urodzili się mężczyznami, chociaż byli upośledzeni z

powodu zasadniczego braku wiary w siebie i niepewni swej rzeczywistej wartości. Pieprzyć udawanie, że jest tym, czym jest, pieprzyć wszystkich mężczyzn, którzy - co godne pogardy - ukrywają się za cieniutką warstewką swoich przereklamowanych męskich hormonów i nie mają na tyle jaj, żeby nie dać się jej zastraszyć! Ci mężczyźni, którzy myślą o kobietach jako o słabszej płci, są przerażeni, ilekroć kobieta pokaże siłę. Jakież z nich w głębi serca bezbarwne dziwadła!

Billy poczuła się zelektryzowana uczuciem, które nie było niczym innym jak potężnym i trwałym gniewem, uczuciem na tyle silnym, że zadzwoniła na dół i zarezerwowała sobie na następny dzień lot do Nowego Jorku. Dzwoniąc po pokojówki i osuszając łzy zdała sobie sprawę, że ma na spakowanie całą noc, czyli więcej czasu niż trzeba, bo nie zaśnie, dopóki nie znajdzie się w samolocie i nie zostawi za sobą Paryża i wszystkich jego mieszkańców.

Nick De Silvo pomyślał z podziwem, że cała ta szalona weekendowa wyprawa jest typowa dla Zacha Nevsky'ego. Jeszcze wczoraj, w piątek rano, cały zespół aktorski Zacha tkwił po dziurki w nosie w gęstych wyziewach apatii, w kleistym bagnisku sięgającym im ponad głowy. Każdy, kto brał udział w przedstawieniu, nawet on, jego gwiazda, był otepiał z braku najmniejszego zainteresowania wizją dramaturga. Od tego słowa, słowa „wizja”, robiło mu się niedobrze. Wizja, akurat!

Czy „chorobę na wizję” wywołuje jakiś straszliwie zaraźliwy wirus atakujący tylko aktorów, którzy całymi tygodniami walczą na próbach? Może to nie ujawniona niepewność sprawia, że wszyscy zastanawiają się w sekrecie, dlaczego, u diabła, wplątali się w to głupie martwienie się o wizję jakiegoś pisarza, zamiast pracować w którymś z normalnych zawodów, co sugerowali, czego żądali i o co błagali ich rodzice, od kiedy tylko mogą sięgnąć pamięcią.

Siedział nad tekstem jak zwykle opanowanym do ostatniego przecinka, ale nagle stracił wszelkie zainteresowanie podtekstem sztuki. Gównu go obchodzi, czy Hamlet i jego mamuśka chcą drzeć koty. Guzik go obchodzi, czy wuj Hamleta zrobił wbrew jego tacie. Ma w nosie, czy zranił uczucia tej dziwacznej nimfy, Ofelii, czy też może zawsze była stuknięta. I co tu mówić o uzalaniu się nad sobą! I jaki rozsądny facet może się martwić, że jeśli zaśnie, to może będzie śnić i w tym cały sęk? Facet powiedział „sęk”! Czy Hamlet nie miał większych zmartwień?

Dlaczego on, Nick De Salvo, wschodząca młoda gwiazda, wyróżniający się członek Młodego Hollywood, odmówił Universalowi zagrania w wielkobudżetowym, męskim filmie, żeby wrócić do Nowego

Jorku i zagrać Hamleta w pozabroadwayowskim teatrze? Co z tego, że wszyscy najwięksi aktorzy w historii musieli zmierzyć się z największą sztuką w historii? Dlaczego nie dał sobie z tym spokoju? Nie musi udowadniać sobie, że jest tak samo dobry jak Olivier, bo wie, że tak nie jest, jeszcze nie. Potrzebuje trochę więcej czasu. Nikt go bynajmniej nie zmuszał, by zagrał Hamleta, a kiedy jego agent dowiedział się o tej roli, to o mały włos nie dostał zawału.

Wczoraj na sali nie było aktora, który nie przypominałby mu ponurego, obrażonego uczniaka zatrzymanego w klasie podczas przerwy. A potem wszedł Zach i bez słowa obszedł stół, patrząc z ojcowskim rozbawieniem na ich ponure twarze, poczęstował wszystkich galaretkami z papierowej torebki, roześmiał się tym swoim głośnym, niepohamowanym śmiechem i powiedział, żeby zrobili sobie trzydniową przerwę. Nie pięciominutową, nie dziesięciominutową, nawet nie miało to być wolne popołudnie, lecz mieli się wynosić z sali prób i nie wracać do wtorku bez trzydniowego weekendu, podczas którego mogli odzyskać siły po uderzeniowej dawce wspaniałego języka.

- Jesteście zbyt dobrzy, żeby źle grać - powiedział. - Wszyscy macie talent, bo inaczej nie wpuściłbym was tutaj, ale się forsujecie. Możecie udawać orgazm - tak, nawet wy, chłopaki - ale nie można forsować Szekspira, więc wynocha! Pośmiejcie się trochę, zanim znów was zobaczę, bo inaczej nie pozwolę wam grać u mnie żadnej tragedii!

Sala opróżniła się w ciągu dziesięciu sekund, a Nick postanowił pojechać z Zachem na narty. Jadąc autostradą, którą dopiero co oczyszczono ze śniegu po wczesnej, przedświątecznej zawiei, Nick pomyślał, że Nowy Jork nie może zaproponować mu nic lepszego. On i

Zach byli najlepszymi przyjaciółmi od podstawówki, mimo że czasem miał dosyć faceta, kiedy rozwodził się nad tą całą wizją. - Nie jestem sitem, Nick - mawiał wtedy Zach. - Jestem tu po to, żeby służyć dramatopisarzowi, a nie potrafię tego zrobić, jeśli nie mam osobistego stosunku do wizji.

Reżyserowanie to pozwalanie twórczym jednostkom na odkrywanie tego, co otrzymują przeze mnie.

No cóż, Zach, jak zwykle, miał rację. Jedyny raz wyraźnie się pomylił, kiedy w siódmej klasie sam próbował zostać aktorem. Prawdopodobnie dlatego, że był najwyższy w klasie, dostał rolę w wiosennej sztuce. Zupełnie nie potrafił grać, ale jeszcze przed pierwszą próbą nauczył się na pamięć wszystkich ról i kiedy koledzy ich zapominali, podpowiadał im, a potem zaczął wysuwać propozycje i w końcu dopasował sztukę do swej wizji trzynastolatka, a biedna panna Levy, ich nauczycielka ze świetlicy, i oficjalny reżyser zastanawiali się, co się stało.

Nick zdawał sobie sprawę, że jego udział w owej sztuce był przyczyną obecnych sukcesów. Już wtedy Zach go zachęcał, nawet po uszy zajęty pokwitaniem miał czas na wizję i na jej sformułowanie. Musiał przyznać, że brakowało mu w Hollywood perorowania na temat wizji. Jak cała reszta Młodego Hollywood, budził się co rano, zastanawiając się, czy sukces zawdzięcza ślepemu szczęściu, wyczuciu czasu i twarzy, z której nie może być dumny, bo ją dostał, a nie zapracował na nią, czy też może jednak potrafi grać. Aktorzy żyją w strachu. Całe miasto funkcjonuje na strachu. W jakiś sposób Zach zabrał strach i zastąpił go odwagą. Numer z Zachem zmusił go do drażnienia samego siebie w sposób, w jaki nigdy nie

robiła tego kamera, zmusił go do dotknięcia jądra posiadanego przez niego talentu, pozwolił mu go w pełni wykorzystać. To jego towar. Umiejętność grania jest jego towarem, jedynym towarem, jaki ma oprócz twarzy, i od czasu do czasu musi popracować z reżyserem, który głęboko ceni ten towar, zauważa go i nie blokuje jego indywidualnych impulsów twórczych. Tak, musi przyznać, że on też ma wizję. Po pierwszym zetknięciu z Zachem nie można już było jej ignorować. Nie był na wschodzie przez rok - już od dawna potrzebował Zacha. Otucha - imię twe Nevsky! Gdzie ten facet nauczył się jeździć na nartach?

A co z dziewczynami? Jak Pandorze Harper, grającej Ofelię, która beznadziejnie i, o ile mógł stwierdzić, bez powodzenia durzyła się w Zachu, udało się wkręcić do tej narciarskiej wyprawy? Nie pamiętał, żeby ją zapraszał, ale wyglądało na to, że jedzie z nim. Nie była w jego typie, nie pragnął zdobyć lodowatej, dobrze wychowanej blond piękności, chociaż, szczerze mówiąc, Pandora potrafiła grać jak burza, zresztą inaczej Zach by jej nie obsadził. Pochodziła z nieskazitelnego środowiska, była Dziewczyną Roku czy kimś równie nieprawdopodobnym, a jednak miała ambicję odniesienia sukcesu jako aktorka i szczyciła się doskonałymi warunkami. Jednak czy była dobrą aktorką czy nie, z całą pewnością nie interesowała go dziewczyna, która śliniła się na widok Zacha w subtelny sposób, dostrzegalny jedynie dla innego mężczyzny.

Nie rozumiał jednak Gigi Orsini. Czy jest dziewczyną Zacha czy nie? Nie zostało to jasno powiedziane. Współlokatorka siostry Zacha. A cóż to za stosunek? Wcale nie wyjaśniało to sposobu, w jaki została czwartym członkiem ich małej drużyny sportów zimowych, zwłaszcza że nigdy przedtem nie jeździła na nartach. Musi dotrzeć do sedna sprawy, bo jeśli

Gigi nie jest dziewczyną Zacha, osobiście byłby głęboko zainteresowany nauczeniem jej, jak najsprawniej i najszybciej zdejmować buty narciarskie, spodnie narciarskie i narciarską bieliznę, wszystko, jak mu powiedziała, pożyczone na ten weekend. Była cudowna, wiosenna, oszałamiająca, ekstra, super i tak dalej. Nic głupio tradycyjnego. Gigi będzie ognista i porywająca, a nie dobrze wychowana i nudna. Tak, na pewno. Mniam-mniam!

* * *

Pandora Harper postanowiła, że musi dociec, w jaki sposób ta jakaś Gigi, która nie potrafi nawet jeździć na nartach, przyczepiła się do Nicka De Salvo, chyba najatrakcyjniejszego młodego odtwórcy głównych ról w Hollywood. Czy na swój bosko-dyktatorski sposób Zach po prostu wziął ją z sobą jako dziewczynę dla Nicka? Mimo że w dzisiejszych czasach brzmi to nieprawdopodobnie, ludzi nadal, jak to się dziwacznie mówi, kojarzono, i całkiem możliwe, że jego siostra wierciła mu dziurę w brzuchu, żeby załatwił coś dla jej współlokatorki. Śliska sprawa.

Trzeba przyznać, że ta mała Gigi-jak-jej-tam jest zuchowata, a Pandora bardzo takich dziewcząt nie lubiła. Nie można im wierzyć, są przebiegłe i szybkie, znikają za prawie każdymi zamkniętymi drzwiami czy w każdym ciemnym zakątku, żeby w tajemnicy przed wszystkimi dać się szybko przelecieć. Miały niemal zwierzęcy spryt lub jak powiedział Hamlet: „Mnie się wydaje podobny do łasicy”.

Kochany, cudowny Zach, choć trudno w to uwierzyć, jest na tyle staromodny, że darzy siostrę głębokim uczuciem. Jest sentymentalny w świecie, w którym mężczyźni nie są sentymentalni od stu lat. Jest też idealistą w świecie gloryfikującym wszystko oprócz ideałów. Gdyby nie

był najbardziej seksownym mężczyzną, na jakim spoczął jej wzrok, omijałaby go szerokim łukiem. Bezużyteczny idealizm i przedawniony sentymentalizm to nie jej domena, tak samo jak zuchowatość. Nikt nie robi się od tego sławny. Ani bogaty.

Pieniądze nie miały dla niej znaczenia, dzięki majątkowi powierniczemu prababci miała ich więcej niż mogłaby zużyć, żyjąc dziesięć razy dłużej. I dobrze, zważywszy, że inna aktorka musiałaby się zgodzić na głodowanie, żeby pracować poza Broadwayem. Nie, pieniądze nie mają znaczenia. Sława, o, tak, sława, tylko sława - na niej zależało Pandorze i ją zamierzała osiągnąć. A po drodze do niej boskim zrządzeniem losu spotkała Zacha Nevsky'ego o byczym karku i nieregularnych rysach, tryskającego energią i cieszącego się 'reputacją człowieka posiadającego najtwardszego fiuta w świecie teatralnym Wielkiego Manhattanu. Każda dobra, młoda aktorka musi się pieprzyć z określoną liczbą reżyserów, a w miarę możliwości zaliczyć kilku dodatkowo. Wymagała tego tradycja, a ona została wychowana w szacunku dla tradycji, zwłaszcza gdy szła w parze z jej skłonnościami.

Zadzwoiła do Zacha, gdy tylko dowiedziała się, że zwabił do miasta Nicka De Salvo. Książę Młodego Hollywood, porywający się na Barda, z pewnością przyciągnie stado recenzentów z każdego rodzaju mediów. Przyjdą, żeby pogrzebać Nicka - chłopca dziko przystojnego, ale nie w jej typie - a wyjdą, głosząc peany na cześć jej Ofelii. Od prawie roku Zach reżyserował nowe sztuki młodych dramaturgów. Obsadzenie Nicka w najbardziej klasycznej sztuce świata było sprytnym posunięciem, zwłaszcza że obsadził go wbrew jego warunkom fizycznym: duńskiego księcia kreował ognisty Latynos, przypominający bardziej członka gangu

motocyklowego. Może to i dobry pomysł, ale dla Pandory było obojętne, jak długo sztuka utrzyma się na afiszu - znaczenie ma tylko premiera. Pozwalała Zachowi reżyserować jej Ofelię tak, jak ją widział, zgodnie z tą jego niezdolnie ponurą wizją, ale wiedziała, że na premierze ona zagra tę rolę tak, jak powinno się ją grać; Ofelia jest wyraźnie zwariowaną nimfomanką, nie na granicy szaleństwa, lecz kompletnie stukniętą. Podczas numeru „klasztornego” weźmie w ręce fiuta Nicka i będzie go pieścić na wszelkie rozkosznie figlarne sposoby. Nikt nie będzie nic mógł zrobić, żeby ją powstrzymać; Nick jest na tyle profesjonalistą, że podejmie grę, a ona wywoła sensację i zgodnie ze swymi oczekiwaniami znajdzie się w centrum uwagi. Zach będzie bezradny, kiedy krytycy zobaczą, że nie cofa się przed niczym poza wzięciem w usta ptaka gderającego Hamleta. Słowa, słowa, słowa, rzeczywiście! Już ona im pokaże. Kubrak i trykoty są idealne, jeśli chodzi o łatwy dostęp.

Już sama myśl o tym sprawiła, że poczuła się gotowa na Zacha. Coś tam gadano, że ma dzielić pokój z Gigi - jakoś obejdzie tę przeszkodę, bo inaczej przyniesie wstyd własnej prababci. Harperowie nie pozwalali, by ktokolwiek układał ich życie. Nawet reżyserzy.

* * *

Kiedy Gigi poprosiła o trzy wolne dni, pomyślała słusznie, że Emily Gatherum nie miała wyjścia. Musiała je dać, bo Gigi obiecała już dawniej, że będzie pracować w Wigilię, w sylwestra i w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, zastępując dwóch różnych kucharzy, którzy musieli być w domu pod groźbą rozwodu. Emily była więc jej winna choć tyle. Organizowanie przyjęć było wprawdzie interesem nie ustającym przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, ale mając do czynienia z

mężczyznami żonatymi, trzeba było dopuścić pewną elastyczność. Kiedy Zach zadzwonił rano i oznajmił, że Gigi ma w końcu okazję nauczyć się jeździć na nartach, popędziła do Jessiki i pożyczyła ubrania od tych dzieci, które były mniej więcej jej wzrostu. Narty i buty będzie mogła wypożyczyć jutro na stoku.

Nie rozumiała tylko, gdzie się podziała cała banda? Zach mówił coś o wyjeździe z bandą - czyżby miał na myśli tylko tę lodową księżniczkę Pandorę, wyglądającą jak Grace Kelly, plus stanowczo zbyt pięknego Nicka De Salvo, który z jakiegoś powodu usiłował wywrzeć na niej wrażenie? W jej kategoriach, wyniesionych z Uni, banda oznaczała całą grupę ludzi, a nie tylko czworo. I jeszcze jedno - jak to się stało, że Pandora usadowiła się z tyłu obok Zacha, gdzie chyba świetnie się bawili, a Nick miał prowadzić samochód i czarować ją hollywoodzkimi sposobami, mimo że od urodzenia była na to uodporniona. Żałowała, że nie ma z nimi Saszy. Dzielenie pokoju z Pandorą nie będzie zachwycające, ale Zach powiedział, że trzeba się do niej przyzwycząić; nie jest zła, nie jest taką zimną, impertynencką snobką, na jaką wygląda. Gigi pomyślała buntowniczo, że potrzebuje więcej czasu, żeby podpisać się pod jego teorią. To takie typowe dla Zacha: pomyśleć coś i zaraz według tego działać, tak jak wymyślił to z Hamletem. Był przekonany, że istnieje sposób na zrównoważenie wszystkich elementów u Szekspira tak, żeby Hamlet stał się przystępny dla wszystkich tych ludzi, którzy wcale nie oczekują, że będzie im się podobał, ale idą do teatru, bo uważają, że raz do roku w imię kultury trzeba to zrobić. Zach był jak dziecko budujące zamek z piasku, które zmusza wszystkie inne dzieci do pomocy, mówiąc im, gdzie dokładnie mają opróżnić wiaderka z piasku i popędzając je, żeby

przynosiły go więcej. Czy jest niesamowicie utalentowanym, cudownym dzieckiem teatru, kolejnym błyskotliwym chłopakiem, który w końcu złamie jej serce i nawet tego nie zauważy, czy też jest autentycznie twórczym artystą i jednocześnie dobrym, kochającym, cudownym mężczyzną, w którym może ośmieli się zakochać?

Gigi doszła do wniosku, że jeszcze sama nie wie, ale może weekend na śniegu przyniesie jakieś rozwiązanie. Naprawdę trudno było poznać Zacha na jego własnym gruncie, bo on tam zawsze dyrygował, zawsze był otoczony innymi jako szef i przywódca, zawsze pracowicie poszukiwał swej wizji - tej jego wizji, którą tak dobrze rozumiała. Na nartach będzie inny. Normalny. Albo prawie normalny. Też nie potrafił jeździć, więc zaczną jak równy z równym.

* * *

Próbując nie słuchać paplaniny Pandory Zach pomyślał, że chyba coś przeoczył, a to nigdy nie powinno mu się zdarzyć. Zamierzał odbyć podróż na tylnym siedzeniu z Gigi. Myślał, że będą obserwować jak nad ośnieżonymi górami wschodzi księżyc, a na przodzie Nick i Pandora będą coraz bardziej zajęci sobą. Gigi co najmniej pozwoli mu się trzymać za rękę. Tymczasem Pandora źle odczytała jego wyraźne sygnały i wsunęła się na miejsce przeznaczone dla Gigi. Niezły kawałek ciała z tej dziewczyny, powinna daleko zajść. Właściwie jej miejsce było w Hollywood Alfreda Hitchcocka, ale miała zbyt wielkie pretensje teatralne, by to przyznać. Jest jednak bardzo pożyteczną aktorką idealnie reagującą na wskazówki reżysera.

Nawet biorąc pod uwagę to drobne niepowodzenie, jego mistrzowski plan nie zawiódł - plan wywabienia Gigi z Nowego Jorku do miejsca,

gdzie będą razem, wśród natury, z dala od niepokojącego wpływu siostry. Wierzył w przyrodę, może dlatego, że był stuprocentowym mieszcuchem i podejrzewał, że pod wpływem przyrody Gigi stanie się dla niego o wiele przystępniejsza niż mogłaby się stać pod wpływem dużej dawki teatralności. Oczywiście Gigi nie pojechałaby z nim na samotny weekend, więc musiał dołączyć innych. Jeśli chodzi o resztę trupy, to zawsze, kiedy natknął się na tę nieuniknioną barierę, trzeba było im dać trochę wolnego, niezależnie od tego, czy reżyser chce jechać na narty, czy nie. Nawet przy pracy nad banalną farsą nadchodził okres zastoju, kiedy najwytrwalsi aktorzy zaczynali opadać z sił i każdy bystry reżyser musiał im poluzować. Tym bardziej przy wyczerpującym bogactwie Szekspira, kiedy jego przebogaty język pulsował im w głowach dzień i noc, co najmniej raz, „obwody się przepalały” i aktorzy pragnęli jedynie iść do domu, oglądać telewizyjne romanse, jeść pizzę i drzemać.

Jemu było łatwiej, był po prostu szewcem, który robił od początku parę butów. Miał do czynienia z tyloma innymi elementami oprócz słów, prowadził skomplikowaną ludzką społeczność, wystawiając sztukę. Sztuka. Reżyserowanie to jedyna praca na świecie będąca czystą zabawą, a on jest najszczęśliwszym na tym świecie człowiekiem, bo kierował tą zabawą, miał przed sobą język Szekspira, te najpiękniejsze słowa, będące publiczną własnością - choć byli i tacy, którzy wymieniliby tu Biblię - które czekały, aż jeszcze raz przemieni je we fragment rzeczywistości, w uroczystość na cześć życia, na cześć człowieka, a nie w test na inteligencję czy egzamin wstępny.

Są reżyserzy, którzy od czasu do czasu popadają w melancholię. Uważają, że dyrygenci mają lepszą pracę, bo dyrygent znajduje się na

scenie i jest zarówno wykonawcą, jak i twórcą wizji kompozytora. Zach też przeżywał chwile zwątpienia, czasami przychodziło mu na myśl, że jeśli zajmuje się interpretowaniem wizji dramaturga przy pomocy twórczych aktorów, to kim właściwie jest on, Zach Nevsky? Ale wtedy stwierdzał, że milion razy bardziej woli pracować z językiem niż dźwiękami; przypominał sobie, że słoń mu na ucho nadepnął, pytał sam siebie, czy jedyną posadą, na jaką chciałby się zamienić, jest posada Boga. Kiedy to się zdarzało - a odpowiedzią na to pytanie było: „Tak, Boga, albo jeszcze lepiej Reżysera” - wiedział, że potrzebuje tylko pizzy i drzemki jako rekompensaty za brak talentów aktorskich.

Nie można mieć absolutnie wszystkiego. Zadowolili się dokładnie tym, co ma i Gigi. Gdyby nie był tak pewien, że Nick nie zacznie romansować z jego dziewczyną, to byłby trochę zazdrosny widząc, jak swobodnie rozmawiają o hollywoodzkich bzdurach. Ciągłe zapominał, że ojcem Gigi jest producent filmowy, a to dlatego, że ten niezrozumiały drań dla niej nie istniał. Ale tacy faceci jak Vito Orsini nigdy nie znikają z powierzchni ziemi, trudniej się ich pozbyć niż Jimmy’ego Hoffy. Na szczęście nie musiał się martwić proszeniem Vita o rękę Gigi, bo jego obrzydliwe zachowanie pozbawiło go wszelkich praw do córki. Jeśli w ogóle będzie musiał kogoś prosić, to będzie to pewnie Sasza. Albo macocha Gigi, sama Billy Ikehorn, przebywająca w dalekim Paryżu. Ale najpierw musi znaleźć się sam na sam z Gigi, tylko ich dwoje, w skrzącym się śniegu, w dziewiczej okolicy z prawdziwym, błękitnym niebem, prawdziwymi sosnami i prawdziwym powietrzem, które nigdy nie docierało do Central Parku. Zawsze chciał wyjechać na narty. Wydawało się to takie proste.

* * *

Przyjechali w piątek do Killington bardzo późno i od razu poszli spać. Gigi i Pandora wzięły bez dyskusji wspólny pokój, bo były bardzo zmęczone, a Zach i Nick dostali pokój sąsiadujący z nimi.

Następnego dnia wczesnym rankiem zjedli ogromne śniadanie składające się z naleśników, bekonu i owsianki, aby nabrać sił, za radą Pandory, która jeździła na nartach od trzeciego roku życia, oraz Nicka, który często jeździł w Vail i w Dolinie Słońca. Gigi i Zach poszli razem wypożyczyć narty i buty i przyłączyli się do jednej z klas w szkółce narciarskiej. W Killington początkujących uczono na krótkich nartach długości metra i bez kijków. Ta zdumiewająco szybka metoda pozwalała narciarzowi prawie od razu doświadczyć pędu w dół stoku, ponieważ nie musiał walczyć z długimi deskami i płaczącymi się kijkami.

Lekcja dla początkujących była bardzo łatwa. Uczniowie zjeżdżali po łagodnej oślej łączce po jednym zakosie i zatrzymywali się, skręcając pod stok. Było ich piętnaścioro. Zachęceni przez instruktora, za każdym razem robili po kilka skrętów, zwalniając na zakrętach. Żaden zjazd po zatłoczonym stoku, na którym zawzięcie ćwiczyły inne grupy, nie mógł mieć miejsca, dopóki każde z nich nie zakręciło po kolei i cała grupa nie ustawiła się na nowo. Przed obiadem wszyscy początkujący zaznali przerażającej radości stania na szczycie wzgórza i patrzenia aż na sam dół z wiedzą, że zjechali raz i potrafią to powtórzyć.

Gigi i Zach stali zachwyceni u podnóża oślej łączki i patrzyli w górę na Nicka - czarną kulę, i Pandorę - lśniącą srebrzystą strzałę, jadących prosto na nich coraz szybciej „na krechę” z samej góry. Zatrzymali się tuż przed nimi, ostro skręcając pod stok i wzbijając tumany śniegu.

- No dalej, popisujcie się - powiedział Zach. - My też się tak nauczymy.

- Jazda wzdłuż linii spadku wymaga dużej praktyki... i odrobiny szaleństwa - odparł Nick odpinając narty.

- Co to jest linia spadku, Nick?

- Najkrótsza droga w dół stoku. Dopóki nie zjedziesz wzdłuż linii spadku, nie będziesz wiedział, co to jest jazda na nartach. Musisz pokonać podstawowy, normalny strach przed upadkiem. Nikt nie chce zaryzykować upadku.

- E tam, Nick, spójrz na te wszystkie dzieciaki zjeżdżające na wprost tak jak ty i Pandora, połowa z nich ma dwa lub trzy lata - zaproponował Zach.

- Jasne, a jeżdżą na nartach od chwili, kiedy potrafiły utrzymać się na nogach. To nie takie łatwe, jak na to wygląda.

- Eliciarz - roześmiał się Zach. - Jesteście głodni?

- Ja jestem głodna - powiedziała Gigi patrząc, jak Pandora bez wysiłku kładzie sobie narty na ramieniu, bierze kijki w jedną rękę i odchodzi z pewnym siebie kołysaniem ciasno opiętej, srebrzystej pupy. Zach spojrzał za nią z wyrażającym uznanie błyskiem w oku. Gigi miała na sobie workowate granatowe spodnie narciarskie i ciemnozieloną kurtkę, która w połączeniu z granatem wyglądała nieciekawie. Spodnie i kurtka należały do dwóch różnych Straussów. Poczula nagle ukłucie, bo zdała sobie sprawę, jak amatorsko i niezgrabnie wygląda w porównaniu z Pandorą.

Obfity lunch zjedli w barze samoobsługowym, bo popołudniowe zajęcia w szkółce narciarskiej zaczynały się dokładnie o drugiej. Nick i

Pandora pojechali wyciągiem na szczyt góry, machając na pożegnanie Zachowi i Gigi, jak się im obojgu wydało, z ledwo skrywaną litością.

- Gigi, czy naprawdę chcesz spędzić całe popołudnie, robiąc to samo co rano? - natychmiast spytał ją Zach.

- Tak wyglądają tu zajęcia - odparła stanowczo Gigi.

- Gigi, szkółka narciarska to interes, jak wszystko inne. Opóźniają tylko postępy uczniów, żeby ciągle dostawać pieniądze, nawet jeśli uczniowie doskonale radzą sobie sami. Większość czasu spędziliśmy na czekaniu na resztę grupy - czy cię to nie złościło?

- Pewnie, ale jak inaczej mogę się nauczyć?

- Posłuchaj, Gigi, oboje już wiemy, jak jeździć w sposób kontrolowany, nie? Nauczyliśmy się zatrzymywać i skręcać, nie? To może darujemy sobie szkółkę, pojedźmy na górę i powoli zjedźmy najłatwiejszą trasą dla początkujących, robiąc dokładnie to, czego nauczyliśmy się rano.

W ten sposób pojeździmy sobie dziesięć razy więcej niż gdybyśmy zostali ze szkółką.

- To może mieć jakiś sens, mój drogi panie, tylko że mam dziwne podejrzenie, iż w głębi serca chcesz zjechać wzdłuż linii spadku.

- Gigi, obiecuję, przysięgam na każdy cenny pomarańczowy włoszek na twojej cennej główce, że nie będę dziś próbował zjechać „na krechę”. Nie jestem idiotą. Zrobię to pod koniec weekendu, ale dzisiaj chcę zdobyć jak najwięcej praktyki. Jest pełne słońce, bezchmurne niebo, jak możemy zmarnować coś takiego?

Spojrzała taksująco na Zacha. Pętanie takiego naturalnego sportowca wydawało się jej nieludzkie. Był najlepszy w szkółce, naśladował instruktora o wiele dokładniej i z o wiele mniejszym wysiłkiem niż inni,

chwytnąc w naturalny sposób rytm skrętnów, z wdziękiem pochylając się, uginając kolana i przenosząc ręce z boku na bok. I wyglądał tak wzruszająco entuzjastycznie, z czarnymi włosami zbyt prostymi i gęstymi, żeby zachować przedziałek, opadającymi na czoło, i oczyma zmrużonymi z tęsknoty za przygodą.

- Ach, Gigi, ciebie też pewnie korci, żeby skończyć z tymi oślimi łączkami... nawet sama ta nazwa jest poniżająca, a są tak zatłoczone jak metro. W szkółce właściwie jeździ się po kilka minut. - Zach mówił to tonem niezachwianego przekonania, którym namówił już tylu aktorów do ryzykownego nagięcia talentu i rzucania się na nowe obszary, które uważali za niemożliwe do zdobycia.

- No, nie wiem. - Gigi się zawahała, prawie poddając się ogromnej pokusie wbrew rozsądkowi, ale jeszcze niepewna.

- Jedynym sposobem, żeby poczuć, że się naprawdę tu jest, jest wjechać na samą górę. Wiesz, że nie pozwolę, aby coś ci się stało... Chodź, Gigi, spróbujmy!

- Och, Zach... - Gigi spojrzała w dół na swoje króciutkie czerwone narty i imponujące plastikowe buty. Coś w jego głosie sprawiło, że zapragnęła podjąć ryzyko.

- Obiecuję, że się tobą zaopiekuję, proszę, Gigi! Nie pojedę, jeśli nie pojedziesz ze mną. Samemu wcale nie będzie mi przyjemnie.

- Och... no dobrze - zgodziła się jak wszyscy, których namawiał Zach Nevsky.

* * *

Gigi musiała przyznać, że Zach miał rację. Na szczycie góry trasa dla początkujących była szeroka na kilkaset metrów - pole skrzypiącego,

dziewiczego puchu. Szczyt góry wydawał się oddalony o milion mil od zdeptanych, pociętych śladami nart, wilgotnych oślich łączek leżących teraz o kilka tysięcy stóp pod nimi, poza zasięgiem wzroku. Znaleźli się na szczycie świata, w dzwoniącym ciszą, dziwnie ekscytującym miejscu, z którego w każdym kierunku widzieli górujące nad nimi fioletowo-białe wierzchołki. Gigi wydawało się, że wdychane przez nią powietrze zawierało rzadką esencję wydestylowaną ze światła słonecznego i czystości. Już samo stanie tu stanowiło dla niej kompletnie nowe doświadczenie: spokój i poczucie własnej osobowości, jakiego nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić, gdyby nie pojechała z Zachem na szczyt.

Gigi jechała po śladach Zacha. Dziesiątki innych narciarzy szusowało obok nich, ale Zach ostrożnie jechał pierwszy odcinkami po jakieś osiem metrów, pod kątem czterdziestu pięciu stopni do linii spadku, zwalniając kilka razy przed zatrzymaniem i czekając, aż Gigi do niego dołączy. Gigi nieco się chwiała, usiłując skoordynować ruchy rąk i nóg. Kiedy tak powoli zjeżdżali po pozbawionym drzew śnieżnym stoku, szybko nabrała pewności siebie i umiejętności, zatrzymując się w miejscach, gdzie Zach na nią czekał. Nie uprzedził jej na dole, że za każdą udaną próbę zamierza nagradzać ją pocałunkiem w czubek głowy, ale na nartach nie mogła mu w żaden sposób uciec, a czubek jej głowy nie był uznaną strefą erogenną. A przynajmniej nie był na początku, lecz teraz stawał się coraz wrażliwszy, albo Gigi miała w skórze głowy niezwykle czułe zakończenia nerwowe, o których w ogóle dotychczas nie wiedziała.

- Posłuchaj, Zach, przestań!

- To jak poklepanie psa, kiedy coś dobrze zrobi. To wszystko. -

Uśmiechnął się do niej z uwielbieniem.

- Psy nie jeżdżą na nartach... a ty traktujesz mnie protekcjonalnie - rzekła Gigi potrząsając ostrzegawczo głową.

- No to co mogę u ciebie całować? Nie chcę, żebyś miała wrażenie, że twoja odwaga i styl są nie zauważane czy nie doceniane.

- Nic, Zach. Znasz moje zasady - powiedziała surowo.

- Dobrze, Gigi - odparł potulnie i ruszył w dół. Zjechali już poniżej szerokiego pola śniegu leżącego na szczycie. Zerwał się chłodny wiaterek. Powoli i pracowicie odmierzali odcinki w dół stoku. Gdy tylko dotarli do linii drzew, zniknęła swoboda śnieżnego pola. Po obu stronach wyraźnie zaznaczonej nartostrady co kilkanaście metrów rosły jodły o gałęziach ciężkich od śniegu, co zmuszało Zacha do jazdy bardziej stromo w dół i do częstszych skrętów.

- Hej, Zach, odpocznijmy trochę, brak mi tchu - powiedziała Gigi zatrzymując się przy nim i śmiejąc się z mieszaniną dumy i podniecenia. Potrafi jeździć na nartach!

- Oprzyj się o mnie, podtrzymam cię. Och, Gigi, czy nie miałem racji? Nie cieszysz się, że tu jesteś?

Uśmiechnęła się do niego potwierdzająco, cała ośnieżona od nieszkodliwych upadków, z płonącymi policzkami, oczyma bardziej zielonymi niż kiedykolwiek. Zach nie potrafił się opanować: objął ją mocno ramionami i pocałował prosto w usta.

- Zach... przestań - wykrztusiła.

- Jeszcze jeden pocałunek - mruknął. - Nie chcę, żebyś się odmroziła - i pocałował ją znowu. Był to długi, niebezpiecznie przyjemny pocałunek, a jego wargi były tak ciepłe na jej zimnych ustach, że Gigi poczuła, jak się

ku niemu otwiera.

- Zach! Przestań i zjeżdżaj dalej - powiedziała z mocnym postanowieniem, że nie pozwoli mu złamać jej zasad tylko dlatego, że znaleźli się na jakiejś górze.

Spojrzał na nią wzrokiem przepelnionym beznadziejną tęsknotą, ale ruszył w dół. Zjeżdżali powoli, aż dotarli stosunkowo prostą nartostradą do połowy góry. Tymczasem popołudniowe słońce zniżało się coraz bardziej, a na śniegu zaczęła się tworzyć lodowa skorupka. Ślady zrobione przez poprzednich narciarzy były coraz głębsze, trasa zwężała się coraz bardziej i było mniej miejsca na manewry. Zach jechał teraz tylko jakieś pięć metrów i zatrzymywał się, żeby poczekać na Gigi. Wlekli się niemiłosiernie. Przed nimi było coraz więcej drzew, cały las drzew rosnących dość blisko siebie, a oni nie mieli pojęcia, gdzie trasa znów się rozszerzy w kolejne śnieżne pole. Od przynajmniej pół godziny przestali ich mijać inni narciarze, a pełna oczekiwania cisza była niemal groźna, jakby znaleźli się sami na górze.

- Myślę, że powinniśmy spróbować jechać trochę szybciej - powiedział Zach.

- Dobrze - zgodziła się ponuro Gigi.

Zach odjechał dziesięć metrów, robiąc częste, krótkie skręty, żeby nie nabrać szybkości, i zatrzymał się czekając na Gigi. Nie miała naturalnej koordynacji ruchów, żeby jak on balansować w czasie jazdy, ale puściła drzewo, którego się trzymała, ugięła kolana, rozłożyła ręce i z determinacją ruszyła za nim. Chwiała się niebezpiecznie i kilka razy straciła równowagę, ale zatrzymała się wjeżdżając na Zacha, który odpoczywał opierając się o drzewo. Chwytał ją, chroniąc przed upadkiem.

- Świetnie! Świetnie ci idzie! - powiedział.

- To zdecydowanie przestało być przyjemnością. - Gigi czuła, że drżą jej nogi. Wszystko by oddała, żeby znaleźć się w kuchni z tuzinem gorących kuchenek, przy których mogłaby bezpiecznie harować.

- Wiem, Gigi, nie myślałem, że trasa dla początkujących tak się zwięzi. Przepraszam, kochanie, to był głupi pomysł, ale dobrze nam idzie. Słuchaj, czuję, że się denerwujesz, że jesteś spięta. Rozluźnij mięśnie, bo inaczej zrobisz sobie krzywdę.

Zdjął rękawice i wsadził je sobie pod pachę. Swymi wielkimi, ciepłymi dłońmi ujął głowę Gigi z obu stron. Przez kilka minut tylko ogrzewał jej policzki i uszy, a ona przytuliła się do jego uspokajająco wielkiego ciała, czując się bezpiecznie i swobodnie. Zach włożył jej na głowę swoją wełnianą czapkę narciarską, bo Gigi zapomniała wziąć swojej.

- Ale jest nam jeszcze tak zimno, kochanie, tak zimno - powiedział z troską w głosie i schylił się, jakby mógł osłonić ją swym ciałem, mocno ją przytulając i całując w nos, oczy i wreszcie w usta, bo wiedział, że też są zimne.

- Gigi, kochanie, moja kruszynko, kocham cię tak strasznie... jesteś moją dziewczyną, proszę cię, powiedz, że jesteś moją dziewczyną, Gigi, wiesz, jak cię kocham, nie ma dla mnie nikogo innego na świecie, powiedz mi, że będziesz moją dziewczyną.

Mówiąc to Zach pokrywał jej twarz pocałunkami. On, który znał całą wielką poezję miłości, był zbyt poruszony, aby znaleźć bardziej odpowiednie słowa. Do czasu poznania Gigi sądził, że jest samowystarczalny. Teraz potrzebował jej tak bardzo, że go to przerażało,

więc zwalczał ten strach. Chociaż jego słowa były błagalne, mówił tonem stanowczym, pewnym siebie, jakby jego siły były nadal nienaruszone. Gigi drżała w jego potężnym uścisku, usiłując uwolnić głowę z imadła jego dłoni, czując, że za chwilę się podda, w końcu mu ulegnie i zgodzi się być jego dziewczyną. Zobaczyła w oczach Zacha iskrę determinacji i nagle sztywniejac pomyślała, że to nieładnie z jego strony tak atakować jej uczucia, kiedy tkwi z nim sam na sam w tym dziwnym, przerażającym, odległym miejscu. Nieładnie!

- Nie! - zawołała Gigi z całej siły odwracając głowę. Niespodzianie wyrwała się z jego objęć i natychmiast zaczęła się ześlizgiwać do tyłu. Narty niosły ją tak szybko, że nie miała żadnej możliwości zapanowania nad nimi. Znieruchomiały z wrażenia Zach ruszył po sekundzie za nią, ale odjechała już za daleko, żeby mógł ją dogonić. Gigi wymachiwała bezradnie rękoma i krzyczała ze strachu.

- Upadnij! - wrzasnął Zach. - Upadnij!

Wszystkie lekcje zniknęły z umysłu Gigi. Krzyczała i walczyła o utrzymanie się w pionie, ale zjeżdżała coraz szybciej, aż uderzyła z całej siły w drzewo po drugiej stronie trasy. Upadła w spiętrzony śnieg na krawędzi nartostrady. W ciągu kilku sekund Zach leżał na śniegu obok niej.

- Gigi! - zawołał błagalnie. - Gigi, nic ci nie jest? Szlochała z bólu i nie mogła mówić.

- Gigi, czy coś cię boli? Gigi, odezwij się do mnie!

- Moja noga... chyba jest złamana... nie, nie dotykaj jej! Nie próbuj mnie ruszać! Na litość boską, co my teraz zrobimy? Och, jak boli!

- To wszystko moja wina! Och, Gigi, to moja wina!

Ostry ból w nodze nasilił się i Gigi zaczęła szlochać dwa razy głośniej. Z twarzą wykrzywioną wyrzutami sumienia i poczuciem winy Zach obejrzał się na stok i spojrzął tak daleko, jak sięgał jego wzrok, ale na całej nartostradzie nie było nikogo widać ani słyszeć. Zerknął na zegarek i z przerażeniem stwierdził, że jest później, niż sądził, prawie czwarta.

- Jadę po pomoc. Rozumiesz, Gigi?

- Nie zostawiaj mnie tutaj samej! - wyszlochała.

- Muszę, Gigi - upierał się - czekanie jest zbyt niebezpieczne.

Ciągle szlochając zacisnęła mocno zęby i skinęła głową. Zach zdjął kurtkę i gruby sweter. Udało mu się owinać nimi tors i szyję Gigi nie ruszając jej nóg. Starł śnieg z jej czapki i naciągnął ją jak najgłębiej na twarz dziewczyny, żeby nie stykała się bezpośrednio ze śniegiem.

- Jeśli usłyszysz, że ktoś nadjeżdża, wołaj o pomoc najgłośniej jak potrafisz, rozumiesz? - Gigi znów skinęła głową, a po policzkach stoczyły się jej łzy.

Zach z trudem wstał. Miał na sobie tylko cienką wełnianą koszulę wpuszczoną do spodni narciarskich, i gołą głowę i ręce, bo rękawice zgubił gdzieś po drodze, kiedy pędził za dziewczyną. Wziął głęboki oddech, spojrzął na nią błagalnie, bez słowa, i ruszył w dół jadąc bardzo ostrożnie, bo jeśli on sobie coś zrobi, na nic się Gigi nie przyda. Jadąc powoli nartostradą między drzewami zupełnie się nie zatrzymywał, ale gdy tylko dotarł do otwartych stoków, pochylił się w przód, mocno ugiął kolana, tak jak Nick, i ruszył po linii spadku jak jakiś demon, nie myśląc o niczym oprócz konieczności sprowadzenia pomocy do Gigi. W ciągu kilku minut dotarł do podnóża góry i zatrzymał się z krzykiem. Po kilku

sekundach na wyciągu znaleźli się dwaj ratownicy z toboganiem dla Gigi.

- Jezu, Zach, co się stało? - zawołał Nick podjeżdżając szybko przez tłum. Zach stał sam z zaciśniętymi pięściami, patrząc z rozpaczą w górę.

- Noga Gigi... chyba jest złamana.

- Cholera! Biedactwo! Ale to się codziennie zdarza na oślich łączkach, to najbardziej niebezpieczne miejsca. Za dużo tam ludzi.

- Pojechaliśmy na szczyt.

- Zach, ty dupku! Jak mogłeś ją tam zabrać? Chciałeś zjechać po linii spadku, to karygodne!

- Wcale nie o to chodziło.

- Właśnie zjechałeś „na krechę”, kretynie! Widziałem, jak zjeżdżasz, zupełnie po wariacku, ale myślałem, że wjechałeś na górę sam.

- Do diabła z linią spadku, Nick, nie zauważyłem. Czy widzisz już tobogan?

- Dopiero co pojechali, dotarcie na szczyt trochę trwa... Jezu, jak mogłeś pozwolić, żeby pojechała z tobą?

- Nie wiem... Myślałem... trasa dla początkujących... dureń, pieprzony dureń! Nigdy sobie nie wybaczę, Nick... Nie śniło mi się, że zrobi się tak wąsko.

- Dlatego nazywa się to trasą. Chodź do chaty, tutaj zamarzniesz.

- Przyjdę, jak ją zwiozę.

- Jezu! - Nick z niesmakiem dał Zachowi swoją czapkę, znalazł jakiś koc, zarzucił mu go na ramiona i stał czekając razem z nim, dopóki ratownicy nie zjechali gładko z góry z Gigi przykrytą kocami i przymocowaną pasami do szerokiego toboganu.

- Zabieramy ją do szpitala - powiedział jeden z ratowników rzucając

Zachowi jego kurtkę i sweter. - To tylko noga, nic jej nie będzie.

- Pojedziemy za wami - powiedział Nick widząc, że Zachowi odjęło mowę ze szczęścia. Pojechali za karetką do miasta i dalej do szpitala, gdzie tego dnia udzielono już pomocy dziesiątkom ofiar wypadków narciarskich. W milczeniu i napięciu siedzieli w poczekalni. Po trzech kwadransach podeszła do nich energicznym krokiem pielęgniarka i szybko zaczęła mówić:

- To ładne, czyste złamanie strzałki. Przy krawędzi buta, w połowie długości. Powinno się bez kłopotu wygoić. Daliśmy jej środki uśmierzające ból, które będą działać kilka godzin, złamanie zostało nastawione, doktor nałożył jej taki gips, że może chodzić, a to są jej kule. Jest mocno posiniaczona, ale to normalne. Proszę, tu są tabletki przeciwbólowe, jedna co cztery godziny, wystarczą na trzy dni. Może się poruszać, pokazałam jej, jak obchodzić się z kulami, ale teraz najbardziej potrzebuje odpoczynku. Tu są jej prześwietlenia. Płacą panowie przy biurku obok wyjścia. - Odeszła, zanim mogli zadać jej jakiegokolwiek pytania. Zach podszedł szybkim krokiem do biurka.

W drzwiach wahadłowych pojawił się sanitariusz popychający wózek na kółkach z siedzącą na nim Gigi, umiejętnie wymijając dwóch kolejnych narciarzy wnoszonych przez ratowników.

Na lewej nodze od kostki do kolana miała gips, nad którym powiewała nogawka jej rozciętych z przodu narciarskich spodni. Z bladą, wyczerpaną twarzą wyglądała jak szmaciana lalka zapomniana przez jakieś roztrzepane dziecko.

- Jak się czujesz, biedne maleństwo? - spytał Nick ujmując poręcz fotela.

- Nieźle. Doktor powiedział, że to najładniejsze złamanie, jakie widział w tym tygodniu - powiedziała słabym głosem Gigi. - Bardzo mnie pochwalił, jakbym zrobiła to tak ładnie celowo.

- Czy jeszcze cię boli?

- Nie, ale czuję się otępiała... to pewnie te lekarstwa. Mają tam linię montażową... zdumiewający raj dla ortopedy... ale nie polecam.

- Czy nie powiedział ci przypadkiem, co to takiego strzałka?

- Nie, tylko że właściwie mam szczęście. Nic takiego.

- Gigi... - Zach, który wrócił od biurka, stał trzymając w opuszczonych rękach zdjęcia rentgenowskie i patrzył na nią z rozpaczą w oczach. Gigi zupełnie go nie zauważyła. - Gigi? - zapytał jeszcze raz w skrajnej udreće.

Spojrzała prosto przed siebie, przez niego.

- Nick, czy mógłbyś mnie zabrać do chaty?

Mężczyźni wymienili spojrzenia i w milczeniu pomogli Gigi przesiąść się z fotela do samochodu. W chacie pomogli jej stanąć o kulach, których zażądała. Ucząc się chodzić posuwała się do przodu po centymetrze, jak najmniej obciążając złamaną nogę.

- O rany, co za kompletne nudy - jęknęła Pandora, kiedy weszli do małej sypialni. - Zastanawiałam się, dokąd was poniosło, więc złapałam okazję. Powinnam się była domyślić... szczęście początkującego.

- Dzięki.

- Nic ci nie będzie. Ciągłe się to zdarza.

- Dzięki.

- Pomogę ci się rozebrać - zaproponowała Pandora poirytowanym głosem.

- Dzięki.

- Chłopcy, wynocha. Poradzę sobie, już to kiedyś robiłam. Wkrótce Gigi siedziała w łóżku w swej czerwonej, flanelowej piżamie. Pandora obciąła w niej nogawkę, żeby zmieścił się gips. Pokój, jak większość pokojów w chatach narciarskich, był przegrzany, i Gigi nie chciała włożyć swetra. Pandora ubrała się w swój strój po nartach: aksamitne spodnie, jedwabną bluzkę i miękkie futrzane buty, wzięła torebkę i zeszła do baru szukając przygód.

- Gdzie jest Zach? - spytała Nicka siedzącego na wysokim stołku barowym. Usiadła obok niego.

- W naszym pokoju.

- Jak to?

- Nie jest w nastroju do przyłączenia się do tej wesołej bandy.

- Na litość boską, dlaczego?

- Czuje się odpowiedzialny, bo wziął Gigi na górę.

- Dobry Boże... - Pandora roześmiała się z niedowierzaniem. - Nic mi nie powiedziała, właściwie w ogóle niewiele mówiła. Jakie to absurdalne. I co tu mówić o nic nie wiedzących amatorach! To w równym stopniu jej wina. Ja nigdy nie zrobiłabym czegoś tak idiotycznego.

- Zastanawiałaś się nad wstąpieniem do Czerwonego Krzyża? - spytał zimno, kiedy zamawiała sobie drinka.

Siedzieli przy barze pijąc w ponurym milczeniu. Nick pomyślał, że to takie typowe dla Pandory: uważać złamaną nogę za gafę towarzyską, której ona, jako osoba dobrze wychowana, nigdy by nie popełniła. Żałował, że powiedział jej, iż Zach wziął Gigi na górę, chociaż i tak dowiedziałyby się prędzej czy później. Pytania, jakie sobie zadawał w

związku z uczuciami Zacha do Gigi, znalazły odpowiedź w jego totalnej udreće z powodu wypadku. Ten dureń po raz pierwszy w życiu się zakochał. Ale czy można mu się dziwić?

Kilka kobiet siedzących w barze rozpoznało Nicka i zerkało w jego stronę. Nie zwracając uwagi na Pandorę wdał się w rozmowę z ładną rudowłosą siedzącą z jego prawej strony. Zirytowana Pandora skończyła drinka i zamówiła jeszcze jednego. To będzie cudowny wieczór.

- Nick flirtuje ze wszystkimi dziewczynami w chacie, jak zwykły chłopak. Zachowuje się skromnie i czaruje wszystkie paskudne dziewczyny chcące się pieprzyć z gwiazdami, a Zach ukrywa się w pokoju.

Zach... zupełnie sam, niesłusznie obwinia się za głupi upadek Gigi. Trzeba go pocieszyć, bo czuje się smutno i samotnie. Zach, ciągle idealistyczny, staromodny i sentymentalny. Zach zupełnie bezbronny, samotny. Szkoda go.

- Pójdę i zobaczę, co robią - powiedziała do Nicka. - Masz klucz do waszego pokoju? - Podał go jej, a ona wysliznęła się z baru i pobiegła po schodach, gratulując sobie, że dostrzegła spadłą z nieba okazję. Tak właśnie organizują sobie życie Harperowie, kiedy inni ludzie beużytecznie śnią na jawie.

Cicho stała przy na wpół otwartych drzwiach do pokoju Nicka i Zacha. Dlaczego Nick nie uprzedził jej, że nie są zamknięte na klucz? Pokój był tak mały, że widziała prawie wszystko. Zach leżał rozciągnięty na plecach na dalszym łóżku, oświetlony jedynie lampką stojącą na nocnym stoliku rozdzielającym oba łóżka. Od razu spostrzegła, że zasnął na krawędzi łóżka powalony gorącem. Buty narciarskie leżały pod jedną

ściana, z łóżka zwisały spodnie narciarskie, ale nadal miał na sobie spodenki. Obok jego ręki leżał płaszcz kąpielowy, jakby przewidywał, że będzie go musiał narzucić. Pandora przeszła przez drzwi zamykając je za sobą dokładnie i cicho, i bezgłośnie podeszła na palcach do łóżka.

* * *

Gigi oparła się o poduszki czując się dziwnie wygodnie, jak na niezwykle okoliczności. Mocne zastrzyki, które dał jej lekarz przed złożeniem nogi, natychmiast odniosły skutek, a działanie podanych potem tabletek przeciwbólowych wcale się nie zmniejszyło. Jej myśli błądziły leniwie, a świadomość, że po prostu złamała nogę, wydawała się raczej uspokajająca. Mogło być o wiele gorzej.

Na chwilę zamknęła oczy mając nadzieję, że uśnie, ale nagle zdała sobie sprawę, że usiłuje stłumić nieprzyjemne uczucie, iż w szpitalu była celowo niemila dla Zacha. Czy nadal jest pewna, że postępował nieładnie wobec niej na górze? Powiedział jej tylko, że ją kocha, powiedział jej prosto z mostu, pierwszy raz, że jest dla niego jedyną dziewczyną na świecie, i w tych warunkach pocałunki - wspaniałe pocałunki - były chyba zrozumiałe? Nawet kodeks Saszy musiał twierdzić, że w takim momencie mężczyzna nie zasługuje na cierpienie. I co z tego, że widziała w jego oczach błysk zwycięstwa? Czy nie odzwierciedlało to dość dobrze tych chwil, kiedy wreszcie pozwoliła sobie oddać mu pocałunek, do czego tak długo tęskniła? Czy musiała zareagować tak ostro, jak obrażona panna z wiktoriańskiej powieści?

Rozważając dokładnie wydarzenia i dochodząc przyczyn, dla których popędziła w dół jak Harold Lloyd, zrozumiała, że nie może za swoją złamaną nogę winić wyłącznie Zacha. Leżąc w śniegu, czekając w

okropnym bólu i samotności na nadejście pomocy, była tak przerażona, że zmieniła strach i ból w gniew, mnożąc argumenty przeciwko Zachowi, aby tylko oderwać myśli od własnego przerażenia, ale w rzeczywistości była dość bezpieczna, dopóki nie wyrwała się z jego mocnych objęć. Przez całą drogę jechał ostrożnie, biorąc pod uwagę jej umiejętności, chociaż w ogóle nie powinien namawiać jej na podjęcie takiego ryzyka. Lecz Zach to chodząca lekkomyślność, dla niego nie była to nawet lekkomyślność, ale przekonanie, że jeśli ma się odwagę zaryzykować, to można zrobić wszystko. Wiedziała o tym i miała wybór.

Gigi przemyślała wszystko jeszcze raz i jasno pojęła, że jest zła na siebie, a nie na Zacha. Ale w szpitalu wyładowała swój gniew na nim. Kiedy z Nickiem pomagał jej wejść na górę i powiedział, że będzie w swoim pokoju obok, gdyby czegoś potrzebowała, nie zareagowała nawet skinieniem głowy. Albo mrugnięciem oka. Nie prychnęła choćby z pogardą. Jakby nie chciała poświęcić mu nawet słowa protestu.

Był zupełnie zgnębiony. Czy przypadkiem... nie czuła zadowolenia? No dobrze, tak, cieszyła się, że widzi tego wspaniałego, władczego, przemyślnego Zacha Nevsky'ego doprowadzonego przez jej wypadek nieomal do łez.

Jak to się wszystko zaczęło? Po raz pierwszy spotkała Zacha na jednej z uroczystości rodzinnych u Nevsky'ch. Mimo że był bratem Saszy, o którym często rozmawiały, to sposób, w jaki wszystkie kobiety, każda ciotka, siostrzenica i kuzynka w pokoju gromadziły się przy nim, współzawodnicząc o jego uwagę, wydał się jej nadto schlebiający. Według Saszy śledzącej jego sprawy miał wtedy romans z jakąś aktorką, a potem z jeszcze jedną. Sasza oznajmiła z dumą, że żadna kobieta nie może się

Zachowi oprzeć i żadna kobieta nie może na długo utrzymać jego zainteresowania. Czyż właśnie wtedy, dawno temu, nie postanowiła przeciwstawić się Zachowi, temu rozpalonemu do czerwoności pepkowi rozgorączkowanego świata teatralnego, temu pupilkowi krytyki, niekwestionowanemu królowi teatru awangardowego? Czyż właśnie wtedy nie postanowiła, że jeśli kiedykolwiek przez przypadek będą mieli ze sobą do czynienia, to będzie trzymać go na dystans? O, tak, powiedziała sobie Gigi, grała z nim w surową, trudną grę, będąc tak słodko pruderyjna, wykwintnie ostra, skromnie zimna, jak każda ze sprytnych dziewcząt łowiących bogatego męża w powieściach Trollope'a. To cud, że nie uparła się, żeby mówić do niej „panno Orsini”. Rozegrała dobrą partię - lecz grała ją zbyt długo, czego dowodem była jej złamana strzałka. Gigi westchnęła z zachwytem. Och, pragnęła Zacha, cudownego Zacha, chciała powiedzieć mu wszystko, o czym myślała, chciała, żeby wiedział, że go kocha. A on jest w sąsiednim pokoju. Problem w tym, że nie ma tam telefonu, a wychodząc do baru Pandora bezmyślnie zamknęła drzwi do ich sypialni, za szybko, żeby Gigi zdążyła za nią zawołać.

Gigi pomyślała, że właściwie już dość dobrze porusza się o kulach. Z drugiej jednak strony i Nick, i Zach pilnowali jej, więc wiedziała, że nie może upaść. Doktor zapewniał, że może stać na zagipsowanej nodze, nawet wchodzić i schodzić po schodach, a Zach jest tak blisko. Po co jednak ryzykować? A jeśli pośliznie się, usiłując dojść do drzwi, i złamie drugą nogę? Czy nie ma dość niebezpiecznych sytuacji jak na jeden dzień? Zadrżała na wspomnienie góry i zamknęła oczy, nie mogąc się zdecydować. Nie czuje się rozsądna, i to jest jej problem.

* * *

Pandora stała nad Zachem i oceniała sytuację. Pograżył się w głębokim śnie kompletnie wyczerpany, tak nieprzytomny, jakby zażył środek nasenny. Po raz pierwszy w życiu widziała go bez charakterystycznego wyrazu energicznej władczości na twarzy. Wstrzymała oddech patrząc na jego wspaniałe ciało, nieomal nagie, potężne, lecz całkowicie pogrążone w nieświadomości. Och, uwielbia go takiego jak teraz, bezradnego i bezbronnego. Uwielbia duże, zaokrąglone, bierne wybrzuszenie jego miękkich genitaliów. Nigdy żaden mężczyzna nie znajdował się całkowicie na jej łasce, nigdy przedtem nie doświadczyła nagłej fali gorąca uderzającej na widok mężczyzny, którego pożąda, lecz jeszcze nie zdobyła, który znajduje się tak bez reszty w jej rękach. Szybko i w zupełnej ciszy Pandora zdjęła całe ubranie i rzuciła je na podłogę, czując, jak między nogami budzi się jej potężne, przyjemne pulsowanie i ani na chwilę nie odrywając spojrzenia od niczym nie chronionej nagości Zacha, którą mierzyła doświadczonym, zachłannym wzrokiem. Delikatnie zdjęła z materaca płaszcz kąpielowy i lekko osunęła się na jego miejsce, kładąc się obok Zacha, lecz go nie dotykając. Podparła się na łokciu, żeby obserwować jego twarz.

Kiedy się kładła, Zach się nie poruszył, a jego głęboki, regularny oddech nie zmienił rytmu. Pandora wyciągnęła prawą rękę i ukradkiem wsunęła ją do rozporka jego spodenek, rozkładając płasko dłoń na jego penisie, nie wywierając jednak żadnego nacisku. Był gruby, pomarszczony i miękki, a gdy zmierzyła dłonią jego długość, poczuła, że robi się wilgotna nie do wytrzymania. Delikatnie go dotykając pilnie wpatrywała się w twarz Zacha, lecz nie dostrzegła na niej żadnej zmiany. Biorąc się ostro w karby zaczęła, dopóki pod delikatnym ciepłem jej nieruchomej

dłoni organ Zacha nie zaczął grubieć, twardnieć i zdecydowanie budzić się do życia. Zach nadal spał. Leżał nieruchomo, spokojnie i Pandora wkrótce doszła do wniosku, że może już zgiąć palce i jak najzręczniejszy zacząć zwiększać nacisk na penisa, lekko, delikatnie, tak że stopniowo zaczął się podnosić i trącać jej palce, które musiała rozłożyć, żeby go w nich zmieścić. Coraz lepiej, pomyślała Pandora, odurzona, lecz ciągle zdyscyplinowana, podczas gdy jej palce kontynuowały pieszczotliwe, lekkie jak piórko ruchy, lepiej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażała. Wkrótce udało się jej delikatnie rozsunąć rozporek, a jego penis, uwolniony spod materiału, lecz ciągle kierowany jej dotykiem, wznosił się prosto w powietrze. Zamknęła wokół niego delikatnie całą dłoń, a on drgał i podskakiwał nieregularnie, wciąż wypełniając się i sztywniejąc, aż wreszcie spoczął na brzuchu Zacha celując w kierunku jego pasa. Zach westchnął głęboko przez sen, poruszył głowę, ale nie zbudził się. Pandora czekała tak długo, jak tylko mogła, sycąc się widokiem jego wspaniałego rozpalenia. Pomyślała tryumfalnie, że nigdy nie będzie do nikogo należał tak całkowicie. Nie w ten sposób. W końcu, nie mogąc już powstrzymać się ani chwili dłużej, rozwarła palce, delikatnie wypuściła trzon i z największą ostrożnością zmieniła pozycję. Zawisła teraz nad ciałem Zacha, trzymając kolana po obu jego bokach, podpierając się jedną ręką o płasko rozłożonej dłoni, tkwiąc nad nim jak szczupły, złocisto-biały drapieżnik.

Nadal spał, choć mamrotał coś przez sen i poruszał głowę z boku na bok. Spojrzała w dół upewniając się, czy wejście do jej wnętrza znajduje się nieco poniżej nabrzmiałego czubka członka. Wolną ręką powoli, z wprawą, uniosła ciężki organ i wolno, z łatwością, centymetr po

centymetrze wprowadziła go w swoje wygłodniałe, czekające ciało. Jedna z powiek Zacha uniosła się na moment i mężczyzna prawie się obudził, lecz po chwili znów się zamknęła. Pandora naprężyła wewnętrzne mięśnie, rozluźniła je i znów naprężyła, akurat tyle, by wywołać wyraźne pulsowanie. Zach zaczął się w niej poruszać i otworzył oboje oczu.

- Co? - wykrztusił, kompletnie zdezorientowany. Pandora, w milczeniu, napięciu i odurzeniu swą galopującą żądzą, po raz pierwszy odważyła się poruszyć biodrami w tył i w przód w porywającym rytmie. Zach, jeszcze niezupełnie rozbudzony, przetoczył się, automatycznie obejmując ją ramionami, instynktownie chcąc utrzymać zdobyte tereny. Przycisnął ją do materaca i zamrugał w oszołomieniu. - Co, do cholery... - wyszeptał zduszonym, pytającym głosem. Nadal nic nie mówiła, lecz w końcu odrzuciła boleśnie krępujące, lubieżne więzy, jakie sama sobie tak przebiegle narzuciła. Wypchnęła biodra w górę w rozpustnym szale, tak żeby Zach wszedł w nią jak najgłębiej. Boleśnie rozpalony Zach zagłębił się w jej ciało w zwierzęcym odruchu. Ich ciała złączyły się, Pandora oplótła nagimi nogami jego plecy, a Zach wbił się w nią głęboko. Oboje stękali z uwolnionego pożądania i w tym momencie Gigi otworzyła drzwi. Zachwiała się i oparła o ścianę, nie mogąc ani się poruszyć, ani odwrócić wzroku. Kochankowie na łóżku byli niczego nieświadomi i szybko zmierzali ku gwałtownemu, nieskomplikowanemu i barbarzyńskiemu finiszowi, po czym ciężko opadli na materac jęcząc z ulgą i nie otwierając oczu.

Trans się skończył i Gigi gorączkowo zapragnęła stamtąd uciec. Poruszyła kulami zbyt szybko i głośno uderzyła zagipsowaną nogą w drzwi. Zach podniósł głowę i spostrzegł wyraz jej twarzy. Patrzył

znieruchomiały z zaskoczenia, jak niezręcznie idzie korytarzem, zostawiwszy za sobą drzwi chwiejące się na zawiasach. W szoku ujrzał siebie takim, jakim musiała go zobaczyć Gigi. Potężnym rzutem ciała wysunął się z Pandory, wstał chwiejnie i daremnie usiłował naciągnąć narciarskie spodnie.

- A dokąd to się wybierasz? - spytała Pandora jedwabście nieprzyjemnym tonem z wciąż zamkniętymi oczyma. Jeszcze żaden mężczyzna nie opuścił jej ciała z tak niedżentelmeńską bezceremonialnością.

- Ty zwariowana suko! Mógłbym cię za to zabić!

Rozwarła oczy z niedowierzaniem.

- Co! Co ci się stało?

- Gigi nas widziała.

- No to co?

- Wynoś się stąd, do cholery! - wrzasnął Zach i runął na krzesło, zdając sobie w końcu sprawę, że nie może pobiec za Gigi. Co mógłby jej wiarygodnego powiedzieć?

- Zach! Czy tak traktuje się damę? - spytała Pandora usiłując zmienić wszystko w żart. W swoim niepodważalnym i często podtrzymywanym przekonaniu była niezapomniana. Ale nie tak, żeby nazywać ją zwariowaną suką. Doprawdy, Zach jest dzisiaj po prostu niezrównoważony. Nie mówiąc już nic o niewdzięczności.

- Wynoś się - powtórzył tak groźnym tonem, że Pandora pośpiesznie wytarła się poszwą i ubrała się tak szybko, jakby podłoga płonęła jej pod stopami. Trzasnęła drzwiami i stanęła niezdecydowana na korytarzu. Przecież nie wróci do pokoju.

Wzruszyła z rozdrażnieniem ramionami, poprawiła na sobie ubranie, ułożyła włosy kilkoma wprawnymi ruchami i ruszyła na dół w kierunku baru. Jej patrycjuszowska uroda rozkwitła jeszcze bardziej od wspaniałych kolorów na policzkach i nie zaspokojonego głodu w oczach. Na pewno nie Nick, postanowiła, on nie zasługuje dzisiaj na szczęście, ale bar jest pełen wspaniale wyglądających facetów. Pomyślała ze skrywanym uśmiechem, że dopiero zaczyna. Błyskawica nigdy jej nie wystarczała, nawet jeśli była to najwolniejsza błyskawica w historii. Kiedy Zach sobie przypomni, jak była dobra, bardzo będzie żałował, że ją wyrzucił. Jutro będzie się plątał wokół niej jak zgłodniały szczeniak, błagając o jedzenie. Nie ma mowy. Harperów się nie odprawia.

- Nie rozumiem, dlaczego ciągle jest taka zmartwiona - powiedziała z troską Billy, siedząc z Saszą w kuchni mieszkania, które Sasza dzieliła z Gigi. Była sobota i Sasza nie pracowała, więc wykorzystały okazję spotkania się na pierwszą osobistą rozmowę. - Powinna już mimo siniaków zacząć wracać do siebie, nie uważasz?

Gigi wróciła do Nowego Jorku ze złamaną nogą w cztery godziny po tym, jak Billy przyleciała z Paryża i wprowadziła się do swego apartamentu w hotelu Carlyle. Od tego czasu minęły cztery dni, podczas których Billy dotrzymywała towarzystwa Gigi i dbała, by dziewczyna jadła. Wieczorami krążyła między mieszkaniem Gigi i Saszy oraz apartamentami Jessiki, odkrywając, że już same stałe, niezobowiązujące kontakty z tymi trzema kobietami nie wiedzącymi nic o Samie, są jak łagodzący okład na jej świeży ból i gniew.

- Gdyby chodziło tylko o jej nogę, zgodziłabym się z tobą, ale teraz wiem już na pewno, że musi to mieć jakiś związek z Zachem - odparła Sasza. - Od jej powrotu nie dzwoni, to zupełnie do niego niepodobne, a ona ani razu nie wymówiła jego imienia, które przedtem wsadzała do każdego zdania. Podejrzewam złamane serce i chętnie rozbiłabym mu głowę, ale boję się zapytać ją wprost - jest tak zamknięta w sobie, ma tak skrzywdzony i ściągnięty wyraz twarzy... nigdy taka nie była... powstrzymuje mnie to przed zwykłą ciekawością. No i... ponieważ dotyczy to Zacha, uważam, że nie powinnam się do tego mieszać.

- Ale, Sasza, chyba musisz dokładnie wiedzieć, co między nimi zaszło. On jest twoim bratem, a ona współlokatorką, należycie do tego samego pokolenia, jak to możliwe, że nie wiesz?

- Billy, gdybym miała choćby najmniejszą wskazówkę, zapewniam cię, że opowiedziałabym ci w najdrobniejszych szczegółach, ale nigdy tego nie rozumiałam.

- To nie był romans?

- Żaden normalny człowiek nie nazwałby tego romanssem. Żadnego dotykania się...

- Żadnego dotykania się? Daj spokój!

- Oboje muszą być chorzy umysłowo. Jaka kobieta, mając okazję, nie dotknęłaby Zacha...

- Albo mężczyzna Gigi...

Billy i Sasza spojrzały na siebie w całkowitym zrozumieniu - nie Zacha czy Gigi, lecz siebie nawzajem. Przez kilka ostatnich dni odkryły, że bardzo do siebie pasują w ów tajemniczy sposób, w jaki kobiety w różnym wieku, pochodzące z różnych środowisk i mające odmienne doświadczenia życiowe, czasami znajdują wspólny, intuicyjny język, mimo że wcale się dobrze nie znają.

- Lepiej rozpakujmy ten lunch z La Grenouille - powiedziała Billy - póki jest jeszcze gorący. Zamówiłam go rano i poprosiłam kierowcę, żeby go odebrał. Pomyślałam sobie, że wszystkim nam przyda się coś gorącego zamiast kanapek.

- Armia jest zależna od swoich żołdaków, a trzy kobiety to już armia... nawet zjedna chodzącą ranną, jedną na granicy bezrobocia i jedną... kimkolwiek jesteś - powiedziała delikatnie Sasza.

Billy wcale nie była sobą - nie była władczą ani zdumiewającą, w każdym razie nie bardziej niż Gigi. Albo nawet mniej.

- Może kiedyś ci powiem, jeśli sama do tego dojdę. - Billy

pomyślała, że nie może opowiadać bystrej Saszy bzdur, nawet gdyby chciała.

- Przynajmniej nie ma to nic wspólnego z Zachem.

- Orloff-Nevsky jest w tym przypadku czysty - powiedziała Billy z uśmiechem.

- Całe szczęście. Już bez tego czuję się wystarczająco winna. Chodź do salonu, Billy.

Możemy sobie zrobić piknik, a ja ci pokażę zdjęcie domu na Hawajach, w którym może nie kupię sobie mieszkania. A może i kupię. Potrzebuję większej widowni dla mojej kolekcji katalogów.

- Katalogów? Mówisz o Previews? Mam ich w hotelu całą stertę, aby mi przypominały, że zawsze mogę sobie kupić jakąś plantację, ranczo czy wyspę w stanie Maine, albo wszystko to razem oraz zamek w Hiszpanii. To moje drogi ucieczki.

- A dlaczego nie kupujesz? Przecież naprawdę mogłabyś.

- Chyba nie jestem miłośniczką przyrody. Nie wiedziałabym, co ze sobą zrobić - powiedziała z namysłem Billy. - Większość kobiet posiadających kilka domów wykorzystuje je do prowadzenia forsownego życia towarzyskiego, które do mnie nie przemawia. Lubię być zajęta, poważnie zajęta. Musiałabym nauczyć się hodowli bydła, zacząć polować na dzikie kaczkę czy łowić homary. To nie moja działka. Gigi, zjesz trochę tego pasztetu?

- Nie, dziękuję.

- Ale powinnaś spróbować coś zjeść, kochanie. Chudniesz w oczach, a nie masz z czego - powiedziała Billy patrząc zmartwionym wzrokiem na Gigi.

- Obiecuję, że kiedy dojdziecie do kurczaka, trochę go zjem - zagrała na zwłokę.

- Dobrze, ale biorę cię za słowo. Teraz muszę coś wyznać. Od powrotu marzyłam o otwarciu prezentu gwiazdkowego od ciebie i wczoraj wieczorem, kiedy wróciłam do siebie na kolację, nie oparłam się pokusie. Kochanie, jest tak niewiarygodnie piękna, nigdy nie miałam czegoś takiego! Kiedy ją włożyłam, poczułam się jak inna kobieta. Stałam się Georgie - która bawiła się w życiu o wiele lepiej od Billy - i nie potrafiłam jej zdjąć. Nieładnie tak mówić o sobie, ale wyglądałam w niej bosko, tak romantycznie, tak kusząco... a w zasięgu wzroku nie było niestety nawet kamerdynera. Przeczytałam Jessice kartkę przez telefon, a ona uparła się, żebym przeczytała ją jeszcze raz Davidowi, kiedy wróci z biura. Nie mogli się od niej oderwać - skrzypek w Cafe de Paris... sznur różowych pereł... Georgie wynajdująca tusz do rzęs - nie przypuszczali, że masz taką wyobraźnię. Idę dzisiaj do nich, żeby im pokazać suknię i cudowny szkic ze mną i trzema walczącymi kamerdynerami. Biedna Jessie nie może się doczekać, kiedy otworzy prezent, ale Straussowie zawsze uroczyście obchodzą Chanukę, a potem wyprawiają wspaniałą Gwiazdkę, więc nie śmie. Dziękuję, Gigi, to naprawdę najbardziej czarujący i oryginalny prezent, jaki dostałam w życiu.

- Kiedy ją znalazłam, od razu wiedziałam, że ci się spodoba - powiedziała Gigi, zdobywając się na odrobinę ożywienia.

- A co dajesz Jessie. Obiecuję, że nic jej nie powiem.

- Różową piżamę z kryzkami, francuską, z lat dwudziestych, i jestem prawie pewna, że będzie na nią pasować.

- A co napisałaś?

- Kartka jest w paczuszcze, ale Sasza zrobiła odbitki ksero ze wszystkich kartek, kiedy myślałyśmy, że zaczniemy nową linię bielizny z panem Jimmym.

- Biedny pan Jimmy - rzekła Billy. - Chociaż go nie znałam, wiem, że bym go uwielbiała.

I pomyśleć, tak umrzeć na atak serca w środku pokera z wygrywającymi kartami w ręku...

- Dziś tu, jutro tam - przerwała Gigi. - Może tak i lepiej.

Miał dobre życie i ani przez sekundę nie cierpiał. A ponieważ był kawalerem...

- Naprawdę, Gigi, jesteś zupełnie bez serca! - zaprotestowała Sasza. - A co ze mną? Pracowałam dla niego od lat, kochałam go, rozpaczliwie za nim tęsknię. A co powiesz na to, że jedyny spadkobierca, ten jego stuknięty bratanek, sporządził umowę o sprzedaż firmy Warnerom? Ha! Gdyby wszyscy stuknięci działali tak szybko. A Warner ma wystarczająco dużo modelek; jak biedna Sasza Nevsky będzie zarabiała na życie po podpisaniu papierów? Dziś tu, jutro tam - czy tylko tyle potrafisz powiedzieć o biednym panu Jimmym? Naprawdę, Gigi, powinnaś się wstydzić!

- A to był cholernie dobry pomysł, takie kopiowanie starej bielizny, nikt tego nie robi - dodała Billy. - Tak mi przykro, że wasze nadzieje zostały zaprzepaszczone.

- Jeśli pomysł ci się podoba, to może wejdiesz z nami do interesu? - zaproponowała Sasza. - Mogłabyś założyć nową firmę i robić dokładnie to, co planował pan Jimmy.

- Co? Nie. Och, Sasza, nie, chyba nie. Po tym, jak byłam

właścicielką „Scruples”, zupełnie nie widzę siebie walczącej z konkurencją na Piątej Alei... wydaje mi się to całkowicie niewłaściwe, to jest całkowicie niewłaściwe i koniec. - Billy energicznie potrząsnęła głową. Czy Sasza ma chociaż blade pojęcie, co ścisła elita lekkiego przemysłu odzieżowego pomyślałaby o niej jako o nowej konkurentce wchodzącej do interesu z kapryśnym pomysłem Gigi? Przerzucając się ze „Scruples” na takie małe, choć czarujące przedsięwzięcie, stałaby się pośmiewiskiem. - Pójdźcie ze swoim pomysłem do jakiejś innej firmy. Mogę was obie wszędzie powprowadzać.

- Nie, dzięki, Billy - odezwała się pośpiesznie Gigi, zanim Sasza zdążyła coś powiedzieć.

- Z panem Jimmym to było co innego... Czułam się z nim bezpieczna, chociaż zgodziłam się na to dopiero po pewnym czasie, ale to był jego pomysł, nie mój. To on przyszedł do mnie. Nie chciałabym proponować czegoś tak specjalnego grupie obcych.

- Ja tak - powiedziała energicznie Sasza odganiając swego kota od pasztetu.

- Bo jesteś z rodziny Orloff - odparła obojętnym tonem Gigi.

- Gdybyś nie była taka smutna, potraktowałabym to jako obrazę - odrzekła Sasza. - Zakładam, że chcesz powiedzieć, iż jestem bardziej niż ty odporna na pecha, mam więcej hartu ducha i optymizmu.

- Jak chcesz.

- Złamana noga kiedyś wreszcie się wygoi, a ta Gatherum okazała się zdumiewająco przyzwoita, nawet jeśli przez pół godziny wrzeszczała na ciebie przez telefon. Przecież trzyma dla ciebie to miejsce.

- To dlatego, że nie może znaleźć nikogo lepszego, kto by chciał

pracować w jej wstrętnym i ohydny interesie - rzekła Gigi z niespodziewaną gwałtownością. - Sprzeczeki z klientami, którzy wymagają najlepszego i nie chcą za to płacić; kierowanie niczego nie podejrzewających klientów do najdroższych wypożyczalni i kwiaciarni, bo w ten sposób dostajemy więcej pieniędzy jako procent od ich rachunków; perfekcyjne hostessy z dziurami w sercach, których nigdy nie można zadowolić; nie kończące się szczegóły, papiery i słuchawka telefoniczna przy uchu; złośliwe plotki o innych organizatorach przyjęć usłyszane od kelnerów, którzy pracują dla nich wszystkich - wiadomo, że i o nas też muszą wszędzie plotkować; zasada, że bez względu na to, jak bardzo jest zmęczony pracownik kuchenny, nie wolno mu odpocząć. Czy wiedziałyście, że jeśli tylko się o coś oprą podczas chwilowej przerwy, to od razu ktoś ich zauważa i mówi: „Jeśli się możesz opierać, to możesz i posprzątać”? Zdarzyło mi się to na samym początku i nigdy tego nie zapomniałam. Nienawidzę całego śmierdzącego organizowania przyjęć, nie wiem, jak mogłam kiedyś myśleć, że chcę tam pracować, i niech mnie diabli, jeżeli tam wrócę! Wolałabym już dostać posadę kucharki przy jakiejś rodzinie.

Billy spojrzała na jej wyzywającą minę i powstrzymała się od komentarza. To może być tylko chwilowe odrzucenie, nic poważnego. Przecież w tej dziedzinie Gigi zrobiła już wspaniałe postępy. Przemawiało jej złamane serce, a nie ambicja.

- Przygnębienie i przeznaczenie, przeznaczenie i przygnębienie - mruknęła Sasza pałaszując pasztet. - Ależ paskudny okres świąteczny. Gdyby nie Marcel, udzieliłby mi się twój nastrój, ale Marcel jest szczęśliwym kotem. Miałam nadzieję, że znajdę jakąś pociechę w moich

katalogach, ale zawiódł mnie nawet nowy gwiazdkowy Neiman-Marcus... po raz kolejny. Dlaczego, u diabła, oni sądzą, że potrzebny mi elektroniczny rower podłączony do ogromnego telewizora, który pokazuje dwie godziny zaprogramowanego krajobrazu, żebym się nie nudziła pedałując - i to za dwadzieścia tysięcy dolarów żywą, amerykańską gotówką? To chyba nowa obniżka. Billy, czy widziałaś „ComRo 1”, którego proponowali w zeszłym roku? Nie? Wyobraź sobie dużego, paskudnego robota, który otwiera drzwi, wynosi śmieci, zamiata, podlewa kwiatki i wyprowadza psa - za jedyne piętnaście tysięcy dolarów! Za taką cenę sama mogę sobie otwierać drzwi, serdeczne dzięki! A spójrz tylko na to! Czternaście tysięcy dolarów za bluzę i spodnie od Galanosa!... Już wolę się nauczyć szyć! - Sasza z rozdrażnieniem wskazała nogą stertę zbieranych od lat gwiazdkowych katalogów. - Przynajmniej w przedostatnią Gwiazdkę Neiman oferował ślicznego strusia za jedyne półtora tysiąca, właściwie czysta okazja... jeśli przypadkiem mieszka się na farmie.

- Dlaczego je trzymasz, skoro tak cię złości? - spytała Billy z rozbawieniem i ciekawością. Nie знаła nikogo, kto by miał taki zbiór katalogów.

- Chyba dlatego, że tu są. To jakieś niezdrowe uzależnienie. Nie żebym wiele z nich zamawiała, kilka rzeczy dla moich ciotek, żeby zostać na ich listach. We wszystkich są takie same, oczywiste, łatwe do przewidzenia gwiazdkowe towary, czy to B. Altman, Bonwit, Sakowitz, Marshall Field, Jordan Marsh, Saks czy Bloomie - potwornie nieciekawe kostiumy i sukienki, zbyt puszyste bluzki, zbyt fantazyjne swetry, zbyt drogie futra - chwileczkę, mam tu absolutnie rosyjską sobolową pelerynę

od Barguzina za sto tysięcy, ani centa mniej, którą chętnie bym wzięła, aby ogrzała mi moje dzikie, rosyjskie serce, ale tylko wtedy, gdyby pan Marcus mi ją dał z miłości - potwornie nieciekawe sukienki i kostiumy, dokładnie to, co, jak można się spodziewać, każdy mężczyzna, który nie lubi robić zakupów zamówi dla swojej żony, córki lub siostry, ale nic, co kobieta kupiłaby sama dla siebie. Nic ekscytującego, tylko lekko zmieniona powtórka zeszłorocznego towaru, który znam na pamięć, sama nuda, nuda, nuda. Nic potrzebnego. I nic młodego!

- Po prostu nie jesteś osobą kupującą z katalogów - oznajmiła Billy. - Masz zbyt wiele własnego stylu.

- A mogłabym - powiedziała Sasza w zadumie. - Mogłabym. Każdy mógłby kupować z katalogów. No dobrze, ostatni Neiman jest lepszy niż inne domy towarowe - usiłują być inni... Coś jakbym marzyła o tym strusiu. Inne katalogi, z mniejszych domów towarowych, koncentrują się na bezpiecznej biżuterii, która nie zachwyci żadnej kobiety, czy na zegarkach - są miliony katalogów zegarków - albo na prezentach ze sklepów jak Tiffany czy Gump. Może powinnam być realistką i poprosić o katalog Searsa. Albo mogłabym się przeprowadzić w głąbę i dostać L.L. Beana. Problem w tym, że ja chcę, żeby katalogi mówiły o modzie. Jestem jeszcze na tyle naiwna, że czekam na nie cały rok, jakbym wierzyła, że tym razem wreszcie zostanę zaskoczona.

To żalosne, naprawdę żalosne.

- Może to jak dawanie sobie mnóstwa prezentów gwiazdkowych, za które nie trzeba płacić czy ich zwracać - podsunęła Gigi, usiłując jakoś zareagować na często słyszane zarzuty, ponieważ Sasza kartkowała z dezaprobatą swoje katalogi o dziwnych godzinach, nawet w kąpielni,

traktując je jak rodzaj literatury. Gigi czuła, że jest winna Saszy choć cień zainteresowania po swoich okropnych uwagach na temat pana Jimmy'ego. Jak może wyjawić Saszy prawdziwą przyczynę swego pesymizmu, prawdziwą przyczynę tego, że w nic już nie wierzy? Sasza kocha Zacha, a ona nie może stawiać jej w sytuacji, w której będzie musiała między nimi wybierać.

- Nie - odparła Sasza między kęsami kurczaka i cykorii. Billy słuchała z zainteresowaniem.

- To chyba nie to. Czytanie katalogów, mimo że zawsze rozczarowują, to raczej jak chodzenie po zakupy, kiedy nie ma się wystarczająco dużo czasu, żeby tracić go w zatłoczonym sklepie, czy też pieniędzy na lekkomyślne wydatki. Zasadniczo jest to chyba podróż wyobraźni. Tania sensacja. Widzisz, wszystkie te towary z katalogów są zwykle osiągalne - to nie jest magazyn mody, gdzie pokazuje się stroje, których nie ma jeszcze w sklepach. Z katalogiem wystarczy tylko zadzwonić pod bezpłatny numer i wszystko, co chcę, jest moje - więc nawet jeśli tego nie chcę i nie stać mnie na to, mogę być niemożliwie kapryśna i nie czuć na sobie wściekłego wzroku sprzedawczyni. Mogę odrzucić diamentowy naszyjnik i któregoś z tych chińskich ptaków za prawie pięćset dolarów, a także torebkę od Vuittona i trzydzieści różnych szlafroków z weluru, które wyglądają tak samo - i mogę czuć, że jestem ponad pokusy. To prawdopodobnie usiłuje się rozwinąć zakonna, niekonsumencka strona mojej osobowości. W przyszłym roku wyrzucę wszystkie, nawet ich nie otwierając, bo nie będzie w nich nic nowego.

- Mogę się założyć, że tego nie zrobisz - rzekła posepnie Gigi.

- Masz rację... Jak powiedziałam, jestem optymistką. Nie

chciałabym być ostatnią osobą w moim kwartale, która dowie się o nowym prezencie Dla Niego-Dla Niej Neimana-Marcusa z 1983 roku. I dlaczego nie jest to prezent Dla Niej-Dla Niego?

- Czy większość twojej fascynacji bierze się z ciekawości? - spytała Billy.

- Na początku, kiedy przychodzą, tak, ale spójrz, jak niektóre z nich są postrzępione... można by pomyśleć, że to książeczki dla dzieci... przysięgam, że znam je na pamięć. To pewnie jakaś skaza w charakterze, ale przynajmniej dzielę ją z mnóstwem innych ludzi. Billy, tutaj jest ten dom, o którym wspominałam, że zastanawiam się nad jego kupnem. - Sasza podała Billy gwiazdkowy katalog Neimana na 1982 rok, a Gigi spojrzała na zdjęcie Plantacji Hanalei w Kauai, ogromny kawał ziemi położony nad błękitnoszmaragdową zatoką, która służyła za plener w filmie Południowy Pacyfik.

- Jaki dom? - zastanawiała się Billy. - To widok z lotu ptaka, tu są dziesiątki mil.

- Przeczytaj! Na samym dole strony jest napisane, że budują tu umeblowane mieszkania z tym, co nazywają widokiem na „balijskie” zachody słońca. Czy to nie wspaniałe? - W głosie Saszy wyraźnie dawało się wyczuć instynkt posiadania.

- Poczynając od miliona dwustu tysięcy? Czy to nie...?

- Drogie? No to co? Marzenia nie zrujnują Saszy Nevsky. Mark Twain powiedział, że jeszcze nigdy książka nie zniszczyła żadnej dziewczyny. Ponieważ nie zamierzam kupić podkolanówek z dzwoneczkami ani torebki z węża biczowatego - wąż biczowaty? brzmi to perwersyjnie - to mogę także nie kupić tego mieszkania. Mam większą

zabawę nie kupując go. Czuję się wtedy bogatsza.

- Chyba zaczynam rozumieć, a może jestem coraz bardziej zdezorientowana - roześmiała się Billy. Sasza była tak ożywiona, że Billy nie rozumiała, dlaczego Gigi nie wygląda choć trochę weselej.

- Spójrz na to, Billy - powiedziała Sasza wymachując katalogiem B. Altmana. - Jest tutaj suknia dla pani domu za ponad czterysta dolarów - tylko dwa kawałki czystego jedwabiu, dwa rękawy, trochę marszczenia i haftu przy szyi, a ponieważ jest napisane „made in India”, wiadomo, że robocizna była tania. Uchodzi im na sucho morderstwo.

- Ponad czterysta? Pokaż - poprosiła Gigi. - Och, jaka okropna... może to przez to zdjęcie. - Przyjrzała się uważnie zdjęciu. Po raz pierwszy od powrotu do domu z nogą w gipsie twarz Gigi się ożywiła.

- Może to przez ten styl - odparła kwaśno Sasza.

- Może... - zaczęła Gigi. - Nieważne.

- Co może? - Billy chciała znać ciąg dalszy. - No, Gigi, co może?

- No... a może... a może by tak... może rzeczywiście zebrać całą kolekcję, tak jak miałam to zrobić dla pana Jimmy'ego, dać ją do zreprodukowania i sprzedawać... przez katalog? Nie, to straszny pomysł. Ja? Katalog? Nie mam zielonego pojęcia o katalogach.

- Oczywiście, że masz - sprzeciwiła się Sasza. - Mam wszystkie porządne katalogi wydane w ostatnich pięciu latach, a ty przeglądałaś je ze mną kartka po kartce, Gigi Orsini, wiele z nich nawet po dwa razy.

- To prawda, ale one wszystkie są takie duże, wymyślne i tylko na Gwiazdkę. Moja bielizna różni się od tego, do czego kobiety są przyzwyczajone, a ja mam na sprzedaż tylko bieliznę, bez tych wszystkich innych rzeczy - szwarcu, mydła i powidł a oraz okularów

przeciwsłonecznych dla psów. Do zapełnienia katalogu nie wystarczy sama bielizna. Na każdej stronie musi być tona towaru.

- Chyba Gigi ma rację, Sasza - odezwała się Billy.

- Potrzeba mnóstwo towaru i dobrej nazwy. Każdy z tych katalogów pochodzi ze słynnego sklepu; ludzie z nich zamawiają, bo na paczuszce z prezentem widnieje natychmiast rozpoznawalna nazwa: pochodzi z miejsca, które według nich ma prestiż, jak Neiman czy Tiffany. Nikt nie słyszał o Gigi Orsini... przynajmniej na razie.

- Chwileczkę, Billy, pomyśl o tym, co sama przed chwilą powiedziałaś o rozpoznawalnej nazwie. - Gigi nagle się ożywiła. - Masz całkowitą rację, potrzeba do tego prestiżu, to jest klucz. Billy, co ze „Scruples”?

- „Scruples”? - powiedziała obojętnie Billy. - O czym ty mówisz?

- „Scruples” - katalog „Scruples”!

- Och, daj spokój, Gigi! - odrzekła Billy urażonym tonem.

- „Scruples” był najbardziej ekskluzywnym sklepem specjalistycznym na świecie. „Scruples” nigdy, przenigdy nie wypuściłby katalogu! Nie pozwoliłabym na to nawet za milion lat. W każdym razie „Scruples” już nie istnieje. Nie, absolutnie nie!

- Ale posłuchaj, Billy, właśnie o to chodzi, nie ma już sklepów, ale nazwa, reputacja i aura „Scruples” nic nie straciły ze swej siły. Dopiero minęło... ile?... nawet nie dwa lata... mogłabyś wszystko przywrócić, ale w innej formie... pierwszy naprawdę wielki katalog mody!

- Och, Gigi, czy masz pojęcie, jak byliśmy kosztowni? - powiedziała zirytowana już Billy.

- W Beverly Hills, Nowym Jorku i Chicago było wystarczająco dużo

bogatyh kobiet, aby utrzymać trzy sklepy, nie wielkie domy towarowe, ale duże sklepy usytuowane w centrum zamożnych dzielnic. Inne sklepy znajdowały się za granicą. Większość ludzi nie ma takiej ilości pieniędzy, żeby mogli kupować w „Scruples”, a ci, którzy je mają, z całą pewnością nie kupują przez pocztę! Sprzedaż wysyłkowa! Nawet gdyby mi się ten pomysł podobał... a muszę powiedzieć, że absolutnie tak nie jest... nigdy nie mogłabyś sprzedawać strojów tak drogie jak stroje ze „Scruples” bez przymierzalni, idealnych poprawek i osobistej troski - nie, nic z tego, tego się po prostu nie da zrobić.

- A gdyby ubrania nie były tak drogie? - Gigi trwała przy swoim. - Gdyby można było sobie na nie pozwolić?

- Wtedy nie odzwierciedlałyby „Scruples”. To poza wszelką dyskusją. - Billy mówiła z gniewem. Gigi po prostu nie ma pojęcia, dlaczego pomysł z katalogiem „Scruples” atakuje i niszczy jej wspomnienia o doskonałym sklepie, wspaniałym, wyjątkowym sklepie, który stworzyła wyłącznie dla własnej satysfakcji, o marzeniu, które na zawsze się skończyło.

- Billy - powiedziała Gigi napiętym głosem - „Scruples” miał dwie koncepcje, zanim się udało... pamiętasz, jak mi mówiłaś, że zaczęłaś od jednej: przenieść elegancję Diora do Beverly Hills, a potem Spider zmienił ją w Disneyland dla dorosłych? Dlaczego nie miałybyś znów jej zmienić? Przyjąć umiarkowanie kosztowną koncepcję, ale równie gustowną? Nazwij katalog „Scruples II”, żeby ludzie nie myśleli, że to to samo... byłyby w nim stroje gustowne, dobrej jakości, we własnym stylu, pełne młodości, czego domaga się Sasza...

- I nie musiałby przychodzić tylko na Gwiazdkę, jak wszystkie inne

katalogi - przerwała zelektryzowana Sasza.

- Nie musiałyby zawierać tych wszystkich prezencisk, mógłby przychodzić dwa, a może nawet cztery razy w roku, tak jak sklepy zmieniają sezonowo towar. Och, Billy, to dałoby się zrobić! Ja jestem twoją klientką, Gigi jest twoją klientką, mogłoby się okazać, że nawet ty jesteś swoją własną klientką!

- „Scruples II” - powiedziała Gigi. - Już sama nazwa sugeruje różnicę. Ta dwójka mówi, że nie próbuje być jak ten pierwszy sklep, że jest samodzielny. - Chwyliła kule i wstała, żeby przynieść kserokopie swoich kartek. - Spójrz, Billy, mógłby być w nim dział mojej dawnej bielizny, a te kartki służyłyby za tekst. Przeczytaj je, Billy. Cholera, gdybym musiała, to mogłabym napisać tekst do całego katalogu, prawda, Sasza? Czy to byłoby bardzo trudne? Ja nie mogłabym zatrudnić projektantów ani wytwórców towaru, ale ty, Billy, tak. Sasza mogłaby pomagać i... och, Billy! Musisz się zgodzić!

- Nie.

- Nie? - powtórzyła odruchowo Gigi. Wiedziała, że jeśli Billy mówi „nie”, to mówi to poważnie.

- Nie, i naprawdę wolałabym zmienić temat. - Billy wstała z podłogi, na której siedziała jedząc lunch przy stoliku do kawy. Prawie się trzęsła z wściekłości, którą chciała ukryć przed dziewczętami, z wściekłości, której sama sobie nie potrafiła wytłumaczyć. - Umówiłam się dziś po południu z fryzjerem i już jestem spóźniona. Gigi, w dalszym ciągu nic nie zjadłaś. Zadzwoń później. - Włożyła pośpiesznie swoje obszerne futro z nerek i po kilku sekundach drzwi frontowe zamknęły się za nią.

- Czy to ja coś powiedziałam? - spytała Sasza.

- Chyba powiedziałyśmy obie - odparła Gigi. - Kiedy ostatnim razem widziałam ją tak wściekłą, rozwiodła się z moim ojcem.

* * *

- Czy coś się stało, pani Ikehorn? - zaniepokojony Louis, fryzjer Billy, zmusił się w końcu do zadania pytania. Przez dziesięć minut po tym, jak skończył strzyżenie i suszenie jej wilgotnych włosów, siedziała sztywno w fotelu patrząc prosto w lustro z kamienną twarzą, bez jednego słowa. Billy wzdrygnęła się. - Ach. Nie, Louis, to najlepsza fryzura, jaką miałam od lat. Myślałam tylko o czymś... świąteczne zakupy...

- Och, niech pani nie wymawia tych słów, pani Ikehorn, proszę nie wymawiać tych strasznych słów - powiedział błagalnym tonem. - Ja jeszcze nie zacząłem. Wygląda pani wspaniale. Oszłamiająco. Powiedziałbym, że o dziesięć lat młodziej, może dwanaście. Nie wolno pani zapuszczać takich długich włosów. Ci paryscy fryzjerzy - co się z nimi stało? Wróciła pani akurat na czas, jeszcze jeden milimetr i straciłaby pani swój szczególny wygląd. Dwa tygodnie, pani Ikehorn, tylko dwa tygodnie między strzyżeniami, obiecuje pani?

- Obiecuje, Louis. Dziękuję. Do zobaczenia za dwa tygodnie.

Limuzyna Billy czekała na nią przed salonem. Wróciła do hotelu w ponurym milczeniu, lecz pod wpływem zabiegów Louisa nad zaniedbaną głową jej gniew nieco złagodniał. Pomyślała, że najlepsze nawet strzyżenie nie może osłabić jej wściekłości. Jakim prawem te dwie młode idiotki mogą wyobrażać sobie „Scruples” w formie katalogu? Kto w ogóle czyta katalogi? Kiedy przychodzą pocztą, wyrzuca się je do śmieci... Jak modelka od majtek i niezadowolona organizatorka przyjęć, które mają właśnie wylecieć z pracy, mogły być tak niewiarygodnie bezczelne, żeby

zapropnować wykorzystanie nazwy „Scruples” do uświetnienia katalogu umiarkowanie drogich ubrań? To obrzydliwe, jak taniec na grobie, nieprzyzwoite!

Pogrążona w myślach, Billy wkroczyła do hotelu i poprosiła o swój klucz.

- Pani Ikehorn - powiedział portier - od trzech godzin czeka na panią jakiś dżentelmen.

- Nie pamiętam, żebym się z kimś umawiała.

- Jest tam, pani Ikehorn. - Billy odwróciła się w stronę wskazanego przez portiera mężczyzny siedzącego w holu. Natychmiast wstał i podszedł do niej.

- Pani Ikehorn?

- Tak?

- Jestem Zach Nevsky.

- I co, spodziewa się pan, że panu pogratuluje?

- Bardzo panią proszę, pani Ikehorn, jest pani jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać.

- Dlaczego kobieta zdrowa na umyśle miałaby chcieć z panem rozmawiać? - spytała Billy.

- Bo nie mogę się spodziewać, że wysłucha mnie ktoś inny, a muszę z kimś porozmawiać.

- Dlaczego miałyby mnie choć trochę obchodzić pańskie problemy?

- Bo jest pani macochą Gigi i jej opiekunką - upierał się Zach.

- Nie wiem, co to ma do rzeczy. Gigi od lat nie ma legalnego opiekuna. Ale proszę na górę, wysłucham pana, bo jestem ciekawa, i to jest jedyny powód. Zwykle zainteresowanie postępowaniem łajdaków

takich, jak pan. W tym roku zbieram wszy.

W salonie apartamentu Zach opowiedział Billy jednym tchem całą historię dnia spędzonego na górze z Gigi.

- Kiedy wróciliśmy do chaty, zostałem w swoim pokoju. Powiedziałem jej, że tam jestem, i zostawiłem otwarte drzwi, żeby ją usłyszeć, gdyby czegoś potrzebowała. Musiałem być wykończony, absolutnie wykończony, bo zasnąłem, w pokoju było gorąco, a nie mogłem otworzyć okna, i kiedy się obudziłem, znajdowałem się, hmm... w układzie seksualnym z Pandorą.

- W układzie seksualnym? - zapytała surowo Billy. - A co to ma znaczyć? Zach spuścił wzrok na swoje buty.

- Leżałem na plecach i, no... podczas mego snu miało miejsce pobudzenie genitalne i Pandora była... była... albo raczej ja byłem z nią w pozycji, w której już nastąpiło wniknięcie. - Zacisnął pięści, starając się mówić opanowanym głosem. Nick potrafiłby zrobić to lepiej. Każdy by potrafił.

- „Wniknięcie”? Czy mógłbyś to opisać? - zapytała sucho Billy.

- Mój... narząd męski tkwił w jej ciele. Ona znajdowała się nade mną. Nie wiem, jak do tego doszło, i dopóki się nie obudziłem, nie zdawałem sobie z tego sprawy, że między jej i moimi genitaliami odbywał się ruch.

- Ruch?

- Ruch w przód i w tył oraz w górę i w dół, który zaczął się podczas mego snu. Brałem dalej w nim udział, bo znalazłem się w znacznie pobudzonym stanie... krańcowego nabrzmienia... i... to nieważne, to nie jest usprawiedliwienie, ale chodzi o to, że wykonywałem ruchy nie

wycofując się aż do chwili wytrysku. Dopiero potem zdałem sobie sprawę, że Gigi na to patrzy.

- Niech ja to dokładnie zrozumieć - rzekła Billy. - Mówiąc zwykłymi słowami, Gigi weszła do pokoju i przyłapała cię na niewinnym pieprzeniu się z Pandorą?

Zach podniósł wzrok. Był mocno zarumieniony.

- Mówiąc zwykłymi słowami, właśnie tak się stało. Ale Pandora zaczęła, kiedy spałem.

- Ale ty skończyłeś już na jawie? Doskonale wiedziałeś, kim jest Pandora, nie śniło ci się to?

- Wiedziałem i nie spałem. Nie przestałem, bo nie mogłem. Wiem, że to nie jest usprawiedliwienie. Ale ja nie chciałem jej przelecieć, to znaczy w tej szczególnej chwili nie chciałem przerywać, lecz nigdy nie szukałbym do tego okazji. To ona zaczęła się ze mną pieprzyć. Jezu, mówię jak mały chłopczyk. „To on uderzył mnie pierwszy, mamó, on zaczął”, ale to prawda.

- Hmm. - Billy wstała, podeszła do okna i wyjrzała na Piątą Aleję znajdującą się nisko w dole. Nie chciała, żeby zobaczył, jak próbuje się nie śmiać. Z całej siły starała się stłumić wzbierający chichot, przygryzając wargi i próbując pomnożyć dziewięć przez siedem, co zwykle pomagało.

- Ale czy może mi pani uwierzyć? - spytał Zach, nie mogąc wytrzymać jej milczenia.

- To dziwne, ale mogę.

- Może pani! - Zach wstał przewracając krzesło. - Dzięki Bogu! Bałem się, że nigdy nie znajdę nikogo, kto by mnie zrozumiał.

- Pandora przypomina mi kogoś, kogo znałam dawno temu -

powiedziała Billy, wspominając dom z basenem, gdzie podczas ostatnich lat długiej walki Ellisa Ikehorna ze śmiercią spędziła tyle popołudni z kolejnymi mężczyznami. Drapieżna Pandora była naprawdę cnotliwa w porównaniu z tym, jak ona sama wtedy się zachowywała.

- Czy to jedyny powód, dla którego mi pani wierzy? - chciał wiedzieć Zach.

- Nie, Zach. Może jestem jasnowidząca i potrafię czytać w twoich myślach, a może wyglądasz jak mężczyzna, który naprawdę kocha Gigi... I dlatego uważam, że kiedy ktoś niechcący krzywdzi ukochaną osobę, nie rozumiejąc dokładnie, co robi, to powinno się przechylić szalę na jego korzyść. Twoja opowieść nie jest tak dziwna, jak... to, co słyszałam niedawno.

- Czy porozmawia pani z Gigi w moim imieniu? - zapytał z niepokojem.

- Nie sądzę, aby to pomogło, przynajmniej nie teraz. Gigi nie ma mojego doświadczenia życiowego, jest za bardzo załamana, żeby wysłuchać czegoś tak nieprawdopodobnego jak twoja historia, nie uwierzy w nią. Co więcej, świadomość, że omawialiśmy te sprawy za jej plecami mogłaby przynieść odwrotny skutek. Daj jej trochę czasu. Przynajmniej wiesz, że ci uwierzyłam, a ja w odpowiedniej chwili powiem to Gigi. Daj jej trochę wytchnienia. Teraz sprawa jest tak pogmatwana, że nie chcę w nią wkraczać.

- Jest pani pewna?

- Całkowicie.

Zach odwrócił się. Przygasł. Co z tego, że mu uwierzyła, skoro nie powie tego Gigi?

- Proszę posłuchać, pani Ikehorn - powiedział odwracając się z powrotem do Billy - znam Gigi tak dobrze, że nie chcę wierzyć, by nie spróbowała przynajmniej być dla mnie sprawiedliwa. Oczywiście rozumiem, że nie chce się pani angażować, przynajmniej nie teraz, ale zrobiłaby pani taką wielką rzecz, taki dobry uczynek! Ona mnie kocha, ja to wiem, i Bóg jeden wie, że ja ją też Kocham. Czy nie mogłaby pani zaryzykować? Nie może pani wiedzieć, że przyniesie to odwrotne rezultaty, skoro nawet pani nie próbuje, a co ma pani do stracenia?

- Zach, teraz doskonale rozumiem, jak namówiłeś Gigi do wjechania na górę - powiedziała Billy, stanowczo potrząsając głową. - Ale ja jestem twardszym orzechem do zgryzienia. Jeśli jesteś taki pewien, to sam do niej idź. Z nogą w gipsie nie może od ciebie uciec.

- Zasłużyłem na to.

- Dlatego to powiedziałam. Do widzenia, Zach. Do następnego spotkania.

Billy zamknęła za nim drzwi do apartamentu. Sasza powiedziała, że nie było żadnego dotykania. Żadnego dotykania? Z tym facetem? Czy zanim pošle Gigi do domu wariatów, powinna zapisać ją na komisyjne badanie przez trzech psychiatrów, czy też trzeba to po prostu uznać za dziwaczny nowy bzik, jak połykanie złotych rybek? Nie, to nie mogła być chwilowa moda, bo na połykanie złotych rybek mogłaby się zdobyć nawet ona, gdyby się założyła, była kompletnie pijana i gdyby nalegała na nią banda radosnych połykaczy złotych rybek... ale nawet nie dotknąć?

Powodowana impulsem Billy podeszła do telefonu i wykręciła numer Josha Hillmana. Czas go zawiadomić, że wróciła do Stanów. Po całodniowej diecie złożonej z Gigi, Saszy i Zacha czuła potrzebę rozmowy

z kimś ustabilizowanym, mądrym i znajdującym się już bezpiecznie po drugiej stronie zamętu, wypaczonego entuzjazmu i nieporozumień ludzi absurdalnie młodych. Może ludzie dorośli nie powinni próbować zrozumieć dzieci, które nie przekroczyły trzydziestu lat. Może jednak jest coś w retoryce lat sześćdziesiątych. Jak to: „Nigdy nie wierz nikomu, kto nie skończył trzydziestki”.

* * *

Następnego popołudnia, jeszcze zaskoczona swoją szybką decyzją, Billy wysiadła w Los Angeles z pierwszego samolotu, jaki rankiem wylatywał z Nowego Jorku. Nie powiedziała Joshowi, że przyjeżdża, nie zadzwoniła nawet do Josie, żeby poprosić ją o przysłanie samochodu z kierowcą. Kiedy zeszłej nocy skończyła gawędzić z Joshem, owładnęło ją uczucie, że chce wyskoczyć do Los Angeles i szybko się rozejrzeć, znów wczuć się w panującą tam atmosferę. Kiedy przebywa się z dala od Kalifornii, ma się skłonność do zapominania o jej istnieniu, szczególnie jeśli ugrzęzło się w nowojorskiej melasie czy próbuje się dać sobie radę z Paryżem.

Kiedy taksówka wyjeżdżała z lotniska do hotelu w Bel Air i Billy zobaczyła pierwsze mizerne palmy rosnące w blasku słońca przy autostradzie, poczuła, jak coś w jej sercu przyjemnie się odblokowuje. Tak naprawdę to nie znosiła palm. Tak miło zobaczyć te idiotycznie wyglądające drzewa, tak miło przyjechać do miejsca, w którym rośnie tyle drzew zielonych przez cały rok, że można sobie pozwolić, by niektórych z nich w ogóle nie lubić. Przez całą zimę nie widziała nic zielonego oprócz własnego ogrodu na ulicy Vaneau, ale drzewa zasadzone tam tak starannie nie miały w sobie tej prawdziwej zieloności co drzewa kalifornijskie. Były

za ciemne, o wiele za ciemne, właściwie ponure, w dodatku przez trzy czwarte roku widać było, jak z ich posepnych gałęzi skapuje deszcz. Dlaczego nikt nigdy nie przyznał, że poza lipcem i sierpniem, kiedy umiera się z gorąca, w Paryżu prawie zawsze pada?

W hotelu Billy przebrała się w zimowy biały, wełniany kostium, chwyciła szkarłatny kaszmirowy szalik - cały hotel był udekorowany na Boże Narodzenie i równie dobrze ona też może poddać się tej atmosferze - i poprosiła recepcję o załatwienie jej samochodu z kierowcą.

- Dokąd, proszę pani? - spytał kierowca jadąc wzdłuż Stone Canyon Road.

- Proszę trochę skręcić, pojechać w prawo i jechać pod górę, tam, gdzie jest najładniej - powiedziała Billy wiedząc, że w Bel Air można się zgubić na wiele godzin, nawet jeśli się tam mieszka od lat.

- Jest pani tutaj pierwszy raz?

- Tak, zwiedzam. Ale proszę mi niczego nie objaśniać, chcę zobaczyć miasto nic o nim nie wiedząc.

- Świeżym okiem.

- Właśnie.

Po piętnastu minutach bezcelowego wyglądania przez okno i wdychania ciepłego, wonnego powietrza, Billy podjęła decyzję. Wyjęła z portfela karteczkę, na której zapisała informację otrzymaną od Josha. Podała ją kierowcy. - Czy mógłby mnie pan zawieźć pod ten numer na Mandeville Canyon?

- Oczywiście, proszę pani. - Samochód skręcił i pojechał w dół do Bulwaru Zachodzącego Słońca, gdzie opuścił teren Bel Air i ruszył w kierunku oceanu.

Limuzyna zatrzymała się przed nowoczesnym budynkiem położonym tak wysoko na krawędzi kanionu, że rozciągał się z niego niczym nie ograniczony widok na daleki Pacyfik. Billy bez wahania podeszła do drzwi frontowych i zadzwoniła. Usłyszała okrzyk: „Idę!” i po kilku sekundach drzwi stanęły otworem.

- Cześć, Spider - powiedziała.

„Peppone” była autentycznie staromodną włoską restauracją, której trudno było się spodziewać w Kalifornii. Obicia krzeseł pokrywała wysłużona skóra, wszędzie panował niepodzielnie blask świec i ciemne drewno, przytulnego półmroku nie przebijał ani jeden promień słońca. Restauracja była oazą wciśniętą w róg starej ulicy sklepowej w Barrington Place, pomiędzy nowo wynajętym przez Spidera domem a Bel Air. Sącząc drinka Billy wspominała, jak kilka godzin temu Spider otworzył drzwi, podniósł ją w górę z głośnym okrzykiem radości i tak mocno uściskał, że wydawało się jej, że jeszcze czuje, jak trzeszcza jej kości. Zanim w końcu postawił ją na ziemi, zawirował z nią po pokoju i ucałował w oba policzki.

- Czuję się bardzo dziwnie - zauważyła obserwując zabieganych kelnerów omawiających specjalności dnia z licznymi gośćmi. - To przedziwna sprawa, Spider, niezupełnie tu jestem, ale na pewno nie jestem też gdzie indziej... wszystko mi się wywróciło do góry nogami.

- Według czasu nowojorskiego - wyliczył Spider - jest dziesiąta wieczorem, a w Paryżu jest o sześć godzin później, co daje nam czwartą rano. Jesteś z powrotem w Stanach dopiero pięć dni, więc jeszcze nie przestawiłaś się na tutejszy czas, a sprawę pogarsza jeszcze podróż tutaj. Teraz będziesz jadła kolację, a byłaś już przyzwyczajona o tej porze się budzić.

- Spider, ty rzeczywiście rozsądnie mówisz. Nigdy nie myślałam o przystosowaniu się do innego czasu... to są skutki zbyt długiego trwania w jednym miejscu. Tak muszą się czuć ludzie w kosmosie. Od czasu przyjazdu do Los Angeles czuję się tak, jakbym była w stanie nieważkości.

- Chyba potrzebujesz tego drinka, Billy. Może pomoże ci on wylądować i uzmysłowi twemu organizmowi, że jest prawie pora na kolację. Potem obejrzymy sobie menu, ale jeszcze nie teraz. Ciagle próbuję wrócić do siebie po tym, jak otworzyłem drzwi i zobaczyłem ciebie. Spodziewałem się posłańca z pralni, a tu stoisz ty jak duch nadchodzących świąt. Kiedy wróciłem w zeszłym tygodniu, od razu zadzwoniłem do Josha, żeby się dowiedzieć, gdzie jesteś. Potem, kiedy zadzwoniłem do Ritza, nie wiedzieli, dokąd wyjechałaś, więc pomyślałem, że zrobiłaś sobie ferie. Jakoś wyobrażałem sobie ciebie pod palmami w Marakeszu z tym facetem u stóp.

- Nic podobnego.

Billy spojrzała przelotnie na Spidera. Od początku spotkania rzucała ukradkowe spojrzenia na jego twarz, usiłując dociec, co się w nim zmieniło. Nawet w półmroku panującym w „Peppone” Spider wyglądał jak dawny wiking. Jego włosy, wyblakłe od słońca, były jaśniejsze niż zwykle, lecz widniały w nich liczne siwe pasemka, szczególnie na skroniach. Na mocno opalonej twarzy pojawiły się nowe bruzdy. Był szczuplejszy niż kiedykolwiek, nie wychudły, lecz muskularny, jakby nie miał ani jednego zbędnego grama tłuszczu i promieniował zdrowiem. Sprawiał wrażenie, że pachnie morzem, smołą, linami, mgłą i rześkim wiatrem.

Ale to nie te widoczne i łatwe do przewidzenia zmiany skupiały na sobie uwagę Billy, lecz coś głębszego, zniknięcie jakiejś cechy, którą Billy zawsze brała pod uwagę w swym podejściu do Spidera. Od chwili gdy zobaczyła go po raz pierwszy, wyglądał dokładnie tak, jak typowy kalifornijski złoty chłopak, więc nigdy nie potrafiła traktować go

całkowicie poważnie. Połączenie jego włosów i błękitnych oczu zawsze dziwnie ją irytowało. Mimo swej oczywistości efekt był tak oszałamiająco wspaniały, że nie powinna na niego zwrócić uwagi żadna inteligentna kobieta. Za każdą jej myślą poświęconą Spiderowi ukrywał się podświadomy obraz następującej treści: Spider rzuca aktualne zajęcie i idzie na plażę z deską surfingową, zaabsorbowany złapaniem doskonałej fali. Ten żywy, choć wyimaginowany obraz rzutował na całe jej postrzeganie Spidera wbrew faktowi, że nigdy nie słyszała, aby uprawiał surfing.

Szufladka, w jakiej więziła go całymi latami, nagle się rozpadła. Teraz w jego charakterze pojawiły się siła i powaga, których nie można było nie dostrzec. Zawsze był twardy, bezkompromisowy i uczciwy, lecz teraz owe cechy, które uznawała za rzecz naturalną, skryształizowały się w nową dla niej emocjonalną całość. Zachował swój nieodparty, pogański urok - Spider nadal był wolnym duchem, który nigdy nie dałby się umieścić w świecie ograniczonym godzinami: dziewiątą rano i piątą po południu, nie poddałby się rutynie czy jakiegokolwiek systemowi myślenia innemu niż pochodzącemu z własnego wyboru. Był mężczyzną, który prawie od dzieciństwa unikał więzów codzienności, przyziemności, mężczyzną, który zawsze wytyczał sobie własną ścieżkę, nie przejmując się, co o nim myślą inni. Swobodnie przyznawał się do źle spędzonej młodości i Billy uważała, że tak naprawdę Spider jeszcze nie dorósł.

Teraz była w pełni świadoma, że Spider nie jest już tym zmysłowym, prawie beztroskim, zadowolonym z życia uwodzicielem rządzącym cieplarnianym światem „Scruples” - dyktatorskim, kochającym Pigmalionem dla setek kobiet. Całymi latami Spider przyjmował

wszystkie dobrodziejstwa życia z pewną wrodzoną niewinnością i wielką przyjemnością. Wydawało się, że od świata oczekuje jedynie radości. Teraz jego uśmiech był już mądry i nacechowany doświadczeniem. Nie smutny, pomyślała Billy, nie gorzki, po prostu już nie wyczekujący. Uświadomiwszy to sobie, Billy poczuła pod powiekami łzy, chociaż to nie fakt, że Spider Elliott stał się w końcu zupełnie dorosły, był powodem smutku.

- Jak tam dom? - spytał Spider. - Czy utrzymywano go zgodnie z twoimi zaleceniami, czy też na grządce z kapustą rozgościły się chwasty?

- Mój dom? Czy uwierzysz, że nawet nie przyszło mi do głowy, by tam pojechać? A teraz nie mam czasu. Chyba jutro wrócę do Nowego Jorku.

- O nie, nie ma mowy! Nie widziałem cię prawie dwa lata i nigdzie nie pojedziesz, dopóki się nie dowiem, co się z tobą dzieje. Korespondowanie z tobą to jak wkładanie listów do butelek, wrzucanie ich do oceanu i obserwowanie, jak znikają za horyzontem.

- Mówisz o tych dwóch listach? Czy to jest twoje wyobrażenie o korespondencji?

- Owszem. Jak na mnie, to obszerna korespondencja - i były to długie listy. Gdzie byłaś poza Paryżem?

- Nigdzie. Byłam tam cały czas, oprócz Bożego Narodzenia w pierwszym roku, kiedy poleciałam do Nowego Jorku zobaczyć się z Gigi.

- No więc, kim jest ten szczęśliwy sukinsyn?

Billy zamrugała, odwróciła się nieco, żeby wziąć kawałek chleba, i ugryzła go, żeby zyskać na czasie. Cholera! Była zbyt zajęta odgadywaniem zmian, jakie zaszły w Spiderze, aby pamiętać, jak on jest

niebezpiecznie wrażliwy na kobiecą osobowość, jak dokładnie jest zestrojony z każdą żeńską istotą. Cholerny odgadywacz myśli. Jest stanowczo zbyt spostrzegawczy, z pewnością za bardzo spostrzegawczy, aby czuła się podczas tego spotkania swobodnie.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła spokojnie.

- Facet, z którym się związałaś w Paryżu. Domyślałam się, że nieszczęśliwie, bo inaczej nie zostawiłabyś go samego tuż przed Gwiazdką, chyba że jest żonaty i ma rodzinne Noel.

- Spider, zawsze wyciągałeś pochopne wnioski - odpowiedziała mu gładko Billy. - Dlaczego musi być jakiś facet? Czy Paryż, samo miasto, nie wystarczy, aby przez kilka lat kogoś fascynować? Wyjaśniłam już, że byłam zajęta odnawianiem domu.

- Jasne, Billy, tylko że nie istnieje dom, który potrafiłby przykuć cię do jednego miejsca na tak długo, nawet La Ville Lumiere. Nie zapominaj, że znam panią Ikehorn. Uważam, że jest absolutnie niemożliwe - w ogóle niezgodne z prawami przyrody - że przez dwa lata mogłabyś być samotna w Paryżu, tym bardziej że po powrocie wyglądasz... cholera, zawsze byłaś diabelnie piękną babką, a teraz wyglądasz jakbyś była bardziej... ożywiona?... rozbudzona?... Jest w tobie coś innego, coś mniej królewskiego, mniej... groźnego, bardziej kobiecego, kruchego, miękkiego, nawet... Tak, możesz mnie za to zastrzelić, ale jest w tobie jakaś słodycz, jesteś mniej szefem, a bardziej damą... wspaniałą damą. Och, musi ktoś być, widzę to po twoich oczach, ale nie mów mi o tym, opowiedz Dolly, Jessie, Josie, Gigi czy Saszy jak-jej-tam - opowiedz kobiecie, dlaczego miałabyś się zwierzać mężczyźnie, nawet jeśli jest on jednym z twoich najlepszych przyjaciół. On i tak nigdy nie zrozumie, tak?

- Jak chcesz. - Billy wzruszyła ramionami zachowując spokój, nie dając się sprowokować.

- Ale dlaczego ciągle nazywasz mnie „babką” i „dama”, Spider? W ostatnim liście nazwałeś mnie „lodowatą suką” - czy tak o mnie myślisz?

- To przyzwyczajenie, może nie takie złe, które pomaga ostro widzieć różne sprawy. Kiedy przyjechaliśmy z Valentine pracować dla ciebie, śmiertelnie się ciebie bała, bo miałaś taki majątek. Bała się twojej władzy, odebrania tej wielkiej szansy, jaką nam dałaś. Pamiętam, jak pewnego wieczora, zanim udało nam się przekonać cię do naszego punktu widzenia, musiałem jej bardzo wyraźnie dać do zrozumienia, że bez względu na to, ile masz setek milionów dolarów, ważne jest tylko to, że też jesteś kobietą, wcale nie różniącą się od wszystkich innych kobiet na świecie. Byłaś wymagająca - owszem, twarda - owszem, niemożliwa - absolutnie, ale rządziły tobą te same potrzeby, zmartwienia i emocje, co wszystkimi innymi kobietami. W końcu udało mi się przekonać Valentine, że samo posiadanie pieniędzy nie zmieniło cię w Marię Antoninę, którą - jak pamiętam - znakomicie naśladowałaś i nigdy się już ciebie nie bała. Dlatego zostałyście przyjaciółkami, prawdziwymi przyjaciółkami.

- Tak. - Billy milczała przez minutę. Spider też nic nie mówił. W końcu odezwała się. - Nadal nie rozumiem, dlaczego uważasz, że to nie pieniądze sprawiły, że jestem... inna. Czy nie czujesz szacunku przed władzą, Spider? Nie mówię o władzy osobistej czy umiejętnościach, jakie mogę posiadać, ale o władzy samych pieniędzy. Nie czujesz szacunku przed władzą wszystkiego, co mogę dzięki nim zdziałać?

- Oczywiście, że czuję respekt przed mocą pieniędzy. Kto go na tej planecie nie czuje? Ale kiedy myślę o tobie, to interesuje mnie, kim ty,

Billy Ikehorn, jesteś, a nie to, co możesz zrobić z majątkiem, który odziedziczyłaś. Pamiętaj, że nie urodziłaś się bogata, nie dorastałaś w bogactwie, to nie ono ukształtowało twój charakter - gdyby tak się zdarzyło, to byłaby to inna historia. Ale wiem, że gdybyś rozdała cały swój szmal, to i tak nadal byłabyś sobą. Tak więc wyraźnie rozdzielałam obie te rzeczy. Ty jesteś Billy. Pani Ikehorn może zrobić to lub owo, bo ją na to stać, ale Billy taka nie jest. Chwytasz? Coś jak Dick i Jane, to naprawdę bardzo proste. I o wiele zdrowsze.

- Chwytam - powiedziała Billy po namyśle. Dick i Jane? Dlaczego inni mężczyźni nie potrafili rozumować tak jasno i logicznie? Spider wcale nie jest naiwny. Może rozumie kobiety, bo wychowywał się z tyloma siostrami?

- Zgłodniałaś na tyle, żeby już coś zamówić?

- Chcę jeszcze jednego drinka.

- Dobrze, jeśli obiecasz, że nie wyjedziesz jutro. Dodasz sobie tylko kolejne trzy godziny do czasowego mętliku i zupełnie wszystko popieprzysz.

- Udało ci się mnie namówić - roześmiała się Billy. - Przez ostatnie kilka dni moja zdolność mówienia: „Nie” była wystawiana na ciężką próbę. Nie mam siły, żeby sprzeczać się jeszcze z tobą. Szkoda, że nie słyszałaś Gigi i Saszy - musisz spotkać piękną Saszę, Spider, żeby w nią uwierzyć - jak usiłowały mnie przekonać do założenia z nimi katalogu. W ogóle nie przyjmowały do wiadomości, że się nie zgadzam.

- Jakiego katalogu?

- Och, to zbyt skomplikowane, żeby to teraz wyjaśniać. A potem przyszedł Zach Nevsky... ale o tym absolutnie nie mogę mówić... - Billy

zaczęła się śmiać na samo wspomnienie.

- Dobra, miej swoje sekrety. I tak prędzej czy później o wszystkim się dowiem. Ale dlaczego katalog? Gigi na pewno nie jest głupia, może coś w tym jest.

- Katalog pod tytułem „Scruples II”? Nie sądzę, serdeczne dzięki - rzekła pogardliwie Billy, energicznie potrząsając głową.

- Słucham?

- Wpadła na pomysł nowego katalogu umiarkowanie drogich ubrań i nazwania go „Scruples II”, ponieważ ta nazwa natychmiast przyciągnęłaby klientelę. A Sasza chciała wydawać go co kwartał, nie tylko na Gwiazdkę, jak robią to wszyscy inni. Oczywiście powiedziałam im, że nie ma mowy.

- Oczywiście. Tak jak oczywiście „Scruples”, pierwotny sklep, był cały w śmiertelnie nudnych paryskich szarych jedwabiach i złoceniach, a wyniosłe sprzedawczynie wypłaszały kupujących.

- Spider! Chyba nie myślisz, że to dobry pomysł!

- A dlaczego nie, Billy?

- Ależ... słuchaj, Spider, byliśmy chyba najlepsi, byliśmy najbardziej ekskluzywni... projekty Valentine na zamówienie... elegancja... Spider, katalog jest przecież taki... ogólnodostępny! Może z niego zamawiać każdy, absolutnie każdy - bełkotała Billy rozwścieczona jego opinią.

- Ale „Scruples” już nie istnieje, Billy, „Scruples” się skończył. Dokładnie - mówił cierpliwie Spider z ponurą nutką w głosie. - Sama zlikwidowałaś ten sklep. Zrobiłaś doskonały pokaz władzy pieniądza. Było mi przykro, ale oczywiście miałaś pełne prawo pograżyć kwitnący interes, nawet jeśli mieliśmy zyski. Z drugiej strony nie chcesz nazwy „Scruples” rozmieniać na drobne, bo jest ona tylko wspomnieniem.

- Ależ, Spider...

- Do cholery, Billy, nawet jeśli pozostałyby wszystkie sklepy „Scruples”, mogłabyś wydawać katalog i nie byłabyś wcale konkurencją dla samej siebie. Pokazywałabyś mniej kosztowną wersję strojów. Nasze klientki nigdy nie nosiły wyłącznie naszych rzeczy, Billy. Nosiły wszelkie ubrania w całej rozpiętości cen. Byłaś jedną z nielicznych osób, które mogły pozwolić sobie na ubieranie się w „Scruples” od stóp do głów, ale kiedy chciałaś mieć coś z dżinsu, to nawet ty musiałaś chodzić gdzie indziej. Pokazywaliśmy najlepszych projektantów, bo wyrabialiśmy pozycję nazwie „Scruples”, tworząc najlepszy sklep na specjalne okazje. Ale to było w określonym czasie, kiedy mieliśmy przynoszące dochody sklepy w najbogatszych częściach kraju. Katalog musiałby być znacznie mniej kosztowny i zupełnie inny w orientacji... Ponieważ żyję czasem teraźniejszym, nie widzę żadnego powodu, aby o tym nie myśleć.

- A ja nadal uważam, że to nieprzyzwoite!

- Nic podobnego. To dobry pomysł, nie ma w nim nic niewłaściwego.

- Ależ, Spider!...

- Billy, nie pamiętam już, ile razy słyszałem twoje: „Ależ, Spider”, kiedy chciałem zmienić twoje decyzje. Przestań mnie tym częstować.

- No cóż, nigdy w życiu nie wygrałam z tobą sprzeczki - rzekła Billy, biorąc głęboki oddech i usiłując się uspokoić. Zbyt była oszołomiona zmianami czasu, żeby dalej się gniewać.

- Porozmawiajmy o czymś innym.

- Porozmawiajmy o katalogu.

- Nie mam zamiaru niczego takiego wydawać - odparła stanowczo.

- W porządku. Nie zamierzasz i nie chcesz. Jeśli nie chcesz, nikt cię nie będzie zmuszał. Ale mnie mogłoby to zainteresować. Z całą pewnością chciałbym się o tym dowiedzieć czegoś więcej. Pisałem ci, że szukam jakiegoś zajęcia. Mam do zainwestowania cały nocnik pieniędzy, doświadczenie w sprzedaży detalicznej i, gdybyś nie pamiętała, zanim się spotkaliśmy, zarabiałem na życie świetnym wyczuciem fotografii. Chodzi o to, że gdyby do czegoś doszło, musielibyśmy mieć twoją zgodę na używanie nazwy sklepu. Bez związku ze „Scruples” byłoby nam pod górkę.

- Świetnie! Po prostu świetnie. Ty, Gigi, Sasza i „Scruples”. Mój „Scruples”! Dlaczego miałabym spokojnie na to patrzeć?

- Hej, nie wściekaj się tu, przy stoliku. I nie bądź psem ogrodnika, Billy. Jeśli nie chcesz tego robić, to się wycofaj, ale nam daj przynajmniej jakąś szansę. Nie zaprzeczaj tego pomysłu tylko dlatego, że tobie się nie podoba. Może nie da się go zrealizować, może nic z niego i tak nie wyjdzie, ale pilnując tak „Scruples” jak świętej krowy, siedząc na nim jak wielki, piękny ptak na jajach, strzegąc jak klejnotów koronnych Anglii, będziesz wyglądała okropnie głupio.

- To skomplikowana metafora, skomplikowane porównanie czy też skomplikowana analogia - powiedziała zrzędlawie Billy po długim milczeniu.

- Wiedziałem, że posłuchasz głosu zdrowego rozsądku! Wcale się jednak tak bardzo nie zmieniłaś, Billy - powiedział radośnie Spider. - Nadal jestem ci potrzebny, żeby ci to lepiej wyjaśnić. Kelner, proszę przynieść tej pani jeszcze jednego drinka.

* * *

- Josie? Tak, Josie, to ja, wróciłam. Co? Wiem, słyszę, no, przestań płakać, nie ma powodu. Josie, nie tylko ja ciebie słyszę, ale jestem pewna, że wszyscy twoi sąsiedzi. Tak lepiej... nie, nie jestem w Nowym Jorku, jestem w Bel Air. Posłuchaj, wyjaśnię jutro, będę rano w domu. Masz ołówek? O, mój Boże, Josie, właśnie zdałam sobie sprawę, że jest prawie północ! Przepraszam, obudziłam cię? Dobrze, ulżyło mi. Tylko że jak podejmę jakąś decyzję, to mnie ponosi... Zauważyłaś? No tak, chyba tak. W każdym razie proszę cię, żebyś przysłała po mnie Burga około dziesiątej, może dziewiątej, nieważne, zadzwonię, kiedy będę gotowa. Zaraz z samego rana, kiedy się obudzisz, zadzwoń do Gigi i powiedz jej, żeby rzuciła swoją pracę i natychmiast tu przyleciała z Saszą. Aha, zbiór katalogów, nie zapomnij powiedzieć, żeby je wzięły ze sobą. Wyślij po nie samolot. Co to znaczy - sprzedaliśmy go? Ja ci kazałam? Cholera! No dobrze, załatw rezerwację, Gigi ma złamaną nogę - nie, nic jej nie jest, nie martw się - ale wyślij limuzynę i zajmij się kupnem nowego odrzutowca, będzie nam potrzebny. Może dwa. Zdobądź dla mnie ceny. Zrozumiałaś? Dobrze. Zaczynij jutro dzwonić po agencjach i rozmawiać z personelem. Tak jak przedtem, ta sama liczba ludzi, chyba że uważasz, że potrzebujemy ich więcej. Zostawiam to do twojej decyzji. Jak ogrody? Cudownie. Poza tym muszę zorganizować biuro w jakimś biurowcu w Cen-tury City, jak najbliżej Josha Hillmana. Miejsce dla, no, powiedzmy na początek dziesięciu osób. Spore biuro dla mnie, ty też tam będziesz, obok mnie, i jeszcze jedno spore biuro dla Spidera. No oczywiście, że Spidera Elliotta, ilu jest Spiderów? Chyba nie robiłabym tego bez niego, prawda? Co takiego? Też ci powiem jutro. Paryż? Absolutnie nie wracam do Paryża, Josie, możesz na to liczyć. Nie, nie wiem, co zrobię z domem,

ale przecież mi nie ucieknie, prawda? Poślij fax do Ritza, żeby spakowali wszystkie moje ubrania, wszystko, co tam zostawiłam, i przysłali tutaj samolotem. Powiedz im, że wreszcie zwalniam Apartament Windsor, pozdrów ich ode mnie i podziękuj. Powiedz, że byli cudowni. Co jeszcze? To chyba na razie tyle. Potwornie mi się poprzestawiał czas, mózg mi chyba nie funkcjonuje prawidłowo. Dobranoc, Josie. Och, tak mi przykro, że jesteś zbyt podniecona, żeby choć zmrużyć oko, to wszystko moja wina... ale chyba nie sądzisz, że ja sama będę mogła spać, prawda? Możemy się wyspać w następnym tygodniu czy coś takiego. W następnym miesiącu. W następnym roku. Dobranoc, Josie.

* * *

Chodząc po swoim domku w hotelu Beverly Hills Vito Orsini pomyślał, że „zwrot nakładów” to dwa najpaskudniejsze słowa w języku, ale nie miałyby nic przeciw temu, żeby można je było odnieść do jego ostatniego filmu. Kiedy film zwracał poniesione nakłady, nikt nie miał zysku, ale przynajmniej nie było strat. Jego ostatni film padł w kinach po dwóch tygodniach, a straty szły w miliony. Dzięki Bogu, nie były to jego własne pieniądze... to główna pociecha. Jego honorarium producenta wyniosło dwieście tysięcy dolarów za półtora roku intensywnej pracy, od okresu przygotowawczego po udźwiękowanie. Z diety żył wystawnie, bo codzienne diety dostawali wszyscy w czasie trwania zdjęć, ale ta niewielka część, jaka została z dwustu tysięcy, nie wystarczy na opłacenie tego przesadnie drogiego, obowiązkowego domku w tym przestarzałym, choć nadal obowiązkowym hotelu, w którym musiał się zatrzymać, aby podtrzymać obowiązkowe stepowanie bezrobotnego, mającego właśnie podpisać obowiązkowy wspaniały kontrakt i już, już wypływającego na

szerokie wody oscarowego producenta, który wrócił do miasta, by wepchnąć kolejną obowiązkowo atrakcyjną książkę Curtowi Arveyowi.

- Moje pieniądze są unieruchomione w Szwajcarii. - Ładnie to brzmi, jeśli człowiek nie musi się martwić odsetkami rosnącymi na każdej karcie kredytowej. Brzmiałoby jeszcze lepiej, gdyby jakiś skurwiel - Bóg jeden wie, kto - w dziale umów wytwórni Arveya nie zmusił go do finansowego powiązania Zwierciadeł z Białym Amerykaninem, tak że jeśli Zwierciadła będą przynosiły zyski przez całe jego życie, a nawet dłużej, nie zobaczy z nich ani grosza.

Ale nieważne, Dominick i hotel będą go utrzymywać jeszcze długo. Dwieście tysięcy dolców prawie zupełnie się rozplynęło, zniknęło, pofrunęło nie do Zurychu, ale zostało wydane na jego kosztowne rozrywki i podróże - musiał udawać, że dobrze mu się wiedzie albo zupełnie wycofać się z show businessu - oraz na opcję na nowy brytyjski bestseller. Ledwo mu się udało zdobyć tę książkę, powołując się na swego Oscara, a już myślał, że będzie musiał udusić agenta autora, sprytnego Angoła, który zażądał z góry pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Nigdy by do tej transakcji nie doszło, gdyby autor nie był zakochany w Zwierciadłach i na tyle wrażliwy, że dostrzegał intencje Białego Amerykanina. Czysta gra była teraz jego - błyskotliwa, współczesna angielska komedia, która odniosła ogromny sukces literacki i przyzwoity sukces finansowy.

Vito pomyślał, że Curt Arvey jest pierwszym i najlepszym kandydatem do udzielenia mu wsparcia, bez względu na to, ile innych wytwórni mogło się zainteresować nowym filmem. Zawsze najpierw idź do faceta, który stracił na tobie ostatnio pieniądze. To twój najlepszy klient, bo jest najbardziej zainteresowany odzyskaniem pieniędzy. Każdy

niezależny producent znał tę prawdę, która mogłaby się wydawać dziwna w rzeczywistym świecie, gdzie wsparcia szukałoby się u nowego frajera, a nie u kogoś, komu jest się jeszcze winnym pieniądze. W całym mieście nie było nikogo, kogo Arvey chciałby mieć w swojej mocy tak bardzo jak Vita. Z zemsty finansowano więcej filmów niż z miłości, a Arvey nie miał nic przeciwko zemście, jeśli jeszcze wiązała się z nią nadzieja na zysk.

Vito przyjrzał się sobie krytycznie w lustrze. Ktoś obdarzony talentem, aktor czy reżyser, mógł sobie pozwolić na ubieranie się byle jak, lecz finansista lub producent, musiał wyglądać na nieskazitelnie i kosztownie ubranego bez zarzutu. Ujdzie, stwierdził, i wyszedł z pokoju kierując się do Sali Polo; Fifi Hill zaprosił go na lunch. Fifi nigdy nie zapomniał, że swego Oscara w kategorii Najlepszego Reżysera zawdzięcza Vitowi, a wdzięczność połączona z lunchem była w Hollywood równie rzadka jak dziwka dająca rabat.

* * *

- Dobry Boże, Vito wrócił - powiedziała Susan Arvey do Lynn Stockman, z którą czasami jadała lunch. Obie siedziały w Sali Polo, bo na zewnątrz, pod koszami pełnymi kwiatów, zwisającymi ze wszystkich gałęzi starego drzewa, jedli w słonecznym blasku grudniowego dnia tylko turyści. Było tak gorąco, że obie miały zakłady od kostiumów tylko narzucone na ramiona. Susan w niezwykle eleganckim ciemnozielonym kostiumie i prostej seledynowej bluzce z jedwabiu wyglądała jak zawsze pociągająco. Włosy zebrane w gładki węzeł sprawiały, że wszystkie natapirowane i roztrzepane fryzury innych kobiet wyglądały na przesadzone. Była skończoną, dopracowaną doskonałością, którą Lynn Stockman, mimo swej urody, mogła tylko podziwiać.

- Gdzie? - spytała Lynn.

- Tam - powiedziała, ruchem głowy wskazując na prawo, na odległy o pięć metrów stół.

- Staraj się nie napotkać jego wzroku.

- Susan, nie można się w tym mieście nie witać z ludźmi tylko dlatego, że zrobili dwa razy klapę - powiedziała zaskoczona Lynn. - Co najmniej trzy wieczory tygodniowo spędzamy z Elim na kolacjach z ludźmi, którym w każdym normalnym, cywilizowanym mieście zamknęlibyśmy drzwi przed nosem, bo nigdy nie wiadomo, kiedy będzie się ich potrzebować. Tak czy owak zawsze miałam słabość do Vita.

Susan obojętnie uniosła brwi. Lynn była żoną właściciela wytwórni filmowej oraz jedną z nielicznych kobiet w Hollywood mających czelność uważać się za równą Susan i którym uchodziło to na sucho. Pełna życia młoda wdowa po multimilionerze z Wschodniego Wybrzeża wyrosła w świecie poważnych, stabilnych pieniędzy, które nie uznawały takiego lokalnego zjawiska towarzyskiego jak monarchia hollywoodzka. Kiedy poślubiła Eliego Stockmana, wpłynęła do Beverly Hills na fali naturalnej pewności siebie, zakładając, że jest równie dobra jak wszystkie napotkane osoby, jeżeli nie lepsza. Towarzystwo ludzi związanych z filmem - według niej najłatwiejszy do zgryzienia orzech na świecie, pod warunkiem że ma się właściwego męża - natychmiast zaakceptowało ją w cenie, jaką sama sobie wyznaczyła.

- Słabość do Vita? - spytała Susan. - Dlaczego?

- Mówiąc ogólnie, podziwiam jego pracę. Zostawiwszy na boku ostatnie dwa filmy, Vito nie boi się zrobić czegoś odmiennego, nawet jeśli mu to nie wychodzi. Ryzykuje. O ilu ludziach tutaj można powiedzieć coś

takiego?

- To może napiszesz o tym dla Wywiadu!

- Nie nadymaj się, kochanie. Biały Amerykanin nie posłał cię przecież do przytułku. Co więcej, Vito jest bardzo atrakcyjny. Zawsze wiedziałam, dlaczego Billy Ikehorn go poślubiła - z czystego pożądania. Ona też wróciła, wiesz o tym?

- Oczywiście. Ale się nie afiszuje. Kiedy zadzwoniłam, powiedziała, że przez pewien czas nie będzie przyjmowała żadnych zaproszeń - dość miała przyjąć w Paryżu. Billy chce przez jakiś czas spokojnie sobie powegetować i wrócić do równowagi czasowej. Równowagi czasowej! Wróciła przynajmniej tydzień temu.

- Dwa tygodnie temu, Susan. Sądysz, że znów mogłaby się zejść z Vitem?

- Och, litości. Jak długo, według ciebie, trwa czyste pożądanie, Lynn?

- Z Vitem trzy, może cztery lata, z przeciętnym facetem sześć miesięcy. Jest w nim coś tak mrocznego i pociągającego, coś... hmmm... coś...

- Błyskotliwego? - rzuciła Susan Arvey.

- Może to i jest wyjaśnienie. To takie proste, że nigdy nie przyszło mi na myśl - powiedziała złośliwie Lynn. - Gdybym nie była szczęśliwą mężatką...

- Dobry Boże, Lynn, może po prostu podejdiesz do stolika Vita i przyślesz do mnie Fifiego? Nie chcę ci przeszkadzać.

- Może bym i to zrobiła, ale niestety umówiłam się po lunchu z Mariem na strzyżenie. Mogę się założyć, że Vito... starczyłby... na dłużej

niż mycie i układanie włosów.

- I mogłabyś przegrać. Przypuszczam, że tylko zakładasz.

- Ależ oczywiście, kochanie, to jasne. To ciekawe, że nigdy Vita nie łączono z nikim oprócz Maggie MacGregor, ale to był otwarty romans, wcale tego nie ukrywali. Jest całkowicie dyskretny, no ale mężczyźni odnoszący u kobiet największe sukcesy z zasady o nich nie mówią, prawda? Spójrz tylko na Warrena... czy wszystkie nie chciałybyśmy tego zrobić? Billy nie wyszłaby za Vita, gdyby nie był fantastyczny w łóżku. Jest tak przystojny... ależ oczywiście, młody Vittorio de Sica!

- Lynn, doprawdy!

- Och, Susan, gdzie twoja wyobraźnia? - drażniła się z nią Lynn. - Uśmiechnij się, kochanie. Wprawdzie przez ostatnie trzy miesiące Curt miał kłopoty z zębami i wymagał twojego współczucia oraz stałej uwagi, ale to nie znaczy, że muszą cię gorszyć nieszkodliwe rozważania.

- Roześmiała się widząc poirytowaną minę Susan. - Kelner, chciałybyśmy zamówić.

Kiedy obie kobiety kończyły lunch, Fifi i Vito przechodzili obok ich stolika i zatrzymali się, żeby się przywitać.

- Usiądźcie - zaproponowała Lynn. - Wypijecie z nami kawę?

- Nie mogę, Lynn - powiedział Fifi. - Mam spotkanie w Burbank. Żałuję.

- A ja chętnie - powiedział Vito. Sala Polo była wypełniona ludźmi i nie należało odrzucać zaproszenia od żon właścicieli dwóch wytwórni. Usiadł obok Susan, chociaż zaprosiła go Lynn. Susan lekko się odsunęła, tak jak się spodziewał. Co za skończona suka. Protekcyjna suka, która wielokrotnie robiła mu afronty. Kobieta, która sądziła, że nie jest

wystarczająco dobry dla Billy, kobieta, którą ucieszyła porażka Białego Amerykanina, chociaż była pewna, że on sobie z tego nie zdawał sprawy. Pewnego dnia dostanie za swoje, bez względu na to, czy o tym wie, czy nie.

- Co u ciebie nowego, Vito? - spytała z ciekawością Lynn.

- Kupiłem fantastyczną książkę pod tytułem Czysta gra.

- Aha! Bardzo mi się podobała. Ludzie Eliego w Anglii przysłali mi korektę. Tu jej nawet jeszcze nie wydano.

- Gdybym czekał do tego czasu, to nic by z tego nie było.

- Naprawdę sądzisz, że można z niej zrobić film?

- Ja to wiem.

- Mam nadzieję, że masz rację, Vito. Czysta gra jest znakomita. Bardzo stylowa, bardzo zabawna. - I, pomyślała, jeśli satyra pada w sobotę wieczorem, to angielskie komedie obyczajowe padają dwa dni wcześniej. Chyba że uda mu się zdobyć Streisand i Clinta Eastwooda, co jest dość nieprawdopodobne, nawet dla Vita.

- Gdyby tylko tym miastem rządziły żony - rzekł Vito - to moglibyśmy dobić targu natychmiast.

- Ale tak nie jest, a szkoda. Cholera, muszę lecieć. Mario nigdy się nie spóźnia, a ja nie śmiem kazać mu czekać. Zjemy razem lunch w przyszłym tygodniu, Susan? Zadzwoń.

- Podpisała się na rachunku i wyszła z uśmiechem kryjącym w sobie rozbawienie i nieco złośliwości. Dobrze tej Susan Arvey, że będzie musiała prowadzić z Vitem Orsinim uprzejmą rozmowę.

- Vito, dobrze wyglądasz - rzekła Susan. - Jak Europa?

- Słyszę, że przybierasz ton gospodyni, Susan. Nie musisz się trudzić.

Interesujące, że znam cię od dziesięciu lat czy więcej i nigdy rozmawiając z tobą nie wyczułem w tobie ani cienia szczerości. Czy to mnie akurat nie lubisz, czy też zawsze taka jesteś? - W jego pełnym uroku głosie słyhać było nutkę rozbawienia. Susan z zaskoczenia lekko rozchyliła usta. - Zawsze traktujesz mnie ceremonialnie, Susan. Nie popuściłaś nawet wtedy, kiedy zdobyłem dla wytwórni Curta trzy Oscary. Mam teorię, że kiedy kobieta tak się zachowuje wobec najwyraźniej podziwiającego ją mężczyzny, to chce mu dać do zrozumienia, że nic z tego. Nie rozumiem tylko jednego - dlaczego odstraszasz mnie raz po raz. Nigdy się do ciebie nie dobieierałem.

- Vito, nie rozumiem, dlaczego sądzisz, że traktuję cię inaczej niż innych. Zresztą ja też już muszę iść - powiedziała stanowczo.

- Chwileczkę, Susan. Zdaję sobie sprawę, że zawsze masz przed oczyma hierarchię władzy w Hollywood, ale czy nigdy nie pozwalasz sobie na odrobinę swobody? Czy wiesz, że w czasie tego lunchu wyglądałaś na półżywą? Zobaczyłem marnującą się soczystą kobietę, której życie nawet w połowie nie wykorzystuje jej dzikiej energii. Zastanawiam się, jakimi metodami zmuszasz się, by być tak pozbierana? Czy to tenis tak ci służy, Susan? A może kolekcja sztuki? Przyjęcia? Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że zawsze byłaś jedną z najatrakcyjniejszych kobiet, nie najmłodszą, nie najpiękniejszą - przecież to Hollywood - lecz jedną z najatrakcyjniejszych. Seks aż z ciebie promieniuje.

- Zamknij się, Vito. Wystarczy - rzekła, ale nie wstała, zahipnotyzowana jego bezczelnością.

- Zawsze się mnie bałaś, Susan, dlatego uwierzyłaś, że mnie nie

lubisz. Nie musisz się martwić, inni ludzie nie postrzegają cię tak jak ja, a ja zachowuję swoje spostrzeżenia dla siebie. Lubię tajemnice, Susan, tak jak ty. Lubię tworzyć własne zasady, tak jak ty. Lubię słuchać własnego instynktu, Susan, i dlatego nie jestem w głównym nurcie i nigdy w nim nie będę. Wiem, że też słuchasz własnego instynktu. Jesteś uosobieniem damy, jesteś porządna, chłodna, masz akurat odpowiednią ilość serdeczności dla każdej spotkanej osoby, i ani trochę więcej. Lecz nic mnie nie przekona, że kiedykolwiek widziałem prawdziwą Susan Arvey.

- To wszystko jest bardzo ciekawe, Vito, ale mam przyniarę.

- Twoja przyniarę może poczekać - powiedział spokojnie Vito. Wiedział, że niewiele kobiet na świecie potrafi się oprzeć omawianiu własnych cech, a już najmniej Susan Arvey, która tak nadzwyczajnie dba o siebie.

- Nie wyglądałabyś tak młodo, gdyby nie chodziło o coś więcej niż czystą próżność - ciągnął z namysłem, odmierzonymi słowami, pewny swych spostrzeżeń. - Nie miałabyś tej cudownej skóry, tej absolutnie doskonałej twarzy, nie miałabyś ciała wspaniałej dziewczyny. Z jednej strony mamy Susan Arvey, konwencjonalną żonę, która nigdy nie popełniła żadnej gafy, a z drugiej Susan Arvey, wyjątkową kobietę, która musi mieć jakieś sekrety, bo jest zbyt inteligentna i silna, by być zaledwie tym, kim się wydaje. Kiedy jedliśmy z Fifim lunch, wyobrażałem sobie, jaka naprawdę jesteś, jakbym oglądał film... - Vito przerwał na sekundę, a kiedy nadal go słuchała, chociaż patrzyła prosto przed siebie, wiedział, że udało mu się ją rozpałić. Był tylko jeden sposób, by zemścić się na Curcie. Nigdy się o tym nie dowie, tego Vito był pewien.

- Wyobrażałem sobie ciebie gdzieś indziej, nie tutaj, gdzie wszyscy

cię znają, ale gdzieś, gdzie możesz być sobą, gdzie możesz pofolgować wulkanicznej energii, którą posiadasz.

Wyobraziłem sobie jakiś barek w Dolinie, jakby zajazd, miejsce, gdzie nie chodzi nikt z naszych znajomych, zobaczyłem, jak tam wchodzisz taka jak teraz - zimna, skupiona, a jednak niewiarygodnie podniecająca. Zobaczyłem, jak wszyscy mężczyźni w barze natychmiast cię zauważają i, nie kryjąc swego zainteresowania, myślą tylko o jednym, o daniu ci tego, Susan, w jaki tylko chcesz sposób... Zastanawiam się... czy kiedykolwiek było dokładnie tak, jak chcesz? Czy kiedykolwiek mogłaś o to poprosić prosto z mostu? No jak, Susan? Widziałem, jak starannie wybierasz, prowadząc do tylnej salki tego, który najbardziej ci się spodobał... biorąc go i pozwalając mu sprawić ci przyjemność, a potem, jakby tego było za mało, wzięłaś sobie jeszcze jednego. Widziałem, że jesteś wolna, Susan, że możesz zachowywać się jak mężczyzna... to dziwne, jesteś tak cudownie kobieca, a jednak czuję w tobie cień męskości, męską potrzebę... to fascynująca sprzeczność.

- Vito ujął jej rękę, wciągnął pod stolik i położył sobie na kroczu. Od chwili kiedy powiedział jej, jak jest pociągająca, robił mu się coraz twardszy. Z jej twarzy nie zniknął wyraz opanowania. Słuchała go już zbyt długo, by teraz zawrócić.

- Przyjemność, Susan... czy wiesz, od jak dawna marzę o sprawieniu ci przyjemności?

Och, co za drań, pomyślała Susan Arvey przygryzając wargi. Za dużo miesięcy upłynęło od jej ostatniej bytności w Nowym Jorku. Potrzebowała tego, potrzebowała tego jak nigdy przedtem, a on to wyczuł, drań jeden.

Vito delikatnie wypuścił z uścisku jej dłoń, a kiedy nie położyła jej na stoliku od razu, z powrotem położył na niej swoją rękę, mocno ją przyciskając. Widział, jak przygryza dolną wargę.

- Mieszkam w trzecim domku na prawo od ścieżki. Teraz wyjdę. Będę na ciebie czekał. Jeśli nie przyjdiesz, zrozumiem i nigdy już o tym nie wspomnę. Wybór należy do ciebie. Pragnę cię. Zawsze cię pragnąłem. Prawdziwą, tajemniczą Susan. Przyjdź do mnie.

* * *

Kiedy Susan Arvey szła ścieżką, w jej głowie tkwiła tylko jedna myśl: cokolwiek się stanie, zanim skończy się to popołudnie, Vito będzie musiał błagać. Zmusi go do błagania. W Cannes, kiedy Vito poznał Billy, Susan na stałe ugrzęzła w hotelu, słuchając oddechu śpiącego Curta i zadrezczając się wyobrażaniem sobie, co ci dwoje muszą sobie nawzajem robić. Zapłaci jej za te noce gorączkowej frustracji.

Czekając równie śmiało jak matador na arenie oczekujący byka, Vito postanowił sprawić, że będzie pragnęła go tak mocno, aż będzie musiała o to poprosić, choćby się nie wiadomo jak przed tym broniła. Nie usatysfakcjonuje go nic innego.

Otworzył drzwi na jej pukanie. Nie uśmiechnęli się do siebie, ale gdy tylko znaleźli się w salonie, gdzie zasłony zostały zaciągnięte tak, że jedynym światłem był nikły, złocisty poblask, cała historia ich długiej, pełnej rezerwy znajomości została za milczącą, obopólną zgodą odłożona na bok jako coś kompletnie nieważnego. Vito zamknął drzwi na klucz, a Susan rozpuściła długie blond włosy, które opadły na ramiona. Objął ją i bez słowa pocałował jej doskonałe usta. Mimo wszystko Susan wyczuła przyspieszone bicie jego serca. Pomyślała, ile czasu upłynęło od chwili,

gdy całowała obcego mężczyznę. W Nowym Jorku nie pozwalała na pocałunki. Zapomniała, jak bardzo różnią się od siebie męskie usta. Mocno zarysowane wargi Vito były tak twarde, że z łatwością mogły się okazać okrutne, lecz język miał niespodziewanie delikatny, nieśmiały w dotykaniu wewnętrznych krawędzi jej warg. Poruszał nim powoli i nie usiłował, wbrew jej oczekiwaniom, zaatakować.

Całymi minutami zadowalał się stanem i całowaniem jej, mocno trzymając ją w muskularnych ramionach. Skupiał się na wyczuwaniu, jak pod wpływem wprawnych działań jego języka jej podejrzliwie wykrzywione usta stopniowo się odprężają. Dopiero kiedy poczuł, jak jej język wysuwa się lekko do przodu, zainicjował kontakt badając na wpół otwarte usta z rozmyślną delikatnością, powoli budując intymność dotyku i smaku, jakiej istnienia Susan nigdy nie podejrzewała.

Każdy pocałunek uwrażliwiał ją na następny, po każdym pocałunku następowało wyszukane badanie językiem jej twarzy - najpierw uszu, z których po kolei zdjął kolczyki. Brał w usta każdy delikatny płatek z osobna i ssał je, jakby były sutkami, ucząc się ich wargami, językiem i ostrożnymi zębami. Kiedy wrócił do ust, były już bardziej chętne niż przedtem, lecz nie wykorzystał tej zmiany, całując ją przeszywająco, lecz nie dość długo. Zawędrował ustami do oczu, pokrywając powieki, brwi i rzęsy najdelikatniejszymi musnięciami powolnego języka. Tym razem, kiedy język wniknął do jej ust, zatrzymała go tam, odpowiadając pchnięciem na pchnięcie, aż w końcu Vito poczuł z tryumfem, jak jej język niecierpliwie wsuwa mu się do ust, a ręce sięgają w górę, aby mogła palcami wodzić mu po szyi. Odsunął się, pochylił głowę unikając jej palców i począł całować ją w szyję, od pulsującej żyły u jej podstawy po

linię szczęk, przemierzając szczupłą kolumnę kilka razy z prawa na lewo szybkimi, skubiącymi, podniecająco lekkimi ruchami warg.

W końcu z łatwością podniósł Susan i trzymając ją na kolanach usiadł na głębokiej kanapie. Susan zamknęła oczy i oparła się o niego, nie pozwalając sobie na żadne żądania. To on musi błagać. Z trudem zachowywała spokój, czując na udzie jego długi, ciężki członek. Nadal całując ją w szyję, Vito rozpinął jej bluzkę, powoli uwalniając soczyste piersi, których duże sutki twardniały i powiększały się już wtedy, kiedy siedzieli przy restauracyjnym stoliku. Nie próbował uwolnić z jedwabiu jej ramion, bo wolał, aby to blade ciało było ujęte w ramę seledynowej tkaniny. Przesunął się pod nią tak, że leżała mu na udach, trzymając nogi na kanapie. Całą uwagę poświęcił jej twardemu, kwitnącemu, nabrzmiewającemu ciału. Nie sutkom, pomyślał, nie sutkom, dopóki nie zacznie pocierać o siebie nogami. Ujmował po kolei w ręce jej ciężkie piersi. Delikatnie je naciskał, aż Susan skupiła się całkowicie na wprawnych ruchach jego ciepłych palców, które schlebiały jej tak, jak nigdy w życiu jej nie schlebiano. Wygięła się, nie zdając sobie sprawy, że zaczyna ruszać biodrami.

Kiedy Vito poczuł, że Susan się napina, przeniósł palce z jej piersi do swoich ust. Usłyszała, jak liże czubek każdego z palców, a potem zaczął pieścić jej sutki tak delikatnie, iż pieszczota stała się niemal nie do wytrzymania. Rozpaczliwie pragnęła poczuć na nich jego usta, lecz on nadal posługiwał się jedynie wilgotnymi czubkami palców, otaczając każdy sutek kręgiem bolesnej słodyczy, aż stały się sterczące i pociemniałe od krwi. Dokładnie wyczuwając właściwy moment, Vito pochylił głowę i ujął wargami jeden rozpalony sutek. Usłyszał

westchnienie Susan. Ssał coraz mocniej, zaciskając wargi. Zbliżyła rękami piersi, jakby chciała, aby wziął w usta oba sutki naraz, ale jej piersi były na to o wiele za duże. Vito poświęcał im swoją uwagę po kolei, zawsze odrywając się, zanim doprowadził je do szczytu pobudzenia, tak że Susan nie była zaspokojona i czuła się tak, jakby karmiła piersią, czego tak bardzo, jak wiedział, pragnęła. Nieważne czego ona pragnie, pomyślał Vito czując, jak jej piersi nabrzmiwiają i rosną pod wpływem jego wyrafinowanej tortury, ani czego pragnie on, bo od pierwszego pocałunku chciał ją wziąć na podłozie, wziąć ją szybko, brutalnie i zostawić, nie pozwalając jej się rozładować.

Vito wstał z kanapy i ułożył pod głową Susan poduszkę. Ukląkł na dywanie, nadal kompletnie ubrany, i zdjął jej spódnicę i bieliznę, tak że leżała odsłonięta przed jego wzrokiem, a jedynym jej ubraniem była bluzka nadal przylegająca do ramion. Oczy miała na wpół otwarte, więc widziała wyraz jego twarzy, kiedy patrzył na jej ciało, ciało tak dojrzałe, tak silne i gotowe, by je osiąść.

Obejrzał ją spokojnie, z pozbawioną wyrazu twarzą, i zdjął krawat, marynarkę i koszulę. Susan wstrzymała oddech, kiedy zaczął rozpinać pasek, po czym w oszołomieniu patrzyła, jak zmieniając decyzję znów go zapina.

Nadal klęcząc, Vito wsunął głowę między jej nogi i wkrótce Susan poczuła muśnięcie jego warg na włosach łonowych, cień dotyku, gdy skóra jego delikatnych warg leciutko dotykała miękkich, cienkich włosów jasnego trójkąta. Z początku buszował w tych włosach tylko wargami i nosem, szturchając ją i wdychając jej woń. Poczwała, jak opanowuje ją pożądanie, wiedziała, że jej dolne wargi stają się coraz bardziej widoczne i

różowe, lecz trzymała się sztywno, czekając na jego język. Zamknęła oczy, gdy w końcu poczuła jego czubek muskający zewnętrzne wargi, przesuwający się delikatnie wzdłuż ich krawędzi, zostawiając za sobą wilgotny ślad. Język przemierzał tę samą drogę wiele razy, ignorując jej wargi wewnętrzne, które wydeły się w oczekiwaniu jak płatki kwiatu. Susan nie chciała poruszyć nogami, chociaż miała ochotę krzyknąć, kiedy czubek języka Vita delikatnie opuścił się w bruzdę między wewnętrznymi i zewnętrznymi wargami, rozdzielając je z najwyższą uwagą, zwilżając i grzejąc. Starannie unikał jakiegokolwiek kontaktu z łechtaczką. Owa mała, mocno zaróżowiona, tępa strzałka żywego ciała powiększała się i twardniała. Przecież musi ją wziąć do ust, pomyślała Susan, czekając bezskutecznie na to wielkie uczucie, stając się jedną, przesywającą potrzebą.

Kiedy już miała położyć mu ręce na głowie i wepchnąć łechtaczkę w usta, poczuła z niedowierzaniem, jak Vito bierze ją w ramiona i odwraca, kładąc twarzą do kanapy. Zaczął badać każdy centymetr jej kręgosłupa, a ona, powodowana dumą, postanowiła nie poruszać się i nic nie mówić, nakazując sobie leżeć spokojnie nawet wtedy, gdy jego usta ostrożnie i leniwie schodziły w kierunku delikatnych kul pośladków. Wziął je w ręce i ścisnął w kierunku rozdzielającej je bruzdy. Słyszając, jak oddech Vita staje się chrapliwy, nie pozwoliła sobie ocierać się o kanapę, lecz czekała, czekała cierpliwie, doskonale wiedząc, jak pięknie musi wyglądać, jak soczyście i bujnie. Nie poruszyła się nawet wtedy, kiedy poczuła, jak jego palce rozdzielają kule, żeby mógł między nie wsunąć język, a nawet gdy jego język zapuszczał się coraz głębiej, nie uniosła się, by miał lepszy dostęp. Świadomie się rozluźniła, wiedząc, że wilgoć spomiędzy jej nóg

przenosi się na kanapę. Nawet kiedy Vito wysunął język i poczuła, jak sięga między jej nogi środkowym palcem, zmierzając ku nabrzmiąłym, bolesnym wargom, leżała bez ruchu. Głowę miała odwróconą od niego, żeby nie mógł widzieć jej ust, na których tak wyraźnie było wypisane dręczące pożądanie, żeby nie widział determinacji w jej oczach ani zwycięskiego wyrazu, który przybrała jej twarz. W końcu Susan poczuła, jak Vito podkłada jedno ramię pod jej brzuch i unosi wysoko nad kanapą, żeby wsunąć głowę między jej nogi. Była rozpalona i nabrzmiała, nic nie mogła zrobić, by temu zaprzeczyć, była w najwyższym stopniu otwarta, ale bez westchnienia zadowolenia czy jęku pożądania pozwoliła, żeby Vito głęboko wciągnął lechtaczkę w usta i zaczął ją pieścić językiem. Nie opierała się ani nie reagowała, aż w końcu oszalały od jej smaku i zapachu Vito przewrócił ją na plecy i zdarł spodnie oraz spodenki z gorączkowym pośpiechem. Wstał i rzucił się na kanapę kłękając nad Susan, jedną ręką trzymając zwiedzonego penisa, a drugą szorstko rozdzielając jej uda. Ich oczy spotkały się i ani drgnęły.

- Poproś - rzekł Vito.

- Nigdy.

- Poproś!

Naprzężając wszystkie mięśnie silnych nóg Susan zwarła je tak mocno, że Vito nie potrafił ich oddzielić tylko jedną ręką.

- Ty poproś - wyszeptała Susan, kładąc własne palce na nabrzmiącej lechtaczce i z wprawą ją pocierając. Wydawała się całkowicie pochłonięta sprawianą sobie przyjemnością, ale obserwowała, jak w miarę przyspieszania rytmu Vita ogarnia coraz większa pożądliwość.

Bezradnie patrzył, jak bez jego udziału Susan zmierza do orgazmu.

- Przestań!

- Poproś ładnie - wydyszała nie przerywając dzieła.

- Wygrałaś, suko! - wykrztusił. Odsunęła rękę, rozchyliła nogi i wygięła się ku górze, by mógł natychmiast ją osiąść. Oboje tak byli pochłonięci sobą i tak rozpaleni długim pojedynkiem, że splekli się i wykorzystali nawzajem gwałtowniej i brutalniej niż kiedykolwiek w życiu. Przeżyli jednocześnie dziki orgazm, który nadszedł zbyt szybko wstrząsającymi skurczami, lecz trwał i trwał, dopóki całkowicie nie osłabli.

Leżeli razem przez długie, powolne minuty, nie mówiąc ani słowa, na wpół śpiąc.

- Gem, set i mecz, Susan Arvey - mruknął w końcu Vito.

- Dobra gra, Vito.

- Czy mogę się z tobą zobaczyć jutro?

- Nie, cały dzień jestem zajęta. Ale przyjdź na kolację, robię przyjęcie.

Spojrzał na jej różową twarz, na rozburzone pasma wilgotnych przy skórze włosów, na całą rozkosznie nieporządną postać zaspokojonej kobiety i położył na wilgotnych włosach jej pagórka władczą dłoń.

- Przyjdę na kolację, ale nie będziesz już tą samą Susan, zobaczę inną osobę.

- Będziesz miał swoje wspomnienia - rzekła urągliwie.

- To nie wystarczy. Wiesz o tym. Wiesz, że to dopiero początek.

W milczeniu skinęła potakująco głową. Oczy błyszczały jej oczekiwaniem.

- Ten zajazd w Dolinie istnieje naprawdę. Następnym razem zabiorę

cię do niego. Usiądziemy przy stoliku w kącie zatłoczonego baru, a ja doprowadzę cię do orgazmu tylko za pomocą moich palców, bez względu na to, kto będzie patrzył, wiesz o tym, prawda?

Susan znów skinęła głową. Na każdą z jego sztuczek miała dwie własne. Vito nie ma nawet pojęcia, w jaki sposób zrobi z niego niewolnika.

Patrząc jak Susan się ubiera, Vito zastanawiał się, czy teraz trudniej mu będzie zmusić Curta Arveya do wyłożenia jedenastu milionów dolarów na swój następny film. Jeszcze nigdy nie robił interesów z człowiekiem, którego żona stała się jego obsesją. Jest podniecająco złą dziewczyną, całkowicie zepsutą dziewczyną, a jej długa cielesna pokuta zapowiada się na najbardziej ekscytujące doświadczenie w ich życiu. Już wiedział, że nie istnieje nic, czego by sobie na wzajem nie zrobili, zanim ze sobą skończą.

Susan upięła węzeł rozmyślając o tym, jak każe Curtowi postąpić z Vitem, bo mąż poprosił ją o radę. Jutro ma się spotkać z Vitem. W żadnym wypadku Curt nie może się zgodzić, bez względu na to, jak bardzo podoba mu się potencjalnie interesujący i równie potencjalnie niemożliwy do zrealizowania pomysł Vita. Nie może mu także szybko i miłosiernie odmówić. Przez długi, długi czas będzie tylko „być może”. Tylko zwodnicze, ulotne, lecz bardzo realne i możliwe „być może” utrzyma Vita dokładnie w tym miejscu, w jakim będzie jej odpowiadało, dopóki nie postanowi wszystkiego zakończyć - w ten czy w inny sposób. Dzisiaj wygrała, lecz ich pojedynek dopiero się zaczął i w czasie cudownie prowokujących najbliższych miesięcy zabraknie w nim jednego elementu. Nie będzie żadnej czystej gry.

- Spider czy to rzeczywiście było konieczne? - spytała buntowniczo Billy, wkraczając do jego biura z dużą torbą od Saksa. - Czuję się jak idiotka bawiąca się w gry towarzyskie.

- Zrób mi uprzejmość, Billy, usiądź, połóż torbę i poczekajmy na resztę.

- Nie mów mi, że jestem pierwsza?

- Właściwie przyszłaś kilka minut przed czasem.

- Prawdopodobnie dlatego, że jestem jedyną, która nie oszukiwała - powiedziała podejrzliwie Billy. Usiadła na jednej z dwóch dużych, półkolistych sof ustawionych naprzeciwko siebie w jednym końcu biura znajdującego się wysoko w tym samym biurowcu w Century City, w którym mieściła się firma prawnicza Strassbergera, Lipkina i Hillmana.

- Słyszałam - powiedziała Sasza, wpadając jak burza do biura. - Nie oszukiwałam, Spider powiedział: pięć minut, i zajęło mi to dokładnie pięć minut. - Ostrożnie postawiła wypchaną torbę na zakupy obok torby Billy. - Całą drogę bałam się, że mi się to rozleci.

- Powinnaś wziąć dwie torby, jedną w drugiej, tak jak ja - powiedziała Billy. - Dwie identyczne torby na zakupy mają mniej więcej wytrzymałość torby podróźnej.

- Naprawdę? - spytała zdumiona Sasza.

- Nie ma na to naukowego dowodu, ale to się sprawdza.

- Och, nie mówcie mi, że już wszystkie tu jesteście - powiedziała płaczliwie Gigi wchodząc do biura i wymachując torbą na zakupy. - Musiałam zatrzymać się po benzynę. - Była szczelnie owinięta w jakiś prawie sięgający ziemi strój i poruszała się sztywno, choć gips zdjęto jej

przed dwoma tygodniami. Usiadła obok Saszy i z wyczekującą miną postawiła torbę na dywanie.

- Wszyscy obecni - ogłosił Spider, zamykając drzwi gabinetu i siadając naprzeciw trzech kobiet. - Czyż to nie miłe? Która z pań chce kawy?

- To nie jest „miłe” - mruknęła Billy - to raczej jakiś niezdrowy sabat spod znaku Nowej Ery, mający na celu pobudzenie świadomości, czy spotkanie Anonimowych Alkoholików. Może wstaniesz i powiesz: „Nazywam się Spider i mam manię przebierania się w cudze stroje”?

- Kawy, Billy? - spytał Spider.- Może herbatnika?

- Nie, dziękuję, jadłam śniadanie - odcięła się.

- Gigi, Sasza?

Obie odmówiły, zbyt ciekawe zawartości toreb na zakupy innych, żeby zainteresować się czymś, co wymagało czekania.

- Kto chce zacząć? - spytał Spider. Nikt mu nie odpowiedział. - Sasza, może ty?

- Dlaczego ja?

- No... zastanówmy się... po pierwsze, bo tak powiedziałem. Po drugie, bo to ty zbierasz katalogi. Gdyby nie ty, nie byłoby tu nikogo z nas. Po trzecie, masz największą torbę, która właśnie drze się z boku.

- Dobra - zgodziła się Sasza - ale musicie zdać sobie sprawę, że jeszcze nie kupiłam żadnych ubrań do Kalifornii, więc musiałam wybierać z kompletnie miejskiej szafy.

- Posłuchajcie, drogie panie, to nie współzawodnictwo. Po prostu zaproponowałam... - powiedział Spider.

- Zaproponowałam? - odezwała się Billy, kapryśnie potrząsając

swymi ciemnymi kędziorami. - Zażądałeś.

- Słusznie. Zażądałem, żeby każda z was spędziła dokładnie pięć minut przed szafą, wyobrażając sobie gwałtownie rozprzestrzeniający się pożar, z powodu którego musicie wybrać absolutnie niezbędne części garderoby i spakować do jednej papierowej torby na zakupy. Garderoba Pięciominutowego Alarmu Przeciwpożarowego. Nie ma znaczenia, Sasza, gdzie mieszkacie, jaki jest klimat czy wasz styl życia - jedyną ważną rzeczą jest to, jakiego rodzaju ubrania wybrałyście. Tak jak powiedziałem wczoraj, nikt was nie będzie osądzał na podstawie zawartości waszych toreb.

Spider nigdy by nie przypuszczał, że Billy będzie tak niechętna pomysłowi, no, ale przecież nigdy nie widział jej garderoby. A może nie podobało się jej, że ma robić dokładnie to, o co poprosił Gigi i Saszę? Czy tak była przyzwyczajona do szefowania w każdym przedsięwzięciu, że jako członkini zespołu czuła się niepewnie? Ten lutowy poranek był pierwszym oficjalnym dniem fazy planowania „Scruples II” i może Billy jest po prostu zdenerwowana, boi się niepowodzenia, chociaż niepowodzenie w eksperymencie z torbą na zakupy nie było możliwe. Może powinien zaproponować odbycie tego spotkania w jej gabinecie, ponieważ jednak wygodny krąg sof znajdował się u niego, a Billy i on byli w tym interesie równorzędnymi partnerami finansowymi, nie sądził, aby miało to jakieś znaczenie.

Sasza delikatnie wyjmowała z torby czarny winylowy prochowiec z jasnoczerwoną podszewką. Westchnęła z ulgą.

- To dlatego jest taka pękata. Najpierw spakowałam najmniejsze rzeczy, żeby wiedzieć, ile mi zostało miejsca na duże. Ten płaszcz można

wkładać na wszystko, w deszcz czy słońce, w dzień czy w noc, mam go od trzech lat. - Położyła go na dywanie przed sobą. Następnie wyciągnęła czarny kardigan ze średnio grubej wełny. - Jego też można wkładać na wszystko, można go nosić jako kurtkę albo oddzielnie, ze spodniami czy spódnicą. Można go nosić na różne sposoby, zależnie od okoliczności. Jeśli rozepnie się trzy górne guziki, włoży pasek i mnóstwo naszyjników, to wieczorem można w nim pójść wszędzie. Można też włożyć tył na przód i wtedy robi się z niego tunika.

- Od jak dawna go masz? - spytał Spider, gdy Sasza położyła go obok płaszcza.

- Od zawsze. Może pięć lat, może sześć, widział już lepsze czasy, ale w razie pożaru wzięłabym go, bo nie wiedziałabym, gdzie kupić taki sam.

- Co tam jeszcze masz? - zapytała Gigi.

- Moje ulubione czarne spodnie - powiedziała Sasza wyciągając po kolei każdą sztukę - moje ulubione szare spodnie, stary blezer w szkocką kratę, który nigdy nie wychodzi z mody, jedyną parę czarnych lakierków na wysokim obcasie, w jakich zawsze było mi wygodnie, dwie ulubione białe jedwabne bluzki, bo ze spodniami, kardiganem, płaszczem i bluzkami mogę objechać świat, gdybym musiała, i moją szczęśliwą sukienkę. - Podniosła sflaczały kawałek czerwonej dzianiny. - Nie gwarantuje najwyższego przeżycia, ale wyglądam w niej nieźle.

- A ileż to ma lat? - zaciekawiała się Billy będąca pod wrażeniem i prezentacji Saszy, i jej wyglądu. Miała na sobie pięknie skrojone granatowe spodnie i czerwony sweter z golfem, który uwydatniał czerń jej włosów i oczu. Szminkę dopasowała do swetra idealnie. Billy zastanawiała się, czy istnieje ktoś bardziej pociągający niż Sasza Nevsky.

- Cztery, ale to nie ma znaczenia. W zwykłej sukience liczy się dla mnie tylko dekolt i dopasowanie do ciała.

- Sasza, czy po prostu podeszłaś do szafy i wyjęłaś to wszystko w ciągu pięciu minut, czy najpierw to sobie przemyślałaś? - zapytał Spider.

- Żartujesz? Zrobiłam listę. Zajęło mi to jakieś dwadzieścia minut, może więcej. Zawsze robię listy, chyba jak wszyscy? I kiedy przeprowadziłam się tu w zeszłym miesiącu, rozdałam wszystko, czego już właściwie nie nosiłam, więc i tak w mojej szafie prawie nic nie ma. Całe pięć minut zajęło mi staranne składanie tego wszystkiego i upychanie w torbie. Nie mówiłeś, że nie mamy o tym myśleć, Spider. Gdybym miała pięć minut na myślenie i pakowanie, to wzięłabym biżuterię, pieniądze, karty kredytowe, prawo jazdy, książeczkę czekową i kota.

- Brawo, dostajesz nagrodę Forbesa za humanitaryzm - mruknęła Billy. Poznała się na Saszy. Pod tymi rozburzonymi włosami, teatralnym urokiem kobiety fatalnej i celową przesadą miała twarde jak skała, zdrowy chłopski rozum.

- Świetnie, Sasza, zostaw wszystko tu, gdzie leży - rozkazał Spider. - Teraz Gigi.

Gigi wstała i powoli się obróciła.

- Grube rzeczy mam na sobie - oznajmiła. - Nic nie mówiłeś o ubieraniu się, więc w ciągu czterech minut włożyłam najlepszą bieliznę, śliwkowy pulower w odcieniu, jakiego z całą pewnością nigdy nie znajdę po raz drugi, bo na pewno popełniono błąd przy farbowaniu, turkusowy golf z kaszmiru, który póldarmo kupiłam na Orchard Street, wreszcie znoszone białe dzinsy, stary meksykański pas wysadzany srebrem i turkusami, który kosztował majątek, ulubione srebrne kolczyki, najlepsze

cowbojskie buty, wspaniałe różowe blezer, który kupiłam na wyprzedaży i tę pelerynę w kolorze oberżyny, która wygląda, jakbym ją ukradła u Beau Brummella. Pochodzi ze sklepu z używanymi rzeczami w Hackensack.

- Czy to uczciwe? - odezwała się gniewnie Billy. - Gigi się nie pakowała. Nic dziwnego, że ledwo chodzi, ma na sobie szesnaście warstw.

- Wszystko, czego nie zakazałem, jest uczciwe - za wyrokował Spider. - Co masz w torbie, Gigi?

- Ponieważ została mi tylko minuta, chwyciłam parę przyzwoitych brązowych spodni z aksamitu na okazje, gdzie nie nadają się dżinsy, jakieś dziesięć szalików i apaszek różnych rozmiarów, bo dzięki nim wyglądam jak dziesięć różnych osób, najlepsze paski, secesyjną biżuterię, którą kolekcjonuję, i czarną aksamitną kamizelkę, którą dostałam przed laty od Billy, bo jest to moja najulubiejsza rzecz. A, jest jeszcze śliczny bukietik sztucznych fiołków, których po prostu nie mogłam zostawić.

- Żadnych bluzek? - zapytał Spider.

- Pomyślałam, że bluzki czy bawełniane koszulki zawsze mogę kupić - ten pożar chyba nie zniszczy też sklepów, co?

- Nie.

- Właściwie... pakowanie zajęło mi... no, jakieś dwanaście minut, bo nie mogłam się zdecydować, które paski i apaszki są najulubiejsze i musiałam je poprzymierzać... powinnam była wziąć wszystkie - wyznała z zakłopotaniem Gigi. - Chyba oblałam. Razem zajęło mi to szesnaście minut. Mogłabym tak spędzić dwie godziny.

- Ile czasu zajęło ci włożenie spodni i kamizelki? - spytał Spider.

- Mniej niż minutę.

- Dobra, wszystko zapisuję. - Uśmiechnął się do winowajczynie. -

Możesz już zdjąć pelerynę. - W swoich grubych ubraniach i osiemnastowiecznej pelerynie, która mogła pochodzić z wypożyczalni kostiumów, wyglądała tak uroczo i była tak zmieszana, że Spider poczuł przelotne pragnienie pocieszenia jej pocałunkiem. Nie przypuszczał, że wszystkie potraktują go tak poważnie, że nie będą próbowały obejść jego propozycji alarmu przeciwpożarowego. Czy kobiety są bardziej dosłowne niż mężczyźni? A może tylko te kobiety?

- Dobra - Billy z oburzeniem pociągnęła nosem - widzę, że tylko ja trzymałam się zasad. Miałam ze sobą w garderobie Josie ze stoperem, nie zastanawiałam się wcześniej i nie zrobiłam listy ani nie włożyłam na siebie tego, co miałam spakować.

Przypomniała sobie, jak biegała boso po dywanie barwy kości słoniowej w swojej osiemdziesięciometrowej garderobie, praktycznie odbijając się od ścian wybitych lawendowym jedwabiem, siniacząc się o tkwiącą pośrodku pokoju jak wyspa wieloboczną komodę z przezroczystego plastyku na dodatki, śpiesząc się, aby wśród wiszących na długich szynach setek ubrań, z których wielu jeszcze w ogóle nie nosiła, znaleźć kilka niezbędnych strojów. Pomyślała gniewnie, że oczywiście gdyby dziewczęta nie wynajęły wspólnie mieszkania w zachodnim Hollywood - bo twierdziły, że są zbyt przyzwyczajone do niezależności, żeby się wprowadzić do jej domu - mogłaby nadzorować pakowanie ich toreb, pilnując, żeby nie oszukiwały, co z pewnością zrobiły.

- Brawo, Billy. Wiedziałem, że zagrasz czysto. Zobaczmy, co przyniosłaś - powiedział Spider tak przymilnie, jakby mówił do nieśmiałego pierwszoklasisty mającego zaprezentować coś klasie, bo w końcu uzmysłowił sobie, że drażliwość Billy brała się raczej z

nieśmiałości niż złości. Od czasu kiedy musiał osobiście zająć się zapraszaniem gości na pierwsze przyjęcie w „Scruples”, wiedział, że Billy jest nieśmiała, ale udawało się jej to ukrywać, nawet przed nim. Była to jedna z jej najmiłszych cech, chociaż gdyby to jej powiedział, nigdy by mu nie uwierzyła. Postanowił jednak tego nie robić.

Wiedział, że ma trzydzieści dziewięć lat, bo był od niej młodszy o jedenaście miesięcy, co sprawiało, że co roku przez miesiąc między jego urodzinami w październiku i jej w listopadzie mieli oficjalnie po tyle samo lat. Porównywanie z młodszymi kobietami prawdopodobnie ją krępowało. Billy była przyzwyczajona do podróżowania z górą kosztownych bagaży, najpewniej od czasu poślubienia Ellisa Ikehorna nigdy się sama nie pakowała i miałyby trudności z ograniczeniem się tylko do ubrań mieszczących się w papierowej torbie na zakupy.

- Postanowiłam wziąć wszystko od jednego projektanta, żeby dobrze się łączyło - powiedziała Billy, zaglądając do swojej torby. - Saint Laurent jest najpraktyczniejszy. Mam tu czarne spodnie i żakiet, czarną kaszmirową bluzkę i sweter do kompletu, czarną bluzkę z szyfonu, białą z jedwabiu, czerwoną zamszową kurtkę, która pasuje do wszystkiego i można ją też nosić jak krótki płaszcz, spódnicę do kompletu, długi trencz w szkocką kratę z nieprzemakalnego jedwabiu z podszewką z czerwonego atłasu. Nie wiem dokładnie, ile mają lat, ale wszystko się sprawdziło.

- To prawie to samo, co ja przyniosłam, tylko że to są prawdziwe rzeczy, a nie podróbki - powiedziała w zdumieniu Sasza.

- I nikt by się nie zorientował - dodała Billy - chyba żeby spojrzeć na metki, bo, podobnie jak ty, wybrałam najprostsze i najbardziej klasyczne rzeczy, jakie mam. Mogłybyśmy razem objechać świat jako dwuosobowy

czerwono-czarny zespół.

- Czy nikt nie chce zobaczyć, co ja przyniosłem? - spytał Spider.

- Ty? Ten katalog jest przeznaczony tylko dla kobiet - rzekła zaskoczona Billy.

- Wydawało mi się, że tak będzie uczciwie - odparł Spider wyciągając zza biurka torbę na zakupy i stawiając ją na podłodze. - Dobra, tu macie dwurzędowy blezer, elegancką koszulę i szare flanelowe spodnie - to mój najbardziej uroczystry strój i przyniosłem go, bo nie cierpię zakupów. Tu jest trenz Burberry, gruby granatowy sweter w warkocze, który dostałem od mamy pięć lat temu i w którym żyję, para ulubionych kaszmirowych pulowerów w serek, trzy koszule robocze i para dżinsów. I okulary do czytania. Czy nikt inny nie wziął okularów do czytania?

- Mam je w torebce - powiedziała Billy, a dziewczęta spojrzały po sobie w zdumieniu. Okulary do czytania?

- Tak, torebki dają paniom przewagę.

- Jeśli przestaniesz nazywać nas paniami, to dostaniesz od każdej po 25 centów - powiedziała Billy śmiejąc się po raz pierwszy tego ranka.

- To jak mam do was mówić, żebyście się na mnie nie rzucały?

- Kobiety - powiedziała Billy.

- Damy - zaproponowała Sasza.

- Ludzie - rzekła Gigi. - Mów do nas „ludzie”, to jedyna bezpieczna możliwość.

- Dobra, ludzie, o czym mówi ten stos na dywanie? - spytała Gigi, która do sterty ubrań dodała swój płaszcz, blezer, pas i golf. - Że jesteście bandą niesentymentalnych, praktycznych, ślepych na kolory papug nie wiedzących, co zrobić z dodatkami, nawet gdyby owinęły się wam

dookoła szyi, jak szal biednej Isadory Duncan.

- Punkt. - Spider uśmiechnął się do niej pobłaźliwie. Gigi wpuściła do dzinsów cienki, śliwkowej barwy obcisły pulower i przypięła sobie przy szyi bukietek fiołków. Ażurowe srebrne kolczyki zwieszały się jej do ramion, a rude włosy sterczały z oburzeniem na wszystkie strony jak u rozwścieczonego kota.

Pomyślał, że jedna jej połowa wygląda, jakby za chwilę miała dać koncert na harfie, a druga, jakby już-już miała wskoczyć na rozbrykanego konia.

- No cóż - powiedziała Sasza - poza tym, że Billy i ja myślimy podobnie, mimo że ona robi to pięć razy szybciej, tylko ja przyniosłam sukienkę. Po pożarze mieszkania często je się na mieście - czy tylko ja zdałam sobie z tego sprawę?

- Ja mam spódnicę do czerwonej kurtki, dwie bluzki, tę czarną z szyfonu i białą jedwabną, według mnie odpowiada to dwóm sukienkom - zauważyła Billy.

- A ja mam blezer - rzekł Spider - i elegancką koszulę. Nie mam krawata, ale zawsze w razie potrzeby mogę go sobie kupić. Mógłbym się do was przyłączyć w restauracji i nie narobić wam wstydu.

- Ja też - powiedziała Gigi - gdybym włożyła moje aksamitne spodnie. Kowbojskie buty nadają się na każdą okazję.

- Przez sukienkę - upierała się Sasza - rozumiem seksowną sukienkę. Twoje bluzki nie są szczególnie seksowne, Billy, podobnie jak sweter Gigi.

- Sasza ma rację - powiedział Spider. - I jednocześnie jej nie ma. „Seksowne” nie znaczy z wyciętym dekoltem czy przylegające do ciała jak

druga skóra, „seksowne” to podejście do stroju.

- Och, Spider, nie próbuj sprzedawać nam naszych własnych starych ubrań - odezwała się Billy, pamiętając, jak niegdyś pouczał kobiety, co i jak mają nosić.

- To taka uwaga dla pamięci, Billy. Czy ktoś ma coś jeszcze do powiedzenia?

- Tak - powiedziała Billy. - Z wyjątkiem sukienki Saszy, każda zapakowana przez nas rzecz jest oddzielna. Spodnie, żakiety, swetry, bluzki. Tylko jedna spódnica - moja. Tylko Sasza i Gigi pomyślały o nogach. Wszystkie mogłybyśmy nosić rzeczy Spidera, gdyby były uszyte na kobietę. To, co tutaj mamy, z wyjątkiem akcesoriów Gigi i sukienki Saszy, tworzy jakiś temat. Czy idę za tokiem twoich myśli, Spider?

- Aha.

- Nie rozumiem - powiedziała Gigi. - Czy masz na myśli uniseks?

- Ja chyba rozumiem, ale mnie się to nie podoba. Chyba mówisz o czymś nudnym i bezpiecznym - powiedziała płaczliwie Sasza. - Nie cierpię ubrań wyglądających na prezenty, ale tak samo nie cierpię ubrań nudnych.

- Nie - odparła Billy wstając. Słowa dobierała z rozmysłem, powoli. - Mówię o tym, że koncentrujemy się na kolekcji najlepszych z możliwych oddzielnych elementów, które kompletnie przemyślimy, aby nadać im unikalny charakter... pomyślmy o nich jako o nowych klasykach, które można łączyć na dziesiątki różnych sposobów, tworząc wszechstronną garderobę na większość zwykłych, rzeczywistych sytuacji. Nikt nie próbuje sprzedawać za pośrednictwem katalogu sukni na specjalne okazje... kobiety lubią je kupować osobiście. Ani szytych na miarę

kostiumów. Oczywiście, wynajmiemy własnych projektantów - ależ tak, całkowicie uniwersalne oddzielne części, których wygląd można stonować lub podkreślić.

- Nie potrafiłbym tego wyrazić lepiej - powiedział Spider.

- Dziękuję, panie Elliott. We Francji mówiących coś takiego ludzi nazywa się „inspektorami skończonej roboty”.

- Klasyki? - spytała Gigi z miną wyrażającą rozczarowanie. - Ja nigdy nie noszę nic klasycznego.

- Ależ oczywiście, że tak - powiedziała Sasza - tylko że nosisz je w dziwacznych kolorach i zestawieniach, zawsze są za duże, za małe lub z jedenastej ręki, ale też masz żakiet, spodnie i swetry, jak my wszystkie.

- Och. Rzeczywiście. - Gigi wyglądała na przygnębioną. Klasyka! - A co z dodatkami?

- Myślę, że tutaj damy klientkom wolną rękę - rzekł Spider.

- O nie, uważam, że tu właśnie powinniśmy pokazać im właściwą drogę - odparła rozdrażniona Gigi. - Weźmy czarny kardigan Saszy - za pomocą właściwych dodatków mogłabym z niego zrobić piętnaście czy dwadzieścia różnych ubrań. Gdybyśmy sprzedawali absolutnie doskonały, najlepszy na świecie czarny kardigan i nie mieli czterech stron zdjęć z różnymi sposobami, w jaki można go nosić, to nie dawalibyśmy naszym klientkom towaru, na jaki zasługują!

- A kiedy znajdziemy kogoś, kto zaprojektuje nam nasz doskonały kardigan, kardigan „Scruples II”, to powinniśmy oferować go w pewnej gamie kolorów. Nie wszyscy chcą się ubierać na czarno, wiele kobiet wręcz nie może. Potrzebujemy przynajmniej sześciu podstawowych kolorów... szary, granatowy, wielbłądzi...

- Bardzo mocno fioletowy, złamany lawendowy, coś w rodzaju jesiennie mchowo-mgłowo zielonego, cudowny błękit między ostróżką i niebem o zmierzchu, doskonały róż, nie szokujący róż, nie róż dziecinny czy jak malina, ale z całą pewnością ważny odcień różu, przydymiony beż, który nie jest ani zbyt żółty, ani zbyt brązowy... - Gigi przerwała, czekając na kontynuację natchnienia.

- Chwileczkę, ludzie - rzekł Spider. - Zanim pograżymy się w szczegółach, czy zgodziliśmy się co do głównej linii „Scruples II”, którą mają być klasyczne, wszechstronne, na nowo pomyślane oddzielne części? Prawdziwe stroje dla prawdziwych kobiet? W całej długiej historii katalogów nie było niczego takiego.

- Moment! A co z moją dawną bielizną? - zaniepokoiła się Gigi.

- A ja obiecałam Jessice dział z rzeczami, których nigdzie już nie można kupić - dodała Billy.

- Powiedziałam trzem moim ciotkom, że gwarantuję im dział, w którym będą mogły znaleźć cudowne rzeczy dla siebie. Ciotki są nadal piękne, kochają stroje i chcą za nie dobrze zapłacić, ale każda z nich waży ponad sto kilo - poinformowała zebranych Sasza.

- Włączymy wszystkie te rzeczy - powiedział Spider. - Prawda, Billy? Ale zasadniczy towar „Scruples II”, to, na czym będziemy zarabiać najwięcej, to, jak ja to widzę, oddzielne części garderoby potrzebne przez cały rok.

- Czy będziemy go wydawać cztery razy do roku? - spytała Sasza, nie chcąc zrezygnować ze swojego ulubionego tematu.

- Nie myślałem jeszcze o tym - przyznał się Spider.

- Myślę, że to zasadnicza sprawa, inaczej nie będzie to moda -

upierała się Sasza.

- Sasza ma rację - powiedziała Billy. - Musimy myśleć o następnym sezonie na długo przedtem, nim wyprzedamy poprzedni.

- Do tych szczegółów technicznych potrzebujemy fachowca od katalogów - zdecydował Spider. - Musimy wynająć najlepszą osobę ze świata katalogów, kogoś, kto na tym zjadł zęby. Nikt z nas nie ma pojęcia o cenach, listach wysyłkowych i o problemach, jakie możemy mieć z towarem. Ludzie, nie mamy zielonego pojęcia o katalogach, wiemy tylko, że „Scruples II” odniesie oszałamiający sukces.

- Możemy wynająć nawet dziesięć osób znających się na tym, Spider - zapewniła go Billy - ale nie możemy zatrudnić kogoś, kto wynalazł Garderobę Pięciominutowego Alarmu Przeciwpozarowego. W ten sposób chciałeś doprowadzić nas do głównej linii, prawda?

- Tak jakby.

- Uwielbiam ten twój wyraz twarzy mówiący: „Ach, to nic takiego, psze pani”, Spider - powiedziała Gigi.

- To było tylko przeczucie, Gigi - rzekł skromnie Spider.

Zadzwoił telefon na jego biurku. Wyrwany z koncentracji nad katalogiem, ze złością podniósł słuchawkę.- Kto? A, świetnie, proszę go wpuścić.

- To Josh Hillman - rzekł zwracając się do Billy. - Przyniósł te papiery, które mamy dzisiaj podpisać. Trzeba to zrobić w obecności świadków.

- Dlaczego jeden z najlepszych prawników w Los Angeles miałby przynosić je tutaj osobiście? - spytała Billy.

- Pewnie umiera z ciekawości, żeby się dowiedzieć, co knujemy.

- Och, nie widziałam Josha całe wieki! - zawołała Gigi. - Czy nadal jest najlepszą partią w Beverly Hills?

- Podobno tak - odparła Billy, wzduszając ramionami, a Sasza szybko wymknęła się z pomieszczenia drzwiami prowadzącymi do damskiej toalety.

Gigi rzuciła się do Josha, by go mocno uściskać i ucałować. Patrząc na niego, uświadomiła sobie nagle, że nigdy przedtem nie patrzyła na niego jak na mężczyznę. Musiała być bardzo dziecinna lub zbyt przywiązana do swych wyobrażeń o młodym Marlonie Brando, żeby zdawać sobie sprawę, że czterdziestoletni mężczyzna może jeszcze zaliczać się do kategorii przystojnych. Oczy miał bardziej szare niż kilka pasemek siwizny w krótkich włosach, był jak zawsze gibki, wyższy od Spidera, a jego wysokie kości policzkowe, kpiarskie spojrzenie, pełne sprytu usta i sardoniczny uśmiech składały się na postać, która przyciągała uwagę.

- Sprzedajecie używane rzeczy? - spytał Josh Billy, obejmując Gigi w tali i patrząc na górę ubrań.

- To rodzaj współzawodnictwa - powiedziała Billy ostrożnie. Jeszcze nie powiedziała Joshowi, w jaki interes wchodzi ze Spiderem, poprosiła tylko o przygotowanie umowy o wejście w spółkę.

- Josh, jesteś pierwszą osobą, która widzi zarodek „Scruples II” - oznajmił Spider.

- Myślałem, że to kolejny sklep, na stroje od dobrych projektantów wydaje się ostatnio mnóstwo pieniędzy.

- Nie sklep, i wcale nie tak mnóstwo pieniędzy - powiedział Spider głosem dumnego ojca, nie zauważając, że Billy usiłuje mu dać wzrokiem

znaki, żeby nie zdradzał ich planów. - Mamy zamiar stworzyć pierwszy wielki katalog mody bazujący na podstawowych ubraniach, bez których żadna kobieta nie może się obyć. Będzie to wprowadzie tylko dwadzieścia procent tego, co kupuje, ale takie rzeczy nosi przez dziewięćdziesiąt procent czasu.

- Skąd wzięłeś te wyliczenia? - spytał Josh, unosząc z powątpiewaniem brwi.

- Z Prawdy. Ale spytaj którąkolwiek kobietę, Josh, a zobaczysz, że je potwierdzi. Zamierzamy ten katalog rozreklamować tak, jak to się nikomu jeszcze nie śniło. Billy pojawi się w każdym ogólnokrajowym programie telewizyjnym dla damskiej publiczności, od Dzień Dobry, Ameryko i Dnia dzisiejszego do Phila i Oprah, a także w większych programach lokalnych, tak jak pisarze jeżdżą z nową książką - i pokaże ludziom, jak nasze poszczególne części garderoby pasują do siebie...

- Co takiego mam robić? - prawie wrzasnęła zaskoczona Billy. Dlaczego, do cholery, on wyobraża sobie, że pokażę się w telewizji?

- Oczywiście z trzema modelkami demonstrującymi ubrania, podczas gdy ty będziesz snuć nić przewodnią - przy tym całym porannym ćwiczeniu zapomniałem o tym wspomnieć. Przyszło mi to do głowy wczoraj wieczorem po obejrzeniu twojego nowego odrzutowca. Podróże nie powinny być uciążliwe, a różne programy będą o ciebie walczyć. Oczywiście będziemy musieli wydać wielkie przyjęcie dla prasy, tak jak zrobiliśmy to otwierając „Scruples”, na długo przed wysyłką pierwszego katalogu, może jedno tu, jedno w Nowym Jorku i jedno w Chicago. Może w Dallas? - rozpracuję to z naszymi ludźmi od reklamy...

- Jakimi ludźmi od reklamy? - wykrztusiła Billy.

- Tymi, których zatrudnimy, oczywiście - odpowiedział szybko Spider. Wstał i zaczął w podnieceniu chodzić wielkimi krokami po pokoju.

- Jeszcze jedno, z każdym towarem wymagającym wieszaka powinniśmy wysłać specjalnie zaprojektowany wieszak „Scruples II”, bo nie ma nic bardziej denerwującego niż za mała liczba wieszaków w domu, prawda, Josh? I właśnie przyszło mi do głowy, że Gigi też powinna często się pojawiać w telewizji ze swoimi pomysłami na temat dodatków, producenci telewizyjni zawsze szukają programów demonstracyjno-poradnikowych.

- Spider! - pisnęła Gigi, ale nie zwrócił na nią uwagi, porwany własną pomysłowością. - Będziemy się ogłaszać dla wybranych rynków w ogólnokrajowych czasopismach. Żaden katalog nie ma własnych reklam, a „Scruples II” jest darmowy, więc będziemy mieli fantastyczny odzew.

- A może by tak zamówić reklamy lotnicze - zeppelin z firmy Goodyear z odpowiednim napisem, co, Spider? - zapytała Billy.

- Strzał w dziesiątkę, Billy, strzał w dziesiątkę - powiedział Spider z taką miną, jakby właśnie doszedł do refrenu Glory, glory, alleluja. - Może to trochę zbyt oryginalne, ale podoba mi się twój sposób myślenia. Zawsze mi się podobał. - Zatrzymał się, by posłać jej całusa. - Każdej nowej klientce wyślemy specjalny centymetr „Scruples II” i naturalnej wielkości wykres ścienny, żebyśmy mogli określić jej dokładne wymiary i mieć mniej zwrotów... oczywiście będziemy przyjmować zwroty bez żadnych zastrzeżeń...

- Nikt tego nie robi, nikt! - powiedziała z oburzeniem Billy.

- I dlatego musimy to robić my. Jedynym sposobem na złapanie klientki na nowy katalog jest danie jej szansy zwrotu tego, co się jej nie spodoba - bez najmniejszego powodu. Jeśli nie będzie miała tej

możliwości, będzie oglądać, ale nic nie zamówi. Billy, wiem, że na początku może nas to dużo kosztować, ale zyskamy zaufanie klienteli, nauczymy się, jaki towar jest dobry, a jaki nie, a na dłuższą metę zwróci się to nam z nawiązką. Tak, Billy, zgadzamy się?

- Zgadzą się - uśmiechnęła się, wreszcie pokonana jego entuzjazmem. Dlaczego nie mieliby wykorzystać tego zeppelinu firmy Goodyear? Przed meczami piłkarskimi? Nie, to by pewnie było za drogie, ale zeppelin był wolny tylko w czasie niedzielnych meczów superligi. I dlaczego nie reklamować się w telewizji? Lester Weinstock wymienił swoje stare programy telewizyjne na całe tony czasu reklamowego, a ona mogłaby go od niego kupić ze znaczną zniżką. Koniecznie telewizja!

- I - ciągnął Spider - przynajmniej w pierwszym numerze powinniśmy ogłosić duży konkurs, na przykład klientki mogłyby przysyłać nam zdjęcia swych zestawień naszych ubrań, a zwyciężczynie przyleciałyby tu odrzutowcem Billy i poszła z wami wszystkimi na zakupy na Rodeo Drive, a także dostałaby po jednej sztuce ubrań z katalogu. Powinniśmy mieć kilka zwyciężczyń, może dziesięć? - a Sasza mogłaby...

- Co mogłaby Sasza? - spytała Sasza, wchodząc do pokoju w czerwonej sukience i czarnych lakierkach na wysokim obcasie, w które się właśnie przebrała. Zapadła kompletna cisza. Szła ku nim krokiem pełnym godności, a jednak energicznym, dzięki niemu sprzedała tyle majtek i staników, że mogłyby sięgnąć do księżycy. Stała się istotą pełną blasku i mrocznego płomienia ciemnoczerwonych rubinów. Jej wiotka sukienka z dzianiny przekształciła się w najlepiej skrojony strój na świecie. Długie rękawy jeszcze wzmacniały oszałamiające wrażenie wywołane przez głęboko wycięty dekolt, odsłaniający do połowy białe, wspaniałe piersi.

Spider zaczął się zastanawiać, jak bardzo można się pomylić? W przypadku Saszy seksowność to nie kwestia podejścia do stroju, lecz przylegania go do ciała jak druga skóra oraz - dekoltu. Kobiety zawsze go zaskakiwały.

Ona coś knuje, pomyślała Gigi z niepokojem... to ta magia Orloff-Nevskyh, za którą wszystkich ich powinno się zamknąć w więzieniu, a którą Sasza doprowadziła do perfekcji.

- Sasza - to Josh Hillman - powiedziała Billy, która jako jedyna zachowała tyle przytomności umysłu, żeby pamiętać, iż się nie znają. - Josh - to Sasza Nevsky, współlokatorka Gigi i nasza współkonspiratorka.

- Bardzo mi miło - powiedzieli jednocześnie Sasza i Josh, podając sobie ręce. Zamilkli i znów odezwali się jednogłośnie.

- Mnie także.

- Czy tak szybko wyczerpaliśmy możliwości rozmowy? - zapytała Sasza, zaglądając Joshowi w twarz z zapierającym dech w piersiach, intymnym uśmiechem, jakiego Gigi nigdy u niej nie widziała.

- Ee... nie... ee... mam nadzieję, że nie... nie tak szybko - wyjąkał Josh.

Wyglądał, jakby porządnie dostał cegłą w głowę, zauważyła nieco złośliwie Billy. Według niej temu konserwatywnemu prawnikowi przydałby się mały wstrząs, tak jak każdemu mężczyźnie, z wyjątkiem Spidera, który był jak żywe srebro.

- Jesteś współlokatorką Gigi? - spytał Josh Saszę, jakby w pokoju nie było nikogo poza nimi.

- Przez ponad dwa lata dzieliłyśmy mieszkanie w Nowym Jorku. Jestem o tyle starsza od Gigi, że pełniłam rolę jej przyzwoitki.

- O ile starsza? - spytał, jakby była to sprawa życia i śmierci.

- Mam wrażenie, że o dekadę - westchnęła, nieco chwiejnie się do niego przysuwając. - Właściwie o kilka dekad.

Czemu nie zemdleje? - spytała samą siebie z radością Gigi. Skoro mówi takie bzdury, to może równie dobrze paść zemdlona prosto w jego ramiona.

- Gdzie mieszkacie? - spytał Josh w napięciu.

- Gigi i ja mamy mieszkanie w zachodnim Hollywood... - odparła Sasza z nieoczekiwaną osobistą nutką w głosie, jakby to była po raz pierwszy dotknięta struna wiolonczeli.

- Josh - odezwała się Gigi w przypiływie litości dla niego - a może wpadniesz dziś wieczorem na drinka? Wszyscy oprócz ciebie już widzieli nasze mieszkanie, a my jesteśmy z niego bardzo dumne.

- To dobry pomysł, Gigi - powiedział sucho Spider. Te całe zaloty marnowały tylko jego czas. - Może lepiej obejrzyjmy te papiery, Josh?

- Papiery?

- Papiery, które przyniosłeś do podpisu.

- A, te papiery... Nie mam ich przy sobie. Ee... posłuchaj, Spider, nie ma pośpiechu, po prostu je wam zostawię. Gigi i... Sasza... jeśli mogę, to wpadnę na tego drinka dziś wieczorem - powiedział i uciekł z pokoju.

- Nie zna naszego adresu - rzekła Gigi.

- Myślę, że jakoś się dowie - roześmiała się Billy. - Wracamy do roboty, moje panie? Och, i mój panie... no, wracamy do roboty, ludzie.

* * *

- Może wreszcie przestaniesz się bawić wiaderkiem do lodu i

wyjdiesz! - rozkazała Sasza Gigi z niecierpliwością w głosie.

- Ma jeszcze całe piętnaście minut - zauważyła Gigi.

- A jeśli przyjdzie wcześniej? Nie chcę, żeby gdzieś tu w sąsiedztwie plątał się ten twój obrzydliwy, różowy samochód!

- Idę, idę, ale najpierw musisz mi wyjaśnić, dlaczego nie włożyłaś swojej szczęśliwej sukienki. Jeśli istnieje odpowiednia pora...

- Już nie jest mi potrzebna.

Gigi spojrzała na Saszę ubraną w czarną sukienkę bez najmniejszego dekoltu, która była najbardziej konserwatywną i najdroższą częścią jej garderoby. Był to niezwykle prosty, przylegający do ciała futerał z jedwabnej krepki.

- W tej sukni wyglądasz jak... Jak co?

- Jak... o, mój Boże! Jak porządna dziewczyna! Sasza, przyjmuję do wiadomości, że jesteś Wielką Dziwką, ale nie rób tego, nie możesz być tak okrutna - powiedziała błagalnie Gigi. - Wiem, że mężczyźni muszą cierpieć, ale dlaczego chcesz zrobić swoją ofiarę z tego słodkiego, uprzejmego, dobrego człowieka. Nigdy w życiu nie uczynił nic złego, a ty zmuszasz go, żeby traktował cię jak przyzwoitą dziewczynę!

- Nieważne - rzekła wyniośle Sasza.

- A z włosami tak sztywno upiętymi na czubku głowy wyglądasz wręcz wiekowo - powiedziała z gniewem Gigi, energicznie szturchając pogrzebachem drewno płonące w kominku.

- Jak wiekowo?

- Prawie... na trzydzieści pięć lat.

Pełen zadowolenia uśmiech na krótko rozświetlił promieniejącą twarz Saszy.

- Dobrze. A teraz wynocha, Isadoro, zanim cię uduszę twoim najmniej ulubionym szalikiem.

- Dobrze, dobrze, ale najpierw mi powiedz... bo nie wyjdę - powiedziała cofając się Gigi - powiedz mi, czy przebrałaś się w tę szczęśliwą sukienkę po usłyszeniu słów „najlepszy prawnik” czy „najlepsza partia”?

- Słowo honoru, że nie pamiętam. To było chyba instynktowne, odruchowe działanie, spowodowane czymś związanym z jego nazwiskiem. Josh Hillman - to dobrze zabrzmiało. Och, czy możesz wreszcie wyjść?

- Sasza, chyba nie jesteś, nie, nie możesz być... zdenerwowana...? - Gigi podeszła bliżej i uważnie przyjrzała się przyjaciółce.

- Sasza Nevsky nawet nie wie, co to znaczyć być zdenerwowaną - odparła groźnym tonem - ale ty będziesz wiedziała, jeśli nie wyniesiesz się stąd w ciągu pięciu sekund.

* * *

- Zabrakło nam drewna - powiedział Josh. Siedzieli z Saszą przed dogasającym ogniem. - Jak to możliwe? Kiedy przyszedłem, było go dużo.

- Która godzina?

- Prawie dziesiąta. Co się stało z czasem?

- Czy spędziliśmy go rozmawiając o Hillmanach?

- I o Orloff-Nevskych?

- Nie potrafię dojść z tym do ładu - odparła z rozmarzeniem Sasza. - Hillmanowie to zupełnie jak banda Nevskych, którzy akurat nie umieją tańczyć. Wszystko mi się miesza.

- Ale nie jedliśmy kolacji - rzekł z troską w głosie Josh. - Zarezerwowałem stolik w „Le Chardonnay” na ósmą trzydzieści.

- Dla trzech osób?

- Dla dwóch. Planowałem jakoś rozdzielić cię z Gigi. Musimy coś zjeść. Zadzwońię do Roberta i powiem, że jedziemy.

- A gdybym powiedziała, że jestem w nastroju, żeby pojechać do zajazdu, czy pomyślałbyś, że jestem szalona?

Josh spojrział w zdumieniu na tę niezrównaną kobietę. Od kilku minut marzył o wołowinie z puszki na zbożowym pieczywie. Nigdy przedtem nie mówił tyle, i to o sprawach osobistych, nigdy nie miał tak współczującej, rozumiejącej słuchaczki, a dla jego stanu uniesienia odpowiednia była jedynie żydowska kuchnia.

- Zabieram cię do Arta w Dolinie, to najlepszy zajazd w Los Angeles
- obiecał. - Pożegnaj się z Marcelem.

* * *

Nikt u Arta nie był zaskoczony widokiem wchodzącej eleganckiej pary. Od wystrojonych nastolatków wracających z rozdania świadectw do sześciotygodniowych dzieci; od grup zażywnych, zdrowych emerytów do znakomitości kina uciekających ze słynnych restauracji - w końcu różni ludzie znajdowali drogę do Arta. Sam Art czuwał nad swym słynnym lokalem przyozdobionym uspokajającą kombinacją beżów. Na ścianach wisiały ogromne fotografie wszystkich jego kanapek, a przestronne łóża były tak rozmieszczone, żeby goście mogli jeść w atmosferze prywatności i względnego spokoju, nieznannej w innych zajazdach Hollywood.

Sasza i Josh dostali półkolistą łóżę w rogu oraz otwarte karty dań oferujące oprócz osiemnastu przystawek czterdzieści cztery rodzaje kanapek, osiem zup, sześć odmian hamburgerów, trzydzieści osiem rodzajów gorących i zimnych dań, trzynaście sałatek, osiemnaście

zakąsek, osiem rodzajów ziemniaków i osiemnaście deserów.

- Ojej! - Sasza wyglądała na oszołomioną. - O rany!

- Czy mam zamówić za ciebie?

- Proszę. Nie wiedziałabym, od czego zacząć.

- Jak bardzo jesteś głodna?

- Nie jestem pewna, ale logicznie rzecz biorąc muszę umierać z głodu. Właściwie od śniadania nic nie jadłam... plany co do katalogu były zbyt ekscytujące.

Josh przejrzał menu.

- Lubisz wędzone ryby? - spytał, a kiedy skinęła potakująco głową, podniósł wzrok na kelnerkę. - Na początek prosimy o kilka przystawek: jesiotr, łosoś, węgorz i, zobaczmy, ach, śledź w śmietanie... hmmm... a potem dla mnie kanapkę z wołowiną i - Sasza, czy chcesz wołowinę? Dobrze, proszę dwie kanapki z wołowiną i może mostek cielęcy na francuskiej bułeczce z sosem, i jedną z tych waszych ogromnych kanapek, tę potrójną: z krwistym befsztykiem, wołową wędzonką i szwajcarskim serem - Specjał Arta. To powinno wystarczyć na początek. I placki ziemniaczane ze śmietaną i dużo przecieru jabłkowego. Może mogłaby nam pani przynieść kilka dodatkowych czystych talerzy, żebyśmy mogli się podzielić porcjami. Do picia? Woda sodowa, Sasza? Białe wino? Piwo? Szampan? Nazywa się Rocar, pewnie kalifornijski? Świetnie, proszę butelkę Rocara i trochę zwykłej wody.

Czekając na przystawki Josh i Sasza sęczyli w zamyśleniu szampana, wykorzystując głód jako wygodne wyjaśnienie nagle zapadłej między nimi ciszy. Sasza przeklinała się za zaproponowanie zajazdu; nawet głodna kobieta powinna pamiętać, że jest w nich najsilniejsze światło na świecie.

Ale Josh był taki cudowny, że zapomniała o wszystkim z wyjątkiem tego, że jego oczy spoglądają ku górze. Pocałować go dokładnie tam, w zewnętrzny kącik każdego oka, w zmarszczki od śmiechu pojawiające się przy każdym uśmiechu... Nigdy w życiu nie przytrafiło się jej nic podobnego i bez względu na obecność światełek już nigdy się nie przytrafi. Pomyślała ze zdumieniem, że jej kariera jest skończona, że wieloletnie torturowanie mężczyzn zostało przerwane przez jednego dorosłego mężczyznę, którego w razie konieczności była gotowa osłonić własnym ciałem przed kulami.

Próbując nie wpatrywać się w Saszę Josh pomyślał, że nosi ona w sobie wewnętrzne światło. Nieważne, jak była piękna w blasku ognia, a kiedy widział ją wyraźniej, była jeszcze bardziej zachwycająca. Gdy miał tego ranka szczęście zobaczyć ją po raz pierwszy, była zaskoczona, wyglądała nieco dziko i złośliwie. Nawet mu się nie śniło, że jest samą doskonałością. Nic dziwnego, że Billy powierzyła jej Gigi - była tak skromna, pełna godności i cudownie spokojna. Były to cechy niezwykle, jakie w tych krzykliwych czasach mogła zachować jedynie kobieta o rzadkich zaletach. Czuł, że już dostrzega jej cechy charakteru: czarujący wdzięk połączony z kruchą, wyrazistą dorosłością oraz pełną skupienia umiejętnością słuchania. Ale, mój Boże, ta górna warga, ta pełna górna warga, ta wydęta, zawijająca się górna warga... mężczyzna potrafi znieść tak niewiele...

- Proszę - powiedziała kelnerka, stawiając przed nimi cztery talerze wyładowane wędzoną rybą, stertą pokrojonego żytniego chleba, pokrojonymi pomidorami, cebulą i cytrynami oraz owalny półmisek z piklami.

- Zaczynaj - rzekł Josh, podając Saszy widelec. Przeniosła na pusty talerz kawałek wędzonego jesiota, dodała płatek wędzonego łososa i kawałek cytryny. Gdy Josh nakładał sobie, skubnęła skórkę chleba. Wzięła kęs wędzonej ryby, pogryzła ją z wysiłkiem i popiła szampanem. Josh nabił na widelec plasterek wędzonego łososa i przełknął go jedynie dzięki sile woli.

- To dziwne, kiedy jest się zbyt głodnym... czasami nie można jeść od razu - mruknęła.

- Wiem... chyba zamówiłem zbyt dużo jedzenia.

- Tak dużo nam przyniosła.

- Słyną z dużych porcji...

- Wcale nie chodzi o to, że jesiota nie jest wspaniały...

- Spróbuj trochę łososa - zaproponował Josh.

- Och, nie mogę, zostawiam miejsce na kanapkę.

- Śledzia?

- Nie, dziękuję - odmówiła żałośnie.

- Czy byłaś już kiedyś mężatką? - Jego głos był spokojny.

- Nie, dziękuję.

- Pytałem, czy byłaś mężatką.

- Ach nie.

- Dlaczego?

- Nie spotkałam odpowiedniego mężczyzny. Tylko chłopców, niedojrzałych chłopców.

Przynajmniej tacy mi się wydawali.

- Jak to możliwe?

- Nie mam pojęcia - powiedziała Sasza w oszołomieniu. -

Przypuszczam, że byli dla mnie za młodzi. Ale ty byłeś żonaty. Dlaczego się rozwiodłeś?

- Nie byłem zakochany w żonie.

- Czy to wystarczający powód?

- Ja... zakochałem się w kimś innym.

- Kto to był? - spytała Sasza czując, jak w żołądek wbija się jej ostra strzała czystej zazdrości.

- Valentine, zanim poślubiła Spidera - odparł Josh.

- Przepraszam - powiedziała cicho Sasza.

- Teraz jest już w porządku. Nikomu tego nie mówiłem oprócz ciebie. - Sam był zdumiony tym wyznaniem.

- Czy z rybą coś jest nie tak, panie Hillman? - spytała kelnerka zmartwionym głosem.

- Nie, tylko nie byliśmy tak głodni, jak sądziliśmy.

- Co mam zrobić z kanapkami?

- Och, proszę je przynieść. Może nas natchną do czynu.

Kelnerka sprzątnęła ze stołu i wróciła do kuchni, zatrzymując się po drodze na słówko z Artem. Wróciła obładowana wielką tacą, z której przełożyła na stół cztery talerze z kanapkami i półmisek z plackami ziemniaczanymi. Każda kanapka była przynajmniej dwunastocentymetrową wieżą cienko pokrajanego mięsa ułożonego na specjalnie pieczonym żytnim chlebie, przybraną piklami i plasterkami cebuli.

- Dobry Boże - powiedziała przerażona Sasza - w Nowym Jorku nie widziałam niczego takiego.

- Rozkładam je na pół i jem jak zwykłe kanapki, bo inaczej nie

można ich włożyć do ust. Daj, zrobię ci taką porcję.

- Ja... czy mogłabym zacząć od przecieru?

- Bez placków?

Skinęła głową, zachwycona widokiem jego dłoni poruszających się wśród talerzy, podnoszących salaterkę z przecierem i stawiających ją przed nią. Ujęła łyżeczkę i zanurzyła ją w przecierze. Powiedziała sobie, że przecier jabłkowy jedzą niemowlęta, maleńkie bobasy z nierozwiniętym układem pokarmowym potrafią pochłonąć całą tonę. Dlaczego ona nie może tego zrobić?

- Sasza, jedz przecier - rozkazał Josh i Sasza włożyła łyżeczkę do ust. Przełknęła dość łatwo, a dzięki szampanowi i sile woli zmusiła się do przełknięcia jeszcze czterech takich samych porcyjek.

- Na dnie talerza jest obrazek - powiedział Josh zachęcająco, patrząc, jak Sasza je.

- Pewnie masz dzieci.

- Troje. To dobre dzieciaki.

Sasza na nowo poczuła ukłucie potężnej zazdrości. Mężczyzna mający dzieci musi utrzymywać kontakty z ich matką. Żałowała, że go spytała. Odłożyła stanowczym gestem łyżeczkę. Spojrzała na jego kanapkę w wołowinę i na jej widok urosło jej serce. Nietknięta. Ani jednego kęsa.

- Josh, zjedz coś.

- Nie jestem głodny... chyba że... nie będziesz kończyła tego przecieru...

- Proszę, jest twój.

Zjadł kilka łyżeczek. Umiejętnie lawirując między kanapkami ujął jej dłonie w swoje ręce.

- Nie mogę jeść. To beznadziejne. Zakochałem się w tobie.

- Ja też - odparła słabym głosem Sasza.

- Nie możesz jeść czy zakochałaś się we mnie?

- I jedno, i drugie - wyszeptała.

- Wyjdiesz za mnie?

- Oczywiście.

- Spójrz na mnie - zażądał, ale nie potrafiła się zmusić do spojrzenia mu w oczy.

- Musimy stąd wyjść - powiedział Josh, zatrzymując przechodzącą kelnerkę. - Nie mogę czekać na rachunek.

- Położył na stole pięć dwudziestodolarowych banknotów.

- Myślę, że to powinno wystarczyć. Dziękujemy za obsługę.

- Ale proszę wziąć trochę ze sobą!

- Nieważne. - Wyprowadził Saszę delikatnie z łoży. Poszli do drzwi trzymając się za ręce.

- Nie jedli, nie chcieli nawet wziąć na wynos - zameldowała kelnerka Artowi.

- A nie mówiłem, Irmo? Zauważyłem od razu. Miłość. To jedyna rzecz, jaka nie pasuje do zajazdu. Ale wróć. Prędzej czy później znów zgłodnieją.

* * *

- Przestań - mruknęła Gigi. - Idź sobie. Właśnie byłam w środku cudownego snu.

- I tak zaraz zadzwoni ci budzik. Czekałam ze zbudzeniem cię całe pięć minut.

- Sasza, jesteś niemożliwa - rzekła Gigi otwierając oczy.

- Najpierw wyrzucasz mnie z własnego domu, a teraz wdzierasz się o świcie do mojej sypialni, żeby napawać się nowym podbojem... - Znów zamknęła oczy.

- Zamierzamy się pobrać.

- Jasne...

- Słyszałaś. Josh i ja...

- Nie możesz wyjść za człowieka, którego poznałaś wczoraj - rzekła Gigi odrzucając najnowszą formę tortury Saszy.

- A gdzie to jest napisane?

Gigi szeroko otworzyła oczy, usiadła i bez słowa przyjrzała się przyjaciółce. Sasza nadal miała na sobie czarną sukienkę, ale włosy opadały jej na ramiona, a makijaż prawie zniknął; zastąpił go wyraz tak czystej i skończonej szczęśliwości, że Gigi zwilgotniały oczy.

- Sasza! - Zarzuciła jej ręce na szyję i ucałowała w policzki. - Mój Boże! To cudowne - brak mi słów - kiedy?

- No, nie od razu. Zorganizowanie dużego wesela wymaga czasu.

- Ale... ale... - Gigi przerwała, zbyt oszołomiona, żeby zadać jakieś pytanie.

- Pewnego dnia i ty spotkasz mężczyznę, Gigi, kogoś, czyjego cierpienia nie będziesz mogła znieść - rzekła współczująco Sasza.

- Dziękuję, Sasza, dobrze, że mi o tym powiedziałaś. Dzięki za podzielenie się ze mną tą wiadomością. Daje mi nadzieję. Czy to Josh chce tego wielkiego wesela?

- On chce wszystkiego, czego chcę ja - rzekła Sasza z pełnym zachwytem, uzasadnionym przekonaniem.

- I będziesz miała długą, białą suknię?

- Z długim trenem i długim welonem, i wiem, do czego zmierzasz, Gigi. Istnieje powód, dla którego sześć sióstr Orloff zawsze się ze sobą zgadza. Nie ważą się zrobić inaczej. Widzisz, jest coś, co się nazywa Straszny Przekleństwem rodziny Orloff, a jeśli ktoś cię nim przeklnie, to żegnaj, Charlie.

- Czy nie jest to raczej: „Żegnaj, Wielka Dziwko?”

- Gigi! Ostrzegam cię...

- Nie boję się ciebie. Moje dwie babki ze strony Orsinich, Giovanna i Graziella, pochodziły z Florencji. Potomkini dwóch bardzo władczych dam pochodzących z miejsca, gdzie przed setkami lat wydarzyło się mnóstwo strasznych rzeczy - słyszałaś kiedyś o Savonaroli? - może w każdej chwili stawić czoło sześciu siostrom Orloff - więc po prostu puszczę przeszłość w niepamięć. Ze względu na Josha będzie to biała karta, znam go nieco dłużej niż ty. Och, Sasza, tak się cieszę! Zasługujesz na niego! Gratulacje!

- Nie gratuluje się panie młodej, gratuluje się panu młodemu - powiedziała Sasza padając na łóżko i nie posiadając się z radości. - Pannie młodej mówi się, że będzie bardzo szczęśliwa.

- Wiem, że będziesz bardzo szczęśliwa, najdroższa Sasza. Czy on wie, ile masz lat?

- Właściwie nie doszliśmy do tego. Ja też nie wiem, ile on ma lat. Jakie to ma znaczenie?

- Może po ślubie? - podsunęła Gigi.

- Dobry pomysł. Jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

- No, kochanie - powiedziała Billy z wysublimowaną słodyczą do Johna Prince'a, najbogatszego z najlepszych amerykańskich projektantów mody - nie wybuchaj, póki ci tego nie wyjaśnię. Znamy się na to za dobrze i za długo.

- Nie projektuję tanich strojów, Billy. Nigdy tego nie robiłem i nie będę robił. Jestem oszołomiony, tak, oszołomiony, że zwróciłaś się z tą propozycją akurat do mnie. Katalog! Dobry Boże! - Prince był autentycznie urażony. Jego kwadratowa, przyjemnie uspokajająca twarz zmarszczyła się w grymasie dezaprobaty, a starannie pielęgnowany sposób bycia angielskiego ziemianina został zastąpiony bezpośrednio rodem ze Środkowego Zachodu.

- Umiarkowanie drogie, Prince, kotku, nigdy „tanie”.

- Nie obchodzi mnie, jakich używasz przymiotników - powiedział Prince. Siedział z Billy w swoim biurze w Nowym Jorku. Był przejmująco zimny lutowy dzień. - Możesz mówić cokolwiek, co pozwala ci się nie rumienić, ale mówisz o spódnicy, którą będzie się sprzedawać za pięćdziesiąt dolarów.

- A dlaczegoż by nie?

- A przejrzyj się w lustrze, na litość boską! Ten mój kostium kosztował dwa tysiące dwieście dolarów. Spójrz na materiał, na wykonanie, na...

- Narzut - rzekła Billy z uroczym uśmiechem. - Prince, ja kiedyś prowadziłam sklep, więc wiem, ile ten kostium naprawdę kosztuje. Jeśli dobrze pamiętam, to twoje koszty uszycia go, łącznie z materiałem, dodatkami, robocizną i procentem kosztów stałych, takich jak na przykład

czynsz, nie mogły przekroczyć czterystu pięćdziesięciu pięciu dolarów. Sprzedałeś go Bergdorfowi za tysiąc, ponieważ przeciętny narzut wynosi nieco więcej niż twój podwojony koszt. Narzut Bergdorfa także wynosi nieco więcej niż dwa razy, co daje nam u niego cenę dwóch tysięcy plus, można śmiało dodać, jeszcze coś na poprawki. Tak więc jestem ubrana w coś, co naprawdę kosztuje mniej niż pięćset dolarów, a zapłaciłam za to w detalu cztery razy tyle.

Ja sobie mogę na to pozwolić, ale jako jedna z bardzo nielicznych. Prawdopodobnie nie sprzedałeś w całym kraju więcej niż dwanaście takich kostiumów, jeśli w ogóle udało ci się sprzedać aż tyle.

- Do czego zmierzasz, Billy? - spytał gniewnie Prince. Bał się tych, rzadkich na szczęście, klientek, które znały strukturę cen w przemyśle odzieżowym. Wcale nie były upoważnione do tej wiedzy, która odzierała piękne stroje z ich blasku. Jak można się cieszyć włożeniem kosztownego kostiumu, jeśli zna się jego prawdziwą wartość? Dlaczego Billy Ikehorn tak go dręczy? Dlaczego nie poszła do jubilera, od którego kupiła swoje diamenty, i nie powiedziała mu, że jego narzut wynosi sto procent, zostawiając Prince'a w spokoju?

- Chcę ci po prostu uświadomić - rzekła Billy z niewinną miną - że gdybyś sprzedał dwadzieścia takich kostiumów, to miałbyś zysk z grubsza dziesięciu tysięcy dolarów. Gdybyś projektował ubrania w umiarkowanych cenach, to przy każdym modelu dostawałbyś zamówienia na setki tysięcy sztuk, zarabiając mniej na każdej z nich, ale na dłuższą metę o wiele, wiele więcej.

- Czy myślisz, że o tym nie wiem, Billy? - odparł pogardliwie Prince.
- Ten pomysł ani przez sekundę nie stanowi dla mnie pokusy. W

dziedzinie gotowych strojów moje nazwisko oznacza najwyższą klasę. Zarobiłem pieniądze, o jakich się wielu nie śniło... W dziełach Johna Prince'a nie chodzi o tysiące sztuk. Ludzie byliby oburzeni, gdybym zaczął projektować stroje w umiarkowanych cenach. Straciłbym moje panie, moje śliczne panie.

Billy stłumiła westchnienie irytacji. Ukochane panie Prince'a, które rywalizowały ze sobą o jego obecność - jako niezastąpionego gościa - na każdym z ich przyjęć, były jedynie garstką kobiet na Manhattanie, które uzależniły się od Prince'a, jakby był on magicznym amuletem przeciwko mocom towarzyskiego zapomnienia. Te kobiety, a także im podobne w piętnastu może miastach Ameryki, uzbrojone w zawsze twarzowe, zawsze odpowiednie, stylowe i ewidentnie drogie kreacje Prince'a, mogły się pewnie poruszać wśród przyjaciół i wrogów, bezpieczne w swym poczuciu, że na pewno nie można ich oskarżyć o brak smaku czy też o niezdolność swobodnego wydawania pieniędzy.

Billy pomyślała, że namówienie Prince'a do projektowania dla „Scruples II” jest warte każdej minuty spędzonej na namowach, i jeszcze utwierdziła się w zamiarze. Miał szczególny talent, którego nigdy specjalnie nie cenił, a którego Billy potrzebowała. Co równie ważne, udzielając licencji na używanie swego nazwiska, w ciągu ostatnich dwudziestu lat stał się sławny w całym kraju. Gdyby Prince był natychmiast rozpoznawany jedynie przez trzysta czy czterysta tysięcy kobiet czytających Vogue, Fashion and Interiors i Harpers Bazaar, to dla przyszłych klientek „Scruples II” miałyby to niewielkie znaczenie, lecz słowa: „By John Prince” można było znaleźć na najlepszej pościeli i ręcznikach, paskach, butach, biżuterii, okularach przeciwsłonecznych,

zegarkach i torebkach. Jego perfumy odniosły ogromny sukces. Jego nazwisko było tak szeroko i tak długo reklamowane, że stał się instytucją równie dobrze znaną w Stanach Zjednoczonych jak Dior czy Saint Laurent we Francji. Namówienie Johna Prince'a do projektowania podstawowych kolekcji dla „Scruples II” byłoby dla milionów kobiet równoznaczne z natychmiastowym imprimatur autorytetu w dziedzinie mody.

Billy doskonale wiedziała, że w rzeczywistości Prince tworzył swe kosztowne gotowe stroje oraz projekty dla licencjobiorców przy pomocy całego legionu nieznanymi asystentów i asystentek. Jego ulubienicą była przez trzy lata Valentine.

Billy i Prince siedzieli z filiżankami kawy na ogromnej pikowanej kanapie Chesterfield będącej dumą anglofilskiego biura Prince'a. Od samego Prince'a po rzadkie, oprawne w skórę książki stojące na półkach regałów z błyszczącego mahoni, wszystko w owym wspaniałym pomieszczeniu łudziło, że znajdują się w sercu Londynu w jakimś bogatym domu wyimaginowanym przez projektanta, w świecie Henry'ego Jamesa, jaki Prince stworzył wokół siebie, od kiedy osiągnął sukces. Billy pomyślała mimochodem, że gdyby wyjrzała przez okno, to zamiast zatłoczonej Siódmej Alei powinna ujrzeć Hyde Park podczas wspaniałego czerwcowego dnia sprzed stu lat, ze wspaniałymi ubranymi jeźdźcami na wspaniałych koniach pełnej krwi, jadących szeroką ścieżką do konnej jazdy dostojnym stepem czy też galopem, spędzających czas w świecie, w którym cudowne nicnierobienie było codziennością, którą lubili.

Odwróciła się, by spojrzeć z namysłem na Prince'a, który był równie interesująco odziany, jak książkę Windsoru.

- Nikt nie komponuje własnego ubrania lepiej niż ty, Prince -

zauważyła zgodnie z prawdą.

- To taki cud zamierzonej sprzeczności, gdzie każda sztuka jest tak wyraźnie niezależna, a jednak wszystko ze sobą współgra. Mogę się tylko zastanawiać, jak udaje ci się co rano dokonać wyboru. W jaki sposób decydujesz o zestawieniu tych wszystkich krat, groszków, jodełek i flaneli? To symfonia najbardziej wyrafinowanych dysonansów. Czy na ścianie garderoby masz jakiś wykres?

- Po prostu wkładam wszystko na oślep i tak to wychodzi - odparł Prince. - To taki talencik. Możesz mi schlebiać, Billy, bo wszystko, co mam na sobie, zostało uszyte specjalnie dla mnie, z wybranych przeze mnie materiałów, i kosztowało mnie fortunę.

- Nie schlebiam ci, kochanie. Czasami to robię, ale nie w interesach.
- Billy przysunęła się do niego na kanapie.

- Weźmy na przykład ten czerwony, mazajowaty krawat - rzekła pstryknąwszy z podziwem w jego kierunku palcem.

- Tylko popatrz, jaki daje efekt w połączeniu z tą brązowo-błękitną koszulą w paski. A koszula dziwnie pasuje do tej kraciastej marynarki, będącej nadzwyczajnym uzupełnieniem twoich spodni o diagonalnym splocie. Wchodząc widziałam twój zapinany na kołki groszkowy płaszcz - idealna rzecz do włożenia na to wszystko. To nie żaden „talencik”, przyjacielu, to wielki talent do oddzielnych rzeczy. Nie używasz go do ubierania swych bogatych klientek, lecz samego siebie. Przyczyną, dla której chcę, żebyś projektował moje podstawowe kolekcje, jest właśnie ten talent, Prince.

- Billy, czy nigdy nie nauczysz się, że „nie” znaczy „nie”? - spytał Prince, któremu wrócił dobry humor. Znają się przecież z Billy od bardzo

dawna, a za czasów funkcjonowania „Scruples” jej sklep przynosił mu większość zysków.

- Nigdy! - W jej odpowiedzi zabrzmiało tak głębokie przekonanie, że wypełniło pokój i zmusiło go do spojrzenia na nią z nowym zainteresowaniem. Pamiętał, kiedy zakładała „Scruples”. Nie wierzył wtedy, że amatorka może prowadzić z powodzeniem sklep, ale mimo że udowodniła mu, iż kompletnie się mylił, pomysł katalogu nie wydał mu się ani trochę bardziej pociągający.

- Prince, posłuchaj. - Billy wstała z kanapy i przysiadła na krawędzi jego biurka. Jej kostium w kolorze czerwonego wina z aksamitnym kołnierzem i mankietami był tak doskonale dopasowany do jej szczupłej sylwetki, jak tylko było to możliwe po trzech przymiarkach. Na głowie miała mały, romantyczny kapelusik z ciemnych soboli o barwie jej oczu, tak bardzo nasunięty na czoło, że ocierał się o brwi, dzięki czemu pasma kręconych włosów swobodnie odstawały od uszu. Spojrzała na projektanta ze skupieniem, jakiego nigdy dotąd nie widział na jej twarzy. - Nie sądzę, abyś zrozumiał zasadę podstawowych kolekcji. Chcemy zacząć od czterech, małych, lecz tak dobrze przygotowanych, że nie będzie w nich ani jednego zmarnowanego czy niepotrzebnego pomysłu. Są adresowane do młodych kobiet, które według nieśmiertelnych słów Vogue’a mają „więcej smaku niż pieniędzy”. Jedna kolekcja ubierze kobietę do pracy, druga w podróż, trzecia da jej wszystko, czego potrzebuje w czasie weekendu - wspaniałe stroje sportowe - a czwarta będzie na popołudnie: randki, restauracje, służbowe kolacje, takie rzeczy. Każdy element z poszczególnych kolekcji musi współgrać ze wszystkimi elementami pozostałych trzech kolekcji. Innymi słowy, swobodny blezer do biura jest

zaprojektowany do noszenia z weekendowymi spodniami i bluzką do restauracji. To są dobre, stonowane projekty, które dają kobiecie setki możliwości i pozwalają jej się ubrać na twój sposób, Prince.

- Billy, przestań sprzedawać moje produkty.

- Ja tylko głośno myślę. Przyznasz, że kobiety, których nie stać na kupowanie twoich gotowych strojów, byłyby zachwycone możliwością kupowania strojów Prince'a projektowanych wyłącznie dla „Scruples II”?

- Rzecz w tym, kochanie, że nie ma takiej możliwości. Jeśli nie stać ich na Prince'a, no cóż... - Wyrzucił w górę ręce. - Żałuję, ale pewne rzeczy zawsze będą dostępne jedynie dla garstki szczęściarzy.

- Wiesz co, kiedy podczas pierwszego małżeństwa kupowałam tony ubrań, nie kupowałam nic twojego. Zawsze je podziwiałam, ale myślałam, że powinnam poczekać z ich noszeniem, dopóki nie skończę trzydziestki. Czy przyszło ci do głowy, że bez względu na stopień zamożności dwudziestolatki nie są twoimi klientkami?

- Muszą do mnie dorosnąć - zauważył wyniośle Prince.

- A ja nic nie tracę, bo i tak ile młodych kobiet może sobie pozwolić na moje ubrania?

- Jest mnóstwo szalowych, bogatych, młodych kobiet, które nawet nie będą się zastanawiały nad twoimi strojami, Prince, bo od początku projektujesz dla tej samej grupy kobiet. Robią się coraz starsze i ciągle fotografują się w strojach od Prince'a - twój styl jest ściśle z nimi związany, jest oficjalnym znakiem rozpoznawczym bogatej matrony: suknia balowa od Prince'a, kosztowna biżuteria, blond koafiura i operacja plastyczna twarzy za dziesięć tysięcy. Skąd wezmą się twoje nowe klientki? Ci wszyscy młodzi zdolni projektanci, nie tylko Calvinowie

Kleinowie i Ralphowie Laurenowie, ale inni, o których jeszcze nie słyszeliśmy, przechwyca kobiety, które w przeciwnym razie dorosłyby do ciebie, kochanie. Z drugiej strony, gdybyś projektował dla „Scruples II”, musiałbyś mocno sobą potrząsnąć i odkurzyć się, musiałbyś udowodnić, że potrafisz zrobić coś, czego jeszcze nie robiłeś - wszechstronne ubrania po umiarkowanych cenach. Wszyscy mówiliby o twoim nowym stylu, nowym podejściu. Dlaczego masz się powtarzać, skoro możesz się odnowić, Prince, możesz ożywić swą legendę w jedyny, niepowtarzalny sposób.

- Bierzesz mnie pod włos.

- Nie wiedziałam, że znasz to wyrażenie, kotku. Oczywiście, że tak. Są wielcy projektanci, którzy rzuciliby się na tę propozycję. Wiedzą, że nie będzie to miało wpływu na ich stałe klientki, wiedzą, że jedno nie ma nic wspólnego z drugim, lecz żaden z nich nie ma twojego szczególnego talentu. Oni robią komplety.

- Ja też.

- Ale ty ich nie nosisz - powiedziała Billy z nową szczerością w głosie. - Ty z własnego wyboru nosisz oddzielne rzeczy. Ani razu nie widziałam cię ubranego chociaż w dwie dobrane rzeczy, chyba że był to smoking, ale nawet wtedy dodajesz coś innego - tweedową kamizelkę czy pas z bawełnianego batiku.

- Masz rację - powiedział, mimo woli zadowolony. - Lubię się bawić przy ubieraniu.

- Och, Prince! To jest to! To jest właśnie to! Ubrania, które pracują jak woły robocze, ale za każdym razem, kiedy je wkładasz, dają ci boskie uczucie euforii. Powiedz mi, nawet jeśli się nie zgodzisz na współpracę,

czy jest w moim pomysłach oprócz ceny coś, co ci się nie podoba?

- Obawiam się, że próbujesz ponownie wynaleźć koło, myszko. Oddzielne elementy zawsze u nas były. Kobieta może je sobie kupić w każdym domu towarowym, nie potrzebuje do tego mojej osoby.

- Ale to wcale nie jest takie proste! A jeśli z powodu pracy nie ma czasu na zakupy? A może nie potrafi zestawiać rzeczy ze sobą? A jeśli nie ma w pobliżu dużego sklepu z dużym wyborem odzieży? A może jest młodą matką zajęta balansowaniem między dzieckiem, mężem i karierą? Robienie zakupów dla większości kobiet jest koszmarem!

- To rzeczywiście bardzo przygnębiające, złotko.

Billy roześmiała się głośno. - Jesteś takim dobrodusznym facetem, Prince, ale teraz sprawiasz raczej przeciwne wrażenie.

- Och, tylko nie wyciągaj z rękawa karty z napisem: „Gdzie twoje poczucie odpowiedzialności społecznej?” Ja swoje robię. A dlaczego ty chcesz się do tego wziąć, kotku? Nigdy tego nie rozumiałem. Przecież mogłabyś być księżną, nawet angielską księżną - powiedział z szacunkiem w głosie. Nie potrafił sobie wyobrazić innej pozycji towarzyskiej, którą by bardziej preferował lub do której by lepiej pasował.

- Zasadniczo jestem kobietą pracy, Prince, tak jak ty jesteś mężczyzną pracy. A w tej chwili chcę zapewnić mojemu przedsięwzięciu dobry start, który szybko umieści je na odpowiednim miejscu. Ty - albo inny znakomity projektant - jesteś kluczem do koniecznej przebojowości. Nie wątpię w sukces „Scruples II”, wiem, że to będzie coś wyjątkowego, ale jak zwykle jestem niecierpliwa. Jeśli na przykład zamierzam zaproponować ostateczną wersję plisowanej spódnicy - za duże pieniądze - to trzeba dać jej coś szczególnego, coś specjalnego, co będzie ją odróżniać

od wszystkich innych spódnic. Gdybym wiedziała, czego chcę, to, wierz mi, sama bym to zaprojektowała, ale nie mam bladego pojęcia. No tak, powinnam była wiedzieć, że nie można cię namówić. A szkoda, naprawdę szkoda. Zawsze czułam, że jestem twoją dłużniczką, bo odebrałam ci Valentine. Gdybym nie zwabiła jej do „Scruples”, pracowałaby u ciebie.

- Ciekawe, w jaki sposób chciałaś mi zrekompensować stratę Valentine?

- Pieniądze, kochanie. Sżmal - powiedziała Billy, kierując się do wyjścia. - Ale jak powiedziałeś, uważasz, że już więcej nie potrzebujesz. Przypuszczam, że jesteś uodporniony na ten straszliwy sekrecik bardzo, bardzo bogatych ludzi. No, to do wiedzenia, Prince, muszę coś jeszcze omówić przy lunchu.

Prince wstał, żeby odprowadzić ją do drzwi.

- Jaki straszliwy sekrecik? - zapytał mimochodem.

- Och, wiesz - to trochę wstydlive, ale niewielu ludzi sądzi, że ma dosyć pieniędzy, prawda?... A jednak wszyscy mamy więcej niż możemy wydać. To pewnie tkwi w naturze człowieka, ten nie kończący się pęd do posiadania więcej i więcej. Od śmierci Ellisa jestem na liście dziesięciu najbogatszych kobiet Ameryki, a jednak postanowiłam zrobić ze „Scruples II” firmę znajdującą się na liście Szczęśliwej Pięćsetki. Jesteś właścicielem wielkiej firmy odzieżowej, ale nie ma cię na liście Czterystu Forbesa. Nie można zbudować prywatnego majątku rzędu setek milionów, robiąc kosztowne ubrania, nawet przy tych wszystkich licencjach - to chyba taka gra, kiedy zawsze się chce mieć więcej, mimo że ma się tak dużo...

- Twoje domysły są równie dobre jak moje... - wzruszył ramionami ze złością.

- Spójrz tylko na mnie: mam śliczny dom w Paryżu, którego nawet nie używam, ale który za bardzo mi się podoba, żeby go sprzedać. To zbyt absurdalne, kochanie. Mogłabym mieć wspaniały jacht i posiadłości tu i ówdzie, spędzać czas na cudownej zabawie, przenosić znajomych z jednych idealnych wakacji na drugie. - Billy przerwała, jakby przez chwilę zastanawiała się nad tymi perspektywami z uwagą kobiety, która chodzi po kwitnącym ogrodzie różanym z sekatorem w ręku, która stara się znaleźć wśród bogactwa wspaniałych kwiatów jedyny doskonały pąk.

- Ale nie - rzekła w końcu. - Jestem tu, na starej, kochanej Siódmej Alei, trajkocząc o tym katalogu, bo jestem taka pewna, że nadeszła dla niego idealna pora, i zamierzam to udowodnić, Prince, bez względu na okoliczności. Może jestem pracoholiczką... ale to takie ekscytujące, że nie może być niezdrowe. A honorarium za „Scruples II” będzie ogromne... Jakoś wołałabym, żebyś to tyje dostawał, a nie ktoś inny.

- Honorarium?

- No oczywiście, ten, kto będzie projektował podstawowe kolekcje, będzie dostawał honorarium od każdej sprzedanej sztuki. Przecież to rozumiesz... chyba nie zapomniałam ci o tym powiedzieć? Mogę oczywiście zaoszczędzić trochę pieniędzy i wynająć jakiś fantastyczny zespół projektantów, ale wołałabym płacić honorarium i połączyć z kolekcjami jakieś wielkie nazwisko. W ostatecznym rachunku będzie więcej dla każdego, z moją skromną osobą włącznie.

- Billy?

- Tak?

- Wiesz o tym, że jesteś całkowicie złą dziewczynką?

- Najgorszą, kochanie!

- Usiądź. Porozmawiajmy.

- Och, Prince! - Billy rzuciła mu się w ramiona. Nie była pewna, czy będzie musiała płacić honorarium, miała nadzieję, że wywinie się ogromnym ryczałtem, ale jeśli tak już musi być, to gra jest warta świeczki. Niektórych ludzi tak naprawdę interesują wyłącznie pieniądze, a Prince, dzięki Bogu, zawsze był jednym z nich.

* * *

Podczas wspólnego podwieczorku w apartamencie hotelowym Billy Cora de Lioncourt stwierdziła, że powrót, a raczej wycofanie się na rodzinną ziemię, wyraźnie służy Billy Ikehorn.

Na wpół wieśniacza swoboda, nieskrępowana niedbałość - a może to wręcz niechlujstwo? - które, jak rozumiała, były dozwolone w Kalifornii, najwyraźniej służyły Billy, czego nie można było powiedzieć o elektryzującej elegancji Paryża. Oczywiście zdobycie powodzenia w Los Angeles nie kosztowało ją żadnego wysiłku. Z jaką ulgą musi rzucać Nowy Jork i Paryż i wracać do domu. Było to jedyne wyjaśnienie, jakie przyszło jej do głowy na widok podnieconej, szczęśliwej miny Billy w posepny dzień ponurego miesiąca, kiedy jedynym spotkaniem była wizyta u Johna Prince'a w celu obejrzenia jego nowej wiosennej kolekcji.

Cora uważnie przyglądała się Billy, zauważając, że nie tylko straciła parę kilogramów, o które przytyła w Paryżu, i znów obcięła krótko włosy, ale że jej osobisty styl, jej błyskotliwy szyk zmieszany ze zmysłowością znów jest nienaruszony. Pogryzając małą kanapkę, Cora zdała sobie z poirytowaniem sprawę, że Billy chyba ukrywa jakiś tryumf. Sekrety innych ludzi są niedopuszczalne.

- Wyglądasz wyjątkowo dobrze, Billy - powiedziała słodkim, lecz

lekko niezadowolonym głosem, jakby zbyt dobry wygląd trzeba było usprawiedliwiać.

- Dziękuję, Coro. To zasługa twojego miasta. Lubię od czasu do czasu mocny haust Nowego Jorku. Działa na mój organizm jak tonik.

- Ale nadal nie zamierzasz tu nic kupować?

- Po co? Apartament w hotelu jest tak wygodny.

- Wprowadzisz się na wiosnę do swojego domu w Paryżu?

- Jeszcze się nie zdecydowałam - odparła Billy z nieprzeniknionym uśmiechem.

- Ale co takiego robisz w Los Angeles? Wygłosiłaś takie przemówienie w Ritzu o kobietach, które nie robią nic oprócz chodzenia po zakupy i na przyjęcia, a teraz mieszkasz w miejscu, gdzie dzieje się o wiele mniej niż tutaj czy w Paryżu.

- Och, mam trochę pracy, Coro. To zdumiewające, jak czas szybko leci - odparła wymijająco Billy. Nie miała najmniejszego zamiaru mówić Corze o „Scruples II”. Przekonanie Prince’a było konieczne, ale nie było najmniejszego powodu, żeby wyjawiać nieopierzony jeszcze projekt kobiecie o tak wyrafinowanych standardach, że wylałaby kubek zimnej wody na sam pomysł katalogu mody.

Ciągle sekrety, pomyślała Cora. Billy Ikehorn i jej tajemnice doprowadzały ją do szału. Billy była tak niepokornie niezależna, że Cora chciałyby zobaczyć, jak rozlatuje się w kawałki niczym szyba trafiona kamieniem. Oprócz paryskiego agenta handlu nieruchomościami Billy nie chciała przyjąć żadnych rekomendacji Cory. Procent od tej transakcji był nędzną, nie do przyjęcia zapłatą za jej starania. Przygotowywała sobie Billy Ikehorn na największy sukces życia opartego na manipulacji.

Według wszelkich wyliczeń Billy powinna się już stać kurą znoszącą dla Cory złote jajka, a tymczasem nadal jej się wymykała jak węgorz w szlamie. Jej wspaniały humor jest jedynie zamierzoną prowokacją.

Zżerana zawiścią Cora pomyślała, że Billy doskonale wie, jak bardzo godna jest zazdrości. Siedzi sobie w tym cudownie dobranym kapelusiku z soboli, z dużą sobolową mufką na kolanach, beztrąsko luksusowa jak Anna Karenina przed tragedią. Ta kobieta, której bogactwa przychodziły bez najmniejszego wysiłku, urodzona, by być piękną, kobieta, która kiwnięciem jednego palca mogła osiągnąć więcej niż Cora pracując całe życie - doprowadzała ją do szalonej zazdrości. Samym swoim istnieniem sprawiała, że Cora czuła się zaniedbana, jakby staranne, sprytne prowadzenie się i gromadzenie dóbr były osiągnięciem niewielkim i nic nie znaczącym.

Zrezygnuje z Billy Ikehorn, nie ma powodu, żeby jeszcze jej nadskakiwać, nie ma powodu, żeby chronić ich stosunki w nadziei na przyszłe zyski.

- Po naszym ostatnim spotkaniu w Operze Paryskiej miałam przedziwne spotkanie - zauważyła Cora.

- Doprawdy?

- Pamiętasz tego mężczyznę, który podszedł do naszego stolika i zrobił tę straszną scenę? Tego wysokiego, rozgniewanego rudzielca, który cię zapytał kim, u diabła, jesteś?

- Ach, tego? Oczywiście, jakże mogłabym zapomnieć? Dawny kochaś z jakimś żalem, nic więcej.

- Ale widzisz, właśnie to jest dziwne. W kilka dni później widziałam go znowu. Chodziłam po nowych wystawach i spotkałam go w galerii

Templon, gdzie pokazywał kilka bardzo interesujących prac... oczywiście jeśli się lubi współczesną rzeźbę. - Obserwowała Billy z czujnością pantery.

- Tak, to tam wystawia swe prace - odparła spokojnie Billy.

- Oczywiście nie próbowałam z nim rozmawiać, ale kiedy wyszedł z właścicielem galerii, zaczęłam rozmowę z asystentem, Henrim jakimśtam, wielkim entuzjastą twojego rzeźbiarza... Sama Jamisona?... tak, tak się chyba nazywał, prawda?

- Tak.

- I ten Henri, dość czarujący facet, chwytający każdą okazję mówienia po angielsku, powiedział mi, że był owego wieczora w operze z tym twoim dawnym kochaniem, jak go nazywasz. Pamiętał nawet, że widział mnie przy twoim stoliku. Powiedział, że rzeźbiarz... Sam... zniknął, jak zobaczył ciebie... opuścił cały drugi akt.

- Wszyscy widzieliśmy, jak wybiega. - Billy wzruszyła ramionami, lecz pod bluzką była cała spocona.

- I widzieliśmy, jak biegniesz za nim - rzekła Cora z najbardziej promiennym z uśmiechów igrającym na ustach i odsłaniającym jej doskonałe zęby.

Billy spojrzała wyzywającym wzrokiem wprost na Corę, niecierpliwie zrzucając mufkę na podłogę i krzyżując ręce na piersiach.

- Do czego zmierzasz, Coro? Co cię to obchodzi? Czy nie wolno mi mieć życia prywatnego?

- Ależ, Billy, oczywiście, że ci wolno. Nie bądź głupia. Tylko że Henri jakmutam sądził, że jesteś kimś zupełnie innym, jakąś Misia Winthrop. Nie wiedziałam, że ciągle używasz panieńskiego nazwiska.

Billy nadal wpatrywała się w Corę niebezpiecznym wzrokiem.

- Sądzę, że istnieją rzeczy, o które przyjaciółki nie powinny się nawzajem pytać, nie uważasz?

- Oczywiście, masz rację - zgodziła się lekko Cora. - Tak, poproszę o jeszcze jedną kanapkę, są tak dobre, że nie mogę się oprzeć. Powiedz mi, czy dużo zamówiłaś u Prince'a?

- O wiele za dużo - powiedziała Billy. - Ta nowa kolekcja jest szczególnie dobra.

Odgryzając kęs maleńkiej kanapki z rukwią wodną Cora pomyślała o wielce interesującym lunchu, na jaki zaprosiła czarującego, młodego Henriego Legranda. Postać Billy ciekawiła go tak bardzo, jak Sam Jamison ciekawił Corę, i wspólnie złożyli w jedną całość tę niewiarygodną, pikantną historię. Billy miała swoje tajemnice, to prawda, lecz nie tak wiele, jak sądziła, a najbardziej intrygująca z nich należała teraz do Cory de Lioncourt.

* * *

- Spójrz na to zdjęcie - poprosił Spider, wchodząc do biura Gigi z zakasnymi rękawami błękitnej, dżinsowej koszuli roboczej - i powiedz mi, co o nim myślisz. - Podał jej powiększenie kolorowej fotografii grupy kobiet: prawie wszystkie wyglądały na około trzydzieści lat. Stały roześmianą grupką w ogrodzie, otaczając starszą kobietę siedzącą w ogrodowym fotelu, na cześć której wznosiły toast szampanem.

- Kim one są? - spytała ciekawie Gigi zza swojego biurka.

- Powiem ci, ale to nie jest ważne. Powiedz mi tylko, jakie jest twoje pierwsze wrażenie. Gigi uważnie przyjrzała się zdjęciu.

- Są szczęśliwe - rzekła - prawdziwie szczęśliwe, to rzuca się w oczy,

i cieszą się, że są razem. Są odprężone, beztroskie - och! są bardzo do siebie podobne, muszą być jakoś ze sobą spokrewnione. No, Spider, kim one są? - Gigi spojrzała na niego poprzez grzywkę w swój najbardziej przymilny sposób, tyleż szczery, co komiczny. Tak samo nie potrafiła stłumić niespokojnej, wrodzonej zalotności, jak nie mogła zmienić swych leciutko spiczastych uszu.

- Mów dalej - powiedział. - To za mało, jak na osobę, która twierdziła, że chyba potrafi napisać wszystkie teksty do „Scruples II”.

Gigi z uwagą pochyliła jasną, jedwabistą głowę nad zdjęciem. - Nie pochodzą z Nowego Jorku, ale nie są dziewczynami z prowincji, są na to zbyt wyrafinowane. Nie wiem, skąd, ale wiem, na pewno tak jest - San Francisco, Chicago, Dallas. Los Angeles? Są wyrafinowane w pewien swobodny sposób, jakby nie musiały nad tym pracować... to przychodzi im naturalnie. Wszystkie wiedzą, jak się ubierać, ale nie kopiują bezmyślnie innych. Dwie z nich - te w dżinsach - są zdecydowanie gorzej ubrane w porównaniu z pozostałymi, ale i tak wyglądają doskonale. Wszystkie są ładne, kilka z nich jest bardzo ładnych, ale nie nazwałabym ich prawdziwymi pięknosciami. Gdybym musiała zgadywać - czy muszę zgadywać, Spider? - dobrze, dobrze, powiedziałabym, że prawdopodobnie są mężatkami i mają dzieci... ale - Gigi przerwała i na chwilę się zamyśliła - najprawdopodobniej nie siedzą cały czas w domu. Może jedna czy dwie, ale myślę, że większość z nich pracuje, uczy się albo jest bardzo zaangażowana w pracę społeczną... Chodzi mi o to, że wyglądają, jakby były zajęte wieloma bardzo ciekawymi sprawami i świetnie się bawiły! Chciałabym je poznać. Właściwie najprzystojniejsza z nich jest ta starsza pani - dlaczego wznoszą na jej cześć toast?

- To był jej urodzinowy obiad - powiedział z dumą Spider. - To moja mama.

- Och... Spider - westchnęła Gigi, a z jej oczu popłynęły nieoczekiwane łzy. - Jesteś taki szczęśliwy.

Spider pochylił się, przerażony, i objął ją pocieszająco ramieniem. - Cholera, Gigi, zapomniałem o twojej matce. Kurczę, nie powinienem tak cię zaskoczyć. Po prostu zupełnie zapomniałem. Tak mi przykro. Masz chusteczkę - dodał ze skruchą, podając jej jednorazówkę.

- W porządku, Spider, naprawdę. - Gigi wydmuchała nos i osuszyła oczy, odzyskując równowagę. - Nigdy tego nie robię - nie wiem, co mi się stało. Twoja mama jest oszałamiająca, a oczywiście to są twoje słynne siostry. Tak się skupiałam na ogólnym wrażeniu, że kompletnie nie zauważyłam, że patrzę na trzy pary bliźniaczek... ostatnią rzeczą, o jakiej myślałam, były ich twarze, a one przecież próbują wyglądać tak indywidualnie.

- Właśnie dlatego nie powiedziałem ci, kim są. Gdybyś wiedziała, zajęłabyś się rozszyfrowywaniem, która jest bliźniaczką której i nie skupiłabyś się na ich ogólnym wyglądzie jako grupy.

- Czy miałam rację opisując je?

- Absolutną. Oczywiście nie wszystkie są takie beztraskie, no bo kto z nas jest? Ale są szczęśliwą bandą uroczych dam zdecydowanie gorzej ubrane w porównaniu z pozostałymi, ale i tak wyglądają doskonale. Wszystkie są ładne, kilka z nich jest bardzo ładnych, ale nie nazwałabym ich prawdziwymi pięknosciami. Gdybym musiała zgadywać - czy muszę zgadywać, Spider? - dobrze, dobrze, powiedziałabym, że prawdopodobnie są mężatkami i mają dzieci... ale - Gigi przerwała i na chwilę się

zamyśliła - najprawdopodobniej nie siedzą cały czas w domu. Może jedna czy dwie, ale myślę, że większość z nich pracuje, uczy się albo jest bardzo zaangażowana w pracę społeczną... Chodzi mi o to, że wyglądają, jakby były zajęte wieloma bardzo ciekawymi sprawami i świetnie się bawiły! Chciałabym je poznać. Właściwie najprzystojniejsza z nich jest ta starsza pani - dlaczego wznoszą na jej cześć toast?

- To był jej urodzinowy obiad - powiedział z dumą Spider. - To moja mama.

- Och... Spider - westchnęła Gigi, a z jej oczu popłynęły nieoczekiwane łzy. - Jesteś taki szczęśliwy.

Spider pochylił się, przerażony, i objął ją pocieszająco ramieniem. - Cholera, Gigi, zapomniałem o twojej matce. Kurczę, nie powinienem tak cię zaskoczyć. Po prostu zupełnie zapomniałem. Tak mi przykro. Masz chusteczkę - dodał ze skruchą, podając jej jednorazówkę.

- W porządku, Spider, naprawdę. - Gigi wydmuchała nos i osuszyła oczy, odzyskując równowagę. - Nigdy tego nie robię - nie wiem, co mi się stało. Twoja mama jest oszałamiająca, a oczywiście to są twoje słynne siostry. Tak się skupiałam na ogólnym wrażeniu, że kompletnie nie zauważyłam, że patrzę na trzy pary bliźniaczek... ostatnią rzeczą, o jakiej myślałam, były ich twarze, a one przecież próbują wyglądać tak indywidualnie.

- Właśnie dlatego nie powiedziałem ci, kim są. Gdybyś wiedziała, zajęłabyś się rozszyfrowywaniem, która jest bliźniaczką której i nie skupiłabyś się na ich ogólnym wyglądzie jako grupy.

- Czy miałam rację opisując je?

- Absolutną. Oczywiście nie wszystkie są takie beztroskie, no bo kto

z nas jest? Ale są szczęśliwą bandą uroczych dam i cały czas są zajęte mnóstwem rzeczy oprócz swych mężów i dzieci. Zrobiłem to zdjęcie trzy lata temu. Przypomniałem sobie o nim wczoraj wieczorem i wykopałem je, żeby wszystkim pokazać. Widzisz je pierwsza. Pomyślałem sobie, że ich wygląd pasuje do „Scruples II”.

- Masz na myśli swobodne wyrafinowanie?

- Dokładnie, ale i coś więcej. Zakopałem się po uszy we wszystkich katalogach, jakie kiedykolwiek się ukazały. Każdy z nich to kompletna katastrofa, koszmar scenografa czy redaktora od spraw mody, a graficznie spóźnione są o piętnaście lat. Analizowałem każde czasopismo w sprzedaży, patrzyłem na modelki, scenerię i układ graficzny, i postanowiłem, że musimy ustalić jeden typ kobiety ucieleśniającej styl „Scruples II”. Potem spośród tych, które wyglądają tak w sposób naturalny, wybierzemy nasze modelki. Zamiast wynajmować najlepsze modelki i ubierać je w nasze stroje, musimy znaleźć takie kobiety, które wyglądają tak, jak powinny wyglądać nasze klientki. Nie jak w najdzikszych marzeniach, ale w rzeczywistości. Nie powinniśmy pokazywać im czegoś, na co je stać, lecz co ma na sobie ktoś, kogo automatycznie odrzucają jako osobę zbyt piękną, by była im bliska. Powiedziałaś, że chciałybyś poznać moje siostry... Chciałbym, żeby nasze klientki chciały poznać nasze modelki.

- Są bardzo...

- Bardzo co?

- No... - Gigi się zawahała. W zasadzie zgadzała się ze Spiderem, ale jego siostry były tak biało-anglosasko-protestanckie, że burzyła się w niej jej cała włosko-irlandzka krew, o której istnieniu nawet nie pamiętała.

- Bardzo naturalne... ee... są blondynkami i mają niebieskie oczy? - odważyła się.

- Cholera, tak. Są ultraanglosasko-protestanckie, to ich naturalne dziedzictwo, rodzina mojej matki pochodzi ze Szwecji, a ojciec z Anglii. Nie to mam na myśli. - Spidera ubawiła delikatność Gigi. Jego siostry, nie daj Boże, mogłyby zostać dziewczynami na okładki w Trzeciej Rzeszy. - Posłużyłem się nimi jako przykładami prawdziwych kobiet, a nie żadnych piękności. Dobrze wykształconych, lecz nie z towarzystwa. Ze średniej klasy, lecz nie wiadomo, niższej czy wyższej. Wytwornych, lecz niekoniecznie z dużego miasta. Chętnie przebywających na łonie natury, lecz nie szorstkich. Wyrazistych, lecz nie wyczelowanych. Dorosłych. Rozluźnionych, lecz ożywionych, o twarzach wyrażających charakter. Z inteligencją w spojrzeniu - to sprawa zasadnicza. Mogą być czarne, białe, mogą pochodzić ze Wschodu czy z Ameryki Łacińskiej, ale muszą mieć odpowiedni wygląd.

- Gdzie znajdziemy takie modelki? - Widząc wizjonerski blask w oczach Spidera Gigi zabarwiła głos sceptycyzmem.

- Posłużymy się nikomu nie znanymi dziewczynami, prawdopodobnie takimi, którym nie udaje się w agencjach modelek, bo nie są oszałamiające albo nie są wcześnie rozkwitłymi, trzymetrowymi nastolatkami. Albo może kobietami, które nigdy nie miały zamiaru być modelkami.

- Spider, czy ty nie szukasz czegoś zdecydowanie przeciętnego? - zmartwiła się Gigi. - To wcale nie brzmi tak zabawnie... oglądanie ubrań na prawdziwych, przeciętnych kobietach.

- Szukam dziewczyn znacznie ponad przeciętną, ale nie takich, żeby

dało się to dostrzec przed zauważeniem ubrań. Jest to subtelna różnica, ale określiłem ją bardzo dokładnie. Kiedyś, bardzo dawno temu, modelki były moim zawodem, moim hobby, przyczyną, dla której wstawałem wcześniej rano i zdecydowanie szedłem do łóżka wieczorem. Uwierz mi, jeśli chodzi o wybór modelek, Gigi.

- Jesteś ekspertem - zgodziła się Gigi. - Mnie się bardziej podoba przesada, w rodzaju:

„Dlaczego nie możemy użyć najpiękniejszych dziewczyn na świecie, żeby nasze ubrania wyglądały dobrze?”

- Bo to bardzo odstrasza. Nie wiem, czy kobiety w ogóle zdają sobie z tego sprawę, ale po obejrzeniu zbyt wielu pięknych dziewcząt w czasopismach zaczynają odczuwać paskudną, utajoną depresję, jakiś niepokój, niezadowolenie, i nie wiedzą, że ma to bezpośredni związek z modelkami. Nadal czytają owe czasopisma, bo interesują się modą i pięknem, ale dieta złożona wyłącznie z najlepszych modelek sprawia, że każda kobieta czuje się podświadomie nieatrakcyjna. Kobietom, które czują, że są nieatrakcyjne, nie przyjdzie do głowy, żeby o północy zamówić telefonicznie jakiś strój. Ja chcę, żeby nasze klientki czuły euforię!

- O północy?

- No jasne. Musimy mieć całodobowe przyjmowanie zamówień... musimy złapać je w odpowiednim nastroju. A jeśli jakaś kobieta obudzi się o trzeciej nad ranem i będzie miała chandrę? Czy jest lepszy sposób na uleczenie jej niż zakupy z katalogu? Nie musi nawet wstawać z łóżka, wystarczy, że sięgnie po telefon i katalog. Może sobie pogadać z telefonistką „Scruples II”, zamówić jakiś drobiazg i położyć się spać z

dużo lepszym samopoczuciem. - Spider przyjrzał się biurku Gigi, na którym pełno było odrzuconych kartek maszynopisu. - Pracujesz nad czymś?

- Tylko tak się bawię - rzekła Gigi. - Próbuję ustalić styl, wypracować jakby ogólne wprowadzenie do katalogu, żeby ludzie wiedzieli, co to w ogóle takiego.

- Przeczytasz mi?

- To jeszcze zupełnie surowe, ale... no dobrze - powiedziała Gigi skracając się ze strasznej, pełnej wahań autorskiej nieśmiałości. Musi się odreagować, bo inaczej ją rozerwie, a Spider był jedyną osobą, jaka została w całym biurze.

Wiem, że ukrywasz w szafie sekrety, których nie zdradziłabyś najlepszej przyjaciółce... no, może byś i zdradziła, gdyby zamiast przemądralęgo spojrzenia zaoferowała ci współczucie, ale jak możesz na to liczyć? Jesteś za mądra, żeby powiedzieć o tym siostrze!

Na przykład jest ta piękna, bufiasta bluzka z prawdziwej koronki, którą kupiłaś, bo byłaś w tak romantycznym nastroju, że nie mogłaś się jej oprzeć, ale kiedy wróciłaś do domu i przymierzyłaś ją ze wszystkimi spódniami, wyglądałaś dziwnie, jak własna matka. Jest za dobra, żeby ją komuś oddać, a za mała na matkę. Jest też ten dobry, wełniany kostium, zbyt drogi nawet jak na wyprzedaż, ale twój szef lubi dokładnie coś takiego, a ty wiedziałaś, że będziesz go nosić całe życie. Tylko że okazało się, że jest za ciepły i zbyt niewygodny, żeby chodzić w nim cały dzień w pracy, a zbyt konserwatywny na wieczór, poza tym żakiet nie wygląda dobrze ze spodniami i bawełnianą koszulką.

Rozumiem, dlaczego kupiłaś ten głęboko wycięty sweter - myślałaś,

że będzie wyglądał wspaniale z prostymi spodniami na jednym z tych nieformalnych przyjęć. (Nie znosisz przecież, kiedy gospodyni mówi, żeby się specjalnie nie ubierać. Po co wyprawiać przyjęcie Jeśli ludzie nie mają się wystroić?) Oczywiście wyglądasz w nim jakbyś cierpiała na ciężki przypadek rozdwojenia osobowości. Mam takie trzy i jeszcze nie doszłam z nimi do ładu.

Wiem o tych spodniach typu „wracający do dżungli słon”, które kupiłaś, nie sprawdzając swego wyglądu w potrójnym lustrze i wiem też o tym praktycznym, rozsądnym płaszczu, który nosisz od dwóch lat, serdecznie go nie znosząc, bo jesteś praktyczna i rozsądna tylko do pewnej granicy - ale ten płaszcz to już za wiele!

Lecz dosyć tych opowieści o szafowych zmartwieniach. Dlaczego miałabyś się zadręczać z powodu tej jaskrawoczerwonej, błyszczącej sukni koktajlowej, którą kupiłaś na przyjęcia gwiazdkowe, czego żałowałaś, jeszcze zanim ją skróciłaś - a to było trzy lata temu!

Chodzi mi o to, że wszystkie robimy błędy. Wszystkie. Ludzie, którzy twierdzą, że nigdy nie powtarzają tego samego błędu, cały czas popełniają nowe. Najlepiej ubrany mężczyzna, jakiego znam, powiedział mi kiedyś, że na każde trzy kupione przez niego rzeczy dwie to niewypały i że nosi tylko tę jedną, która nim nie jest. Nie znam nikogo innego, kogo stać na takie błędy. Lecz ciebie stać na to, by zebrać wszystkie rzeczy z szafy, na których widok aż cię w środku skręca, i dać je Armii Zbawienia, bo, spójrzmy prawdzie w oczy, nigdy i tak już ich nie włożysz.

A potem, w nagrodę za porządki, możesz sobie spojrzeć na ubrania w tym katalogu i pomyśleć o zostaniu właścicielką jednego z nich. Po prostu do nas zadzwoń, a my od razu na nasz koszt ci je wyślemy. Nie są zbyt

drogie, są pięknie wykonane, sprawdzają się razem i osobno i, co najważniejsze, jeśli po przymierzeniu natychmiast się w nich nie zakochasz, po prostu je nam zwróć bez żadnego uzasadnienia, a my gwarantujemy zwrot pieniędzy. Żadnych dodatkowych zastrzeżeń. Chcę, żeby otwieranie szafy sprawiało ci przyjemność. Ubrania powinny wywoływać uczucie zadowolenia, a nigdy, przenigdy - winy.

- Nie przerywaj - powiedział Spider.

- To wszystko... właśnie patrzyłam, co by tu wyrzucić.

- Wyrzuć coś, zmień choć jedno słowo, a będziesz miała ze mną do czynienia - rzekł groźnie.

- Podoba ci się?

- Gigi, to doskonale! Cholera! Szkoda, że nie ma tu Billy, żeby to przeczytać. Będzie zachwycona. Zadzwońmy do niej do Nowego Jorku i przeczytaj jej to przez telefon... nie, tu już jest po siódmej, a tam po dziesiątej, nie będzie jej u siebie. Och, mała, masz talent do tekstów reklamowych! Musimy to uczcić. Wiem, zabieram cię na wspaniałą kolację. Zaslugujesz na najlepsze, w gruncie rzeczy nawet ja zasługuję na nagrodę za rozwiązanie problemu modelek.

Gigi opadła na swój fotel przy biurku z luźno zwisającymi rękoma i nogami, patrząc na niego oczyma szeroko rozwartymi w przyływie ulgi. Tak się martwiła stylem wstępniaka do katalogu, że w ciągu ostatnich kilku dni zaczynała go pisać sześć razy, a to, co właśnie odczytała Spiderowi, napisała w rozpaczy w ciągu ostatnich dwóch godzin.

- Och, nie chcę iść do restauracji - powiedziała. - Nie teraz. Jestem zbyt napięta, żeby usiedzieć spokojnie... pozwól, że ja ugotuję. Od czasu kiedy Sasza opuściła mnie dla Josha, nie mam dla kogo gotować, a

jedzenie własnych potraw jest wystarczająco uroczyste, tylko nie w samotności.

- To za dużo roboty dla ciebie - zaprotestował nieszczercze.

- Muszę się uspokoić po moim kryzysie literackim, a gotowanie to najlepszy sposób.

- Dobrze, ale musisz pozwolić mi sobie pomóc.

- Zgoda, możesz otworzyć wino.

* * *

- To była najlepsza pasta primavera, najlepsza cielecina z grzybami, najlepsza sałatka ze szpinaku, najlepsze... co było na deser?

- Jeszcze do niego nie doszliśmy - rzekła Gigi. - Mieliśmy dokładki wszystkiego, skończyliśmy butelkę wina...

- Cokolwiek jest na deser, to się zmarnuje. Chciałbym jeszcze coś zjeść, ale nie mogę. Czy jadłyście z Saszą tak cały czas?

- Nawet lepiej - odparła Gigi - kiedy nie chodziłyśmy na randki. Nie było to często, bo inaczej byłybyśmy dwa razy takie.

- I ona opuściła cię dla jakiegoś mężczyzny? Nie ma w tej dziewczynie żadnej wdzięczności.

- Jest za to wspaniałe, niezaprzeczalne wycucie czasu.

- To prawda - rzekł Spider przeciągając się leniwie i sącząc nalany mu przez Gigi koniak.

- To trzeba jej przyznać. Kuj żelazo, póki gorące.

- Powiedziała, że to beszert, to w jidysz znaczy przeznaczony przez los, zapisany w gwiazdach.

- Chyba się z nią zgodzę. Josh jest innym człowiekiem, przemienionym, przekształconym, przejętym, wszystko na „prze”. Nie

myślałem, że można być tak szczęśliwym, nawet jego dzieci ją lubią. Pobiorą się tutaj, czy na Wschodzie?

- Jeszcze nie wiedzą. Wielki biały ślub roku będzie wymagał przewiezienia jednej czy drugiej rodziny z jednego wybrzeża na drugie, a wydaje się, że więcej jest Hillmanów niż Orloff- Nevskych, w co nigdy bym nie uwierzyła. Klan Saszy to zawodowi nomadzi, w ciągu pięciu minut potrafią się spakować i wskoczyć do samolotu. Hillmanowie są ociężali... więc chyba tutaj.

- A ty oczywiście będziesz główną druhną?

- Możesz być pewien. Główną druhną i prywatną konsultantką do spraw organizacji przyjęcia, więc będą mieli wszystko co najlepsze „i nikt im nie wmówi czegoś, czego nie będą chcieli.

- Czy ty nigdy nie odpoczywasz? - spytał z ciekawością Spider, przyglądając się Gigi. Czuł się leniwie i był całkowicie zadowolony z życia. Rozsiadł się wygodnie na miękkiej, trochę sfatygowanej, pokrytej wyblakłą, kwiecistą tkaniną kanapie, która należała do wyposażenia tego umeblowanego mieszkania. Gigi jeszcze sprzątała ze stołu, co uparła się zrobić sama. Poruszała się ekonomicznie, z tą samą swobodną, szybką precyzją, z jaką przygotowywała ich wspólny posiłek. Przynajmniej dała się przekonać, żeby oprócz otwarcia wina Spider zajął się ogniem, które to prace, jak się zgodziła, należały do mężczyzn.

Zastanawiał się sennie, jak dawno temu była świeżo wyklutym pisklęciem Billy. Pięć, sześć lat temu, więcej? A teraz Gigi pod pewnymi względami była bardziej dorosła od samej Billy, zdolna do równie brawurowych czynów jak Billy, jeśli wziąć pod uwagę różnicę wieku i środków. Potrafiła pracować równie ciężko, opanowana jakimś pomysłem

czy celem, a jednak Billy ma w sobie coś impulsywnego, czego chyba Gigi była pozbawiona. Billy rzucała się w różne przedsięwzięcia lekkomyślnie i czasami niemądrze. Mógł się założyć, że Gigi postępowałyby właściwie, ponosząc o wiele mniej szkód emocjonalnych.

- Ostatnim razem odpoczywałam, kiedy złamałam nogę - powiedziała Gigi ze smutkiem, siadając obok niego.

- Zabiorę cię kiedyś na narty - zaproponował Spider.

- Nie możesz pozwolić, żeby jedno przykre doświadczenie zepsuło ci najwspanialszy sport na świecie.

- Chyba nic z tego - odparła z powagą. - To jedyne zaproszenie, z którego na pewno nie skorzystam.

- Czy tak bardzo bolało?

- Nadal boli - mruknęła tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

- Ach, Gigi, ja nigdy bym nie pozwolił, żeby cię bolało.

- Och, oczywiście, tak mówisz, ale nie możesz tego zagwarantować, prawda? - Gigi potrząsnęła przecząco głową.

- Chyba nie - przyznał. - Góry... one są z natury niebezpieczne. Można złamać nogę stojąc w kolejce do wyciągu, jeśli wjedzie w nią jakiś pacan.

- Właśnie mnie przekonałeś, żeby już nigdy nie pojechać na narty... chociaż wcale nie potrzebowałam jeszcze jednej lekcji. - Coś w głosie Gigi sprawiło, że Spider spojrzał na nią uważnie. Zdał sobie sprawę, że zostało złamane coś więcej, nie tylko jej noga, więcej, niż kiedykolwiek dano mu poznać. Gigi, mimo całego swego zabawnego, pikantnego, łamiącego serce czaru, mimo prawie aroganckiej zuchwałości wesoło zarysowanych ust była osobą bardzo skrytą, której tak naprawdę wcale nie rozumiał. I

wcale mu się to nie podobało, ani odrobinę, nie potrafił tego zaakceptować. Było to sprzeczne z jego naturą: pozwolić dziewczynie, którą zna od lat, prowadzić tajemnicze życie, o którym on nic nie wie. Nagle poczuł, że rozpaczliwie jej pragnie.

- Gigi - odezwał się i położył jej ręce na ramionach - najdroższa Gigi... jeśli nie zechcesz, żebym cię pocałował, to nie wiem, jak to zniosę.

Gigi spojrzała na niego. Nie przyciągał jej, a jedynie dotykał swymi wielkimi, mocnymi dłońmi, pozostawiając jej decyzję. Nie potrafiła się oprzeć jednemu pocałunkowi, tylko jednemu pocałunkowi mężczyzny, który był jej bohaterem od dnia, w którym go poznała. Tęskniła za pociechą jego ramion po swym głębokim rozczarowaniu, po kilkumiesięcznym uczuciu całkowitego opuszczenia. Gigi pochyliła się w przód, tylko o pięć centymetrów, ale jemu to wystarczyło, żeby mocno ją przytulić i zacząć szukać jej warg.

Przy pierwszym dotyku jego ust Gigi zaskoczyła głębia własnego pragnienia. Spider całował ją z początku delikatnie, a potem, gdy mu odpowiedziała, coraz namiętniej, aż Gigi poczuła, że traci z zachwytu świadomość. Leżała w jego ramionach, on się nad nią pochylał, a jego usta, jego poszukujące, zapalczywe usta, stanowiły środek jej świata. Drżącymi ramionami obejmował ją tak mocno, że czuła, iż nigdy jej z nich nie wypuści. Całować, całować tak zawsze, on smakuje i pachnie tak dobrze, nie chce od życia niczego więcej, mówiła sobie Gigi jedną połową umysłu. Czuła się, jakby pocałunki przywracały jej duszę. Zaciśnęła ramiona wokół szyi Spidera tak mocno, jakby ratował ją z rozbitego statku. Mówiła sobie, że unosi ją fala pocałunków... i spróbowała się w nich zapamiętać mimo natłoku niepokojących myśli, które czaiły się w

zakamarkach jej umysłu.

Nagle poczuła na piersi dotyk dłoni Spidera. Wstrzymała oddech, raptownie wybita z transu.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy zaczął ją całować, poruszyła się, próbując usiąść prosto.

- Nie, nie, kochanie, nie bój się - powiedział cicho Spider - nie bój się. Powiedziałem, że nigdy cię nie skrzywdzę.

- Spider, puść mnie!

- Ależ... ależ... Gigi, kochanie, dlaczego?

- To jest niewłaściwe...

Głos Gigi był tak napięty, że Spider niechętnie się od niej odsunął. Siedzieli obok siebie na kanapie prawie zupełnie wyprostowani, lecz Spider trzymał ją w ramionach, nie pozwalając się jej od niego odwrócić.

- Gigi, dlaczego to miałyby być niewłaściwe? Nie chcesz mnie?

- Oczywiście, że chcę... kto by nie chciał? - powiedziała po prostu. - Ale to niewłaściwe, nie pytaj, skąd wiem, nie proś, żebym mówiła z sensem, nie pytaj choćby o jedną rozsądną przyczynę, po prostu uwierz mi.

- No, no - powiedział Spider drżącym głosem. - Wiele wymagasz.

- Wiem.

- Nie mam wyboru, prawda? - Miał smutny głos.

- Dziękuję, Spider.

- O rany... „dziękuję, Spider”... lepiej obiecaj mi, kochanie, że zawsze będziemy przyjaciółmi, skoro tak łatwo pozwałam ci się wywinąć.

- Nie potrafił opanować uśmiechu na widok jej zaniepokojonej, błagalnej, na wpół winnej, lecz całkowicie buntowniczej miny.

- To wcale nie było dla mnie takie łatwe.

- Teraz moja kolej powiedzieć: wiem. To chyba jakaś pociecha. Lepsze to niż nic, co? Dobranoc, mała. Nie zapomnij odbić rano w biurze karty. I dziękuję za kolację. Wyjątkową kolację. Kolacja z Gigi - równie piękną i równie niebezpieczną, jak któraś z tych cholernych gór, z których zjeżdżałem w życiu.

- Ma błysk w oku - zauważyła cicho Sasza, kiedy Joe Jones, nowo zatrudniony szef reklamy „Scruples II”, wszedł do gabinetu Billy. Zebrali się w nim wszyscy pracujący nad katalogiem, łącznie z czterema nowymi asystentkami Saszy. Dobrze ubrane, ambitne dziewczęta siedziały blisko siebie z wyczekującymi minami.

Ty też byś miała, pomyślała Billy, gdybyś pracowała na warunkach Joego. Aby zwabić do siebie jednego z najlepszych czarodziejów reklamy L.L. Beana, musiała czterokrotnie przebić jego pensję. Jak na człowieka pracującego tak ciężko, Joe Jones był głęboko przywiązany do uroków czasu wolnego. Słuchała, jak potrafiła najcierpliwiej, jego opisów radości płynącej z obserwowania zmian kolorów liści jesienią, przyjemności chodzenia po świeżym śniegu w zimie, fascynacji powolnym budzeniem się lasów na wiosnę i uciech lata spędzonego na żeglowaniu. Wszystkie te przyjemności musiał porzucić, by przyjechać do Kalifornii. Kiedy zgodziła się na jego pensję, musiała się także zgodzić na przeprowadzenie się jego z żoną do Los Angeles, opłacenie czynszu za dom dla nich na rok z góry. Podpisała z nim żelazny kontrakt na pięć lat, w myśl którego będzie mu wypłacać pensję bez względu na to, co się stanie z firmą. John Prince był w porównaniu z podobnym do gнома dżentelmenem ze Wschodu bułką z masłem, ale im bardziej Joe wszystko utrudniał, tym większym szacunkiem darzyła go Billy, bo właściwie rzucił najlepszą posadę w najlepiej prowadzonej firmie katalogowej. Billy podziwiała go za wymuszenie na niej najtrudniejszych warunków. Takiego kogoś właśnie potrzebowała.

Razem z Joem udało się jej zatrudnić jego równie kosztownego brata

Hanka, jednego z kilkunastu ludzi prowadzących coś pod nazwą „Działania” dla wielkiego Spiegła. Już na samą myśl o „Działaniach” Billy aż się skręcała. Nie chciała nic o nich wiedzieć; stanowiły zasadniczy szkielet funkcjonowania firmy katalogowej, gdzie słowa typu: „zwroty” fruwały ze swobodą, która wprawiała w drgawki każdą wrażliwą osobę. Niech tylko „Scruples II” wystartuje, to wtedy zmusi się do dokładnego dowiedzenia się, co to są te „działania”... ale dopiero wtedy. Za to Hank dostaje pieniądze.

- Wszyscy już znacie Joego - odezwała się Billy, gdy usiedli. - Niech sam do was przemówi.

- Dzięki, Billy - powiedział. Jego różowe policzki, okrągła twarz, okulary i siwe włosy sprawiały, że wyglądał tak niewinnie i uspokajająco, jakby prowadził staromodny sklep wielobranżowy. - Wszyscy prawdopodobnie wiecie, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent nowych firm katalogowych bankrutuje w ciągu ośmiu miesięcy - zaczął. - To ta zła wiadomość. A dobra wiadomość jest taka, że jeśli odniesiemy sukces, możemy się spodziewać zwrotu nakładów w ciągu dwóch, trzech lat, może szybciej. Mówimy więc o firmie pochłaniającej znaczny kapitał i ciesząc się, że mamy go wystarczająco dużo, żeby utrzymać się do czasu zwrotu nakładów. Moim zadaniem jest zdobyć dla was klientki, które doprowadzą do tego punktu i popchną firmę jeszcze dalej. Dużo dalej. - Błysnął okularami, rozglądając się po zatłoczonym pokoju. - Obieg - ogłosił Joe. - Tak się nazywa ta gra. Jeśli katalog nie dotrze do właściwych ludzi, to nie ma znaczenia, jak dobry macie towar. Wiem, do jakiego rodzaju ludzi musicie dotrzeć, wiem, gdzie znajdują się ich spisy. Wiem, jak te spisy kupić, wiem, jak się nimi posłużyć i czego w nich szukać, wiem także, jak

często musicie dostarczać ludziom nowe katalogi, żeby w końcu nawiązać z nimi stały kontakt. Powtarzanie, powtarzanie, powtarzanie! Wysyłamy do nich katalog jesienno-zimowy pięć czy sześć razy i to samo robimy z katalogiem wiosenno-letnim. Plus, oczywiście, wydanie gwiazdkowe. Każdy katalog ma inną okładkę, każdy zawiera pewien procent nowych towarów, stale pozbywamy się tego, co nie chwyciło, ale zasadniczo powtarzamy to, co najlepiej idzie w różnych kombinacjach, i dajemy to w różnych ujęciach fotograficznych. Powtarzanie, ludzie - bez tego nie da się żyć.

Sasza skinęła potakująco głową. Joe Jones nadawał na jej częstotliwości.

- Koszty firmy rodzą się w dwóch miejscach. Po pierwsze zapasy. O to chodzi w kupowaniu za zaliczeniem pocztowym. Nie można wysłać katalogów, nie będąc właścicielem zapasów i nie mając ich w magazynie. Wielkość zapasów towaru to czyste domysły. Można się pomylić na dwa sposoby - rzekł dobrodusznie spoglądając po ich zmartwionych twarzach.

- Domyślcie się źle i toniecie w nadmiarze towaru. Nadmiar towaru jest najczęstszą przyczyną bankructw. Domyślcie się źle w drugą stronę i nie możecie wykonać zamówień. Jeśli zrobicie to dwa razy, tracicie klienta - powiedział z radością magika wyciągającego z kapelusza mnóstwo królików.

- W każdym razie nie możecie się spodziewać, że bez kilku lat doświadczenia będziecie zawsze domyślać się właściwie, a nawet wtedy jest to loteria.

Czy powinnam mu podziękować, że nie powiedział mi tego wcześniej? - spytała samą siebie Billy, nie śmiejąc spojrzeć nikomu w

twarz.

- Przepraszam, Joe - odezwała się Gigi - ale dlaczego wyglądasz na takiego zadowolonego?

- Uwielbiam hazard, mała, pokera też. Bo gdzie jest cała zabawa?

- Poker w sobotę wieczorem, u mnie? - zaproponowała Gigi.

- Załatwione, mała. Ostrzeżę cię tylko raz - moja żona jest uważana za dość dobrego gracza. To te nasze długie wschodnie zimy wydobywają z nas ukryte talenty. Drugie koszta prowadzenia firmy to wydanie katalogu. Koszta papieru, wysyłki, druku, fotografii - to wszystko może was wykończyć. Będzie się tym ze mną martwił Spider, tak?

- Tak, Joe - rzekł Spider. Billy postanowiła rzucić okiem na niego i zobaczyć, jak reaguje na Joego Jonesa. Popatrzyła na Spidera siedzącego obok Gigi i zauważyła, jak wymieniają ze sobą złożone, rozbawione, jakoś intymne spojrzenia. Pomyślała, że może oboje lubią gry hazardowe, bo wydawało się, że bawią się o wiele lepiej niż ona. Właściwie w ciągu kilku tygodni, jakie upłynęły od jej powrotu z wyprawy do Nowego Jorku i Maine, skąd znów pojechała do Nowego Jorku, żeby mieć oko na Prince'a i upewnić się, że jak najszybciej zrobi szkice i poszuka materiałów, zauważyła, że między Spiderem a Gigi nawiązała się nowa przyjaźń.

Billy pomyślała, że skoro pracują w jednym biurze, jest to naturalne, zwłaszcza że Spider i Tommy Tether, wspaniałe, młody dyrektor artystyczny podebrany Ralphowi Laurenowi, eksperymentowali z różnymi sposobami układu graficznego „Scruples II”, posługując się najlepszymi reklamami i stronami redakcyjnymi czasopism poświęconych modzie, bo Spider zarządził, że katalog ma dostarczać wizualnych przyjemności i odejść od dotychczasowych form katalogów. Gigi pracowała z nimi,

próbując dopasować swoje specyficzne, osobiste teksty do zostawianego przez nich miejsca. Słuchając, jak Joe mówi o „współczynniku sprzedaży”, który to termin wyjaśniał jej już bez powodzenia kilka razy, Billy pomyślała mądrze, że bliskość zawsze wywołuje poczucie koleżeństwa.

Bliskość. Nie, to niemożliwe, absolutnie niemożliwe, powiedziała sobie Billy. Spider jest o sto lat za stary dla Gigi. Gigi jest jeszcze dzieckiem... no, prawie dzieckiem... nie starszym... od niej samej kiedy... poznała Ellisa Ikehorna. Który miał sześćdziesiąt lat. Spider ma tylko trzydzieści osiem. A ona, Billy Ikehorn, jest chyba niespełna rozumu.

- Będziecie wiedzieli w ciągu dwóch miesięcy od pierwszej wysyłki - powiedział na zakończenie Joe Jones. - Przeciętny odzew w tym interesie wynosi dwa procent. Jeśli to wam się nie uda, to nic z tego. Jeśli uda wam się lepiej, to nie istnieją żadne ograniczenia. Kiedy mój brat Hank wróci z Virginii, opowie wam o nowym magazynie, działaniu telefonów, pakowaniu i wysyłce. I o zwrotach. On to potrafi lepiej niż ja. Czy ktoś ma jakieś pytania?

- Nie rozumiem, dlaczego Virginia - poskarżyła się Sasza. - Nie rozumiem, dlaczego będziemy tworzyć katalog tutaj, projektować kolekcje w Nowym Jorku, produkować towar w fabrykach w całym kraju, a wszystko trzymać w Virginii.

- Kiedy buduje się magazyn tej wielkości, to nie kupuje się pod niego terenu w Kalifornii, Sasza. Jeśli chce się mieć pewność, że telefonistki będą cierpliwe, pomocne i wszechstronnie poinformowane, innymi słowy, że będą najlepszymi sprzedawczyniami, to trzeba zatrudnić miłych ludzi z uprzejmymi głosami. Tak więc szuka się miejscowości na południu, gdzie

istnieje porządna, niezłomna tradycja cierpliwości i dobrego wychowania. Oraz niższe pensje. Nie chciałabyś tego robić w Nowym Jorku, prawda?

- Chyba nie - odparła ze śmiechem Sasza. Pracowała jako asystentka Billy. Szczęśliwie zostawała w Los Angeles, podczas gdy Billy miotała się swoim odrzutowcem, podtrzymując ogień pod Prince'em i podkupując w innych firmach ludzi na kluczowych stanowiskach, zachowując się jak Lorelei z otwartą książeczką czekową. Zadaniem Saszy było opracować kolekcję dawnej bielizny przy pomocy Gigi i jej dawnej przyjaciółki Mazie Goldsmith, małą Kolekcję Rzeczy Wyczerpanych oraz projekty dla kobiet „puszystych”, dla których nikt jeszcze nie znalazł odpowiedniej nazwy. Jej cztery asystentki były doświadczonymi, bystrymi młodymi kobietami. Całe szczęście, że pracowały tak dobrze, bo przygotowania ślubne zajmowały jej kilka godzin dziennie, a nie mogła się nimi zajmować w nocy, bo w nocy był Josh. Powinna się bardziej wszystkim interesować, bo przecież gdyby nie ona, nic by z tego nie było. A może zaczęło się to od Gigi? Nieważne... Kiedy myślała o Joshu, jej umysł zawsze zapuszczał się w przyszłość. Josh też musiał z tych samych powodów prosić Strassbergera i Lipkina, żeby przejęli wiele z jego spraw.

- To chyba tyle - powiedziała Billy, gdy Joe skończył. - Dziękuję, Joe, to było bardzo potrzebne.

- Pamiętajcie, że to nie jest tak skomplikowane, jak mogło to zabrzmieć w moich ustach - powiedział Joe z oczyma płonącymi oczekiwaniem. - Jest o wiele gorsze.

* * *

- Billy, tak często nie ma cię w mieście, że mam wrażenie, jakbyś wcale nie wróciła z tego Paryża - poskarżyła się Dolly Moon. Obie

siedziały przy jej basenie obok grządki kwitnących tulipanów. Był słoneczny koniec kwietnia.

- Och, Dolly, wiem. Wilhelmina Wendy rośnie tak szybko - biedactwo, jestem okropną matką chrzestną. Ma prawie pięć lat, a ja nic jeszcze nie zrobiłam w związku z jej wykształceniem religijnym. Czy to nie jest główny obowiązek, jaki spoczywa na matce chrzestnej?

- Jakoś sobie poradzi, ma bogobojną babkę. To ja ciebie potrzebuję - powiedziała Dolly z rozdrażnieniem. - Tylko spójrz na mnie! To ja powinnam bać się Boga - może wtedy potrafiłabym utrzymać dietę. Przydałoby mi się trochę dobrej, staromodnej religii! Ogień, Billy, ogień piekielny i siarka, proszę cię, Billy, liczę na ciebie - poprosiła żalnym tonem Dolly. - W ciągu sześciu tygodni muszę zrzucić trzynaście kilogramów. W czerwcu zaczynamy zdjęcia. Robimy z Dustinem drugą część filmu, i na razie ważę chyba dwa razy więcej niż on. Nie będzie mógł dosięgnąć moich ust przy pocałunku, a gdybym usiadła mu na kolanach, to bym go zmiażdżyła na płask. Uwielbiam go, ale dlaczego jest taki mały?

- Dolly, wiesz, że nie potrafię ci już pomóc - powiedziała surowo Billy. - Musisz zapisać się do jakiejś grupy, do Strażników Wagi, Anonimowych Obżartuchów czy czegoś takiego. Mówiłam ci tysiąc razy, że kiedy nachodzą cię te ataki jedzenia, to musisz mieć innych dietetyków, do których mogłabyś zadzwonić i porozmawiać. Dzwonienie do mnie nie ma sensu, ja mam manię na punkcie szczupłości, więc dla mnie to łatwe.

- Ale chyba musisz mieć jakieś... sekreciki? Sztuczki? A może nie chce ci się w ogóle jeść?

- Jasne, że mi się chce. Jestem człowiekiem. Weź na przykład

czekoladę. Wiesz, że ją uwielbiam.

- Tak, ale nawet jej nie dotykasz. Przy lunchu nie chciałaś ani kęsa ciasta czekoladowego.

- No... - powiedziała z wahaniem Billy.

- No?

- Właściwie z czekoladą jest łatwo. Na szczęście czekolada wygląda jak łajno... jak prawdziwe łajno. Przecież ma ten sam kolor. Więc ile razy widzę czekoladę, to sobie mówię, że to rzeźba z łajna. Tabliczka łajna, kawałek łajna, sos ze stopionego łajna...

- Rozumiem! Cudowne! Nigdy nie zjem już ani grama niczego czekoladowego! Ale, Billy, a co z białą żywnością? Pure ziemniaczane, lody waniliowe, biały chleb z masłem...?

- Z masłem? Nie mogę uwierzyć, że powiedziałaś coś takiego. Dolly, zapomnij o łajnie, jesteś po uszy w gównie. Jedynym ratunkiem jest tu grupa. Trzyście kilogramów w sześć tygodni? To prawie pół kilograma dziennie - Billy potrząsnęła z przerażeniem głową. - Lepiej natychmiast pójść do dobrego dietetyka i dowiedz się, jaki jest najszybszy bezpieczny sposób. I przestań wyjadać z talerzy dzieci. Wiesz, że to połowa problemu. Powiedz sobie, że za każdym razem, kiedy to robisz, pozbawiasz je jedzenia, odejmujesz im od ust.

- Ale ja wiem, że to nieprawda, kucharka zawsze gotuje za dużo. A one nigdy nie zjadają wszystkiego, są wybredne - powiedziała żałośnie Dolly.

- Och, Dolly, właściwie wyglądasz absolutnie cudownie - powiedziała szczerze Billy. - Prawdziwy kłopot w tym, że tak naprawdę z tuszą jest ci do twarzy, a ty jesteś tak skromna, że nie masz motywacji do

utrzymania linii między filmami.

- Wiem - jęknęła Dolly. - Na każdy przyjęty scenariusz odrzucam sto innych. Ale chcę mieć czas dla Lestera i dzieci.

- To po co być jedną z największych gwiazd na świecie, jeśli masz je zaniedbywać? Gdybyś nie była pracującą aktorką, mogłabyś o wszystkim zapomnieć. Sasza Nevsky - poznałaś ją, pamiętasz? - ma trzy ciotki, które są trzy razy grubsze od ciebie, i jest tak prawie przez całe ich życie, a one są szczęśliwe, zdrowe i kochane. Projektujemy dla nich całą kolekcję naprawdę wspaniałych strojów do „Scruples II”, dopóki nie znajdziemy odpowiedniej nazwy, nazywamy ją „Kolekcją dla puszystych”.

- Jak one wyglądają? Stroje, nie ciotki - spytała markotnie Dolly.

- Ich podstawą są elastyczne paski w talii. W przeciwieństwie do ciebie większość otyłych kobiet nie ma talii, więc kupują rzeczy szerokie na dole. Przy elastycznych paskach możemy wstawić do ubrań dość szerokie ramiona, wywołać złudzenie talii i interesująco udrapować tkaninę.

- Nazwijcie je „dollymoonki” - westchnęła Dolly. -To, co mówisz, nieźle brzmi.

- Ale dlaczego chciałabyś, żeby ubrania zaprojektowane specjalnie dla otyłych kobiet były nazwane twoim imieniem? - spytała z niedowierzaniem Billy.

- Żebym nie musiała ich nosić! Billy, to jest to! Nie chcę nosić waszych dollymoonek, chcę nosić boskie nolanmillerki. To jest moja motywacja! Och Billy, wiedziałam, że mi pomożesz. Musisz nazwać kolekcję „dollymoonkami”, bo inaczej na nic mi się to nie przyda. Och, Billy, dziękuję! Uratowałaś mi życie!

- Może rozum, ale nie życie - powiedziała Billy śmiejąc się z przyjaciółki. - Jeśli mówisz poważnie, to dla nas będzie to bomba. Ale zapytaj najpierw Lestera, czy nie ma nic przeciwko temu. Porozmawiaj też ze swoim agentem i prawnikiem, im się to może nie podobać, a ja nie chcę cię wykorzystywać.

- Billy, kochanie, nikt, ale to nikt mnie nie wykorzystuje - powiedziała Dolly tonem, na którego dźwięk Billy zamrugała ze zdumieniem oczyma. - Chyba nie sądzisz, że pozwalam mojemu agentowi podejmować za mnie decyzje w interesach, co?

- Chyba tak myślałam - powiedziała powoli Billy, zdając sobie nagłe sprawę, że wrodzony spryt przyjaciółki prawie zawsze skrywał się pod jej ekstrawagancką osobowością. Nawet ona pozwoliła sobie na popełnienie błędu niedoceny Dolly.

- Kiedy moja kariera zaczęła się na dobre, obiecałam sobie, że żaden mężczyzna już mi nie będzie mówił, jak mam sobie ułożyć życie, nawet Lester - powiedziała Dolly. Jej błękitne oczy zrobiły się jeszcze większe z powodu powagi tematu. - Kobieta musi w tym interesie myśleć sama za siebie, bo inaczej stanie się niewolnicą protektora, agenta, ukrytych celów agencji, dla której on pracuje - ci faceci mogliby nauczyć paru rzeczy CIA albo mafię - przynajmniej trzech różnych prawników i męża, jeśli go ma. Kupa facetów, którzy sądzą, że wszystko wiedzą. Ha! Jak się to mówi na Brooklynie, fuhgedaboudit! Ufam własnej zdolności podejmowania decyzji, Billy, tak samo jak ty. To dzięki Oscarowi znalazłam się na tej pozycji i nigdy jej nie opuszczę. Jak się nad tym zastanowić, to wiele zawdzięczam Vitowi.

- Nigdy o tym nie myślałam. Ale masz rację, dopóki nie dostałaś tej

roli w Zwierciadłach, nikt cię właściwie nie doceniał, nie widział spod cycków i tyłka aktorki.

- Nie wymawiaj tych słów! Przez chwilę o nich zapomniałam. Dobra, dobra, jutro oddam się w ręce dietetyka. Dietetyczki. Dobrze? Zadowolona?

- Zrób to dzisiaj - rzekła ponuro Billy. - Masło!

- Dzisiaj. Obiecuję. Uff! Już się czuję szczuplejsza. A teraz opowiedz mi o Gigi. Nie widziałam jej od stu lat. Co u niej?

- Wszystko wspaniale. Pisze najoryginalniejsze teksty do katalogu, jakie kiedykolwiek zdarzyło ci się czytać, i razem z Mazie po całym Los Angeles i San Francisco poluje na dawną bieliznę. Robi własne ilustracje do tej części katalogu. Są czarujące, zabawne... widziałas przecież rysunek, jaki wysłała ci na Gwiazdkę, więc sama wiesz. Gdybym od czasu do czasu nie wpadała na nią w biurze, sama prawie bym jej nie widywała.

- Nie tęsknisz za nią?

- Oczywiście, że tak, ale co mogę na to poradzić? Jest zbyt dorosła, żeby mieszkać ze mną.

To by chyba było jak... mieszkanie z matką.

- To śmieszne! Gdybym była w jej wieku, wykorzystałabym taką okazję.

- Łatwo ci powiedzieć, bo jesteśmy przyjaciółkami, równolatkami. Ale Gigi i ja... jesteśmy jakby spokrewnione, no, nie za bardzo spokrewnione, wcale nie jesteśmy jak matka i córka, ale... - powiedziała Billy usiłując po raz kolejny dojść do tego, czym są dla siebie z Gigi, skoro przestała już być jej prawną opiekunką. Mówiła o niej jako o swojej pasierbicy, ale to nigdy naprawdę nie było tak.

- Cóż, mam nadzieję, że dobrze wykorzystuje swoją wolność - rzekła Dolly, ruszając brwiami jak Harpo Marx.

- Właśnie, jej wolność oznacza, że o niczym nie mam pojęcia. Miałam taką idiotyczną teorię...

- Hmm?

- Nie, to nie mogłoby się zdarzyć. Wyrzuć to z myśli, jak mówią w Bostonie.

- Billy - powiedziała ostrzegawczo Dolly - jeśli nie miałaś zamiaru o tym mówić, to nie powinnaś w ogóle zaczynać. Nie możesz mi tego zrobić.

- Och, to takie głupie. Ale jest... jakieś coś... między nią i Spiderem.

- Coś? Jakie coś?

- Podejście, nic więcej. Przynajmniej nic, o czym bym wiedziała. Zupełnie jak gdyby... mieli coś wspólnego... o czym nie wie nikt inny. Chyba trzeba mnie zarejestrować, jestem niezrównowazona, gotowa do zabrania przez ludzików w bieli za to, że wspominając o tym, uwzniośliłam całą sprawę. Co więcej, to nie mój zasrany interes.

- Ty pójdziesz górą, a ja doliną - rzekła Dolly, prawie podskoczywszy z ciekawości. - Gigi i Spider? No, nie jest to przecież niemożliwe, co? On jest mężczyzną, ona kobietą, to im daje pewną płaszczyznę porozumienia.

- Dolly, jesteś obrzydliwa.

- Realistyczna, a realizm jest często obrzydliwy. On jest wolny, ona jest wolna, ona jest w jego typie, on jest w typie każdej kobiety...

- Co to znaczy, że ona jest w jego typie?

Dolly spojrzała na Billy, jakby ta była niedorozwinięta umysłowo.

- Rude włosy, zielone oczy, drobna kość, lekko chochlikowata, pełna cudownej zuchwałości - jak Valentine.

- Ależ Gigi farbuje włosy! - krzyknęła z oburzeniem Billy.

- Jasne, tak jak ja nie jestem naturalną blondynką, więc jak można stąd po Tybet myśleć o mnie jako o jednej z blondynek wszechczasów?

- Jak Valentine - powiedziała powoli Billy. - Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

Valentine była niepowtarzalna - taka francuska...

- Była pół-Irlandką, jak Gigi, jeśli chcesz brać pod uwagę pochodzenie. Matka Gigi pochodziła z Irlandii, tak jak ojciec Valentine. Irlandzkie geny są niezwykle silne.

- Dolly? Czy ty rzeczywiście widzisz jakieś podobieństwo?

- Wystarczające, żeby wychwyciła je jego podświadomość - odparła Dolly.

- Znow ta cholerna podświadomość! Nigdy nie byłam w tym dobra - powiedziała gwałtownie Billy. - Całe życie wpędzała mnie w kłopoty. Tak naprawdę to nikt nie wie, co się tam dzieje, jak to działa, równie dobrze może to być wyobraźnia! Podświadomość powinna być zakazana!

- Nawet ty, kochana Billy, nic nie możesz na to poradzić.

- No tak, jak już mówiłam, to nie mój interes.

- Oczywiście - zgodziła się Dolly. - Tylko dlatego, że Gigi jest jakby twoją własną córką, a Spider, no cóż, jest twoim współnikiem, a także najlepszym przyjacielem, z którym blisko współpracujesz dłużej, niż znam was oboje...

- Dolly, zrozumiałam. Przestań!

- Dobrze. - Dolly pomyślała, że Billy nie rozumie. Ani odrobinę. Z

podświadomością radzi sobie nawet gorzej niż myśli.

* * *

Gigi zastanawiała się, czy ojciec w ogóle jej słucha, czy tylko automatycznie reaguje na jej słowa, zgodnie ze swoją teorią jak mężczyzna powinien zachowywać się wobec córki. W ciągu całej kolacji komentarze Vita były inteligentne i pełne zrozumienia. Opisywała mu szczegóły swej działalności i szybkie postępy w pracach nad katalogiem, ale ani przez chwilę nie widziała w jego oczach błysku skupienia czy prawdziwego zainteresowania. Stwierdziła, że słucha, ale tylko jednym uchem. Nie potrafił ukryć przed nią faktu, iż jest poważnie zmartwiony. A czym mógłby się martwić jak nie jakimś filmem?

Spotkali się na podobnej kolacji kilka miesięcy temu, bo oboje znajdowali się akurat w Kalifornii, ale i wtedy Vito był nieobecny duchem. Dobrze mówi, pomyślała Gigi, przyglądając mu się uważnie z nad filiżanki z kawą, i dobrze wygląda, zachował swą fizyczną władczość i tę wspaniałą aurę naczelnego wodza, którą tak dobrze pamiętała z rzadkich spotkań w dzieciństwie. Gigi stwierdziła, że jeśli teraz mówilby o interesach, nikt nie dostrzegłby, że jest zdenerwowany i niespokojny. Ale kiedy ona paplała o ślubnych planach Saszy, jego uwaga osłabła i zapomniał się na tyle, że Gigi spostrzegła, jak jest z nim źle.

Widząc jego zatroskanie, poczuła się dziwnie opiekuńcza w stosunku do ojca. Z pewnością nie zasługiwał na to. Nic nie mogłoby uzasadnić uczucia dla człowieka, który prawie w ogóle nie interesował się jej życiem, ale jedynym słowem, jakie przychodziło jej na myśl w związku z odczuwanymi przez nią emocjami, była „opiekuńczość”. Chciała mu jakoś pomóc. Kiedy zapytała o film, zapewnił ją, że umieszczenie Czystej gry w

planach wytwórni nie sprawiało więcej kłopotów niż zwykle.

Obserwując ojca tak odległego i nieobecnego, Gigi nagle poczuła nieprzepartą chęć porozmawiania o Zachu Nevskym z jedyną osobą, która na pewno się nim nie zainteresuje. Na podstawie niepisanej umowy unikała tego tematu w rozmowach z Saszą, a Billy nic o nim nie wiedziała. Natomiast rozmowa z Vitem byłaby jak mówienie do obrazu.

- Poznałam w Nowym Jorku kilka osób związanych z teatrem - powiedziała w przerwie weselnego sprawozdania.

- Znam kogoś?

- Nick De Salvo?

- On nie ma nic wspólnego z teatrem, to aktor filmowy. Z tego, co widziałem, facet idzie na całego - rzekł Vito.

- Nick akurat był w Nowym Jorku, bo grał Hamleta w awangardowym teatrze u brata Saszy, Zacha Nevsky'ego. - Wypowiadając imię Zacha Gigi poczuła z drzeniem, że wstępuje na teren zakazany, niebezpieczny, gdzie może ją spotkać tylko nieszczęście. Samo wypowiedzenie jego imienia kryło słodycz poddania się, której nie mogła sobie odmówić mimo tego, co zrobił jej Zach.

- Czytałem recenzje. Było ich dużo jak na takie nie związane z Broadwayem, praktycznie nie przynoszące zysku przedsięwzięcie. To chyba dzięki Nickowi De Salvo sztuka odniosła taki oszałamiający sukces - odparł Vito. - Jak to się stało, że poznałaś tych idealistów? Przez Saszę?

- Właśnie. Czy naprawdę sądzisz, że są tylko naiwnymi idealistami? Czy dla reżyserów takich jak Zach nie ma przyszłości? Każda recenzja go chwaliła, wszystkie nazywały go nadzwyczajnym, wszystkie mówiły o jego wizji i odwadze.

- Gigi usiłowała mówić beznamiętnie mimo walącego serca.

- Panowało ogólne przekonanie, że Zach jest zdecydowanie najbardziej ekscytujący i nowatorski wśród młodych, nowych reżyserów teatralnych. Przynajmniej tak pisali inni - ja się nie znam.

- Posłuchaj, Gigi, ten Zach Nevsky może być sobie „naj” i tak dalej, ale co mu z tego przyjdzie? Poza Broadwayem? No, rusz głową. Finansowo jest to beznadziejne, a z każdym rokiem jest gorzej. Jeśli nie będzie robił filmów, nigdy nie będzie miał wystarczająco dużej publiczności, żeby poważnie zaistnieć.

- Ale czy Zach nie mógłby być kolejnym Josephem Pappem? Wiem, że Sasza ma nadzieję, że pewnego dnia Zach będzie znaczył tak wiele dla teatru jak Papp.

- Jest miejsce tylko dla jednego Pappa - oznajmił Vito.

- Jak dobrze poznałaś Nicka De Salvo?

- Niezbyt dobrze, ale był uroczy. Poznałam go w czasie tego weekendu, kiedy złamałam nogę. Jest przyjacielem Zacha.

- Jeśli jest jego przyjacielem, to powinien powiedzieć Zachowi Nevsky'emu, żeby zostawił awangardę, przyjechał tutaj i nauczył się, czym się różni dupnegatyw od kontr-negatywu - powiedział obojętnie Vito.

Rozmawiając z Gigi myślał o tym, że Arvey trzyma go w niepewności od Gwiazdki, a jest już kwiecień. Wcale nie byli bliżsi podpisania umowy niż wtedy, a mimo wszystko ich negocjacje nie zostały zerwane. Gdyby jakaś inna wytwórnia była zainteresowana, natychmiast zabrałby projekt Arveyowi, ale wszyscy odrzucili Czystą grę.

Vito spotkał się z szefami wszystkich wytwórni. Każdy z nich

zapewniał go, że osobiście poświęcił czas na przeczytanie opinii swoich recenzentów o Czystej grze. Pomysł, że mogli sami przeczytać materiał wyjściowy, nawet nie przyszedł im do głowy, zresztą Vito tego i tak nie oczekiwał. Opinie recenzentów były oparte na trzy- czy czterozdaniowym streszczeniu intrygi, kilku stronach szczegółowej analizy, charakterystyce postaci i ostatecznym werdykcie.

Werdykty były wariacjami na ten sam temat: książka to klejnot, rzadka uczta, cudownie się czyta, doskonale można zrozumieć, że jest bestsellerem. Ale jako film? Komercyjny? Nie. Zbyt dużo spraw negatywnych. Tego się nie poleca. Nie ma w nim nic, absolutnie nic, co przemówiłoby do młodej widowni, która zapewnia im wszystkim chleb. Jeśli chodzi o widownię dorosłą, która mogłaby dać filmowi nieoczekiwane wsparcie, jeśli spodoba się jej gotowy produkt, to też nie. Warunkowe, ale nie. Zbyt ryzykowne. Żadnej pewności. Dwie główne postacie są ciut zbyt brytyjskie, zbyt pogrążone w klasowej strukturze brytyjskiego społeczeństwa. Nie są to ludzie ze współczesnej komedii Noela Cowarda ani nie są tak niedobrani jak w Sunday, Bloody Sunday. Nie, niestety, ale nie.

Tylko Curt Arvey mu nie odmówił. Tylko Curt Arvey widział coś w jego projekcie, ale chciał, żeby Vito zrobił film za niewiarygodnie niską cenę siedmiu milionów dolarów.

- Zrobiłeś „Zwierciadła” za dwa miliony dwieście, Vito, a siedem milionów to przeszło trzy razy tyle - mówił uparcie Arvey, nie chcąc ani trochę przyznać, że w ciągu czterech lat koszt produkcji ogromnie wzrosły. Zupełnie nie brał pod uwagę niewątpliwych faktów, że kręcąc Zwierciadła Vito sprawił niepowtarzalny cud: uzyskał po zniżkowych

cenach usługi świetnego scenarzysty, wspaniałego reżysera i legendarnego operatora, powołując się na zaległe zobowiązania i rozdając procenty od swych zysków. Co najważniejsze, w swym oscarowym filmie Vito nie zatrudnił ani jednej gwiazdy. Aby „Czysta gra” odniosła sukces, potrzebne były dwie gwiazdy. Nie było najmniejszej szansy, żeby powiodło mu się z nieznanymi aktorami - jedenaście milionów dolarów było kosztem minimalnym, lecz niezbędnym. Bez żadnego marginesu na błędy. Przy tym wszystkim w 1982 roku i tak byłby to film niskobudżetowy.

Vito pomyślał, że nie użył jeszcze swej ostatniej karty, nie poprosił o pomoc Susan. Spalali się w namiętności tak skomplikowanej, tak poważnej, tak bardzo wykraczającej poza wszystko, czego spodziewali się na początku, że wymykała się ona zdolnościom pojmowania Vita. Byli godnymi siebie przeciwnikami. Za każdym spotkaniem doprowadzała ich walkę do remisu i robiła z niego coraz większego niewolnika. Jednak nie odmawiała żadnemu z jego żądań, nigdy nie mówiła „dość”. Pragnęli się nawzajem nienasycenie. Im więcej otrzymywali, tym bardziej pragnęli. Podłoże ich związku nie było już wyłącznie seksualne. Chodziło w nim teraz o samego Vita, o jego tożsamość, osobowość. Był pewien tylko jednego: jeśli poprosi Susan o pomoc, to bez względu, czy mu jej udzieli, czy nie, ich cudowna przygoda skończy się raz na zawsze, a on do końca życia będzie się uważał za pokonanego. Był przyparty do muru, żył na kredyt i pożyczał pieniądze od Fifiiego Hilla.

- Gigi - powiedział biorąc głęboki oddech - jest coś, co mogłabyś dla mnie zrobić... pytałaś mnie wcześniej o *Czystą grę*. Nie chciałem ci mówić, w czym problem, ale tak naprawdę to Curt Arvey jest kompletnie nierozsądny w kwestiach budżetu. Rozbieżności dotyczą tylko czterech

milionów dolarów, ale równie dobrze mogłoby to być czterdzieści. Susan Arvey ma akcje wytwórni Arveya. To oznacza, że jest czymś więcej niż jego żoną: ona ma prawdziwą władzę. Tak się składa, że Billy jest prawdopodobnie jedyną kobietą w mieście, która ma jakiś wpływ na Susan. Wiem, jak jesteście blisko z Billy. Gdyby... gdyby Billy mogła szepnąć słówko Susan, gdyby mogła powiedzieć, jak bardzo podoba się jej ten pomysł, może to popchnęło by sprawy do przodu.

- Z całą pewnością mogę spróbować - powiedziała powoli Gigi. - Najwyżej się nie zgodzi.

- Wiem, że nie mam prawa cię prosić...

- Nie mów tak - zaprotestowała Gigi. - To nic wielkiego. Cieszę się, że poprosiłeś. Wiem, że Billy przeczytała książkę i była nią zachwycona. Umówiłam się z nią na lunch w niedzielę, pojutrze, i wtedy z nią porozmawiam. Tylko nie wiem... no, nie mam pojęcia, czy... dlaczego Billy miałyby chcieć to dla ciebie zrobić.

- Dziękuję, Gigi - powiedział Vito z uśmiechem. - Doceniam to.

Nie chodzi o to, co chce zrobić dla mnie, pomyślał, to kwestia tego, co chce zrobić dla ciebie.

* * *

- Pamiętasz, kiedy jadłyśmy tu pierwszy raz, cztery lata temu? - spytała Billy, kiedy usiadły z Gigi przy stoliku na tarasie. - Nigdy nie zapomnę twego zdumienia, że ludzie mogą tak żyć.

- Jakoś udało mi się do tego przyzwyczaić - powiedziała w zamyśleniu Gigi, mając żywo w pamięci pierwsze wrażenia z owego dnia. Nie potrafiła jednak przywołać coraz bardziej zacierającego się, prawie niemożliwego już do odtworzenia wspomnienia o dziewczynie, której się

to wszystko przydarzyło. - Ale i tak za każdym razem jestem kompletnie oszołomiona. Te ogrody... są tak cudowne z tymi wszystkimi zaczynającymi kwitnąć różami.

- Wiem - bardzo mnie frustruje, że oglądam je tylko rano, kiedy wychodzę do biura. Zaczęłam wstawać o godzinę wcześniej, żeby mieć czas na spacer i obserwację, co się tu dzieje.

Bo kiedy wracam do domu, jest już ciemno. Cała ta wiosna przechodzi koło mnie bokiem, ale to moja wina, bo posłuchałam Spidera Elliotta. Powinnam już wiedzieć, że potrafi mnie namówić na wszystko.

- Billy? Chyba nie żałujesz, że robimy ten katalog? Chyba się nad tym nie zastanawiasz? - spytała Gigi. - Dawno już minęliśmy punkt zwrotny.

- Nie, nie zastanawiam się. Tylko nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mnie to pochłonie, jak bardzo będzie to ekscytujące, jak... prawie przerażające. Sklep, nawet kilka sklepów, był to znany obszar, coś do objęcia, coś, z czym na pewno dałabym sobie radę. Ale to jest zupełnie inne. - Billy ze smutkiem potrząsnęła głową. Gigi pomyślała, że wygląda na spiętą, nawet zdenerwowaną, chociaż Billy starała się odprężyć. Miała na sobie białe lniane spodnie i ogromny biały golf, z którego ciemna, kędzierzawa głowa na długiej szyi wyłaniała się w królewski sposób, jaki zawsze prezentowała światu. - Katalog oznacza życie publiczne w zupełnie inny sposób niż sklep - ciągnęła Billy. - Odzwierciedla swych twórców, wystawia na cenzurowane ich gust. Zeszłej nocy obudziłam się o trzeciej. Śnił mi się koszmar: wszystko się zawaliło, a ja stałam się pośmiewiskiem. Pośmiewiskiem. Ta możliwość wisi nade mną całe życie. Oczywiście już nie zasnęłam, czytałam do rana.

- A ja budzę się, złana zimnym potem i zastanawiam się, czy ktokolwiek, widząc moje teksty i rysunki, zechce kupować dawną bieliznę. Skąd mam wiedzieć, czy rysunki się sprawdzą, jeśli reszta katalogu to zdjęcia?

- Czy ty też nie śpisz całą noc?

- Mówię sobie, że jeśli to się nie sprawdzi, to zawsze mogę wrócić do gotowania - przyznała Gigi. - Próbuję sobie przypomnieć bardzo skomplikowane francuskie przepisy i zanim dochodzę do piątego czy szóstego składnika, zasypiam jak zabita.

- Ciekawe, czy Spider też cierpi na nocne ataki niepokoju katalogowego? - spytała Billy.

- Nie wiem, nigdy o tym nie mówił.

- To chyba znaczy, że nie cierpi. Typowe. „Kto? Ja mam się martwić?” - rzekła kwaśno Billy.

- A może on jest tak samo przepracowany jak my, tylko się nie przyznaje? Nie jestem ostateczną wyrocznią w sprawach Spidera.

- Właściwie uważam, że jesteś, Gigi - powiedziała Billy głosem, który znajdował się dokładnie na granicy między żartem i niewinnym domysłem.

- Dlaczego tak mówisz? - spytała Gigi, uderzona dziwnymi słowami Billy. Przeszawiła krzesło w ten sposób, żeby siedzieć dokładnie naprzeciwko Billy. Włosy rozwiały jej się od gwałtownego ruchu, a brwi w zdumieniu uniosły się tak wysoko, że schowały się pod grzywką.

W każdym rysie jej doskonale owalnej twarzy, od prostego noska do pełnej górnej wargi, odbijało się pytanie widoczne w jej zielonych oczach.

- Och, Gigi... - Billy wzruszyła ramionami, ostrożnie przesuając po

żółtym, lnianym obrusie solniczkę i pieprzniczkę, jakby nagle owładnęło nią pragnienie znalezienia idealnej symetrii.

- Co och, Gigi? - spytała ostro Gigi. - Billy, dlaczego uważasz, że jestem ostateczną wyrocznią w sprawach Spidera?

- Cóż, pracujesz z nim tak blisko, tekst i układ graficzny są tak kompletnie ze sobą związane - powiedziała Billy, szybko się wycofując. - Gdyby miał jakieś wątpliwości, to by ci o nich powiedział.

- Dlaczego mnie? Przecież wy, ty i on, inwestujecie w „Scruples II”, ja jestem tylko pracownikiem, oprócz kolekcji dawnej bielizny, za którą mam dostawać honorarium. Ja nie mam nic do stracenia i wszystko do zyskania. Ale wy pracujecie razem od lat i z pewnością to ty byłabyś osobą, z którą by porozmawiał.

Billy zawahała się tak nieznacznie, że prawie nie dało się tego zauważyć.

- Tak, rozumiem, co masz na myśli... ale nie koniecznie o to chodzi.

- Nie rozumiem - powiedziała Gigi, zaskoczona uporem Billy.

- To nieważne.

- Dla mnie ważne. - Gigi nie ustępowała.

- Gigi... naprawdę żałuję, że w ogóle zaczęłam.

- No, ale zaczęłaś. A ja nie mogę tego tak zostawić - powiedziała buntowniczo Gigi.

- To nic takiego... - rzekła lekkim tonem Billy. Nie mogła już dłużej unikać męczącego ją od kilku tygodni tematu. Nie potrafiła się powstrzymać przed poruszeniem go. - To naprawdę nic takiego... po prostu zauważyłam, że między tobą i Spiderem powstała jakaś... przyjaźń czy porozumienie, czy związek, czy cokolwiek to jest - która nie jest

zupełnie... niewidoczna. Jest między tobą i Spiderem jakaś intymność, więź... coś... nowego... i, kto wie?... mogłoby to być coś, no wiesz... coś znaczącego. - Billy nagle przerwała, zdając sobie sprawę, że jej głos stracił wymuszoną lekkość. Posłała pieprzniczce szybki, nieprzekonujący uśmiech, nie potrafiąc spojrzeć Gigi w twarz.

Gigi poruszyła się niezręcznie w fotelu i ugryzła kawałek ciasteczka. Narastało między nimi kłępujące milczenie, jednak żadna z nich nie uczyniła nic, by je przerwać.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że to widać - odezwała się w końcu Gigi. - Jest coś nowego, tak, ale jeśli nie nazwiesz prostej przyjaźni czymś znaczącym, to nie jest to nic znaczącego.

- Ja nazywam prostą przyjaźń czymś znaczącym. Jest jej za mało na świecie, żeby nie była znacząca. Ale pomiędzy mężczyzną i kobietą - och, zapomnijmy o mężczyźnie i kobiecie, Gigi, ani przez sekundę nie pomyślałam, że przyjaźń między tobą i Spiderem mogłaby być „prosta”.

- Dlaczego? - spytała łagodnie Gigi. Zerwała się z fotela i podeszła do kamiennej balustrady odgradzającej taras od grządki z żółtymi różami. W oczekiwaniu na odpowiedź spojrzała na odległe drzewa nie widząc ich. Kiedy odpowiedź nie nadchodziła, podeszła do stołu, jak gdyby wracała z daleka. Na jej policzkach płonęły gorące, czerwone rumieńce. Oczy Billy patrzyły na nią pytająco, nieugięte. Nie akceptowały wymuszonej, obcej Gigi łagodności.

- Kiedy byłeś w Nowym Jorku, zjedliśmy pewnego wieczoru razem kolację, zaraz potem, jak skończyłam pisać wstępniak - powiedziała szybko Gigi. Stała przed Billy, usiłując mówić rozsądnym tonem. - Kolacja miała uczcić to wydarzenie. Potem rozmawialiśmy i... wtedy

Spider mnie pocałował... trwało to kilka minut, a potem przestaliśmy. To właśnie się stało, kilka pocałunków, ale rozbiło to jakąś barierę między nami - prawdopodobnie barierę pokoleniową - i postanowiliśmy, że odtąd będziemy prawdziwymi przyjaciółmi. Cokolwiek zauważyłaś, sprowadza się to do prostej przyjaźni.

- Czy nadal jadasz kolacje ze Spiderem? - spytała Billy z nieprzeniknioną twarzą. Przeraziła się dociekliwego brzmienia swoich słów, ale Gigi chętnie odpowiedziała.

- Jasne, od czasu do czasu, kiedy pracujemy szczególnie długo, zwykle z Tommym, ale czasami tylko we dwoje. Nie próbował znów mnie całować i nigdy tego nie robi.

- Jak możesz być tego pewna? Nigdy to wielkie słowo. Nigdy to dużo czasu.

- Bo mu powiedziałam, że to całkowicie niewłaściwe!

- Cóż - powiedziała energicznie Billy, wstając od stołu.

- A więc dobrze. Przejdziemy się do szklarni ze storczykami?

Właśnie zaczynają się rozwijać kwiaty Jill St. John.

- Billy, wracaj tu i porozmawiaj ze mną - poprosiła Gigi.

- Chcę, żebyś wiedziała, dlaczego to było niewłaściwe.

- To nie moja sprawa, Gigi, nie musisz mi niczego wyjaśniać - powiedziała Billy głosem tak zimnym, jakiego Gigi nigdy przedtem nie słyszała, ale zawróciła i z powrotem zagłębiła się w fotelu. Gigi też usiadła i mocno chwyciła Billy za rękę.

- Och, Billy, tak bardzo muszę z kimś porozmawiać. Oprócz ciebie nie mam na świecie nikogo, z kim mogłabym roztrząsać różne sprawy, i bardzo mi tego brakuje! Kiedy tu przyjechałam, wyglądałam jak zmokły

kurczak, a ty wzięłaś mnie pod opiekę i zmieniłaś moje życie. Mogłam ci mówić o wszystkim, ale po pożarze „Scruples”, kiedy wyjechałaś do Europy - od tego czasu już po prostu nie jesteśmy razem, nie jesteśmy tylko we dwie na tyle długo w jednym miejscu, żeby mieć czas tylko dla siebie. Po raz pierwszy od nie wiem jak dawna... - Gigi pochyliła głowę, żeby ukryć swe emocje i łzy napływające do oczu. Billy zaczęła gładzić jasne pasma jej włosów i mruzczała coś pocieszającego, jakby Gigi znów miała szesnaście lat.

- Możesz rozmawiać ze mną o wszystkim, kochanie, przecież wiesz - mruknęła Billy. - Myślałam, że Sasza zajęła moje miejsce... to normalne, jesteście z tego samego pokolenia.

- Nikt nigdy nie zajmie twego miejsca, Billy, czy ty tego nie rozumiesz? A ja nie mogłabym powiedzieć Saszy o Spiderze. Pomyślałaby, że to śmieszne albo wcale by mnie nie słuchała. Ona żyje w innym wymiarze, dla niej teraz liczy się tylko Josh.

- Ja słucham. Ty się dla mnie liczysz..

- Po pierwszym wstrząsie, kiedy Spider mnie pocałował - bo nie wiedziałam, że to zrobi, naprawdę mnie zaskoczył, była chwila, kiedy wydawało się to w porządku, a potem... Billy, jedyny sposób, w jaki mogę to opisać, to powiedzieć, że pokój był pełen ludzi. Nie byliśmy sami. Spider nie był sobą, to nie mnie tak naprawdę pragnął, zdałam sobie z tego sprawę prawie natychmiast. Nie wiem, o czym myślał, ale wiem, że pocałował mnie pod wpływem okoliczności - dobrej kolacji, wina, ognia na kominku, tego wszystkiego, co prowadzi do pocałunku. On tego nie planował. Gdybyś była w Los Angeles zamiast w Nowym Jorku, nigdy by do tego nie doszło, bo jedlibyśmy kolację we troje... Właściwie pierwszą

rzeczą, o jakiej pomyślał, kiedy przeczytałam mu swój tekst, było zadzwonienie do ciebie i przeczytanie ci tego przez telefon, ale w Nowym Jorku było już za późno. Usiłuję powiedzieć, że między nami nie ma nic nieuniknionego, nigdy czegoś takiego nie było, a dla mnie pocałunki powinny być nieuniknione, a nie wynikać z pewnego miejsca, czasu i stanowić zabawne lub ciekawe rozwiązanie sytuacji.

- Jak to się stało, że zrobiłaś się taka poważna? - powiedziała w zdumieniu Billy. - W dzisiejszych czasach odrobiny całowania się nie uważa się za rzecz „nieuniknioną”, na litość boską, Gigi!

- Trochę całowania się ze Spiderem... to nie jest trochę całowania się - mruknęła Gigi. - To bardzo dużo całowania się.

- Jestem tego pewna - powiedziała sucho Billy. - Ale ty mówiłaś o pokoju pełnym ludzi. Zupełnie tego nie rozumiem, chyba że masz na myśli Valentine.

- Nie... nie - odparła Gigi, głęboko się zastanawiając.

- Nie myślałam, że może mnie pomylić z Valentine. Byłam tego wieczoru taka samotna, czułam się tak wykończona, chyba po prostu potrzebowałam towarzystwa. Ale w tym pokoju pełnym ludzi wcale nie było Valentine. Myślę, że Spider ją oplakiwał i zawsze będzie czcił jej pamięć, ale znalazł się teraz w innym rozdziale swego życia. Chcę chyba powiedzieć, że... tymi ludźmi były w większości dziesiątki dziewczyn, modelki, o których właśnie mi opowiadał, wspaniałe dziewczęta, z którymi się kochał przed Valentine, a potem... Najważniejszy dla mnie jest ktoś inny... ktoś, kogo poznałam w Nowym Jorku. Nic z tego nie wyszło, delikatnie mówiąc, ale nie mogę sobie z tym poradzić. Wiem, że powinnam, powtarzam sobie, że to tylko kwestia czasu, ale kiedy Spider

mnie całował, nie mogłam przestać myśleć o... tej innej osobie. Dlatego wiedziałam, że to niewłaściwe.

- Zach Nevsky - powiedziała Billy z łagodną stanowczością. Gigi otworzyła usta i poczerwieniała.

- Sasza ci powiedziała! No więc ona gównu o tym wie! Wszyscy gównu o tym wiedzą!

- Sasza mi tylko powiedziała, że dziwi ją twój stosunek do Zacha. Pamiętasz, Gigi, jak oglądałyśmy jej katalogi przed Bożym Narodzeniem? To był jedyny raz, kiedy o nim wspomniała, bo myślała, że to bardzo dziwne, że nie dzwonił cały tydzień, żeby dowiedzieć się o twoją nogę.

- No to skąd ci przyszedł do głowy ten idiotyczny pomysł? - Gigi zażądała gwałtownie odpowiedzi.

- Zach mi powiedział.

- Co? - Gigi kompletnie straciła głowę.- Dlaczego się tak uśmiechasz! - wrzasnęła oskarżycielsko.- Nie ma się z czego śmiać. Zach z tobą rozmawiał? Nie wierzę! Ale cokolwiek ci mówił, to kłamał!

- Och, Gigi, tak strasznie się między tobą i Zachem poplątało. Przepraszam, nie powinnam się śmiać - wykrztusiła Billy, przygryzając wargi.

- Billy, jeśli nie przestaniesz obracać tego w żart, to... to...

- Posłuchaj mnie. Zach przyszedł się ze mną zobaczyć w kilka dni po twoim wypadku. Uznał, że jestem dla ciebie prawie matką i chciał wyjaśnić całą sprawę...

- Tak, pewnie chciał się usprawiedliwić! - krzyknęła Gigi. - Jak ten podły, lubieżny, obrzydliwie hipokrytyczny maniak seksualny, ten marny dyktator, którego nic nie obchodzi poza jego własną osobą, jak on śmie ci

kłamać!

- Bo cię kocha. On cię kocha, Gigi! Nie zaczynaj od nowa, Zach naprawdę cię kocha, jestem o tym przekonana, i dokładnie wiem, co się zdarzyło, kiedy znalazłaś go z tą blondynką. Może wreszcie wysłuchasz bez przerywania całej historii?

- Stek kłamstw! Zach może każdego przekonać, ale nie mogę uwierzyć, że ty go nie przejrzałaś! - Gigi aż się jąkała z wściekłości.

- Będziesz słuchała czy nie? - Spojrzenie Billy i jej uparta, bezkompromisowa postawa zmusiły w końcu Gigi do pełnego niechęci milczenia.

- Dobra - powiedziała sztywno i wysłuchała wszystkiego, co Billy miała jej do powiedzenia od chwili, gdy Zach się jej przedstawił w hotelu.

- Gigi, czy nie rozumiesz, że to nie była wina Zacha? - spytała błagalnie Billy kończąc opowiadanie.

- Wcale nie wiem, czy stało się to dokładnie tak... ale, tak, to chyba nie jest niemożliwe...

- odparła Gigi, jakby mówiła sama do siebie i mocno się nad czymś zastanawiała. - Jestem pewna, że Pandora jest zdolna do wszystkiego. Ta dziewczyna... to okropna myśl, ale jeśli się obudził... z nią w takiej pozycji... prawdopodobnie nie mógł przestać. A tam na górze Zach rzeczywiście powiedział, że mnie kocha i ja mu uwierzyłam... - Gigi mówiła opornie, ale jej twarz otwierała się jak kwiat w słońcu. - Dlaczego sam mi nie powiedział?

- A wysłuchałabyś go wtedy?

- Nie wpuściłabym go za drzwi.

- Nie było ani jednej okazji, żeby ci o tym powiedzieć wcześniej, bo

bym ją natychmiast wykorzystwała. To nie jest sprawa, którą można mimochodem wtrącić do każdej rozmowy. Myślałam, że o nim zapomniałaś, pocieszając się Spiderem.

- Nigdy nie przestałam myśleć o Zachu, o tym biednym, durnym idiocie. - Gigi przerwała wstrząsana atakiem śmiechu. - „Wniknięcie”? Naprawdę powiedział, że znajdował się w „pozycji, w której już nastąpiło wniknięcie”? Czy myślisz, że sam wymyślił to słowo?

- Sprawdziłam w słowniku. Jest tam i oznacza wprowadzenie.

- Nigdy bym nie podejrzewała, że zna taki... wytworny sposób opisanie takiej sytuacji. - Gigi aż się zgięła w pół w nieopanowanym ataku wesołości. - W każdym razie - powiedziała, kiedy już przyszła do siebie i wytarła twarz serwetką - Spider jest dla mnie o wiele za stary. Na litość boską, jest tak stary jak... - przerwała zmieszana.

- Jak ja - spokojnie dokończyła za nią Billy.

- Nie miałam na myśli, że jesteś stara, wiesz o tym, ale masz prawie tyle samo lat co Spider, jesteś w wieku mojej matki, nawet jeśli wyglądasz na dwudziestosiedmiolatkę, zbyt chudą, nerwową dwudziestosiedmiolatkę. Spider mógłby być moim ojcem, gdyby odpowiednio wcześniej zaczął... to zupełnie nie tak, jak Sasza i Josh. Josh teoretycznie mógłby być jej ojcem, ale ona nie mogłaby być jego córką, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Doskonale wiem, o co ci chodzi.

- Och! Ojcowie. Prawie zapomniałam. Jadłam niedawno kolację z moim, a on chciał cię prosić, żebyś szepnęła Susan Arvey słówko o Czystej grze. Chciał, żebyś jej powiedziała, że ten film powinien powstać, żebyś wykorzystwała wpływ, jaki na nią masz.

- Po prostu nie mogę uwierzyć w gruboskórność tego człowieka -

powiedziała bezbarwnym tonem Billy.

- Uważam, że to dziwne prosić cię o przysługę, że jesteś ostatnią osobą, ale najwyraźniej Arveyowie naprawdę przyparli go do muru. Nigdy przedtem nie przyznawał się do tego, że coś mu źle idzie, nawet powiedział, że chodzi o różnicę czterech milionów dolarów, ale że równie dobrze mogłoby ich być czterdzieści. Po raz pierwszy w życiu powiedział mi o pieniądzach, normalnie zachowuje się tak, jakby po prostu spadały mu z nieba. Nigdy nie widziałam go tak bardzo zmartwionego. Obiecałam, że przekażę jego prośbę, ale powiedziałam, że nie wiem, czy ją spełnisz. Biorąc pod uwagę okoliczności.

- Pomyślę o tym - odparła krótko Billy. - A co zrobisz z Zachem? Napiszesz czy zadzwonisz?

- O, nie - zaprotestowała wstrząśnięta Gigi. - Nie tak od razu. W przyszłym miesiącu przyjeżdża tu na ślub. Kiedy go zobaczę, to będę wiedziała. A jeśli znalazł sobie kogoś innego?

- Chcesz się założyć? - zaproponowała Billy. - Dam ci interesujące warunki. Jeśli znalazł kogoś innego, dostaniesz milion. Gotówką. Jeśli nie, będziesz mi winna dolara. Nigdy nie dostaniesz lepszych warunków.

- To byłaby miła nagroda pocieszenia... ale ja stawiam tylko na graczy w karty, kości i na konie. Ludzie są zbyt nieprzewidywalni. - Gigi spojrzała na zegarek. - Mój Boże, Billy, to był najdłuższy lunch w historii. Obiecałam Saszy, że będzie mogła na kilka dni przynieść do mnie swojego kota. Zrobił się nerwowy, traci sierść z zazdrości o Josha. Sasza chce się przekonać, czy będę mogła mieszkać z Marcelem. Nie sądzę, żeby coś z tego wyszło, ale muszę wracać do domu, bo za chwilę mi go przywiezie. Nie chcesz przypadkiem kota?

- Gdybym nawet chciała, to nie Marcela. Pocałuj mnie, kochanie - powiedziała Billy z czułością. - Nigdy więcej nie możemy stracić kontaktu, Gigi, nawet na jedną minutę.

* * *

Po wyjściu Gigi Billy poszła do swego pokoju. Było już późne popołudnie. Porozrzucane na niebie puszyste, różowe chmurki odbijały zachodzące słońce. Uświadomiła sobie, że mając w głowie taki natłok myśli, nie może zostać w czterech ścianach, i szybko wróciła na dwór, zmierzając do swego białego sanktuarium.

Obeszła ogród, szukając uschniętych liści na pelargoniach czy opadającej róży wymagającej przycięcia, ale w rozchwianych dywanach kwiatów nie znalazła niczego, co trzeba by zrobić. - Za dużo ogrodników - mruknęła do siebie. Wzięła do ręki rozkwitłą białą różę i patrzyła na nią w roztargnieniu. Jeszcze raz przemyślała skomplikowaną rozmowę z Gigi. Miała nadzieję na rozjaśnienie myśli w tajemnym ogrodzie, ale nie nadeszło. Billy stwierdziła, że nie widzi na tyle daleko przed sobą, żeby wiedzieć, w jakim zmierza kierunku, ale jedną rzecz może zrobić. Postanowiła natychmiast się z tym uporać. Wróciła do domu ze zdecydowanym wyrazem twarzy, jak łowczyni ścigająca w lesie ofiarę, powtarzając sobie, że nie ma to jak czas terażniejszy, że nic mu nie dorówna. Na tarasie podniosła słuchawkę telefonu.

- Proszę z panem Orsinim - powiedziała do telefonistki w hotelu Beverly Hills.

- Cześć, Vito, tu Billy - powiedziała szybko. - Dobrze, dziękuję. Posłuchaj, Gigi poprosiła mnie, żebym zadzwoniła do Susan Arvey. Przykro mi, ale wolałabym tego nie robić.

Nie znoszę tej kobiety, zawsze tak było. Coś w niej przyprawia mnie o dreszcze. Nie ufam jej.

Wiem... wiem, że kiedyś często się z nią widywałam, co nie znaczy, że ją lubiłam, i szczerze mówiąc nie sędzę, żeby ona kiedykolwiek lubiła mnie. Podobało się jej, że mnie zna, że może mnie przyjmować - potrafię to odróżnić. Jak wygląda sytuacja z filmem? No Vito, nie gładź, tylko powiedz, o co chodzi, wszystko mi opisz, nieważne, jak to jest nieprzyjemne. Nieważne, dlaczego chcę wiedzieć, jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, to odkładam słuchawkę. Tak. Tak... rozumiem. Ile wynosi całość? Jedenaście? Czy to suma ostateczna, czy też budżet, z którym da się wyżyć? Aha. Aha. Zdecydowanie dwanaście? Jesteś pewien, że nie wzrośnie do trzynastu? Dobrze, sfinansuję ten film... tak, oczywiście, że wszystko, chyba nie sądzisz, że chcę wejść do interesu z Curtem Arveyem, co? Jutro zadzwonię do Josha, a ty możesz przyjść do niego po południu po wstępną umowę, żebyś mógł zacząć coś robić. On dopracuje wszystkie uciążliwe szczegóły, procent mojego zysku i w ogóle, tylko nie umieszczajcie tam mojego nazwiska. Och, Vito, na litość boską, nie dziękuj mi, nie robię tego dla ciebie. Oczywiście, że książka mi się podobała, ale to też nie ma nic do rzeczy. Dlaczego? Bo zawsze marzyłam, żeby się znaleźć w przemyśle rozrywkowym, czy ci to nie wystarczy? Co? Koniecznie chcesz wiedzieć? Za grosz ci nie wierzę! Dobra, jestem ci wdzięczna. Nie zasługujesz na moją wdzięczność, ale to nie znaczy, że jej nie odczuwam. Masz wielkie, wspaniałe, całkowicie nie zasłużone szczęście posiadania Gigi. Nie, nie robię tego, bo ona mnie poprosiła. Czy uważasz, że nie przejrzałam tego podstępu? Znam cię, Vito, zapomniałeś o tym? Dokładnie wiem, jak funkcjonuje twój umysł. To dlatego, że Gigi

jest, że istnieje w moim życiu, bo zawsze ją będę miała, bo ją kocham... a gdybyś nie był jej ojcem, to by jej tutaj nie było. Po prostu przyjmij to do wiadomości. Nie, nie jesteś mi nic winien... nadal tego nie rozumiesz, prawda, Vito? To ja jestem winna tobie. Ach, Vito, jeszcze jedno, jest taki znakomity nowojorski reżyser teatralny Zach Nevsky - och, już o nim wiesz? Chcę, żeby wyreżyserował ten film. Sprowadź go tu jak najszybciej. Jutro, jeśli możesz. Tak, Vito, to jedyne wtrącenie się do sprawy, jakie planuję. Ale to warunek. Zdecydowany warunek. Nie obchodzi mnie, że nigdy nie posługiwał się kamerą. Zdobądź dobrego operatora, a i tak sam będziesz planował ujęcia. Nie, Vito, on nie jest „bez referencji” - on zna mnie. Świetnie, cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Do widzenia, Vito, tylko nie dzwoń, żeby mi powiedzieć, jak ci idzie.

- Pokaz mody? - spytała zimno Billy, powtarzając słowa Spidera. Nie widziała go od lunchu z Gigi aż do chwili, kiedy wpadł do jej biura owładnięty nowym pomysłem. - Nigdy nawet nie brałam tego pod uwagę.

- Ja też nie, przyszło mi to do głowy w środku nocy - wyjaśnił Spider. - Śnił mi się katalog, a kiedy się obudziłem, pamiętałem wszystko tak wyraźnie, jakby się to już wydarzyło: pokazalibyśmy tylko stroje Prince'a z czterech podstawowych kolekcji. Każda byłaby pokazana w całości, a potem wszystkie oddzielne elementy zestawione na rozmaite sposoby. Przecież pracujesz nad tym, żeby zademonstrować, jak są wszechstronne. Potrzebowalibyśmy przynajmniej osiemnastu modelek pracujących na najwyższych obrotach, może nawet więcej, biorąc pod uwagę pomysły Gigi co do dodatków.

- To nie jest niemożliwe, mamy tu już wszystkie modele. Ale dla kogo urządzilibyśmy ten pokaz?

- O to właśnie chodzi - powiedział Spider z nowym przyływem entuzjazmu. Siedział cały czas z wdziękiem na krawędzi biurka Billy, ale teraz pochylił się do przodu, napięty jak struna.

- Dla śmietanki prasy odzieżowej, dla najlepszych redaktorów działów mody wielkich gazet, dla dam obsługujących pocztę pantoflową, redaktorów mody wszystkich czasopism kobiecych, oczywiście dla telewizji, redaktorów mody z ogólnokrajowych programów porannych i popołudniowych oraz dla ludzi, którzy rezerwują sobie czas w wielkich lokalnych programach porannych na najlepszych rynkach - znajdą się setki ludzi na tyle ważnych, żeby ich zaprosić.

- Zaprosić? - powtórzyła Billy nieomal powalona wielkością jego

planów. - Zaprosić gdzie?

- Pomyślałem, że moglibyśmy mieć cały weekend atrakcji. Moglibyśmy sprowadzić wszystkich samolotami tutaj, do Beverly Hills, zaplanować jakieś imprezy, a potem pokazać kolekcje Prince'a dla „Scruples II” w sobotę wieczorem na uroczystym przyjęciu, może w hali zdjęciowej którejs z wytwórni. Do rozpracowania tego pomysłu zatrudnilibyśmy zawodowych organizatorów przyjęć, tylko czy ci się to podoba?

- Daj mi choć ułamek sekundy, żebym się mogła nad tym zastanowić - rzekła Billy, opierając łokcie na biurku, a głowę na czubkach palców. Był poniedziałkowy wieczór i cały dzień Billy pracowała bez wytchnienia. Zjadła kanapkę, nadzorując rozpakowywanie cennych próbek modeli Prince'a dostarczonych przez kuriera. Przedtem główny asystent Prince'a całymi miesiącami sprawdzał, czy każda próbka jest wykonana zgodnie z zaleceniami i czy nie ustępuje jakością oryginalnym modelom.

- Czy to nie za wcześnie, Spider? - spytała Billy, zmęczonym ruchem podnosząc głowę. - Musimy jeszcze wyprodukować nasze towary, wydać i rozesłać katalog... To potrwa jeszcze kilka miesięcy. Po co nam teraz reklama?

- Chodzi o narobienie szumu, Billy. Musimy wzbudzić ciekawość, pobudzić krążenie krwi u klientek. Wytwórnice filmowe zawsze zaczynają pokazywać zwiastuny wielkich, gwiazdkowych filmów w środku lata, żeby zaczął się szum. „Scruples II” jest tak absolutnie różny od wszystkich innych katalogów, że potrzeba nam potężnej reklamy jeszcze przed rozesłaniem katalogów. Hej, czy ty w ogóle mnie słuchasz?

- Myślałam o balu „Scruples”... pierwsza sobota listopada 1976

roku, pamiętasz? A teraz, prawie w siedem lat później, rozmawiamy o następnym przyjęciu... przyjęciu tak zupełnie innym... Wtedy była to czysta magia... media też tam były, ale gośćmi były głównie gwiazdy, sławy, ludzie z towarzystwa, najpiękniejsze kobiety w najwspanialszych sukniach balowych, księżyc w pełni, nie kończące się tańce... nazwano je Ostatnim Wielkim Przyjęciem, ale oczywiście takim nie było...

- Billy, tamto się skończyło - powiedział Spider nieomal szorstko. - Przestań tęsknić za czymś, czego nie można powtórzyć. Do roboty, mała. „Scruples II” ma inną klientelę, więc przyjęcie też będzie inne.

- Myślałam, że pytasz mnie o zdanie - odparła uszczypliwie Billy, gwałtownie wyrwana z nostalgicznych marzeń. - Widzę jednak, że już sam zdecydowałeś - zapytałeś tylko pro forma, prawda, Spider? Jak daleko posunąłeś przygotowania? Czy zrobiłeś listę gości, wynająłeś organizatora przyjęcia, wybrałeś termin? Nie, poczekaj! Niech zgadnę: twoim pierwszym posunięciem było wynajęcie modelek, wszystkich osiemnastu. To byłoby takie typowe.

- Pomysł przyszedł mi do głowy zeszłej nocy - powiedział zdumiony zjadliwością jej tonu.

- Jesteś pierwszą osobą, której o nim wspomniałem, więc dlaczego rzucasz się jak wesz na grzebieniu?

- Ślicznie! Spider, wyrażasz się z taką elegancją, dobierasz takie wytworne słowa...

- Billy, uspokój się, kochanie - rzekł kpiącym tonem.

- Akurat ty nie powinnaś mieć nic przeciwko temu... Niektórzy zawodowi żołnierze piechoty morskiej nigdy nie używają słów, które słyszałem nieraz z twoich ust. Czy powiedziałem „używają”? Oni w ogóle

o nich nawet nie słyszeli.

- Może i nie, Spider, może i nie, ale przynajmniej nie napastują dziewczyn na tyle młodych, że mogłyby być ich córkami, prawda?

- O czym ty mówisz? - zapytał Spider nagle się prostując.

- Chyba wiesz, o czym - rzekła Billy lodowatym tonem.

- Jesteś chyba jeszcze za młody na starego satyra, co? Wcześniej zaczynasz ćwiczyć, tak? A może po prostu nie potrafisz się opanować, żeby nie przelecieć każdej kobiety, która akurat jest pod ręką, jest słaba emocjonalnie, samotna i bezradna? Ile setek kobiet zaliczyłeś, Spider, zanim postanowiłeś do swej długiej, plugawej listy dodać Gigi?

- Jezu! To o to chodzi. Daj spokój, Billy, to był jeden odosobniony przypadek, który miał miejsce przed kilkoma miesiącami, i sprawy nie posunęły się dalej niż parę pocałunków. I dlaczego, do cholery, miałbym ci się spowiadać z mojego życia prywatnego?

- To nie jest twoje życie! - krzyknęła Billy. - Gównu mnie obchodzi twoje życie, to jej życie, namieszałeś jej w głowie, okropnie ją zdenerwowałeś, przechodziła męczarnie, bo nie umiałeś utrzymać przy sobie tych swoich brudnych łap!

- Zwariowałaś! Gigi i ja jesteśmy kumplami. Gdyby czuła do mnie coś takiego, to doskonale bym o tym wiedział. Jest zbyt uczciwa, żeby cokolwiek ukrywać, powiedziałyby mi.

- Och, oczywiście, że byś wiedział, nawet gdyby nie pisnęła słówka, wszyscy przecież słyszeli o twojej słynnej intuicji, twojej legendarnej umiejętności rozumienia kobiet. Co za kiepski żart! Nie potrafisz nawet odróżnić, czy kobieta, którą całujesz, myśli o tobie, czy o kimś innym. Jak sądzisz, dlaczego Gigi nie pozwoliła ci się wykorzystać, ściślej mówiąc,

nie dała ci się przelecieć? Zrobiłbyś to, Spider, nawet nie próbuj zaprzeczać - ona jest zakochana w kimś innym, ty dupku, a ty nie masz nawet wrażliwości orangutana, bo byś to wyczuł.

- Billy... posłuchaj... bardzo się staram to zrozumieć... osłaniasz swoje szczenię, rozumiem, ale to śmieszne... Na miłość boską, przestań robić ze mnie potwora, bo nim nie jestem!

- Usiłujesz mi powiedzieć, że gdyby Gigi ci pozwoliła, to byś się z nią tamtej nocy nie pieprzył? Przy twojej reputacji niewybrednego ogiera? Ty, Spider, tania męska wersja świetnej zabawy dla wszystkich? Bo zwymiotuję. Oczywiście, że tak to by się skończyło.

- Nie było cię tam - rzekł Spider, wreszcie doprowadzony do furii. - Nie stałaś nam za plecami i nie patrzyłaś. Nie wiesz, o czym myślałem ani czego nigdy bym nie zrobił. Siedzisz tu sobie wydając wyrok ostateczny za coś, co w ogóle nie miało miejsca! Ale sama mianowałaś się oskarżycielem, prokuratorem, sędzią i ławą przysięgłych, wszystko naraz...

- Próbujesz zaprzeczyć? - Samonapędzająca się wściekłość Billy otworzyła między nimi przepaść.

- Owszem, zaprzeczam!

- No, dalej. Udawaj niewiniątko. Jesteś tylko fiutem bez sumienia. Ja wiem, co chciałeś zrobić.

- Gównu mnie obchodzi, co wiesz. Bardzo się mylisz. Wynoszę się stąd.

* * *

Chodząc w ciemności po swym wielkim, skąpo umeblowanym domu, Spider pomyślał, że powiedzieć, iż Billy kwalifikuje się do

czubków, to za mało. Miał w swoim życiu do czynienia z kilkoma wariatkami, ale większość z nich oszalała tylko na pewien czas. Billy przekroczyła granice jego doświadczenia. Rzuciła się na niego bez powodu z gołymi pięściami, starając się, by każde słowo zostawiało głęboką ranę. Oskarżała go tak jakby napastował dzieci, i zupełnie nie chciała go wysłuchać. A wszystko to po wielu latach znajomości. Czy po tym wszystkim, przez co razem przeszli, nie żywi do niego żadnych przyjaznych uczuć?

Cała ta historia uderzyła w niego tak nagle, że zareagował z opóźnieniem, jakby o własnych siłach odszedł z miejsca poważnego wypadku samochodowego, w którym powinien zginąć. Był lepki od zimnego potu, wstrząśnięty i mdliło go. Nawet nie przypuszczał, że Billy może go tak bardzo zranić. Nigdy nie widział jej w takim napadzie wściekłości. I to dlaczego? Z jakiego powodu, na litość boską? Z powodu chwilowej emocji sprzed kilku miesięcy, z powodu wzajemnego zbliżenia - przynajmniej wtedy uważał, że było wzajemne - czegoś, co mogło się zdarzyć każdej parze każdego wieczora, czegoś, co pozostawiło jemu i Gigi ciepłe, pełne zrozumienia uczucie oraz miłe, lecz nieistotne wspomnienie. A przynajmniej tak do tej pory sądził.

Jednak to, co sądził, najwyraźniej nie było już miarodajne. Kalifornijczycy są przyzwyczajeni do groźby trzęsienia ziemi. Przez całe życie ta łatwo przeoczana, lecz wszechobecna myśl o katastrofie tkwiła gdzieś w zakamarkach jego umysłu, lecz dopiero Billy sprawiła, że poczuł, jak w ciągu kilku sekund fundamenty jego życia zawaliły się, grzebiąc go żywcem. Z początku naprawdę myślał, że żartuje, dopóki nie oskarżyła go, że jest starym satyrem. Już na samo wspomnienie robiło mu się niedobrze.

Rzecz w tym, że nie było w tym oskarżeniu ani krzty sensu. Spider był absolutnie przekonany, że Gigi nie mogła powiedzieć Billy o żadnych męczarniach. Nawet gdyby Gigi opowiedziała jej o tym wieczorze w jej mieszkaniu z wszelkimi detalami, Billy nie miała powodu do takiej furii.

O ile wiedział, myśli Gigi nie były zaprzątnięte żadną nie zakończoną sprawą. Jeśli była zakochana w jakimś nieznanym facecie, kimkolwiek on jest, to tym bardziej nic jej nie groziło.

W ogóle nie powinien jej całować, to musi przyznać Billy. Żałował, że to zrobił. Żal to nie jest właściwe słowo, ale musi wystarczyć. Gdyby miał przeanalizować całą sprawę, to rzeczywiście niepotrzebnie zaczynał cokolwiek z Gigi tylko dlatego, że owego wieczora wyglądała tak ślicznie i interesująco... Cholera, po prostu był w nastroju i już. Znał Gigi od dawna - nadal była czasami kochanym dzieckiem - a nigdy nie powinien całować dziecka, które zna od lat. Bez względu na przyczynę. Co innego, gdyby był w niej zakochany, ale najpierw musiałby jej o tym powiedzieć i poznać jej uczucia - ale nie jest zakochany w Gigi, nigdy nie był i nigdy nie będzie.

Jeśli przez to kompletnie, do końca i nieodwołalnie się pogryzył, to trudno. Nic, co mógłby zrobić lub powiedzieć, nie zmieni zdania Billy. Przyjęła tak całkowicie oskarżycielską postawę, że sprawa była beznadziejna. Ona wcale nim nie gardzi, ona go naprawdę nienawidzi. Kiedy ta myśl wykrystalizowała się w umyśle Spidera, odkrył, że czuje się dziesięć razy gorzej niż czuł się do tej pory.

Czy kochałby się z Gigi, gdyby go nie powstrzymała? No, kochałby się?

- Ty żałosny draniu - jęknął głośno Spider. - Kogo ty tu oszukujesz?

* * *

Billy nawet nie mogła myśleć o kolacji. W całym domu nie znalazła ani jednego miejsca, w którym usiedziałyby przez trzydzieści sekund. Wiedziała, że tego wieczora nie znajdzie pociechy nawet w swym ukrytym ogrodzie. W końcu weszła na górę i skuliła się na siedzeniu w wykuszu okna w swojej garderobie, owinięta starym pledem, który miała od ponad dwudziestu lat. Miejsce ostatecznej ucieczki, pomyślała Billy. Czy każda kobieta ma swoje prywatne miejsce, do którego się udaje w najgorszych momentach życia, czy też większość jest skazana na zamykanie się w łazience, do której usiłują się dostać nastolatki? I dlaczego zadaje sobie pytania, na które zna odpowiedź? Dlatego, że jest tak dogłębnie zawstydzona, tak sobą przerażona, że myśl o innych pomaga jej zapomnieć o sobie i o swej potworności.

Nawet kiedy była najbardziej rozgoryczona, najbardziej zła na Vita, nigdy nie pozwoliła sobie na takie zachowanie, nieopisanie ohydne i obrzydliwe... właściwie nigdy nawet nie miała na coś takiego ochoty. Nigdy nie chciała tak dokładnie zniszczyć Vita słowami, nigdy nie chciała obrzucić go błotem. Z całych sił starała się wznieść ponad ich problemy, a nie rzucać się do rynsztoka i tarzać się w nim jak oszalała... Ohydna istota, której nie poznawała, posługująca się ohydnyimi słowami, których nawet nie przewidziała, plująca jadem na zaskoczzonego Spidera. Próbował to wszystko traktować jak jedną z ich typowo dobrodusznych, niby agresywnych, udawanie wrogich sprzeczek, dopóki nie zdał sobie sprawy... Nawet wtedy nie rozzłościł się na dobre, dopóki nie rozdrażniła go tak, że musiał się bronić.

A kimże ona jest, obyczajówką? Policją myśli? Bostońskim

Towarzystwem Opieki? Gigi jest już wystarczająco dojrzała, żeby podejmować za siebie decyzje. Kiedy dawno temu przyjechała do Kalifornii była o wiele bardziej niezależna niż jej rówieśnice. Teraz prowadzi samodzielne życie w największym z dużych, złych miast i ma tylko jeden nie skonsumowany romans z Zachem. Troska o Gigi nie jest usprawiedliwieniem. Bez ostrzeżenia Billy stała się cholernie efektywnym damskim promieniem śmierci.

Lodowata suka. Takie było pierwsze wrażenie Spidera. Łagodne, pochlebne, wielkoduszne w porównaniu z rzeczywistością.

O Boże, nadal jestem wściekła na Spidera, pomyślała Billy. Nie miała ani jednego powodu, ale w głębi serca czuła, że nie będzie miała satysfakcji, dopóki nie zrani go tak, by doprowadzić do łez. Tak, do łez. Nie zadowoli się mniejszym zwycięstwem. Jest tak cholernie niewrażliwy na ciosy, tak pewny siebie, tak zadowolony z życia, tak swobodny wśród ludzi, taki śmiały, taki... ma wszystkie cechy, których brakuje jej. Jak to możliwe, że ona jest takim psem ogrodnika? Zazdrości Spiderowi jego osobowości i rzuca się na niego za to, że jest po prostu sobą?

A może to stres, zapytała samą siebie, bez reszty nieszczęśliwa. Ale czy stres, który wini się za wszystkie niepowodzenia, od śmierci po pryszczę, może być prawdziwą przyczyną jej potwornego zachowania wobec Spidera? Stres związany z wydaniem tego cholernego katalogu?

Tak, to wszystko wina katalogu, stwierdziła Billy. Przypominała sobie moment, kiedy Spider uniósł ją w ramionach i powitał tak radośnie, jakby była jedyną osobą na świecie, którą naprawdę chciał zobaczyć. Nie było wtedy żadnego katalogu, hordy pracowników, żadnego współnictwa... tylko prosty, szczęśliwy związek, który raz na zawsze

zniszczyła. Na zawsze. Po tym, co powiedziała, już nigdy nie będą mogli zawrócić.

Billy naciągnęła stary pled, tak że przykrył ją od stóp do głów, i oddała się burzy gorących, rozpaczliwych łez.

* * *

Josie Speilberg niecierpliwie czekała na przyjazd jednej z czterech wind obsługujących biurowiec w Century City, siedzibę „Scruples II”. Jej zdaniem między dwoma piętrami zajmowanymi przez firmę powinny być schody ruchome albo choćby schody przeciwpożarowe. Jak ma prowadzić całe przedsiębiorstwo, skoro na przemieszczanie się z piętra na piętro codziennie traci dobre dwadzieścia pięć minut?

Lata, kiedy pracowała w domu pani Ikehorn, pojawiły się teraz w jej pamięci jak długa, leniwa podróż na pokładzie luksusowego statku pasażerskiego, w porównaniu z elektryzującym, podobnym do spadającej ze skalnych progów wody, nieustannym zamieszaniem związanym z katalogiem. Zawsze sądziła, że chce mieć bardziej aktywną pracę, zawsze czuła, że jej talenty marnują się przy prowadzeniu domu choćby i największego, ale teraz, jako kierowniczka biura „Scruples II”, była rozchwytywana. Oczywiście towarzyszący temu status i pensja zmieniły jej życie, ale czy nikt się z nią nie liczy? Jakby nie miała wystarczająco dużo pracy w roli łącznika między działem towaru i działem produkcji katalogu, musiała także śledzić reklamę, wysyłki i szybki rozwój wielkiego przedsięwzięcia w Virginii.

Każdy jest szefem czegoś, wszystkie działy mają swoich kierowników. Josie uważała, że w sumie to ona jest szefem szefów, dostarczającym informacji o tym, co się dzieje. Wszyscy nabrali zwyczaju

dzwonienia do niej, żeby się dowiedzieć, gdzie mogą znaleźć tego czy tamtego - nie ma wątpliwości, płaci za to, że jest najlepiej zorganizowaną osobą w całym interesie.

Wchodząc do pustej windy stwierdziła, że jest jedyną ważną, najważniejszą osobą w „Scruples II”, i uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem. A pomyśleć, że kiedyś uważała, iż nie ma osób niezastąpionych. Szczególnie teraz, kiedy zbliża się weekend z pokazem mody i wszyscy pogłupieli z nerwów. Kto jak nie ona wynajął agentów biura podróży, żeby ułożyć niewiarygodnie skomplikowane plany podróży, które gwarantowały jutrzejszy przyjazd - wczesnym piątkowym popołudniem - i powrót do domu w poniedziałek wieczorem trzystu pracowników ogólnokrajowych i lokalnych mediów? Kto znalazł te wszystkie miejsca w hotelach i załatwił wszystkie limuzyny i autokary? Kto pracował z organizatorami przyjęć i ludźmi od reklamy, żeby skoordynować każdy szczegół uroczystości, bo pani Ikehorn była zbyt zajęta, żeby poświęcić temu choć minutę, a Spidera prawie cały czas nie było w biurze, bo wyjechał w plener na zdjęcia? Kto przekazywał im nawzajem wiadomości? Naprawdę chciałaby wiedzieć, jak by się komunikowali, gdyby jej tu nie było. Przez satelitę?

Z pewnością trzeba zmienić nazwę jej stanowiska. Kierownicy biura martwili się o papier, telefony, listy płac i zmianę dywanów - ona ma do tego dwie asystentki. Wiceprzewodnicząca do spraw... jakich spraw? Zdrowia Psychicznego. Tak, takie stanowisko przydałoby się w każdej firmie, ale musi być na świecie oprócz niej jeszcze kilka innych kobiet godnych tego stanowiska. Josie postanowiła, że przejdzie do historii. Porozmawia o tym z panią Ikehorn zaraz po weekendzie. Teraz nie jest

odpowiedni moment, właściwie jest szczególnie nieodpowiedni, bo pani Ikehorn coś ostatnio spuściła nos na kwintę, ale zaciska zęby i wyraźnie zmusza się do roli gospodyni, jaką będzie pełniła przez te trzy dni. Mimo że nie znosi blasku reflektorów, że jest tak nieśmiała i nietowarzyska - czy pani Ikehorn sądzi, że ukryje przed nią ten szczególny sekrecik? Niemniej jednak doceniła fakt, że to dzięki jej wyglądowi, jej zaletom odzew na zaproszenie był tak szybki. Odsunięcie się od życia towarzyskiego po śmierci Ellisa Ikehorna tylko zaostrzyło apetyty prasy na nowy materiał o niej. Nikt jeszcze nie wiedział, że „Scruples II” jest katalogiem, a nie nowym sklepem. Ten sekret był zdumiewająco dobrze strzeżony, nie było żadnych przecieków do prasy.

Josie Speilberg, Wiceprzewodnicząca do Spraw Zdrowia Psychicznego. Tak, to ładnie brzmi.

I niewątpliwie znajdą się dziennikarze, którzy pewnego dnia będą chcieli przeprowadzić z nią wywiad, oczywiście nie domagając się tego tak gwałtownie, jak w przypadku pani Ikehorn... ale zawsze to będzie coś.

* * *

Gigi pomyślała, że nic z tego, co powiedziała Saszy o ślubnych przejściach, do niej nie dotarło. Ani jedno słowo. Chyba istnieje jakiś podstawowy instynkt ludzki, nieczuły na procesy myślowe jak reprodukcja, który sprawia, że skądinąd zupełnie rozsądni ludzie czują, że nie zostaną sobie właściwie czy nawet legalnie poślubieni, jeśli nie zrobią tego w najbardziej publiczny sposób.

Sam ślub miał odbyć się dopiero za sześć tygodni, ale Sasza i jej matka, małeńka i terroryzująca wszystkich wokół Tatiana Nevsky, rozmawiały ze sobą przez telefon po kilka godzin dziennie. Wydawało się,

że głównodowodząca Tatiana jest tak zadowolona z tego małżeństwa, jakby Sasza wychodziła za księcia Andrzeja - co nigdy nie wchodziło w rachubę - a Sasza pławiła się w niezwykłym cieple aprobaty matki. Oczywiście Josh, jak wszyscy panowie młodzi, musiał zgadzać się na wszystko. Nikogo nie obchodziło, że jedynym jego pragnieniem jest jak najszybsze załatwienie sprawy.

Gigi powiedziała sobie z pewną dozą dumy, że połączenie pokazu mody z nadchodzącym ślubem wystarczyło, aby wszyscy nie będący weteranami organizacji przyjęć potracili głowy. Wszystko było pod kontrolą. Modelki bez przerwy ćwiczyły; na każde dwie dziewczyny przypadała jedna zawodowa garderobiana, każda z dziewcząt miała własny wieszak z wyraźnie oznaczonymi dodatkami oraz listę dwunastu strojów, które włożyć. Zestawienie wszystkich kombinacji nie byłoby po prostu możliwe, gdyby Prince nie uszył sterty dodatkowych modeli, ale zachował się bardzo przyzwoicie. Właściwie był tak zachwycony sobą z powodu swoich młodych, rozsadzających sztywne ramy projektów dla „Scruples II”, że przyjeżdżał dzisiaj, we czwartek, aby osobiście prowadzić pokaz i przez cały weekend obsługiwać prasę. Gigi zapewniała samą siebie, że mimo niepokoju Billy, który jest przyczyną ponurej depresji, z jakiej nie może się wydobyć, wszystko pójdzie gładko, albo nie nazywa się Graziella Giovanna Orsini. Ot, co!

Czarę goryczy przepełniła sukienka głównej druhny. Wiadomo było, że Tatiana Nevsky, mieszkająca trzy tysiące mil stąd, będzie decydować, jakie sukienki mają włożyć na siebie wszystkie druhny, z córką Josha włącznie! I co tu mówić o wtrącaniu się! Jadąc swoim szokująco różowym volvo do mieszkania Josha w nowym wieżowcu przy Wilshire Boulevard,

dokąd Tatiana wysłała sukienkę pocztą lotniczą, Gigi pomyślała z gniewem, że to przeszło wszystkie numery, jakie wykręcały damulkowate matki panien młodych za jej kadencji w „Krainie Obfitości”.

Gigi nigdy jeszcze nie widziała ładnej sukienki głównej drużyny, każda była według niej ohydna. Istniała jakaś zmowa w przemyśle odzieżowym, jakby komuś zależało na tym, żeby wszystkie biorące udział w ślubie kobiety z wyjątkiem panny młodej zostały męczenniczkami.

Efekt pracy projektantów owych strojów daleki był od tego, co którakolwiek kobieta, a szczególnie kobieta z poczuciem własnego stylu, dobrowolnie włożyłaby na siebie. Suknie te były niezmiennie sztywne i ceremonialne, jak kostiumy z parady historycznej w podstawówce, nie miały jednak na swe usprawiedliwienie ich tradycji. Może projektanci, tak jak nauczyciele, wiedzieli, że ujdzie im to na sucho, bo liczyli na pobłażliwość widowni. Gigi osobiście wolałaby wystąpić jako wódz Indian Pocahontas.

Zostawiła samochód u kierownika parkingu i pojechała windą do luksusowego mieszkania Josha. Sasza otworzyła jej tak szybko, jakby nasłuchiwała, kiedy otworzą się drzwi windy.

Ucałowały się.

- Gdzie jest to dzieło sztuki, jakiego rzekomo nie mogłybyśmy znaleźć tutaj? Czy twoja mama uważa, że w Beverly Hills nie ma porządnych sklepów? - zaczęła zrzędzić Gigi.

- Nigdy nie traktowałam mojej kochanej mamusi ze szczególną serdecznością - rzekła Sasza weselej niż usprawiedliwiała to sytuacja.

- A ty? Oszczędź mi tego. Przebierałaś się za każdym razem, kiedy miałaś się jej pokazać. Przeżyje największy wstrząs swego życia, kiedy tu

przyjedzie i odkryje cię w pełnym rozkwicie, chyba że zamierzasz w dniu ślubu włożyć swoją zwykłą sukienkę pod nazwą: „Spójrz, mamó, jestem niewidzialna i płaska”.

- Za dużo się martwisz - powiedziała beztrąsko Sasza bez najmniejszego współczucia. Zupelnie jakby Gigi nie miała prawa do zmartwienia. A przecież tyle od niej zależało - od pokazu mody po ślub. Sasza uparła się, żeby Gigi przyszła przymierzyć sukienkę akurat tego dnia, w przeddzień nalotu prasy, niewątpliwie słusznie sądząc, że sukienkę trzeba będzie przerabiać, bo Gigi jest za niska. Wiedziała, że przyjaciółka jest doskonale zorganizowana, i na tym etapie nie będzie już miała nic do zrobienia, więc przyda się jej jakaś rozrywka.

- Obejrzyjmy ją - powiedziała zrezygnowanym głosem Gigi, ujrawszy duże kartonowe pudło na stole w nowoczesnym salonie Josha. Sasza otworzyła pudło i wyjęła z niego sukienkę opakowaną w dziesiątki arkuszy bibułki.

- Przynajmniej jest lawendowa - rzekła Gigi obchodząc ją z rezerwą.

- Mama powiedziała, że ten kolor uwydatni kolor twoich włosów. Och, na litość boską, idź do sypialni i włóż ją, a nie obwąchuj jej podejrzliwie jak Marcel Josha. Pośpiesz się, dobrze? Nie wytrzymam tego napięcia!

- Ciągle linieje? - spytała Gigi przez ramię, biorąc sukienkę od Saszy i idąc niechętnie w kierunku sypialni.

- Nie, poddał się, tylko od czasu do czasu posyła mi wściekłe spojrzenie. Wizyta u ciebie wyleczyła go. Biedactwo wróciło do domu żałośnie szczęśliwe, bo nie poświęcałaś mu wystarczająco dużo uwagi. Pójdiesz już? Aż cała drzę!

- Przepraszam - roześmiała się Gigi i zniknęła. W sypialni rozebrała się do rajstop, zdjęła wysokie buty i włożyła srebrzyste pantofelki, które przyniosła ze sobą, żeby mogły z Saszą dopasować długość sukienki. Ostrożnie weszła w chmuropodobną masę lawendowego szyfonu, nie będąc pewna, gdzie może się czaić jakiś niewidoczny suwak. Dała się włożyć lekko, mimo licznych spódnic, i zapięła się zdumiewająco łatwo. Gigi odwróciła się, żeby obejrzeć się w długim lustrze wewnątrz szafy.

Może Tatiana Nevsky nie jest taka zła, jak dała jej do zrozumienia Sasza. Może ta kobieta jest nawet geniuszem, pomyślała podekscytowana Gigi, wprawnie zawiązując na dużą kokardę szeroką, aksamitną szarfę barwy fiołków parmeńskich, którą owinęła się w talii. Suknia pasowała doskonale. Kończyła się dobre piętnaście centymetrów nad ziemią, duży dekolt w kształcie łódki był w idealnym miejscu - tak wycięty, jak tylko się dało, ale nie na tyle, żeby sukienka się obsuwała. Prosty stanik był równie dopasowany, jak pełna była spódnica, miękko plisowane rękawy były idealne, rozszerzając się od dekoltu do nadgarstka, tak że kiedy będzie trzymała swój bukiet na poziomie talii, to będą się układały we wdzięczną linię. I, o cudzie nad cudami, to wszystko, żadnych lamówek, żadnych cekinów, pająków, nic, tylko dziesiątki metrów szyfonu ułożonego w kształcie dzwonu, szyfonu, który od pierwszego wejrzenia sprawiał wrażenie, że jego właściwe miejsce jest na scenie baletowej. Suknia bez określonego czasu, miejsca czy pory roku, której jedyną przyczyną istnienia jest piękno. Gigi zawirowała. Jej świeżo zrobione pasemka uniosły się do góry jedwabistą pajęczyną, a Gigi patrzyła, jak spódnica wznosi się i opada. Zapomniała o Saszy, która najwyraźniej czekała na werdykt w taktownym milczeniu. Wyglądała... wyglądała...

jak motyl zainspirowany Balanchinem?... uskrzydłony kwiat?... idealna wersja samej siebie?

- Och, Sasza, cofam wszystkie okropne rzeczy, jakie kiedykolwiek mówiłam o twojej matce!

- zawołała wbiegając do salonu.

- Powiem mamie - rzekł Zach, stojąc na środku pokoju i patrząc jej prosto w oczy.

Gigi stanęła jak wryta, zachwiała się na swoich wysokich obcasach i ledwo odzyskała równowagę, zbyt wstrząśnięta, żeby się poruszyć czy coś powiedzieć. Zbladła tak straszliwie, że Zach postąpił dwa szybkie kroki do przodu i chwycił ją za ramiona, żeby nie upadła. - Powiedziałem Saszy, żeby cię uprzedziła, ale myślała...

- Przyjechałeś za wcześnie - Gigi usłyszała własny, szaleńczo logiczny głos. - Ślub... dopiero za kilka tygodni...

- To nie dlatego tutaj jestem - powiedział, podsuwając jej pod brodę palec i delikatnie unosząc ku sobie jej twarz.

- Zach... och, Zach... - wyszeptała, wyciągając do niego ramiona, oszołomiona, lecz całkowicie pewna, że to, co się dzieje, jest właściwe. Zaląła ją potężna fala radości. To było więcej niż właściwe, to było nieuniknione. Tak konieczne jak nic dotąd nie było.

- Czy masz chociaż blade pojęcie, jak bardzo cię kocham?

- spytał ją z niepokojem Zach. Nie śmiał jej pocałować, dopóki nie usłyszy odpowiedzi.

- Tak, słyszałam - udało się odpowiedzieć Gigi. - Tak mi powiedziano... z całą odpowiedzialnością.

Wtedy ją mocno pocałował, przytulając jej delikatne ciało do swego

wspaniałego torsu. Całował ją, aż lawendowa suknia zwiędła. Zapamiętali się w sobie nawzajem, a ich serca i dusze trwały w bezgranicznym zdumieniu, choć nie całkiem zaskoczone.

- Nigdy mi nie powiedziałaś, że mnie kochasz - przypomniał wreszcie Zach, odrywając się na chwilę od jej ust.

- Chyba nigdy mnie o to nie pytałeś - odparła Gigi.

- Niezupełnie tak, nie w tylu słowach.

- Kochasz mnie? - zapytał głosem pokorniejszym niż kiedykolwiek.

Gigi zawahała się przez moment, delektując się tym, co - jak wiedziała - miało być tylko chwilową niepewnością Zacha Nevsky'ego.

- Tak - powiedziała w końcu, całym sercem pozbywając się wahania.

- Na razie wystarczy. - Spojrzał na nią i roześmiał się swobodnym, tryumfalnym śmiechem. - „Tak”... tylko to chciałem usłyszeć.

Drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły z głośnym trzaśnięciem, a Marcel z wyprostowanym pionowo ogonem wszedł uroczyście do pokoju.

- To Sasza usiłuje być dyskretna - powiedział Zach.

- Poprosiłem, żeby wyszła do warzywniaka. Chciała zaczekać w kuchni, ale nie pozwoliłem na to.

- Czy wszystko w porządku? - zawołała Sasza ciągle nie wchodząc do salonu.

- Idź sobie jeszcze na zakupy - odpowiedział Zach.

- Nie ma mowy - rzekła z oburzeniem i weszła do pokoju.

- Mielicie mnóstwo czasu. Siedziałam po prostu w holu, a tak dla twojej wiadomości Zach, to nigdy nie chodzę do warzywniaka. Gigi, w porządku?

- Chyba tak - powiedziała łamiącym się głosem Gigi, wyglądając

spoza masywnej bariery ramion Zacha.

- O, mój Boże, Gigi! Pomięłaś sukienkę! Wiedziałam, że nigdy nie powinnam zostawić was samych!

* * *

Chociaż John Prince nie przyjął zaproszenia Billy do spędzenia weekendu jako gość w jej domu, przedkładając wygodę centralki telefonicznej hotelu, wysłała po niego samolot, a na lotnisko samochód z kierowcą, który zawiózł go do hotelu, poczekał, aż Prince dostanie klucz i przywiózł go do Billy na prywatną kolację. Billy pomyślała, że oboje - w ciągu weekendu tak zajęci - będą się widywać tylko w tłumie, a chciała z nim omówić wstęp, jakim zamierzała poprzedzić pokaz prezentowanej przez niego mody.

Czekała na Prince'a przed kominkiem w jednym z podwójnych salonów. Chociaż był maj, wieczory były jeszcze na tyle chłodne, że ogień był mile widziany. Kiedy Billy usłyszała charakterystyczny bas Prince'a ruszyła szybkim krokiem na jego spotkanie i przywitała go najszerszym uśmiechem, jaki potrafiła przywołać na twarz, oraz pocałunkami w oba policzki. Już na sam widok Prince'a w tweedowej chwale poczuła się nieco lepiej. Kiedy prowadziła go do kanapy przed kominkiem, pilnie przyjrzała się jej twarzy i wydawał się zadowolony z tego, co zobaczył.

- No, kaczuszko, cieszę się, że to ignorujesz - rzekł Prince rzucając egzemplarz Fashion and Interiors na stół do kawy. Billy spojrzała na niego w zdumieniu. „Kaczuszko” było złowieszcze, dziesięć razy bardziej znaczące niż „kotku”. Z niepokojem spojrzała na lśniące czasopismo. Musieli coś zwęszyć na temat „Scruples II” i zdradzili tajemnicę w Expressie, głośnej kolumnie aktualnych plotek. Express był redagowany

anonimowo i bogato ilustrowany szczególnie niedyskretnymi zdjęciami. Był niewybrednym źródłem najnowszych, najbardziej złośliwych plotek ze świata mody i wyższych sfer. Był soczysty i wonny jak idealnie dojrzały melon i od samego początku zdobył sobie pozycję najżywszego, najzłośliwszego i najbardziej sprośnego działu tego wpływowego czasopisma. Express był miejscem, na którym każdy prenumerator najpierw otwierał pismo.

- Mój egzemplarz jeszcze nie przyszedł - rzekła Billy.

- Co ja takiego ignoruję?

- Przywiozłem to z Nowego Jorku. Dostałem go z opóźnieniem wczoraj. Kaczuszek, w Expressie jest godny pożałowania artykuł. Miałem nadzieję, że go widziałas i że udało ci się przejść nad nim do porządku dziennego.

- Cholera! Po tym, jak całymi miesiącami utrzymywaliśmy wszystko w najwyższej tajemnicy! Powinnaś była wiedzieć. Gorzej już być nie mogło, wyprzedzili wszystkich dziennikarzy - jęknęła Billy.

- Nie. To nie o „Scruples II” - rzekł trzeźwo Prince.

Billy z niepokojem wzięła do ręki lśniące czasopismo i spojrzała na okładkę. Specjalne wydanie „Expressu”: romantyczny popis Billy Ikehorn.

- Co, u diabła...?

- Rzeczywiście, to jego trzeba zapytać.

Billy zaczęła przewracać kartki drżącymi palcami. Kiedy dotarła do Expressu, zaczęła czytać. Prince nalał sobie drinka i stanął do niej plecami, przyglądając się płomieniom.

Wszyscy chyba słyszeliśmy opowieść o żalostnej Biednej Bogatej Dziewczynie, która nie wiedziała, czy jest kochana dla swoich pieniędzy,

czy dla niej samej. „Express” odkrył, że sama Billy Ikehorn z Beverly Hills rozpaczliwie próbowała znaleźć odpowiedź na to pytanie, prowadząc w Paryżu podwójne życie.

Uwaga, agenci MI-5! Czy uwierzylibyście, że naszej bajecznie ubranej Billy udawało się przez prawie rok uchodzić za prostą nauczycielkę z Seattle? (Oczywiście nauczycielkę francuskiego. Jakżeby mogło być inaczej?) Jedną z najbogatszych kobiet świata podczas długiej idylli w atelier przystojnego rzeźbiarza z San Francisco, Sama Jamisona, przekonała go, że jest ubogą, lecz uczciwie pracującą dziewczyną. Przykro nam, Sam, ale to chyba zły numer!

Sprawdzając w paryskim Ritzu, „Express” dowiedział się, że oficjalnie przez cały zeszły rok Billy zajmowała Apartament Windsor, lecz Henr i Legrand z galerii Templon, gdzie dzieła rzeźbiarza odniosły zeszłej jesieni sensacyjny sukces, powiedział „Expressowi”, że znał naszą Billy jako „Misie Winthrop”, która przez wiele miesięcy dzieliła z Jamisonem stół i łóżko.

Czy był to pierwszy raz, kiedy któryś z bostońskich Winthropów o błękitnej krwi (przypomnijmy, że nasza Billy urodziła się jako Wilhelmina Hunnenwell Winthrop) posłużył się szacownym nazwiskiem dla zatuszowania sekretne go romansu?

Czyż nie jest niezwykle ciekawe, że Billy może sobie znaleźć mężczyznę jedynie wtedy, kiedy udaje, że jest kimś innym? Wszyscy pamiętają jej krótkotrwałe drugie małżeństwo z producentem filmowym Vito Orsinim, szybko przerwane przez jego wielki romans z Maggie MacGregor. Maggie porzuciła Vita, kiedy stało się jasne, że „Biały Amerykanin” zrobi klapę dziesięciolecia, szybko zastępując go Fredem

Greenspanem, jej żonatym szefem, który wkrótce doszedł do wniosku, że program królowej wiadomości ze świata show businessu wart jest dodatkowej pół godziny czasu jego sieci. Maggie, jak wszyscy wiedzą, zaszła na szczyt profesjonalizmu wiedząc, jak posługiwać się właściwymi mężczyznami we właściwym czasie. Czy Billy nie powinna poprosić sprytniej Maggie o kilka rad, jak wybierać mężczyzn, którzy potrafią zrobić dziewczynie dobrze? Od czasu, kiedy Billy straciła Vita, w jej życiu nie było nikogo poza oszukanym przez nią Samem Jamisonem. „Expressowi” wydaje się, że nasza Billy nie może sobie kupić trwałej miłości za żadne pieniądze (a co gorsza nawet za ich brak!).

Jak to się skończyło? Wielu naocznych świadków widziało, jak nasza nieustraszona bohaterka popełnia błąd i daje się złapać ze wszystkimi swoimi diamentami na premierze w operze. (No, może nie ze wszystkimi, ale było ich tyle, że obaliły wersję o nauczycielce.) Sam Jamison poznał swego Kopciuszka naprawdę i zrobił bardzo publiczną scenę. Następnego dnia w restauracji Lippa, gdzie Billy go wyśledziła, poczęstował ją zimnym spojrzeniem.

Nasza Billy w pośpiechu zwinęła obóz i uciekła z Paryża do wyrozumiałego Beverly Hills, swych dawnych terenów łowieckich, gdzie pozostaje w tajemniczym, lecz zrozumiałym (n'est-ce pas?) odosobnieniu. Może jakiś tenisista? Rada „Expressu” dla naszej nieszczęśliwie zakochanej, Biednej Bogatej Dziewczynki: następnym razem, Misiu, postaraj się o mężczyznę z własnymi pieniędzmi. Czy prawdziwa Wilhelmina Hunnenwell Winthrop Ikehorn Orsini zechce wstać i zaświadczyć? A może ktoś taki nie istnieje?

- No, kaczuszeko, przynajmniej zdjęcia są dobre, szczególnie to z tobą

w bikini - odezwał się Prince, odwracając się, gdy usłyszał, że Billy rzuca czasopismo na podłogę. - I nie popełnili błędu w twoim nazwisku - dodał, oceniwszy bez-namiętność wyrazu jej twarzy. - Billy, wiem, że to paskudne, ale nie zagraża to twemu życiu.

- Nie.

- Co zrobiłaś Harriet Toppingham, żeby sprowokować taką podłość? Niżej już nie można uderzyć.

- Spotkałam ją raz... tylko raz... na pewnym przyjęciu - odpowiedziała z trudnością Billy sztywnymi wargami. - To zrobiła Cora de Lioncourt, tylko ona mogła złożyć kawałki w jedną całość.

- To w takim razie co zrobiłaś jej?

- Nic... nic, o czym bym wiedziała - rzekła Billy głosem równie drętym jak jej twarz.

- Kaczuszko, wiem, że to frazes, ale kiedy zdarza się coś takiego, to trzeba na to po prostu spokojnie spojrzeć, a potem wyjechać i udawać, że nic się nie stało. Przecież nie zrobiłaś nic, czego musiałabyś się wstydić.

- Nie rozumiesz.

- Nie będę cię oszukiwał, Billy, oczywiście ludzie będą się tym bawić, będą o tym rozmawiać podczas kolacji przez jakiś tydzień czy dwa, ale o wszystkim zapomną, zanim jeszcze wyjdzie następny numer.

- Nie, nie zapomną. Ludzie nigdy nie zapominają takich smakowitych historii. Nie zapomną, póki żyję.

- No... może - przyznał wiedząc, że Billy ma rację. - Ale patrząc na sprawę realistycznie, nic nie możesz na to poradzić.

- Wszyscy - powiedziała powoli Billy - dosłownie wszyscy, których kiedykolwiek poznałam lub poznam, będą o tym wiedzieli i pamiętali w

chwili, kiedy mnie zobaczą... Zawsze będę wiedziała, co myślą. Jestem pośmiewiskiem, przedmiotem litości.

- Och, kaczuszeko, proszę cię, spróbuj się tak tym nie przejmować. No więc będą się śmiali. I co z tego? Nie mogą ci odebrać tego wszystkiego, czego ci zazdroszczą. Spójrz do lustra, rozejrzyj się. Billy, twoje życie to pasmo tryumfów.

Billy uświadomiła sobie w otępieniu: on nie potrafi zrozumieć, absolutnie nie potrafi zrozumieć, że każdego dnia przez wszystkie tygodnie składające się na kształtujące ją lata cierpiała jako pośmiewisko innych. Mimo że dzisiaj mogła się wydawać wspaniała i potężna, jej najgłębsze postrzeganie siebie zostało uformowane przez zaniedbującego ją ojca, nieskończenie okrutne koleżanki szkolne, litujące się nad nią ciotki i z pogardą odrzucające ją kuzynki. Usiłowała sobie powiedzieć, że jest to uczucie znane większości ludzi - może poczucie własnej wartości zostało u wszystkich w młodości nadszarpięte - lecz ta historia Expressu była czystą, wydestylowaną, trującą esencją i to właśnie teraz, kiedy budziła się w środku nocy, zamartwiając się przyjęciem, z jakim się spotka „Scruples II”. Każde wywołujące mdłości słowo wyryło się w jej myślach. Było to zbyt dokładne, by zaprzeczyć. Poczowała się tak, jakby cofnęła się o całe dziesięciolecie, tak, jak czuł się rok w rok ten gruby potwór, Misia Winthrop.

- Prince, nie mogę... po prostu nie jestem w stanie wystąpić publicznie podczas weekendu. Spider cię wprowadzi. Ja zostaję tutaj. Nie wyjdę z mojego domu, nie obchodzi mnie, co powiedzą inni... nie potrafię tego zrobić.

- Billy, nie możesz tak na to reagować - powiedział surowo Prince.

- Nie mogę zrobić nic innego. Prince, przepraszam, ale muszę zostać sama - rzekła tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

- Kaczuszko! - Prince spróbował wejść za nią na górę, zatrzymał się, wzruszył bezradnie ramionami i postanowił wyjść. Nawet zjedzona w samotności w hotelu kolacja będzie weselsza niż patrzenie na udręczoną twarz Billy. Z wielką przykrością musiał jednak przyznać, że wszystko to brzmiało intrygująco pikantnie, choć oczywiście wolałby, żeby przytrafiło się komuś innemu. Wiedział, że bar hotelowy będzie pełen jego znajomych, z których każdy zechce pogadać o Billy pieprzącej się do upadłego, incognito, w Paryżu. Oczywiście nie zostanie w barze za długo. Przecież naprawdę lubi Billy.

- Czy wiesz, gdzie mogę znaleźć Billy? - zapytał Spidera Josh Hillman. Było bardzo późne czwartkowe popołudnie.

- Nie widziałem jej - odparł Spider, szybko zamykając egzemplarz Fashion and Interiors w którym właśnie skończył czytać artykuł Expressu.

- A bo co?

- Chciałbym jej coś dać, szczęśliwą pamiątkę na jutrzejszy dzień. - Josh położył na biurku Spidera marmurową tabliczkę z nazwą „Scruples”, która ocalała z pożaru.

- Jezu! - Spider aż się cofnął. - Sądysz, że ona chce to zobaczyć? Jezu, Josh, skąd to masz?

- Strażacy dali mi ją po wyjeździe Billy. Trzymałem ją od lat, nie wiedziałem, co z nią zrobić. Ale teraz sprzątałem biurko, natknąłem się na nią i pomyślałem, że może trzeba ją dać Billy.

- Myślę, że to najmniej odpowiedni prezent dla niej. To jej tylko przypomni o pożarze.

- Wcale się nie zgadzam, Spider. Przypomni jej o sukcesie „Scruples”. Wiem, że się martwi „Scruples II” - zauważyłem, że ostatnio wygląda na bardzo przygnębioną. Widziałeś miliony zdjęć ludzi, którzy po pożarze swoich domów wracają, by grzebać w popiele? Próbują znaleźć coś, dosłownie cokolwiek, na pamiątkę tego, co niegdyś posiadali. Zawsze przynosi im to jakąś pociechę, zabierają ze sobą najbanalniejsze rzeczy, a one dają im odwagę trwania. To dziwne, ale ciągle się to zdarza, wiem na pewno, że to pomaga.

- Tak. - Spider spojrział na Josha w przypiływie litości. Prawnik nie wiedział, że jego miłość do Valentine nie była dla Spidera tajemnicą.

Kiedy on pływał sobie od wyspy do wyspy, pozwalając morzu, niebu i wiatrowi powoli przewyciężyć żal, Josh musiał pilnować interesów i nikomu nie mógł powiedzieć, że on też stracił Valentine.

- A może sam to dasz Billy, Josh?

- Muszę za dziesięć minut spotkać się z Saszą i już jestem spóźniony.

- Dobrze, Josh, zostaw to mnie, a ja jakoś dostarczę tabliczkę Billy.

Jestem pewien, że nie ma jej w biurze. Josie powiedziała mi to przed minutą, a Josie wie.

Kiedy Josh wyszedł, Spider zdał sobie sprawę, dlaczego instynktownie schował artykuł Expressu, chociaż Josh niewątpliwie się dowie o nim na długo przed końcem dnia. Nie potrafiłby znieść widoku nikogo, absolutnie nikogo czytającego ów artykuł, nawet kogoś tak całkowicie oddanego Billy jak Josh Hillman. Delikatnie dotknął morelowego marmuru jednym palcem i powiódł po pięknie wijących się literach słowa: „Scruples”, wyrytych w kamieniu. Czy możliwe, że ta pamiątka minionych tryumfów da Billy jakieś oparcie w obliczu tego wyjątkowo obrzydliwego artykułu? Tych wymiocin opublikowanych przez Harriet Toppingham? Niewątpliwie tabliczka jakoś pomogła Joshowi, to pewne, bo inaczej nie trzymałby jej przez tyle czasu. Dzięki Bogu facet już jej nie potrzebuje.

* * *

- Chciałbym rozmawiać z Burgo O’Sullivanem - powiedział Spider do strażnika, który nie chciał go wpuścić do domu pani Ikehorn.

- Tak jest, sir. - Podał Spiderowi telefon.

- Burgo, tu Spider Elliott. Tak, wiem, że zamknęła dom, strażnik mi powiedział. Ale, Burgo, wiesz równie dobrze jak ja, że samotność to nie

najlepszy pomysł, kiedy potrzebuje się przyjaciela, z którym można by porozmawiać. Próbowałem znaleźć Gigi, dzwoniłem do jej mieszkania, ale nikt nie odbierał telefonu. Posłuchaj, Burgo, oprócz mnie Billy właściwie teraz nie ma nikogo, prawda? Ktoś musi być lepszy niż nikt. Jasne. Powiesz mu? Dzięki, Burgo.

Spider podał słuchawkę strażnikowi, który przez chwilę słuchał, po czym natychmiast otworzył przed Spiderem elektrycznie zamykaną bramę. Spider zatrzymał się przed domem, gdzie czekał na niego Burgo.

- Gdzie ona jest? - spytał Spider. Wsiadł z samochodu trzymając pod pachą kawałek marmuru.

- Po wyjściu pana Prince'a siedziała jakąś godzinę na górze. Pokojówka powiedziała, że zamknęła się w garderobie. Potem zeszła w starym płaszczu i poszła się przejść - odparł Burgo z bardzo zmartwioną miną. - Jeszcze nie wróciła. Mam przeczucie, że jest w swoim prywatnym ogrodzie. Pokażę panu, gdzie to jest. Jeśli jej tam nie ma, to wie pan tyle co ja. Wszystkie lampy ogrodowe są zapalone, może pan jej szukać, ile pan chce. Powiem strażnikom, że pan tu jest, to nie będą pana niepokoić.

W milczeniu, bez żadnych zbędnych uprzejmości, Burgo poprowadził go najkrótszą drogą, czyli ścieżką przecinającą zagajnik oliwny i kończącą się przed barierą czujnych cyprysów ukrywających kamienne mury ogrodu. Była chłodna, wietrzna noc, drzewa pochylały się i szumiały w silnym wietrze znad Santa Ana, który pędził po rozgwieżdżonym niebie księżyc w pełni. Burgo rozsunał gałęzie dwóch starych cyprysów i pokazał Spiderowi furtkę do ukrytego ogrodu, po czym oddalił się.

Stojąc przed surową, solidną furtką z drewna Spider zawahał się.

Mógł zostawić Billy samą, w odosobnieniu, o jakie prosiła i którego naruszenia się nie spodziewała. Mógł tu sobie spokojnie postać, potem pochodzić po ogrodzie i odjechać, mówiąc Burgo, że nie udało mu się jej znaleźć. Wiedział, że jest absolutnie ostatnią osobą, jaką Billy chciałaby zobaczyć, teraz czy w jakąkolwiek inną noc. Od czasu ich kłótni nie odezwała się do niego słowem, udawało jej się nawet nie przebywać z nim w tych samych pomieszczeniach. W ciągu ostatniego miesiąca ani razu się nie widzieli. Ale jeśli potrafi w jakiś sposób pocieszyć Billy, jeśli ten kawałek marmuru ma choć jedną setną mocy, jaką przypisywał mu Josh, to musi jej go dać. Zastukał.

- O co chodzi, Burgo? - usłyszał głos Billy.

- To ja, Spider.

Minęła minuta. Potem następna.

- Nie jest zamknięte na zasuwę - powiedziała w końcu beznamiętnym tonem.

Spider pchnął furtkę i stanął jak skamieniały, nagle pozbawiony zdolności poruszania się, oszołomiony magiczną bielą ogrodu, oświetlonego tak miękkim światłem, że nie było widać jego źródła. Przejście przez posępny szpaler cyprysów i wejście w ten kwadrat skondensowanego czaru sprawiło, iż miał wrażenie, że wkroczył w samo serce zapierającej dech w piersiach tajemnicy. Żywy dywan białych kwiatków falował wokół jego stóp jak morska piana, białe tulipany rosły gęsto wokół jego kolan, wyższe lilie łaskotały go w grzbiet dłoni, a białe róże pięły się ponad jego głowę i wyrzucały kwiaty tak wysoko w górę, jakby odpędzały samą noc. Zmieszana słodycz pnącego jaśminu i róż zaskakiwała go swą mocą; odbicie księżyca, drżące lśnienie, było jedyną

ozdobą małego stawku obrośniętego tak gęsto czarodziejskimi pierwiosnkami, że wydawało się, iż satelita spadł z nieba. Rozejrzał się za Billy, ale nie mógł jej znaleźć.

- Nigdy tu nie byłeś - skomentowała obojętnie z siedziska po drugiej stronie ogrodu, ukrytego pod drzewem oplecionym pnączami białej wistarii.

Usłyszawszy jej głos, Spider dostrzegł ledwie widoczną sylwetkę.

- Nie wiedziałem o jego istnieniu - powiedział nie śmiejąc się poruszyć.

- Skoro już tu jesteś, to wejdź.

- Dziękuję. - Poszedł zakrzywioną ścieżką i zatrzymał się metr przed jej siedziskiem, niezręcznie chowając za sobą marmurową tabliczkę. Teraz zobaczył Billy owiniętą w coś ciemnego i obszernego. Głowę ocieniał jej kaptur, tak że ledwo widział lekkie lśnienie ciemnych oczu. Pomyślał, że nie może jej teraz dać tej tabliczki, nie tutaj. Spodziewał się, że znajdzie Billy w domu, chciał powtórzyć słowa Josha, doręczyć jego prezent i wycofać się, lecz w tej słodkiej atmosferze wybujałej, kruchej bieli solidny kawał marmuru wydawał się nie na miejscu.

Sama Billy znajdująca się w wybranym przez siebie cieniu wydała mu się nagle nieprzenikniona. Poczuł, że ogarnia go wielka konsternacja. Co tak naprawdę wie o kobiecie, która siedzi tu tak spokojnie, której sanktuarium odważył się naruszyć? Co może myśleć patrząc na swój ogród, jakby oglądała z łoży teatralnej prywatne przedstawienie? Nagle przypomniał sobie Billy siedzącą z nim pewnego dnia przy lunchu w Le Train Bleu. Ubrana była wtedy w żywą czerwień i absolutnie panowała nad swoją elektryzującą osobowością; jej oczy zawierały w sobie całe

imperium, a mocna szyja była piękniejsza niż jakakolwiek łądyga kwiatu w tym ogrodzie. Owego dnia dostrzegł nową głębię intensywnie kobiecej czułości współistniejącej w niej obok autokratycznej impulsywności. Teraz, po kilku miesiącach intensywnej pracy nad „Scruples II”, rozumiał ją lepiej, a jednak mimo jego rozumienia kobiet nadal udawało się jej wymykać mu. Jakaś część Billy nadal pozostawała niepoznawalna w stopniu większym niż u innych kobiet. Doceniał głębię jej nieśmiałości, ale wiedział, że potrafiła być nieustraszona i śmiała o wiele bardziej niż inne kobiety. Udało się jej spieprzyć sobie życie, ale cały czas zachowywała władzę. Była słodka - och, jaka słodka - lecz jednocześnie nie zdawała sobie sprawy z siły własnej słodyczy. Przyszedł tylko po to, żeby ją pocieszyć. Bardziej niż kiedykolwiek chciał zaleczyć jej rany, złagodzić ból, ale nie wiedział, od czego zacząć. Leżała między nimi ich kłótnia.

- Przyszedłem... - zająknął się i poszukał innej frazy.

- Nie, przestań - powiedziała Billy unosząc rękę zakazującym gestem. - Muszę... muszę cię przeprosić. To, co powiedziałam, było całkowicie niewybaczalne. Nie potrafię wyjaśnić, jak do tego doszło... Nie spodziewam się, że mi wybaczysz, ale...

- Nie! - Spider był przerażony jej słowami. - Nie! Nie przeprasza! To ja nie miałem racji, a ty ją miałaś w stu procentach. Ale powiedz mi, że nie uważasz mnie za wesz. Nie wytrzymam twojej pogardy. Nawet jeśli mną gardzisz, to powiedz, że tak nie jest! Jezu, Billy, tak za tobą tęskniłem. Nigdy już nie możemy tak się kłócić, bez względu na okoliczności, to za bardzo boli. Jezu, zasnąłem płacząc, tak było. - Nagle przerwał, zdumiony, że tyle jej powiedział. Przyrzekł przecież sobie, że

nikt się nie dowie, jak się dziecinnie zachował.

- Ale... - powiedziała cichutko Billy - ale...

- Co to znaczy? - spytał zdeorientowany Spider.

- Ja... też za tobą tęskniłam - odparła jeszcze ciszej.

- To znaczy, że nie nienawidzisz mnie?

- Niestety... nie. Wtedy byłoby łatwiej. - Jeszcze bardziej skuliła się w swoim starym, podbitym sobolami płaszczu.

- Nie rozumiem... czy nie możemy znów być przyjaciółmi jak dawniej? - zapytał, nie chcąc przyjąć do wiadomości pożegnalnej nuty w jej głosie, która go przeraziła. Ruszył w jej kierunku, pochylił się, ujął zimne dłonie i spróbował je ogrzać.

- Przyjaciółmi? O nie, Spider, przyjaciółmi nie... nie tak jak przedtem... ja odchodzę... wracam do Paryża... albo może gdzieś indziej... jeszcze nie wiem.

- Billy, na litość boską, nie możesz wyjechać! Nie pozwolę ci! To przez te ohydne kłamstwa w gazecie, tak? - zapytał, usiłując zajrzeć jej w twarz prawie całkowicie schowaną pod kapturem. Nie mogąc jej dojrzeć i bojąc się poprosić o pozwolenie, usiadł ostrożnie na krawędzi wąskiej ławy.

- Nie, to nie to. To nie było kłamstwo. To się wydarzyło, niedokładnie tak, jak to opisali, ale w dość podobny sposób. Dlatego nie powiedziałam ci o Samie, kiedy pytałeś. Nie byłam z tego dumna, chociaż, z drugiej strony, uważam, że popełniłam uczciwy błąd. Początkowo byłam tak oburzona tonem artykułu, tym szyderstwem, że poczułam się jak biedna, uschnięta istotka, jak ktoś bez tożsamości. A potem, kiedy czytałam to w kółko, nie mogąc przestać, słowa w końcu zatraciły swą

rzeczywistość. To wcale nie było o mnie. Odkryłam, że nie postrzegam siebie jako osoby żalnej. Już nie. Gdzieś, w jakiś sposób nabrałam szacunku do samej siebie - najwyższy czas, jakby powiedziała moja ciotka Kornelia, ale na to nigdy nie jest za późno. Jako dziewczynie źle mi się wiodło... ale od tamtych czasów zaznałam prawdziwego życia z prawdziwą miłością, przyjaciółmi i osiągnięciami. Z prawdziwymi sukcesami i prawdziwymi porażkami, jak każdy. Istnieję - prawdziwa ja - nawet jeśli nie odpowiadam wszystkim gustom. Nie martw się, Spider, jakoś dojdę do siebie, nigdy bym nie uciekła i nie dała tym z Expressu satysfakcji, że udało im się wypędzić mnie z miasta...

- No to dlaczego mówisz o wyjeździe? - przerwał jej gwałtownie Spider. - Jak możesz?

To po prostu niemożliwe, ja cię nie puszcę.

- To... to... dlatego, że nie możemy już być przyjaciółmi.

- Dlaczego? - spytał zbolalym tonem.

Billy milczała, usiłując zebrać wszystkie siły. Chciała przemówić, być wreszcie uczciwa, pragnęła wypowiedzieć te niedopuszczalne słowa, wyrzucić je z siebie i raz na zawsze załatwić sprawę, dać sobie szansę dalszego życia. Nie może tak wyjechać ze smakiem swej samotnej miłości na języku, czując ją za każdym westchnieniem.

- Bo... bo nie można zatrzymać przyjaciela, jeśli się jest... o niego zazdrosnym.

- Zazdrosnym? - spytał tępo Spider.

- Och, mój Boże, Spider, czy naprawdę muszę ci to powiedzieć dużymi literami? Jak myślisz, dlaczego powiedziałam te wszystkie okropne rzeczy? Nawet się nie domyślasz? Byłam zazdrosna... tak, o

Gigi... tak, o wszystkie inne... kobiety w twoim życiu. O wszystkie kobiety... które... kochałeś.

Billy raptownie wyrwała mu swoje ręce i głębiej naciągnęła kaptur na twarz, żeby nie mógł jej widzieć. Szukała schronienia w swym płaszczu.

- Zazdrosna - powtórzył powoli Spider w zdumieniu i niepewnej, lecz wyraźnie i niecierpliwie budzącej się nadziei, że wie o Billy o wiele mniej niż mu się śniło, niewiarygodnie mniej, cudownie mniej. - Zazdrosna. Nie byłabyś zazdrosna, gdybyś...

- Przestań! Nie mów tego! Miej odrobinę przyzwoitości, nie napawaj się. I tak jest już wystarczająco źle! Muszę to przezwyciężyć i zamierzam to zrobić - rzekła Billy z bezlitosną stanowczością.

- O nie, nie zrobisz tego! - zawołał, biorąc ją w ramiona i zdejmując kaptur. Zobaczył jej zrozpaczone, wypełnione bólem oczy i drżące, stanowczo zaciśnięte, żarliwe usta. Ujął jej zdumioną twarz w swe duże dłonie, heroicznym wysiłkiem powstrzymując się przed pocałowaniem jej. Najpierw musi wszystko wyjaśnić, tak żeby na pewno go zrozumiała.

- Jeśli się poruszysz - powiedział uroczyście, bez cienia wahania w głosie - jeśli zrobisz choć krok, to pójdę wszędzie za tobą, będę nocował na twoim progu, jeśli chcesz samotności, możesz ją mieć, ale zawsze będę tam cierpliwie na ciebie czekał. Już nigdy nie wolno ci ode mnie odejść, nie możesz mnie opuścić, byliśmy rozdzieleni zbyt długo, straciliśmy za dużo czasu. Teraz posłuchaj mnie uważnie, Billy, bo to bardzo ważne. Jakieś półtora roku temu zadzwoniłaś do moich drzwi i w tej sekundzie, w której otworzyłem drzwi i zobaczyłem, że to ty, zakochałem się. Ale cała szalona, straszna prawda tkwi w tym, że zrozumiałem to dopiero teraz.

Billy, od tamtej chwili byłem w tobie beznadziejnie zakochany, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że ty mogłabyś kochać mnie. Wydawało się, że nigdy... no, za bardzo cię nie obchodzę, nigdy nie było między nami nawet cienia ukrytego romansu, więc nie pozwalałem sobie na takie myśli, nawet sobie nie wyobrażałem... nawet nie zacząłem się zastanawiać... Ale ty mnie kochasz, ja to wiem - nie mogę się aż tak mylić, prawda? Nie wtedy, kiedy kocham cię tak bardzo. Och, powiedz, że nigdzie beze mnie nie wyjedziesz, Billy, proszę, powiedz, że nigdy mnie nie opuścisz, powiedz, że nie mogłabyś być tak niedobra. - Spider błagał ją całym sercem, tak jak człowiek błaga o życie, nadal jeszcze nie całkiem przekonany o swojej racji, bo tych kilka prawie enigmatycznych słów Billy zupełnie go zaskoczyło. - Powiedz, że nigdy już nie będziesz zazdrosna, bo nie będzie do tego powodu, powiedz, że wiesz, że zawsze ci będę wierny, bo tak będzie - na litość boską, Billy, powiedz coś!

- Nie wiem, od czego zacząć - szepnęła z twarzą budzącą się ku wszechogarniającemu szczęściu. - Zadaj mi więcej pytań.

- Och! - Całował ją pełen ulgi, naglej pewności i odkrycia.

- Zadam ci więcej pytań, nie martw się, możemy wrócić i wszystko zacząć właściwie od podstaw, jak w dawnych czasach. Zaproszę cię na randkę, przyjadę po ciebie i zabiorę cię na kolację - a potem odwiozę cię do domu i zapytam, czy możemy się jeszcze kiedyś spotkać, może w przyszłą sobotę albo jeszcze lepiej jutro, a potem zapytam, czy mogę cię pocałować na dobranoc, tak, i tak, i tak...

- Czy musimy zaczynać od samego początku? - udało się Billy wyszeptać między jego spragnionymi, wzruszającymi pocałunkami, pocałunkami, które były jej obsesją od tak dawna, że ledwie pojmowała

ich żar, ich zapierającą dech w piersiach realność, ich niezaprzeczalną moc, ledwie wierzyła, że to nie jeszcze jedno marzenie senne. - Jestem o wiele za... bardzo wyrafinowana... żeby znów zacząć chodzić na randki.

- Dokądkolwiek zechcesz... och, kochanie, tak bardzo cię kocham, że nie wiem, co robić. Czy nie możemy się pobrać? No, Billy - głos mu się zmienił z niecierpliwości. - Nie wytrzymam czekając na to wszystko, co się wydarzy w środku, skoro jestem absolutnie pewien, co się stanie na końcu - nie ma dla nas innego możliwego sposobu istnienia poza małżeństwem. Kochanie, co mam powiedzieć, żebyś to zrozumiała?

- Zawsze miałaś w sobie tę szczególną cechę - powiedziała Billy śmiejąc się i zaglądając mu w oczy. Dotknęła władczo jego ust, unosząc się na fali szczęścia tak czystego, że aż krystalicznego, tak potężnego, że czuła się, jakby unosiły ją fale wielkiego oceanu, tak niepodzielnego, że ufała mu całkowicie. - Posiadasz zdumiewającą zdolność namówienia mnie na wszystko, na absolutnie wszystko. Czy będzie ci tego brak, kiedy odkryjesz, że wszystkiego, czego chcesz, chcę i ja? Bo jeśli wolisz, to zawsze mogę się trochę z tobą pokłócić, ale czy nie byłoby prościej, gdybym powiedziała „tak” na wszystko z góry?

- Jasne - powiedział Spider, szczęśliwy, lecz nie zaślepiiony. - Tak, dobrze, tak na wszystko z góry. Och, kochanie, to będzie dzień.

EPILOG

W ROK PÓŹNIEJ

Istnieje wiele przebiegłych sposobów budzenia mężczyzny tak, żeby się nie zorientował, że został celowo obudzony, pomyślała Billy, leżąc zupełnie rozbudzona obok Spidera w ich wielkim łóżku. Można energicznie przewracać się z boku na bok, aż materac zacznie się zachowywać jak wzburzone morze; można podciągnąć kołdrę tak wysoko, że zakryje mu usta i nos i będzie się musiał obudzić dla zaczerpnięcia powietrza; można go delikatnie łaskotać w czułe miejsca, aż będzie na tyle podrażniony, że otworzy oczy; można nawet wybrać jeden włos na jego głowie i wyrwać go tak, że jego wysiłki pozostania nieprzytomnym spełzną na niczym. Albo można krzyknąć mu prosto do ucha: „Buu!” i natychmiast się położyć, udając zasną niewinność, kiedy w zdumieniu gwałtownie usiądzie.

Ale czy to uczciwe budzić kogoś, kto śpi tak twardo? Spider przechodził prawdopodobnie przez fazę REM, przez najgłębsze stadium spania, kiedy przychodzą sny, przez regenerującą fazę snu, której pozbawieni przez kilka dni z rzędu ludzie wkrótce robią się nieszczęśliwi i zaczynają mieć majaki. Ale czy on nie ma już dość snu? Ona sama nie spała całą noc, co godzinę biegając do wypełnionej kwiatami łazienki, przemierzając całe mile wokół ogromnej sypialni, żeby nie ścierpły jej nogi, ostrożnie wracając do łóżka i znów układając się do odpoczynku, który nie nadchodził. Zupełnie rozbudzona wpatrywała się w poprzedzającą świt szarość nocy i zastanawiała się, czy Spider będzie zły, jeśli go nie obudzi i nie podzieli się z nim historią jej nie przespanej nocy.

A jednak miała korzyść z czuwania podczas jego snu. Nawet jeśli nie

może patrzeć w bezgraniczny błękit jego oczu, nawet jeśli nie słucha jego głosu i nie widzi jego pogańskiego uśmiechu, to we śnie całkowicie należy do niej, a ona może się pławić w niczym nie zakłóconej kontemplacji niebiańskiego uczucia dzielenia z nim łóżka. Może się nim napawać do woli, napawać się w bezwstydnym, przez nikogo nie widzianym orgii miłości, który to stan, jak się nauczyła, nie jest przeznaczony do wystawiania na widok publiczny.

Mimo wysiłków nie potrafiła uniknąć tego w biurze. Zauważała te rozbawione trącania się ludzi, kiedy Spider prowadził zebranie, a ona była tak nim zahipnotyzowana, że traciła wątek i nie potrafiła wypowiedzieć żadnej sensownej opinii.

Billy pomyślała, że poślubienie mężczyzny mającego sześć sióstr jest jak ciągle odkrywanie nowych światów. Ellis nie miał żadnej rodziny, a Vito, nawet jeśli miał kogoś na Wschodzie w Riverdale, nawet nie zadał sobie trudu, żeby ją owej rodzinie przedstawić. Lecz rodzice Spidera mieszkali w pobliskiej Pasadenie, cztery siostry były rozrzucone po Los Angeles, a dwie mieszkały w odległości godziny lotu samolotem czy jazdy samochodem. Ich spotkania były częste. Billy zastanawiała się, jak przed poślubieniem Spidera udało się jej nie usłyszeć o rodzinie Elliottów - wylewne, dobrodusze, rozgadane kobiety obracały się wokół Spidera w sposób, który graniczył niemal z szaleństwem. Jedyne dziecko, jedyny brat... to naturalne, że wszystkie go uwielbiały. Właściwie z nim flirtowały, jeśli ona miałaby być sędzią, a któż byłby lepszym? Dzięki Bogu, że nie mogła być zazdrosna o rodzone siostry męża, chyba że istnieje inne, mało znane słowo, które mogłoby wyjaśnić, dlaczego - mimo że była oczarowana ciepłym uczuciem i chęcią natychmiastowego wchłonięcia jej przez

wielką, kochającą się rodzinę, uczuciem, jakiego nie zaznała nigdy przedtem i jakiego zawsze jej przed małżeństwem brakowało - nigdy nie było jej żal, kiedy wszystkie panie wychodziły i zostawiały ją sam na sam ze Spiderem.

Nie chodziło o to, że szwagierki nie traktują jej z miłością, pomyślała Billy, uśmiechając się na ich wspomnienie. Każda z nich miała własne dzieci, razem było ich ponad tuzin, ale z zachwytem i nabożnością odnosiły się do jej brzucha, jakby za jakieś sześć tygodni miała wydać na świat kolejnego Szekspira czy Mozarta zamiast zaledwie bliźniaków, którzy oprócz Spidera i jego ojca będą jedynymi męskimi przedstawicielami rodu Elliottów. Jej teściowa na próżno urodziła trzy komplety bliźniaczek usiłując wydać na świat jeszcze jednego Spidera, a jej się udało tego dokonać za pierwszym strzałem, tak łatwo, jakby poszła na spacer do lasu, przespała się w sianie czy strzeliła w ciemności - coś w płodności prowadziło bezpośrednio do banałów, zgagi, ischiasu i bezsenności.

Spider poruszył się lekko i Billy odwróciła się do niego z nadzieją, ale spał mocno, z twarzą zakrytą ramieniem. Billy podparła się na łokciach, pochyliła się nad nim i powąchała jego włosy. Pachniały lepiej niż prażona kukurydza polana masłem i były dziesięć razy bardziej kuszące. Bohatersko opanowała chęć rozburzenia ich i z powrotem opadła na poduszki, zastanawiając się nad macierzyństwem.

Dolly zapewniała ją, że bliźniaki to żaden kłopot, wcale nie sprawiają więcej problemów niż wychowanie jednego dziecka, ale jeśli chodziło o jej chłopców, to Dolly kłamała jak najęta, usprawiedliwiając się tym, że zachowywanie diety wyczerpuje ją umysłowo. Dla podtrzymania

swego zamiaru stosowała hipnozę, akupunkturę i kryształy. Sił dodawała jej także myśl o ewentualnym noszeniu dollymoonek, które sprzedawały się w ogromnych ilościach. Billy zastanawiała się, czy to brak siły woli Dolly sprawiał, że jej bliźniaki są takimi wolnymi duchami, oględnie mówiąc. Co zrobi, jeśli jej własne dzieci okażą się tak uparte jak chłopcy Dolly, zastanawiała się, czując w brzuchu ich poruszenia. Czy nie zdają sobie sprawy, że wystarczy przestrzeni dla nich obu? Dlaczego muszą całą noc zamieniać się miejscami? A może tylko tańczą tango? Może nie powinna tak bardzo chcieć, żeby już się urodzili, może powinna jak najlepiej wykorzystywać ostatnie tygodnie względnego spokoju, ale czuła, że z zapartym tchem czeka na ogromne, tajemnicze, zmieniające życie wydarzenie, które nastąpi w najbliższej przyszłości.

Ostatnio potrafiła się skoncentrować jedynie na projektach nowej kolekcji „Scruples II” dla matek i niemowląt, z których żadna nie zobaczy światła dziennego przed czerwcem.

Jak mogli sobie wyobrażać katalog bez tych podstawowych ubiorów? Nawet nie biorąc pod uwagę statystyki: ona jest w ciąży; Sasza, ze swoją zwykłą sprawnością, jest w ciąży o dwa tygodnie dłużej niż ona; dwie siostry Spidera, Petunia i January, są w ciąży po raz kolejny, nie mówiąc o Dolly, która właśnie musiała odwołać film, w którym rzucała zakochanego Arnolda Schwarzeneggera na kolana, bo za siedem miesięcy też ma urodzić kolejne dziecko. Cztery ciężarne kobiety z najbliższego kręgu oprócz niej wskazywały chyba na jakiś trend - a może to epidemia? - a „Scruples II” zawsze był na czele wszelkich trendów, pomyślała z zadowoleniem Billy. Mając setki pracowniczek, z których większość była mężatkami, wybudowali w Virginii i Los Angeles przedszkola, tak że ich

starannie wyszkolony personel mógł swobodnie wybierać macierzyństwo, zachować pracę i ustalać elastyczny czas pracy... Nic innego nie miało sensu.

Od pierwszej wysyłki cały przemysł katalogowy został zrewolucjonizowany przez oszałamiający sukces „Scruples II” i jego bezprecedensowe tempo rozwoju. Weszli na rynek w najbardziej odpowiednim czasie z najlepszym pomysłem: miliony kobiet nie mających czasu na zakupy potrzebowały dobrze uszytych strojów na każdą okazję i po przystępnej cenie. Grafika opracowana przez Spidera tak bardzo się różniła od innych katalogów, że natychmiast zyskali klientelę, a teksty Gigi wytworzyły wokół siebie niemal kult. Och, mieli też problemy: jeden z podstawowych szalików Prince’a przeznaczony do czterech różnych strojów został dostarczony w tak gryzącej się kombinacji błękitów, że nawet sam Prince nie odważyłby się go nosić; szesnaście bardzo starannie wyszkolonych, przyjaznych i pomocnych telefonistek rzuciło pracę w ciągu jednego tygodnia, aby poślubić mężczyzn poznanych przez telefon, kiedy zamawiali na prezenty dawną bieliznę; z powodu złej oceny rynku zabrakło im trzydziestu pięciu tysięcy par ciemnozielonych aksamitnych spodni; najpopularniejsza dollymoonka wywoływała u nadwrażliwych kobiet swędzenie i była zwracana całymi tysiącami... Lista była dłuższa, ale dzięki kwartalnym katalogom obniżek pozbywali się błędów i zwrotów, mieli niezły zysk, a ich klientela rosła równie szybko, jak ich doświadczenie i wyczucie rynku.

Joe Jones i jego brat kupili domy jeszcze przed upływem pierwszego roku pobytu w Kalifornii, a teraz zajmowali się instalacją basenów, kupowaniem łodzi i szukaniem w pobliskich górach Idyllwild ustronnych

miejsce na weekendy, co było najlepszym znakiem pewności sukcesu. Kiedy Josie Speilber otrzymała stanowisko Wiceprzewodniczącej do Spraw Zdrowia Psychicznego, oparła się pokusie przejścia do L.L. Beana. Prince znajdował się w permanentnym stanie powolnego spalania, bo sam nie pomyślał o projektowaniu strojów o umiarkowanych cenach i teraz był związany kontraktem ze „Scruples II” na kolejne pięć lat - jednym słowem, wszystko po staremu, pomyślała Billy wpychając jeszcze jedną poduszkę pod bolący krzyż. Tylko nie u Cory de Lioncourt. To dziwne, jak bardzo Maggie MacGregor zdenerwowała się zamachem na jej profesjonalizm w tym artykule Expressu. Za punkt honoru wzięła sobie wykrycie, kto odpowiada za tekst. Kiedy przez sieć swych informatorów dowiedziała się, że informacji o niej dostarczyła Cora de Lioncourt, chociaż to nie ona napisała artykuł, Maggie obnażyła jej tajny handel przysługami w półgodzinnym programie telewizyjnym poświęconym właśnie rodzącemu się zjawisku pod nazwą Nouvelle Society. Dała programowi tytuł:

„Dziesięcioprocentowa cesarzowa bluszczy towarzyskich”. Razem z nim z hukiem skończyła się przydatność Cory dla kogokolwiek. Nie można było winić Maggie za gniew z powodu oskarżenia jej o sypianie w odpowiednich łózkach dla kariery, skoro jej sukces opierał się na ciężkiej pracy i talencie; ale to wcale nie znaczyło, że Billy ją polubiła. Właściwie, jeśli się nad tym zastanowić, to gdyby nie ten okropny artykuł, gdyby tamtej nocy Spider nie przyszedł jej szukać, żeby ją pocieszyć, to odkrycie, że się kochają, zajęłoby im więcej czasu... chociaż nic by ich nie utrzymało z dala od siebie... Prędzej czy później miłość wychodzi na jaw jak kaszel, pomyślała Billy, czując przyływ filozoficznych myśli mimo

niewygodny, której nie mogła zapobiec choćby najlepiej podłożona poduszka.

Oddałyby prawie wszystko za możliwość położenia się na brzuchu. Twarzą do materaca, policzek przyciśnięty do prześcieradła, koc naciągnięty na głowę, pełne odprężenie, odpływanie w sen... ledwo to pamiętała; nie, wyobrażała to sobie; pamięć była zbyt ulotna, by uchwycić ten cudowny stan, ale wyobraźnia jest wystarczająco silna.

Wyobraźnia... wyobraźnia Zacha Nevsky'ego przekonała Vita do przeniesienia angielskiej komedii obyczajowej w scenerię San Francisco, rozwiązując w ten sposób wszystkie niewygodne niuanse brytyjskiej struktury klasowej, która groziła, że Czysta gra będzie niezrozumiała dla masowej widowni. W filmie grał Nick De Salvo, wcielając się w postać twardego, młodego właściciela restauracji na Rybackim Nabrzeżu, oraz Meryl Streep, obsadzona w roli dyskretnej zameężnej kobiety z towarzystwa z Nob Hill. Oboje wytworzyli tyle zakazanego żaru, że Kochanka Francuza wyglądała przy tym filmie bepcłciowo. Chodziły na ten film nawet nastolatki, bo był to film roku. Vito odniósł pierwszy ogromny sukces od dłuższego czasu.

Krytycy szczególnie wychwalali Zacha, zapominając jak zwykle o roli producenta, ale w przemyśle było wiadomo, że jeśli nawet Zachary Nevsky znajduje się na szczycie listy najpopularniejszych młodych reżyserów, to Vito Orsini wrócił w wielkim stylu. Curt Arvey podobno był wściekły, że przepuścił okazję sfinansowania Czystej gry i otwarcie winił za to Susan. Najwyraźniej starała się z powrotem przyciągnąć Vita do wytwórni, widywano ją nawet tu i ówdzie, jak jadła lunch w jego towarzystwie, chociaż, pomyślała Billy z grymasem, nie można było sobie

nawet wyobrazić sytuacji, w której zimna, osadzająca wszystkich Susan mogłaby w taki czy inny sposób wpłynąć na Vita. Billy powiedziała sobie, że w tej próbie zmierzenia się z przemysłem rozrywkowym miała szczęście nowicjusza, ale nie zamierzała ryzykować po raz drugi. Impulsywność musi się gdzieś kończyć.

Spider westchnął i odwrócił się do niej plecami. Billy popatrzyła tęsknie na zarys jego ciała i przysunęła się bliżej, dotykając brzuchem jego ciepłych pleców. Teraz, kiedy aktywność jej kick-boxerów byłaby mile widziana, bliźnięta postanowiły zawrzeć pokój. Różowy poblask za oknem powiedział jej, że wschodzi słońce. Co się stanie, jeśli rozsunie zasłony i wpuści do środka powódź światła? Czy to obudzi jej męża? Czy jest jeszcze jakiś mężczyzna tak utalentowany w dziedzinie nieprzytomności jak Spider? Tak utalentowany w miłości, w życiu, w byciu utalentowanym? Billy zastanawiała się, czy istnieje inna kobieta tak pozbawiona samolubności jak ona, która pozwalałaby tak utalentowanemu mężczyźnie marnować czas na spanie?

Westchnęła głęboko i żałośnie kilka razy bez żadnego rezultatu, stwierdziła, że wymaga to zbyt wiele energii, i powędrowała myślami do Gigi i Zacha. Przez kilka miesięcy Zach był na planie w San Francisco, a teraz reżyserował duży film w Teksasie, ale kiedy przebywał w Los Angeles, mieszkali razem w mieszkaniu Gigi. Zach szybko przekształcił je w zachodnią wersję nieustającego przyjęcia dla oddanych przyjaciół, jakie stworzył w Nowym Jorku.

Billy pochwałała decyzję Gigi - nie dzielaną przez Zacha - żeby nie śpieszyć się z małżeństwem. Gigi sądziła, że skoro ma dopiero dwadzieścia dwa lata, ma jeszcze mnóstwo czasu na założenie poważnego

domu - najpierw powinni pomieszkać razem przez dłuższy czas. Ale jakże cudownie szczęśliwa była Gigi! Potrafiła tak doskonale uporać się ze swoją pracą w „Scruples II”, że zastanawiała się nad kuszącą ofertą pracy, gdzie byłaby autorką tekstów w szybko rozwijającej się agencji reklamowej. Mogłaby podołać obu zadaniom, ponieważ kolejne wersje katalogów „Scruples II” zawierały podobne teksty, a jej ambicje wzrosły wraz z entuzjastycznym przyjęciem jej dawnej bielizny, mimo że to mężczyźni kupowali ją dla kobiet dużo częściej, niż kupowały ją dla siebie same kobiety.

Sasza planowała połączyć macierzyństwo z pracą na pół etatu po wykorzystaniu co najmniej czteromiesięcznego urlopu macierzyńskiego - już zatrudniła niańkę, która będzie jej pomagać od dnia, w którym Sasza przywiezie dziecko ze szpitala. Sasza myśli o wszystkim, pomyślała Billy, ale ona sama nie potrafi chyba podjąć żadnej stanowczej decyzji oprócz wynajęcia ciepłej i doświadczonej pielęgniarki do pomocy przy bliźniętach. Skąd może wiedzieć, jaka proporcja macierzyństwa i pracy będzie dla niej właściwa? Nadal czuje się kobietą pracującą, a „Scruples II” dopiero zaczyna egzystencję. Chyba jednak będzie chciała mieć trochę wolnego czasu, żeby rzucić się w wir macierzyńskich doświadczeń? Z drugiej strony, czy zbyt duża dawka niemowlęctwa nie doprowadzi jej do szaleństwa? Nic w życiu Billy nie przygotowało jej, jak dotąd, na cud i problemy macierzyństwa. Były teraz tak trudne do przewidzenia jak cała reszta jej zdumiewającego życia... wiedziała tylko, że ma wielkie szczęście - może sobie pozwolić na nieoceniony luksus wyboru.

Przyszłość jest zbyt ekscytująca, skomplikowana i pełna magii, żeby długo się nad nią zastanawiać, stwierdziła Billy, zamykając w końcu oczy,

bo nawet widok karku Spidera był tak fascynujący, że ośwładnęła nią chęć trącenia go nosem, nie było jednak możliwości przysunięcia się do niego na tyle blisko. Wspomniała sennie, że jeszcze rok temu było inaczej... Weekend z pokazem mody, kiedy ledwo udawało im się oderwać od siebie na tyle, żeby podawać ręce wszystkim dziennikarzom, nie mówiąc już o sensownych odpowiedziach podczas wywiadów.

Był u jej boku każdego radosnego dnia, obejmując ją mocno w tali i lub tuląc w ramionach, dumnie i władczo. Byli tak intensywnie świadomi siebie nawzajem, że wszystko inne zdawało się złudzeniem, fikcją. Ich ekstaza była zaraźliwa, zbyt silna, żeby być niewidoczna, i wkrótce Gigi i Sasza zaczęły coś podejrzewać. Wystarczyło im oczywiście jedno spojrzenie, a potem zorientował się Prince, który pośpieszył z tą informacją do wszystkich najbliższych przyjaciół w mediach, co oznaczało, że wkrótce pół setki właściwie nie znanych im osób poczuło, że mają prawo zadawać im najbardziej zdumiewające, osobiste pytania... profesjonalnie wnikliwe pytania... jakoś niemożliwe... do zaprzeczenia... nawet gdyby... chciała...

- Obudź się, kochanie - powiedział w kilka godzin później Spider z takim naciskiem, że Billy w końcu zamrugała niechętnie i otworzyła oczy.

- Nie chciałem cię budzić wcześniej - powiedział nachylając się nad nią i całując - ale plątałem się po sypialni jak zagubiona dusza, patrząc, jak słodko śpisz - więcej niż całe cztery godziny - i nie mogłem już tego dłużej wytrzymać. Poczulem się zbyt samotny. W każdym razie jest już pora lunchu i jestem pewien, że chłopcom na pewno nie zrobi dobrze przegapienie przez ciebie posiłku, muszą się odżywiać. Jeśli będziesz tak długo spała w dzień, to jak zaśniesz w nocy?

- Dobre pytanie - mruknęła ziewając i przeciągając się. Czuła się cudownie wypoczęta.

- Czy nie cieszysz się, że cię obudziłem? - spytał z niepokojem. Delikatnie odgarnął jej z czoła grube kędziory, żeby móc się jej dokładniej przyjrzeć.

- Ależ tak - odparła zgodnie z prawdą Billy, unosząc się na fali niezmaconego spokoju. - Tak się cieszę, kochanie... spanie jest bardzo przereklamowane. To kompletna strata czasu, kiedy moglibyśmy robić coś innego, na przykład całować się, dotykać, rozmawiać albo... nawet... próbować się objąć...? - dodał z nadzieją.

- Kiedy masz otwarte oczy, to właściwie nie wyglądasz na poważnie niedożywioną, moja śliczna dziewczynko - powiedział Spider rozpinając koszulę. - Jeśli spanie jest przereklamowane, to lunch też. Co byś powiedziała na trochę całowania się i obejmowania, póki moje ręce są jeszcze na tyle długie, że mi się to uda?

- Masz godne podziwu wyczucie priorytetów - westchnęła z zachwytem Billy, robiąc mu miejsce na łóżku.